



DEAN
KOONTZ

W mroku nocy

O książce

Christopher Snow, z powodu choroby zmuszony do życia w mroku, nie boi się ciemności. Podczas jednej ze swoich nocnych wędrówek, prowadzony przez Orsona – psa wykazującego się inteligencją nieprawdopodobną u czworonoga – trafia do Fortu Wyvern. W tym położonym na uboczu, otoczonym tajemnicą miejscu niegdyś prowadzono eksperymenty genetyczne. Christopher domyśla się, że badań nie zaprzestano, a zaginione dzieci wciąż żyją i są przetrzymywane w bazie wojskowej.

Policji nie może ufać, więc w misji ratunkowej pomaga mu jego dziewczyna, Sasha, przyjaciele oraz... pewien kot.

DEAN KOONTZ

W mroku nocy

Z angielskiego przełożył
JANUSZ OCHAB



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

DEAN KOONTZ

Jeden z najpopularniejszych współczesnych autorów amerykańskich, legitymujący się imponującą liczbą 450 milionów sprzedanych egzemplarzy książek. Karierę literacką rozpoczął w wieku 20 lat, startując w konkursie na opowiadanie zorganizowanym przez „Atlantic Monthly”. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, jednocześnie sporo publikował, głównie science fiction i horrory. Należy do pisarzy niezwykle płodnych: jego dorobek to kilkadziesiąt powieści oraz liczne opowiadania wydane pod własnym nazwiskiem i paroma pseudonimami. Do najpopularniejszych powieści Koontza należą: **Opiekunowie, Intensywność, Przepowiednia, Odd Thomas, Dobry zabójca, Prędkość, Mąż, Recenzja, Bez tchu, Co wie noc, Dom śmierci, Apokalipsa Odda**. Wiele z nich zostało przeniesionych na ekran telewizyjny lub kinowy.

www.deankoontz.com

Tego autora

TRZYNASTU APOSTOŁÓW
APOKALIPSA
PRZEPOWIEDNIA
PRĘDKOŚĆ
INWAZJA
INTENSYWNOŚĆ
NIEZNAJOMI
MAŻ
OCALONA
NIEZNISZCZALNY
DOBRY ZABÓJCA
PÓŁNOC
OSZUKAĆ STRACH
OCZY CIEMNOŚCI
ANIOŁ STRÓŻ
TWOJE SERCE NALEŻY DO MNIE
MASKA
MROczne POPOŁUDNIE
ZŁE MIEJSCE
SMOCZE ŁZY
RECENZJA

OPIEKUNOWIE
BEZ TCHU
DOM ŚMIERCI
CO WIE NOC
W MROKU NOCY
NIEWINNOŚĆ
KĄTEM OKA
W ŚWIETLE KSIĘŻYCA
KLUCZ DO PÓŁNOCY
PIECZARA GROMÓW

Odd Thomas

ODD THOMAS
DAR WIDZENIA
BRACISZEK ODD
KILKA GODZIN PRZED ŚWITEM

Tytuł oryginału:
SEIZE THE NIGHT

Copyright © Dean Koontz 1999
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2014

Korekta: Jolanta Rososińska

Zdjęcie na okładce: Anton Gvozdikov/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-073-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Przygotowanie wydania elektronicznego: [88em](#)

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Najpierw](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

15

16

17

CZĘŚĆ DRUGA

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Przypisy

*Tę drugą przygodę Christophera Snowa dedykuję
Richardowi Aprahamianowi i Richardowi Hellerowi,
którzy przynoszą chwałę wymiarowi sprawiedliwości
i którzy jak dotąd uchronili mnie
przed więzieniem!*

Przyjaźń jest drogocenna nie tylko w mroku życia, ale i w jego pełnym blasku. A dzięki pomyślnemu układowi rzeczy większa część naszego życia toczy się w blasku.

Thomas Jefferson

Najpierw

Nazywam się Christopher Snow. Przedstawiona tu relacja to część mojego prywatnego dziennika. Skoro ją czytacie, to prawdopodobnie już nie żyję. Jeśli jednak nadal chodzę po ziemi, to z powodu tego właśnie opisu jestem — albo wkrótce będę — jednym z najsłynniejszych ludzi na naszej planecie. Jeśli nikt i nigdy nie przeczyta tych słów, to stanie się tak dlatego, że świat w znanej nam postaci przestanie istnieć, a cywilizacja ludzka zginie w otchłani zapomnienia. Nie jestem bardziej próżny niż większość ludzi i nad ogólne uznanie i sławę przedkładam spokój anonimowości. Niemniej jednak, jeśli będę musiał dokonać wyboru pomiędzy Armagedonem i sławą, zdecyduję się na to drugie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zaginieni chłopcy

1

W innych miejscach na ziemi ciemność po prostu zapada, lecz w Moonlight Bay podkrada się do nas bezszelestnie niczym wielka szafirowa fala liżąca piasek plaży. O świcie noc cofa się przez Pacyfik ku odległej Azji, czyni to jednak powoli i niechętnie, pozostawiając plamy głębokiej czerni w alejkach parkowych, pod samochodami, wokół studzienek kanalizacyjnych i pod baldachimami z liści starych dębów.

Tybetańczycy wierzą, że pewne tajemnicze sanktuarium ukryte w Himalajach jest domem i kolebką wszystkich wiatrów, miejscem, gdzie rodzi się najłżejsza bryza i najstraszniejsze tornado. Jeśli noc także ma swój dom, to bez wątpienia jest nim nasze miasto.

Jedenastego kwietnia, kiedy podczas swej wędrówki na zachód noc przechodziła przez Moonlight Bay, zabrała ze sobą pięcioletniego chłopca — Jimmy’ego Winga.

Około północy jeździłem na rowerze, przemierzając zadbane uliczki dzielnicy mieszkaniowej położonej na niewysokich wzgórzach w pobliżu Ashdon College, gdzie niegdyś wykładali moi nieżyjący już rodzice. Przedtem byłem jeszcze na plaży, ale

drobne leniwe fale nie nadawały się zupełnie do surfowania, toteż nie próbowałem nawet wkładać kombinezonu i wyciągać deski. Orson, wielki labrador o kruczoczarnej sierści, truchtał obok mnie.

Tej nocy nie wyszliśmy z domu na poszukiwanie przygód, chcieliśmy po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza i trochę się poruszać. Często prześladowuje nas obu nieokreślony niepokój, który zmusza do wyjścia na zewnątrz i wędrowania ciemnymi ulicami miasta.

Zresztą tylko głupiec albo szaleniec z własnej woli szukałby przygód w malowniczym Moonlight Bay, które jest jedną z najspokojniejszych i jednocześnie jedną z najbardziej niebezpiecznych społeczności na naszej planecie. Wystarczy, że postoiście przez chwilę w jednym miejscu, a przygoda waszego życia znajdzie was sama.

Lilly Wing mieszka przy ulicy porośniętej wielkimi sosnami, wydzielającymi intensywny zapach. W ciemnościach, których nie rozprasza tutaj ani jedna latarnia, pnie i pokrzywione gałęzie drzew były czarne jak smoła. Jedynie w kilku miejscach blask księżycy przebijał się z trudem między rozłożystymi gałęziami i srebrzył chropowatą korę.

Zauważyłem ją dopiero wtedy, gdy między drzewami pojawił się żółty blask. Snop światła rzucały przez niewielką latarkę przesuwając się niczym wahadło po chodniku i wycinał z mroku chwiejne cienie drzew. Wołała syna po imieniu, starała się robić to jak najgłośniej, ale strach i rozpacz odbierały jej głos, wprawiały go w drzenie, zamieniając „Jimmy” w sześciosylabowe słowo.

Ponieważ o tej porze nie jeździły żadne pojazdy, jechałem środkiem ulicy, a Orson biegł równolegle do mojego roweru; byliśmy władcami drogi. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku.

Kiedy Lilly wyszła spomiędzy drzew, zawołałem do niej:

— Co się stało, Borsuczku?

Nazywałem ją tym czułym przezwiskiem od dwunastu lat, od czasu, kiedy oboje byliśmy szesnastolatkami. W owym czasie Lilly nosiła nazwisko Travis, kochaliśmy się i wierzyliśmy, że resztę życia spędzimy razem. Na długiej liście naszych wspólnych upodobań i pasji miejsce szczególne zajmowała książka Kennetha Grahame'a *O czym szumią wierzby*, której bohater, mądry i odważny Borsuk, był nieugiętym obrońcą wszystkich dobrych zwierząt z Dzikiego Lasu. „W tej krainie każdy z moich przyjaciół może chodzić tam, gdzie zechce — obiecał Borsuk Kretowi — a jeśli ktoś mu przeszkodzi, będzie miał ze mną do czynienia!”. Podobnie wszyscy ci, którzy dręczyli mnie z powodu mej nietypowej ułomności, nazywali mnie „wampirem” ze względu na to, że od urodzenia nie tolerowałem światła, ci nastoletni psychopaci, którzy chcieli torturować mnie pięściami i blaskiem latarek, ci, którzy drwili i wyśmiewali się ze mnie za moimi plecami, jakbym sam wybrał sobie życie z *xeroderma pigmentosum* — wszyscy oni musieli najpierw stawić czoło Lilly, która reagowała na każdy przejaw dyskryminacji słusznym gniewem. Jako mały chłopiec z konieczności nauczyłem się walczyć i nim poznałem Lilly, potrafiłem już sam dochodzić swoich praw; niemniej jednak Lilly mocno nalegała, by mogła stanąć u mojego boku i bronić mnie tak dzielnie, jak szlachetny Borsuk zawsze bronił swego

przyjaciela Kreta.

Choć jest dość drobna, kryje się w niej wielka siła. Ma tylko pięć stóp i cztery cale wzrostu, zawsze jednak wydaje się, że góruje nad przeciwnikiem. Potrafi być przerażająca, gwałtowna i niepohamowana, ale jest też człowiekiem wielkiej dobroci i bardzo atrakcyjną kobietą.

Tej nocy jednak uleciał gdzieś jej naturalny wdzięk, a przerażenie wykrzywiło twarz w nienaturalnym grymasie. Kiedy zawołałem, odwróciła się gwałtownie w moją stronę. W szerokich dżinsach i rozpiętej koszuli wyglądała jak strach na wróble, ożywiony jakimś cudownym sposobem, zdumiony i przerażony tą przemianą, zmagający się z krępującym go drewnianym krzyżem.

Skierowała światło latarki na moją twarz, jednak rozpoznawszy mnie, natychmiast przesunęła je na ziemię.

— Co się stało? — spytałem ponownie i zsiadłem z roweru.

— Jimmy zniknął.

— Uciekł?

— Nie. — Odwróciła się ode mnie i ruszyła w stronę domu. — Tędy, chodź, sam zobacz.

Posiadłość Lilly otoczona jest białym drewnianym płotem, wykonanym przez nią własnoręcznie. Bramkę tworzą dwa krzewy, wyhodowane i przycięte w ten sposób, by układały się w żywy, szeroki baldachim. Do skromnego domku prowadzi chodnik ułożony z kolorowych kamieni, tworzących skomplikowany wzór. Lilly sama zaprojektowała i ułożyła tę ścieżkę, nauczywszy się tego z kilku książek.

Drzwi frontowe stały otworem. Za nimi dostrzegłem rzęsiście

oświetlone pokoje.

Zamiast zaprosić mnie i Orsona do wnętrza, Lilly zeszła z chodnika i szybko przecięliśmy trawnik. Kiedy prowadziłem rower po krótko przyciętej trawie, terkot łożysk był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki zakłócał ciszę nocy. Przeszliśmy na północną stronę domu.

Łóżko w sypialni było rozłożone. Wewnątrz świeciła się tylko jedna lampka, rzucając na ściany bursztynowy blask i miodowe cienie przesączone przez składany żółty abażur. Po lewej stronie łóżka ciągnęły się półki na książki, na których ustawiono szereg figurek z *Gwiezdnych wojen*. Zimny przeciąg poruszał białą zasłoną, trzepotała niepewnie niczym duch, który jeszcze nie chce opuścić tego świata.

— Myślałam, że okno jest zamknięte na zatrask, ale widocznie nie było — powiedziała Lilly, a teraz w jej głosie pobrzmiwały nutki wściekłości. — Ktoś je otworzył, jakiś sukinsyn, i zabrał Jimmy’ego.

— Może nie jest tak źle.

— Jakiś chory dupek — upierała się Lilly.

Światło latarki zadrżało, a Lilly skierowała je na grządkę z kwiatami, starając się opanować drżenie dłoni.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała cicho.

— Pieniądzy?

— Żeby zapłacić okup. Nie jestem bogata. Nikt nie porwałby Jimmy’ego dla okupu. To coś gorszego.

Klomb przesłonięty pierzastymi płatkami białych kwiatów, które w sztucznym blasku latarki lśniły jak lód, został podeptany przez nieznanego napastnika. Ślady stóp odcisnęły się

w zgniecionych liściach i wilgotnej, miękkiej ziemi. Nie były to ślady dziecka, lecz dorosłego człowieka w sportowych butach. Sądząc po rozmiarach i głębokości wgniecenia, musiał to być ktoś duży i ciężki, najprawdopodobniej mężczyzna.

Dopiero teraz zauważyłem, że Lilly jest bosa.

— Nie mogłam zasnąć, oglądałam telewizję, jakiś głupi film — wyszeptała tonem samooskarżenia, jakby wierzyła, że mogła przewidzieć tę sytuację i ocalić Jimmy’ego.

Orson wepchnął się pomiędzy nas, by powąchać zdeptany klomb.

— Niczego nie słyszałam — mówiła dalej Lilly. — Jimmy nawet nie krzyknął, ale miałam takie dziwne przeczucie...

Jej szlachetna uroda, piękno czyste i głębokie jak odbicie wieczności, zostało teraz zniszczone przez strach, porysowane ostrymi liniami gniewu, pod którym kryła się rozpacz. Gdyby nie przekorna nadzieja, zapewne całkiem by się załamała. Choć widziałem ją tylko w rozproszonym blasku bijącym od latarki, nie mogłem znieść widoku bólu malującego się na jej twarzy.

— Wszystko będzie w porządku — oświadczyłem, wstydzając się swego kłamstwa.

— Zadzwoń na policję — powiedziała. — Powinni tu być lada moment. Gdzie oni są, do diabła?

Osobiste doświadczenia nauczyły mnie już, że nie można ufać policjantom z Moonlight Bay. Są skorumpowani. I nie chodzi tutaj tylko o zepsucie moralne, przyjmowanie łapówek i żądze władzy; to zjawisko ma głębsze i przerażające korzenie.

Ciszy nocy nie rozdzierało wycie policyjnych syren, ale ja wcale nie spodziewałem się ich usłyszeć. W naszym dziwnym

mieście policja działa z daleko posuniętą dyskrecją, nie używa nawet cichego sygnału świateł alarmowych, ponieważ często przyjeżdża nie po to, by odszukać sprawcę i doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości, lecz by zatrzeć ślady zbrodni i uciszyć jej ofiarę.

— On ma tylko pięć lat, pięć lat — powtarzała Lilly płacząco.

— Chris, a jeśli porwał go ten facet, o którym mówili w wiadomościach?

— Jaki facet?

— Seryjny zabójca. Ten, który... pali dzieci.

— Przecież on tutaj nie działa.

— W całym kraju. Co kilka miesięcy. Pali żywcem grupki małych dzieci. Dlaczego to nie miałyby być właśnie on?

— Bo nie jest — uciąłem krótko. — To ktoś inny.

Odwróciła się od okna i zaczęła przeszukiwać podwórze, jakby miała nadzieję, że odnajdzie swego rozczochranego i zaspanego synka pomiędzy suchymi liśćmi i kawałkami kory, które zaścielały ziemię pod rzędem drzew eukaliptusowych.

Orson pochwycił jakiś podejrzany zapach, warknął cicho i odsunął się od klombu z kwiatami. Spojrzał na parapet okienny, wciągnął powietrze, znów przyłożył nos do ziemi i po chwili wahania skierował się na tyły budynku.

— Znalazł coś — powiedziałem.

Lilly odwróciła się do mnie.

— Co?

— Jakiś ślad.

Orson poruszał się coraz pewniej i po chwili zaczął truchtać.

— Borsuczku — poprosiłem — nie mów im, że Orson i ja

byliśmy tutaj.

Strach ścisnął jej gardło tak mocno, że nie mogła wydobyć z siebie nic oprócz szeptu.

— Nie mówić komu?

— Policji.

— Dlaczego?

— Wróć tu. Wytłumaczę ci. Przysięgam, że znajdę Jimmy'ego. Przysięgam.

Mogłem dotrzymać dwóch pierwszych obietnic. Trzecia była jednak jedynie wyrazem moich pobożnych życzeń i wypowiedziałem ją tylko po to, by dać Lilly odrobinę nadziei.

W rzeczywistości w tej samej chwili, kiedy pchałem rower przez trawnik i goniłem mojego niezwykłego psa, byłem przekonany, że Jimmy Wing przepadł na zawsze. Przypuszczałem, że uda mi się co najwyżej odnaleźć zwłoki chłopca, a przy odrobinie szczęścia i człowieka, który go zamordował.

2

Kiedy wybiegłem z za rogu domu Lilly, nie dostrzegłem Orsona. Był tak czarny, że nawet blask księżyca w pełni nie mógł go ukazać.

Z prawej strony doszło mnie ciche szcęknięcie, potem jeszcze jedno, pobiegłem więc w tamtym kierunku.

Po drugiej stronie podwórza znajdował się wolno stojący garaż, do którego można było wjechać tylko od strony ulicy. Kamienny chodnik, ułożony wzdłuż ściany garażu, prowadził do drewnianej furtki. Orson stał właśnie przy niej i próbował otworzyć łapą zatrzask.

Muszę przyznać, że mój pies jest znacznie sprytniejszy od zwykłych czworonogów. Czasami podejrzewam, że jest też znacznie sprytniejszy ode mnie.

Gdyby nie to, że mam dłonie i chwytne palce, bez wątplenia to ja jadałbym z miski na podłodze, natomiast Orson zająłby najwygodniejszy fotel w mieszkaniu i przełączałby kanały w telewizorze.

Wykorzystując jedyny atut, świadczący o mojej wyższości, teatralnym gestem odsunąłem zatrzask i otworzyłem skrzypiącą furtkę.

Wzdłuż tej strony alejki ciągnęły się płoty, garaże i szopy na narzędzia. Po drugiej stronie popękany i nierówny asfalt ustępował miejsca wąskiemu, zwirowemu poboczcu, które z kolei ograniczone było rzędem potężnych drzew eukaliptusowych. Wysokie krzewy i chwasty zakrywały strome zbocze wąwozu ciągnącego się wzdłuż drogi.

Dom Lilly leży na skraju miasta, którego granice wyznacza w tym miejscu właśnie ów wąwóz. Po jego drugiej stronie nie ma już żadnych zabudowań. Dzika trawa i skarłale dęby porastające zbocza jaru dają schronienie jastrzębiom, kojotom, królikom, wiewiórkom, myszom polnym i węzom.

Zdając się jedynie na swój wspaniały nos, Orson przeszukiwał systematycznie krzewy i trawę wzdłuż drogi. Biegał w tę i w tę, pomrukując i skamląc coś do siebie.

Stałem w pobliżu, między drzewami, i wpatrywałem się w ciemność, której nie mógł rozproszyć nawet blask księżyca. Nie dostrzegłem światła latarki. Jeśli Jimmy zniknął w mroku, jego porywacz musiał być obdarzony niezwykłymi zdolnościami.

Z cichym szcęknięciem Orson przerwał nagle poszukiwania przy krawędzi wąwozu i powrócił na środek ulicy. Kręcił się w kółko, jakby ścigał własny ogon, jednak trzymał głowę wysoko i zapamiętałe węszył.

Dla Orsona powietrze jest gęste od różnych woni. Nos każdego psa jest tysiące razy czulszy od ludzkiego nosa.

Jedynym zapachem, jaki ja wychwytywałem, był aromat wydzielany przez drzewa eukaliptusowe. Prowadzony zupełnie inną i znacznie bardziej podejrzaną wonią, niczym opiłek żelaza przyciągany przez potężny magnes, Orson pognał alejką na

północ.

Może Jimmy Wing jeszcze żył.

Chętnie wierzę w cuda. Dlaczego nie miałbym uwierzyć i w ten?

Wsiadłem na rower i pojechałem śladem psa. Orson bez wahania wybierał kierunek i nie żałował sił, musiałem więc mocno naciskać pedały, by dotrzymać mu tempa.

Mijaliśmy kolejne przecznice, sunąc wzdłuż ulicy oświetlanej jedynie od czasu do czasu przez lampy zamocowane na tyłach prywatnych rezydencji. Z przyzwyczajenia omijałem te kręgi bladego światła, trzymając się ciemniejszej strony alei, choć przejazd przez każdy z nich zająłby zaledwie ułamek sekundy i nie stanowiłby żadnego zagrożenia dla mojego zdrowia.

Xeroderma pigmentosum — XP dla tych, którzy nie chcą połamać sobie języka — to dziedziczna choroba genetyczna, która daje mi miejsce w ekskluzywnym klubie zaledwie tysiąca Amerykanów. Jeden z nas na 250 000 pozostałych obywateli. XP czyni mnie bardzo podatnym na raka skóry i oczu, wywołanego każdym rodzajem promieniowania ultrafioletowego. Blaskiem słońca. Światłem żarówek i neonów. Poświatą rzucaną przez błyszczący ekran telewizora.

Gdybym ośmielił się spędzić choćby pół godziny w pełnym letnim słońcu, doznałbym paskudnych poparzeń, choć taki pojedynczy wybryk jeszcze by mnie nie zabił. Najbardziej przerażający jest jednak fakt, że nawet krótki kontakt z promieniowaniem ultrafioletowym skraca moje życie, ponieważ w organizmie następuje kumulacja defektów. Drobne, niedostrzegalne uszkodzenia gromadzą się przez lata i nakładają

na siebie, by wreszcie objawić się w postaci widocznych zmian chorobowych. Sześćset minut kontaktu ze światłem, rozłożonych na cały rok, będzie miało ostatecznie taki sam skutek jak dziesięć godzin spędzonych na plaży podczas gorącego lipca. Blask rzucany przez lampę nie jest tak szkodliwy jak światło słoneczne, ale nie jest też całkiem bezpieczny.

Nic nie jest.

Wy, ludzie o prawidłowo funkcjonujących genach, możecie rutynowo likwidować szkody wyrządzone codziennie waszej skórze i oczom, szkody, których nie jesteście nawet świadomi. Wasze ciała, w odróżnieniu od mojego, nieustannie produkują enzymy, które usuwają uszkodzone fragmenty łańcuchów nukleotydowych w komórkach i wymieniają je na nowe.

Muszę egzystować w ciemności, podczas gdy wy pędzicie życie pod błękitnym niebem, a mimo to nie czuję do was nienawiści. Nie mam żalu o to, że możecie cieszyć się wolnością, której nie potraficie nawet docenić — choć bardzo wam jej zazdroszczę.

Nie darzę was nienawiścią, bo w końcu też jesteście tylko ludźmi i dlatego macie własne ograniczenia. Może jesteście brzydki, może zbyt głupi lub zbyt inteligentni jak na swoje potrzeby, głusi, niemi albo ślepi, może natura uczyniła was skłonny do zbyt wielkiego gniewu czy rozpacz, może nienawidzicie samych siebie albo panicznie boicie się pani Śmierci. Wszyscy nosimy jakieś ciężary. Z drugiej strony, jeśli nawet jesteście atrakcyjniejsi i inteligentniejsi ode mnie, jeśli możecie w pełni używać wszystkich pięciu zmysłów, jeśli jesteście jeszcze większymi optymistami niż ja, jeśli lubicie siebie samych i podobnie jak ja nie pozwalacie upokorzyć się temu

największemu Kosiarzowi... cóż, mógłbym pewnie was nienawidzić, gdybym nie wiedział, że jak wszystkich na tym niedoskonałym świecie dręczy was czasem ból, cierpienie, smutek i tęsknota.

Swoją przypadłość uważam za błogosławieństwo. Moje życie jest niezwykle, różne od życia większości z was.

Na pewno nikt z was nie czuje się w nocy tak swobodnie jak ja. Nikt nie zna lepiej ode mnie świata zamkniętego pomiędzy zmierzchem i świtem, bo jestem bratem sowy, nietoperza i borsuka. W ciemnościach czuję się u siebie. To może znaczyć więcej, niż wam się wydaje.

Oczywiście nic nie wynagrodzi faktu, że przedwczesna śmierć jest wśród ofiar XP czymś powszechnym. Nikt z nas nie spodziewa się, że dożyje starości — przynajmniej nie bez postępujących chorób i przypadłości, takich jak drżenie głowy i rąk, utrata słuchu, trudności z mówieniem, a nawet upośledzenie umysłowe.

Jak dotąd bezkarnie grałem Śmierci na nosie. Los oszczędził mi także wszelkich dolegliwości i chorób, które od dawna przepowiadali moi lekarze.

Mam dwadzieścia osiem lat.

Stwierdzenie, że od pewnego czasu żyję na kredyt, byłoby nie tylko banalne, ale i nieprawdziwe. Całe moje życie to przedsięwzięcie obarczone potężnym zastawem.

Ale podobnie jest z wami. Wszyscy będziemy musieli w końcu zdać sprawę z naszych poczynań. Prawdopodobnie ja otrzymam swoje wezwanie wcześniej niż większość z was, ale i wasza przesyłka czeka już na ostemplowanie.

Mimo to, dopóki listonosz nie zapuka do drzwi, trzeba się cieszyć życiem. Jedyne rozsądne rozwiązanie to być szczęśliwym. Rozpacz jest tylko głupim marnotrawstwem bezcennego czasu.

Tutaj i teraz, w tę chłodną wiosenną noc, po godzinie duchów, ale wciąż jeszcze na długo przed świtem, ścigając mojego sprytnego psa i łudząc się nadzieją, że Jimmy Wing wciąż żyje, mknąłem przez puste alejki i opuszczone ulice, przez park, w którym Orson nie zatrzymał się nawet, by powąchać jakieś drzewo, obok szkoły, w stronę ulic położonych w dolnych partiach wzgórz. W końcu Orson zaprowadził mnie do rzeki Santa Rosita przedzielającej miasto na całej jego długości.

W tej części Kalifornii, gdzie suma rocznych opadów nie przekracza zazwyczaj czternastu cali, rzeki i strumienie przez większą część roku są wyschnięte. Ostatnia pora deszczowa nie przyniosła więcej ulew niż zazwyczaj, toteż koryto rzeki było całkiem odsłonięte; szeroki pas mułu, blady i lśniący w blasku księżyca. Był gładki jak prześcieradło, jedynie w kilku miejscach poznaczony ciemnymi pniami zatopionych drzew, leżących nieruchomo niczym śpiący bezdomni, których kończyny powykrzywiane zostały przez koszmary.

Choć Santa Rosita miała od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp szerokości, przypominała raczej sztuczny kanał niż prawdziwą rzekę. W ramach federalnego planu zapobiegania powodziom, które w przeszłości gnębiły od czasu do czasu tę okolicę, brzegi rzeki zostały podniesione i wzmocnione warstwą betonu na długości całego miasteczka.

Orson zbiegł z ulicy, przeciął pas nagiej ziemi i zatrzymał się na betonowym nabrzeżu.

Podążając jego śladem, przejechałem między znakami, które rozstawiono w równych odstępach wzdłuż całego odcinka brzegu znajdującego się w obrębie miasta. Jeden z nich głosił, że nieupoważnione osoby nie mogą zbliżyć się do wody i że łamanie tego zakazu karane jest grzywną. Drugi z nich skierowany był do tych obywateli, którzy nie mieli szacunku dla prawa, i ostrzegał, że w czasie burzy prąd jest tak silny, iż może porwać i utopić każdego, kto ośmieli się wejść do wody.

Pomimo wszystkich ostrzeżeń, pomimo widocznych gołym okiem turbulencji i zdradliwych wirów, wreszcie pomimo złej sławy Santa Rosity, co kilka lat jakiś poszukiwacz mocnych wrażeń z tratwą czy kajakiem domowej roboty — albo nawet ze zwykłą deską do pływania — ginie w odmętach rzeki. Pewnej zimy, zaledwie kilka lat temu, utonęły aż trzy osoby.

Wśród wielu rozsądnych ludzi zawsze znajdzie się ktoś, kto z zapalem skorzysta z nadanego nam przez Boga prawa do głupoty.

Orson stał na nabrzeżu z uniesioną wysoko głową i patrzył na wschód, w stronę autostrady nad brzegiem Pacyfiku i ciągnących się za nią wzgórz. Na chwilę zastygł w bezruchu i zaskomlał cicho.

Tej nocy woda nie płynęła dnem wyschniętego kanału. Od strony Pacyfiku nie docierał tu nawet najlżejszy powiew wiatru, który mógłby wzbudzić falę na oceanie.

Spojrzałem na błyszczącą tarczę zegarka. Świadom, że każda upływająca minuta może być ostatnią minutą Jimmy’ego Winga — jeśli rzeczywiście jeszcze żył — próbowałem ponaglać Orsona.

— O co chodzi?

Nie zwracał na mnie uwagi. Nadstawił tylko czujniej uszu, wciągnął w nozdrza nieruchome powietrze nocy i znów zastygł w absolutnym bezruchu, jakby oczarowany zapachem jakiejś dziwnej istoty poruszającej się gdzieś w górze rzeki.

Jak zwykle udzielił mi się nastrój Orsona. Choć miałem tylko zwyczajny nos i zwykłe ludzkie zmysły — wprawdzie miałem znacznie lepsze ubranie i konto w banku — odczuwałem niemal to samo co on.

Orson i ja jesteśmy sobie bliżsi niż zwykły człowiek i pies. Nie jestem jego panem. Jestem jego przyjacielem, bratem.

Gdy mówiłem wcześniej, że jestem bratem sowy, nietoperza i borsuka, była to tylko metafora. Kiedy jednak stwierdzam, że jestem bratem tego psa, chcę, by rozumiano to dosłownie.

Przyglądając się korytu rzeki, które wiło się pomiędzy wzgórzami, spytałem głośno:

— Przestraszyłeś się czegoś?

Orson spojrzał wreszcie na mnie. W jego wielkich oczach dostrzegłem podwójne odbicie księżyca, które w pierwszej chwili wziąłem za swoją twarz, lecz ta nie jest ani tak okrągła, ani tak tajemnicza. Ani tak blada. Nie jestem albinosem. Moja skóra wydziela pigment, a cera nie jest całkiem biała, choć rzadko miewa kontakt ze słońcem.

Orson parsknął cicho, a ja nie musiałem wcale znać psiego języka, by go zrozumieć. Psiak mówił, że czuje się obrażony przypuszczeniem, że mógłby się tak łatwo czegoś wystraszyć.

Rzeczywiście, Orson jest odważniejszy nawet od większości swoich czworonożnych pobratymców. Znam go od dwóch i pół roku, odkąd był jeszcze szczeniakiem, i wiem, że może go

przerazić tylko jedna rzecz: mały.

— Mały? — spytałem.

Parsknął ponownie, co zinterpretowałem jako „nie”.

Tym razem nie mały.

Jeszcze nie.

Orson wbiegł na szeroki betonowy zjazd, prowadzący na dno Santa Rosity. W czerwcu i lipcu z rampy tej korzystały koparki i spychacze, za pomocą których usuwano z kanału nagromadzony tam w ciągu roku szlam i śmiecie. W ten sposób pogłębiano koryto, co miało zapobiec wylaniu wody podczas następnego sezonu deszczu.

Zjechałem za Orsonem na dno Santa Rosity. Na tle cętkowanej betonowej rampy ciemna sylwetka psa rysowała się jedynie jako niewyraźna plama, jak cień jakiegoś niewidzialnego stworzenia. Gdy jednak stanął na powierzchni zakrzepłego szlamu, zalanego srebrną poświatą księżyca, nabrał realnych kształtów. Bez chwili zastanowienia ruszył na wschód, poruszając się bezszelestnie niczym czarny duch, który zstąpił na dno wyschniętego Styksu.

Ponieważ ostatni deszcz spadł tutaj trzy tygodnie temu, dno kanału nie było wilgotne. Nie zdążyło jeszcze jednak popękać i pokryć się grubą warstwą kurzu, mogłem więc jechać po nim bez przeszkód.

Po chwili zauważyłem, że choć rower praktycznie nie naruszał ubitej powierzchni mułu, niedawno musiał tędy przejechać jakiś ciężki pojazd, który pozostawił głębokie i wyraźne koleiny. Sądząc po ich rozmiarach, odcisnęły je opony jakiejś furgonetki, półciężarówki albo jeepa.

Po obu stronach wznosiły się wysokie na dwadzieścia stóp

betonowe nabrzeża, nie mogłem więc widzieć domów położonych bezpośrednio nad rzeką. Dostrzegałem jedynie zarysy odległych budynków na wzgórzach, oświetlonych blaskiem latarni. W miarę jak posuwaliśmy się w górę rzeki, także i one stopniowo zniknęły w ciemnościach, jakby noc była jakimś potężnym rozpuszczalnikiem, który pochłania wszystkie domy i wszystkich mieszkańców Moonlight Bay.

Na powierzchni betonowych nabrzeży rozmieszczone były w nieregularnych odstępach ujścia kanałów burzowych, niektóre średnicy zaledwie dwóch czy trzech stóp, inne tak wielkie, że można by w nich schować ciężarówkę. Ślady opon prowadziły jednak w górę rzeki, proste niczym wersy maszynopisu. Jedynie od czasu do czasu wybrzuszały się nieco, by ominąć jakiś pniak czy konary zatopionego drzewa.

Choć Orson bez wahania biegł naprzód, z niepokojem zerkałem na ciemne otwory kanałów. Podczas burz i gwałtownych ulew tryskały z nich wielkie strumienie wody spływającej z ulic miasteczka i z rowów ukrytych wśród wysokich traw okolicznych wzgórz. Teraz, w czasie upalnej pogody, kanały te stanowiły podziemne ulice tajemnego świata, zamieszkanego przez wyjątkowo dziwaczne stworzenia. Miałem wrażenie, że lada moment jedno z nich znienacka zaatakuje.

Muszę przyznać, że wybuchała wyobraźnia często płata mi figle i bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Czasem wpadam przez to w kłopoty, jednak niejednokrotnie ocaliła mi życie.

Poza tym, przemierzając wszystkie kanały burzowe na tyle duże, by pomieścić dorosłego człowieka, napotkałem kilka osobliwych tworów. Dziwadła i monstra. Rzeczy i widoki, które

mogły przyprawić o dreszcz przerażenia nawet człowieka zupełnie pozbawionego wyobraźni.

Ponieważ naturalną kolejną rzeczą słońce wschodzi każdego ranka, moje nocne życie ogranicza się do miasteczka i jego najbliższych okolic; muszę mieć pewność, że nim nastanie świt, zdążę wrócić do bezpiecznie mrocznych pokoi mojego domu. Zważywszy na fakt, że nasze miasto liczy dwanaście tysięcy stałych mieszkańców i dodatkowe trzy tysiące studentów Ashdon College, mam spore pole do popisu; naprawdę, nie uważam, by moja rodzinna miejscowość zasługiwała na miano zadupia. Mimo to, nim skończyłem szesnaście lat, znałem każdy cal Moonlight Bay lepiej, niż znam to, co kryje się w mojej głowie. Dlatego też, by się nie zanudzić, wciąż poszukuję nowych możliwości na tym wąskim wycinku ziemi, do którego przykuło mnie XP. Przez pewien czas fascynował mnie teren znajdujący się pod ziemią, przechadzałem się więc ciemnymi kanałami niczym upiór, który krążył w podziemiach paryskiej opery, choć nie miałem jego peleryny, kapelusza i blizn, nie byłem też szaleńcem.

Ostatnio jednak wolałem pozostawać raczej na powierzchni. Podobnie jak każdy z mieszkańców tego świata, za jakiś czas i tak przeniosę się na stałe kilka stóp pod ziemią.

Minęliśmy spokojnie wylot kolejnego kanału, kiedy Orson nagle poderwał się do szybszego biegu. Ślad musiał być już bardzo wyraźny.

W miarę jak koryto rzeki wznosiło się coraz wyżej, lawirując pośród wzgórz na wschód od miasta, stawało się też coraz węższe. W miejscu skrzyżowania z autostradą numer 1 miało już

tylko czterdzieści stóp szerokości. Rzeka została tutaj zamknięta w tunelu długości ponad stu stóp. Choć stojąc u wejścia do kanału, widziałem srebrny blask księżyca po drugiej jego stronie, pośrodku zalegała głęboka ciemność.

Orson najwyraźniej nie wyczuwał żadnego zagrożenia. Nie warczał.

Nie wbiegł jednak bez wahania do tunelu. Stał przy wejściu, nieruchomo, strzygąc uszami.

Od wielu już lat na moje nocne wyprawy zabieram jedynie odrobinę gotówki na drobne wydatki, małą latarkę, której używam w tych rzadkich sytuacjach, kiedy ciemność jest raczej moim wrogiem niż sprzymierzeńcem, i telefon komórkowy. Ostatnio dołożyłem do tego standardowego wyposażenia jeszcze jeden element: pistolet Glock, kalibru dziewięć milimetrów.

Glock wisiał pod kurtką, ukryty w specjalnej uprząży pod ramieniem. Nie musiałem dotykać broni, by wiedzieć, że tam jest; wyczuwałem ją niczym wielką narośl na żebrach. Mimo to wsunąłem rękę pod kurtkę i zacisnąłem dłoń na rękojeści pistoletu, jakby był to jakiś potężny talizman.

Oprócz czarnej skórzanej kurtki miałem na sobie czarne buty, czarne skarpetki, czarne dżinsy i obcisły, czarny sweter. Nie ubieram się na czarno dlatego, że chciałbym upodobnić się do wampirów, księży, ninja czy gwiazd Hollywoodu. Rozsądek wymaga po prostu, by wychodząc nocą na ulice miasta, mieć przy sobie broń i jak najmniej rzucać w oczy, zlewać w jedno z ciemnością.

Z pistoletem w kaburze, stojąc okrakiem nad rowerem, odpiąłem od kierownicy małą latarkę. Mój rower nie ma

przedniego reflektora. Od tyłu lat żyłem w ciemnościach rozświetlanych co najwyżej płomieniem świecy, że moje oczy zazwyczaj doskonale radziły sobie bez pomocy sztucznego światła.

Promień latarki docierał na jakieś trzydzieści stóp w głąb tunelu o prostych ścianach i łukowatym sklepieniu. Nikt nie czał się przy wejściu do tego korytarza.

Orson wszedł do środka.

Nim ruszyłem za nim, wsłuchiwałem się przez chwilę w monotony pomruk silników aut pędzących autostradą, wysoko ponad nami. Jak zawsze ten dźwięk budził we mnie podniecenie i smutek jednocześnie.

Nigdy nie prowadziłem samochodu i prawdopodobnie nigdy nie będę tego robił. Nawet gdybym osłonił dłonie rękawicami, a twarz skrył pod specjalną maską, światła aut nadjeżdżających z przeciwka stanowiłyby poważne zagrożenie dla moich oczu. Poza tym nie mógłbym odjechać zbyt daleko ani na północ, ani na południe wzdłuż wybrzeża, jeśli miałbym wrócić do domu przed wschodem słońca.

Chcąc jeszcze przez chwilę sycić się tymi odgłosami, obejrzałem dokładnie betonową skarpę, w której otwierało się wejście do tunelu. Na szczycie wzniesienia znajdowały się metalowe barierki wyznaczające kraniec pobocza autostrady. Choć widziałem odbijające się w nich światła samochodów, nie widziałem samych pojazdów.

Kątem oka dostrzegłem jednak — a przynajmniej tak mi się wydawało — coś innego; jakąś ciemną postać kucającą na skarpie, na południe ode mnie, nie tak ciemną jak sama noc, lecz

podświetlaną przez przejeżdżające auta.

Siedziała na szczycie betonowego zbocza, tuż obok metalowej barierki, ledwie widoczna, lecz tak złowieszcza i przerażająca jak gargulec na skraju dachu katedry. Kiedy odwróciłem głowę, by przyjrzeć jej się lepiej, mocne światła nadjeżdżających ciężarówek wypełniły noc całą armią chybotliwych cieni, przypominających stado kruków, które zerwały się właśnie do lotu. Wśród tych upiornych kształtów postać na moment stała się znacznie bardziej rzeczywista, zbiegła ukosem na dół skarpy, z dala ode mnie i od tunelu, by następnie zniknąć w trawie po południowej stronie rzeki. W mgnieniu oka znalazła się poza zasięgiem reflektorów samochodowych, ukryta w głębokich ciemnościach i za zasłoną betonowych nabrzeży. Być może zataczała właśnie szerokie koło, by wejść do wyschniętego koryta za moimi plecami. Być może zresztą wcale nie była mną zainteresowana.

Wprawdzie przyjemnie byłoby myśleć, że wszystko kręci się wokół mnie, wiedziałem jednak, że nie jestem centrum wszechświata.

Właściwie ta postać mogła być jedynie wytworem mojej wyobraźni. Widziałem ją przez tak krótką chwilę, że nie mogłem mieć pewności, czy nie było to jedynie przywidzenie.

Ponownie sięgnąłem pod kurtkę i dotknąłem glocka.

Orson wbiegł już tak daleko w głąb tunelu, że ledwie go dostrzegałem w bladym świetle latarki. Obejrzałem się jeszcze raz za siebie i nie dojrzawszy tam żadnego napastnika, ruszyłem śladem psa. Zamiast jechać na rowerze, szedłem na piechotę, prowadząc go lewą ręką.

Nie podobało mi się to, że w prawej ręce — ręce, która trzyma pistolet — ściskam latarkę. W dodatku światło czyniło mnie doskonale widocznym celem i łatwą zdobyczą.

Choć dno rzeki było suche, ściany tunelu pokrywał delikatny, wilgotny nalot, a w chłodnym powietrzu czuło się zapach wapna.

Pomruk przejeżdżających wysoko nad nami samochodów przedostawał się przez grube warstwy betonu, stali i ziemi, odbijając się głuchym echem w kopulastym sklepieniu tunelu. Pomimo tego nieustającego huku co chwila wydawało mi się, że słyszę za plecami czyjeś kroki. Za każdym razem, kiedy odwracałem się w tę stronę, promień latarki odsłaniał jedynie gładkie betonowe ściany i wyschnięte koryto rzeki.

Ślady samochodu prowadziły na drugą stronę tunelu, gdzie mogłem wreszcie zgasić latarkę i z ulgą przywitać blask księżyca. Wyschnięte koryto skręcało na prawo, na południowy wschód od autostrady, podnosząc się teraz w szybszym tempie niż poprzednio.

Mimo że na zboczach okolicznych wzgórz wciąż rysowały się domy, wiedziałem, iż zbliżamy się do granic miasta. Wiedziałem też, dokąd zmierzamy. Domyślałem się tego już od dłuższego czasu, miałem jednak nadzieję, że się mylę. Jeśli Orson odnalazł właściwy trop, a porywacz Jimmy'ego Winga jechał samochodem, który pozostawił ślady na dnie rzeki, to najprawdopodobniej zmierzał do Fortu Wyvern, opuszczonej bazy wojskowej, będącej obecnie źródłem wielu problemów Moonlight Bay.

Fort Wyvern, który zajmuje powierzchnię 134 456 akrów — znacznie większą niż powierzchnia naszego miasteczka —

otoczony jest wysoką metalową siatką, umocowaną do stalowych słupów zatopionych w betonie i zwieńczoną szerokim pasem drutu kolczastego. Bariera ta przedzielała także rzekę, i kiedy wyjechałem z zakrętu kanału, zobaczyłem ciemnego chevroleta suburban, zaparkowanego przed ogrodzeniem. To właśnie ten samochód zostawił ślady na dnie wyschniętej rzeki.

Od jeepa dzieliło nas jeszcze ponad sześćdziesiąt stóp, byłem jednak przekonany, że nikt nie siedzi w jego wnętrzu. Mimo to wolałem się najpierw upewnić, czy przeczucie mnie nie myli.

Głuchy warkot świadczył o tym, że i Orson wolał zachować ostrożność.

Obejrzałem się, nie dojrzałem jednak żadnego śladu przerażającego gargulca, który czaił się na skraju autostrady po drugiej stronie tunelu. Wciąż jednak wydawało mi się, że ktoś nas obserwuje.

Ukryłem rower za pniem powalonego drzewa, leżącego na dnie wyschniętej rzeki.

Wetknąwszy latarkę za pasek, wyciągnąłem glocka z kabury. Jest to wyjątkowo wygodny pistolet, który wszystkie elementy zabezpieczające kryje w swoim wnętrzu; nie muszę odciągać żadnych dźwigienek, kiedy chcę go użyć.

Ta broń nieraz już uratowała mi życie i choć daje poczucie bezpieczeństwa, budzi we mnie także pewną niechęć. Podejrzewam, że nigdy nie będę w stanie posługiwać się nią z pełną swobodą. Waga i kształt pistoletu nie mają z tym nic wspólnego; to naprawdę doskonały pistolet. Jednak kiedy jako młody chłopiec przemierzałem nocami ulice miasta, niejednokrotnie padałem ofiarą prześladowań ze strony

silniejszych — głównie dzieciaków, ale także i dorosłych, którym wydawało się, że dręcząc mnie, naprawiają świat — i choć dzięki tym przykrym doświadczeniom nauczyłem się walczyć o swoje prawa i nie pozwalać, by w moim najbliższym otoczeniu działa się komuś krzywda, to stały się one także źródłem niechęci do używania przemocy jako prostej recepty na wszystkie kłopoty. Jeśli okoliczności zmuszą mnie, bym broniąc siebie i swoich najbliższych, użył broni, zrobię to, ale na pewno nie sprawi mi to przyjemności.

Wraz z Orsonem podkradliśmy się ostrożnie do samochodu. Tak jak przypuszczałem, w środku nie było nikogo. Przyłożyłem dłoń do maski. Była jeszcze ciepła, a to oznaczało, że jeepa zaparkowano tu zaledwie kilka minut temu.

Ślady stóp prowadziły od miejsca kierowcy do drzwi po stronie pasażera. Potem kierowały się w stronę ogrodzenia. Wyglądały podobnie — jeśli nie tak samo — jak ślady odcisnięte pod oknem sypialni Jimmy’ego Winga.

Srebrna moneta księżyca toczyła się powoli do ciemnego portfela zachodniego horyzontu, jednak jego blask był jeszcze dość jasny, bym mógł odczytać tablice rejestracyjne samochodu. Szybko zanotowałem w pamięci sekwencję cyfr i liter.

Po chwili odnalazłem miejsce, w którym siatka ogrodzenia została przecięta specjalnymi nożycami do drutu. Najwyraźniej dokonano tego już jakiś czas temu, przed ostatnim deszczem, gdyż na powierzchni mułu przy ogrodzeniu nie dostrzegłem śladów ciężkiej pracy.

Kilka dużych kanałów burzowych łączy Moonlight Bay także i z Wyvern. Zwykle kiedy odwiedzam opuszczoną bazę

wojskową, korzystam właśnie z takiego dyskretnego przejścia.

Na płocie przecinającym dno rzeki umieszczono — podobnie jak w wielu innych miejscach wzdłuż ogrodzenia i na terenie samego fortu — tablicę z czerwonymi i czarnymi napisami głoszącymi, że choć po zakończeniu zimnej wojny baza została zamknięta na polecenie Wojskowej Komisji Obrony, osoby, które wtargną bez upoważnienia na jej teren, zostaną ukarane grzywną lub aresztem. Lista odpowiednich praw i ustaw, stanowiących podstawę prawną tego ostrzeżenia, zajmowała jedną trzecią tablicy. Informacja utrzymana była w stanowczym i bezkompromisowym tonie, ale to wcale nie odstraszało mnie od złamania wszelkich wymienionych w niej zakazów. Politycy obiecują nam także pokój, dobrobyt, bezpieczeństwo i sprawiedliwość. Gdyby spełnili choć jedną z tych obietnic, być może z większym respektem traktowałbym ich groźby.

Tuż przy samym przejściu obok śladów porywacza widniały jeszcze inne. Było jednak zbyt ciemno, abym mógł je zidentyfikować.

Postanowiłem zaryzykować i użyć latarki. Przysłaniając żarówkę dłonią, pochyliłem się nad ziemią i włączyłem latarkę na dwie sekundy — wystarczająco długo, bym zrozumiał, co działo się w tym miejscu.

Choć dziura w siatce została przygotowana znacznie wcześniej, zapewne specjalnie na tę okazję, porywacz postarał się, by nie była zbyt widoczna. Prowizorycznie połączył ze sobą obie krawędzie rozerwanego ogrodzenia, tak by dzisiaj rozciągnąć je tylko na boki. Jednak by tego dokonać, musiał mieć obie ręce wolne. Postawił więc swego więźnia na ziemi, a zabezpieczając

się przed ewentualną ucieczką, albo porządnie nastraszył dziecko, albo po prostu je związał.

Ślady pozostawione przez ofiarę były znacznie mniejsze od śladów porywacza: odciski dziecięcych stóp, bosego chłopca porwanego prosto z łóżka.

Oczami wyobraźni ujrzałem nagle ściągniętą bólem twarz Lilly. Jej mąż, Benjamin Wing, konserwator linii energetycznych, zginął prawie trzy lata temu, porażony prądem. Był to wielki, wesoły chłop, półkrwi Indianin, tak pełen życia, że wydawało się, iż nigdy nie może spotkać go nic złego. Jego śmierć była dla wszystkich szokiem. Choć Lilly jest wyjątkowo silną kobietą, to gdyby w tak krótkim czasie utraciła drugą ukochaną osobę, zapewne nie potrafiłaby już wrócić do normalnego życia.

Mimo że od dawna nie byliśmy już ze sobą, nadal kochałem ją tak, jak kocha się przyjaciela. Modliłem się, bym mógł przyprowadzić jej synka, całego i zdrowego, i by ten straszliwy ból zniknął z jej oczu.

Orson zaskomlał cicho. Drżał z niecierpliwości, gotów natychmiast ruszyć w pościg.

Zatknąwszy ponownie latarkę za pas, rozsunałem metalowe poły siatki. Delikatny jęk protestu poniósł się wzdłuż ogrodzenia, daleko w ciemność.

— Frankfurterki dla wszystkich o walecznym sercu — obiecałem solennie, a Orson bez wahania przeskoczył przez otwór.

3

Kiedy przechodziłem na drugą stronę ogrodzenia, jeden z wystających drutów ściągnął mi czapkę na ziemię. Natychmiast ją podniosłem, otrzepałem o spodnie i włożyłem.

Tę granatową czapkę z daszkiem miałem od ośmiu miesięcy. Znalazłem ją w dziwnej betonowej sali, trzy piętra pod ziemią, głęboko w porzuconych katakumbach Fortu Wyvern.

Tuż nad daszkiem widniały wyszyte czerwoną nicią słowa „Magiczny Pociąg”. Nie miałem pojęcia, do kogo należała ta czapka ani co oznacza czerwony napis.

Sama w sobie nie przedstawiała żadnej wartości, jednak nie oddałbym jej nikomu za żadne pieniądze. Nie miałem dowodu, że była w jakikolwiek sposób związana z pracą naukową mojej matki czy z którymkolwiek z jej projektów — prowadzonych w Forcie Wyvern czy gdziekolwiek indziej — jednak byłem o tym całkowicie przekonany. Choć znałem już kilka straszliwych sekretów Fortu Wyvern, wierzyłem, że jeśli uda mi się odkryć znaczenie słów wypisanych na czapce, poznam jeszcze bardziej zdumiewające fakty. Pokładałem w tym małym przedmiocie ogromną wiarę. Kiedy nie mogłem jej włożyć, przynajmniej nosiłem ją przy sobie, bo przypominała mi o matce i tym samym

dawała poczucie bezpieczeństwa.

Niesione przez rzekę drzewa, gałęzie i śmiecie, które zatrzymały się na siatce, zalegały teraz w wyschniętym korycie. Zostały usunięte jedynie z tego miejsca, gdzie porywacz przeciął ogrodzenie. Dalej w górę rzeki dno znów było równe i gładkie.

I znów w mule widniały jedynie ślady porywacza. Zapewne od tego miejsca ponownie niósł chłopca.

Orson ruszył biegiem naprzód, a ja starałem się dotrzymać mu kroku. Wkrótce dotarliśmy do miejsca, w którym na dno rzeki schodził szeroki betonowy podjazd, część drogi przecinającej jej koryto. Orson bez wahania wbiegł na stromą rampę.

Kiedy dotarłem na szczyt nabrzeża, byłem znacznie bardziej zdyszany niż Orson, choć, przeliczając jego psie lata na ludzką miarę, jesteśmy właściwie rówieśnikami.

Ogromnie cieszę się z tego, że dożyłem czasu, kiedy mogę zauważyć bardzo powolny, lecz niezaprzeczalny spadek mojej młodzieńczej formy. Do diabła z tymi poetami, którzy chwają piękno i czystość śmierci w kwiecie wieku, w okresie największych możliwości. Pomimo *xeroderma pigmentosum* byłbym wdzięczny niebiosom, gdyby pozwoliły mi się rozkoszować starczą słabością osiemdziesięciolatka czy nawet słodkim zniedołężnieniem szczęśliwca, któremu na torcie urodzinowym stawia się sto świeczek. Żyjemy najpełniej i poznajemy najlepiej głębię naszego człowieczeństwa wtedy, gdy jesteśmy najślabsi, kiedy doświadczenia każą nam pokornie schylić głowy i leczą z arogancji, która niczym głuchota nie pozwala nam słuchać nauk świata.

Gdy księżyc schował się na chwilę za zasłoną chmur,

rozejrzałem się uważnie. Nie dostrzegłem jednak ani Jimmy'ego, ani porywacza.

Nie zobaczyłem także czarnego gargulca, skradającego się korytem rzeki czy też jej brzegiem. Czymkolwiek było to stworzenie ze skraju autostrady, najwyraźniej przestało się mną interesować.

Orson bezzwłocznie skierował się w stronę grupy wielkich magazynów, odległych od brzegu rzeki o jakieś pięćdziesiąt jardów. Ciemne budowle wydawały mi się dziwnie złowieszcze, choć przeznaczone były do całkiem przyziemnych celów, a ja miałem już okazję bywać w ich wnętrzu.

Budynki te nie były jedynymi składami na terenie bazy i wprawdzie wydawały się tak ogromne, że mogłyby pomieścić kilka sporych bloków mieszkalnych, stanowiły zaledwie drobny ułamek zabudowań fortu. W czasie gdy prowadzono tu najbardziej aktywną działalność, personel Fortu Wyvern liczył trzydzieści sześć tysięcy czterysta osób. Ponadto znalazło tu wtedy zatrudnienie prawie trzynaście tysięcy pracowników obsługi i ponad cztery tysiące cywilnych naukowców. Osiedle mieszkaniowe na terenie fortu liczyło trzy tysiące domków jednorodzinnych, które pozostawione na pastwę losu powoli popadają w ruinę.

Po chwili dotarliśmy do magazynów, a niezawodny nos Orsona prowadził nas pewnie poprzez labirynt przejść i ścieżek do największego z nich. Podobnie jak większość otaczających nas budynków, i ten zbudowano na planie prostokąta. Wysokie na trzydzieści stóp ściany z karbowanej stali osadzone były w betonowych fundamentach i zwieńczone półokrągłym

dachem. Z jednej strony magazynu znajdowały się olbrzymie, przesuwane drzwi, przez które z powodzeniem mogła przejechać nawet największa ciężarówka. W tej chwili wrota były zamknięte, jednak ujrzałem otwarte zwykłe drzwi.

Orson, który do tej pory bez wahania wybierał właściwą drogę, nagle stracił pewność siebie. Za otwartymi drzwiami zalegała głęboka ciemność, nierozpraszana nawet nikłym blaskiem gwiazd. Wydawało się, że pies nie ufa do końca swemu węchowi, jakby wielka przestrzeń ukryta pod dachem magazynu pochłaniała nie tylko światło, ale także wszelkie zapachy.

Nie odrywając pleców od ściany budynku, przesuwalem się ostrożnie ku wejściu. Zatrzymałem się dopiero przy futrynie, trzymając w uniesionej ręce pistolet, skierowany lufą ku niebu.

Przez chwilę nasłuchiwałem uważnie, wstrzymując oddech. Dokoła panowała absolutna cisza, przerywana jedynie ledwie słyszalnymi odgłosami trawienia; to mój żołądek pracował nad resztkami wieczornej przekąski, składającej się z kawałka żółtego sera, chleba cebulowego i papryczek *jalapeño*. Po pewnym czasie uznałem, że jeśli ktokolwiek czai się po drugiej stronie drzwi, to musi być już martwy, gdyż nie słyszałem nawet jego oddechu.

Choć Orson był równie niewyraźny jak plama atramentu na wilgotnym, czarnym jedwabiu, dostrzegłem, że zatrzymał się w samym wejściu do wielkiego magazynu. Po chwili wahania, które wydało mi się raczej przejawem niepewności niż strachu, odwrócił się i przeszedł kilka kroków w stronę sąsiedniego budynku.

On także zachowywał się bardzo cicho — nie słyszałem stukotu

pazurów o chodnik ani oddechu, jakby był tylko duchem psa. Wpatrywał się uparcie w ciemność, z której przed chwilą przyszliśmy. W jego oczach odbijały się gwiazdy i tylko dlatego wiedziałem, gdzie stoi. Biały szereg odsłoniętych zębów wyglądał niczym upiorny uśmiech jakiejś zjawy.

Byłem już całkiem pewien, że to nie strach zatrzymał Orsona w pół drogi. Wiernemu psu po prostu urwał się ślad.

Spojrzałem na zegarek. Każda mijająca sekunda oznaczała nie tylko upływ czasu, ale i coraz mniejsze szanse na odnalezienie żywego Jimmy'ego Winga. Najprawdopodobniej nie porwano go dla okupu, został więc uprowadzony, by zaspokoić czyjeś mroczne żądze, by stać się ofiarą męczarni, o których wołałem nawet nie myśleć.

Czekałem cierpliwie, starając się odsunąć od siebie przerażające obrazy, podsuwane nieustannie przez wybujałą wyobraźnię. Kiedy jednak Orson odwrócił się ponownie w stronę otwartych drzwi magazynu, jakby chciał pokazać mi, że nie ma pojęcia, co robić dalej, postanowiłem przejąć inicjatywę. Szczęście sprzyja odważnym. Oczywiście są to też ulubieńcy Śmierci.

Lewą ręką sięgnąłem po latarkę zatknętą za pasek. Przykucnąwszy, podkradłem się do wejścia, szybko przekroczyłem próg i natychmiast uskokczyłem na bok, pod ścianę. Zaświeciłem latarkę i przetoczyłem ją po podłodze, stosując prostą i może nieco głupawą sztuczkę, która miała zmylić ukrytego w ciemności napastnika.

Nikt jednak nie rzucił się na mnie ani nie zaczął strzelać, a kiedy latarka zatrzymała się wreszcie kilka stóp dalej,

w magazynie panował absolutny bezruch i cisza niczym na powierzchni jakiejś martwej planety. Byłem niemal zaskoczony, kiedy okazało się, że mogę tu swobodnie oddychać.

Podniosłem latarkę. Kopuła magazynu przykrywała wielką salę takiej długości, że promień latarki nie oświetlał jej drugiego końca. Ba, po chwili okazało się, że nie oświetla nawet bocznych ścian, mimo że stałem pośrodku węższego boku.

Kiedy omiatałem snopem światła wielką przestrzeń magazynu, ciemność wydawała się jeszcze głębsza i czarniejsza niż przedtem. Przynajmniej nie czaił się w niej żaden krwiożerczy potwór.

Orson przyglądał się temu wszystkiemu raczej z powątpiewaniem niż z podejrzliwością. Stał na chwilę w blasku latarki, by po krótkiej chwili wahania parsknąć cicho, jakby w ten sposób chciał dać mi do zrozumienia, że nie ma tu nic ciekawego. Potem ruszył truchtem w stronę wyjścia.

Martwą ciszę przerwał nagle lekki brzęk dochodzący gdzieś z innej części magazynu. Akustyka przeniosła drzenie wzdłuż ścian pomieszczenia. Po chwili twardy, metaliczny dźwięk zamienił się w delikatny, ledwie słyszalny szept, przypominający bzykanie owadów w letnie popołudnie.

Natychmiast zgasiłem latarkę.

Czułem, że Orson powrócił do mnie i otarł się bokiem o moją nogę.

Chciałem gdzieś iść, nie wiedziałem tylko dokąd.

Jimmy musiał być gdzieś w pobliżu — i to wciąż żywy, bo porywacz nie dotarł jeszcze do mrocznego ołtarza, gdzie mógłby złożyć ofiarę i odprawić swój rytuał. Jimmy to tylko mały,

przerażony chłopiec, który podobnie jak ja nie miał już ojca. Którego matka umarłaby ze zgrzyoty, gdybym ją zawiódł.

Cierpliwość to jedna z wielkich cnót, jakich próbuje nas nauczyć Bóg, nie objawiając się na tym świecie. Cierpliwość.

Staliśmy z Orsonem w bezruchu, aż ostatnie echa metalicznego uderzenia ucichły gdzieś w mroku. Kiedy cisza, która po chwili zapadła, przeciągała się tak długo, że zacząłem się już posądzać o omamy słuchowe, usłyszeliśmy głos — niski i gniewny, przytłumiony podobnie jak poprzedni dźwięk. Jeden głos. Nie rozmowę. Monolog. Ktoś mówił do siebie — albo do małego, przestraszonego więźnia, który nie miał odwagi, by mu odpowiedzieć. Nie mogłem zrozumieć poszczególnych słów, ale słyszałem jednak, że głos jest głęboki i chrapliwy niczym głos trolla z legendy.

Tajemniczy mówca nie zbliżał się do nas ani nie oddalał. Z pewnością nie przebywał w tym samym pomieszczeniu co Orson i ja. Zanim mogłem ustalić, skąd dobiega gniewny pomruk, troll zamilkł.

Fort Wyvern był zamknięty zaledwie od osiemnastu miesięcy, nie zdążyłem więc jeszcze poznać go tak dokładnie jak terenu wokół Moonlight Bay. Jak dotąd ograniczałem poszukiwania do najbardziej tajemniczych i intrygujących miejsc, gdzie mogłem natknąć się na ciekawe przedmioty i widoki. O tym magazynie wiedziałem dokładnie tyle samo co o pozostałych; że jest wysoki na dwa piętra, ma półokrągły dach, a w dwóch przeciwległych rogach mieszczą się małe pokoje przeznaczone na biura, nad którymi rozciąga się otwarta przestrzeń. Byłem pewien, że tajemniczy głos nie dochodził ani z tych pomieszczeń, ani

z głównej sali.

Obróciłem się w miejscu, zirytowany własną bezradnością. Ciemność wokół była równie nieprzenikniona jak całun, który opadnie na moje oczy, kiedy skumulowane uszkodzenia komórek pozbawią mnie w końcu wzroku.

Dźwięk głośniejszy od poprzedniego, rezonujące uderzenie metalu o metal, rozniósł się drzeniem po ścianach budynku, wywołując echa, które powtarzały się w oddali niczym odgłos dalekiej kanonady. Tym razem odczułem wibracje w betonowej podłodze, co wskazywałoby na to, że odgłosy te dobiegają spod głównego poziomu magazynu.

Spora część budynków na terenie Fortu Wyvern kryje rozległe podziemia, o których istnieniu większość żołnierzy pracujących na terenie bazy nie miała nawet pojęcia. Drzwi, ukryte niegdyś sprytnie przed oczami niepowołanych, prowadziły na poziomy pod zwykłymi piwnicami, do pomieszczeń wydrążonych głęboko pod ziemią. System podziemnych korytarzy, tuneli i wind łączy ze sobą większość tych ukrytych struktur, rozciągających się niemal na całej powierzchni fortu. Prawdopodobnie katakumby te pozostałyby niedostępne do dzisiaj, gdyby nie fakt, że opuszczający bazę żołnierze zabrali ze sobą niemal wszystko, co dało się zdemontować i wynieść.

Prawdę mówiąc, nawet to wiele by mi nie pomogło i nie dokonałbym większości spośród moich najlepszych odkryć, gdyby nie pomoc inteligentnego czworonożnego przyjaciela. Jego zdolność do wykrywania najśłabszych nawet przeciągów i zapachów dobiegających z ukrytych pomieszczeń jest równie imponująca jak wrodzony talent do surfowania. Z drugiej jednak

strony wcale nie zachwyca mnie fakt, że świetnie wyciąga drugie piwo od oddanych przyjaciół (na przykład ode mnie), którzy doskonale wiedzą, że już jedno piwo to dla niego zbyt wiele.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że te rozległe podziemia kryją jeszcze wiele doskonale zamaskowanych instalacji i pomieszczeń czekających na odkrywcę. Wprawdzie budziły one moją wielką ciekawość, czasami nie miałem ochoty się tam zapuszczać. Kiedy spędzam zbyt wiele czasu w krainie mroku pod Fortem Wyvern, czuję się przytłoczony ponurą atmosferą. Widziałem dość, by mieć świadomość, że ten tajemniczy świat był miejscem szeroko zakrojonych prac o wątpliwej wartości etycznej, że prowadzono tu liczne i różnorodne badania finansowane z tajnego budżetu. Na podstawie kilku wskazówek i przedmiotów pozostawionych przez naukowców mogłem sobie wyrobić pojęcie o naturze tych badań, jednak wydawały mi się one tak dziwne i przerażające, że wołałem raczej całkiem o nich zapomnieć.

Jednak nie tylko ta wiedza odstręczała mnie od podziemnego świata Wyvern. Bardziej dokuczliwa jest świadomość — a właściwie jedynie przecucie, niemniej jednak o niezwyklej mocy — że część wydarzeń, które tu się rozgrywały, była wynikiem nie tylko czystej głupoty ludzi pozbawionych wyobraźni czy też oddania do dyspozycji nauki szalonemu politykowi, lecz aktem złej woli. Kiedy odwiedzam Wyvern kilka nocy z rzędu, mam nieodparte wrażenie, że w tych ukrytych przed światem przestrzeniach czai się zło, uwolnione nieopatrznie przez nieodpowiedzialnych ludzi, zło, które wciąż może stanowić śmiertelne zagrożenie. Jednak to nie strach każe

mi wracać na powierzchnię. Pcha mnie tam raczej poczucie moralnej duchoty, etycznego brudu, jakbym bał się, że pozostając zbyt długo w tym miejscu, przesiąknę nieodwracalnie atmosferą duchowego upadku.

Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, nie przypuszczałem, że zwyczajny na pierwszy rzut oka magazyn stanowi część diabelskiej podziemnej maszyny. Jednak w Forcie Wyvern nic nie jest takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka.

Włączyłem latarkę, przekonany, że porywacz — jeśli to właśnie jego śledziłem — opuścił już ten poziom budynku.

Nieco dziwny wydał mi się fakt, że psychopata przyprowadził swoją małą ofiarę tutaj, a nie w jakieś bardziej kameralne, prywatne miejsce, gdzie w całkowitym spokoju mógłby zaspokoić swoje chore potrzeby. Wyvern roztaczał jednak wokół siebie tajemniczą aurę, pokrewną tej, jaką da się wyczuć w Stonehenge, w wielkiej piramidzie w Gizie czy w ruinach Chichén Itzá, miasta Majów. Złowieszczy magnetyzm tego miejsca z pewnością przyciągnąłby szaleńca, który, jak to się często zdarza, czerpie największą przyjemność nie z molestowania niewinnych, lecz z brutalnego torturowania zwieńczonego mordem. Taki degenerat czułby się tutaj równie dobrze jak w wyklętym kościele czy w starym opuszczonym domu na skraju miasta, gdzie niegdyś jakiś inny obłąkaniec porąbał siekierą własną rodzinę.

Oczywiście istniała jeszcze możliwość, że porywacz wcale nie był szaleńcem ani zbrojnym, lecz człowiekiem pracującym dla dziwnego, ale całkiem legalnego projektu, który prowadzony jest w całkowitej tajemnicy gdzieś w niedostępnych głębinach Fortu

Wyvern. Choć baza została oficjalnie zamknięta, wciąż mogła wydawać na świat jakieś monstra.

Trzymając się blisko siebie, przeszliśmy z Orsonem do biur usytuowanych po drugiej stronie budynku.

Pierwsze z nich wyglądało dokładnie tak, jak przypuszczałem. Pusty pokój. Cztery gołe ściany. Dziura w suficie, w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się żyrandol.

Na podłodze drugiego biura leżał nikczemny Lord Vader; plastikowa, czarno-srebrna figurka, wysoka na jakieś trzy cale.

Przypomniałem sobie całą kolekcję postaci z *Gwiezdnych wojen*, które dostrzegłem na półce w sypialni Jimmy'ego.

Orson powąchał Vadera.

— Przejdź na ciemną stronę mocy, Luke — mruknąłem do siebie.

W przeciwległej ścianie widniał wielki, prostokątny otwór, pozostałość po drzwiach windy, które zabrały stąd wojskowe ekipy remontowe, porzucając bazę. Na wysokości pasa przybito deskę o wymiarach dwa na sześć cali, prowizoryczne zabezpieczenie chroniące przed upadkiem w ciemny dół szybu. Kilka wymyślnych stalowych zaczepów, wciąż wystających ze ściany, świadczyło o tym, że kiedy jeszcze Fort Wyvern służył obronie kraju, winda była ukryta za jakąś przesuwaną lub odchylaną szafką.

Kabina windy i sam mechanizm także zniknęły. Promień latarki odsłonił przede mną szyb głęboki na dwa piętra. Na jednej ze ścian widniały metalowe szczeble drabiny prowadzącej w dół ciemnego tunelu.

Porywacz był zapewne zbyt zajęty czym innym, by dostrzec

blask latarki w szybie. Beton i tak pochłaniał żółte światło, tak że przypominało jedynie nieziemską poświatę, rzucaną przez jakiegoś ducha ściągniętego na ziemię podczas seansu spirytystycznego.

Mimo to wyłączyłem latarkę i ponownie zatknąłem ją za pas. Z ociąganiem schowałem też glocka do kabury pod kurtką.

Ukląknę na jedno kolano i sięgnąłem ostrożnie w głąb otaczającej mnie czerni, która mogła równie dobrze obejmować maleńką klitkę szybu, jak i niezmierną przestrzeń, czarną dziurę łączącą nasz dziwaczny świat z innym, jeszcze dziwniejszym. Przez chwilę serce waliło mi jak oszalałe, jednak wreszcie moja dłoń odnalazła kochanego Orsona. Głaszcząc jego futro, uspokoiłem się zupełnie.

Psiak położył głowę na moim podniesionym kolanie, zachęcając mnie w ten sposób, bym nadal go głaskał i drapał za uszami, z których jedno było postawione, drugie zaś leżało płasko przy skórze.

Sporo już razem przeżyliśmy. Straciliśmy zbyt wielu ukochanych ludzi. Obaj równie mocno boimy się samotności. Mamy wspólnych przyjaciół — Bobby'ego Hollowaya, Saszę Goodall i kilku innych — i cieszymy się z ich towarzystwa, ale tylko nas dwóch łączy coś więcej niż najgłębsza nawet przyjaźń, wyjątkowa więź, bez której żaden z nas nie byłby już w pełni sobą.

— Bracie — wyszeptałem.

Polizał moją dłoń.

— Musimy iść — powiedziałem cicho i nie musiałem już dodawać, że musimy iść na dół.

Nie musiałem też dodawać, że pomimo swych licznych i niezwykłych zdolności, Orson nie potrafił chodzić po pionowej drabinie, łapa za łapą. Umie doskonale tropić, można na nim bezgranicznie polegać, ma wielkie serce, zdolne pomieścić miłość do całego świata, ogromną odwagę, zimny nos i ogon, który porusza się z taką częstotliwością, że mógłby wyprodukować więcej energii niż mały reaktor jądrowy — lecz jak każdy z nas ma także swoje ograniczenia.

Poruszając się w całkowitej ciemności, podszedłem do dziury w ścianie. Odszukawszy na oślep jeden ze stalowych zaczepów podtrzymujących niegdyś przesuwaną szafkę, podciągnąłem się tak, by przykucnąć na grubej desce, zabezpieczającej szyb. Sięgnąłem w głąb szybu, odszukałem metalowe szczeble i zręcznie przerzuciłem ciało na drabinę.

Muszę przyznać, że poruszam się nieco głośniejszym niż przeciętny kot, ale tylko mysz byłaby w stanie docenić tę różnicę. Nie chcę przez to powiedzieć, że posiadam jakieś paranormalne zdolności i że potrafię bez najmniejszego szelestu biegać po grubej warstwie suchych liści. Moja sprawność to w głównej mierze wynik trzech rzeczy; po pierwsze, cierpliwości, której nauczyła mnie XP; po drugie, umiejętności poruszania się w mroku, której nabyłem podczas niezliczonych nocnych wędrówek; po trzecie, choć nie najmniej ważne, wieloletniej obserwacji zwierząt aktywnych w nocy, które zamieszkują wraz ze mną świat ciemności. Wszystkie potrafią poruszać się bezszelestnie, bo noc to królestwo drapieżników, w którym każdy myśliwy może stać się ofiarą.

Powoli zanurzałem się w ciemności, żałując w duchu, że

potrzebuję do schodzenia obu rąk. Czułbym się o wiele pewniej, gdybym mógł czepiać się szczebli jedną ręką i obiema nogami niczym małpa, ponieważ wówczas w drugiej dłoni trzymałbym gotowy do strzału pistolet. Jednak gdybym był małpą, miałbym pewnie dość rozumu, żeby nie pakować się w takie tarapaty.

Nim dotarłem do pierwszego poziomu, zacząłem zastanawiać się, jak porywacz znosił na dół chłopca. Przerzucił go przez ramię niczym strażak? Musiałby najpierw dobrze związać Jimmy'ego, by ten nie wykonywał żadnych niebezpiecznych ruchów, które mogłyby pozbawić dręczyciela równowagi. Mimo że chłopiec był mały, stanowił spory ciężar, więc przy każdej zmianie pozycji porywacz musiał brać pod uwagę dodatkowy balast i uważać, by ten nie zsunął mu się z ramienia ani nie ściągnął w dół.

Doszedłem do wniosku, że ścigany przeze mnie człowiek jest równie silny i sprawny jak szalony. Musiałem tym samym porzucić nadzieję, że mam do czynienia z chuderławym bibliotekarzem, który popadł w czarną rozpacz i postanowił popełnić jakieś szaleństwo po tym, jak w jego bibliotece wymieniono stare katalogi z papierowych fiszek na nowy, skomputeryzowany system.

Choć dokoła wciąż panowała nieprzenikniona ciemność, w pewnej chwili zrozumiałem, że jestem na wysokości otworu pozostałego po drzwiach windy o jedno piętro poniżej głównego poziomu hali. Nie potrafię wyjaśnić, jak do tego doszedłem, tak jak nie potrafię opisać fabuły któregośkolwiek z filmów Jackie Chana — choć uwielbiam filmy Jackie Chana. Być może był to przeciąg, zapach czy rezonans tak słaby, że wyczuwałem go tylko

podświadomie.

Nie miałem jednak pewności, że to właśnie na ten poziom porywacz zabrał chłopca. Równie dobrze mógł zejść jeszcze niżej.

Nasłuchując uważnie, licząc na to, że z ciemności znów dobiegnie chrapliwy głos trolla, który wskaże mi właściwy kierunek, wisiałem na drabinie niczym pająk na idealnie symetrycznej sieci. Nie miałem najmniejszego zamiaru obżerać się tłustymi muchami czy ćmami, ale im dłużej pozostawałem w bezruchu, zawieszony w absolutnej czerni, tym bardziej czułem, że nie jestem jednak pająkiem, że nie jestem jedzącym, ale jedzeniem, i że z dołu zbliża się do mnie tarantula wielka jak kabina windy. Niemal już słyszałem zgrzytanie jej szczękoczułek.

Mój tato uczył poezji w college'u i przez całe moje dzieciństwo czytał mi dzieła największych poetów, jakich zna nasza literatura, od Homera do Dr. Seussa, od Donalda Justice'a do Ogdena Nasha, co zapewne czyni go częściowo odpowiedzialnym za moją wybujałą wyobraźnię. Resztę winy należałoby chyba rzucić na chleb cebulowy, ser i paprykę *jalapeño*, o których wspominałem już wcześniej.

A może wszystkiemu była winna niesamowita atmosfera Fortu Wyvern, gdyż tutaj nawet najrozsądniejszy człowiek miał prawo dręczyć się wyobrażeniami wielkiego, wygłodniałego pająka. W tym miejscu to, co niemożliwe, zostało kiedyś uczynione możliwym. Gdyby przerażający pająk, którego widziałem teraz wyraźnie oczami wyobraźni, wywołany był jedynie ostrą przekąską i poezją czytaną mi niegdyś przez ojca, to moja wyobraźnia z pewnością spłodziłaby coś znacznie gorszego, zmutowanego potwora o nieograniczonych możliwościach

i przerażającym uśmiechu.

Po kilku kolejnych sekundach spędzonych na drabinie, w absolutnej ciszy i ciemności, obraz uśmiechniętego upiornie potwora stał się bardziej przerażający niż wizerunek jakiegokolwiek pająka. Dopiero kolejny, głośny trzask, dobiegający z wnętrza budynku, przywołał mnie do rzeczywistości. Był to ten sam dźwięk, który przywiódł mnie w to miejsce; huk zatrzaskiwanych stalowych drzwi.

Hałas dochodził z dołu, z któregoś z dwóch niższych poziomów.

Starając się nie myśleć o wielkiej gębie pająka czy potwora-mutanta, zszedłem niżej, do następnego otworu po drzwiach windy.

Zanim się tam zatrzymałem, doszedł mnie mrukliwy głos, odległy i jeszcze mniej zrozumiały niż poprzedni. Bez wątplenia jednak dobiegał z tego poziomu, a nie z najniższego, położonego na końcu szybu.

Uniosłem głowę, próbując przebić wzrokiem ciemności i dojrzeć Orsona, który zapewne spoglądał teraz w dół i równie bezowocnie wpatrywał się w mrok. On jednak mógł przynajmniej wyczuć, czy schodzę bezpiecznie. Tymczasem moja wędrówka w dół dobiegła już końca. Pociłem się obficie, częściowo z wysiłku, częściowo z emocji wywołanych nadciągającą konfrontacją.

Trzymałem się drabiny jedną ręką, drugą szukałem na oślep otworu po drzwiach windy. Znalazłem go niemal natychmiast, sięgnąłem za róg i odkryłem tam metalowy uchwyt, który ułatwiał przejście z drabiny na próg drzwi. Tutaj otworu nie

zabezpieczała żadna deska, toteż bez trudu udało mi się przeskoczyć z szybu na podziemny poziom.

Z absolutnej ciemności w destylat, esencję ciemności.

Wyciągając pistolet z kabury, odsunąłem się powoli od wejścia do windy i oparłem plecami o ścianę. Pomimo grubej warstwy ubrania czułem chłód ciągnący od betonu.

Świadomość, że udało mi się niepostrzeżenie dotrzeć aż tak daleko, pozwoliła mi na chwilę pławić się w samouwielbieniu, które jednak szybko ustąpiło miejsca trzeźwemu rozsądkowi. Bardziej krytyczna część mojego umysłu ściągnęła mnie na ziemię i przyprawiła o zimny dreszcz, żądając odpowiedzi na pytanie, co ja tu właściwie robię.

Musiałem być ogromnie zdeterminowany, szalony, by pchać się w jeszcze głębszą ciemność, w samo serce czerni, gdzie mrok był tak gęsty jak materia tuż przed Wielkim Wybuchem. Wydawało mi się, że kiedy dotrę tam, gdzie nie ma już światła ani nadziei, nieprawdopodobny napór ciemności wycisnie mą przerażoną duszę ze śmiertelnego ciała niczym sok z winogrona.

O kurczę, potrzebowałem piwa.

Nie wziąłem go ze sobą. Na pewno nie mogłem go tutaj dostać.

Spróbowałem zamiast tego głęboko oddychać. Przez usta, by nie robić hałasu. Na wypadek gdyby ten przeklęty troll uzbrojony w piłę łańcuchową zbliżał się właśnie, trzymając zakrzywiony szpon na włączniku.

Jestem swoim największym wrogiem. Ta cecha chyba w największym stopniu dowodzi mego człowieczeństwa.

Niestety, powietrze nie smakowało nawet w drobnej części tak dobrze jak corona czy heineken. Choć miało lekko gorzkawy

posmak.

Następnym razem, kiedy wybiorę się w pościg za jakimś złoczyńcą, muszę zabrać ze sobą przenośną lodówkę i sześciopak.

Przez chwilę syciłem się myślami o wielkich, błękitnych falach, o butelkach lodowatego piwa, pikantnych tacos i upojnych nocach z Sashą, o wszystkich przyjemnościach, które czekały mnie na powierzchni, z dala od Fortu Wyvern. Staralem się nie dopuszczać do siebie żadnych innych obrazów, aż poczucie zagrożenia i klaustrofobiczny strach zaczęły powoli ustępować.

Nie uspokoilem się jednak całkiem, dopóki nie odtworzyłem w pamięci twarzy Sashy. Jej szarych oczu, czystych jak źródłana woda, gęstych mahoniowych włosów, prześlicznych ust rozchylonych w uśmiechu. Jej nieodpartego i niepowtarzalnego uroku.

Uznałem, że ponieważ byłem do tej pory bardzo ostrożny, porywacz na pewno nic nie wie o mojej obecności w forcie i że w związku z tym nie ma powodu, by nie używać lampy. Z pewnością chciał widzieć przerażenie swojej ofiary. Całkowita ciemność dowodziła więc raczej tego, że jest gdzieś daleko, zamknięty w innym pokoju, a nie że czai się w pobliżu, gotowy do ataku.

Cisza oznaczała z kolei, że dziecku nie stała się jeszcze żadna większa krzywda. Krzyki torturowanej ofiary musiały sprawiać szaleńcowi równie wielką przyjemność jak jej widok; słyszałyby w nich najpiękniejszą muzykę.

Skoro ja nie widziałem światła jego lampy, to i on nie mógł zobaczyć mojej. Wyciągnąłem latarkę z za paska i włączyłem ją.

Stałem w wąskiej alkwie, obok wejścia do windy. Po mojej prawej stronie ciągnął się korytarz szeroki na jakieś osiem stóp, o podłodze wyłożonej szarymi płytkami i betonowych ścianach pomalowanych lśniąca, bładoniebieską farbą. Prowadził tylko w jednym kierunku; wzdłuż magazynu, trasą, którą nie tak dawno przeszedłem dwa piętra wyżej.

Powietrze w korytarzu było chłodne i nieruchome niczym w kostnicy. Na podłodze nie odkładał się kurz, nie dostrzegłem więc żadnych śladów.

Żarówki i plafoniery wciąż tkwiły na swoich miejscach na suficie. Nie stanowiły jednak dla mnie żadnego zagrożenia, gdyż podobnie jak w innych budynkach na terenie bazy i tutaj odcięto dopływ prądu.

Podczas jednej z poprzednich wypraw odkryłem, że rządowe grupy remontowe usunęły sprzęt tylko z części budynków w obrębie fortu. Być może jeszcze w trakcie tej operacji księgowi z Departamentu Obrony doszli do wniosku, że koszty demontażu przewyższają korzyści, jakie można by osiągnąć ze sprzedaży ocalałych urządzeń.

Po lewej stronie ciągnęła się lita betonowa ściana. Po prawej zaś widniał szereg drzwi z nierdzewnej stali, niepomalowanych ani nieoznaczonych żadnymi napisami.

Choć w tej chwili nie mogłem skonsultować tego z moim inteligentnym psim bratem, domyśliłem się sam, że właśnie trzask tych ciężkich drzwi ściągnął mnie w to miejsce. Korytarz był tak długi, że promień latarki nie docierał do jego drugiego końca. Nie mogłem więc ocenić, ile pomieszczeń kryje się z prawej strony, czy zaledwie sześć, czy też ponad sześćdziesiąt,

podejrzewałem jednak, że porywacz i jego ofiara są w jednym z nich.

Latarka zaczęła parzyć mnie w dłoń, wiedziałem jednak, że nie jest to rzeczywiste ciepło. Światło latarki było słabe i skierowane z dala ode mnie; poza tym trzymałem palce w sporej odległości od jasnej soczewki. Niemniej przyzwyczałem się już tak bardzo do unikania światła, że trzymając przez dłuższy czas zwykłą lampkę, zacząłem odczuwać to samo, co czuć musiał nieszczęsny Ikar, gdy leciał zbyt blisko słońca i dotarł do niego zapach topiącego się wosku.

Podszedłem do pierwszych drzwi. Zamiast klamki czy gałki zaopatrzone je w dużą dźwignię, a w miejscu dziurki od klucza widniała wąska szczelina na kartę magnetyczną. Przypuszczałem, że elektroniczne zamki zostały unieszkodliwione przez ekipy remontowe albo rozłączyły się automatycznie po odcięciu prądu.

Przyłożyłem ucho do drzwi. Z drugiej strony nie dochodził żaden dźwięk.

Delikatnie przekręciłem dźwignię. Spodziewałem się, że w najlepszym razie usłyszę jedynie ciche, zdradliwe skrzypnięcie, w najgorszym zaś chór *Alleluja* z *Mesjasza* Haendla. Tymczasem dźwignia pracowała tak cicho, jakby została zainstalowana i naoliwiona zaledwie kilka dni temu.

Otworzyłem drzwi ramieniem, trzymając w jednej ręce latarkę, w drugiej zaś pistolet.

Pokój był duży, miał jakieś czterdzieści stóp szerokości i osiemdziesiąt długości. Właściwie mogłem tylko domyślić się, że właśnie takie ma rozmiary, gdyż moja mała latarka z trudem

oświetlała boczne ściany, nie mówiąc już o przeciwległej.

Pracownicy bazy nie zostawili tu żadnych maszyn ani urządzeń. Pewnie przetransportowali wszystko do osnutych mgłą gór, by uzupełnić sprzęt w laboratorium doktora Frankensteina.

Szarą gładką podłogę pokrywały setki maleńkich szkieletów.

Przez chwilę, zwiedziony być może widokiem drobnych żeber, myślałem, że są to szczątki ptaków, co oczywiście nie miało większego sensu, jako że nie odkryto jeszcze takiego gatunku ptaków, który upodobałby sobie loty pod ziemią. Kiedy przesuwałem promieniem latarki po białych szkieletach, przyglądając się kształtom czaszek i klatek piersiowych, zrozumiałem, że muszą to być kości szczurów. Setek szczurów.

Większość z nich leżała osobno, jednak tu i ówdzie zdarzały się sterty kości, jakby jakaś grupa oszalałych gryzoni udusiła się, walcząc o wymaginowany kawałek sera.

Najdziwniejszy był jednak układ czaszek i kości, które zauważyłem w kilku miejscach. Szczątki niektórych szczurów wyglądały tak, jakby zostały celowo ułożone, jakby umierające zwierzęta nie padały bezładnie na podłogę, lecz resztkami sił tworzyły ze swych ciał wzór przypominający do złudzenia skomplikowane linie *veve* tworzone przez haitańskich kapłanów voodoo.

Wiem sporo o *veve*, ponieważ mój przyjaciel Bobby Halloway chodził kiedyś z przepiękną surferką Holly Keene, która pasjonowała się voodoo. Niestety, związek ten nie trwał długo.

Veve to wzór reprezentujący moc zawartą w gwiazdach. Kapłan voodoo przygotowuje pięć wielkich miedzianych mis,

a każda z nich zawiera inną substancję; białą mąkę, masę kukurydzianą, ubitą na proszek cegłę, pokruszony węgiel drzewny i sproszkowany korzeń żeń-szenia. Potem z tych substancji tworzy na podłodze święte wzory, wysypując je z garści. W ten sposób musi wyrysować z pamięci setki skomplikowanych wzorów *veve*. Nawet podczas najprostszego obrzędu trzeba sporządzić kilkadziesiąt *veve*, by przyciągnąć w ten sposób uwagę bogów do *Oumphor*, świątyni, w której przeprowadza się takie właśnie rytuały.

Holly Keene praktykowała białą magię, była raczej samozwańcym *Hougnon* niż *Bocor* czarnej magii. Twierdziła, że trzeba być największą świnią, by wskrzeszać zmarłych, czyniąc z nich zombie, czy rzucać zaklęcia, które zamieniają serca wrogów w zgniłe głowy kurczaków — choć nieraz dała nam do zrozumienia, że i ona potrafiłaby robić takie rzeczy, gdyby tylko złamała przysięgę *Hougnon* i przeszła na stronę *Bocor*. W ogóle była bardzo miłą osobką, nawet jeśli nieco dziwaczną, a wprawiała mnie w zakłopotanie jedynie wtedy, gdy z ogromną pasją próbowała mnie przekonać, że najlepszy zespół rockandrollowy wszech czasów to Partridge Family.

Kości szczurów musiały leżeć tutaj od dłuższego czasu, bo nie pozostał na nich nawet ślad mięsa. Przynajmniej nie widziałem go z tej odległości, a nie zamierzałem przyglądać się temu bliżej. Niektóre były białe, inne żółte, czerwone, a nawet czarne.

Co dziwne, rozkładowi uległa także skóra gryzoni, a jedyną jej pozostałością było kilka kłębków sierści. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy ciała zwierząt nie zostały usunięte gdzie indziej i czy wygotowane kości nie zostały tutaj ułożone

przez kogoś, kto miał znacznie mniej przyjemne usposobienie niż Holly Keene, *Hougnon* w spódnicy.

Potem zauważyłem, że podłoga pod wieloma szkieletami jest poplamiona. Resztki szczurzych ciał nie wyglądały zbyt przyjemnie, musiały być już jednak całkiem wyschnięte, ponieważ inaczej w pokoju panowałby okropny smród.

W laboratoriach ukrytych głęboko pod powierzchnią Fortu Wyvern prowadzono kiedyś eksperymenty genetyczne — być może wciąż je prowadzono — których rezultaty okazały się katastrofalne. Szczury to zwierzęta często wykorzystywane w badaniach. Nie miałem żadnych dowodów, ale mnóstwo podstaw do przypuszczeń, że te gryzonie były tutaj przedmiotem jednego z owych eksperymentów, choć nie potrafiłem sobie wyobrazić, co doprowadziło je do takiego właśnie końca.

Tajemnica szczurów *veve* była tylko jedną z niezliczonych zagadek, jakie krył w sobie Fort Wyvern, i nie miała zapewne nic wspólnego ze sprawą porwania Jimmy'ego Winga. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Wolałem nie myśleć o tym, co by się stało, gdybym za kolejnymi drzwiami odkrył szkielety pięcioletnich chłopców, ułożone w rytualnych pozach.

Cofnąłem się o krok, wychodząc ze szczurzego odpowiednika legendarnych cmentarzysk słońi, i zamknąłem drzwi tak delikatnie, że tylko kot nafaszerowany amfetaminą mógłby usłyszeć ich trzask.

Szybko omiotłem korytarz promieniem latarki i przekonałem się, że nadal jest pusty.

Podszedłem do następnych drzwi. Nierdzewna stal. Brak napisów. Dźwignia zamiast klamki. Identyczne z poprzednimi.

Za drzwiami znajdował się pokój o takich samych rozmiarach jak poprzedni, tyle że ten nie krył w sobie szcurzych szkieletów. Podłoga i ściany lśniły tak, jakby przed chwilą ktoś je wypolerował.

Odetchnąłem z ulgą, ujrawszy pustą podłogę.

Kiedy wychodziłem z drugiego pokoju, zamykając powoli drzwi, znów odezwał się głos trolla, tym razem bliższy, wciąż jednak zbyt stłumiony, bym mógł go zrozumieć. Korytarz przede mną i za mną nadal pozostawał pusty.

Przez moment głos przybrał na sile i zbliżył się, jakby jego właściciel podchodził do drzwi i chciał wyjść na korytarz.

Szybko zgasilem latarkę.

Wokół mnie znów zamknęła się klaustrofobiczna ciemność, delikatna jak płaszcz śmierci i równie przerażająca.

Głos przemawiał jeszcze przez kilka sekund, potem jednak umilkł raptownie, najwyraźniej w pół zdania.

Nie słyszałem, by ktoś otwierał drzwi, żaden dźwięk nie świadczył o tym, by porywacz wyszedł na korytarz. Poza tym zdradziłoby go światło. Wciąż byłem tu jedyną żywą istotą — lecz instynkt ostrzegał mnie, że to długo nie potrwa.

Stałem przy ścianie, odwrócony plecami do windy, wpatrując się w ciemność, która kryła niezbadane jeszcze tajemnice.

Wyłączona latarka nie parzyła mnie już w dłoń, ale pistolet wydawał się gorący.

Im dłużej trwała cisza, tym bardziej wydawała się niesamowita i bezdenna. Wkrótce stała się ogromną otchłanią, w której dryfowałem głową w dół niczym nurek obciążony jakimś wielkim balastem.

Nasłuchiwałem tak mocno, iż wydawało mi się, że czuję, jak wibrują delikatne włoski w małżowinach moich uszu. Mimo to jedyny słyszalny dźwięk pochodził z mego wnętrza; głębokie, mocne uderzenia serca, szybsze niż zazwyczaj, ale nie oszalałe.

W miarę upływu kolejnych sekund absolutnej ciszy coraz bardziej prawdopodobne wydawało się, że wbrew temu, co podpowiadał instynkt, głos trolla raczej się oddalał, niż przybliżał. Jeśli porywacz przez cały ten czas poruszał się i oddalał ode mnie, unosząc ze sobą chłopca, musiałem działać, by nie zgubić bezpowrotnie jego śladu.

Miałem właśnie ponownie włączyć latarkę, kiedy nagle przebiegł mnie zimny niesamowity dreszcz. Gdybym był w tej chwili na cmentarzu, ujrzałbym zapewne ducha przemykającego między wilgotnymi grobami. Gdybym był w Himalajach, zobaczyłbym yeti. Gdybym stał przed drzwiami garażu, zobaczyłbym w wilgotnej plamie twarz Jezusa lub Marii Panny, zwiastującej Apokalipsę. Jednak teraz stałem w podziemiach Fortu Wyvern i nie mogłem zobaczyć niczego, nawet własnej ręki. Czułem tylko czyjąś obecność, złowieszczą aureę, niczym ciśnienie, unoszącą się wokół, coś, co osoba obdarzona paranormalnymi zdolnościami nazywa „istnieniem”, duchową moc mrozącą krew w żyłach.

Stałem z nią twarzą w twarz. Mój nos znajdował się zaledwie o kilka cali od jej nosa, o ile taki miała. Nie czułem jej oddechu, z czego się raczej cieszyłem, gdyż musiał śmierdzieć zgniłym mięsem, płonąłą siarką i świńskim łajnem.

Najwyraźniej moja wybuchowa wyobraźnia zbliżała się do punktu krytycznego.

Zacząłem przekonywać się w duchu, że wszystkie te wyobrażenia są równie realne jak gigantyczny pająk w szybie windy.

Bobby Halloway mówi, że moja wyobraźnia to cyrk o trzystu kręgach siedzeń. W tej chwili znajdowałem się w kręgu dwieście dziewięćdziesiątym dziewiątym, obok tańczących słoni, kłownów na szczudłach i tygrysów skaczących przez płonące obręcze. Nadszedł już czas, by się wycofać, wyjść z głównego namiotu, kupić popcorn i colę, ochłonać trochę i uspokoić się.

Ze wstydem uświadomiłem sobie, że nie mam dość odwagi, by włączyć latarkę. Paraliżował mnie strach na myśl o tym, co mogło stać przede mną.

Choć część mego umysłu chciała wierzyć, że stałem się właśnie ofiarą reakcji łańcuchowej wyobraźni, i choć prawdopodobnie sam tę reakcję wywołałem, miałem też dość prawdziwych powodów, by się bać. Eksperymenty genetyczne, o których wspomniałem wcześniej — niektóre przygotowane zostały przez moją matkę, specjalistkę od genetyki teoretycznej — wymknęły się w końcu spod kontroli naukowców. Pomimo wszystkich wymyślnych zabezpieczeń, retowirus wydostał się z laboratoriów. Dzięki niezwykłym zdolnościom tego maleństwa mieszkańcy Moonlight Bay — a w mniejszym stopniu także ludzie i zwierzęta spoza naszego miasta — zaczęli się... zmieniać.

Choć zmiany te były niepokojące, a czasami wręcz przerażające, prócz kilku odosobnionych przypadków nie zaszły zbyt daleko, i władzom jak dotąd udawało się ukryć prawdę o katastrofie. Nawet w samym Moonlight Bay niespełna kilkaset osób zdawało sobie sprawę, co im grozi. Ja sam dowiedziałem się

o tym zaledwie miesiące przed tą kwietniową nocą; w noc śmierci ojca, który znał wszystkie straszliwe szczegóły i który odsłonił przede mną sprawy, o jakich chyba bym wolał nie wiedzieć. Pozostali mieszkańcy miasteczka żyją w błogiej nieświadomości, ale być może i wokół nich zaciśnie się pętla, gdyż w końcu zmiany mogą stać się znacznie głębsze.

Właśnie ta myśl sparaliżowała mnie w chwili, gdy instynkt podszeptał, że stoję twarzą w twarz z jakąś nieznaną istotą.

Teraz już serce waliło mi jak oszalałe.

Wstydzilem się swojego zachowania. Pomyślałem, że jeśli natychmiast się nie opanuję, spędzę resztę życia, śpiąc pod łóżkiem i ukrywając się tam przed złą czarownicą, która może porwać mnie do swej chaty na kurzej łapce.

Obejmując latarkę dwoma palcami, wyprostowałem pozostałe trzy i wyciągnąłem je przed siebie, by udowodnić sobie, że mój przesądny strach nie ma żadnych racjonalnych podstaw. I dotknąłem twarzy.

4

Czubek nosa. Kącik ust. Mój mały palec prześlizgnął się po grubej wardze i wilgotnych zębach.

Krzyknąłem i odskoczyłem w tył. Jednocześnie włączyłem kciukiem latarkę.

Choć snop światła skierowany był na podłogę, odbite od płytek promienie odsłoniły stojącą przede mną istotę. Nie miała wielkich kłów ani ślepi płonących piekielnym ogniem i zbudowana była z substancji solidniejszej niż ektoplazma. Nosiła zielone spodnie, żółtą koszulkę polo i brązową kurtkę o sportowym kroju. Właściwie wcale nie były to szaty upiора, lecz ubrania z męskiego działu supermarketu Searsa.

Miałem przed sobą mężczyznę około trzydziestki, wysokiego na jakieś pięć stóp, o mięśniach tak potężnych, że wyglądał jak byk stojący na tylnych nogach, odzianych w buty firmy Nike. Miał króciutko przycięte czarne włosy, szalone żółte oczy hieny i grube czerwone wargi. Wydawał się zbyt wielki, by mógł przemykać bezszelestnie w całkowitej ciemności. Biel jego zębów przywodziła na myśl ziarna białej kukurydzy. Zobaczyłem to wyraźnie, kiedy odsłonił je w przerażającym uśmiechu i zamierzył się na mnie jakąś maczugą.

Na szczęście była to chyba deska zerwana z szybu windy, a nie metalowa rurka. Poza tym przeciwnik stał zbyt blisko, by wymierzyć mi silny cios. Zamiast cofnąć się jeszcze bardziej, doskoczyłem bliżej, starając się zminimalizować siłę uderzenia. Jednocześnie skierowałem w jego stronę lufę glocka, licząc na to, że już sam widok broni zmusi go do ucieczki.

Tymczasem napastnik nie uderzył z góry, jak człowiek rąbiący drwa, lecz od podłogi ku górze, jakby grał w golfa. Deska przejechała po moim lewym boku i zatrzymała się na ramieniu. Nie był to druzgocący cios, ale z pewnością znacznie bardziej bolesny niż japoński masaż. Co gorsza, wypuściłem z dłoni latarkę.

Żółte oczy mężczyzny błysnęły gniewnie. Wiedziałem, że zauważył pistolet w mojej dłoni i że była to dla niego przykra niespodzianka.

Tymczasem latarka odbiła się od przeciwległej ściany, spadła na podłogę i obróciła się kilkakrotnie niczym pusta butelka, rzucając spiralne cienie na błyszczące ściany.

Nim jeszcze dotknęła podłogi, mój uśmiechnięty przeciwnik zamierzał się do następnego ciosu. Tym razem trzymał deskę tak jak kij do baseballu.

Zdenerwowany pierwszym uderzeniem, ostrzegłem go:

— Nie rób tego.

Jego oczy nie wyrażały nawet cienia strachu, a na twarzy pojawił się wyraz bezlitosnej wściekłości.

Uchylając się przed ciosem, wystrzeliłem w powietrze. Deska przecięła ze świstem powietrze: gdybym nie zrobił uniku, zapewne roztrzaskałaby mi czaszkę. Tymczasem pocisk

wystrzelony z pistoletu odbijał się rykoszetem od betonowych ścian korytarza, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Zamiast powstrzymać rozpędzoną deskę, zółtooki mężczyzna pozwolił, by ta pociągnęła go za sobą, i okręcił się wokół własnej osi. W świetle latarki leżącej na podłodze, jego cień wyglądał jak rozpędzony koń na karuzeli. Gdy nabrał już odpowiedniego rozpędu, znów ruszył do ataku, podczas gdy ja cofnąłem się pod przeciwległą ścianę.

Wyglądał jak rozjuszony byk o stalowych mięśniach, twardy jak blok sprasowanych samochodów ze złomowiska. Jego jasne oczy nie miały żadnej głębi, kwadratowa twarz ściągnięta w nieruchomym uśmiechu wyrażała jedynie złość. Miałem wrażenie, że urodził się, wychował i żył tylko w jednym celu — by zamienić mnie w bezkształtną krwawą masę.

Nie podobał mi się ten człowiek.

A jednak nie chciałem go zabijać. Jak już mówiłem wcześniej, nie lubię zabijać. Surfuję, czytam poezję, sam trochę piszę, lubię myśleć o sobie jako o człowieku renesansu. My, ludzie renesansu, nie uciekamy się do rozlewu krwi jako do pierwszego i najłatwiejszego rozwiązania. Myślimy. Spekulujemy. Roztrząsamy. Zastanawiamy się nad potencjalnymi skutkami i analizujemy złożone moralne konsekwencje naszych czynów. Wolimy raczej stosować perswazję i negocjację niż przemoc, licząc na to, że każdy konflikt zakończy się przynajmniej uściskiem dłoni i wzajemnym szacunkiem, jeśli nie wspólnym obiadem i wyjazdem na wakacje.

Zamachnął się deską.

Przykucnąłem i przesunąłem się w bok.

Deska uderzyła o ścianę z taką mocą, że słyszałem niemal niskie wibracje, wędrujące wzdłuż drewna. Wypadła z rąk mojego przeciwnika, a ten zaklął siarczyście.

Szkoda jednak, że to nie była metalowa rurka. Siła odrzutu byłaby może dość duża, by poluzować kilka mlecznobiałych ząbków tego twardego i zniechęcić go skutecznie do dalszej walki.

— No dobra, wystarczy — powiedziałem.

Odpowiedział mi ordynarną propozycją i porwał deskę z podłogi, zamierzając się na mnie po raz kolejny.

Wyglądało na to, że wcale nie boi się broni. Być może widząc, jak niechętnie jej używam, uznał, że jestem tchórzem i że nie stać mnie na nic ponad strzał ostrzegawczy. Od razu wydał mi się niezbyt rozgarnięty, a głupi ludzie często są zbyt pewni siebie.

Ruchy jego ciała, chytry błysk w oczkach i drwiący uśmieszek ostrzegły mnie, że przygotowuje jakąś sztuczkę, że chce zamarkować uderzenie deską, by zaskoczyć mnie czymś innym. Liczył na to, że odsłonię się, reagując na fałszywy atak. Być może chciał pchnąć deską niczym szpadą, powalić mnie na podłogę, a potem zmiażdżyć mi głowę.

Musiałem przyznać, że w tej sytuacji perswazja i negocjacje nie przyniosłyby oczekiwanego rezultatu. Wcale nie lubię myśleć o sobie jako o martwym człowieku renesansu. Kiedy zamarkował cios, nie czekałem, by przekonać się, jak wygląda jego prawdziwy plan. Z całym szacunkiem dla poetów, dyplomatów i wszystkich łagodnych ludzi na świecie musiałem nacisnąć spust.

Miałem nadzieję, że trafię go w rękę albo ramię, choć przypuszczam, że tylko na filmach człowiek jest w stanie

spokojnie wymierzyć tak, by ranić swojego przeciwnika, a nie zabijać. W prawdziwym życiu strach, fizyka i los często krzyżują nam plany. Pomimo najlepszych intencji strzelającego, na ogół kula, która miała kogoś tylko ranić, rozwala mózg jakiegoś nieszczęśnika lub odbija się między jego żebrami i od mostka, by wreszcie wylądować prosto w sercu — albo kładzie trupem przemiłą babunię, która piecze ciasteczka na sąsiedniej ulicy.

Tym razem, mimo że nie strzelałem tylko na postrach, nie trafiłem ani w ramię, ani w serce, ani w głowę, ani w żadną inną część ciała mojego przeciwnika. Strach, fizyka, los. Pocisk utkwiał w belce, obsypując twarz osiłka deszczem drzazg i drobnych odłamków drewna.

Uświadomiwszy sobie nagle własną śmiertelność i uznawszy być może, że lepiej nie narażać się na konfrontację z tak kiepskim strzelcem jak ja, łajdak rzucił prowizoryczną maczugą, odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę szybu windy.

Kiedy zorientowałem się, że żółtooki chce cisnąć we mnie belką, próbowałem zrobić unik, lecz mój Wielki Worek Sprytnych Uników był już całkiem pusty. Zamiast więc odskoczyć w bok, przyjąłem uderzenie na tułów i oczywiście runąłem na ziemię.

Zacząłem się podnosić, nim jeszcze dotknąłem podłogi, ale kiedy ponownie odzyskałem równowagę, przeciwnik był już prawie po drugiej stronie korytarza. Miałem co prawda dłuższe nogi, ale na pewno nie dogoniłbym go łatwo.

Jeśli szukacie kogoś, kto zdolny jest strzelić człowiekowi w plecy, możecie skreślić mnie ze swojej listy. Nie zrobiłbym tego bez względu na okoliczności. Napastnik skrył się więc

bezpiecznie we wnęce obok windy, gdzie włączył własną latarkę.

Wprawdzie powinienem unieszkodliwić tego świra, ale odszukanie Jimmy'ego Winga było w tym momencie sprawą najważniejszą. Być może chłopiec został ranny i leżał gdzieś, wykrwawiając się na śmierć.

Poza tym wiedziałem, że kiedy porywacz dotrze na najwyższy poziom, spotka go tam zębata niespodzianka. Orson na pewno nie pozwoli mu wyjść z szybu.

Podniosłem latarkę i pobiegłem do trzeciego pokoju. Lekko uchylone drzwi otworzyłem na całą szerokość.

Pomieszczenie to było znacznie mniejsze od dwóch poprzednich, dlatego światło mojej latarki mogło ogarnąć je w całości. Na pewno nie było tu Jimmy'ego.

Ujrzałem za to zwiniętą w kulkę żółtą tkaninę, porzuconą na podłodze jakieś dziesięć stóp od progu. Już ją chciałem zignorować i przejść do następnego pokoju, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie, wszedłem do środka i podniosłem tajemnicze zawiniątko.

Okazało się, że nie jest to żadna szmata, ale górna część bawełnianej dziecięcej piżamy. Na piersiach bluzy widniał czerwono-czarny napis „Rycerz Jedi”.

Nagle przecucie zapało mi na moment dech w piersiach.

Kiedy wybiegłem za Orsonem z domu Lilly Wing, byłem niemal pewien, że dla jej małego synka nie ma już ratunku. Stopniowo jednak, wbrew rozsądkowi, rodziła się coraz większa nadzieja. W tym niepewnym czasie pomiędzy narodzinami i śmiercią, szczególnie tutaj, na końcu świata w Moonlight Bay, potrzebujemy nadziei tak bardzo jak pożywienia i wody, miłości

i przyjaźni. Trzeba jednak pamiętać, że nadzieja to coś niebezpiecznego i kruchego, że nie jest to most ze stali i betonu, przerzucony pomiędzy chwilą obecną i lepszą przyszłością. Nadzieja nie jest trwalsza od kropli rosy zawieszanej na pajęczej sieci i sama w sobie nie może udźwignąć straszliwego ciężaru rozpacz i strachu. Ponieważ kocham Lilly już od tylu lat — teraz jako przyjaciel, kiedyś głębiej, niż kocha się nawet najlepszego przyjaciela — chciałem uchronić ją przed tym najgorszym z nieszczęść, oszczędzić jej straszliwego bólu utraty dziecka. Nie uświadamiałem sobie nawet, jak bardzo tego pragnę, i wspinałem się coraz wyżej na łuk mostu nadziei, który rozwiął się teraz jak dym, odsłaniając czarną otchłań.

Ściskając w dłoni bluzę pizamy, wróciłem na korytarz.

Usłyszałem imię chłopca i dopiero po chwili zrozumiałem, że szepczę w ciemności.

Zawołałem go ponownie, tym razem głośno.

Równie dobrze mogłem poprzestać na szepcie, gdyż mój krzyk nie wywołał żadnej reakcji. Nie oczekiwałem jej zresztą.

Zirytowany ścisnąłem pizamę w dłoni i schowałem ją do kieszeni kurtki.

Pozbawiony złudzeń, wyraźniej widziałem teraz prawdę. Chłopiec nie krył się w żadnym z pomieszczeń na tym poziomie ani też na żadnym innym. Zastanawiałem się przedtem, jak porywacz znosił Jimmy'ego po drabinie, a przecież ten wcale nikogo nie niósł. Żółtooki łajdak zorientował się w pewnym momencie, że śledzi go mężczyzna z psem. Ukrył więc chłopca w bezpiecznym miejscu, a sam zabrał pizamę — unosząc w ten sposób ze sobą zapach dziecka — do szcurzych katakumb pod

magazynem, chcąc wprowadzić nas w błąd.

Przypomniałem sobie wahanie Orsona, kiedy stanęliśmy przed wejściem do magazynu. Krążył nerwowo po ścieżce, węsząc, jakby wahał się przed podjęciem właściwego tropu.

Kiedy wszedłem do wnętrza budynku, Orson pozostał lojalnie u mego boku. Potem zwiodyły nas odgłosy dochodzące z podziemi, a kiedy znalazłem figurkę Lorda Vadera, zapomniałem całkowicie o wątpliwościach Orsona i byłem przekonany, że jesteśmy na właściwym tropie.

Pobiegłem do szybu, zastanawiając się, dlaczego nie słyszę szczekania ani warczenia. Przypuszczałem wcześniej, że porywacz będzie zaskoczony, kiedy przy wyjściu na powierzchnię natknie się na wielkiego psa. Skoro jednak wiedział, że jest śledzony, i zadał sobie trud spreparowania fałszywego tropu, być może przygotowany był również na to spotkanie.

Gdy dotarłem do alkowy, nie dojrzałem blasku latarki porywacza, który zaledwie kilkanaście sekund temu wszedł do szybu.

Ostrożnie zajrzałem do ciemnego tunelu, skierowałem promień światła ku górze, potem na dół. Szyb był całkiem pusty.

Może zszedł na niższy poziom. Może znał tę część Fortu Wyvern lepiej ode mnie. Jeśli wiedział o istnieniu tajnego przejścia, łączącego podziemia tego magazynu z innymi budynkami na terenie bazy, mógł z niego skorzystać.

Ja jednak zamierzałem dostać się na górę i odnaleźć Orsona. Przedłużająca się cisza martwiła mnie coraz bardziej.

Mogłem zaryzykować wspinaczkę z jedną ręką częściowo

zajętą, nie potrafiłem jednak w jednej dłoni trzymać jednocześnie latarki i pistoletu. W końcu uznałem, że glock i tak do niczego mi się nie przyda, jeśli nie będę widział przeciwnika, włożyłem go zatem do kabury i zatrzymałem latarkę.

W miarę jak zbliżałem się do wyższego poziomu, nabierałem przekonania, że porywacz nie wyszedł na samą górę, lecz pokonał tylko pół drogi i zatrzymał się jedno piętro wyżej. Czekał tam na mnie. Byłem tego pewien. Czaił się jak troll z tym swoim sztucznym uśmiechem. Chciał zaatakować mnie w chwili, gdy znajdę się na wysokości kolejnego wejścia do szybu. Widziałem już oczami wyobraźni, jak wychyla się, uśmiecha i zamierza do ciosu grubą deską. Może tym razem znalazł jakąś lepszą broń. Żelazną rurkę. Siekierę. Kuszę płetwonurka, załadowaną wielką strzałą o postrzępionym grocie, z ładunkiem wybuchowym na rekiny. Taktyczną broń jądrową.

Zwolniłem, a w końcu całkowicie się zatrzymałem, nie dochodząc do następnych drzwi. Oświetliłem prostokątny otwór w ścianie szybu, lecz byłem zbyt nisko, by zobaczyć cokolwiek poza sufitem korytarza.

Niezdecydowany wisiałem na drabinie i nasłuchiwałem.

Wreszcie przezwyciężyłem strach, przypominając sobie, że każda sekunda opóźnienia może mieć fatalne skutki. Z dołu zbliżała się do mnie przecież ogromna zmutowana tarantula o przerażających, ociekających jadem szczękoczułkach, rozwścieczona tym, że nie schwytała mnie, gdy szedłem na dół.

Nic nie dodaje nam odwagi równie skutecznie jak świadomość, że robimy z siebie idiotów.

Szybko wspiałem się do góry, mijając otwór na pierwszym

poziomie, i już po chwili stałem w pomieszczeniu, w którym zostawiłem Orsona. Nie pożał mnie wielki, jadowity pająk, nikt też nie roztrzaskał mi głowy metalową rurką.

Pies zniknął.

Wyciągnąłem pistolet i wybiegłem z biura do głównej sali magazynu.

Stada cieni uciekały przede mną, by schować się po chwili za moimi plecami.

— Orson!

Kiedy okoliczności nie pozostawiały mu innego rozwiązania, mój psi brat potrafił wspaniale walczyć. Nie pozwoliłby uciec porywaczowi, a przynajmniej starałby się jak najbardziej utrudnić mu tę ucieczkę. Nie widziałem jednak śladów krwi ani w biurze, ani tutaj.

— Orson!

Imię przyjaciela odbijało się echem od stalowych ścian budynku. Powtarzające się sylaby przypominały bicie dzwonu dobiegające z oddali, co z kolei przywiodło mi na myśl pogrzeb. W moim umyśle pojawił się obraz kochanego Orsona leżącego bez ruchu, pobitego i zmaltretowanego, martwego.

Strach ścisnął mi gardło z taką siłą, że ledwie mogłem oddychać.

Drzwi, przez które weszliśmy tutaj przed chwilą, stały otworem, tak jak je zostawiliśmy.

Na zewnątrz panowała ciemna noc, rozświetlana tylko nikłym blaskiem gwiazd. Księżyc pozostawał ukryty za grubą warstwą chmur.

Chłodne powietrze wisiało nieruchomo, ostre jak brzytwa

i wypełnione jakąś przerażającą obietnicą.

Promień latarki odsłonił porzucony klucz nasadkowy. Musiał leżeć tu już od dłuższego czasu, gdyż pokryty był w całości warstwą czerwonej rdzy. Pusta puszką po oleju czekała na wiatr dość silny, by przetoczył ją gdzie indziej. Małe żółte kwiaty wystawiały swe główki ze szczelin, jakie pojawiły się na powierzchni asfaltowych alejek.

Poza tym ścieżka była całkiem pusta, ani człowieka, ani psa.

Pomyślałem, że bez względu na to, co czeka mnie jeszcze tej nocy, poradzę sobie z tym lepiej, jeśli odzyskam swój koci wzrok. Wyłączyłem latarkę i wsunąłem ją za pasek.

— Orson!

Niczym nie ryzykowałem, krzycząc co sił w płucach. Człowiek, którego spotkałem w magazynie, wiedział już, że tu jestem.

— Orson!

Być może mój pies wyszedł z magazynu wkrótce po tym, jak go zostawiłem. Może nabrał przekonania, że poszliśmy złym tropem. Albo pochwycił świeży zapach Jimmy'ego i uznał, że ważniejsze od wykonania moich poleceń jest jak najszybsze dotarcie do porwanego dziecka. Być może teraz był już przy Jimmym, gotów stawić czoło porywaczowi, kiedy ten wróci po swoją ofiarę.

Nigdy nie należy się łądzić nadzieją, gdy sprawa jest niemal beznadziejna, lecz nie pozostawało mi nic innego.

Wziąłem głęboki oddech, nim jednak zdołałem ponownie zawołać, w oddali rozległy się dwa szczeknięcia Orsona.

Jeżeli to był Orson. Równie dobrze mogłem mieć do czynienia z psem Baskerville'ów. Nie potrafiłem określić kierunku,

z którego dobiegł dźwięk.

Zawołałem raz jeszcze.

Bez odpowiedzi.

— Cierpliwości — doradziłem sam sobie.

Czekałem. Czasami pozostaje tylko czekać. Właściwie dzieje się tak w większości wypadków. Lubimy wmawiać sobie, że to my przedziemy tkaninę przyszłości, ale w istocie jedyne krosno w tej przędzalni należy do losu.

W dali znów zaszczekał pies, tym razem gniewnie, ze złością.

Wiedziałem już, skąd dobiega szczekanie, rzuciłem się więc w tamtą stronę. Przemykałem od cienia do cienia, ze ścieżki na ścieżkę, mijałem porzucone magazyny, wielkie i ponure niczym świątynie okrutnych bogów i zapomnianych religii, dotarłem do szerokiego brukowanego placu, który niegdyś służył pewnie za parking.

Biegłem przez dłuższy czas, zostawiając za sobą parking i przedzierając się przez wysoką do kolan trawę, wybujałą po ostatnich deszczach. Tymczasem księżyc znów wyszedł zza chmur i zalał świat niesamowitym blaskiem. Dzięki temu dojrzałem szeregi niskich budynków, odległych ode mnie zaledwie o jakieś pół mili. Były to domy tych członków personelu, którzy mieli rodziny i woleli zamieszkać na miejscu, niż dojeżdżać codziennie do pracy.

Choć szczekanie dawno już ucichło, biegłem nadal, przekonany, że uda mi się znaleźć Orsona i — być może — Jimmy'ego. Trawnik kończył się raptownie, obwiedziony popękaną alejką. Przeskoczyłem przez kanał zatkany zgniłymi liśćmi, kawałkami papieru i różnymi śmieciami. Znalazłem się

na szerokiej ulicy, otoczonej z obu stron szpalerami ogromnych, starych wawrzynów. Połowa z tych drzew właśnie kwitła, rzucając na ulicę nieregularne cienie wielkich kwiatów, jednak druga połowa całkiem uschła i godziła w niebo nagimi kikutami poskręcanych konarów.

W ciszy nocy znów rozległo się szczekanie, bliższe już, lecz wciąż zbyt odległe, bym mógł je dokładnie zlokalizować. Tym razem przerywane było piskami, skomleniem — i wreszcie bolesnym skowytem.

Serce waliło mi mocniej niż wtedy, gdy musiałem uchylać się przed atakiem żółtookiego szaleńca. Z trudem łapałem oddech.

Aleja, po której właśnie biegłem, prowadziła pomiędzy rzędami niszczyjących, parterowych budynków. Odchodziły od niej liczne, lecz uporządkowane boczne uliczki.

Znów szczekanie, kolejny skowyt, potem cisza.

Zatrzymałem się na środku ulicy, odwracając głowę na lewo i prawo, nasłuchiwałem uważnie, starając się uspokoić oddech. Czekałem na kolejne odgłosy walki.

Żywe drzewa trwały w takim samym bezruchu jak te o butwiejących pniach i martwych korzeniach.

Wstrzymałem oddech, jednak odgłosy nocy wokół mnie przycichły.

Fort Wyvern w swym obecnym stanie odbieram jako park osobliwej rozrywki, wypaczony Disneyland stworzony przez opętanego brata bliźniaka Walta Disneya. Tutaj głównymi motywami nie są magia i cuda, lecz szaleństwo i złość, celebrowanie śmierci, nie życia.

Podobnie jak Disneyland podzielony jest na różne obszary —

Główna Ulica USA, Kraina Przyszłości, Kraina Przygód, Kraina Fantazji — Wyvern również składa się z różnych atrakcji. Te trzy tysiące domków i rozmieszczonych pomiędzy nimi większych budynków tworzą „kraj”, którą nazywam Umarłym Miasteczkiem. Jeśli w pobliżu Fortu Wyvern grasowały jakieś duchy, to właśnie to miejsce musiały lubić najbardziej.

Dokoła panowały absolutny bezruch i cisza. Księżyc jakby znudzony tym widowiskiem znów schował się za chmury.

5

Czułem się tak, jakbym, żyjąc nadal, wkroczył do krainy duchów i złamał tym samym elementarne zasady dobrego wychowania. Niczym bezcielesna istota sunąłem w ciszy wzdłuż głównej alei, szukając jakiegoś znaku obecności Orsona. Noc była tak cicha, tak nienaturalnie spokojna, że gotów byłem uwierzyć, iż moje serce jest jedynym bijącym sercem żywej istoty w promieniu tysiąca mil.

Zanurzone w delikatnym blasku odległych mgławic i galaktyk, Umarłe Miasteczko wydaje się pogrążone we śnie, ot, zwyczajne osiedle na przedmieściach, żeglujące przez morze snu ku jasnemu porankowi. W mroku ukazują się jedynie zarysy, bryły parterowych domków, bungalowów i bliźniaków, które dzięki temu wydają się solidne, uporządkowane, normalne.

Wystarczy jednak światło księżyca, by ukazała się upiorna twarz Umarłego Miasteczka. Na niektórych ulicach nie trzeba nawet tego. Rynny zwieszają się smętnie ku ziemi, niepodtrzymywane już przez przerdzewiałe uchwyty. Ściany, niegdyś śnieżnobiałe i odnawiane z wojskową regularnością, upstrzone są teraz płatami odchodzącej farby, poszarzałe i popękane. Wiele okien ma powybijane szyby, co upodabnia je

do czarnych oczodołów lub ogromnych rozdziawionych paszcz o szklanych kłach, lizanych blaskiem księżyca.

Ponieważ system nawadniania już nie funkcjonuje, przy życiu utrzymały się tylko te drzewa, które zapuściły korzenie dość głęboko, by odszukać jakieś inne źródło wody. Długie, suche lato i jesień nie oszczędziły także krzewów, zamieniając je w suchą płataninę gałęzi i łodyg. Trawa pozostaje zielona tylko podczas wilgotnej zimy, ale już w czerwcu jest złota i sucha jak pszenica przed żniwami.

Departament Obrony nie ma wystarczających funduszy ani by zniszczyć to rumowisko, ani też by utrzymywać domy w przyzwoitym stanie, w nadziei na lepsze czasy. Jak na razie jednak nikt nie chce kupić Wyvern. Wiele baz wojskowych, zamkniętych po upadku Związku Radzieckiego, zostało sprzedanych cywilom, zamienionych w osiedla mieszkaniowe czy centra handlowe. Jednak tutaj, w środkowej części wybrzeża Kalifornii, wielkie obszary otwartej ziemi, częściowo uprawiane, częściowo nie, czekają w niepewności, czy Los Angeles niczym wielki pełzający grzyb nie rzuci tu w końcu swoich zarodników albo czy z drugiej strony nie dosięgnie ich przedmiejska sieć Doliny Krzemowej. W tej chwili Wyvern przedstawia większą wartość dla myszy, jaszczurek i kojotów niż dla ludzi.

Poza tym, gdyby nawet znalazł się kupiec na te 134 456 akrów, jego oferta zostałaby zapewne odrzucona. Mam powody, by przypuszczać, że fort nie został całkowicie porzucony, że sekretne laboratoria i urządzenia ukryte głęboko pod jego powierzchnią wciąż działają i prowadzą tajne prace godne takich fikcyjnych szaleńców jak doktor Moreau czy doktor Jekyll.

W prasie nie ukazał się żaden artykuł wyrażający troskę o licznych naukowców z Wyvern, którzy nagle zostali pozbawieni pracy. Nikt nie ogłaszał programów czy szkoleń, które pomogłyby im się przekwalifikować i znaleźć nowe zajęcie. A ponieważ większość z nich mieszkała na terenie bazy i rzadko bywała w miasteczku, nikt z mieszkańców Moonlight Bay nie interesował się ich losem. Zamykając oficjalnie Fort Wyvern, władze zmieniły tylko kamuflaż, pod którym od wielu lat prowadziły ten ogromny projekt.

Doszedłem do skrzyżowania i zatrzymałem się tutaj na chwilę, nasłuchując. Kiedy niestrudzony księżyc znów wysunął się zza chmur, zatoczyłem pełne koło wokół skrzyżowania, przyglądając się uważnie poszczególnym budynkom, wbijając wzrok w ciemne zakamarki pomiędzy domami i ich opuszczone wnętrza, których nie mógł rozświetlić nawet blask księżyca.

Czasami, kiedy przechadzam się po Wyvern, mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Niekoniecznie jest to ktoś, kto chce wyrządzić mi krzywdę, może po prostu z ciekawością śledzić moje poczynania. Nauczyłem się już ufać swojej intuicji. Tym razem czułem, że jestem zupełnie sam.

Włożyłem glocka do kabury. Wzór zdobiący rękojeść pistoletu odcisnął się na mojej dłoni.

Spojrzałem na zegarek. Dziewięć po pierwszej.

Zszedłem z ulicy i przystanąłem pod kwitnącym wawrzynem. Oparłem się plecami o pień drzewa, odpiąłem od paska telefon komórkowy i włączyłem go.

Bobby Halloway, mój najlepszy przyjaciel od ponad siedemnastu lat, ma kilka numerów telefonicznych. Ten

najbardziej prywatny podał zaledwie kilku najbliższym przyjaciołom i właśnie pod tym numerem można go było zastać o każdej porze. Wybrałem odpowiednie cyfry i przycisnąłem klawisz „Wyślij”.

Bobby odebrał po trzecim sygnale.

— Lepiej, żeby to było ważne.

Choć wydawało mi się, że jestem sam w tej części Umarłego Miasteczka, mówiłem szeptem:

— Spałeś?

— Jadłem kibby.

Kibby to potrawa znad Morza Śródziemnego; mielona wołowina, cebula, orzechy i zioła zawinięte w wilgotną kulę z pszenicy, zapiekane w wysokiej temperaturze.

— Z czym?

— Z ogórkami, ziemniakami i peklowaną rzepą.

— Przynajmniej nie przerwałem ci upojnej randki.

— To jest gorsze.

— Widzę, że traktujesz swoje kibby bardzo poważnie.

— Nadzwyczaj poważnie.

— Całkiem mnie zakłajstrowało — powiedziałem, co w języku surferów oznacza sytuację, kiedy ogromna fala gwałtownie zamyka się nad pływakiem i zrzuca go z deski.

— Jesteś na plaży? — zdziwił się Bobby.

— Mówię w przenośni.

— Nie rób tego więcej.

— Czasami to najlepszy sposób — odparłem, dając mu do zrozumienia, że ktoś może podsłuchiwać naszą rozmowę.

— Nienawidzę tego śmiecia.

— Lepiej do niego przywyknij, bracie.

— Dręczyciel.

— Szukam zaginionego leszcza.

„Leszcz” to mały człowiek, termin używany zazwyczaj — choć nie zawsze — jako synonim słowa „chmyz”, które z kolei oznacza nieletniego surfera. Mimo że Jimmy Wing nie dorósł jeszcze do surfowania, to jednak z pewnością był bardzo małą osobą.

— Leszcza? — zdziwił się po raz drugi Bobby.

— Bardzo małego.

— Znowu bawisz się w Nancy Drew?

— Siedzę w tym po szyję — przyznałem.

— Kak — powiedział Bobby, co w tej części wybrzeża nie jest zbyt miłym komplementem dla surfera, choć wydawało mi się, że dosłyszałem w głosie mego przyjaciela nutkę sympatii, aczkolwiek z domieszką niesmaku.

Nagły trzepot poderwał mnie z miejsca. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, że to tylko jakiś nocny ptak przysiadł na gałęzi drzewa, pod którym zająłem miejsce. Lelek kozodój, słowik albo jerzyk, na pewno nic większego od sowy.

— To bardzo poważna sprawa, Bobby. Potrzebuję twojej pomocy.

— No i sam widzisz. Po co pchać się na ląd?

Bobby mieszka na południowym krańcu zatoki. Surfowanie to jego powołanie i przeznaczenie, cel jego życia, fundament jego filozofii, nie tylko ulubiony sport, ale prawdziwie głębokie duchowe przeżycie. Ocean jest jego katedrą, a głos Boga słyszy tylko w huku fal. Dla Bobby’ego nic, co dzieje się dalej niż pół mili od brzegu, nie ma większego znaczenia.

Uniosłem głowę, chcąc przekonać się, co to za ptak napędził mi takiego strachu. Wprawdzie księżyc świecił mocno, a listowie w tym miejscu nie było tak gęste, nie mogłem dojrzeć niczego.

— Potrzebuję twojej pomocy, Bobby — powtórzyłem do telefonu.

— Możesz sobie pomóc sam. Stań na krześle, załóż pętlę na szyję i skocz.

— Nie mam krzesła.

— Naciśnij spust palcem u nogi.

Bobby potrafi mnie rozśmieszyć w każdych okolicznościach, a śmiech utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach.

Przekonanie, że życie to kosmiczny żart, jest jednym z głównych założeń filozofii wyznawanej przeze mnie, Saszę i Bobby'ego. Kierujemy się prostymi zasadami: nie krzywdź nikogo bez potrzeby, zawsze pomagaj przyjaciołom, bądź odpowiedzialny za siebie i nie żądaj niczego od innych, baw się dobrze, kiedy tylko możesz. Nie myśl zbyt wiele o przeszłości, nie martw się przyszłością, żyj chwilą i ufaj, że twoje życie ma sens, nawet jeśli świat dokoła ciebie wydaje się pogrążony w chaosie i nieszczęściu. Kiedy los bije cię w twarz, staraj się zachowywać tak, jakby poczęstował cię właśnie przepyszną szarlotką. Czasami potrafimy zdobyć się jedynie na wisielczy humor, ale nawet taki śmiech może pomóc nam przetrzymać trudne chwile.

— Bobby, gdybyś znał nazwisko tego leszcza, już byłbyś tutaj — powiedziałem.

Bobby westchnął głośno.

— Bracie, jak mam być w pełni zrealizowanym, supermaksymalnym luzakiem, skoro ty upierasz się ciągle, że

mam coś takiego jak sumienie?

— Jesteś skazany na bycie odpowiedzialnym.

— Właśnie tego się boję.

— Zniknął też futrzasty koleś — dodałem, mając na myśli Orsona.

— Obywatel Kane?

Orson otrzymał swe imię na cześć Orsona Wellesa, reżysera filmu *Obywatel Kane*, który od lat nieodmiennie mnie fascynuje.

Choć słowa te z trudem przeszły mi przez gardło, musiałem wyznać to Bobby'emu:

— Boję się o niego.

— Zaraz tam będę — odparł natychmiast Bobby.

— Świetnie.

— Gdzie jest tam?

Nad moją głową znów zatrzepotały skrzydła i kolejny ptak dołączył do tego, który siedział już na drzewie.

— Umarłe Miasteczko — odrzekłem.

— Och, człowieku, nigdy mnie nie słuchasz.

— Wiem, jestem złym chłopcem. Przyjedź rzeką.

— Rzeką?

— Przy ogrodzeniu stoi suburban. Należy do psychopatycznego mięśniaka, więc uważaj. W płocie jest dziura.

— Muszę się skradać czy mogę zrobić to bez ceregieli?

— Możesz sobie pozwalać. Tylko uważaj.

— Umarłe Miasteczko — powtórzył z niesmakiem. — I cóż ja mam z tobą zrobić, młody człowieku?

— Zero telewizji przez miesiąc?

— Kak — powtórzył. — Gdzie dokładnie?

— Spotkajmy się przy kinie.

Bobby nie znał Wyvern nawet w połowie tak dobrze jak ja, ale na pewno był w stanie odszukać budynek kina położony obok centrum handlowego, na obrzeżach osiedla. Jako nastolatek, kiedy nie był jeszcze oddany morzu tak bardzo, że stało się ono jego klasztorem, chodził przez jakiś czas z dziewczyną, która mieszkała z rodzicami na terenie bazy.

— Znajdziemy ich, bracie — powiedział cicho Bobby.

Balansowałem na krawędzi załamania nerwowego. Perspektywa własnej śmierci przeraża mnie znacznie mniej, niż moglibyście przypuszczać. Świadomość kruchości mojego żywota towarzyszyła mi od wczesnego dzieciństwa i zdążyłem się do niej przyzwyczaić, jednak utrata kogoś bliskiego to dla mnie druzgocący cios. Smutek i żal mogą być gorsze od najwymyślniejszych nawet narzędzi tortur, a sama myśl o śmierci Orsona odbierała mi głos i przyprawiała o zimny pot.

— Wyluzuj się — poradził mi przez telefon Bobby.

— Jestem tak luźny, że zaraz się rozpadnę — odrzekłem słabo.

— To już przesada.

Bobby rozłączył się, więc i ja wyłączyłem telefon.

W ciszę nocy znów wdarł się rytmiczny trzepot skrzydeł, a po chwili gałęzie nad moją głową zakołysały się lekko pod ciężarem kolejnego ptaka.

Żaden z nich nie wydał z siebie głosu. Krzyk polującego lelka to charakterystyczne pint-pint-pint. Słowik daje długie nocne koncerty, łącząc ostre i słodkie tony w jedną, czarującą pieśń. Nawet sowa, która zachowuje zwykle milczenie, nie chcąc przepłoszyć swych ofiar, pohukuje od czasu do czasu dla własnej

przyjemności lub by przypomnieć innym sówom, że nadal pozostaje pełnoprawnym obywatelem ptasiej społeczności.

Fakt, że te ptaki zachowywały absolutną ciszę, niepokoił mnie nie dlatego, żebym przypuszczał, że lada chwila opadną mnie i rozdziobią na drobne kawałki, składając w ten sposób hołd filmowi Hitchcocka, lecz dlatego, że cisza ta przypominała nienaturalny spokój, jaki w naturze panuje przez krótką chwilę tuż po gwałtownym akcie przemocy. Kiedy kojot łapie królika i łamie mu kręgosłup, kiedy lis zagryza mysz polną, skarga umierającego stworzenia, nawet jeśli jest to ledwie słyszalny pisk, sprowadza na najbliższą okolicę dziwną, niesamowitą ciszę. Choć matka natura jest piękna, hojna i opiekuńcza, potrafi być również okrutna i krwiożercza. Nieustający holokaust, nad którym sprawuje pieczę, to jedyna rzecz, która nie pojawia się na fotografiach ściennych kalendarzy ani w długich i wzruszających publikacjach klubu Sierra. Pole działania natury to pole morderczej walki, więc po każdym akcie przemocy jej liczne i różnorodne dzieci gwałtownie milkną albo dlatego, że mają głęboki szacunek dla naturalnego prawa, które stanowi podstawę ich egzystencji, albo dlatego, że przypominają sobie o okrutnych zapędach ukochanej Matki i nie chcą stać się jej następną ofiarą. Dlatego właśnie niepokoiła mnie złowieszcza cisza zalegająca wśród gałęzi drzewa. Zastanawiałem się, czy ptaki zachowują milczenie, bo przerażone są jakimś mordem — i czy mordu tego dokonano na małym chłopcu i psie.

Cisza.

Opuściłem cień wawrzynu, by poszukać jakiegoś innego miejsca, z którego mógłbym zadzwonić raz jeszcze. Nadal byłem

przekonany, że nikt mnie nie obserwuje, jednak nagle poczułem się niepewnie na otwartej przestrzeni.

Żaden z pierzastych wartowników nie opuścił swego posterunku, by śledzić moje poczynania. Żaden z nich nie poruszył się nawet, nie zaszeleścił listowiem.

Nie mijałem się z prawdą, mówiąc, że nie wierzę, by chciały odtworzyć film Hitchcocka; jednak nie wykluczałem całkowicie takiej możliwości. W Wyvern — a właściwie także w samym Moonlight Bay — nawet stworzenie pozornie tak łagodne jak słowik mogło w sobie kryć jakąś nieprzewidywalną naturę, mogło być groźniejsze od tygrysa. Koniec znanego nam świata krył się być może w piersi jerzyka lub we krwi małej myszki.

Ruszyłem w dół pustej ulicy. Księżyc znów świecił całą mocą, obdarzając mnie słabym cieniem, który maszerował tuż obok mnie, jakby chciał przypomnieć, że miejsce to, zajęte zazwyczaj przez mego czworonożnego brata, jest puste.

6

Połowa domków w Umarłym Miasteczku ma tylko maleńkie ganki. Ten należał jednak do drugiej połowy; szeroką werandę z trzech stron otaczały ceglane stopnie.

Jakiś pracowity pająk rozpiął sieć pomiędzy pilastrami wieńczącymi frontową część schodów. Nie widziałem dobrze tej skomplikowanej konstrukcji, nie mogła jednak być dziełem ogromnego, zmutowanego gatunku, gdyż ustąpiła pod dłonią bez najmniejszego oporu. Kilka wilgotnych nici przykleiło się do mojej twarzy, ale ściągnąłem je dłonią, nie martwiąc się dokonany przez mnie dziełem zniszczenia bardziej, niż Godzilla frasuje się wieżowcami zdruzgotanymi przez jej wielkie łapska.

Choć wydarzenia ostatnich tygodni pozwoliły mi spojrzeć pod innym kątem na wiele stworzeń, z którymi dzielimy ten świat, nadal nie czułem się panteistą. Panteiści traktują wszystkie formy życia, nawet pająki i muchy, z ogromną czcią, ja zaś nie potrafię zignorować faktu, że pająki i muchy — ogólnie rzecz biorąc, wszelkie robaki — będą żywiły się moimi zwłokami. Nie czuję się w obowiązku z największą uprzejmością traktować każdego stworzenia jako równoprawnego obywatela tej planety,

jeśli wiem, że właśnie to stworzenie widzi we mnie jedynie potencjalną kolację. Jestem pewien, że Matka Natura rozumie moje stanowisko i nie czuje się nim dotknięta.

Drzwi frontowe, połyskujące w blasku księżyca płatami popękanej farby, stały otworem. Skorodowane zawiasy nie skrzypiały, lecz zgrzytnęły niczym szkielet zaciskający kości dłoni w pięści.

Wsunąłem się do środka.

Ponieważ przyszedłem tutaj głównie dlatego, że czułem się bezpieczniej pod dachem niż na otwartej przestrzeni, pomyślałem, że powinienem zamknąć za sobą drzwi. Być może ptaki wyrwą się w końcu z dziwnego otępienia i rzucą się za mną w pościg.

Z drugiej jednak strony otwarte drzwi umożliwiają szybką ucieczkę. Nie zamknąłem ich.

Choć we wnętrzu budynku panowała głęboka ciemność, wiedziałem, że jestem w salonie. Wszystkie domki z werandą miały taki sam rozkład; bez wielkiego przedpokoju czy holu, jedynie salon, jadalnia, kuchnia i dwie sypialnie.

Mieszkania te z założenia miały zapewniać minimum komfortu. Rodziny pracowników bazy przebywały tu tylko przez rok czy dwa, by potem przenieść się gdzie indziej. Teraz, kiedy od półtora roku nikt nie zajmował się ich utrzymaniem, przesiąknęły zapachem kurzu, pleśni i myszy.

Prawie we wszystkich pokojach podłogi pokrywał parkiet przykryty grubą warstwą lakieru. Jedynie w kuchni zastąpiono go linoleum, pod którym kryły się stare, skrzypiące deski. Nawet osoba tak zręczna — we własnym mniemaniu — jak ja nie mogła

przejsć przez kuchnię, nie czyniąc przy tym hałasu.

Właściwie było mi to na rękę. Dzięki owym skrzypiącym deskom mogłem mieć pewność, że nikomu nie uda się wejść niezauważenie od tyłu i zaskoczyć mnie w którymś z pomieszczeń.

Moje oczy przywykły już do głębokiego mroku na tyle, że mogłem dojrzeć okna frontowe. Choć schowane pod daszkiem werandy, były widoczne nawet w rozproszonym blasku księżyca; prostokąty szarości na czarnym tle.

Podszedłem do najbliższego okna. Szyba była całkiem zakurzona, więc używając chusteczki higienicznej i odrobiny śliny, wytarłem na niej niewielki krąg, przez który mogłem wyglądać na zewnątrz.

Drzewa stały tutaj blisko siebie, toteż widziałem dobrze całą ulicę. Nie spodziewałem się ujrzeć tam parady dziewcząt z miejscowego college'u, ponieważ jednak widok zgrabnych nóg odzianych jedynie w krótkie szorty działa na mnie równie mocno jak na innych mężczyzn, wolałem być przygotowany i na taką ewentualność.

Włączyłem ponownie telefon komórkowy i wybrałem zastrzeżony numer, dzięki któremu mogłem połączyć się bezpośrednio ze studium KBAY, największą rozgłośnią radiową w okręgu Santa Rosita, gdzie Sasha Goodall prowadziła nocny program. Sasha była jednocześnie naczelnym dyrektorem rozgłośni, odkąd jednak utraciła słuchaczy z bazy wojskowej — a wraz z tym sporą część dochodów z reklam — podobnie jak wielu innych pracowników musiała objąć dodatkowy etat.

Prywatna linia, połączona bezpośrednio ze stanowiskiem

prowadzącego program, nie uruchamia dzwonka, lecz migające niebieskie światełko, umieszczone na ścianie naprzeciwko mikrofonu. Sasha musiała mieć właśnie krótką przerwę, bo już po pierwszym sygnale sama odebrała telefon:

— Cześć, Snowman.

Nie ja jeden dysponuję telefonem z funkcją, dzięki której mogę poznać tożsamość dzwoniącego, nim jeszcze podniosę słuchawkę, i jak wielu innych sam zastrzegłem swój numer, by zapobiec podobnej sytuacji, jednak Sasha zawsze wie, że to właśnie ja do niej dzwonię.

— Puszczasz coś ciekawego? — spytałem.

— *A Mess of Blues*.

— Elvis.

— Jeszcze niecała minuta.

— Wiem, jak ty to robisz — oświadczyłem.

— Co?

— Mówisz „Cześć, Snowman”, zanim jeszcze się odezwę.

— Więc jak to robię?

— Prawdopodobnie większość telefonów, które odbierasz na tej linii, to telefony ode mnie, więc zawsze mówisz „Cześć, Snowman”.

— Nieprawda.

— Prawda.

— Ja nigdy nie kłamię.

Rzeczywiście, Sasha nigdy nie kłamała.

— Nie rozłączaj się, kochanie — powiedziała, odkładając słuchawkę.

Czekając, mogłem słuchać przez telefon programu

prowadzonego przez Saszę. Nadawała właśnie blok reklamowy — częściowo nagrany, częściowo na żywo — poświęcony w całości zaletom samochodów sprzedawanych przez miejscowy salon.

Jej głos był mocny, a jednocześnie miękki i jedwabisty, łagodny i zachęcający. Pomyślałem, że mogłaby mi sprzedać nawet mieszkanie w piekle, choć zapewne znalazłbym w sobie dość sił, by dopominać się o klimatyzację.

Starałem się nie zapomnieć całkiem o rzeczywistości i jednym uchem łowiłem odgłosy napływające z głębi domu. Na razie panowała w nim absolutna cisza. Ulica także była całkiem pusta.

By zapewnić sobie więcej czasu na rozmowę ze mną, Sasha puściła od razu dwie piosenki; *It Was a Very Good Year* Franka Sinatry i *I Fall to Pieces* Patsy Cline.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej eklektycznej mieszanki — powiedziałem, gdy Sasha podniosła wreszcie słuchawkę. — Sinatra, Elvis i Patsy?

— Mamy dzisiaj monotematyczną noc — odparła.

— Monotematyczną?

— Nie słuchałeś nas wcześniej?

— Byłem zajęty. Jaki to temat?

— Noc żywych trupów.

— Stylowe.

— Dzięki. Co się dzieje?

— Kto siedzi dzisiaj za konsolą?

— Doogie.

Doogie Sassman to wytatuowany od stóp do głów fanatyk motocykli Harley-Davidson. Waży ponad trzysta funtów, z czego

co najmniej dwadzieścia pięć przypada na wielką blond grzywę i gęstą, jedwabistą brodę. Choć ma kark szeroki jak hiszpański byk i brzuch tak wielki, że mogłaby gromadzić się na nim cała rodzina oceanicznych mew, Doogie to prawdziwy pies na baby, ulubieniec najpiękniejszych kobiet, jakie pokazują się na plażach pomiędzy San Diego i San Francisco. Trudno mu odmówić wielkiego uroku, porównywalnego jedynie z urokiem bohaterów kreskówek Disneya, jednak niesłychane powodzenie, jakim Doogie cieszy się u olśniewająco pięknych kobiet — osobowość nie jest zazwyczaj tą cechą, którą cenią sobie u mężczyzn najbardziej — pozostaje zdaniem Bobby'ego jedną z największych zagadek wszech czasów.

— Mogłabyś wyjść stamtąd na jakieś dwie godzinki i zostawić wszystko Doogiemu? — spytałem.

— Masz ochotę na szybki numerek?

— Z tobą zawsze.

— Casanova — mruknęła sarkastycznie, choć nie bez czułości.

— Nasz wspólny przyjaciel ma kłopoty. Musimy mu pomóc.

Sasha natychmiast spoważniała.

— O co chodzi?

Nie mogłem wyjaśnić jej wszystkiego, bo nasza rozmowa mogła być podsłuchiwana. Moonlight Bay to państwo policyjne w mikroskali, ale wszystkie formy kontroli są ukryte na tyle głęboko, że większość mieszkańców miasteczka nawet nie wie o ich istnieniu. Nie chciałem, by policjanci dowiedzieli się, że Sasha pojedzie do domu Lilly Wing, gdyż wtedy mogliby ją zatrzymać, a Lilly naprawdę bardzo potrzebowała czyjegóż wsparcia. Co prawda Sasha zapewne poradziłaby sobie z nimi

i dotarła jakoś na miejsce, lecz stałaby się obiektem zainteresowania naszych dzielnych obrońców bezprawia, a tego także wolałbym uniknąć.

— Czy znasz... — Wydawało mi się, że dostrzegłem na zewnątrz jakiś ruch, kiedy jednak przystawiłem twarz do szyby i przyjrzałem się dobrze ulicy, uznałem, że musiał być to jedynie cień chmury, która przesłoniła na moment tarczę księżyca. — Czy znasz trzynaście sposobów?

— Trzynaście sposobów?

— No wiesz, ta rzecz o kosie — podpowiadałem, przecierając ponownie szybę, na której osadziła się para z moich ust.

— Kos. Jasne.

Rozmawialiśmy o wierszu *Trzynaście sposobów patrzenia na kosa* Wallace'a Stevensa.

Mój ojciec martwił się zawsze, że zmuszony przez niezwykłą chorobę do życia w ciemności, nie będę w stanie sam zarobić na życie. Dlatego też przepisał na mnie cały swój majątek i zyski z polisy ubezpieczeniowej na wielką sumę. Zostawił mi także coś, czego nie da się przełożyć na pieniądze, a co zawsze dawało mi wielkie pocieszenie w chwilach słabości; umiłowanie poezji, szczególnie poezji współczesnej. Ponieważ udało mi się zarazić tym uczuciem także i Sashę, mogliśmy teraz porozumiewać się kodem niezrozumiałym dla postronnego słuchacza, tak jak rozmawialiśmy z Bobbym za pomocą języka surferów.

— Jest takie słowo, którego powinien użyć — mówiłem, mając na myśli Stevensa — ale nigdy tego nie robi.

— Aha — mruknęła Sasha, a ja już wiedziałem, że mnie rozumie.

Pisząc trzynastozwrotkowy wiersz o ptaku, jakiś pomniejszy poeta na pewno użyłby słowa „skrzydło”, jednak Stevens nie wymienił go ani razu. Nazwisko Lilly oznacza właśnie tyle co skrzydło, dlatego właśnie rozmawiałem o tym wierszu z Sashą.

— Wiesz, kogo mam na myśli? — spytałem.

— Tak. — Wiedziała, że Lilly Wing, niegdyś Lilly Travis, była pierwszą kobietą, którą naprawdę kochałem, i pierwszą, która złamała mi serce.

Sasha to druga kobieta, którą darzę prawdziwie głębokim uczuciem. Przysięga, że nigdy nie złamie mi serca. Wierzę jej. Sasha nie kłamie.

Moja ukochana zapewnia mnie także, że jeśli kiedykolwiek ją zdradzę, nie zawaha się użyć swojej wielkiej wiertarki Black & Decker i przewierci moje serce półcalowym wiertłem.

Widziałem tę wiertarkę i komplet wiertel schowanych w plastikowym pudełku. Na wypolerowanej stalowej powierzchni półcalowego wiertła Sasha wypisała moje imię, używając do tego czerwonego lakieru do paznokci. Jestem pewien, że to tylko taki żart.

Tak naprawdę Sasha nie musiałaby się tym martwić. Gdybym kiedykolwiek ją skrzywdził, sam przewierciłbym sobie serce i oszczędził jej kłopotu z myciem rąk.

Możecie nazywać to egzaltacją, ale taki już jestem.

— Co to za kłopoty? — spytała Sasha.

— Dowiesz się na miejscu.

— Jakież wiadomości do przekazania?

— Nadzieja. To najważniejsza wiadomość. Wciąż jest nadzieja.

Wcale nie byłem pewien tego, co mówię. Być może wiadomość,

którą przekazywałem Lilly, była już nieprawdziwa. Nie jestem ani trochę dumny z tego, że w odróżnieniu od Sashy zdarza mi się czasem kłamać.

— Gdzie jesteś? — pytała dalej Sasha.

— W Umarłym Miasteczku.

— Cholera.

— Sama chciałaś wiedzieć.

— Zawsze po uszy w kłopotach.

— To moje motto.

Nie chciałem mówić jej o Orsonie, nawet pośrednio, za pomocą poetyckiego kodu. Mogłem stracić panowanie nad głosem, ujawniając targające mną emocje, a tego wołałem uniknąć. Gdyby Sasha uznała, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, na pewno chciałaby sama przyjechać do Wyvern.

Byłaby mi wielce pomocna. Niedawno odkryłem, że moja ukochana posiada umiejętności, jakich na pewno nie uczą w żadnej szkole dyskdzokejów: doskonale walczy wręcz i świetnie zna się na broni palnej. Choć nie wygląda na Amazonkę, bije się nie gorzej ode mnie. Jednak była nie tylko dobrym wojownikiem, ale i wspaniałym przyjacielem, a Lilly Wing bardziej potrzebowała jej współczucia i wsparcia niż ja pomocy.

— Chris, wiesz, na czym polega twój problem?

— Jestem zbyt przystojny?

— Tak, jasne — parsknęła.

— Zbyt inteligentny?

— Zbyt mocno się angażujesz. I lekkomyślnie.

— Muszę poprosić mojego lekarza, żeby dał mi jakieś tabletki

na wyluzowanie.

— Kocham cię za to, ale kiedyś naprawdę napytasz sobie biedy.

— Tu chodzi o przyjaciela — przypomniałem jej delikatnie. — Zresztą nic mi nie będzie. Bobby już tu jedzie.

— Aha. No to zacznę obmyślać mowę pogrzebową.

— Powtórzę mu to.

— Dwaj kłowni.

— Niech zgadnę... jesteśmy jak Flip i Flap.

— Zgadza się. Żaden z was nie jest dość bystry, żeby awansować przynajmniej na Charliego Chaplina.

— Kocham cię, Goodall.

— Kocham cię, Snowman.

Wyłączyłem telefon i już miałem odwrócić się od okna, kiedy znów dojrzałem jakiś ruch na ulicy. Tym razem z pewnością nie był to cień chmury.

Tym razem zobaczyłem małpy.

Przypiąłem telefon do paska, by mieć wolne ręce.

Małpy nie poruszają się w gromadzie. Właściwe określenie dla większej liczby małp tworzących jedną grupę to nie gromada ani horda, nie tabun i nie sfora, lecz stado.

Ostatnio dowiedziałem się wielu rzeczy o małpach, nie tylko tego, jak należy nazywać większą ich grupę. Powody były oczywiste; gdybym mieszkał w Luizjanie, z tych samych przyczyn zostałemby ekspertem od aligatorów.

Tu i teraz, w Umarłym Miasteczku, widziałem przed sobą stado małp zmierzających w tym samym kierunku, w którym chciałem udać się i ja. W blasku księżyca ich futra wydawały się srebrzyste.

Pomimo sprzyjających okoliczności, dzięki którym mały były bardziej widoczne niż zazwyczaj, nadal nie mogłem się ich doliczyć. Pięć, sześć, osiem... Niektóre poruszały się na czterech łapach, inne szły w pozycji półwyprostowanej; kilka stało prawie całkiem prosto. Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Nie poruszały się szybko, co chwila podnosiły głowy, rozglądając się badawczo na boki, czasami zerkały podejrzliwie do tyłu. Choć ich postawa i niepewne zachowanie mogły sugerować, że czegoś się obawiają, byłem pewien, że wcale nie odczuwają strachu i że raczej szukają czegoś, polują na coś.

Może na mnie.

Piętnaście, szesnaście.

Mały występujące na arenie cyrkowej, ubrane w zabawne, kolorowe stroje, mogą co najwyżej wzbudzać śmiech. Jednak te stworzenia nie tańczyły, nie tarzały się po scenie, nie robiły min ani nie grały na miniaturowych akordeonach. Żadna z nich nie wyglądała na zainteresowaną karierą w show-biznesie.

Osiemnaście.

Były to rezusy, gatunek najczęściej wykorzystywany do badań laboratoryjnych. Wszystkie osiągnęły maksymalne rozmiary dla tego gatunku: miały ponad dwie stopy wzrostu i ważyły dwadzieścia do trzydziestu funtów. Wiedziałem z przykrego doświadczenia, że te konkretne rezusy były szybkie, sprawne, silne, niezwykle inteligentne i niebezpieczne.

Dwadzieścia.

W wielu miejscach na świecie mały żyją w różnych środowiskach naturalnych; od dżungli do wysokich, ośnieżonych gór. Nie spotyka się ich jednak w Ameryce Północnej — prócz

tych, które wędrują nocą w okolicach Moonlight Bay. Z ich istnienia zdaje sobie sprawę zaledwie garstka mieszkańców miasta.

Teraz wiedziałem już, dlaczego ptaki, które przysiadły na moim drzewie, zachowywały się tak cicho. Przeczuwały nadejście tej niesamowitej parady.

Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa.

Stado rozrastało się do rozmiarów batalionu.

Czy wspominałem już o zębach? Małpy są wszystkożerne i jak dotąd nie uległy żadnemu z argumentów wegetarian. Zasadniczo odżywiają się owocami, orzechami, ziarnami, liśćmi i ptasimi jajami, kiedy jednak mają ochotę na odrobinę mięsa, nie gardzą takimi specjałami, jak robaki, pająki czy myszy, szczury i krety. Nigdy nie przyjmujcie od małpy zaproszenia na kolację, jeśli nie wiecie wcześniej, jak wygląda menu. Wracając do wszystkożerności — właśnie dlatego, że małpy jedzą także mięso, mają ostre zęby i wielkie kły, którymi rozrywają zdobycz.

Zwykle małpy nie atakują ludzi, są aktywne w ciągu dnia, a nocą odpoczywają — jedyny wyjątek stanowi tutaj pewien nocny gatunek małp z Ameryki Południowej.

Jednak małpy, które nocą wędrują ulicami Fortu Wyvern, nie są zwyczajne. To okrutne, przepełnione nienawiścią, psychotyczne potwory. Gdyby miały do wyboru tłustą mysz w smakowitej panierce albo możliwość wydrapania wam oczu, bez chwili zastanowienia wybrałyby to drugie.

Naliczyłem dwadzieścia dwie sztuki, gdy nagle całe stado zmieniło na moment kierunek, a ja bezpowrotnie straciłem rachubę. Małpy zbiły się w ciasną gromadę, jakby chciały

przeprowadzić wspólną naradę. Zachowywały się przy tym tak konspiracyjnie, że można by przypuszczać, iż to jedna z nich była ową tajemniczą postacią, którą zauważono na trawiastym wzgórzu w Dallas w dniu śmierci Kennedy'ego.

Choć nie okazywały żadnego zainteresowania domkiem, który krył moją skromną osobę, znajdowały się dość blisko, by przyprawić mnie o zimny dreszcz. Wyglądając podniesione włosy na karku, zastanawiałem się, czy nie powinienem przejść teraz szybko do tylnego wyjścia i opuścić dom, nim te paskudne stworzenia zapukają do drzwi.

Gdybym jednak wyszedł teraz na zewnątrz, nie wiedziałbym, w którym kierunku odeszło stado. Wtedy mógłbym natknąć się na nie w bocznej uliczce, a konsekwencje takiego spotkania byłyby dla mnie fatalne.

Naliczyłem dwadzieścia dwie, ale z pewnością było ich znacznie więcej, może nawet trzydzieści. Mój glock mieścił w magazynku dziesięć pocisków. Dwa już zużyłem, a w kieszonce przy kaburze miałem tylko jeszcze jeden magazynek. Gdybym nawet w jakiś cudowny sposób upodobnił się do Annie Oakley i nie zmarnował ani jednej kuli, wciąż miałbym przeciwko sobie dwanaście bestii.

Pojedynek z trzystu funtami rozwścieczonych małych mięśni — nie tak wyobrażam sobie walkę fair. Mój ideał takiej walki to jedna bezbronna, bezzębna i krótkowzroczna mała przeciwko helikopterowi Blackhawk.

Tymczasem zwierzęta na ulicy wciąż nad czymś się naradzały. Zbiły się tak ciasno, że wyglądały z dala jak jeden wielki organizm o wielu głowach i ogonach.

Nie miałem pojęcia, co one wyprawiają. Pewnie dlatego, że nie jestem małą.

Przysunąłem się bliżej okna, by wyraźniej widzieć scenę, jaka rozgrywała się na moich oczach, i zrozumieć jej znaczenie.

Wśród tłumu naukowców, którzy bawili się w Boga w głębokich bunkrach Wyvern, największy entuzjazm i zainteresowanie wzbudzały badania mające na celu zwiększenie zarówno ludzkiej, jak i zwierzęcej inteligencji, a także sprawności, wytrzymałości, szybkości, polepszenie zmysłów wzroku, słuchu i zapachu (nie muszę chyba dodawać, że właśnie ten projekt otrzymywał też największe dofinansowanie). Kluczem do sukcesu miał być transfer materiału genetycznego, jednak nie chodziło tu o wymianę genów pomiędzy poszczególnymi osobnikami, lecz całymi gatunkami.

Choć moja matka była wybitnym, wręcz genialnym badaczem, na pewno nie miała w sobie nic z szalonego naukowca. Ponieważ zajmowała się genetyką teoretyczną, nie spędzała zbyt wiele czasu w laboratoriach. Wszystko, czego potrzebowała, kryło się w jej głowie, a umysł miała wyposażony lepiej od najwspanialszego laboratorium uniwersyteckiego. Większość czasu spędzała w swoim biurze w Ashdon College, gdzie tworzyła teorie, sprawdzane potem w praktyce przez mniej zdolnych naukowców. Jej zamiarem nie było doprowadzenie do zagłady ludzkości, lecz jej udoskonalenie. Jestem przekonany, że przez długi czas nie miała pojęcia o lekkomyślnych i nikczemnych projektach, do których wykorzystywano jej prace w laboratoriach Wyvern.

Transfer materiału genetycznego pomiędzy gatunkami. Poszukiwanie superrasy. Szalona próba stworzenia idealnego, niezwycięzonego żołnierza. Superinteligentne i supersprawne istoty przeznaczone do różnych zadań na przyszłych polach walki. Niesamowita broń biologiczna, maleńka jak bakteria albo wielka jak niedźwiedź grizzly.

Dobry Boże.

Kiedy myślę o podobnych okropnościach, zaczynam tęsknić do starych dobrych czasów, kiedy to najbardziej ambitni z szalonych naukowców zadowalali się marzeniami o bombach atomowych, broni laserowej zamontowanej na sztucznych satelitach czy gazach bojowych, których ofiary pękałyby niczym gąsienice posypane solą przez okrutnych chłopców.

Bez trudu pozyskiwano do tych eksperymentów różne zwierzęta, jako że te zazwyczaj nie mogą pozwolić sobie na wynajęcie drogich adwokatów, którzy broniliby ich praw. Jednak co dziwniejsze, równie łatwo wynajdywano materiał ludzki. Żołnierze skazani za szczególnie okrutne przestępstwa na karę dożywocia mogli dokonać wyboru; albo długie lata ponurej egzystencji za kratkami, albo znaczne skrócenie wyroku i udział w tym tajnym przedsięwzięciu.

Potem nastąpiła katastrofa.

Wielka katastrofa.

Każde ludzkie przedsięwzięcie napotyka wcześniej czy później jakieś poważne trudności albo kończy się całkowitą klapą. Niektórzy twierdzą, że to dowód na panowanie chaosu we wszechświecie. Inni powtarzają, że to Bóg karze za grzechy. Tak czy inaczej, rasa ludzka składa się w zdecydowanej większości

z Flipów i Flapów.

Materiał genetyczny przenoszony był pomiędzy komórkami poszczególnych gatunków za pomocą retrowirusa, będącego dziełem mojej genialnej mamy, Wisterii Jane Snow, która jakimś cudownym sposobem znajdowała jeszcze czas na pieczenie cudownych ciasteczek z czekoladą. Ten sztucznie stworzony retrowirus miał być delikatny, niepełnosprawny — to jest, sterylny — i całkiem nieszkodliwy; po prostu żywe narzędzie, które wykonywałoby jedynie to, czego od niego oczekiwano. Po spełnieniu swojego zadania retrowirus miał zginąć. Wkrótce jednak zamienił się w żywotne, wydajne i zaraźliwe paskudztwo, przenoszone w wydzielinach nawet przez dotyk, powodujące coś gorszego od choroby — zmiany genetyczne. Te mikroorganizmy przyswoiły sobie różne fragmenty DNA obecne w laboratorium i przeniosły je do ciał naukowców, którzy przez jakiś czas nie mieli pojęcia o tym, że podlegają powolnym, lecz zasadniczym zmianom. Nim zrozumieli, co się z nimi dzieje i dlaczego, niektórzy pracownicy Wyvern zaczęli się zmieniać... by wkrótce upodobnić się do eksperymentalnych zwierząt trzymanyh w klatkach.

Kilka lat temu proces ten ujawnił się w sposób oczywisty, kiedy w laboratoriach doszło do gwałtownych i tragicznych wydarzeń. Nikt nie potrafił mi wyjaśnić, co się właściwie stało. Naukowcy zabijali się nawzajem w szalonej, dzikiej walce. Zwierzęta eksperymentalne albo uciekły, albo zostały celowo wypuszczone na wolność przez ludzi, którzy czuli się z nimi spokrewnieni.

Wśród tych zwierząt były także rezusy o znacznie podwyższonym poziomie inteligencji. Choć zawsze wydawało mi

się, że poziom inteligencji jest wprost proporcjonalny do wielkości mózgu i stopnia pofałdowania jego powierzchni, te małpy wcale nie miały powiększonych mózgów. Prócz kilku drobnych, choć istotnych szczegółów nie różniły się niczym od swoich normalnych pobratymców.

Od tej pory rezusy wciąż pozostają w ukryciu. Uciekają przed władzami federalnymi i wojskowymi, które starają się po cichu usunąć wszystkie dowody tragicznych wydarzeń z Wyvern, nim społeczeństwo dowie się, że wybrani przez nie ludzie sami doprowadzili do końca znanego nam świata. Oprócz policjantów i żołnierzy biorących aktywny udział w tej konspiracji tylko garść cywili zna straszliwą prawdę. Gdyby jednak ktokolwiek z nas próbował obwieścić ją światu, zostałby natychmiast zlikwidowany, podobnie jak owe nieszczęsne małpy.

To właśnie tacy ludzie zabili moją matkę. Twierdzą, że była przerażona wynikami prac, do których użyto jej odkryć, że popełniła samobójstwo, wjeżdżając rozpędzonym samochodem w przęsło mostu na południe od miasta. Ale moja matka nie była tchórzem. Nigdy nie pozwoliłaby na to, bym samotnie musiał stawić czoło okropieństwu odmienionego świata. Przypuszczam, że chciała powiedzieć o wszystkim światu, przekazać prawdę poprzez media, stworzyć program ratunkowy większy od tego, co kryje się pod Wyvern, większy od projektu Manhattan, przedsięwzięcie z udziałem najlepszych genetyków na świecie. Więc ktoś pomógł jej przenieść się na tamten świat. To tylko moje przypuszczenia, nie mam żadnych dowodów. Jednak to była moja matka, wierzę zatem, w co chcę, w co muszę wierzyć.

Tymczasem zaraźliwy retrowirus rozprzestrzenia się szybciej niż inteligentne mały i nikłe są szanse na to, by powstrzymać katastrofę lub przynajmniej ograniczyć jej rozmiary. Nim zdano sobie sprawę z wagi problemu, nim można było wprowadzić kwarantannę, zainfekowani pracownicy Wyvern rozjechali się po całym kraju, unosząc ze sobą zmodyfikowane mikroorganizmy. Mutacje genetyczne dotkną prawdopodobnie wszystkie gatunki. Być może jedyna nierozstrzygnięta kwestia to odpowiedź na pytanie, czy proces ten będzie powolny, rozłożony na dekady czy stulecia, czy też horror rozpocznie się już w najbliższym czasie. Jak dotąd, prócz kilku odosobnionych przypadków zmiany były raczej niewielkie i ograniczone do okolic fortu, ale przeczuwałem, że to jedynie cisza przed burzą. Odpowiedzialni za katastrofę prawdopodobnie rozpaczliwie teraz szukają jakichś środków zaradczych, ale poświęcają także mnóstwo czasu i energii na ukrycie źródła nadchodzących nieszczęść, by nikt nie dowiedział się, kto zawinił.

Członkowie rządu nie chcą stać się celem ataków opinii publicznej i jej gniewu. Nie boją się jedynie utraty posady. Gdyby prawda wyszła na jaw, mogłoby ich spotkać coś znacznie gorszego. Prawdopodobnie byliby sądzeni za zbrodnię przeciw ludzkości. Za jakiś czas przypuszczalnie będą się usprawiedliwiać, twierdząc, że trzymali wszystko w tajemnicy, by zapobiec zamieszkom, panice, a być może nawet międzynarodowej izolacji kontynentu, jednak tym, czego obawiają się najbardziej, jest rozwścieczony tłum, który rozerwałby ich na strzępy.

Być może kilka spośród małych stojących teraz przed domkiem

na ulicy Umarłego Miasteczka należało do owej dwunastki, która uciekła z laboratorium Wyvern tamtej makabrycznej nocy. Większość z nich była już potomkami uciekinierów, wychowanymi na wolności i równie inteligentnymi jak ich rodzice.

Zwykle mały są bardzo hałaśliwe, jednak ta trzydziestka zachowywała absolutne milczenie. Co prawda wydawały się czymś bardzo poruszone, o czym świadczyły ich gwałtowne gesty, jednak ani przez szyby, ani przez otwarte drzwi nie dobiegał mnie żaden odgłos ich narady.

Byłem przekonany, że obmyślają coś paskudnego.

Choć rezusy nie są tak inteligentne jak ludzie, nie mamy nad nimi aż tak dużej przewagi, bym odważył się grać z nimi w pokera o wysoką stawkę. Chyba że najpierw udałoby mi się je upić.

Te niezwykle uzdolnione stworzenia nie stanowią jednak największego zagrożenia zrodzonego w laboratoriach Wyvern. Ten zaszczyt przypada oczywiście retrowirusowi, który może odmienić każde żywe stworzenie. Jednak mały bez wątpienia zajmują drugie miejsce w tej nieciekawej konkurencji.

By docenić wagę problemu, jaki stanowi rozwój tych odmienionych rezusów, wystarczy uzmysłwić sobie, jak dokuczliwą plagą potrafią być szczury, choć nie są nawet odrobinę tak inteligentne jak my. Naukowcy oceniają, że gryzonie niszczą dwadzieścia procent światowych zapasów żywności. Dzieje się tak pomimo faktu, że potrafimy już stosunkowo dobrze radzić sobie z rozrostem populacji i ograniczać ich przyrost naturalny. Wyobraźcie sobie teraz, co

stałoby się, gdyby szczury były w połowie tak inteligentne jak my i przygotowane do walki na bardziej wyrównanych warunkach, niż dzieje się to teraz. Prawdopodobnie stanęlibyśmy w obliczu zagrożenia śmiercią głodową, a jedynym ratunkiem byłaby bezpardonowa wojna na niespotykaną dotąd skalę.

Obserwując mały na ulicy Umarłego Miasteczka, zastanawiałem się, czy mam przed sobą naszych przeciwników z jakiegoś Armagedonu przyszłości.

Oprócz wysokiego poziomu inteligencji posiadają jeszcze jedną cechę, która czyni z nich wrogów bardziej niebezpiecznych od jakichkolwiek gryzoni. Szczury kierują się jedynie instynktem i, o ile nam wiadomo, nie odczuwają emocji wyższego rzędu, natomiast odmienione genetycznie mały nienawidzą nas z całego serca.

Przypuszczam, że darzą nas tak ogromną i gorzką nienawiścią dlatego, iż tworząc je, nie dokończyliśmy dzieła. Mówiąc wprost, spieprzyliśmy całą robotę. Obrabowaliśmy je z prostej zwierzęcej niewinności, spokojnego i szczęśliwego życia. Uczyniliśmy na tyle mądrymi, by stały się świadome szerszego świata i miejsca, jakie w nim zajmują, ale nie daliśmy im możliwości poprawienia tej sytuacji. Są teraz dość inteligentne, by gardzić życiem mały; daliśmy im zdolność do snucia marzeń, lecz nie umożliwiliśmy realizacji tych marzeń. Zostały wyrzucone ze swego miejsca w królestwie zwierząt, a teraz nie mogą znaleźć nowego. Czują się zagubione, wyrzucone poza nawias, przepełnione pragnieniami, których nie mogą spełnić.

Nie dziwię się, że nas nienawidzą. Gdybym był jedną z nich, czułbym to samo.

Moje współczucie na nic by się nie zdało, gdybym wyszedł na ulicę, uścisnął serdecznie łapy najbliższych małąp, dał wyraz oburzeniu, którym napełnia mnie arogancja części przedstawicieli gatunku ludzkiego, i zaśpiewał własną wersję utworu „Nie, nie mamy żadnych bananów”.

W ciągu kilku minut zamieniłbym się w krwawą miazgę.

To prace mojej matki doprowadziły do stworzenia tego stada, a małąpy doskonale o tym wiedzą; w przeszłości już kilkakrotnie próbowały mnie zabić. Moja matka nie żyje, więc nie mogą zemścić się na niej za ten nędzny żywot, który przyszło im wieść. Ponieważ jestem jej jedynym synem, darzą mnie szczególną nienawiścią. Być może powinny. Być może nienawiść do każdego członka rodziny Snowów jest usprawiedliwiona. Ze wszystkich ludzi ja mam najmniejsze prawo do tego, by je osądzać, co nie znaczy wcale, że czuję się zobowiązany płacić za czyny, które popełniła moja matka, kierowana zresztą jak najlepszymi chęciami.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie dziwny odgłos, przypominający pojedyncze uderzenie w wielki dzwon. Małąpi krąg poszerzył się nagle, kiedy zwierzęta odsunęły się od jakiegoś przedmiotu, którego nie mogłem dojrzeć z kryjówki. Później usłyszałem zgrzyt metalu o beton, a kilka większych osobników pochyliło się, by podnieść coś ciężkiego z ziemi.

Zaaferowane małąpy wciąż przesłaniały tajemniczy przedmiot, dostrzegłem jednak, że jest okrągły. Zaczęły toczyć go w kółko, od krawężnika do krawężnika. Niektóre przyglądały się tylko z daleka, inne pomagały podtrzymać go w pionie. W srebrnym blasku księżyca okrągły obiekt przypominał wielką monetę,

która wypadła z kieszeni jakiegoś olbrzyma. Dopiero po chwili zrozumiałem, że jest to pokrywa kanału, którą mały wyciągnęły z jezdni.

Nagle zaczęły krzyczeć i popiskiwać niczym grupa dzieci, które bawią się starą oponą. Z doświadczenia wiedziałem, że takie zachowanie jest im zupełnie obce. Co prawda, jak dotąd tylko raz miałem okazję spotkać się ze stadem twarzą w twarz, jednak wówczas przypominały raczej grupę rozwścieczonych skinów, nafaszerowanych PCP i kokainą, a nie rozbawione i niewinne dzieci.

Szybko znudziły się toceniem pokrywy. Trzy mały próbowały zakreślić nią w miejscu, jakby rzeczywiście była to tylko moneta, i po kilku nieudanych próbach wreszcie osiągnęły swój cel.

Stado znów ucichło. Mały otoczyły wirujący dysk szerokim kręgiem i przyglądały mu się z wielkim zainteresowaniem.

Od czasu do czasu jeden z trzech osobników, który puścił pokrywę w ruch, doskakiwał do niej i rozpędzał na nowo. Poczynania te dowodziły, że mały rozumieją podstawowe prawa fizyki i posiadają zdolności niedostępne dla ich normalnych pobratymców.

Wirujący dysk wydawał przeciągły, metaliczny dźwięk. Tylko ta przejmująca skarga zakłócała ciszę nocy; jednostajne, monotonne zawodzenie.

Widok ruchomego kawałka żelaza nie wydawał mi się aż tak interesujący, bym mógł zrozumieć niezwykłą fascynację, z jaką przyglądało mu się stado mały. Były nim całkowicie pochłonięte, jakby wpadły w jakiś dziwny trans. Nie chciało mi się wierzyć, by

całkiem przypadkowo dysk osiągnął właśnie taką prędkość i wydawał taki dźwięk, jaki konieczny jest do wprowadzenia małp w stan hipnozy.

Być może wcale nie byłem świadkiem zabawy czy gry, lecz jakiegoś obrzędu, rytuału, którego symboliczne znaczenie było oczywiste dla małp, dla mnie zaś stanowiło niezgłębianą tajemnicę. Pojęcia „rytuał” i „symbol” świadczyły nie tylko o zdolności do abstrakcyjnego myślenia, ale sugerowały także, że życie tych małp miało wymiar duchowy, że były nie tylko inteligentne, ale i zdolne do rozmyślań o początkach wszechrzeczy i o sensie swego istnienia.

Ta myśl przeraziła mnie tak bardzo, że omal nie odwróciłem się od okna.

Pomimo nienawiści, jaką żywiły w stosunku do ludzkości, i pomimo ich zamiłowania do przemocy, naprawdę szczerze im współczułem. Żyły poza nawiasem, ot, wyrzutki bez własnego miejsca w świecie. Jeśli rzeczywiście osiągnęły taki stopień rozwoju, by móc myśleć o Bogu i kosmosie, doznawały też prawdopodobnie tych samych tęsknot i niepokojów, które ludzkość zna już od wieków, zadawały sobie te same pytania: dlaczego Bóg skazuje nas na takie okropne cierpienia, dlaczego nie pozwala odnaleźć siebie już tu, na tej ziemi, dlaczego nie możemy ujrzeć jego twarzy, dotknąć go, przekonać się, że istnieje naprawdę. Jeśli rzeczywiście dzielą z nami ten ból niespełnienia, to nie tylko doskonale je rozumiem, ale i lituję się nad nimi.

A skoro odczuwam dla nich litość, to czy będę mógł zabić je bez wahania, broniąc swojego życia czy też życia któregoś z przyjaciół? Podczas jednego z poprzednich spotkań musiałem

odpowiedzieć ogniem na ich zjadłe ataki. Łatwo naciskać spust, kiedy twój przeciwnik jest bezmyślny jak rekin. Nie wahasz się też w sytuacji, kiedy nienawidzisz swojego wroga równie mocno, jak on nienawidzi ciebie. Lecz uczucia takie jak litość i współczucie zmuszają do zastanowienia, opóźniają reakcje. Współczucie może być kluczem do bram niebios — jeśli gdzieś istnieje takie miejsce — lecz w walce z bezlitosnym przeciwnikiem stanowi tylko dodatkowe utrudnienie.

Tymczasem dysk wirował coraz wolniej, a wydawane przez niego dźwięki stawały się coraz to niższe i głębsze.

Tym razem żadna z małą nie ruszyła się, by podtrzymać żelazną pokrywę. Wszystkie patrzyły z fascynacją, jak dysk wychyla się z pionu i traci równowagę, by wreszcie po kilku ostatnich podrygach opaść płasko na ulicę.

W chwili gdy krąg osiadł z trzaskiem na betonowej powierzchni, zwierzęta zastygły w bezruchu. Metaliczny brzęk niósł się jeszcze przez chwilę po ulicach Umarłego Miasteczka, by wreszcie ustąpić ciszy tak absolutnej, jakby cały świat zamknięty został nagle w dźwiękoszczelnej kapsule. Wszystkie mały wpatrywały się w żelazną pokrywę, nieruchome, zafascynowane.

Po chwili, jakby zbudzone z głębokiego snu, ruszyły niepewnie w stronę dysku. Okręzały go powoli, opierając pięści o ziemię, przyglądały mu się z uwagą niczym Cyganka, która z fusów odczytuje czyjaś przyszłość.

Kilkoro zwierząt zostało z tyłu. Być może dysk onieśmiał je w jakiś sposób, a może czekały tylko na swoją kolej. Te mały ostentacyjnie przyglądały się wszystkiemu prócz żelaznej pokrywy; patrzyły na ulicę, na drzewa, na usiane gwiazdami

niebo.

Jedna z nich spojrzała na domek będący moją kryjówką.

Nie wstrzymałem oddechu ani nie odsunąłem się od okna. Byłem pewien, że ten budynek niczym nie odróżnia się od innych opuszczonych i zaniedbanych domów w okolicy. Nawet otwarte drzwi nie stanowiły tu wyjątku; większość budynków stała otworem dla wszystkich nieoczekiwanych gości.

Małpa przyglądała się mojej kryjówce przez kilka sekund, po czym wzniosła pysk ku błyszczącej tarczy księżyca. Jej postawa wyrażała głęboką melancholię — a może to tylko ja stałem się nagle zbyt sentymentalny, przypisując małpie więcej ludzkich cech, niż nakazuje to zdrowy rozsądek.

Później, choć nie ruszyłem się ani nie wydałem żadnego dźwięku, rezus podskoczył nagle, stanął wyprostowany, przestał zupełnie interesować się księżycem i znów spojrzał na mój domek.

— Tylko bez głupich numerów — mruknąłem.

Powolnym krokiem małpa zeszła z ulicy, wkroczyła na chodnik, upstrzony cienistymi plamami liści wawrzynu, i znów się zatrzymała.

Odruchowo chciałem odsunąć się od okna, pozostałem jednak na miejscu. We wnętrzu budynku panowała ciemność równie gęsta jak ta, która zalega w zamkniętej trumnie Draculi, mogłem więc czuć się niewidzialny. Szeroki daszek nad werandą nie dopuszczał tutaj blasku księżyca.

Żałosny mały potwór nie patrzył jednak na okna salonu, lecz oglądał uważnie cały dom, jakby zastanawiał się nad jego kupnem.

Jestem niezwykle wyczulony na grę światła i cieni, która jest dla mnie bardziej zmysłowa niż ciało kobiety. Tym ostatnim mogę cieszyć się bez żadnych ograniczeń, światło zaś jest mi dostępne tylko w ograniczonym stopniu. Dlatego każda forma iluminacji jest dla mnie niemal erotycznym doznaniem, doskonale czuję pieszczotę każdego promienia. Tutaj, w drewnianym domku na skraju Umarłego Miasteczka, z pewnością znajdowałem się poza zasięgiem jakiegokolwiek oświetlenia, stanowiłem część mroku.

Małpa znów podeszła kilka kroków i zatrzymała się na chodniku prowadzącym na werandę. Stała teraz zaledwie o dwadzieścia jardów ode mnie.

Kiedy obróciła głowę, na moment ujrzałem błyszczące oczy. Zazwyczaj żółtawe i równie złowrogie jak oczy urzędnika skarbowego, teraz płonęły złowieszczą czerwienią. Krył się w nich ów tajemniczy i niepokojący blask, charakterystyczny dla oczu większości zwierząt prowadzących nocny tryb życia.

Nie widziałem dokładnie małpy ukrytej w cieniu wawrzynu, lecz nieustanny ruch jej czerwonych oczu świadczył o tym, że bungalow interesuje ją w jakiś sposób, choć nadal nie mogła zapewne określić, co wywołało to zainteresowanie. Być może usłyszała szelest myszy ukrytej w trawie — albo ptasznika równie często spotykanego w tym regionie — i nabrała ochoty na smakowitą przekąskę.

Tymczasem pozostałych członków stada nadal absorbowwała żelazna pokrywa kanału.

Oczy zwykłych rebusów, aktywnych raczej za dnia niż w nocy, nie świecą w ciemności. Małpy ze stada w Wyvern widzą w nocy

lepiej niż jakiegokolwiek inne naczelne, ale z doświadczenia wiedziałem, że daleko im jeszcze do kotów czy sów. Pod tym względem nadal jeszcze niezbyt wiele dzieli je od zwykłych małp, które przywieziono niegdyś do laboratoriów Wyvern. W miejscu całkiem pozbawionym światła są równie bezradne jak ja.

Ciekawska bestia — nazwałem ją w myślach Panem Wścibskim — przesunęła się o kolejne trzy kroki do przodu, opuszczając cień drzewa. Teraz była zaledwie o piętnaście stóp ode mnie, nie dalej niż trzy stopy od werandy.

Przystosowanie do życia w ciemności to prawdopodobnie nieoczekiwany efekt uboczny eksperymentów, jakie powołały te istoty do życia, jednak, o ile mi wiadomo, prócz wzroku żaden inny zmysł tych małp nie uległ poprawie. Zwyczajne rezusy i rezusy z Wyvern nie mają tak wyczulonego węchu jak psy, nie potrafią tropić zwierzyny. Wyczułyby mnie nie wcześniej niż ja je, a więc z odległości dwóch czy trzech stóp — nawet biorąc pod uwagę fakt, że małpy raczej rzadko używają mydła i szamponu. Nie grzeszą także zbyt wyczulonym słuchem i nie potrafią latać. Choć mogą być niebezpieczne, szczególnie w dużych grupach, nie są jednak istotami o nadzwyczajnych zdolnościach, które giną jedynie przeszyte srebrną kulą czy odłamkiem kryptonitu.

Pan Wścibski przykucnął na chodniku, objął się jednym ramieniem, jakby sam chciał się pocieszać, i znów podniósł głowę do księżyca. Przez dłuższy czas siedział nieruchomo w takiej pozycji i patrzył w niebo, jakby całkiem zapomniał o moim bungalowie.

Spojrzałem na zegarek. Zaczynałem się martwić, że nie zdążę na umówione spotkanie z Bobbym.

On także mógł się natknąć na stado rezusów, które nieświadomie więziły mnie w tym domu. Nawet człowiek tak pomysłowy jak Bobby Halloway nie poradziłby sobie sam z trzydziestoma wściekłymi małpami.

Pomyślałem, że jeśli te złośliwe bestie nie wyniosą się stąd w najbliższym czasie, będę musiał zaryzykować i zadzwonić do Bobby'ego, by go ostrzec. Szczególnie obawiałem się elektronicznego sygnału, który wyda mój telefon komórkowy. W ciszy martwego miasta ten dźwięk będzie równie donośny jak kichnięcie mnicha w klasztorze, w którym wszyscy składali śluby milczenia.

Pan Wścibski przestał wreszcie kontemplować księżyc, opuścił wzrok i podniósł się z chodnika. Wyprostował chude ramiona, potrząsnął głową i ruszył z powrotem na ulicę.

Dokładnie w chwili, gdy wypuszczałem z płuc długie westchnienie ulgi, mały potwór wrzasnął przeraźliwie, a jego krzyk mógł być zinterpretowany tylko jako sygnał alarmowy.

Wszyscy członkowie stada jak jeden mąż podnieśli głowy, odskoczyli od żelaznego kręgu i odwrócili się w stronę rozwrzeszczanej małpy.

Piszcząc, becząc, wyjąc i rycząc, Pan Wścibski podskakiwał jak opętany w jednym miejscu, przechylał się z boku na bok, przewracał, znów się podnosił, walił pięściami w chodnik, syczał i warczał, rwał pazurami powietrze, jakby był to kawałek grubej tkaniny, przekręcał się i obracał, jakby chciał zobaczyć własny tyłek, fikał koziołki, skakał, walił pięściami w klatkę piersiową, syczał, pluł i parskął, kiwał się na boki i przykucał, tarzał się i biegł w stronę domku tylko po to, by nagle zawrócić

i pospieszyć ponownie na ulicę, okraszając to wszystko piskiem o takiej częstotliwości, że powinny popękać od niego wszystkie szyby w oknach.

Choć był to dosyć prymitywny język, treść przekazu nie budziła najmniejszych wątpliwości.

Większość małp stała w sporej odległości od bungalowu, wszystkie jednak patrzyły w tę stronę, widziałem ich czerwone oczy, które roiły się w ciemności jak stado robaczków świętojańskich.

Kilka z nich zaczęło pohukiwać i mrużyć coś pod nosem. Nie były tak histerycznie rozwrzeszczane jak Pan Wścibski, ale wydawane przez nie odgłosy z pewnością nie przypominały serdecznych pozdrowień.

Wyciągnąłem glocka z kabury.

Osiem pocisków w pistolecie.

Dziesięć kul w zapasowym magazynku.

Osiemnaście strzałów. Trzydzieści małp.

Dokonałem tych obliczeń już wcześniej. Teraz sprawdziłem je ponownie. Zawsze bardziej interesowałem się poezją niż matematyką, nie ufałem więc swoim rachunkom. Niestety, tym razem nie mogłem się mylić.

Pan Wścibski znów podbiegł do domku, ale nie zawrócił jak przy poprzednich próbach.

Za jego plecami pojawiło się całe stado. Małpy szły równym szeregiem przez trawnik, prosto do wejścia. Zachowywały przy tym całkowitą ciszę, podporządkowane organizacji i dyscyplinie, zdumiewającej i śmiertelnie niebezpiecznej.

7

Wciąż byłem przekonany, że rezusy nie mogły mnie zobaczyć, usłyszeć ani poczuć, musiały jednak wyczuć moją obecność w jakiś inny sposób, nie przypuszczałem bowiem, by dawały jedynie wyraz swej dezaprobachie dla niewyszukanej architektury drewnianego domku. Kierowała nimi wściekłość, którą miałem okazję widzieć już wcześniej, furia zarezerwowana dla gatunku ludzkiego.

Co więcej, zgodnie z ich rozkładem nocy zbliżała się właśnie pora kolacji. W porównaniu z porcją myszy czy soczystych pajaków stanowiłem smakowity kąsek, odmianę od conocnej diety, na którą składały się głównie owoce, orzechy, liście czy nasiona.

Odwróciłem się od okna i przeszedłem przez salon, wyciągając przed siebie wyprostowane ręce. Znałem rozkład domku na pamięć, toteż poruszałem się szybko, bez wahania. Dotknąłem futryny i precyzyjnie przeszedłem przez niedomknięte drzwi do jadalni.

Choć mały nadal zachowywały milczenie, słyszałem stukot ich łap o drewnianą podłogę werandy. Miałem nadzieję, że zatrzymają się na moment przed wejściem, co pozwoli mi znaleźć jakąś kryjówkę.

Poszarpana, krzywa stora przesłaniała większą część małego okna w jadalni. Słaby blask księżyca, który przenikał przez wąski otwór do pokoju, nie był w stanie rozproszyć gęstego mroku.

Szedłem dalej, ponieważ wiedziałem, że drzwi do kuchni znajdują się naprzeciwko drzwi salonu, które właśnie zostawiłem za sobą. Tym razem, przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, nie musiałem nawet drewnianej futryny.

Story ani zasłony nie zakrywały pary okien kuchennych umieszczonych nad zlewem. Powleczone warstwą księżycowego światła, błyszczały tą dziwną, niesamowitą poświatą, widoczną na ekranie telewizora tuż po jego wyłączeniu.

Linoleum skrzypiało głośno pod moimi stopami. Jeśli któryś z członków stada wszedł już do wnętrza domku, na pewno usłyszał ten hałas.

Powietrze przesycone było okropnym smrodem, od którego zbierało mi się na wymioty. Jakiś szczur czy inne drobne zwierzę zdechło zapewne w kącie kuchni albo w jednej z szafek, a rozkładające się zwłoki tak paskudnie cuchnęły.

Wstrzymując oddech, pospieszyłem do tylnych drzwi, przeszklonych w górnej połowie. Były zamknięte.

W czasie gdy Fort Wyvern funkcjonował jeszcze na normalnych zasadach, wojskowe władze zapewniały swym pracownikom całkowite bezpieczeństwo, nikt więc nie musiał obawiać się, że zostanie napadnięty we własnym domu. Dlatego też montowano tu proste zamki, zamykane na klucz tylko z zewnątrz.

Odszukałem po omacku guzik zwalniający zamek, umieszczony pośrodku drewnianej gałki. Chciałem ją już

przekręcić i otworzyć drzwi, kiedy za oknem mignął cień małpy, zeskakującej z dachu domku.

Zdjąłem dłoń z gałki i cofnąłem się cicho o dwa kroki, rozważając jednocześnie różne możliwości działania. Mogłem otworzyć drzwi i z pistoletem w dłoni śmiało wkroczyć pomiędzy krwiożercze bestie niczym Indiana Jones, tyle że bez pejcza i kapelusza, licząc na to, że z samego szacunku dla tak niezwykłego czynu małpy zostawią mnie w spokoju. Poza tym mogłem jedynie zostać w kuchni i czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Kolejna ciekawska małpa wskoczyła na parapet okna kuchennego. Trzymając się jedną łapą futryny, przycisnęła pysk do szyby i zajrzała do środka.

Ponieważ odwrócona była plecami do księżyca, nie widziałem dokładnie jej twarzy, jedynie rozpalone, czerwone oczy. I białą kreskę zębów.

Małpa odsunęła się nieco od szyby, przechyliła głowę na bok, potem na drugi, i znów przywarła do okna. Patrząc na jej szeroko otwarte ślepia i pytające spojrzenie, którym próbowała przebić gęstą ciemność, domyśliłem się, że nie widzi ani mnie, ani sprzętów kuchennych.

Dwie możliwości. Zostać tutaj i dać się zamknąć w pułapce. Wybiec w noc i zostać rozerwanym na strzępy.

Jakkolwiek bym postąpił, efekt końcowy byłby taki sam. Najgorszy surfer wie, że bez względu na to, czy da się wynieść fali zbyt daleko i rzucić na brzeg, czy też wpłynie prosto w gęstwinę jakiegoś morskiego zielska, rezultat jest ten sam; wyląduje w wodzie.

Kolejna mała zajęła miejsce na parapecie drugiego okna.

Podobnie jak większość z nas, mieszkańców tego przesiąkniętego filmową rzeczywistością świata, miewam czasem napady narcyzmu i wyobrażam sobie, jaka to muzyka towarzyszyłaby różnym chwilom mojego życia; ckliwe, sentymentalne partie smyczków, kiedy popadam w zadumę i smutek; głośne, poruszające rapsodie na orkiestrę symfoniczną w chwilach triumfu; zabawne melodie sprzed lat wygrywane na pianinie, kiedy popełniam jakieś głupstwo. Sasha twierdzi, że wyglądam jak James Dean, i choć ja nie dostrzegam tego podobieństwa, przyznaję ze wstydem, że czasami te porównania do słynnej postaci sprawiają mi niekłamaną przyjemność; właściwie bez trudu mógłbym przedstawiać wydarzenia z mego prawdziwego życia w sposób, w jaki hollywoodzcy producenci prezentowali życie *Buntownika bez powodu*. Z kolei wydarzenia sprzed kilku chwil, kiedy za oknem pojawił się cień małpy, to idealny podkład do krzyku skrzypiec ze sceny pod prysznicem z *Psychozy*. Teraz zastanawiałem się nad następnym ruchem, otoczony przez krwiożercze małpy; wyobraźcie sobie tylko, że w tle słychać pulsujące tony kontrabas, przeplatane niepokojącymi dźwiękami klarnetu.

Choć czasami ten nastrój filmowy udziela mi się tak mocno, że przypisuję sobie cechy ulubionych bohaterów, tym razem zachowałem trzeźwość umysłu i postanowiłem raczej mocno stąpać po ziemi. Poza tym James Dean to nie Harrison Ford i w większości swoich nielicznych filmów to w końcu on wychodzi przegrany.

Odsunąłem się od okien i wejścia do jadalni. Po kilku krokach

uderzyłem w szafki.

Szafki kuchenne we wszystkich domkach Umarłego Miasteczka wyglądały identycznie; proste, lecz wytrzymałe, osadzone w brzozowych ramach, powleczone licznymi warstwami farby, pod którymi zniknęły prawie całe zawiasy. Błaty kredensu pokrywał kraciasty lub marmurkowy laminat.

Wiedziałem, że nim mały przedostaną się do kuchni wejściem frontowym, muszę zejść z podłogi. Nawet gdybym stał oparty o ścianę, wciśnięty w róg pomieszczenia, całkiem nieruchomy, wciągając powietrze równie bezgłośnie, jak ryba wciąga wodę do skrzel, i tak z pewnością bym się zdradził. Linoleum było nierówne i zeszywniałe, skrzypiałoby przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, ba, załamałoby się nawet pod ciężką myślą. Jestem pewien, że ten dźwięk zdradziłby mnie w momencie najgłębszej ciszy.

Przypuszczałem, że pomimo ciemności tak gęstej, iż niemal namacalnej, i pomimo straszliwego smrodu rozkładu, który tłumiał wszelkie inne zapachy, nie uda mi się umknąć uwadze małą przetrząsających kuchnię, nawet gdyby prowadziły te poszukiwania po omacku. Niemniej musiałem spróbować.

Gdybym wszedł na kredens, musiałbym zmieścić się pomiędzy laminowanymi blatami i szeregiem wiszących szafek. Musiałbym leżeć na lewym boku, zwrócony twarzą do kuchni. Podciągając kolana do piersi i zwijając się ciasno w pozycji płodowej, tak by zajmować jak najmniej miejsca, nie miałbym żadnej swobody manewru, gdyby odkryło mnie któreś z tych chodzących osiedli dla wszy.

Odnajdując drogę w ciemności jedynie za pomocą dotyku,

doszedłem do kąta kuchni, gdzie znajduje się wąskie pomieszczenie na miotły, zwieńczone niewielką półką. Gdyby udało mi się wcisnąć do tego schowka i zamknąć za sobą drzwi, szedłbym przynajmniej z trzeszczącego linoleum i odgrodził się jakoś od wścibskiego stada.

Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami odnalazłem wąską szafkę, tyle że bez drzwi. Rozczarowany, wymacałem lewą dłonią jeden wykrzywiony i wyłamany zawias, a potem przesunąłem dłonią w powietrzu, w miejscu, gdzie powinny znajdować się brakujące drzwi, jakby dzięki temu magicznemu gestowi mogły się na powrót zmaterializować.

Jeśli horda małych, które weszły śladem Pana Wścibskiego na werandę, nie zatrzymała się tam na chwilę, by omówić strategię działania lub porozmawiać o cenie kokosów, nie miałem już wiele czasu.

Nie mogłem zastanawiać się ani chwili dłużej.

Wyjąłem zapasowy magazynek z kieszonki przy kaburze i zacisnąłem na nim palce lewej dłoni.

Trzymając przed sobą gotowy do strzału pistolet, wszedłem tyłem do ciasnej szafki. Zastanawiałem się przez moment, czy paskudny zapach śmierci, którym przesycone było powietrze w kuchni, ma swoje źródło właśnie tutaj. Żołądek podszedł mi do gardła, ale na szczęście nie poczułem pod stopami żadnej miękkiej substancji.

Szafka była niemal idealnie dopasowana do moich rozmiarów. By się w niej zmieścić, ściągnąłem tylko lekko ramiona. Choć mam prawie sześć stóp wzrostu, nie musiałem się pochylać; jednak górna półka tak mocno uwierała mnie w ciemię, że

z pewnością odcisnął się tam guzik wieńczący moją czapkę z napisem „Magiczny Pociąg”.

Chcąc uniknąć niewczesnych żalów i nagłego ataku klaustrofobii, postanowiłem nie umilać sobie czasu wyliczaniem wszystkich cech, które upodabniały moją kryjówkę do trumny.

Wkrótce okazało się, że wcale nie miałem czasu do stracenia. Zaledwie wcisnąłem się jakoś do szafki na miotły, do kuchni dotarły pierwsze małpy.

Zdałem sobie sprawę z ich obecności tylko dzięki konspiracyjnym sykom i pomrukom, którymi porozumiewały się w mroku. Przez chwilę stały w progu, jakby badały sytuację, a potem gwałtownie wtargnęły do środka, obracając się na wszystkie strony niczym grupa antyterrorystyczna w mieszkaniu groźnego przestępcy.

Skrzypiące linoleum wystraszyło je nie na żarty. Jedna z małp krzyknęła przeraźliwie, a pozostałe zamarły w bezruchu.

Wydawało mi się, że ta pierwsza grupa składa się tylko z trzech osobników, choć nie mogłem być tego pewien. Widziałem jedynie ich błyszczące czerwone oczy i to tylko przez moment, kiedy patrzyły w moim kierunku. Wciąż stały w jednym miejscu i kręciły głowami.

Oddychałem płytko, przez usta, nie tylko dlatego, że to pozwalało mi zachować ciszę. Oddychanie przez nos naraziłoby mnie na straszliwy smród, od którego już teraz robiło mi się niedobrze. Miałem wrażenie, że czuję na języku smak zatrutego powietrza, co wywoływało intensywne ślinienie i coraz gwałtowniejszy odruch wymiotny.

Po chwili niepewności najodważniejsza z trzech małp ruszyła

naprzód — i znów znieruchomiała, kiedy linoleum zaskrzypiało pod jej łapami.

Jedna z jego towarzyszek zrobiła krok i także zatrzymała się przestraszona tym samym odgłosem.

W mojej lewej łydce nagle zaczął drgać jakiś mięsień. Miałem nadzieję, że drganie nie przerodzi się z czasem w bolesny skurcz.

W kuchni znów zapadła cisza. Wreszcie po dłuższej chwili najtchórzliwsza z trójki małą wydała z siebie cichy, strachliwy pisk.

Możecie nazywać mnie nieczułym i okrutnym prześladowcą małą-mutantów, ale w tych okolicznościach ten żalorny odgłos szczerze mnie ucieszył.

Mały były tak wystraszone, że gdybym nagle krzyknął „Bu!”, podskoczyłyby do samego sufitu i zawisły tam, uczipione ostrymi pazurami. Żywe stalaktyty.

Oczywiście w końcu zeszłyby na podłogę i rozeżłone tym niewinnym żarciem, wyprułyby ze mnie wnętrzości. A to nie byłoby już takie zabawne.

Miałem nadzieję, że jeśli rzeczywiście są tak przerażone, jak mi się wydawało, przeprowadzą tylko pobieżną lustrację i szybko wycofają się na zewnątrz, by tam wyładować swoją złość na Bogu ducha winnym Panu Wścibskim.

Niezwykła inteligencja, jaką obdarzone zostały te rezusy, jest dla nich zarówno przekleństwem, jak i błogosławieństwem. Wraz z inteligencją przychodzi świadomość złożoności świata, ta zaś rodzi tajemnicę, ciekawość. Zabobonny lęk to ciemna strona tego poczucia. Stworzenia o zwykłym, zwierzęcym umyśle boją się rzeczywistych zagrożeń, takich jak drapieżniki. Jednak ci

z nas, którzy nie postrzegają świata jedynie na tym najprostszym poziomie, dręczeni są przez całą menażerię wymyślonych potworów: duchów, goblinów, wampirów i bezlitosnych przybyszów z kosmosu. Co gorsza, nie potrafimy zapomnieć o tych dwóch najbardziej przerażających słowach, obecnych w każdym, nawet małym języku: „co jeśli...”.

Miałem nadzieję, że te trzy rezusy paraliżuje właśnie strach wywołany całą listą przerażających „co jeśli”.

Jedna z małp parsknęła, jakby chciała oczyścić nozdrza ze smrodu, po czym splunęła z niesmakiem.

Inna znów pisnęła strachliwie.

Odpowiedziała jej trzecia z trójki zwiadowców, tym razem jednak nie żałosnym piskiem, lecz wściekłym warknięciem. Tym samym rozwiała moje nadzieje na rychły odwrót przerażonych zwierząt. Przynajmniej jedno z nich zachowało zimną krew i wydawało się dość stanowcze, by przywrócić do porządku pozostałą dwójkę.

Cała trójka weszła głębiej do kuchni, minęła moją kryjówkę i zniknęła mi z oczu. Zapewne nadal nie czuła się tutaj pewnie, ale przestała zwracać uwagę na trzeszczące linoleum.

Tymczasem do pomieszczenia wtargnęła kolejna grupa, także złożona z trzech małp. Podobnie jak poprzednio, widziałem tylko ich lśniące czerwone oczy. Zwierzęta zatrzymały się tuż za progiem i rozglądały ostrożnie. Każde po kolei patrzyło w moim kierunku, najwyraźniej jednak żadne z nich mnie nie dostrzegало.

Z drugiego końca kuchni dochodziło nieustanne skrzypienie popękanego linoleum. Słyszałem jakiś chrobot i odgłosy uderzeń.

Pierwsza grupa wspięła się zapewne na kredens.

Guzik czapki coraz mocniej naciskał na czubek mojej głowy. Czuję się tak, jakby Bóg przycisnął mnie swym wielkim kciukiem, dając w ten niezbyt delikatny sposób do zrozumienia, że oto moje dni dobiegają końca, że mój bilet jest już skasowany, a nić życia przecięta. Gdybym pochylił się nieco do przodu, ucisk znacznie by zelżał, obawiałem się jednak, że szelest tkaniny przesuwanej po desce nie umknąłby uwadze małych. Poza tym drganie mięśnia w lewej łydce szybko przeszło w łagodny skurcz, tak jak przewidywałem; nawet minimalna zmiana pozycji mogła pogłębić skurcz i zmienić lekki ból w cierpienie nie do zniesienia.

Członek drugiej grupy ruszył powoli w moją stronę. Nerwowo rozglądał się, odszukując jednocześnie drogę w ciemności. W miarę jak się zbliżał, coraz wyraźniej słyszałem regularny stukot; uderzając prawą łapą o ścianę, zwierzę utrzymywało orientację w nieznanym terenie.

Tymczasem w drugim rogu kuchni rozległo się skrzypienie zawiasów. Trzasnęły zamykane drzwiczki kredensu.

Najwyraźniej małe otwierały po kolei wszystkie szafki i sprawdzały ich zawartość.

Jeszcze przed chwilą łudziłem się nadzieją, że rezusy nie są dość inteligentne, by przeprowadzić tak dokładne poszukiwania, albo że wręcz przeciwnie, są zbyt inteligentne, by narażać się na niebezpieczeństwo i wsadzać łapy tam, gdzie może czekać na nich uzbrojony mężczyzna, który bez wahania wyśle je do małego piekła. Tymczasem okazało się, że mają dość rozumu, by sprawdzić ewentualne kryjówki, są jednak zbyt lekkomyślne, by zachować ostrożność konieczną w takiej sytuacji. Wiedziałem

o tym już wcześniej, nauczony doświadczeniem poprzednich spotkań; zamknąwszy się jednak w trumnie na miotły — co niemal w tej samej chwili uznałem za idiotyczny pomysł — nie miałem innego wyjścia, jak tylko liczyć na bezmyślność futrzastych bestii.

Opukiwacz ścian był coraz bliżej, dzieliło go ode mnie zaledwie kilka kroków. Jego oczy nadal poruszały się nerwowo z boku na bok.

Znów skrzypienie zawiasów. Drzwi jakiejś szafki trzasnęły głośno.

Skurcz w mojej łydce raptownie przybrał na sile. Pieczenie objęło moją nogę niczym jakaś rozpalona obręcz. Zacisnąłem mocno zęby, by nie jęknąć. Łupała mnie także głowa; miałem wrażenie, że guzik czapki przebił się już przez moją czaszkę, przewiercił mózg i zbliża się właśnie do prawego oka. Ból obejmował kark i zeszywniałe ramiona. Do tego wszystkiego dręczyło mnie wyimaginowane rwanie dziąseł i dziwne uczucie, że nagle w wieku dwudziestu ośmiu lat dorobiłem się paskudnych i dokuczliwych hemoroidów. Ogólnie rzecz biorąc, czułem się... hm, nieciekawie.

Opukiwacz ścian zatrzymał się wreszcie, kiedy dotarł do rogu i odkrył szafkę na miotły. Stał teraz na wprost mnie.

Byłem prawie o cztery stopy wyższy od tej mały i o sto dwadzieścia funtów cięższy. Mimo wszystkich mutacji, jakie zaszły w jej umyśle, byłem także znacznie inteligentniejszy. A jednak patrzyłem na nią ze strachem i obrzydzeniem, kuląc się odruchowo, nie mniej przerażony, niż gdybym miał do czynienia z demonem wyniesionym tu prosto z piekła.

Łatwo żartować sobie z małop-mutantów, kiedy siedzi się w bezpiecznym schronieniu, z dala od stada. Kiedy jednak trzeba stanąć z nimi twarzą w twarz, budzą się w człowieku prymitywne instynkty, pierwotny strach przed obcym. Świat nabiera wtedy wymiarów dziwnego, lecz niezwykle realnego koszmaru.

Nadal szczerze im współczułem, lecz zniknęła litość, która przedtem utrudniała mi trzeźwą ocenę sytuacji. Dobrze.

Sądząc po pozycji, w jakiej ustawione były jej oczy, i ledwie słyszalnym szeleście łap przesuwanych po powierzchni drewna, małpa badała właśnie przednią część szafki, gdzie powinny znajdować się drzwi.

Glock waży niecałe trzy funty, jednak w tej chwili wydawał mi się ciężki jak głaz. Zacisnąłem palec na spuście.

Osiemnaście pocisków.

Właściwie siedemnaście.

Pomyślałem, że będę musiał liczyć kolejne strzały, a ostatnią kulę zachować dla siebie.

Z dołu dobiegł mnie odgłos szarpania i jakieś pomruki. Małpa próbowała zapewne oderwać poluzowany zawias, na którym wisiały kiedyś drzwi szafki.

Moja żałosna kryjówka miała zaledwie dwie stopy głębokości, co oznaczało, że od ciekawskiego zwierzęcia dzielą mnie tylko cale. Gdyby przyszło mu do głowy sięgnąć głębiej, musiałoby mnie odkryć. Tylko straszliwy smród panujący w zamkniętej kuchni nie pozwolił mu jeszcze wyczuć mojej obecności.

Skurcz w lewej łydce wił się niczym drut kolczasty, rozdzierał mięsień dotkliwym bólem. Bałem się, że za chwilę zacznie mi

drgać stopa, i że nie będę w stanie nad tym zapanować.

Gdzieś w pobliżu trzasnęły zamykane drzwiczki.

Inne otworzyły się z głośnym skrzypieniem zawiasów.

Linoleum trzeszczało pod naciskiem drobnych stóp.

Jakaś mała splunęła głośno, jakby chciała pozbyć się smaku stęchłego powietrza.

Miałem dziwne uczucie, że lada moment obudzę się we własnym łóżku, obok Sashy.

Serce, które do tej pory zachowywało się w miarę normalnie, zaczęło walić jak oszalałe, kiedy oczami wyobraźni ujrzałem twarz Sashy. Świadomość, że być może nigdy już nie usłyszę jej głosu, nie przytulę jej do siebie, nie zajrzę w jej dobre oczy; świadomość ta równie mnie przerażała jak perspektywa śmierci z rąk rozszalałych małp. Jeszcze gorsza była myśl o tym, że nie będę mógł stać u jej boku w tym dziwnym i okrutnym nowym świecie, że zostanie sama, kiedy następnego wieczoru noc znów powróci do swego domu, do Moonlight Bay.

Nadal nie widziałem ciała stojącej przede mną mały, tylko jej lśniące czerwone oczy. Kiedy zaglądała podejrzliwie do wnętrza szafy, wydawały się większe, bardziej złowieszcze. Potem powoli podniosła głowę, jej spojrzenie wędrowało coraz wyżej i wyżej, ku mojej twarzy.

Być może miała lepszy wzrok ode mnie, lecz w tej ciemności, równie gęstej jak mrok, który zalega cztery mile pod powierzchnią morza, byliśmy jednakowo bezradni.

A jednak nasze spojrzenia się spotkały.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Byłem pewien, że ten wzrokowy pojedynek nie jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. Zwierzę

nie patrzyło na moje usta ani czoło, tylko prosto w oczy.

Nie odwróciłem wzroku.

Choć źrenice mych oczu nie błyszcząły w ciemności jak źrenice większości zwierząt, małpa mogła dojrzeć w nich słabe odbicie blasku rzucanego przez jej oczy. Być może dostrzegła ledwie zauważalny błysk, który zniknął równie szybko, jak się pojawił, być może wcale nie była pewna, czy to nie przywidzenie, trwała jednak w bezruchu, zdumiona i oczarowana tym zjawiskiem.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem zamknąć oczu, osłaniając je w ten sposób przed ognistym spojrzeniem zwierzęcia. Bałem się jednak, że nie zobaczę wtedy nagłego błysku zrozumienia w jej ślepiach, i nie zdążę wystrzelić, nim mały potwór rzuci się na mnie, wytrąci mi broń z ręki albo wgrzyzie się w moje gardło.

Patrząc na małpę z tak małej odległości, w tak wielkim napięciu, byłem zdumiony, że strach i odraza nie wykluczają całej masy innych emocji, które kotłowały się teraz we mnie; gniewu na tych, którzy powołali do życia ten nowy gatunek, żalu nad rychłym końcem tego pięknego świata, który podarował nam Bóg, zdumienia wywołanego błyskiem nieludzkiej, lecz niewątpliwie wysokiej inteligencji, jaki dostrzegłem w tych dziwnych oczach. Czarnej rozpacz. Samotności. I mimo wszystko... irracjonalnej, dzikiej nadziei.

Stojąc na linii strzału, nie zdając sobie sprawy z tego, że ma przed sobą prawdziwy worek emocji z pistoletem w ręce, małpa gruchała cicho pod nosem, raczej jak gołąb niż rezus. Dźwięk ten wyrażał zaciekawienie i niepewność.

Inny osobnik w drugiej części kuchni wrzasnął przeraźliwie.

Omali nie pociągnąłem za spust.

Dwa inne głosy łajały ten pierwszy.

Ciekawska mała odwróciła się od mojej szafki i odeszła w głąb pomieszczenia, zwabiona nagłym poruszeniem.

Głośne pomruki zwierząt i skrzypienie podłogi świadczyły o tym, że cała szóstka zgromadziła się w jednym miejscu, po drugiej stronie kuchni. Nie widziałem żadnych oczu zwróconych w moją stronę.

Znalazły tam coś interesującego. Mogłem tylko przypuszczać, że chodzi o źródło smrodu.

Zsunąłem palec ze spustu. Poczułem, że coś podeszło mi do gardła — może serce, a może lunch — i musiałem to przełknąć, żeby normalnie oddychać.

W czasie gdy patrzyliśmy sobie z małą w oczy, popadłem w dziwne fizyczne otępienie, tak głębokie, że przestałem nawet czuć dojmujące pieczenie w łydce. Teraz ból powrócił, gorszy jeszcze niż przedtem.

Ponieważ wszyscy mały zwiadowcy pochłonięci byli bez reszty tajemniczym znaleziskiem, spróbowałem rozruszać zastały mięsień, przenosząc ciężar ciała z pięty na palce i z powrotem. Dzięki temu ból nieco zelżał, nie dość jednak, bym miał pewność, że będę poruszał się z wdziękiem, kiedy jedna z mał zaprosi mnie do tańca.

Tymczasem mały zebrane w drugim rogu kuchni wydawały z siebie coraz głośniejsze odgłosy. Były bardzo podekscytowane. Choć nie wierzę, by wypracowały już jakiś język z prawdziwego zdarzenia, ich syki, pomruki i warknięcia najwyraźniej przekazywały jakieś informacje. Miałem wrażenie, że zwierzęta

kłóćą się o coś zajadle, jakby zapomniały, po co w ogóle tutaj przyszły. Łatwo się rozpraszają, działają chaotycznie, wołają forsować swoje racje, niż realizować założony cel — podsumowałem w myślach. Po raz pierwszy te rezusy przypominały do złudzenia ludzi.

Im dłużej przysłuchiwałem się ich głosom, tym mocniej wierzyłem, że jednak wyjdę z tego domku żywy.

Wciąż kołysałem się na lewej stopie, napinając i rozluźniając mięśnie łydki, kiedy jedna z małp odłączyła się od grupy i ruszyła w stronę drzwi do jadalni. Gdy tylko ujrzałem jej lśniące ślepia, znieruchomiałem i udawałem miotłę.

Małpa zatrzymała się w progu i wrzasnęła przeraźliwie. Wołała prawdopodobnie pozostałych członków stada, którzy pozostali na werandzie albo przeszukiwali sypialnie.

Natychmiast odpowiedziały jej inne głosy. Były coraz bliżej.

Perspektywa spotkania z kolejną grupą małp — być może nawet z całym stadem — zdusiła kielkującą we mnie nadzieję na przetrwanie. Kiedy złudne rachuby ustąpiły gwałtownie miejsca czarnej rozpacz, przeanalizowałem jeszcze raz możliwości, nie znalazłem jednak żadnych nowych.

Zdesperowany zapytałem się w myślach, co zrobiłby na moim miejscu nieśmiertelny Jackie Chan. Odpowiedź była prosta; Jackie wykonałby fantastyczny skok, który w okamgnieniu przeniósłby go z szafki na miotły w sam środek stada, błyskawicznym kopnięciem zmiażdżyłby klatkę piersiową najbliższej małpy, potem zrobiłby salto, łamiąc jednocześnie karki dwóch kolejnych przeciwników ciosami karate, okrasiłby to wszystko jakimś cynicznym dowcipem, połamał łapy

niezliczonych wrogów, wykonując zdumiewający piruet najeżony uderzeniami rąk i nóg, skrzywił twarz w prześmiesznym grymasie, podobnym do tych strojonych przez Bustera Keatona i Charliego Chaplina, przez moment stepowała na głowach pozostałych przy życiu członków stada, wreszcie wyskoczył przez okno i zniknął w mroku nocy. Jackiego Chana nigdy nie łapią skurcze.

Tymczasem mój skurcz stał się tak bolesny, że z oczu leciały mi łzy.

W kuchni pojawiły się kolejne mały. Przez cały czas wydawały z siebie podniecone odgłosy, jakby odkrycie jakiegoś zdechłego zwierzaka było idealnym pretekstem do wydania wspaniałego przyjęcia dla przyjaciół i rodziny.

Nie miałem pojęcia, ile rezusów dołączyło do pierwszej szóstki. Może dwa. Może cztery. Nie więcej niż pięć lub sześć.

Za wiele.

Żaden z nowo przybyłych nie wykazywał zainteresowania tą częścią kuchni, w której znajdowała się moja kryjówka. Dołączyli do pozostałych mał zgromadzonych wokół śmierdzącego ścierwa, by tam kontynuować głośną wymianę poglądów.

Wiedziałem, że szczęście nie musi trwać długo. W każdej chwili mały mogły przestać interesować się padliną i powrócić do przerwanych poszukiwań. Osobnik, który niemal mnie odkrył, mógł sobie przypomnieć, że spotkał coś ciekawego w tej okolicy.

Pomyślałem, że powinienem, korzystając z zamieszania, wymknąć się z szafki, przejść wzdłuż ściany, opuścić kuchnię i ukryć się w rogu jadalni, z dala od centrum zainteresowania.

Przed wtargnięciem do kuchni pierwsza grupa zwiadowców z pewnością przeszukała dokładnie to pomieszczenie; nie przypuszczałem, by chciała robić to po raz drugi.

Ze względu na skurcz nie mogłem poruszać się zbyt szybko, ale mrok był moim starym przyjacielem. Poza tym, gdybym został tutaj jeszcze przez dłuższą chwilę, moje nerwy — i tak napięte niemal do granic możliwości — puściłyby.

Właśnie gdy przekonałem się ostatecznie, że muszę wyjść z kuchni, jedna z małp porzuciła smrodliwy skarb i wybiegła do jadalni. Tam wrzasnęła głośno, wołając zapewne kolejną grupę swych towarzyszy, którzy nie mieli jeszcze okazji napawać się niezwykłym aromatem gnijącego ciała.

Odpowiedź rebusów przeszukujących jakąś inną część domu była tak głośna, że zagłuszyła na moment bełkot zwiadowców zgromadzonych wokół padliny.

Słuchając tych wrzasków, miałem wrażenie, że stoję pośrodku małpiej klatki w zoo. Może nie powinienem był się już utożsamiać z Christopherem Snowem, może było to tylko nazwisko, pod którym egzystowałem w poprzednim życiu, a moja dusza weszła w ciało małpy i stałem się jednym z rebusów. Może wcale nie staliśmy w domu w Umarłym Miasteczku, lecz w gigantycznej klatce, otoczeni przez ludzi, którzy pokazują nas sobie palcami i śmieją się, kiedy skaczemy z gałęzi na gałąź albo drapiemy się po gołych poślądkach.

Nagle na werandzie domku zajaśniał słaby blask, jakbym samymi myślami o świetle skusił los. Początkowo zauważyłem go tylko dlatego, że z ciemności zaczęły się powoli wynurzać sylwetki małp stojących na progu jadalni niczym postaci

utrwalone na kliszy polaroida.

Tajemnicza poświata nie przestraszyła ani nawet nie zaskoczyła zwierzęcia, musiałem więc przyjąć, że to właśnie ono sprowadziło tu światło.

W odróżnieniu od mały wcale nie cieszyłem się na myśl o nagłej zmianie sytuacji. Wiedziałem, że całun ciemności, który krył mnie dotąd przed krwiożerczymi rezusami, zostanie wkrótce zerwany.

8

Ponieważ zbliżająca się poświata była raczej mlecznobiała niż żółta i ponieważ nie migotała jak otwarty ogień, jej źródłem była prawdopodobnie latarka. Na razie promień nie był skierowany na drzwi; rozproszone światło, które odsłoniło przede mną postać stojącej nieopodal małpy, było jednak dość silne, co świadczyło o tym, że jest to latarka na dwie lub trzy baterie, a nie zwykły świetlik.

Miałem oto wyraźny dowód, że członkowie stada posługują się narzędziami, przynajmniej w takim stopniu, w jakim pozwalają im na to małe dłonie. Albo znalazły latarkę, albo ją ukradły — stawiałem raczej na tę drugą możliwość, gdyż rezusy przestrzegają prawa w takim samym stopniu, w jakim stosują się do zasad dobrego wychowania.

Małpa, która zajęła miejsce przy wejściu do kuchni, patrzyła na wynurzającą się z ciemności jadalnię z dziwnym zaciekawieniem, może nawet fascynacją.

Zwierzęta zgromadzone w drugiej części kuchni umilkły nagle. Choć nie mogłem zobaczyć ich z mojej kryjówki, podejrzewałem, że zachowują się podobnie jak rezus, którego widziałem przed sobą.

Ponieważ samo źródło światła nie mogło być niczym bardziej egzotycznym od latarki, przypuszczałem, że to osobnik, który je niesie, wzbudza tak wielkie zainteresowanie małą. Ciekaw byłem, kim jest ów tajemniczy latarnik, nie tak bardzo jednak, bym dla zaspokojenia ciekawości chciał umrzeć.

Do kuchni docierało za dużo światła. Było już na tyle jasno, że widziałem zarysy mebli kuchennych.

Kiedy spojrzałem w dół, przekonałem się, że choć w głębi szafki nadał zalega ciemność, widzę swoje dłonie i pistolet. Co gorsza, ujrzałem także czarne ubranie i buty.

Skurcz palił moją nogę żywym ogniem. Usiłowałem nie myśleć o bólu — równie dobrze mógłbym ignorować niedźwiedzia grizzly, który odgryza mi stopę.

Gwałtownie mrugałem powiekami, oczyszczając oczy z łez i wielkich kropel potu. Obawiałem się, że nawet jeśli mały nie zobaczy mnie od razu, to wkrótce poczują; jeśli będę się pocił w takim tempie, eau de Snow przebiję nawet zapach gnijącej padliny.

Mała stojąca w progu kuchni cofnęła się o dwa kroki, jakby ustępując miejsca coraz mocniejszemu światłu. Gdyby spojrzała w moją stronę, na pewno by mnie zauważyła.

Nie pozostało mi nic innego, jak powrócić do zabawy z czasów dzieciństwa i udawać, że jestem niewidzialny.

Nagle tajemniczy latarnik, który dotarł już prawie do drzwi kuchni, zatrzymał się i odwrócił w stronę wyjścia. Przez gromadkę małą przebiegł pomruk zdumienia i zaniepokojenia.

Z ciemnych zakamarków kuchni znów wypełził nieprzenikniony mrok. Po chwili i ja usłyszałem dźwięk, który

odciągnął uwagę małą od śmierzącego znaleźiska. Pomruk silnika. Może ciężarówka. Był coraz głośniejszy.

Z werandy dobiegł ostrzegawczy krzyk.

Latarnik zgasił światło.

Zwiadowcy błyskawicznie opuścili kuchnię. Jedynym dźwiękiem, który mógł świadczyć o tym nagłym odwróceniu, było skrzypienie linoleum.

Mały wycofały się z domu w całkowitej ciszy, z niesamowitą zręcznością, którą wykazały już wcześniej, wchodząc do wnętrza budynku.

Zachowywały się tak cicho, że nie byłem pewien, czy rzeczywiście wybiegły na zewnątrz. Podejrzywałem, że bawią się tylko ze mną, i że kiedy wyjdę z kuchni, rzucą się na mnie całą chmarą, wrzeszcząc radośnie „Niespodzianka!”, by potem wydrzeć mi oczy, odgryźć wargi i odczytać przyszłość z wnętrzości.

Warkot silnika był coraz głośniejszy, choć samochód musiał znajdować się jeszcze w sporej odległości od bungalowu.

Podczas poprzednich wypraw do Fortu Wyvern nigdy nie słyszałem odgłosu silnika czy jakiegokolwiek urządzenia mechanicznego. Zazwyczaj miejsce to jest tak ciche, że mogłoby uchodzić za posterunek na krańcu świata i czasu, gdzie słońce już nie wschodzi, a gwiazdy tkwią nieruchomo na niebie, jedynym zaś dźwiękiem jest wycie wiatru.

Kiedy ostrożnie wysuwałem się z szafki na miotły, przypomniałem sobie pytanie, które Bobby zadał mi podczas naszej ostatniej rozmowy: „Muszę się skradać, czy mogę zrobić to bez ceregieli?”.

Odparłem, że może sobie pozwalać. Nie chciałem jednak powiedzieć przez to, że może wkroczyć tutaj z całą pompą. Prosiłem go także, żeby uważał na siebie.

Choć wtedy nawet nie przyszło mi na myśl, że Bobby może wjechać do Wyvern, teraz byłem prawie pewien, że zbliżający się samochód to jego jeep. Powinienem był się tego spodziewać. Bobby to w końcu Bobby.

Początkowo myślałem, że małpy przestraszyły się warkotu silnika, że uciekły z obawy przed ewentualnym pościgiem policji czy wojska. Większość czasu spędzały przecież z dala od cywilizacji, ukryte wśród wzgórz, a na wyprawy do Moonlight Bay — wyprawy, których cel pozostawał dla mnie tajemnicą — wybierały się tylko nocą, pod podwójną osłoną ciemności i mgły. Nawet wtedy wędrowały jednak szlakami, które ludzie raczej omijają z daleka; pustymi kanałami czy korytami wyschniętych rzek. Prawie zawsze pozostają w ukryciu, przemykają się między nami niezauważone niczym termyty, które choć niewidoczne, żyją w ścianach domów jak dżdżownice drążące tunele pod naszymi stopami.

Jednak tutaj, na terenie, który znały lepiej niż ktokolwiek z Moonlight Bay, mogły zareagować odważniej i bardziej agresywnie niż w samym mieście. Mogły nie uciekać, lecz śledzić tajemniczy pojazd. Gdyby poczekały w ukryciu, aż kierowca zatrzyma się i wysiądzie z samochodu...

Pomruk silnika był coraz głośniejszy. Samochód musiał znajdować się już gdzieś w pobliżu, na którejś z sąsiednich uliczek.

Zapominając o ostrożności, starając się zrzucić ból z nogi,

jakby był to jakiś dokuczliwy kundel, którego można odegnąć mocnym kopniakiem, wyszedłem z kuchni i kulejąc lekko, truchtem dobiegłem do salonu. Jadalnia była pusta, w salonie także nie napotkałem żadnej z ruchomych pchlich farm.

Stanąłem przy oknie, z którego obserwowałem małpy, nim te zdecydowały się wejść do domu. Przystawiłem czoło do szyby i wyjrzałem na ulicę. Stało tam jeszcze osiem, może dziesięć małp, które po kolei znikwały w otwartym kanale. Najwyraźniej pozostali członkowie stada schowali się tam już wcześniej.

Na szczęście nie musiałem się już obawiać, że nienawistne rezusy obedrą Bobby'ego ze skóry i przyozdobią jego czaszką jakieś małpie mieszkanko. Przynajmniej na razie.

Nie minęło nawet kilka sekund, a po małpach nie było już śladu. Opustoszała ulica wyglądała jak sceneria z jakiegoś dziwnego snu, iluzoryczny obraz poskręcanych cieni i srebrnego blasku księżyca. Przez chwilę miałem wrażenie, że małpie stado także było jedynie częścią sennego koszmaru.

Kierując się do wyjścia, wsunąłem do kieszonki zapasowy magazynek, nadal jednak trzymałem w dłoni gotowy do strzału pistolet.

Kiedy stanąłem na werandzie, usłyszałem, jak żelazna pokrywa ze zgrzytem sunie po betonie. Byłem zdumiony, że małpy mają dość sił, by przesuwać ciężki krąg od dołu, z wnętrza kanału. Nie było to łatwe zadanie nawet dla rosnącego mężczyzny.

Warkot silnika niósł się przez puste uliczki i podwórka. Samochód był blisko, jednakże nie widziałem jego świateł.

Kiedy wyszedłem na ulicę, wciąż utykając lekko na lewą nogę, pokrywa opadła z trzaskiem na swoje miejsce. Zdążyłem jeszcze

dojrzeć końcówkę zakrzywionego, stalowego pręta, który zsunął się z wąskiej szczeliny w żelaznym kręgu i zniknął w kanale. Miejskie służby porządkowe takimi narzędziami przesuwają ciężkie pokrywy. Małpy zapewne znalazły albo ukradły hak. Wisząc na drabinie umocowanej do ściany kanału, mogły ściągnąć dysk na swoje miejsce i usunąć w ten sposób wszelkie ślady swojej bytności w Wyvern.

Zręczność, z jaką posługiwały się różnymi narzędziami, nasunęła na myśl ewentualności przyprawiające o dreszcz przerażenia.

Pomiędzy domkami pojawiły się światła samochodu. Jeep. Jechał ulicą równoległą do tej, na której stałem, między rzędami drewnianych bungalowów.

Choć nie widziałem dokładnie przejeżdżającego auta, byłem pewien, że to jeep Bobby'ego; znałem odgłos jego silnika, poza tym kierował się w stronę kina, umówionego miejsca naszego spotkania.

Ja także tam ruszyłem. Głuchy pomruk motoru cichł w dali.

Ból w łydce ustąpił, lecz mięsień nadal podrygiwał nerwowo, czyniąc lewą nogę słabszą od prawej. Nie próbowałem nawet biec, obawiając się powrotu skurczu.

Z góry dobiegł mnie szum skrzydeł, po ziemi zaś przesunęły się niewyraźne, pierzaste cienie. Podniosłem głowę i skuliłem się odruchowo, kiedy stado ptaków zbitych w ciasną formację przemknęło między drzewami i zniknęło w ciemności.

Leciały zbyt szybko, bym mógł przyjrzeć im się dokładnie i ocenić, do jakiego należą gatunku. Może były to właśnie te same tajemnicze ptaki, które jakiś czas temu przysiadły na drzewie

nad moją głową.

Kiedy dotarłem do następnej przecznicy, ptaki krążyły nad skrzyżowaniem, jakby czekały tam na mnie. Było ich dziesięć, a może nawet dwanaście, znacznie więcej niż wtedy, gdy trzymały nade mną straż w koronie wawrzynu.

Zachowywały się dziwnie, ale chyba nie chciały zrobić mi krzywdy. Zresztą nawet jeśli się myliłem i ptaki stanowiły dla mnie jakieś zagrożenie, nie mogłem przed nimi uciec.

Kiedy przeleciały po raz kolejny nad skrzyżowaniem, zobaczyłem je wyraźnie na tle tarczy księżyca. Najprawdopodobniej były to lelki. Gatunek ten jest aktywny prawie wyłącznie nocą, znam go więc dosyć dobrze.

Ptaki te żywią się owadami — komarami, ćmami, żukami czy latającymi mrówkami — i spożywają je w powietrzu, podczas lotu. Polując na ruchliwe stworzenia, wciąż zmieniają kierunek lotu, kreśląc w powietrzu skomplikowane esy-floresy, dzięki którym można je rozpoznać nawet z dużych odległości.

Blask księżyca w pełni stwarza im idealne warunki do łowów, gdyż w takim świetle latające owady są bardziej widoczne niż zazwyczaj. Zwykle wtedy lelki są bardzo aktywne, bezustannie uganiają się za swą zwierzyną, wydając przy tym charakterystyczne piski.

Ogromny księżyc, nieprzesłonięty w tej chwili przez chmury, dawał im okazję do świetnego polowania, a jednak te ptaki wcale nie zamierzały jej wykorzystać. Działając wbrew własnemu instynktowi, latały bezustannie wokół skrzyżowania, w kręgu średnicy około czterdziestu stóp. Trzymały się raczej osobno, jedynie dwie pary leciały obok siebie. Żaden z nich nie próbował

nawet polować, nie wydawały też dźwięków.

Minąłem skrzyżowanie i szedłem dalej.

Uszedłem zaledwie kilka kroków, kiedy stado znów ruszyło moim śladem. Tym razem ptaki przeleciały nieco wyżej niż poprzednio, dość nisko jednak, bym odruchowo schował głowę w ramiona.

Gdy dotarłem do kolejnego skrzyżowania, znów ujrzałem ptasią karuzelę, krążącą jakieś trzydzieści stóp nad ziemią. Gdybym próbował je liczyć, miałbym pewnie większe zawroty głowy niż po wypiciu butelki tequili, byłem jednak przekonany, że liczba lelków znacznie wzrosła.

Minąwszy kolejne dwa skrzyżowania, nie miałem już co do tego żadnych wątpliwości. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym główna ulica rozgałęziała się jedynie na boki, co najmniej sto lelków krążyło w ciszy nad moją głową. Większość z nich trzymała się w parach. Zauważyłem też, że ptaki utworzyły już dwa równoległe kręgi, oddalone od siebie o pięć, dziesięć stóp.

Zatrzymałem się i patrzyłem, zafascynowany tym niesamowitym zjawiskiem.

Czasem zastanawiam się nad różnymi niepokojącymi wydarzeniami i wyciągam z nich przerażające, katastrofalne wręcz wnioski. Jednak tym razem, pomimo zdumiewających poczynąń ptaków, nadal nie czułem się zagrożony.

Z drugiej strony, choć nie dostrzegłem w ich zachowaniu agresji, wydawało mi się ono złowieszcze. Ten powietrzny balet, jednostajny, a zarazem wspaniały i poruszający, wywoływał niesamowity nastrój, nastrój, jaki mógłby stworzyć balet złożony z prawdziwych tancerzy, właściwy jedynie najwspanialszym

utworom muzycznym — a dominującą cechą tego nastroju był smutek. Smutek tak przejmujący, że chwycił za gardło, zamieniał krew w jakąś czarną, gorzką ciecz.

Dla poetów, ale także i dla tych, którzy krzywią się na samo wspomnienie poezji, ptaki w locie to symbol wolności, nadziei, wiary i radości. Tymczasem widok tych stworzeń wywoływał uczucia najczarniejszej rozpacz, bezdenne smutku, żalu, który zamieniał serce w kawałek lodu.

Z niesamowitą precyzją i wyczuciem chwili, które świadczyło o istnieniu jakiejś duchowej więzi pomiędzy członkami stada, podwójny pierścień ptaków zamienił się płynnie w jedną wielką spiralę. Lelki wznosiły się ku niebu jak wstęga czarnego dymu, wyżej i wyżej przez mrok nocy, obok księżyca, coraz mniej widoczne na tle rozgwieźdzonego nieba, by wreszcie rozpląnąć się gdzieś na wysokości niczym prawdziwy dym.

Dokoła panowała przejmująca cisza. Nieporuszona. Martwa.

Zachowanie ptaków z całą pewnością było nienaturalne, niepozbawione jednak znaczenia, zastanawiające. Cały ten powietrzny show był wyreżyserowany, a to oznaczało, że kryje się za nim jakieś przesłanie.

Właściwie nie byłem pewien, czy chcę poskładać elementy tej układanki. Powstały obraz nie byłby zbyt pocieszający. Ptaki same w sobie nie stanowiły zagrożenia, ale ich przedziwne ewolucje wywoływały niepokój.

To był znak. Omen.

Jednak nie tego rodzaju znak, który każe szybko kupić los na loterii czy wyjechać do Las Vegas. Ujrawszy tego rodzaju omen, z pewnością nie zainwestowałbym na giełdzie. Nie, wolałbym

raczej przeprowadzić się do Nowego Meksyku albo w niedostępne góry Sangre de Cristo, jak najdalej od cywilizacji, zabrawszy ze sobą mnóstwo żywności, porządny zapas amunicji — i Biblię.

Włożyłem glocka do kabury.

Nagle poczułem się zmęczony, wyczerpany.

Kilka razy głębiej odetchnąłem, ale i to w niczym nie poprawiło mojego nastroju.

Kiedy przeciągnąłem dłonią po twarzy, chcąc pozbyć się w ten sposób znużenia, moja skóra była sucha i gorąca, choć jeszcze przed chwilą spływały po niej strugi potu.

Tuż pod lewą kością policzkową znalazłem bolesne zgrubienie. Masując je delikatnie czubkiem palca, starałem się przypomnieć sobie, czy podczas nocnych przygód uderzyłem o coś głową.

Każda narośl, każde źródło bólu powstałe bez żadnej widocznej przyczyny może być zmianą patologiczną, sygnałem nadchodzącego raka, przed którym, jak dotąd, udawało mi się uciec. Jeśli taka narośl pojawia się na dłoniach lub na twarzy, czyli tych częściach ciała, które najbardziej narażone są na działanie światła, ryzyko zachorowania wzrasta.

Opuszczając rękę, przypomniałem sobie w duchu, że mam żyć chwilą obecną. Ze względu na XP już w chwili narodzin nie miałem żadnej przyszłości, a jednak pomimo wszystkich ograniczeń żyję pełnią życia — może nawet lepiej, niż żyłbym w normalnych warunkach — właśnie dzięki temu, że staram się jak najmniej myśleć o tym, co przyniesie jutro. Teraźniejszość jest bardziej rzeczywista, cenniejsza, radośniejsza, jeśli tylko potraficie zrozumieć, że to wszystko, co macie.

Carpe diem powiedział Horacy ponad dwa tysiące lat temu. Korzystaj z dnia. I nie pokładaj zbyt wielkich nadziei w przyszłości.

Carpe noctem to moja dewiza. Ja korzystam z nocy, wyciskam z niej wszystko, co się da, i nie zamierzam myśleć o tym, że kiedyś najciemniejsza z ciemności pochłonie także i mnie.

9

Pojawienie się ptaków pozostawiło ponury nastrój, który opadł na ulicę niczym pierze z ich skrzydeł. Podjąłem przerwany marsz i wyszedłem z tego zaczarowanego kręgu, kierując się w stronę kina, gdzie czekał już na mnie Bobby Halloway.

Bolesny punkt na mojej twarzy był może jedynie wynikiem jakiegoś stłuczenia. Martwiłem się nim tylko dlatego, by odegnąć od siebie znacznie smutniejsze myśli, prawdę, której nie śmiałem stawić czoła; im więcej czasu mijało od chwili zniknięcia Jimmy'ego Winga i Orsona, tym bardziej wzrastało prawdopodobieństwo, że obaj już nie żyją.

Od północy do mieszkalnej części Umarłego Miasteczka przylegał park, ograniczony z jednej strony boiskiem sportowym, z drugiej zaś kortami tenisowymi. Pośrodku rozciąga się wielki zadrzewiony plac, porośnięty w większości kalifornijskimi dębami, które w odróżnieniu od wawrzynów doskonale rosną po zamknięciu bazy. Na terenie parku znajduje się też plac zabaw dla dzieci, otwarty pawilon i ogromny basen.

Wielki, okrągły pawilon, gdzie niegdyś w pogodne letnie noce grały na żywo amatorskie zespoły muzyczne, to jedyny ozdobny budynek w Wyvern; utrzymany w stylu wiktoriańskim, otoczony

balustradą i smukłymi kolumnami, które podierały stożkowany drewniany dach o szerokich nawisach. Tutaj, pod sznurami kolorowych świateł, młodzi żołnierze tańczyli ze swymi żonami, by potem wyjechać po krwawą śmierć na polach bitewnych drugiej wojny światowej, Korei i Wietnamu. Lampy wciąż wisiały smętnie na krokwiach, dawno już odłączone od prądu, zakurzone. Czasami mam wrażenie, że gdybym tylko zamknął oczy, ujrzałbym znów duchy wszystkich poległych, tańczących ze swymi owdowiałymi żonami.

Szedłem przez wysoką trawę, obok komunalnego basenu, otoczonego połamanym i zardzewiałym płotem. Po chwili zwiększyłem tempo, nie tylko dlatego, że chciałem jak najszybciej dotrzeć do kina. Nie zdarzyło się tu jeszcze nic, co usprawiedliwiłoby mój przesądny strach, instynkt jednak nakazywał mi trzymać się z dala od podobnych miejsc. Basen ma prawie dwieście stóp długości i osiemdziesiąt stóp szerokości, pośrodku zamontowano stanowisko ratownika. Teraz napełniony był w dwóch trzecich deszczówką. Woda, w której gniła gruba warstwa dębowych liści i inne niezidentyfikowane śmieci, wydawała się całkiem czarna także w dzień. Nawet księżyc tracił w tej śmierdzącej papce swój srebrzysty blask, a jego bladożółte odbicie wyglądało jak twarz goblina z sennego koszmaru.

Choć szedłem w sporej odległości od basenu, czułem zapach zgnilizny. Nie był to tak okropny smród jak ten, który musiałem znosić w kuchni pustego bungalowu, niemniej nie należał do przyjemnych.

Gorsza jednak od zapachu była aura otaczająca czarny

zbiornik, niedostępna pięciu zwykłym zmysłom, ale wyczuwalna z dala przez ten nieopisany szósty. Nie, tym razem nie był to wytwór mojej wybujałej wyobraźni. Myślałem o tej dziwnej, niezbadanej właściwości wszystkich większych zbiorników wody; o delikatnej, lecz zimnej i przejmującej energii, przed którą cofa się ludzki umysł, złowieszczej nienazwanej sile, która sunie po powierzchni duszy, równie namacalna jak gniazdo oślizgłych robaków w dłoni.

Wydawało mi się, że słyszę jakiś dźwięk, widzę jakiś ruch na powierzchni czarnej cieczy, któremu towarzyszyło ciche pluskanie, jakby pływak odbijał się od wody. Zakładałem, że te odgłosy są wytworem mojej wyobraźni, kiedy jednak przybierały na sile, poderwałem się do biegu.

Za parkiem leży aleja Komisji, szeroka ulica, wzdłuż której ciągną się budynki wszystkich ważnych instytucji i drobnych firm, służących swego czasu pracownikom Fortu Wyvern i ich rodzinom. Z jednej strony ulicę zamyka budynek administracji bazy, z drugiej — budynek kina. Pośrodku znajdują się między innymi zakłady fryzjerskie, pralnia, kwiaciarnie, piekarnia, bank, klub wojskowy, klub oficerski, biblioteka, salon gier, przedszkole, szkoła podstawowa, klub fitness i małe sklepy. Teraz wszystkie te miejsca były oczywiście puste, a szyldy zdobiące niegdyś ich fasady wyblakłe i zniszczone.

Te jedno- i dwukondygnacyjne budynki są bardzo proste, ale właśnie ze względu na swą prostotę przyjemne dla oka. Utylitarny charakter wojskowych gmachów połączony z oszczędnością okresu kryzysu — która kształtowała wszystkie przedsięwzięcia w 1939 roku, kiedy to rozpoczęto budowę bazy

— mogła zaowocować szeregiem paskudnych tworów. Jednak wojskowi architekci i ekipy budowlane zdołali stworzyć zupełnie ładne budynki, opierając się jedynie na takich elementach, jak harmonijne linie i kąty, symetryczne ułożenie okien, zróżnicowane dachy.

Budynek kina jest równie skromny jak pozostałe. Zniszczona markiza zwisa płasko przy ścianie. Nie wiem, jaki film wyświetlano w nim na ostatnim seansie. W miejscu, gdzie reklamowano tytuły filmów i ich obsadę, pozostały tylko trzy plastikowe litery, tworzące pojedyncze słowo: KTO.

Pomimo braku jakichkolwiek znaków przestankowych, widziałem w tym krótkim przesłaniu rozpaczliwe pytanie, odnoszące się do zmutowanych potworów, poczętych w laboratoriach Wyvern. „Kim jestem? Kim wy jesteście? Kim się stajemy? Kto nam to zrobił? Kto nas może uratować?”.

„Kto? Kto?”.

Czarny jeep Bobby’ego stał zaparkowany przed kinem. Nie miał winylowego dachu i ścian, jedynie z przodu kierowcę chroniła szyba.

Kiedy zbliżałem się do jeepa, księżyc zniknął za chmurami na zachodzie. Był już tak nisko, że wkrótce schowałby się za horyzontem. Choć pozbawiony zostałem dodatkowego oświetlenia, widziałem już sylwetkę Bobby’ego, siedzącego za kierownicą.

Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu i postury. Choć ja jestem blondynem, on zaś ciemnym szatynem, i choć moje oczy są niebieskie, a jego kruczoczarne, możemy uchodzić za braci. Od siedemnastu lat jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i w pewien

sposób na pewno upodobniliśmy się do siebie. Stoimy, siedzimy i poruszamy się w ten sam sposób i w tym samym tempie. Być może dzieje się tak dlatego, że obaj spędzamy bardzo dużo czasu na surfowaniu, pozostając w harmonii z morzem. Sasha twierdzi, że poruszamy się z kocią gracją, co moim zdaniem jest dla nas zbyt wielkim pochlebstwem. Jednak bez względu na to, jak bardzo podobni jesteśmy do kotów, żaden z nas nie pije mleka ze spodka ani nie chodzi za potrzebą do kuwety z piaskiem.

Podszedłem do jeepa, uchwyciłem się metalowej ramy i wskoczyłem na miejsce pasażera, nie otwierając niskich drzwi. Musiałem przesunąć nogi, by nie zniszczyć styropianowego pojemnika z lodem umieszczonego na podłodze przed fotelem.

Bobby ubrany był w wojskowe spodnie khaki, biały bawełniany sweter o długich rękawach i hawajską koszulę — to jego ulubiony i jednocześnie jedyny styl.

Pił heinekena.

Choć nigdy nie widziałem go pijanego, przywitałem przyjaciela słowami:

— Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt ululany.

Nie odwracając nawet głowy w moją stronę, odparł:

— Ululany to nie to samo co brzydki czy głupi. — Co miało oznaczać, że nigdy nie powinienem stawiać przed nim słówka „zbyt”.

Noc była dosyć chłodna, ale przeżycia ostatnich godzin wzbudziły we mnie ogromne pragnienie.

— Mogę jednego henia? — spytałem.

— Śmiało.

Wyjąłem butelkę z lodu i zdjąłem kapsel. Nie miałem nawet

pojęcia, jak bardzo tego potrzebowałem. Zimny napój zmył gorycz z mego języka.

Bobby zerknął na moment w lusterko wsteczne, natychmiast jednak powrócił spojrzeniem do ulicy przed kinem.

Między siedzeniami leżał karabin maszynowy, skierowany lufą do tyłu samochodu.

— Piwo i spluwy — powiedziałem, kręcąc głową.

— Na pewno nie jesteście amiszami.

— Przyjechałeś rzeką, tak jak ci mówiłem?

— Aha.

— Jak poradziłeś sobie z płotem?

— Powiększyłem dziurę.

— Myślałem, że przyjdiesz na piechotę.

— Nie chciało mi się dźwigać pojemnika z piwem.

— Pewnie przyda nam się samochód — przyznałem, ogarniając myślą teren, jaki musieliśmy przeszukać.

Bobby ostentacyjnie pociągnął nosem.

— Niezły zapaszek, bracie — zauważył.

— Pracowałem nad tym.

Na lusterku wstecznym wisiał jaskrawożółty odświeżacz powietrza w kształcie banana. Bobby zdjął go z lusterka i powiesił na moim lewym uchu.

Czasami Bobby naprawdę nie zna umiaru. Nie zamierzałem nagrodzić go śmiechem.

— To banan — powiedziałem — a pachnie jak sosna.

— Ach, ta słynna amerykańska pomysłowość.

— Ależ skąd.

— To my wysłaliśmy ludzi na Księżyc.

— Wynaleźliśmy płatki kukurydziane o smaku czekolady.

— Nie zapominaj o plastikowych rzygowinach.

— Najśmieszniejszy dowcip w historii świata —
podsumowałem.

Ze śmiertelną powagą stuknęliśmy się butelkami, wznosząc patriotyczny toast, i przez dłuższą chwilę raczyliśmy się piwem.

Choć w głębi serca pragnąłem jak najszybciej odnaleźć Jimmy'ego i Orsona, poddałem się leniwemu tempu, według którego żyje Bobby. Mój przyjaciel jest tak flegmatyczny, że gdyby zdarzyło mu się odwiedzić kogoś w szpitalu, pielęgniarki mogłyby wziąć go za pacjenta w śpiączce, ubrać w piżamę i położyć w łóżku, nim ten zdążyłby wyjaśnić całe nieporozumienie. Bobby ceni sobie przede wszystkim spokój, o którym zapomina jedynie wtedy, gdy sunie na szczycie wielkiej fali. Znacznie bardziej przemawia do niego niespieszna wymiana zdań niż wyrazy ponaglenia czy zniecierpliwienia. W ciągu siedemnastu lat naszej znajomości nauczyłem się doceniać ten zrelaksowany stosunek do życia, nawet jeśli sam często nie potrafię się nań zdobyć. Spokój jest nieodzownym elementem rozsądnego działania. Ponieważ Bobby działa tylko po długim namyśle, nigdy nie widziałem jeszcze, by dał się komukolwiek czy cemukolwiek zaskoczyć. Choć wygląda na rozluźnionego, czasami nawet na sennego, potrafi niczym mistrz zen spowolnić upływ czasu, zastanawiając się jednocześnie, jak najlepiej poradzić sobie z zaistniałą sytuacją.

— Niezła koszula — zauważyłem.

Bobby miał na sobie jedną ze swych ulubionych starych koszul; wzór z brązowym azjatyckim krajobrazem. Jego kolekcja

liczy kilkaset sztuk, a Bobby zna historię każdej z osobna.

Nim zdążył odpowiedzieć, dodałem:

— Wykonana przez Kahalę w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Jedwab i guziki z orzechów kokosowych. Taka sama, jaką John Wayne nosił w *Big Jim McLain*.

Bobby milczał na tyle długo, że mogłem jeszcze kilkakrotnie powtórzyć wszystkie te informacje, wiedziałem jednak, że mnie słyszał.

Pociągnął kolejny łyk piwa. Wreszcie przemówił:

— Naprawdę zacząłeś interesować się hawajskimi koszulami, czy tylko się ze mnie nabijasz?

— Nabijam się.

— Miłej zabawy.

Kiedy znów spojrział w lusterko wsteczne, spytałem:

— Co trzymasz na kolanach?

— Ogromnie się cieszę, że cię widzę — mruknął sarkastycznie i dopiero wtedy podniósł wielki pistolet.

— Smith & wesson, model dwadzieścia dziewięć.

— Nie przyjechaliśmy tu dla zabawy.

— A po co przyjechaliśmy?

— Ktoś porwał synka Lilly Wing.

— Kto?

— Jakiś psychol.

— Kicha — mruknął Bobby, co w australijskim slangu surferów początkowo oznaczało falę zanieczyszczoną jakimiś sztucznymi odpadkami, potem nabrało jednak innych znaczeń, zdecydowanie pejoratywnych.

— Wyciągnął Jimmy'ego z sypialni, przez okno — mówiłem

dalej.

— Więc Lilly zadzwoniła do ciebie?

— Byłem po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Przejeżdżałem tamtędy tuż po tym, jak ten psychol zabrał chłopaka.

— A jak trafiłeś tutaj?

— Za nosem Orsona.

Opowiedziałem mu o spotkaniu z porywaczem w podziemiach wielkiego magazynu.

Bobby zmarszczył brwi.

— Żółte oczy, powiadasz?

— Chyba żółtobrązowe.

— Żółte i świeciły w ciemności?

— Nie. Ciemnożółte, właściwie bursztynowe, ale to był naturalny kolor.

Ostatnio spotkaliśmy kilku mężczyzn, w których zachodziły radykalne zmiany genetyczne, ludzi zatracających powoli swe człowieczeństwo. Na pozór wydawali się całkiem normalni, zdradzał ich jednak zwierzęcy blask w oczach, krótkotrwałe, lecz wyraźne lśnienie. Ludźmi takimi kierują dziwne, odrażające potrzeby, zdolni są do największej przemocy. Gdyby Jimmy wpadł w ręce jednego z takich potworów, poddany zostałby męczarniom gorszym nawet od tych, jakie zgotowałyby mu zwykły socjopata.

— Znasz tego psychola? — spytałem Bobby'ego.

— Mówisz, że miał około trzydziestki, czarne włosy, żółte oczy, a zbudowany był jak ciężarówka?

— Małe ostre ząbki.

— Nie w moim typie.

— Też go nigdy wcześniej nie widziałem.

— Dwanaście tysięcy ludzi.

— To na pewno nie jest koleś z plaży — zauważyłem, chcąc przez to powiedzieć, że porywacz nie obraca się raczej w środowisku surferów. — Więc może być miejscowy, a my i tak byśmy go nie znali.

Po raz pierwszy tej nocy zerwał się lekki wiatr, ożywcza bryza, która niosła ze sobą odległy zapach oceanu. Dęby po drugiej stronie ulicy zaszepotały cicho, jakby snuły jakiś spisek.

— Dlaczego ten psychol przywiózł Jimmy'ego właśnie tutaj? — zastanawiał się głośno Bobby.

— Może chciał być sam. Spokojnie odwaliłby swoją robotę.

— Spokojnie odwaliłby robotę, powiadasz. Brr, nie lubię takich świrów.

— Poza tym może po prostu lubi takie miejsca. Czuje się wtedy jeszcze bardziej nakręcony.

— Chyba że ma jakieś bezpośrednie związki z Wyvern.

— Chyba że. Lilly martwi się tym gościem z wiadomości.

— Jakim gościem?

— Porywa dzieci, zamyka je w ukryciu. Kiedy zbierze czworo albo pięcioro, pali wszystkie żywcem.

— Właśnie ze względu na takie rzeczy nie słucham ostatnio wiadomości.

— Nigdy nie słuchałeś wiadomości.

— Wiem. Ale kiedyś miałem inne powody. — Bobby rozejrzał się. — Więc gdzie oni teraz mogą być?

— Gdziekolwiek.

— Gdziekolwiek to bardzo wiele miejsc. Nie wiem, czy sobie poradzimy.

Przez kilka ostatnich minut nie patrzył w lusterko wsteczne, toteż odwróciłem się w fotelu, by sprawdzić, co dzieje się za samochodem.

— Dostrzegłem po drodze małą — oświadczył Bobby.

Zdejmując odświeżacz z ucha i odwieszając go na miejsce, spytałem:

— Tylko jedną? Nie wiedziałem, że podróżują samotnie.

— Ja też nie. Wyjechałem właśnie z za zakrętu, no i zobaczyłem ją. Biegła przez ulicę. Dziwaczny koleś. To nie był jeden z tych twoich ulubieńców.

— Dziwny?

— Miał może ze cztery stopy wzrostu.

Poczułem nagle, że zmroziło mnie w okolicach kręgosłupa.

Wszystkie rezusy, które widzieliśmy do tej pory, miały nie więcej niż dwie stopy wzrostu. Były wystarczająco dokuczliwe. Przy dwukrotnie większym wzroście stałyby się naprawdę niebezpieczne.

— Wielki baniak — dodał Bobby.

— Co?

— Cztery stopy i wielki łeb.

— Jak wielki?

— Nie wiem, nie kupowałem jej kapelusza.

— Mniej więcej?

— Może tak duży jak twój czy mój.

— Na ciele długości czterech stóp.

— Mhm. Przyciężkawy. I zdeformowany.

— Paskuda.

— Zgadza się.

Bobby pochylił się nad kierownicą, wbijając wzrok w ciemność przed samochodem.

Na wysokości kolejnej przecznicy coś się poruszało. Mniej więcej rozmiarów mały. Sunęło powoli w naszą stronę.

Kładąc dłoń na pistolecie, spytałem:

— Co jeszcze?

— To wszystko, bracie. Ten cudak był bardzo szybki.

— To nowość.

— Może niedługo będzie ich cała zgraja.

— Szlag by to trafił.

W nikłym świetle gwiazd park po przeciwnej stronie ulicy wydawał nam się zbiorowiskiem dziwnych, fantasmagorycznych postaci, ukrytych pod koronami wielkich dębów i w nich samych.

Kiedy opowiedziałem Bobby'emu o spotkaniu z gangiem, który omal nie złapał mnie w bungalowie, ten uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Trzydzieści? Cholera, mnożą się jak króliki.

Powiedziałem mu także o tym, jak używały latarki i specjalnego haka do pokrywy kanału.

— Niedługo zaczną jeździć naszymi samochodami i podrywać nasze kobiety — mruknął Bobby.

Dokończył piwo i podał mi pustą butelkę, a ja włożyłem ją z powrotem do pojemnika z lodem.

Gdzieś z głębi ulicy dobiegło nas ciche, rytmiczne skrzypienie. Był to pewnie jeden z obluzowanych szyldów, poruszony wiatrem.

— Więc Jimmy może być gdziekolwiek w Wyvern — powiedział Bob. — A co z Orsonem?

— Słyszałem go po raz ostatni, kiedy czekał gdzieś w Umarłym Miasteczku.

— Tutaj czy między domami?

— Nie wiem. Gdzieś w tym kierunku.

— Sporo tu tych domków — westchnął Bobby, spoglądając w stronę osiedla, ukrytego za parkiem.

— Trzy tysiące.

— Powiedzmy cztery minuty na jeden... To daje dziewięć do dziesięciu dni przy założeniu, że szukamy bez przerwy, nie jemy, nie śpimy. A ty przecież nie pracujesz w dzień.

— Orson prawdopodobnie nie jest w żadnym z tych domów.

— Ale gdzieś musimy zacząć. Więc gdzie?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Poza tym bałem się, że kiedy przemówię, nie będę mógł ukryć drżenia w moim głosie.

— Myślisz, że Orson jest z Jimmym? Że jeśli znajdziemy jednego, to i drugiego?

Wzruszyłem ramionami.

— Może tym razem powinniśmy powiedzieć o wszystkim Ramirezowi? — zasugerował Bobby.

Manuel Ramirez był szeryfem w Moonlight Bay; niegdyś naprawdę dobry człowiek, ale jak wszyscy gliniarze w mieście dał się omotać ważniakom z góry.

— W tym wypadku Manuel powinien być po naszej stronie — kontynuował Bobby. — Na dodatek ma ludzi.

— Tu nie chodzi tylko o to, że Ramirez jest skorumpowany. — Pokręciłem głową. — On się przemienia.

Przemienia. Właśnie tego słowa używają niektórzy spośród dotkniętych genetyczną mutacją, by opisać fizyczne, psychiczne i emocjonalne zmiany, jakie zachodzą w ich organizmach — ale tylko wtedy, gdy zmiany te przejdą już przez etap początkowy i gdy zaczyna się prawdziwy kryzys.

Bobby był zaskoczony.

— Powiedział ci o tym?

— Twierdzi, że nic się z nim nie dzieje. Ale ja wiem, że to nieprawda. Nie ufam mu.

— Do diabła, ja nie ufam do końca nawet sobie — powiedział Bobby, ubierając w słowa nasze najgorsze obawy, że możemy być nie tylko dotknięci retrowirusem, ale że zaczniemy się przemieniać w okrutne zwierzęta, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wysączyłem do końca piwo i wrzuciłem pustą butelkę do lodu.

— Musimy znaleźć Orsona — oświadczyłem.

— Znajdziemy.

— To poważna sprawa, bracie.

— Znajdziemy go.

Orson nie jest zwyczajnym psem. Mama przyniosła go z laboratorium w Wyvern, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Do niedawna nie zdawałem sobie sprawy, skąd pochodzi mój futrzasty przyjaciel ani jak wyjątkowym jest stworzeniem; mama nie mówiła mi nic na ten temat, a Orson potrafi dochować tajemnicy. Eksperymenty dotyczące podniesienia poziomu inteligencji przeprowadzane były nie tylko na małpach i skazańcach z wojskowych więzień, ale także na psach, kotach i innych zwierzętach. Orson nigdy nie rozwiązywał testów IQ; trudno utrzymać ołówek w psiej łapie, a krtań psa nie jest

przystosowana do wydawania artykułowanych dźwięków. Rozumie jednak wszystko, potrafi też przekazywać innym swoje myśli i uczucia. Jest mądrzejszy od zmutowanych małąp.

Podejrzewam, że jego inteligencja dorównuje ludzkiej. Jeśli jej nie przewyższa.

Powiedziałem wcześniej, że mały nienawidzą nas, bo pozwoliliśmy im marzyć, a nie daliśmy środków do urzeczywistnienia tych marzeń, uczyniliśmy je wyrzutkami bez własnego miejsca w świecie. Skoro jednak właśnie to jest źródłem ich wrogości i nienawiści, to dlaczego Orson, który znalazł się przecież w podobnej sytuacji, pozostaje istotą pełną dobroci i ciepła?

Uwięziony jest w ciele, które służy rozbudzonym inteligencją potrzebom w jeszcze mniejszym stopniu niż człekopodobne ciała małąp. Nie ma rąk, a jego wzrok jest równie słaby jak wzrok każdego innego psa.

Mały znajdują oparcie w pozostałych członkach stada, podczas gdy Orson musi znosić wszystkie cierpienia w samotności. Być może w laboratoriach Wyvern poczęte zostały jeszcze inne psy o podwyższonym poziomie inteligencji, jednak jak dotąd nie spotkałem żadnego z nich. Sasha, Bobby i ja kochamy go z całego serca, ale nie możemy dzielić jego punktu widzenia, doświadczeń, nie możemy zaspokajać jego potrzeb, bo nie rozumiemy do końca ich natury. Ponieważ Orson jest istotą wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju — przynajmniej na razie — pędzi swe życie w samotności, z której zdaję sobie sprawę, lecz której nie jestem w stanie w pełni zrozumieć. Nawet w towarzystwie oddanych przyjaciół pozostaje niezrozumiany

i wyobcowany.

Może to jego psia natura tłumaczy, dlaczego Orson nie daje się ogarnąć nienawiści i złości. Moim zdaniem psy istnieją na świecie po to, by przypominać ludzkości, że miłość, lojalność, oddanie, odwaga, cierpliwość i dobry humor to cechy, które wraz z uczciwością stanowią esencję doskonałego charakteru i decydują o tym, że właściwie przeżywa się swoje dni.

W kochanym Orsonie dostrzegam dobrą stronę pracy mojej matki, potencjał prawdziwej nauki, której zadaniem jest nieść światło w mroczne zakamarki naszego życia, udoskonalać nas duchowo, przypominać, że wszechświat to cudowne miejsce, skarbnica niewyczerpanych możliwości.

Moja matka dążyła do wielkich celów. Sprzymierzyła się z grupą szaleńców projektujących broń biologiczną tylko dlatego, że jedynie w ten sposób mogła otrzymać ogromne fundusze konieczne do realizacji jej prac nad genetycznym retrowirusem. Wierzyła, że może on zostać wykorzystany do leczenia wielu chorób i genetycznych przypadłości — do jakich należy między innymi moje XP.

Widzicie sami, że moja matka nie zniszczyła świata bez powodu. Zrobiła to, bo próbowała mi pomóc. To właśnie z mojego powodu świat stoi teraz na krawędzi katastrofy. Macierzyńska miłość stała się źródłem najgorszej plagi naszych czasów.

Więc... może sami chcecie porozmawiać o sprzecznych uczuciach, jakimi darzycie swoją matkę?

Orson i ja jesteśmy jej synami. Ja jestem owocem jej serca i łona. Orson — jej umysłu; obaj zostaliśmy przez nią stworzeni

i bez niej nie byłoby nas na tym świecie. Jesteśmy braćmi. Nie tylko metaforycznie. Nie łączą nas więzy krwi, lecz miłość naszej matki.

Gdyby Orsonowi miało przydarzyć się coś złego, umarłaby część mojej duszy — ta czystsza, lepsza część — umarłaby na zawsze.

— Musimy go znaleźć — powtórzyłem.

— Więcej wiary, bracie — odparł Bobby.

Sięgnął do stacyjki; nim jednak przekręcił kluczyk, dokoła podniósł się szum głośniejszy od szumu miliona liści na wietrze. Z każdą sekundą hałas przybierał na sile.

Bobby położył dłoń na rękojeści smitha & wessona.

Ja nie sięgnąłem po broń, wiedziałem bowiem, co to za dźwięk. Trzepot skrzydeł. Wielu skrzydeł.

Niczym dachówki zerwane przez wiatr z dachu nieba z ciemności nocy wychynęły nagle milczące czarne kształty. Poprzedzane owym niesamowitym dźwiękiem pojawiły się na wysokości następnej przecznicy, leciały równolegle do ziemi, wzdłuż ulicy, w naszym kierunku. Setka ptaków, które widziałem przedtem, stanowiła z pewnością część tej grupy, dołączyła do nich jednak kolejna setka, może dwie.

Bobby odłożył rewolwer i sięgnął po karabin maszynowy wciśnięty między przednie siedzenia.

— Spokojnie — mruknąłem.

Bobby spojrzał na mnie ze zdumieniem. Zazwyczaj to on radził mi zachować spokój.

W ciągu siedemnastu lat przyjaźni nauczył się już, że zwykle można mi zaufać, mimo to odbezpieczył broń.

Rozciągnięte na całą szerokość ulicy, stado przemknęło nad naszym samochodem nie wyżej niż sześć stóp nad głowami. Miałem wrażenie, że poruszają się z niesamowitą precyzją, ustawione w idealnie uporządkowanych formacjach. Widok całego stada pozwoliłby zapewne dostrzec wzory intrygujące i zdumiewające nienaturalnym stopniem skomplikowania — wzory niosące ze sobą jakieś znaczenie, ukryte przed ludzkim umysłem.

Bobby skulił się odruchowo, lecz ja patrzyłem na czarną chmurę skrzydeł i pierzastych ciał, starając się odgadnąć, czy prócz lelków lecą tam jeszcze ptaki innych gatunków. Słabe światło i ogromna liczba sunących po niebie zwierząt nie pozwoliły mi jednak choćby na pobieżną ocenę.

Po chwili stado minęło jeepa. Żaden z ptaków nawet nie zbliżył się do nas, nie wydał żadnego dźwięku. Ich przelot był wydarzeniem tak dziwnym, tak niezwykłym, że przez moment zastanawiałem się, czy nie uległem jakiejś halucynacji. Jednak gęsty deszcz piór, które osiadały powoli na ulicy i samochodzie, potwierdzał realność tej niesamowitej parady.

Nim jeszcze ostatnie z piór opadło na maskę, Bobby otworzył z trzaskiem drzwiczki kierowcy i wygramolił się z jeepa. Wciąż ścisnął w dłoni karabin, kiedy odwrócił się, by spojrzeć na odlatujące stado, lecz teraz trzymał go tylko jedną dłonią, skierowany ku ziemi.

Ja też wysiadłem i obserwowałem ptaki, które zaczęły wznosić się ku morzu gwiazd, by po chwili zniknąć w ciemności pomiędzy tymi dalekimi słońcami.

— Całkowite wariactwo — powiedział wreszcie Bobby.

— Tak.

— Ale...

— Tak.

— Trochę jak rekiny.

Wiedziałem, co ma na myśli. Tym razem ptaki emanowały nie tylko dojmującym smutkiem, który poczułem uprzednio. Choć stado wyglądało zdumiewająco, w pewnym sensie nawet pięknie, choć dziwne, konspiracyjne milczenie skłaniało do pełnej szacunku powagi, za tym niespotykanym widowiskiem kryło się coś niebezpiecznego. Podobnego uczucia doznaje się, patrząc na spokojną, zalaną słońcem powierzchnię morza, pod którą krążą wygłodniałe żarłacze.

Mimo że lelki zniknęły już w mroku, nadal wpatrywaliśmy się w odległe konstelacje, jakbyśmy byli uczestnikami widowiska znanego z wczesnych filmów Spielberga i zastygli w oczekiwaniu na statek matkę, który skąpie nas w blasku prawie tak intensywnym jak ten rzucany przez Boga.

— Widziałem to już wcześniej — oświadczyłem.

— Kłamiesz.

— Naprawdę.

— Szaleństwo.

— Maksymalne.

— Kiedy?

— Po drodze, kiedy szedłem do ciebie. Po drugiej stronie parku.

Tylko stado było wtedy mniejsze.

— Co one robią?

— Nie wiem. Chyba znowu nadlatują.

— Nie słyszę ich.

— Ja też nie. I nie widzę. Ale wracają.

Bobby zawahał się, potem pokiwał powoli głową.

— Tak. — On też to poczuł.

Gwiazdy nad gwiazdami pod gwiazdami. Mocniejsze światełko, może Wenus. Jedna, dwie, trzy flary drobnych meteorów, które spaliły się w zderzeniu z atmosferą. Czerwona, migotliwa kropka, zmierzająca ze wschodu na zachód, może statek powietrzny żeglujący wzdłuż granicy oddzielającej nasze morze atmosfery od morza próżni.

Zacząłem już podejrzewać, że tym razem instynkt mnie zawiódł, kiedy wreszcie dojrzałem stado wracające z tej samej części nieba, w której zniknęło przed kilkoma minutami. Ptaki tworzyły ogromną, nieprawdopodobną spiralę, której podstawa znajdowała się zaledwie kilka stóp nad ulicą, wierzchołek zaś ginął w mroku. Ten ogromny korkociąg przesunął się wzdłuż ulicy, mijając nasz samochód i kolejne budynki z głośnym trzepotem skrzydeł.

To nieopisane, nieprawdopodobne zjawisko wywoływało nie tylko zdumienie, ale i zachwyt, a zachwyt jest źródłem radości. Czulem, jak na ten widok rośnie we mnie jakieś dziwne uniesienie, szybko jednak ustąpiło miejsca poczuciu dysharmonii, rozbieżności między czarującym zachowaniem ptaków a ich posępnym, niepokojącym nastrojem.

Bobby musiał czuć to samo, gdyż nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu, ujrawszy niesamowity popis ptasiej zręczności. Śmiech jednak szybko zamarł mu na ustach, a kiedy odprowadzał wzrokiem oddalające się stado, grymas na jego twarzy wyrażał raczej strach niż radość.

Dwie przecznice dalej ptaki wzbiły się wyżej niczym wielka, ulatująca trąba powietrzna.

Te niesamowite akrobacje wymagały ogromnego wysiłku; ptaki trzepotały skrzydłami z taką siłą, że nawet gdy rytmiczny dźwięk, przypominający bicie w setki bębnow, ucichł w oddali, nadal czułem wibracje w uszach, w sercu, w kościach.

Wreszcie nawet i to doznanie zniknęło bez śladu. Znów ogarnęła nas cisza, przerywana jedynie szeptem nadmorskiej bryzy.

— To jeszcze nie koniec — powiedział Bobby.

— Nie.

Ptaki wróciły jeszcze szybciej niż poprzednio. Tym razem nadleciały z innej strony, znad parku. Usłyszeliśmy je, zanim pokazały się nad drzewami. Teraz ich nadejście zwiastował nie trzepot skrzydeł, lecz przeraźliwy, nieziemski wrzask.

Przerwały wreszcie znowu milczenia, eksplodowały ogromnym piskiem. Skowycząc, piszcząc, gwizdząc, runęły ku ziemi. Jednostajny, przejmujący krzyk wwiercał się w mój mózg, nuta straszliwego żalu mroziła duszę, przeszywała ją lancą nieopisaną rozpacz.

Bobby nawet nie podniósł broni.

Ja także nie sięgałem po pistolet.

Wiedzieliśmy obaj, że ptaki nie atakują. W ich krzykach nie było agresji, tylko smutek, samotność, rozpacz tak czarna i głęboka, że wymykała się wszelkiej próbie opisu.

W ślad za tym mrozącym krew w żyłach wrzaskiem pojawiły się ptaki. Tym razem nie tworzyły żadnych akrobatycznych formacji, leciały w jednej nieuporządkowanej grupie. Teraz

liczyła się dla nich tylko prędkość, wszystkie ich poczynania były jej podporządkowane. Nurkowały ze złożonymi skrzydłami, wykorzystując grawitację jako siłę napędową.

Dążąc do celu, którego żaden z nas nie znał, przemknęły nad parkiem i nad ulicą, by wlecieć prosto w piętrowy budynek, odległy zaledwie o kilkanaście jardów od kina. Uderzały w betonową ścianę z taką siłą, że głośnie ra-ta-ta ich ciał rozgniatanych na miazgę w zetknięciu z nieustępliwą powierzchnią brzmiało niczym nieprzerwany ogień karabinu maszynowego. Odgłos ten w połączeniu z przeraźliwym wrzaskiem pozostałych przy życiu ptaków zagłuszał nawet brzęk tłuczonego szkła.

Przerażony, wstrząśnięty, odwróciłem się plecami do tego krwawego widowiska i oparłem o samochód.

Zważywszy na ogromną prędkość stada kamikadze, głuchy odgłos miażdżonych ciał nie mógł trwać dłużej niż kilkanaście sekund, wydawało się jednak, że minęły minuty, nim wreszcie ustał ten straszliwy hałas. Nad ulicą zapadła ponura, przerażająca cisza, przypominająca śmiertelny spokój, jaki nastaje po wybuchu bomby.

Zamknąłem oczy, lecz otworzyłem je natychmiast, gdy pod powiekami znów ujrzałem samobójczy lot setek ptaków.

Świat stał na krawędzi katastrofy. Wiedziałem to od miesiąca, odkąd poznałem prawdę o wydarzeniach z laboratoriów Wyvern. Teraz kładka zawieszona nad przepaścią przyszłości wydała mi się jeszcze węższa, przepaść głębsza, niż przypuszczałem, a skały na jej dnie bardziej ostre, niż mogłem to sobie wyobrazić.

Nagle przed oczami stanęła mi twarz matki. Taka dobra. Taka łagodna.

Obraz zniknął. Cały świat wokół mnie, ulica i kino zatarły się na moment.

Odetchnąłem głęboko. Powietrze kłuło mnie w płuca, paliło żywym ogniem. Wziąłem jeszcze jeden oddech, już mniej bolesny, i przetarłem oczy rękawem kurtki.

Moje dziedzictwo wymaga ode mnie tego, żebym był świadkiem zachodzących w świecie zmian. Nie mogę cofnąć się przed tą odpowiedzialnością. Nie mogę oglądać słońca, nie wolno mi jednak unikać światła prawdy, światła, które ogrzewa, lecz nie niszczy.

Odwróciłem się, by spojrzeć na martwe stado.

Setki małych ptaków zasłały powierzchnię ulicy. Tylko kilka skrzydeł drgało jeszcze w przedśmiertnym tańcu. Większość zwierząt uderzyła z taką siłą, że ich małe czaszki uległy zmiążdżeniu.

Ponieważ wyglądały na zwyczajne lelki, zastanawiałem się, jakie zmiany zaszły w ich umysłach. Choć niewidoczna gołym okiem, różnica musiała być tak wielka, że odmienione ptaki uznały dalsze życie za bezcelowe, nie do zniesienia.

A może ten samobójczy lot nie był świadomym, zamierzonym aktem. Być może ptaki zatraciły po prostu wyczucie kierunku albo uległy masowemu zaślepieniu.

Nie. Pamiętając o skomplikowanych figurach akrobatycznych, tworzonych przez ogromne stado, musiałem założyć, że zmiany zachodzące w ich organizmach są głębsze, bardziej tajemnicze i bardziej niepokojące niż zwykle fizyczne dysfunkcje.

Silnik jeepa zakrztusił się cicho, podjął pracę i ryknął głośno, kiedy Bobby przycisnął na moment pedał gazu.

Nie zauważyłem nawet, kiedy usiadł za kierownicą.

— Bracie — powiedziałem.

Wprawdzie samobójczy lot stada nie był bezpośrednio związany ze zniknięciem Orsona i porwaniem Jimmy'ego Winga, odszukanie obu stało się w tej chwili jeszcze pilniejsze.

Choć raz Bobby wyglądał jak człowiek, którego interesuje upływ czasu i problemy tego świata.

— No to w drogę — oświadczył swobodnym tonem; gdy jednak spojrzałem mu w oczy, dostrzegłem tam smutek i niezwykłą powagę.

Wsiadłem do jeepa i zatrzasnąłem drzwi.

Karabin maszynowy powrócił na swoje miejsce między fotelami.

Bobby włączył światła i ruszył z miejsca.

Gdy mijaliśmy martwe ptaki, zauważyłem, że żaden z nich nie porusza skrzydłami. Tylko wiatr podnosił rozrzucone po ziemi pióra.

Ani ja, ani Bobby nie chcieliśmy rozmawiać o tym, co widzieliśmy przed chwilą. Brakowało nam odpowiednich słów.

Mijając scenę tego przerażającego widowiska, Bobby nie odwrócił nawet głowy, siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w bruk ulicy.

Ja z kolei nie mogłem oderwać spojrzenia od martwego stada — i odwróciłem się w fotelu, by patrzeć na nie, kiedy przejechaliśmy dalej.

W moim umyśle rozbrzmiewała dziwna, poszarpana muzyka,

odgrywana jedynie na czarnych klawiszach pianina.

Wreszcie odwróciłem się do przodu. Jechaliśmy prowadzeni mocnym blaskiem reflektorów jeepa, ale bez względu na prędkość zawsze pozostawaliśmy w tyle, w ciemności, w beznadziejnej pogoni za światłem.

10

Umarłe Miasteczko mogłoby uchodzić za dzielnicę piekła, w której potępieńcy skazani są nie na męki w ogniu i wrzącym oleju, lecz na znacznie dotkliwszą karę samotności i wiecznej ciszy, w której mogą myśleć o tym, co by było, gdyby... Niczym herosi, których zadaniem jest wyrwać z czeluści piekielnych dwie niesłusznie potępione duszyczki, krążyliśmy po ulicach Umarłego Miasteczka, szukając jakiegokolwiek śladu mojego futrzastego brata i syna Lilly.

Uzbrojony w potężną latarkę, którą Bobby podłączył do gniazdka w samochodzie, oświetlałem szeregi domów przypominających ogromne grobowce. Zaglądałem przez zakurzone i wybite okna do ich wnętrza, zalewając puste pomieszczenia upiornym blaskiem. Przesuwałem promień latarki pomiędzy uschniętymi żywopłotami, wśród martwych kikutów krzewów, których cienie uciekały przede mną jak spłoszone zwierzęta.

Choć starałem się utrzymać snop światła jak najdalej od siebie, blask odbity od ziemi i różnych przedmiotów i tak był dość kłopotliwy. Już po chwili zaczęły mnie piec oczy. Mógłbym

co prawda włożyć ciemne okulary, ale to z pewnością nie ułatwiłoby mi poszukiwań.

Bobby prowadził samochód powoli, pozwalając mi obejrzeć dokładnie pobliskie domy.

— Co jest z twoją twarzą? — spytał nieoczekiwanie.

— Sashy się podoba.

— Sasha potrzebuje szybkiej transfuzji dobrego smaku. Co ty tam wyciskasz?

— Nic nie wyciskam.

— Mama nie uczyła cię, żeby tego nie robić?

— Dotykam tylko.

Podczas gdy w prawej dłoni trzymałem reflektor, lewą dotykałem bolesnego punktu, który odkryłem wcześniej na twarzy.

— Widzisz tu siniaka? — spytałem, wskazując na lewy policzek.

— Nie w tym świetle.

— Boli.

— No cóż, obijałeś się trochę w ciemności.

— Właśnie tak to się zaczyna.

— Co?

— Rak.

— To pewnie zwykły pryszcz.

— Najpierw bolesny punkt, potem patologiczne zmiany, a potem, ponieważ moja skóra nie może się przed tym bronić w żaden sposób... gwałtowna degeneracja.

— Ty to sobie potrafisz znaleźć zabawę.

— Jestem po prostu realistą.

Skręcając w prawo, w kolejną ulicę, Bobby spytał:

— A co dobrego przyszło kiedy komu z tego, że był realistą?

Kolejne zaniedbane bungalowy. Kolejne uschnięte żywopłoty.

— Boli mnie też głowa — dodałem.

— Chłopie, od twojego gadania mnie dopiero rozboli głowa.

— Któregoś dnia ten ból nie ustąpi, to będzie wynik neurologicznych zmian wywołanych XP.

— Koleś, masz więcej psychosomatycznych symptomów niż wujek Scrooge pieniędzy.

— Dzięki za diagnozę, doktorze Bob. Przez siedemnaście lat nie usłyszałem od ciebie dobrego słowa.

— Nie potrzebujesz go.

— Czasami.

Przez chwilę jechaliśmy w ciszy, potem Bobby oświadczył niespodziewanie:

— Nie kupujesz mi już kwiatów.

— Co?

— Nie mówisz mi już, jaki jestem ładny.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

— Dupek.

— Widzisz? Jesteś dla mnie taki okrutny.

Bobby zatrzymał samochód na środku ulicy.

Rozejrzałem się, zaniepokojony.

— Co się stało?

— Gdybym był owinięty w neopren, nie musiałbym stawać — odparł. Neopren to tworzywo, z którego wykonuje się specjalne kostiumy. Z takich kostiumów korzystają surferzy, kiedy woda jest za zimna, by pływać tylko w kąpielówkach.

Podczas długich chwil spędzonych w zimnej wodzie w oczekiwaniu na wielkie, rozpędzone fale, surferzy od czasu do czasu wypróżniają się prosto w wilgotne kostiumy. Towarzyszy temu przyjemne poczucie ciepła, które trwa aż do nadejścia następnej zimnej fali.

Jeśli surfowanie nie jest najcudowniejszym, najbardziej romantycznym ze wszystkich sportów, to nie wiem, co innego może nim być. Z pewnością nie golf.

Bobby wysiadł z jeepa i stanął przy krawężniku, odwrócony do mnie plecami.

— Mam nadzieję, że to ciśnienie w pęcherzu nie oznacza, że mam raka.

— Powiedziałeś już, co o tym myślisz.

— Ta dziwna potrzeba wypróżnienia. Człowieku, to... to jest przerażające.

— Pospiesz się.

— Na pewno trzymałem to za długo, a teraz cały mój organizm jest zatruty.

Wyłączyłem latarkę. Odłożyłem ją na bok i sięgnąłem po karabin.

— Nerki zapadną się do środka, wylecą mi wszystkie włosy, odpadnie mi nos — kontynuował Bobby. — Jestem już stracony.

— Owszem, jeśli się nie zamkniesz.

— Nawet jeśli nie umrę, to jaka laska zechce się umówić z łysym facetem bez nosa i nerek?

Hałas silnika i blask reflektorów mogły ściągnąć na nas uwagę kogoś, z kim wcale nie chcielibyśmy się spotkać. Małpy uciekły do kanału, słysząc nadjeżdżającego jeepa; od tamtej pory mogły

jednak przeprowadzić zwiad i przekonać się, że choć jesteśmy uzbrojeni, we dwójkę nie damy rady całemu stadu. Co gorsza, mogły się zorientować, że jeden z nas to Christopher Snow, syn Wisterii Snow, która być może znana jest im pod przydomkiem Wisteria von Frankenstein.

Bobby zasunął rozporek i spokojnym krokiem powrócił do jeepa.

— Po raz pierwszy ktoś gotów był mnie osłaniać ogniem z karabinu maszynowego, kiedy ja po prostu sikałem — oświadczył Bobby, zajmując miejsce za kierownicą.

— *De nada.*

— Dobrze się czujesz, bracie?

Bobby znał mnie dość dobrze, by zrozumieć, że ostatni atak hipochondrii był jedynie wyrazem mojej troski o Orsona.

— Przepraszam. Zrobiłem z siebie durnia.

Zwalniając hamulec ręczny i ruszając z miejsca, Bobby odparł:

— Robić z siebie durnia jest rzeczą ludzką, a rzeczą Bobby'ego jest przebaczać.

Kiedy ruszył powoli do przodu, odłożyłem broń i ponownie sięgnąłem po reflektor.

— W ten sposób nigdy ich nie znajdziemy — westchnąłem.

— Masz jakiś lepszy pomysł?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, coś wrzasnęło przeraźliwie. Krzyk ten był dziwny, lecz nie całkiem obcy; gorzej, była to niepokojąca mieszanka znanego i nieznanego. Przypominał wrzask dzikiego zwierzęcia, krył w sobie jednak jakąś ludzką nutę, wyraz tęsknoty i niespełnionych pragnień.

Bobby ponownie zahamował.

— Gdzie?

Zdążyłem już włączyć reflektor i skierowałem go na drugą stronę ulicy, skąd dobiegał krzyk.

Cienie balustrady i kolumn podpierających dach wyciągnęły się do źródła światła, tworząc złudzenie ruchu. Cienie nagich gałęzi drzew pięły się po ścianach budynku.

— Uwaga, cudak — oznajmił nagle Bob i wyciągnął rękę.

Odwróciłem reflektor we wskazanym przez niego kierunku. Zdołaliśmy dojrzeć jeszcze jakiś ciemny kształt, który pędził przez trawę, by zniknąć za długim, wysokim na cztery stopy żywopłotem, oddzielającym frontowe trawniki bungalowów od ulicy.

— Co to było? — spytałem.

— Może... to, o czym ci mówiłem.

— Wielki Łeb?

— Wielki Łeb.

W czasie długich suchych miesięcy żywopłot zmarniał, a obfite zimowe opady nie mogły już przywrócić go do życia. Choć martwy, nadal otaczał puste ogródki ochronną tarczą.

Bobby trzymał się środka ulicy, ale jechał powoli, równoległe do żywopłotu.

Mimo że na żywopłocie nie zielenił się już ani jeden listek, uschnięte gałęzie tworzyły gęstą masę, skutecznie osłaniając ukryte za nimi tajemnicze stworzenie. Nie przypuszczałem, że uda mi się je dojrzeć. Dostrzegłem je tylko dlatego, że łagodny zarys zwierzęcego ciała kontrastował z poszarpanymi, ostrymi liniami uschniętych gałęzi. Promień reflektora przebił się przez liczne warstwy kłaczy i spoczął na naszej ofierze. Nadal jednak

nie widziałem nic prócz błyszczących, zielonych oczu, podobnych do ślepi pewnej rasy kotów.

Jednak jedynym znanym mi kotem o takich rozmiarach była puma.

A to nie była puma.

Przestraszone zwierzę znów wydało z siebie przeraźliwy wrzask i poderwało się do ucieczki. Biegło tak szybko, że nie mogłem nadążyć z przesuwaniem światła. Po jakimś czasie promień reflektora natrafił na krótką przerwę w żywopłocie w miejscu, gdzie przebiegał chodnik łączący dom z ulicą. Jednak Wielki Łeb — a może Wielka Stopa albo wilkołak, albo potwór z Loch Ness w przebraniu, albo sam już nie wiem co — był o ułamek sekundy szybszy i przeskoczył przez wyrwę tuż przed tym, jak zalało ją światło latarki. Dojrzałem jedynie tyłek zwierzaka, a i to niewyraźnie, aczkolwiek nie wiem, czy nawet dokładna obserwacja tej części ciała mogłaby przynieść jakieś efekty.

Wydawało mi się, że zwierzę biegło przygięte do ziemi jak mała, ze zwieszonymi ramionami i pochyloną głową, niemal trąc o ziemię pięściami. Że było o wiele większe od rezusa. Mogło być nawet wyższe, niż przypuszczał Bobby, i gdyby się wyprostowało, pewnie zerkałoby na nas znad żywopłotu, a może nawet pokazało język.

Oświetlałem kolejne partie żywopłotu, jednak nie zobaczyłem naszego uciekiniera.

— Tam — powiedział nagle Bobby, zatrzymując auto, podnosząc się z miejsca i wskazując na jeden z trawników.

Kiedy odwróciłem się we wskazaną stronę, dojrzałem jakąś

bezkształtną postać przemykającą przez ogród, z dala od ulicy, za róg domu.

Nawet gdy podniosłem reflektor nad głowę, nie mogłem dobrze oświetlić umykającego zwierzęcia, które dodatkowo skrywały gałęzie wawrzynu i wysoka trawa.

Bobby opadł na swoje miejsce, skierował auto na żywopłot, włączył napęd na cztery koła i przycisnął pedał gazu.

— Ścigamy cudaka — oświadczył.

Ponieważ Bobby żyje chwilą i przypuszcza, że śmierć objawi mu się w jakiejś szybszej i bardziej niespodziewanej postaci niż rak skóry, nie kryje się przed słońcem i zawsze pokryty jest wspaniałą opalenizną. Z kolei jego zęby i oczy lśnią tak jasno jak nasycone plutonem kości zwierząt z okolicy Czarnobyła, co zazwyczaj nadaje mu egzotyczny i atrakcyjny wygląd młodego Cygana, teraz jednak czyniło zeń wyszczerzonego szeroko idiotę.

— To głupota — zaprotestowałem.

— Ścigamy, ścigamy cudaka — powtarzał Bobby, pochylając się nad kierownicą.

Jeep wskoczył na krawężnik, przemknął pod niskimi konarami wawrzynu i uderzył z ogromną siłą w suchy żywopłot, rozrzucając na boki odłamane gałązki. Kiedy wjechaliśmy na trawnik, spod kół podniósł się gęsty, słodki i zielony zapach rozgniatanej trawy, gęstej i bujnej po zimowych deszczach.

Zwierzę zniknęło za rogiem domu, kiedy forsowaliśmy żywopłot.

Bobby kontynuował pościg.

— To nie ma nic wspólnego z Orsonem ani z Jimmym — przekrzykiwałem ryk silnika.

— Skąd wiesz?

Miał rację. Nie wiedziałem. Może istniał jakiś związek. Tak czy inaczej, nie mieliśmy na razie żadnego innego tropu.

Kiedy wjechaliśmy między domy, Bobby zawołał:

— *Carpe noctem*, pamiętasz?

Zdradziłem mu ostatnio swoje nowe motto. Już tego żałowałem. Byłem przekonany, że będę nim bombardowany tak często, że straci całą moc i stanie się równie mdłe jak koktajl z owczego mleka.

Poszczególne domki rozdzielał trawnik szerokości piętnastu stóp. Na tym wąskim pasie nie rosły żadne krzewy. Reflektory wyłowiłyby zatem z ciemności naszego uciekiniera, gdyby ten znajdował się właśnie tutaj, ale go nie było.

Bobby wcale się tym nie przejął. Przycisnął tylko mocniej pedał gazu.

Wpadliśmy na tylne podwórko dokładnie w momencie, kiedy nasz yeti przeskakiwał przez drewniany płot na teren sąsiedniej posesji. I tym razem dojrzeliliśmy jedynie jego owłosione pośladki.

Bobby nie uważał, by drewniane ogrodzenie stanowiło dlań wyzwanie większe od żywopłotu. Pędząc prosto na szereg wysokich sztachet, roześmiał się i krzyknął:

— Skegi! — Co miało oznaczać mniej więcej tyle co „Ale jazda!”. Podejrzewam, że wzięło się to od słowa „skeg”, nazwy niewielkiej płytki zamocowanej pod dnem deski surfingowej, umożliwiającej wykonywanie skomplikowanych i szalonych manewrów.

Choć Bobby to amator spokojnej i niespiesznej egzystencji, zajmujący w rankingu luzaków pozycję równie wysoką, jak Saddam Husajn na liście szalonych dyktatorów, staje się zupełnie

innym człowiekiem, szaloną bestią, gdy tylko rzuci się w wir wydarzeń. Potrafi godzinami siedzieć na plaży, czekając na fale, które zapewnią mu odpowiednie przeżycia. Nie zwraca uwagi nawet na przechadzające się dokoła piękne ciała w bikini, tak jest skupiony i cierpliwy, że mógłby zawstydzić swym spokojem także słynne kamienne głowy z Wysp Wielkanocnych. Kiedy jednak dojrzy wreszcie to, na co tak długo czekał, rzuca deskę na wodę, wiosłuje rękami jak szalony, a stanąwszy na grzbiecie oceanicznej góry, nie zachowuje się tam jak boja; wstępuje w niego duch wszystkich mistrzów surfingu, przecina największe nawet fale, chowa się pod ich wielkim dachem, szuka największych i najniebezpieczniejszych. Gdyby jakiś rekin wziął go wtedy za swego kolegę, Bobby przerzuciłby biednego zwierzaka na grzbiet i wykorzystał jako długą deskę o niespotykanych kształtach.

— Skegi, akurat... — parsknąłem, kiedy uderzyliśmy w płot.

Wysuszone białe sztachety eksplodowały przed maską jeepa, zasypując przednią szybę ostrymi odłamkami i drzazgami. Byłem pewien, że jedna z nich wpadnie do środka samochodu, wbije się w moje oko i zrobi z mojego mózgu kebab, na szczęście jednak nic podobnego się nie stało. Potem znaleźliśmy się już na tylnym trawniku domu zwróconego frontem do równoległej uliczki.

Podwórko, które zostawiliśmy za sobą, było stosunkowo równe, teraz jednak natrafiliśmy na prawdziwe pole doświadczalne dla samochodów terenowych. Nasz jeep tak mocno chwiał się i kołysał na niezliczonych kretowiskach, wykrotach i dziurach, że musiałem przytrzymywać ręką czapkę.

Choć otwierając usta, narażałem się na poważne ryzyko

odgryzienia języka, spytałem Bobby'ego:

— W-widzisz to?

— Jasne! — zapewnił mnie, choć światła reflektorów poruszały się w górę i w dół tak gwałtownie, że moim zdaniem nie mógł dojrzeć niczego prócz domku, który właśnie okrążaliśmy.

Wyłączyłem latarkę i położyłem ją sobie na kolanach, gdyż nie oświetlała niczego prócz moich kolan i różnych galaktycznych mgławic.

Teren wokół bungalowu był równie poszarpany jak podwórko z tyłu, nie lepiej prezentował się trawnik od frontu. Pomyślałem, że krety, które dokonały tak wielkiego dzieła zniszczenia, musiały być wielkie jak holenderskie krowy.

Zatrzymaliśmy się gwałtownie tuż przed ulicą. Nie rosły tu żywopłoty, które mogłyby służyć za schronienie naszemu uciekinierowi, a pnie wawrzynów były tak cienkie, że nie zasłoniłyby nawet chorej na bulimię supermodelki, nie mówiąc już o yeti.

Włączyłem reflektor i oświetliłem ulicę po obu stronach jeepa. Pusto.

— Myślałem, że go widzisz — mruknąłem.

— Widziałem.

— A teraz?

— Nie.

— I co?

— Nowy plan — odparł spokojnie.

— Czekam.

— To ty jesteś od planowania. — Bobby wzruszył ramionami, wjeżdżając na ulicę.

Kolejny przeraźliwy wrzask — niczym zgrzyt paznokci o tablicę, jęk umierającego kota, płacz przestraszonego dziecka zniekształcony i zmiksowany przez naćpanego muzyka — poderwał nas z foteli nie tylko dlatego, że był dość upiorny, by zmrozić nam krew w żyłach, ale także dlatego, że rozległ się za nami.

Nie wiedziałem nawet, kiedy podciągnąłem nogi, pochwyciłem metalową ramę, obróciłem się w miejscu i stanąłem na fotelu. Musiałem to jednak zrobić z szybkością i wprawą mistrza świata w gimnastyce artystycznej, bo właśnie w takiej pozycji znalazłem się w momencie, gdy krzyk osiągnął swoje apogeum i gwałtownie ucichł.

Nie zauważyłem też, kiedy Bobby porwał z siedzenia karabin, wyskoczył z jeepa i stanął na trawniku, ale właśnie tam był teraz, ściskając w dłoni broń, zwrócony twarzą w stronę ciemnego podwórka.

— Światło — powiedział.

Nadal trzymałem w dłoni reflektor. Włączyłem go natychmiast. Nikt nie krył się za jeepem.

Wysoka do kolan trawa zakołysała się lekko, pogłaskana dłonią wiatru. Gdyby jakiś drapieżnik skradał się właśnie w naszą stronę, korzystając z zasłony trawy, zakłóciłby teraz idealną harmonię pochylonych źdźbeł i byłby doskonale widoczny.

Pobliski bungalow pozbawiony był werandy, do drzwi prowadziły jedynie dwa schodki, osłonięte niewielkim daszkiem. Drzwi były zamknięte, a szyby w oknach nienaruszone. Zza zakurzonych tafli szkła nie wyzierała twarz żadnego potwora.

— To musiało być gdzieś tutaj — powiedział Bobby.

— Jestem pewien.

Bobby ścisnął mocniej w dłoniach na karabinie. Rozglądając się niepewnie, zaniepokojony nienaturalną ciszą, mruknął:

— Nie podoba mi się to.

— Mnie też — zgodziłem się z nim.

Na twarzy mego przyjaciela pojawił się grymas niezadowolenia i podejrzliwości. Bobby odsunął się powoli od jeepa.

Nie wiedziałem, czy zauważył coś pod samochodem, czy też działał intuicyjnie.

Umarłe Miasteczko było tak ciche, jak wskazywała na to nazwa. Nie szumiały nawet poruszane wiatrem trawy.

Wciąż stojąc na fotelu pasażera, spojrzałem w dół, na falujące lekko źdźbła. Gdyby spod jeepa wyskoczył jakiś potężniaczek, wspiąłby się na drzwi i dopadł mojej szyi, nim zdołałbym chwycić za krucyfiks, czy choćby wianuszek główek czosnku.

Trzymałem latarkę w jednej ręce, drugą sięgnąłem po glocka.

Tymczasem Bobby odsunął się trzy kroki od jeepa i przyklęknął na kolanie.

Chcąc pomóc mu w poszukiwaniach, wystawiłem reflektor na zewnątrz i skierowałem snop światła pod podwozie z mojej strony.

Bobby zastygł w klasycznej pozycji doświadczonego łowcy potworów. Podparty na kolanie, przechylał powoli głowę i opuszczał ją, by wreszcie zajrzeć pod samochód.

— Nic — oświadczył.

— Nul?

— Zero.

— Szkoda. Byłem już przygotowany — powiedziałem.

— Roznieślibyśmy go w drobny mak.

— Nie miałby szans.

Kłamaliśmy jak najęci.

Kiedy Bobby podnosił się z ziemi, kolejny wrzask rozdarł ciszę nocy; ten sam zgrzyt, jęk, pisk i zniekształcony płacz dziecka, który poderwał nas przed chwilą z foteli.

Tym razem natychmiast zorientowałem się, skąd dochodzi krzyk, i skierowałem latarkę na dach bungalowu, gdzie promień światła odsłonił Wielki Łeb. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości; było to właśnie to stworzenie, które Bobby nazwał Wielkim Łbem, bo jego głowa rzeczywiście wydawała się niezwykle duża.

Siedział skulony na samym szczycie dachu, jakieś szesnaście stóp nad nami, niczym King Kong na Empire State Building, tyle że odtworzony w jakimś tanim filmiku wideo, którego twórcom zabrakło pieniędzy na lepsze dekoracje, sztuczne samoloty czy choćby ślicznotkę w peniuarze. Kryjąc twarz za skrzyżowanymi rękoma, jakby widok nas, ludzi, przerażał go i wzbudzał w nim obrzydzenie. Wielki Łeb przyglądał się badawczo mnie i Bobby'emu, a jego lśniąca, zielone oczy płonęły niczym dwa ogniki, schowane pomiędzy umięśnionymi ramionami.

Choć twarz zwierzęcia była zakryta, widziałem, że jego głowa jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do ciała. Przypuszczałem także, że jest zdeformowana. Zdeformowana nie tylko według ludzkich standardów, ale także i według małych kanonów piękna.

Nie wiedziałem, czy jest to potomek rezusów, czy też jakichś

innych małp. Jego ciało pokryte było sierścią podobną do sierści reżusów, długie ręce i przygarbione ramiona także przypominały budowę tych małp, choć były o wiele bardziej umięśnione, niemal tak potężne jak ramiona goryla. Nie trzeba było człowieka o mojej hiperaktywnej wyobraźni, by na widok takiego stworzenia zastanawiać się, czy eksperymenty genetyczne w laboratoriach Wyvern nie posunęły się tak daleko, że do genów ciepłokrwistych kręgowców próbowano dodać jakieś cechy gadów — a może i jeszcze coś gorszego.

— Paskuda nad paskudy — powiedział Bobby, cofając się z powrotem do jeepa.

— Cudak do kwadratu — zgodziłem się z nim.

Tymczasem Wielki Łeb odwrócił twarz ku niebu, jakby chciał wpatrywać się w gwiazdy. Nadal zasłaniał się rękami.

Nagle zrozumiałem, że identyfikuję się z tym stworzeniem. Jego postawa, zachowanie mówiły mi, że zakrywa twarz ze wstydu i zakłopotania, że nie chce, byśmy zobaczyli, jak wygląda naprawdę, bo wie, że uznalibyśmy je za odrażające, a to oznaczało, że czuje się odrażające. Być może potrafiłem odpowiednio zinterpretować jego zachowanie i zrozumieć uczucia dlatego, że sam przez całe życie pozostaję wyrzutkiem. Nigdy nie czułem potrzeby ukrywania twarzy, jednak jako małe dziecko poznałem, co to ból i wyobcowanie, kiedy okrutne dzieci nazywały mnie Kretem, Draculą czy jeszcze gorzej.

Usłyszałem nagle własne słowa sprzed kilkunastu sekund — „cudak do kwadratu” — i skrzywiłem się boleśnie. Nasz pościg za tym stworzeniem przypominał mi czasy, gdy sam musiałem uciekać przed silniejszymi prześladowcami. Nawet kiedy

nauczyłem się walczyć i bronić przed takimi jak oni, gotowi byli zaryzykować siniaka czy złamany ząb tylko po to, by choć przez chwilę mi dokuczyć, podręczyć mnie. Oczywiście w tej sytuacji, kiedy musieliśmy ratować Orsona i Jimmy'ego, nasze poczynania były usprawiedliwione. Nie kierowała nami podłość; jednak teraz, z perspektywy kilku minut, ze wstydem wspominałem dziwną, mroczną i dziką radość, z jaką ruszyliśmy w pościg.

Wielki Łeb odwrócił się wreszcie od rozgwieżdżonego nieba i spojrzał na nas, wciąż zakrywając twarz.

Skierowałem snop światła na dachówki pod stopami zwierzęcia, tak by padał na nie jedynie rozproszony, słaby blask, a nie oślepiający promień.

Moja dyskrecja nie zachęciła Wielkiego Łba do odsłonięcia twarzy. Wydał jednak z siebie dźwięk niepodobny do tych, które słyszeliśmy przedtem, dziwnie kontrastujący z jego przerażającym wyglądem; coś pośredniego między gruchaniem gołębia a mruzeniem kota.

Bobby oderwał się na chwilę od tego niecodziennego przedstawienia i czujnie się rozejrzał.

Ja też miałem dziwne, niepokojące wrażenie, że Wielki Łeb odciąga naszą uwagę od jakiegoś bardziej bezpośredniego zagrożenia.

— Superspokojny — oznajmił Bobby.

— Na razie.

Mruczenie-gruchanie Wielkiego Łba stało się głośniejsze i przeszło w serię płynnych egzotycznych dźwięków, prostych i rytmicznych, niepodobnych jednak do odgłosów wydawanych przez zwierzęta. Były to zmodulowane grupy sylab, podobne,

lecz nie identyczne, wymawiane szybko, z ekscytacją; nazwanie ich słowami to wcale nie przesada. Jeśli mowa ta nie była dość skomplikowana, by nazwać ją językiem w takim sensie jak angielski czy francuski, to z pewnością stanowiła prymitywną próbę przekazania jakiejś informacji, pierwociny języka.

— Czego on chce? — spytał Bobby.

Jego pytanie, choć może sam nie był tego świadomy, wynikało z przeświadczenia, że to stworzenie nie wyrzuca z siebie grupy bezsensownych dźwięków, lecz mówi do nas.

— Nie mam pojęcia — odparłem.

Głos Wielkiego Łba nie był ani głęboki, ani groźny. Brzmiał równie dziwnie jak kobza w zespole reggae, przypominał głos ośmio-, dziesięcioletniego dziecka, nie całkiem ludzki, lecz zbliżony, nieco śpiewny, pełen przejmujących tonów, które budziły we mnie sympatię i współczucie.

— Biedny sukinsyn — westchnąłem, kiedy Wielki Łeb umilkł.

— Mówisz poważnie?

— Nieszczęsny potwór.

Bobby przyglądał się chwilę temu Quasimodo, jakby spodziewał się ujrzeć jeszcze dzwonnice, wreszcie skinął głową.

— Może.

— Cholernie mi go żal.

— Chcesz wejść na dach i uścisnąć go serdecznie?

— Później.

— Włączę radio w samochodzie. Wejź tam i poproś go do tańca, może poczuje się atrakcyjniejszy.

— Będę go żałował stąd.

— Typowy mężczyzna. Gadasz i gadasz o współczuciu, a jak

przyjdzie co do czego, to wykręcasz się sianem.

— Boję się odrzucenia.

— Boisz się zaangażować.

Wielki Łeb opuścił nagle ręce i odwrócił się od nas, by na czworakach przebiec po szczycie dachu.

— Świeć na niego! — krzyknął Bobby.

Próbowałem, ale mała poruszała się szybciej niż atakujący wąż. Myślałem, że zeskoczy prosto na nas albo spróbuje ukryć się w trawie, przebiegła jednak na skraj dachu i bez wahania skoczyła na następny domek, oddalony o piętnaście stóp. Zręcznie niczym kot wylądowała na dachu, przysiadła na moment na tylnych łapach, zerknęła na nas swymi zielonymi ślepiami, po czym przemknęła błyskawicznie na drugą stronę domku. Tam znów zerwała się do skoku, opadła na dach trzeciego bungalowu i zniknęła po jego drugiej stronie.

Podczas tych akrobatycznych wyczynów twarz zwierzęcia jedynie przez ułamki sekund ukazywała się w świetle reflektora niczym w jakimś szalonym kalejdoskopie. Mogłem zatem jedynie domyślać się, jak naprawdę wygląda Wielki Łeb. Tylna część czaszki zwierzęcia była nienaturalnie wydłużona, wysokie czoło wisiało nad zapadniętymi oczami niczym kaptur. Grube narośle kości zniekształcały i tak niezbyt piękną twarz. Również usta zwierzęcia były nieproporcjonalnie duże w stosunku do głowy. Unosząc na moment mięsiste wargi, mała odsłoniła wielkie, zakrzywione zęby, bardziej przerażające niż kolekcja noży Kuby Rozpruwacza.

Bobby dał mi szansę na zrewidowanie opinii na temat Wielkiego Łba.

— Biedny?

— Nadal tak myślę.

— Ty chyba myślisz sercem, koleś.

— Cynik.

— Jeśli coś porusza się tak szybko i ma takie wielkie zęby, to na pewno nie je wyłącznie owoców, warzyw i chleba pełnoziarnistego.

Wyłączyłem latarkę. Choć promień skierowany był z dala ode mnie, czułem się zmęczony nadmiarem światła. Nie zobaczyłem dużo, ale i tak zbyt wiele.

Żaden z nas nie zaproponował już dalszego pościgu za Wielkim Łbem. Surferzy nie próbują walczyć z rekinami; kiedy widzimy dużo trójkątnych płetw, po prostu wychodzimy z wody. Biorąc pod uwagę prędkość i zręczność tego stworzenia, i tak nie zdołalibyśmy go złapać, ani na piechotę, ani w jeepie. Nawet gdyby jakimś cudem udało nam się dogonić małą i zapędzić w kozi róg, nie potrafilibyśmy jej obezwładnić, a na pewno nie chcielibyśmy zabić.

— Założmy, że nie chcemy siedzieć tutaj, pić piwa i starać się zapomnieć o wszystkim, co widzieliśmy — rozmyślał głośno Bobby, sadowiąc się za kierownicą.

— Założmy.

— Więc co to było?

Usiadłem na swoim miejscu, wciskając stopy w wolną przestrzeń obok pojemnika z lodem.

— Może to potomek pierwszego stada, które uciekło z laboratorium — odparłem. — Może w następnym pokoleniu zachodzą jeszcze dziwniejsze, gorsze mutacje.

— Przecież widzieliśmy już wcześniej mały z następnego pokolenia. Ty spotkałeś dzisiaj nawet całe stado, prawda?

— Zgadza się.

— Wyglądają jak normalne mały.

— Zgadza się.

— Ta była zdecydowanie nienormalna.

Wiedziałem już, czym jest Wielki Łeb i skąd się wziął, jednak nie chciałem mówić o tym Bobby'emu. Jeszcze nie.

— To właśnie ta ulica, na której zobaczyłem mały — powiedziałem, zmieniając temat.

Spoglądając z powątpiewaniem na szeregi identycznych domków, Bobby zapytał:

— Potrafisz odróżnić te ulice od siebie?

— Zazwyczaj.

— To znaczy, że przesiadujesz tu całymi nocami. To nienormalne, bracie.

— Nie ma nic ciekawego w telewizji.

— Spróbuj zbierać znaczki.

— Za bardzo się podniecam.

Kiedy Bobby uruchomił silnik i ruszył z miejsca, schowałem glocka do kabury i poprosiłem, by skręcił w prawo.

Dwie przecznice dalej kazałem mu się zatrzymać.

— Stój. To tutaj. Tu kręciły tą pokrywą z kanału.

— Jeśli zapanują kiedyś nad światem, zrobią z tego dyscyplinę olimpijską.

— Przynajmniej ciekawsze to od pływania synchronicznego.

Kiedy wysiadłem z samochodu, Bobby spytał zdumiony:

— Gdzie idziesz?

— Podjedź jeszcze kawałek i zaparkuj jednym kołem na kanale. Nie przypuszczam, żeby jeszcze tu były. Pewnie poszły gdzieś dalej. Ale zrób to na wszelki wypadek. Nie chcę, żeby nas zaskoczyły, kiedy będziemy w środku.

— W środku czego?

Szedłem przed samochodem i naprowadzałem Bobby'ego, aż przednie koło zatrzymało się na samym środku pokrywy kanału.

Bobby wyłączył silnik, wziął do ręki karabin i wysiadł z jeepa.

Słaba, oceaniczna bryza przybrała nieco na sile, a chmury na zachodzie, które połknęły już wcześniej księżyc, rozszerzały się powoli ku wschodowi, pożerając gwiazdozbiory.

— W środku czego? — powtórnie spytał Bobby.

Wskazałem na bungalow, w którym chowałem się przed stadem, wciśnięty do szafki na miotły.

— Chcę zobaczyć, co gniło w kuchni.

— Chcesz?

— Muszę — odparłem, idąc w stronę domku.

— Zboczeniec — mruknął Bobby, ruszając mym śladem.

— Małpy były zafascynowane.

— Chcemy zniżyć się do poziomu małp?

— Może to jest ważne.

— Mój brzuch jest pełen kibby i piwa — oświadczył Bobby.

— I co z tego?

— To tylko przyjacielskie ostrzeżenie, bracie. W tej chwili mam niski poziom tolerancji na smród i paskudne widoki.

11

Drzwi frontowe były otwarte, tak jak je zostawiłem. Salon wciąż wypełniał zapach kurzu, pleśni i myszy, do którego dołączył jeszcze smród małego stada.

Światło latarki, której nie ośmieliłem się użyć poprzednio, odsłoniło kilka bladożółtych kokonów długości trzech cali, powieszonych pod sufitem, w rogu pokoju. Rozwijały się tam zapewne nowe ćmy albo motyle, a może były to jaja złożone przez niezwykle płodnego pająka. Jaśniejsze prostokąty na wyblakłej ścianie znaczyły miejsca, gdzie niegdyś wisiały obrazy. Tynk nie był tak popękany, jak można by się spodziewać po sześćdziesięcioletnim domu, w którym nikt nie mieszka prawie od dwóch lat, jednak cienka siatka drobnych rys nadawała ścianom wygląd skorupy jaja tuż przed wykluciem jakiegoś wielkiego ptaka czy gada.

W kącie salonu, na podłodze, leżała dziecięca czerwona dywanek. Nie mogła mieć nic wspólnego z Jimmym, ponieważ pokrywała ją gruba warstwa kurzu.

Kiedy przechodziliśmy do jadalni, Bobby oświadczył niespodziewanie:

— Mam nową deskę.

— Świat się kończy, zacząłeś chodzić na zakupy.

— Zrobili ją dla mnie przyjaciele z Hobie.

— Dobra? — spytałem, wchodząc do jadalni.

— Jeszcze na niej nie pływałem.

W rogu jadalni, pod sufitem, wisiały kokony podobne do tych w salonie. Były jeszcze większe od tamtych, miały cztery do pięciu cali długości, grubością zaś dorównywały porządny hot dogom.

Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Podszedłem bliżej, podświetlając kokony od dołu i przyglądając im się uważnie.

— Nieciekawie to wygląda — mruknął Bobby.

W kilku większych kokonach dostrzegłem ciemne kształty, zakrzywione niczym pytajniki, były jednak tak szczelnie owinięte białymi nićmi, że nie mogłem dojrzeć nic więcej.

— Widziałeś, żeby któreś się ruszało? — spytałem.

— Nie.

— Ja też nie.

— Może nie żyją.

— Tak — przytaknąłem, choć wcale nie byłem przekonany. — Jakieś wielkie, martwe, niedorobione ćmy.

— Ćmy?

— A co innego?

— Wielkie.

— Może to jakieś nowe ćmy. Nowy, większy gatunek. W przemianie.

— Owady? W przemianie?

— Skoro ludzie, psy, ptaki, małpy... dlaczego nie owady?

Marszcząc brwi, Bobby zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Chyba nie powinienem kupować więcej wełnianych swetrów.

Poczułem nagły przypływ mdłości na myśl o tym, że przebywałem w tym pomieszczeniu w całkowitych ciemnościach, nieświadom grubych kokonów zwisających nad moją głową. Właściwie nie rozumiem do końca, dlaczego tak bardzo mnie to przerażyło. Prawdopodobieństwo, że jakiś wielki owad przyszpili mnie do ściany i owinie grubym kokonem, nie było przecież zbyt wielkie. Z drugiej jednak strony znajdowałem się w Wyvern, toteż mogło mi grozić takie niebezpieczeństwo.

Mdłości wywołane były także częściowo przez paskudny smród dochodzący z kuchni. Zdążyłem już zapomnieć, jak bardzo był wstrętny.

Trzymając karabin w prawej dłoni, lewą zaś zakrywając nos i usta, Bobby wykrztusił:

— Powiedz mi, że tam w środku nie śmierdzi jeszcze gorzej.

— W środku nie śmierdzi jeszcze gorzej.

— Ale śmierdzi.

— O tak.

— Załatwmy to szybko.

Gdy odsunąłem promień latarki od kokonów, wydawało mi się, że dojrzałem jakiś ruch w jednym z nich.

Ponownie oświetliłem grupę bladożółtych torebek.

Tajemnicze stworzenia trwały w absolutnym bezruchu.

— Masz pietra? — spytał Bobby.

— A ty nie?

— Jeszcze jakiego.

Weszliśmy do kuchni, gdzie linoleum skrzypiało głośno pod naszymi stopami i gdzie odór gnijącego ciała był równie gęsty, jak kłęby pary unoszące się nad starym olejem w brudnej restauracji.

Nim zacząłem szukać źródła smrodu, skierowałem światło na sufit. W wąskim pasie przestrzeni pomiędzy sufitem a zawieszonymi na ścianie szafkami znajdowało się więcej kokonów niż w obu poprzednich pokojach razem wziętych. Trzydzieści albo czterdzieści. Większość nie odbiegała rozmiarami od tamtych, kilka jednak mogło mieć nawet siedem cali długości. Kolejnych dwadzieścia wisiało wokół kwadratowej plafoniery, na środku sufitu.

— Niedobrze — cmoknął Bobby.

Obniżyłem promień latarki i natychmiast odnalazłem źródło paskudnego fetoru. Na podłodze przed zlewem leżały zwłoki mężczyzny.

Najpierw pomyślałem, że został zabity przez tajemnicze stworzenie z kokonów. Spodziewałem się ujrzeć grubą warstwę jedwabistych nici w jego otwartych ustach, torebki wystające z uszu i z nosa.

Kokony jednak nie miały z tym nic wspólnego. Ten człowiek popełnił samobójstwo.

Rewolwer leżał na jego brzuchu, tam gdzie rzuciły go przedśmiertne spazmy i drgawki. Spuchnięty palec wskazujący prawej dłoni wciąż zaciskał się na spuście. Sądząc po rozległej ranie gardła, przyłożył lufę pistoletu do brody i strzelił sobie prosto w mózg.

Kiedy wszedłem tu po raz pierwszy tej nocy, skierowałem się

do tylnych drzwi, gdzie stanąłem na moment, zaskoczony widokiem mały za oknem. Zbliżając się do drzwi i oddalając od nich, musiałem przejść tuż obok trupa, mijając go zaledwie o cal lub dwa.

— Właśnie tego się spodziewałeś? — spytał Bobby przytłumionym głosem, wciąż zakrywając dłonią usta i nos.

— Nie.

Nie wiedziałem, czego właściwie oczekiwałem, z pewnością nie była to jednak najgorsza z rzeczy, jakie czaiły się w mrocznych zakamarkach mojej wyobraźni. Kiedy zobaczyłem zwłoki, poczułem ulgę — jakbym podświadomie nastawił się na odkrycie znacznie gorsze od tego, jakąś straszliwą prawdę, której teraz musiałbym stawić czoło.

Ubrany w śnieżnobiałe adidasy, spodnie khaki i czerwonozieloną koszulę w kratę, martwy mężczyzna leżał płasko na plecach. Lewa ręka spoczywała przy jego boku, dłoń zwrócona była wnętrzem ku górze, jakby prosił o drobniaki. Wydawał się gruby, gdyż w niektórych miejscach ubranie było już mocno naciągnięte, wiedziałem jednak, że to rezultat pośmiertnej opuchlizny.

Jego twarz także była obrzmiała, oczy wychodziły na wierzch, zeszywniały język wystawał spomiędzy wykrzywionych warg i odsłoniętych zębów. Czerwony płyn, produkt rozkładu, często mylnie brany za krew — sączył się z jego ust i nozdrzy. Na bladozielonym ciele z ciemnymi, niemal czarnymi plamami rysowały się wyraźnie żyły i tętnice wypełnione krwią, która uległa hemolizie.

— Musi leżeć tutaj... ile? Tydzień? Dwa? — zastanawiał się

Bobby.

— Krócej. Trzy, cztery dni.

Temperatura w zeszłym tygodniu była dość umiarkowana, ani za wysoka, ani za niska, dzięki czemu rozkład postępował w równomiernym, przewidywalnym tempie. Gdyby mężczyzna nie żył dłużej niż cztery dni, jego ciało byłoby nie bladozielone, lecz zielonoczarne, z plamami całkowitej czerni. Choć na powierzchni ciała zaczęły się już tworzyć pęcherzyki, a także nastąpiły pierwsze oznaki zsuwania się skóry i włosów, procesy te nie zaszły jeszcze zbyt daleko, co pozwalało mi określić w przybliżeniu datę zgonu.

— Widzę, że nadal nosisz w głowie podręcznik medycyny sądowej — powiedział Bobby.

— Nadal.

Kiedy miałem czternaście lat, zabrałem się do poważnych studiów nad śmiercią. Większość chłopców w tym wieku przejawia dziwne zainteresowanie, wręcz fascynację ponurymi komiksami, krwawymi powieściami i filmami grozy. Młodzi mężczyźni uważają, że o ich męskości świadczy zdolność do beznamiętnego traktowania najgorszych, najbardziej odrażających widoków i idei, które testują ich odwagę, równowagę umysłu i umiejętność opanowania. W tym czasie Bobby i ja byliśmy fanami twórczości literackiej H.P. Lovecrafta, przedziwnej sztuki H.R. Giger'a i niskobudżetowych meksykańskich filmów grozy, w których krew lała się strumieniami.

Rozwijaliśmy te zainteresowania w stopniu znacznie większym, niż musielibyśmy to robić, by dowieść swojej

męskości, jednak ja posunąłem się w badaniu śmierci jeszcze dalej niż Bobby, przechodząc od kiepskich filmów do całkiem poważnych tekstów naukowych. Zgłębiałem historię i techniki mumifikacji i balsamowania zwłok, czytałem ponure opisy katastrof i epidemii takich jak Czarna Śmierć, która wybiła jedną trzecią populacji Europy pomiędzy 1348 i 1350 rokiem.

Teraz rozumiem już, że prowadząc tak głębokie studia nad śmiercią, chciałem się oswoić z myślą o własnej śmiertelności i łatwiej ją zaakceptować. Na długo przed osiągnięciem dojrzałości wiedziałem, że każdy z nas jest piaskiem w klepsydrze, który bez ustanku przesypuje się z górnej połówki do nieruchomej dolnej półkuli, i że w moim szczególnym przypadku szyjka pomiędzy tymi dwoma częściami jest szersza, a tempo przesypywania większe. Nie była to prawda łatwa do zaakceptowania przez człowieka tak młodego jak ja, miałem jednak nadzieję, że stając się badaczem śmierci, pozabawię ją odium grozy i strachu.

Wiedząc, jak wysoka jest umieralność wśród ludzi obciążonych XP, moi kochani rodzice wychowywali mnie raczej do zabawy niż do pracy, chcieli, bym czerpał z życia jak najwięcej, bym przyszłość traktował nie ze strachem, lecz z poczuciem tajemnicy. Dzięki nim nauczyłem się ufać Bogu, wierzyć, że moja egzystencja ma cel, cieszyć się każdą chwilą. Mama i tata byli zaniepokojeni moją obsesją śmierci, jednak jako ludzie nauki wierzyli w jej wyzwalającą moc i nie stawali na drodze moim zainteresowaniom.

Właściwie to tato zdobył książkę, która stała się ukoronowaniem moich badań: *Medycynę sądową*, opublikowaną

przez Elsevier w serii opasłych tomów, przeznaczonych głównie dla profesjonalistów pracujących w wymiarze sprawiedliwości i biorących udział w śledztwach kryminalnych. Ta posępna praca, ilustrowana obficie fotografiami, które zmrożą najgorętsze serca i obudzą współczucie w najtwardszych z twardzieli, nie jest dostępna w większości bibliotek i z pewnością nie nadaje się dla dzieci. W wieku czternastu lat, kiedy mogłem spodziewać się, że pożyję jeszcze co najwyżej pięć lub sześć, mogłem jednak uchodzić nie za dziecko, lecz za człowieka w podeszłym wieku.

Medycyna sądowa opisuje wszystkie rodzaje śmierci, jakie mogą nas czekać: śmierć w wyniku choroby, poprzez spalenie, zamarznięcie, utonięcie, porażenie prądem, zatrucie, śmierć z głodu, w wyniku postrzelenia, uderzenia tępym narzędziem czy ciosu zadanego nożem. Nim jeszcze skończyłem czytać tę książkę, wyrosłem z fascynacji śmiercią i... ze strachu przed nią. Fotografie przedstawiające odrażające i odarte z godności szczątki ludzkie przekonały mnie, że cechy, które cenię u mych przyjaciół — poczucie humoru, lojalność, wiarę, odwagę, zdolność do współczucia, litość — nie mają nic wspólnego z ich cielesną powłoką, że są od niej trwalsze; żyją na zawsze we wspomnieniach dobrych, oddanych im ludzi, żyją na zawsze, inspirując innych do szerzenia dobra i miłości. Humor, wiara, odwaga i współczucie nie gniją i nie znikają; są odporne na działanie bakterii, silniejsze od czasu i siły ciężenia, mają swój początek w czymś mniej kruchym niż ciało i krew, w duszy, która nie umiera.

Choć wierzę, że będę istniał także po tym życiu i że spotkam

tam tych, których kocham tutaj, wciąż boję się, że oni odejdą pierwsi, zostawiając mnie w samotności. Czasami budzę się z koszmaru, w którym jestem jedynym żywym człowiekiem na ziemi: leżę w łóżku, drżę na całym ciele, nie mam odwagi zawołać Sashy czy zadzwonić do kogoś, przerażony, że nikt mi nie odpowie, że straszliwy sen stanie się rzeczywistością.

Bobby wyrwał mnie ze smutnych rozmyślań, oświadczając głośno:

— Trudno uwierzyć, że to posunęło się tak daleko w ciągu trzech czy czterech dni.

— Jeśli ciało wystawione jest na działanie warunków atmosferycznych, kompletny rozkład może nastąpić nawet w ciągu dwóch tygodni. Dziesięć do dwunastu dni w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach.

— Więc gdyby coś się stało... Tylko dwa tygodnie dzieli mnie od tego, żebym zamienił się w kupkę kości.

— Niewesołe, co?

— Całkiem niewesołe.

Napatrzywszy się na martwego mężczyznę, skierowałem światło latarki na przedmioty, które nieznamy ułożył dokoła na podłodze, nim pociągnął za spust. Kalifornijskie prawo jazdy z fotografią. Popularne wydanie Biblii w miękkiej okładce. Zwykła biała koperta, bez żadnych napisów. Cztery zdjęcia ułożone w równym rzędzie. Mały pojemnik z czerwonego szkła, w którym stawia się zazwyczaj świece wotywny, choć ten był pusty.

Ucząc się opanowywać mdłości i myśląc o zapachu pięknych, rozkwitłych róż, przykucnąłem, by przyjrzeć się z bliska zdjęciu

na prawie jazdy. Pomimo rozkładu twarz trupa zachowała dość podobieństwa do oblicza na zdjęciu, bym mógł mieć pewność, że to ten sam mężczyzna.

— Leland Anthony Delacroix — przeczytałem głośno.

— Nie znam.

— Trzydzieści pięć lat.

— I już nie będzie miał więcej.

— Zamieszkały w Monterey.

— Dlaczego przyjechał umrzeć aż tutaj? — zastanawiał się Bobby.

W nadziei, że właśnie tam znajdę odpowiedź, skierowałem światło na cztery zdjęcia.

Pierwsze z nich przedstawiało ładną blondynkę koło trzydziestki, ubraną w białe szorty i jasnożółtą bluzkę. Kobieta stała na drewnianym molo, na tle błękitnego nieba, błękitnej wody i białych żagli. Jej dziewczęcy uśmiech był pełen uroku i ciepła.

Kolejne zdjęcie wykonane zostało na pewno innego dnia, w innym miejscu. Ta sama kobieta, teraz w kwiecistej bluzce, i Leland Delacroix, siedzący obok niej przy drewnianym turystycznym stole. On obejmował ją czule, a ona uśmiechała się do niego. Delacroix wyglądał na szczęśliwego mężczyznę, ona wyglądała na zakochaną.

— Jego żona — powiedział Bobby.

— Może.

— Na tym zdjęciu nosi już obrączkę.

Trzecia fotografia przedstawiała dwójkę dzieci; sześć-, może siedmioletniego chłopca i drobną dziewczynkę, która mogła mieć

co najwyżej cztery latka. Ubrani w kostiumy kąpielowe, stali obok dmuchanego basenu, wykrzywiając się do aparatu.

— Chciał umrzeć otoczony wspomnieniami swojej rodziny — zasugerował Bobby.

Czwarte zdjęcie zdawało się potwierdzać to przypuszczenie. Blondynka, dzieci i Delacroix stali na zielonym trawniku, dzieci przed rodzicami, wszyscy upozowani do portretu. Musiała to być jakaś szczególna okazja. Jeszcze bardziej radosna i równie ładna jak na poprzednich fotografiach, kobieta ubrana była w letnią sukienkę i buty na wysokich obcasach. Dziewczynka uśmiechała się szeroko, ukazując wielką szczerbę między zębami, wyraźnie uszczęśliwiona niezwykłym strojem: białymi butami, białymi skarpetkami i różową sukieneczką o niezliczonych falbankach. Chłopiec świeżo wyszorowany i wyczesany, niemal pachnący jeszcze mydłem, miał na sobie niebieski garnitur, białą koszulę i czerwoną muszkę. Odziany w wojskowy mundur i oficerską czapkę — nie mogłem dojrzeć jego pagonów, wydawało mi się jednak, że nosi stopień kapitana — Delacroix był esencją męskiej dumy.

Właśnie dlatego, że wszyscy przedstawieni na nich ludzie byli tak bardzo szczęśliwi, te cztery fotografie wprowadziły nas w dość ponury nastrój.

— Stoją przed jednym z tych bungalowów — zauważył Bobby, wskazując na tło czwartego zdjęcia.

— Nie przed jednym z nich. Przed tym.

— Skąd wiesz?

— Czuję to w kościach.

— Więc kiedyś tu mieszkali?

- A on powrócił, by tutaj umrzeć.
- Dlaczego?
- Może... tutaj po raz ostatni był szczęśliwy.
- Co oznacza, że w tym miejscu wszystko zaczęło im się psuć
- mruknął Bobby.
- Nie tylko im. Nam wszystkim.
- Jak myślisz, gdzie jest teraz jego żona i dzieci?
- Nie żyją.
- Znowu czujesz to w kościach?
- Tak.
- Ja też.

Coś błysnęło w małym szklanym pojemniku na świecę. Pchnąłem go latarką i przewróciłem. Ze środka wypadła kobieca obrączka i pierścionek zaręczynowy.

Prócz kilku fotografii były to zapewne wszystkie rzeczy, jakie Delacroix zachował po swojej żonie. Być może wyciągałem zbyt daleko idące wnioski, wydawało mi się jednak, że włożył obrączkę i pierścionek do pojemnika na świecę wotywnę, by w ten sposób powiedzieć, że ta kobieta i małżeństwo są dla niego święte.

Spojrzałem jeszcze raz na rodzinną fotografię. Szeroki uśmiech szczerbatej dziewczynki naprawdę chwycił za serce.

- Jezu — wyszeptałem.
- Spadajmy stąd, bracie.

Nie chciałem dotykać przedmiotów, które Delacroix ułożył wokół siebie, ale zawartość koperty mogła być naprawdę ważna. Nie widziałem na niej śladów krwi. Kiedy ją podniosłem, wiedziałem już, że nie zawiera żadnych dokumentów ani

papierów.

— Kasetą magnetofonowa — powiedziałem Bobby'emu.

— Trochę muzyki pogrzebowej?

— Pewnie jego ostatnia wola.

W normalnych czasach, nim jeszcze w laboratoriach Wyvern uruchomiono bombę zegarową, która zniszczy świat, wezwałbym do zmarłego policję. Nie dotykałbym przedmiotów odnalezionych na miejscu zbrodni, mimo że wszystko wskazywało na to, że mamy do czynienia z samobójstwem, a nie morderstwem.

Ale to nie są normalne czasy.

Podnosząc się z klęczek, wsunąłem kopertę z kasetą do kieszeni kurtki.

Bobby spojrział nagle ku górze i zacisnął obie dłonie na karabinie.

Oświetliłem sufit w miejscu, w którym spoczęło spojrzenie Bobby'ego.

Kokony wyglądały tak samo jak kilka chwil temu.

— Co jest? — spytałem.

— Słyszałeś coś?

— Co?

Przez chwilę nasłuchiwał w skupieniu. Wreszcie westchnął i powiedział:

— To musiało być w mojej głowie.

— Co słyszałeś?

— Siebie — padła tajemnicza odpowiedź. Nie mówiąc już nic więcej, Bobby ruszył do jadalni.

Nie podobało mi się to, że muszę zostawić tutaj zwłoki

Delacroix, zwłaszcza że wcale nie byłem pewien, czy nawet anonimowo poinformuję władze o jego śmierci. Z drugiej strony, właśnie tutaj chciał umrzeć i zostać.

Przechodząc przez jadalnię, Bobby oświadczył:

— To maleństwo ma jedenaście stóp długości.

Kokony nad naszymi głowami tkwiły w bezruchu.

— Jakie maleństwo? — spytałem.

— Moja nowa deska.

Nawet najdłuższa deska nie ma zwykle więcej niż dziewięć stóp. Potwory długie na jedenaście stóp, pomalowane sprayem, służyły jedynie za ozdobę ścian w nadmorskich restauracjach.

— Dekoracyjna?

— Nie. To tandem.

Kokony w salonie wyglądały tak samo jak wtedy, gdy je zostawiliśmy. Bobby obrzucił je podejrzliwym spojrzeniem, kierując się ku drzwiom.

— Dwadzieścia pięć cali szerokości, pięć cali grubości — powiedział.

Manewrowanie deską o takich rozmiarach, nawet przy dwustu pięćdziesięciu czy trzystu funtach obciążenia, wymagało talentu, koordynacji i wiary w życzliwość i harmonię wszechświata.

— Tandem? — powtórzyłem z powątpiewaniem, gasząc latarkę, kiedy wyszliśmy przed dom. — Od kiedy to porzuciłeś wolne surfowanie dla zawodu taksówkarza?

— Od nigdy. A mały tandemik może być naprawdę słodki.

Skoro zamierzał pływać w tandemie, musiał mieć na myśli jakąś partnerkę, konkretną laskę. Jednak jedyną kobietą, którą kocha, jest surferka i malarka o nazwisku Pia Klick. Pia oddaje

się medytacji w Waimea Bay, na Hawajach gdzie próbuje odnaleźć siebie już od trzech lat, to jest od pewnej nocy, kiedy opuściła łóżko Bobby'ego, by przespacerować się po plaży. Bobby nie wiedział, że odeszła, dopóki nie zadzwoniła do niego z pokładu samolotu do Waimea, by powiedzieć mu, że zaczęła poszukiwania samej siebie. To naprawdę miła, łagodna i inteligentna osoba, utalentowana i ceniona artystka. Mimo to wierzy, że Waimea Bay to jej duchowy dom — nie Oskaloosa w Kansas, gdzie się urodziła i wychowała, ani nie Moonlight Bay, gdzie zakochała się w Bobbym. Od pewnego czasu twierdzi, że jest wcieleniem Kaha Huny, bogini surferów.

Nawet przed wypadkami w laboratoriach Wyvern były to dziwne czasy.

Zatrzymaliśmy się na stopniach werandy i wzięliśmy kilka głębokich oddechów, by oczyścić płuca ze smrodu śmierci, gęstego i przenikającego jak marynata, w którą nieopatrznie się zanurzyliśmy. Skorzystaliśmy także z chwili przestoju, by rozejrzeć się uważnie i sprawdzić, czy nie czyha na nas Wielki Łeb, stado rezusów albo jeszcze jakieś inne nowe niebezpieczeństwo, którego nie zrodziła nawet moja hiperaktywna wyobraźnia.

Nadciągające od strony Pacyfiku, ułożone w dwie warstwy, skłębione i gęste jak gabardyna chmury zakryły już ponad pół nieba.

— Można by skombinować jakąś łódź — oświadczył niespodziewanie Bobby.

— Jaką znowu łódź?

— Możemy pozwolić sobie, na co tylko chcemy.

— I?

— I zamieszkać na morzu.

— Ekstremalne rozwiązanie, bracie.

— Moglibyśmy żeglować w dzień, w nocy imprezować. Zarzucać kotwicę na pustych plażach, chwytac jakieś tłuste, tropikalne fale.

— Ty, ja, Sasha i Orson?

— W Waimea Bay zabralibyśmy Pię.

— Kaha Hunę.

— Nie zaszkodzi mieć na pokładzie boginię. — Wzruszył ramionami.

— Co z paliwem?

— Tylko żagle.

— Jedzenie?

— Ryby.

— Ryby też przenoszą retrowirusa.

— To znajdziemy sobie jakąś odległą, pustą wyspę.

— Jak bardzo odległą?

— Tam gdzie zaczyna się nigdzie.

— I?

— Sami hodowalibyśmy sobie jedzenie.

— Farmer Bob.

— Ale bez ogrodniczek.

— Wielbiciel country ze sznurówką pod szyją.

— Samowystarczalność. To jest możliwe — upierał się Bobby.

— Tak jak zabicie grizzly włośnią. Ale jak wejdiesz do dołu z włośnią, a potem wsadzisz tam niedźwiedzia z tortillami, to niedźwiedź będzie miał na kolację tacos z Bobbym.

— Chyba że najpierw skończę kurs zabijania niedźwiedzi.

— Więc zanim zaczniesz żeglować, skończysz czteroletnie studia rolnicze?

Bobby wziął oddech tak głęboki, jakby chciał przewietrzyć sobie jelita, a potem wypuścił głośno powietrze.

— Wiem tylko, że nie chcę skończyć tak jak Delacroix.

— Każdy, kto przyszedł na ten świat, kończy jak Delacroix — odparłem. — Ale tak naprawdę to nie jest koniec. To tylko wyjście. Do czegoś następnego.

Bobby milczał przez chwilę. Potem powiedział cicho:

— Nie jestem pewien, czy wierzę w to równie mocno jak ty, Chris.

— Więc wierzysz, że uda ci się przeżyć koniec świata, uprawiając ziemniaki i brokuły na jakiejś bezludnej wysepce na wschód od Bora-Bora, gdzie czeka na ciebie żyzna ziemia i wspaniałe fale, a trudno ci uwierzyć w życie po śmierci?

Bobby wzruszył ramionami.

— Czasami łatwiej jest wierzyć w brokuły niż w Boga.

— Nie mnie. Nienawidzę brokułów.

Bobby odwrócił się w stronę domku i skrzywił twarz, jakby wciąż czuł smród gnijącego ciała Delacroix.

— Ten bungalow to prawdziwy kawałek piekła, bracie.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach na wspomnienie dziwnych kokonów. Musiałem się zgodzić z Bobbym.

— Paskudna sprawa.

— Wyglądają na łatwopalne.

— Nie wiem, czym są te kokony, ale wątpię, żeby znajdowały się tylko w tym domku.

Nagle wszystkie domki Umarłego Miasteczka, tak podobne do siebie i ustawione w równych szeregach, wydały mi się nie tyle dziełem ludzi, ile wielką kolonią termitów albo pszczół, gigantycznymi ulami.

— Na początek możemy spalić ten — nalegał Bobby.

Sycząc w wysokiej trawie, klikając w gęstwinie martwych żywopłotów, brzęcząc w liściach wawrzynów, morska bryza naśladowała odgłosy niezliczonych owadów, jakby chciała z nas zakpić, jakby przewidywała nieuchronny koniec ludzkości i przyszłość zamieszkaną jedynie przez istoty o sześciu, ośmiu i kilkudziesięciu nogach.

— Dobrze — skinąłem głową. — Spalimy to.

— Szkoda, że nie mamy jakiejś małej bomby atomowej.

— Ale nie teraz. Ściągnęlibyśmy policję i straż pożarną z miasta, a nie chcemy, żeby nam w tej chwili przeszkadzali. Poza tym do świtu już niedaleko. Musimy się spieszyć.

Kiedy ruszyliśmy w stronę jeepa, Bobby spytał:

— Dokąd?

Nie miałem pojęcia, jak prowadzić efektywne poszukiwania Jimmy'ego i Orsona na ogromnej przestrzeni Fortu Wyvern, nie odpowiedziałem więc na jego pytanie.

Odpowiedź zatknięta była za wycieraczkę na szybie samochodu. Zobaczyłem to, kiedy obchodziłem auto z przodu. Wyglądało jak karta parkingowa.

Wyciągnąłem tajemniczy przedmiot zza gumowej listwy i włączyłem latarkę, by przyjrzeć się mu z bliska.

Kiedy usiadłem na fotelu pasażera, Bobby pochylił się nade mną i spojrzał z zaciekawieniem na kartę.

— Kto to tutaj zostawił?

— Na pewno nie Delacroix — odparłem, rozglądając się. Znów miałem wrażenie, że ktoś obserwuje mnie z ukrycia.

Trzymałem w dłoni niewielką laminowaną plakietkę, a właściwie kartę identyfikacyjną, jaką przypina się do koszuli czy klapy marynarki. Po prawej stronie karty znajdowała się fotografia Delacroix, inna jednak od tej, jaką znaleźliśmy na jego prawie jazdy. Tutaj miał szeroko otwarte oczy, wyglądał na przestraszonego, jakby w świetle lampy błyskowej ujrzał nagle swą ponurą przyszłość. Pod zdjęciem widniał napis „Leland Anthony Delacroix”. W lewej części plakietki umieszczono jego dane: wiek, wzrost, wagę, kolor oczu i włosów, numer ubezpieczenia. Wzdłuż górnej krawędzi ciągnął się napis „uruchomić przy wejściu”. Na całej powierzchni karty widniały trzy duże, trójwymiarowe litery, nieprzesłaniające innych danych: DOB.

— Departament Obrony — rozszyfrowałem skrót. Moja mama także miała kartę identyfikacyjną DOB, choć tamta wyglądała zupełnie inaczej od karty Delacroix.

— Uruchomić przy wejściu — powtórzył Bobby w zamyśleniu.
— Założę się, że w środku jest ukryty mikroczip.

Bobby doskonale zna się na komputerach — w odróżnieniu ode mnie. Nigdy mnie nie pociągały, uważam zresztą, że skoro i tak będę żył krócej od większości z was, nie powinienem marnować czasu na ślęczenie przy komputerze. Poza tym przez ciemne okulary trudno dojrzeć drobne cyfry i litery na monitorze. Spędzając długie godziny przed ekranem komputera, pławicie się w słabym promieniowaniu ultrafioletowym, równie

nieszkodliwym dla zwykłych ludzi jak wiosenny deszczyk. Jednak ze względu na moją wyjątkową wrażliwość na każdy rodzaj promieniowania i zdolność jego kumulowania, długotrwałe przebywanie w zasięgu monitora mogłoby przemienić mnie w górę mięcha o tak nieprawdopodobnych rozmiarach, że miałbym spore trudności ze znalezieniem wygodnego i eleganckiego ubrania.

— Kiedy wchodzi do jakiegoś budynku, uruchamiają mikroczip w karcie, rozumiesz? — tłumaczył mi Bobby.

— Nie.

— Uruchamiają, czyli czyszczą pamięć mikroczipa. Więc za każdym razem, kiedy przechodzi przez jakieś drzwi, czip w karcie odpowiada na sygnał wysyłany z mikronadajnika ukrytego w progu, zapisując w ten sposób, do jakich pomieszczeń wchodził Delacroix i jak długo tam przebywał. Kiedy już opuszcza budynek, dane zapisywane są w jego pliku.

— Przerażasz mnie, kiedy mówisz tym komputerowym żargonem.

— Ale nadal jestem tym samym walniętym surferem, bracie.

— No nie wiem, może masz szalonego brata bliźniaka.

— Jest tylko jeden Bobby — zapewnił mnie.

Spojrzałem na bungalow, w którym znaleźliśmy Delacroix, jakbym spodziewał się zobaczyć jakieś niesamowite światła za oknami, migotliwe cienie rozszalałych, monstrualnie wielkich owadów i trupa sunącego chybotliwym krokiem po werandzie.

Pstrykając w laminowaną kartę, powiedziałem:

— Śledzenie każdego kroku pracownika nawet po tym, jak wpuścili go na teren budynku, to jakieś paranoidalne środki

ostrożności.

— Musiała leżeć na podłodze obok trupa, razem z innymi rzeczami. Ktoś wszedł do bungalowu przed nami, zabrał ją i włożył tutaj. Dlaczego?

Odpowiedź znaleźliśmy na dole plakietki, gdzie widniał napis: „Karta identyfikacyjna: projekt MP”.

— Myślisz, że to karta wstępu do laboratoriów, w których przeprowadzano eksperymenty genetyczne? — zastanawiał się głośno Bobby. — Tam gdzie zaczęło się całe to gówno?

— Może. MP. Magiczny Pociąg?

Bobby spojrzał na napis wyhaftowany na mojej czapce, a potem znów na kartę.

— Nancy Drew byłaby z ciebie dumna.

Wyłączyłem latarkę.

— Myślę, że on chce, żebyśmy tam właśnie poszli.

— Kto chce, żebyśmy dokąd poszli?

— Ten, kto zostawił to pod wycieraczką.

— Kto jest tym kimś?

— Nie znam wszystkich odpowiedzi, bracie.

— Jesteś pewien, że po śmierci czeka nas następne życie — powiedział Bobby, uruchamiając silnik.

— Znam te najważniejsze odpowiedzi. Mam drobne kłopoty z tymi mniej ważnymi.

— Dobra, dokąd jedziemy?

— Do jajowatej sali.

— Aha, więc teraz bawimy się w Batmana, a ty jesteś Jokerem i zadajesz mi zagadki, tak?

— Znajduje się nie w Umarłym Miasteczku, tylko pod

hangarem w północnej części bazy.

— Jajowata sala.

— Sam zobaczysz.

— On nie jest naszym przyjacielem — oświadczył nagle Bobby.

— Jaki on?

— Ten, kto zostawił tutaj tę kartę, bracie, on nie jest naszym przyjacielem. Nie mamy przyjaciół w tym miejscu.

— Nie byłbym taki pewien.

Zwalniając hamulec ręczny i ruszając z miejsca, Bobby kręcił z powątpiewaniem głową.

— To może być pułapka — doszedł do wniosku.

— Chyba nie. Równie dobrze mógł zepsuć jeepa i zacząć się na nas przy wyjściu z bungalowu. Gdyby wziął nas z zaskoczenia, nie mielibyśmy żadnych szans.

Opuszczając Umarłe Miasteczko, Bobby powtórzył z uporem:

— A jednak to może być zasadzka.

— No dobra, może.

— Ciebie nie martwi to tak bardzo jak mnie, bo ty masz Boga, życie w zaświatach, anielskie chóry i pałace ze złota, ale ja mam tylko swoje brokuły.

— Lepiej o tym pamiętać — zgodziłem się z nim.

Spojrzałem na zegarek. Do świtu zostało nie więcej niż dwie godziny.

Ciemne i plamiaste niczym jakiś dziwaczny grzyb, gąbkowate masy chmur rozciągnęły się daleko na wschód, pozostawiając tylko wąski pas czystego nieba upstrzony jasnymi gwiazdami, które teraz wydawały się jeszcze bardziej odległe i zimne niż zazwyczaj.

Od ponad dwóch lat retrowirus stworzony przez Wisterię Jane Snow działał w szerokim świecie, poza laboratoriami Wyvern. W tym czasie destrukcja naturalnego porządku postępowała powoli, równie leniwie jak wielkie skłębione chmury, wędrujące po ciemnym niebie. Podejrzewałem jednak, że burza jest już blisko, niepowstrzymana lawina.

12

Ogromny hangar przypomina świątynię jakiegoś obcego boga o gniewnym usposobieniu, otoczony z trzech stron mniejszymi budynkami, które mogłyby uchodzić za skromne siedziby mnichów i nowicjuszy. Jest równie długi i szeroki jak boisko do futbolu, wysoki na sześć pięter, praktycznie pozbawiony okien — jedynie tuż pod krawędzią kolistego dachu ciągnie się wąska linia świetlików.

Bobby zaparkował przed parą drzwi z węższej strony budynku, zgasił silnik i światła.

Każde drzwi mają po dwadzieścia stóp szerokości i czterdzieści wysokości. Osadzone od góry i od dołu na żelaznych prowadnicach, otwierane były niegdyś za pomocą silnika, od dawna już jednak brakowało prądu, który mógłby go uruchamiać.

Ogromny budynek z wielkimi stalowymi drzwiami nasuwał skojarzenie z miejscem równie groźnym i niedostępnym jak średniowieczna forteca, która z powodzeniem mogłaby stanąć przy przejściu z tego świata do piekła, by zagrozić drogę niecierpliwym demonom.

Wyjmując latarkę spod siedzenia, Bobby spytał:

— Więc to jest jajowata sala?

— Nie, jajowata sala jest niżej.

— Nie podoba mi się tutaj.

— Przecież nie proszę cię, żebyś się przeprowadził.

— Jesteśmy w pobliżu lotniska? — nadal pytał Bobby, wysiadając z samochodu.

Fort Wyvern, który pełnił nie tylko rolę ośrodka treningowego, ale i wspomagającego, szczycił się ogromnym lotniskiem, zdolnym przyjąć wielkie odrzutowce i gigantyczne transportowce C-13 służące do przewozu ciężarówek, sprzętu artyleryjskiego czy czołgów.

— Lotnisko jest o pół mili stąd — odparłem, wskazując właściwy kierunek. — Ale tutaj nie obsługiwali samolotów. Może śmigłowce, lecz to też raczej wątpliwe.

— Więc do czego to służyło? — spytał Bobby, mając na myśli ogromny budynek.

— Nie wiem.

— Może grali tutaj w bingo.

Pomimo ponurej aury otaczającej budynek, pomimo faktu, że zostaliśmy zwabieni przez nieznane i być może wrogie nam osoby, nie czułem się bezpośrednio zagrożony. Zresztą karabin Bobby'ego powstrzymałby każdego napastnika znacznie skuteczniej niż mój dziewięćmilimetrowy pistolet. Pozostawiłem więc glocka w kaburze i z latarką w dłoni poszliśmy do niewielkich drzwi osadzonych w skrzydle jednego z wielkich wrót.

— Idą wielkie fale — oświadczył Bobby.

— Wiesz czy zgadujesz?

— Wiem.

Bobby zarabia na życie, analizując dane satelitarne i wszelkie inne dostępne informacje, by przewidzieć warunki do surfowania na całym świecie — trzeba przyznać, że prawie nigdy się nie myli. Jego firma „Surfcast” codziennie dostarcza aktualnych informacji dziesiątkom tysięcy surferów, którzy opłacają biuletyn wysyłany faksem lub pocztą elektroniczną. Te same informacje można też uzyskać pod płatnym numerem telefonu — w ciągu roku korzystają z niego setki tysięcy osób. Ponieważ Bobby prowadzi proste życie, a jego biura wyglądają jak biura każdej innej małej firmy, nikt w Moonlight Bay nie zdaje sobie sprawy, że mój przyjaciel jest multimilionerem i najbogatszym człowiekiem w mieście. Gdyby o tym wiedzieli, miałyby to większe znaczenie dla nich niż dla Bobby’ego. Dla niego bogactwo to możliwość surfowania do woli każdego dnia; wszystko inne, co da się kupić za pieniądze, jest jedynie dodatkową łyżką salsy na enchiladzie.

— Będą miały co najmniej dziesięć stóp wysokości — obiecywał Bobby. — Niektóre nawet dwanaście, przez cały dzień i całą noc. Marzenie każdego surfera.

— Nie lubię, kiedy wieje do brzegu — powiedziałem, unosząc rękę i badając kierunek wiatru.

— Mówię o pojutrze. Wtedy będzie wiało od brzegu. Będą wielkie beczki.

Wąski kanał w łamiącej się fali, pogłębiony maksymalnie przez wiatr wiejący ku morzu, zwany jest beczką. Surferzy uwielbiają jeździć tymi wielkimi rurami i opuszczają je tuż przed tym, jak fala opadnie i przygniecie ich wielką masą wody. Nie spotyka się

ich codziennie. Takie fale są darem, rzeczą świętą, surfuje się na nich do utraty sił, gdy nogi są już miękkie jak wosk, a mięśnie brzucha drżą niekontrolowanie. Wtedy człowiek opada na plażę i leży nieruchomo niczym ryba wyrzucona na brzeg, albo idzie zjeść dwa wielkie buritos i miskę chipsów kukurydzianych.

— Dwanaście stóp — powtórzyłem w rozmarzeniu, otwierając drzwi. — Aż trudno uwierzyć.

— Ściągną tu z wysp Marquesas, pchane sztormem.

— Dla czegoś takiego warto żyć — powiedziałem, wkraczając do ciemnego wnętrza hangaru.

— Właśnie dlatego o tym wspominał, bracie. To najlepsza motywacja, żeby wrócić stąd żywym.

Nawet połączone światło dwóch latarek nie mogło rozproszyć mroku, jaki zalegał w ogromnej hali na głównym poziomie hangaru. Widzieliśmy jednak zawieszony nad naszymi głowami przewodnicę, po których jeździł kiedyś ruchomy dźwig — dawno już rozmontowany i wywieziony — przenosząc jakieś przedmioty z jednego krańca budynku na drugi. Ogrom stalowych podpór, na których umieszczono szyny, świadczył o tym, że musiały to być przedmioty o wielkiej wadze.

Weszliśmy na stalowe płyty grubości cala, wciąż przymocowane do poplamionego olejem betonu. Kiedyś stały na nich gigantyczne maszyny. Głębokie i dziwnie ukształtowane otwory w podłodze, w których musiały mieścić się jakieś hydrauliczne mechanizmy, zmusiły nas do zwolnienia tempa.

Bobby zaglądał ostrożnie do każdego z otworów, jakby bał się, że czeka tam jakieś monstrum, które wyskoczy na nas znienacka i odgryzie nam głowy.

Kiedy promienie naszych latarek omiatały stalowe konstrukcje i podpory, odbite od gładkich metalowych powierzchni światło rzucało na ściany hangaru i łukowaty sufit skomplikowane wzory. Cienie mieszały się z żółtawym blaskiem, tworząc skomplikowane wzory, zmieniające się nieustannie hieroglify, które wisiały przez moment nad naszymi głowami, by wkrótce zniknąć w ciemności skradającej się ku nam ze wszystkich stron.

— Jak rekiny — powiedział cicho Bobby.

— Poczekaj tylko. — Tak jak on mówiłem prawie szeptem, jednak nie z obawy przed atakiem jakiegoś nieznanego napastnika, lecz dlatego, że miejsce to samo narzucało takie zachowanie, podobnie jak szpital, kościół czy cmentarz.

— Byłeś tu sam?

— Nie. Zawsze z Orsonem.

— Myślałem, że on ma więcej rozumu.

Zaprowadziłem go do pustego szybu po windzie i szerokiej klatki schodowej w południowo-zachodnim rogu hangaru.

Podobnie jak w magazynie, w którym znalazłem kości szczurów i szaleńca z deską, wejście na schody z pewnością było tu kiedyś dokładnie zamaskowane. Większość personelu zatrudnionego w hangarze — dobrzy mężczyźni i kobiety, którzy służyli swej ojczyźnie z ochotą i dumą — nie miała pojęcia o ogromnych przestrzeniach ukrytych pod ich stopami.

Fałszywe ściany i inne urządzenia skrywające wejścia na niższe poziomy zostały usunięte po zamknięciu bazy. Po stalowych drzwiach zamykających dostęp do klatki schodowej została jedynie pusta futryna.

Światło naszych latarek odsłoniło dziesiątki martwych

owadów zalegających na powierzchni betonowych schodów. Niektóre były zgniecione, inne całe i okrągłe jak pestki.

W kurzu widniały także wyraźnie odcisnięte ślady stóp i psich łap, skierowane zarówno w dół schodów, jak i ku górze.

— To ja i Orson — powiedziałem, rozpoznając trop. — Z naszych poprzednich wizyt.

— Co jest niżej?

— Trzy podziemne poziomy, każdy większy od samego hangaru.

— Nieźle.

— Całkiem nieźle.

— Co oni tutaj robili?

— Złe rzeczy.

— Nie zasypuj mnie taką masą szczegółów.

Labirynt korytarzy i sal pod hangarem odarto do gołego betonu. Nawet instalacje wentylacyjne, kanalizacyjne i elektryczne zostały wyrwane ze ścian; każda rurka, każda śrubka, każdy kawałek kabla czy gniazdko. Wielu budynków w Wyvern nie tknięto. Zazwyczaj tam, gdzie przeprowadzano demontaż, zabierano tylko najcenniejsze przedmioty, które dało się usunąć bez nadmiernego wysiłku. Jednak pomieszczenia pod tym hangarem były wyczyszczone tak dokładnie, iż można by przypuszczać, że dokonano tu jakiejś straszliwej zbrodni, a winni starają się zatrzeć wszelkie jej ślady.

Kiedy ramię w ramię schodziliśmy po schodach, płaskie metaliczne echo mego głosu wróciło do mnie, odbite od licznych powierzchni. W innych miejscach ściany pochłonęły moje słowa równie skutecznie jak materiał pokrywający wnętrze studia,

z którego Sasha nadaje swoje audycje.

— Zatarli praktycznie wszystkie ślady swej działalności — mówiłem. — Wszystkie, prócz jednego. I nie sądzę, żeby chodziło im tylko o ochronę tajemnicy. Myślę... to tylko przecucie, ale sądząc po tym, jak wypatroszyli te trzy poziomy, musieli bać się tego, co tutaj zaszło... ale nie tylko bać się. Było im też wstyd.

— Tu też znajdowały się laboratoria genetyczne?

— Nie. To wymaga całkowitej izolacji biologicznej.

— To znaczy?

— Wszędzie byłyby komory odkażające; pomiędzy laboratoriami, przy każdym wejściu do windy, przy każdym wyjściu na schody. Rozpoznałbym je nawet teraz, kiedy wszystko jest całkiem puste.

— Masz żyłkę do tych detektywistycznych bzdur — powiedział Bobby, kiedy pokonaliśmy kolejną partię schodów.

— Tak, to był zdumiewająco spójny wywód logiczny — przyznałem skromnie.

— Może mógłbym być twoim Watsonem.

— Nancy Drew nie pracowała z Watsonem, tylko Holmesem.

— Więc jaki koleś pomagał Nancy? — zastanawiał się głośno Bobby.

— Chyba żaden. Nancy była samotną wilczycą.

— Twarda suka, co?

— Podobna do mnie — powiedziałem. — Na dole jest tylko jeden pokój, który kiedyś mógł być komorą odkażającą... ale to dziwaczne miejsce. Sam się zresztą przekonasz.

Dalszą drogę w głąb podziemnego labiryntu odbywaliśmy w milczeniu. Jedyнным dźwiękiem, jaki rozlegał się w pustym

korytarzu, było delikatne szuranie gumowych podeszew w zetknięciu z betonową powierzchnią schodów i chrzęst rozgniatanych owadów.

Choć Bobby wciąż ścisnął w dłoni ciężki karabin, jego spokojne zachowanie i leniwe tempo, w jakim pokonywał kolejne stopnie, przekonałyby każdego, że jest całkowicie rozluźniony i beztroski. Do pewnego stopnia rzeczywiście dobrze się bawił. Bobby zawsze stara się dobrze bawić, nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach. Lecz ja znałem go już dość długo — i być może tylko ja — by wiedzieć, że w tej chwili wcale nie jest radosny i zrelaksowany. Jeśli nucił w myślach jakąś piosenkę, to na pewno nie była to nastrojowa ballada.

Jeszcze miesiąc temu nie miałem pojęcia, że Bobby Halloway — Huck Finn minus złość — może być zaniepokojony, zdenerwowany czy przestraszony. Ostatnie wydarzenia udowodniły jednak, że nawet serce tego urodzonego mistrza zen bije czasami szybciej niż pięćdziesiąt osiem razy na minutę.

Nie byłem zaskoczony jego zachowaniem, bo klatka schodowa była wystarczająco ponura i niemiła, by przyprawić o zimny dreszcz naładowaną prozakiem zakonnicę o usposobieniu słodkim jak marcepan. Betonowy sufit, betonowe ściany, betonowe stopnie. Żelazna rurka pomalowana na czarno i przymocowana do ściany służyła za poręcz. Zdawało się, że nawet powietrze gęstnieje i zamienia się powoli w beton, gdyż było zimne, nieruchome i suche, przesycone zapachem wapna. Każda powierzchnia pochłaniała więcej światła, niż go odbijała, toteż pomimo połączonych sił naszych dwóch latarek zstępowaliśmy po stopniach w ponurym mroku niczym

średniowieczni mnisi w drodze na wieczorne modlitwy za dusze zmarłych braci ułożonych w katakumbach pod klasztorem.

Posępny nastrój rozwiałyby choćby zwykła tabliczka z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, ostrzegająca przed śmiertelnie wysokim poziomem promieniowania. Albo przynajmniej szczurze kości ułożone w jakiś wesoły wzór.

Ostatni poziom w tym budynku — gdzie nie dotarł jeszcze kurz ani uparte owady — ma dość osobliwe ułożenie pomieszczeń i przejść. Zaczyna się szerokim korytarzem w kształcie wydłużonego owalu, potem zaś zatacza wielkie koło niczym tor wyścigowy. Po wewnętrznej stronie korytarza ciągną się sale różnej szerokości i identycznej długości — przez niektóre można przedostać się do drugiego owalnego korytarza, znajdującego się bliżej środka, który nie jest już tak długi ani szeroki, a mimo to wydaje się ogromny. Ten wewnętrzny tor otacza jedno centralne pomieszczenie: jajowatą salę.

Mniejszy korytarz kończy się komorą przejściową, prowadzącą do głównej sali. Jest to niewielkie pomieszczenie w kształcie kwadratu o boku długości dziesięciu stóp, do którego wchodzi się przez okrągły otwór średnicy pięciu stóp. W sąsiedniej ścianie znajduje się otwór takiego samego kształtu i wielkości, prowadzący do jajowatej sali. Przypuszczam, że oba te przejścia zaopatrzone były kiedyś w potężne pokrywy z metalowymi zatrzaskami, podobne do tych, jakie oddzielają wodoszczelne komory w okrętach podwodnych, albo do drzwi wielkich bankowych sejfów, i że pomieszczenie to pełniło rolę śluzy powietrznej.

Choć jestem pewien, że nie prowadzono tutaj biologicznych

badań laboratoryjnych, jednym z zadań służby mogło być zapobieganie przenoszeniu bakterii, mikroorganizmów, kurzu i innych zanieczyszczeń do i z pomieszczenia, które nazywam jajowatą salą. Prawdopodobnie osoby wychodzące z sali i wchodzące do jej wnętrza opryskiwane były jakąś substancją sterylizującą i napromieniowywane ultrafioletem, który zabija wszelkie mikroby.

Intuicja podpowiada mi jednak, że w jajowatej sali regulowano ciśnienie i że służa spełniała tę samą rolę co na pokładzie statku kosmicznego. Być może służyła także jako komora dekompresyjna, podobna do tych, jakich używają nurkowie schodzący na duże głębokości.

Tak czy inaczej, komora przejściowa została tu umieszczona po to, by coś szkodliwego nie przedostało się do jajowatej sali — albo nie wydostało się na zewnątrz.

Stojąc wraz z Bobbym w służbie, oświetlałem koliste krawędzie otworu wejściowego i przesuwałem promień w głąb przejścia, odsłaniając potężną ścianę: pięć stóp lanego, zbrojonego stalą betonu. Ściana była tak gruba, że właściwie zasługiwała na miano tunelu, a nie otworu.

Bobby gwizdnął cicho.

— Niezły bunkier.

— Właśnie. To miało coś zatrzymywać.

— Co?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem. Czasami znajduję tu prezenty.

— Prezenty? Znalazłeś tę czapkę właśnie tutaj? Magiczny Pociąg?

— Tak. Leżała na podłodze, na samym środku jajowatej sali. Właściwie to jej nie znalazłem. Myślę, że ktoś ją dla mnie zostawił, a to co innego. A innej nocy, kiedy byłem w sali obok, ktoś położył zdjęcie mojej matki tutaj, w śluzie.

— Śluzie?

— A co, nie przypomina to śluzu?

Bobby skinął głową.

— Więc kto zostawił to zdjęcie?

— Nie wiem. Ale wtedy był ze mną Orson i nie zauważył, że ktoś wszedł za nami.

— A on ma najlepszy nos na świecie.

Zaniepokojony moimi słowami, Bobby skierował promień latarki na pierwsze wejście, oświetlając korytarz, którym przed chwilą przyszliśmy. Nadal był pusty.

Przeszedłem przez krótki betonowy tunel, zginając się przy tym wpool, bo tylko ktoś, kto ma mniej niż pięć stóp mógłby stać w nim prosto.

Bobby wszedł za mną do wnętrza jajowatej sali. Po raz pierwszy w ciągu naszej siedemnastoletniej przyjaźni miałem okazję ujrzeć na jego twarzy zdumienie przemieszane ze strachem. Obracał się powoli wokół własnej osi, omiatając snopem światła latarki ściany pomieszczenia. Choć chciał coś powiedzieć, przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć żadnego dźwięku.

Jajowata sala ma sto dwadzieścia stóp długości i nieco mniej niż sześćdziesiąt stóp średnicy w najszerszym miejscu. Ściany, sufit i podłoga tworzą wielkie, zakrzywione płaszczyzny, a człowiek stojący we wnętrzu sali odnosi wrażenie, że znalazł

się w pustej skorupie gigantycznego jaja.

Wszystkie powierzchnie pokryte są mleczną, lekko złotawą, na pół przezroczystą substancją. Sądząc po wgłębieniach, które pozostały po zawiasach przy wejściu do sali, warstwa owej tajemniczej substancji ma jakieś trzy cale grubości i jest tak mocno połączona z betonem, że wydaje się tworzyć z nim całość.

Światło naszych latarek odbijało się od wypolerowanej powierzchni, częściowo jednak przenikało także do wnętrza tajemniczego materiału, drżąc migotliwie w jego głębi, tworząc maleńkie wiry i obłoczki złotego pyłu, przypominające miniaturowe galaktyki. Substancja była wysoce refrakcyjna, jednak światło nie załamywało się w niej jak w szklanym pryzmacie, lecz układało się w jasne smugi, ciepłe i łagodne, które poruszały się i przesunęły pod przezroczystą powierzchnią niczym płomień świecy poruszane delikatnym wiatrem, rozdzielały i znów łączyły na podobieństwo maleńkich strumieni, odpływały od nas w stronę odległych, ciemnych zakątków pomieszczenia, by tam rozszczepić się i rozbłysnąć niczym błyskawice ukryte w głębi burzowych chmur. Patrząc na podłogę, byłem gotów niemal uwierzyć, że stoję w kałuży bursztynowego oleju.

Zachwycony niezwykłym pięknem tego przedstawienia, Bobby ruszył w głąb sali.

Choć wypolerowany materiał wydaje się śliski jak lód, wcale taki nie jest. Właściwie czasami — ale tylko czasami — miałem wrażenie, że podłoga chwyta mnie za stopy, jakby pokryta była klejem albo wytwarzała słabe pole magnetyczne przyciągające także żywe organizmy.

— Uderz w to — powiedziałem cicho.

Moje słowa krążyły przez chwilę wokół krągłych powierzchni sali, by powrócić do mnie z kilku miejsc naraz.

Bobby spojrział na mnie ze zdumieniem.

— No, śmiało. Zrób to. Uderz kolbą — nalegałem. — Uderz.

— Przecież to szkło — zaprotestował Bobby.

Ostatnia samogłoska powróciła do nas przedłużonym echem niczym delikatna fala oceanu.

— Jeśli to szkło, na pewno nie rozbijesz go tak łatwo.

Bobby niepewnie stuknął w podłogę pod swymi stopami.

Ciche dzwonięcie, przypominające odgłos dziesiątków maleńkich dzwoneczków, podniosło się ze wszystkich stron naraz, a potem ucichło, pozostawiając za sobą nastrój napięcia, jakby dzwoneczki obwieszczały przybycie osoby czy siły o wielkim znaczeniu.

— Mocniej — poleciłem.

Kiedy uderzył mocno metalową kolbą, dzwonięcie stało się głośniejsze i nabrało innego charakteru. Teraz brzmiało jak odgłos dzwoneczków rurowych; miłe dla ucha, lecz dziwne, jak muzyka z jakiegoś nieznanego świata po drugiej stronie galaktyki.

Kiedy w sali znów zapadła cisza, Bobby przykucnął i przeciągnął dłonią po podłodze w miejscu, gdzie uderzał w nią kolbą.

— Nie ma żadnej rysy!

— Możesz walić w to młotem, pocierać pilnikiem i wbijać gwoździe, a i tak nie zostawisz nawet najmniejszego zadrapania — powiedziałem.

— Próbowałeś tego wszystkiego?

— Tak. I wiertarki ręcznej.

— Z ciebie to kawał wandalą.

— Cecha rodzinna.

Przyciskając dłoń do podłogi w kilku miejscach wokół swoich stóp, Bobby zauważył:

— To jest ciepłe.

Nawet podczas najgorętszych letnich nocy, ukryte pod ziemią betonowe lochy Fort Wyvern pozostają tak chłodne, że mogłyby służyć do przechowywania wina. Im dłużej przebywam w tych ponurych wnętrzach, tym głębiej chłód wnika w moje ciało i umysł. Wszystkie podziemne ściany, podłogi czy sufity są tutaj zimne i nieprzyjemne, jedynie ta sala stanowi wyjątek.

— Ten materiał jest zawsze ciepły — powiedziałem. — Ale temperatura w sali panuje taka sama jak w korytarzu, jakby ciepło nie przenikało do powietrza. Nie rozumiem, jak ta substancja mogła zatrzymać ciepło przez ponad osiemnaście miesięcy od zamknięcia bazy.

— To dziwne, ale czuję... jakby skumulowaną energię.

— Od półtora roku nie ma tu prądu ani gazu. Nie ma żadnych pieców, bojlerów czy generatorów, żadnych maszyn. Wszystko zabrali.

Bobby podniósł się z kucek i ruszył w głąb pomieszczenia, oświetlając podłogę, ściany i sufit przed sobą.

Pomimo blasku dwóch latarek i niezwykle wysokiego współczynnika załamania światła tajemniczego materiału, w pomieszczeniu nadal było dość ciemno. Ciemniejsze i jaśniejsze plamy o fantastycznych kształtach przypominających

smugi dymu, pęki rozkwitłych kwiatów, diabelskie koła czy paprocie przesuwały się po zakrzywionych powierzchniach. Większość z nich była żółta lub złotawa, niektóre jednak ciemniały, przybierając czerwony i szafirowy odcień. Gdy dotarły do odległego krańca sali, znikwały w ciemności niczym sztuczne ognie pochłonięte przez noc, olśniewające i piękne, ale niedające zbyt wiele światła.

— To jest wielkie jak sala koncertowa — powiedział Bobby w zamyśleniu.

— Nie całkiem. Wydaje się większe, niż jest w rzeczywistości, dzięki tym zakrzywionym ścianom.

Kiedy wypowiadałem te słowa, w akustyce sali zaszła wyraźna zmiana. Echo stało się słabe i szybko ucichło, a potem nawet mój głos stracił na sile. Zdawało się, że powietrze gęstnieje i nie przenosi już dźwięków tak skutecznie jak przed chwilą.

— Co się dzieje? — spytał Bobby, a jego głos także był przytłumiony, zduszony, jakby mówił do mnie przez słuchawkę zepsutego telefonu.

— Nie wiem. — Choć podniosłem głos niemal do krzyku, ten nadal pozostał stłumiony, tak jakbym mówił normalnym tonem.

Mógłbym pomyśleć, że gęstnienie powietrza jest tylko wytworem wyobraźni, lecz nagle poczułem, że mam trudności z oddychaniem; nie dusiłem się jeszcze, ale musiałem skupić się mocno na wciąganiu i wypuszczaniu powietrza z płuc. Przy każdym oddechu przełykałem ciężko; powietrze było jak ciecz, którą trzeba przepchnąć w dół. Naprawdę czułem, jak przesuwa się po mojej krtani niczym łyk zimnej wody. Każdy płytki oddech zalegał ciężarem w piersiach, jakby tlen i azot nabrały nagle

ogromnej wagi, jakbym napełniał płuca cieczą. Po każdym wdechu miałem ochotę wyrzucić z siebie to świństwo, przekonany, że za moment się uduszę, wydech jednak także wymagał wysiłku, przypominał wymiotowanie.

Ciśnienie.

Pomimo rosnącego przerażenia zachowałem trzeźwość umysłu i zrozumiałem wreszcie, że powietrze nie zostało zamienione w jakiś tajemniczy płyn, lecz że drastycznie podniosło się jego ciśnienie, jakby nagle spoczywająca nad nami masa ziemi zaczęła napierać z druzgocącą siłą. Czułem, jak drżą bębny w moich uszach, dziwne swędzenie w zatokach, niewidzialne palce naciskały moje oczy, po każdym oddechu zamykały się nozdrza.

Potem nogi zaczęły drżeć mi w kolanach, uginać się. Ramiona opadły, przygniecione niewidzialnym ciężarem. Ręce zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia niczym dwa kawałki drewna. Palce nie mogły już utrzymać latarki, która upadła na podłogę i odbiła się od niej bezgłośnie, gdyż teraz nie dochodził już do mnie żaden dźwięk, nawet szum w uszach czy bicie serca.

Nagle wszystko wróciło do normy.

Ciśnienie zmalowało w jednej chwili.

Słyszałem, jak ciężko łapię powietrze. Bobby robił to samo.

On także upuścił latarkę, zdołał jednak utrzymać w dłoni karabin.

— Cholera! — wyrzucił z siebie.

— Tak.

— Cholera.

— Tak.

— Co to było?

— Nie wiem.

— Przeżyłeś kiedyś coś podobnego?

— Nie.

— Cholera.

— Tak — powtórzyłem, napawając się swobodą, z jaką wciągałem chłodne, świeże powietrze.

Choć nasze latarki spoczywały na podłodze, po ścianach sunęły coraz większe ilości świetlistych węży, złotych kręgów, serpentyn i płomieni.

— To nadal działa — powiedział Bobby.

— Niemożliwe. Sam widziałeś, jak wygląda.

— W Wyvern nic nie jest takie, jakie się wydaje — odparł Bobby, cytując moje słowa.

— Każdy pokój, przez który przeszliśmy, wszystkie korytarze — puste, odarte z całego wyposażenia.

— A dwa poziomy nad tym?

— Tak samo puste.

— Może coś jest pod spodem?

— Nie.

— Może jednak?

— Ja niczego nie znalazłem.

Podnieśliśmy latarki, a kiedy promienie światła przesunęły się po ścianach, olśniewające fajerwerki jeszcze przybrały na sile, nabrały nowych kształtów. Równie dobrze mogłem wyobrazić sobie, że jest czwarty lipca i że wisimy obaj wysoko nad ziemią, w koszu wielkiego balonu, otoczeni wybuchami sztucznych ogni, kolorowymi kulami, raketami i fontannami światła. Choć

wszystko odbywało się w absolutnej ciszy, a niezliczonym wybuchom nie towarzyszył ogłuszający huk, podobieństwo do Dnia Niepodległości było tak wielkie, że czułem niemal zapach siarki i węgla, słyszałem marsz Johna Philipa Sousa, czułem na języku smak hot dogów z musztardą i cebulą.

— Tu nadal coś się dzieje — powiedział Bobby.

— Spadamy?

— Poczekaj.

Patrzył na zmieniające się nieustannie, coraz bardziej kolorowe figury, jakby te niosły ze sobą jakieś przesłanie, równie wyraźne i łatwe do odczytania jak fragment prozy wydrukowany na papierze.

Choć nie przypuszczałem, by te dwuwymiarowe fajerwerki wydzielały więcej promieniowania ultrafioletowego niż światło latarek, które je wywołały, nie byłem przyzwyczajony do takiego blasku. Olśniewające wiry, iskierki i wstęgi przesuwwały się po mojej odsłoniętej twarzy i rękach, burza płomiennych tatuży. Nawet jeśli ten deszcz światła przybliżał odrobinę datę mej śmierci, nie mogłem się oprzeć wspaniałemu widowisku, nie mogłem oderwać od niego oczu. Serce biło mi mocno, częściowo ze strachu, głównie jednak z zachwyty.

Potem zobaczyłem drzwi.

Obracałem się w miejscu, tak bardzo zauroczony karnawałowym spektaklem, że w pierwszej chwili minąłem je obojętnie, nie rozumiałem, co mam przed sobą. Masywne, okrągłe drzwi ze stali, otoczone pasem wypolerowanego metalu. Przypominały drzwi do wielkiego bankowego sejfu i bez wątplenia stanowiły nieprzebytą zaporę.

Zaskoczony, powróciłem spojrzeniem do tego miejsca, ale drzwi zniknęły. Poprzez pandemonium przemykających dokoła światła i cieni dojrzałem w ścianie okrągły otwór, przez który weszliśmy do sali. Pusty, kryjący za sobą betonowy tunel, a za nim pomieszczenie będące niegdyś służą.

Zrobiłem kilka kroków w stronę otworu, nim zdałem sobie sprawę, że Bobby mówi coś do mnie. Kiedy odwracałem się do niego, znów dostrzegłem drzwi kącikiem oka. Gdy jednak spojrzałem na nie, zniknęły jak poprzednio.

— Co się dzieje? — spytałem nerwowo.

Bobby wyłączył swoją latarkę. Wskazał na moją.

— Zgaś to.

Spełniłem jego prośbę.

Fajerwerki w szklanej powierzchni sali powinny natychmiast rozpląnąć się w ciemności. Tymczasem kolorowe chryzantemy, bezgłośnie eksplozje i złote kule nadal rozrastały się w magicznym materiale, płynęły wokół sali, rzucały na ściany migotliwe cienie, a potem ustępowały miejsca kolejnym rozbłyskom.

— To działa samo — powiedział Bobby.

— Działa?

— Ten proces.

— Jaki proces?

— Sala, maszyna, proces, czymkolwiek to jest.

— Przecież nie może działać samo z siebie — protestowałem, przecząc wszystkiemu, co działo się wokół mnie.

— Może energia świetlna? — zastanawiał się głośno Bobby.

— Jak to?

— Promienie naszych latarek?

— Może powiesz wreszcie wyraźnie, o co ci chodzi?

— Może i powiem. Myślę, że to właśnie mogło uruchomić proces czy maszynę. Energia zawarta w świetle naszych latarek.

Pokręciłem głową.

— To nie ma sensu. Przecież tam nie ma prawie żadnej energii.

— Ta substancja zaabsorbowała światło — upierał się Bobby, przesuując stopą po gładkiej powierzchni. — A potem sama wygenerowała nowe i znowu je pochłonęła, żeby wytworzyć jeszcze więcej energii.

— Jak?

— Jakoś.

— Bardzo naukowe wyjaśnienie.

— W *Star Treku* słyszałem gorsze.

— To raczej magia.

— Magia czy nauka, istnieje naprawdę.

Nawet jeśli Bobby miał rację — a najwyraźniej częściowo mógł ją mieć — to owo zjawisko nie mogło samo podtrzymywać się bez końca. Na ścianach pojawiała się coraz mniej świetlnych wybuchów, traciły też na intensywności i różnorodności kolorów.

Dopiero teraz poczułem, jak bardzo zaschło mi w ustach. Musiałem kilka razy przełknąć ślinę, nim zapytałem:

— Dlaczego to nie wydarzyło się nigdy dotąd?

— Byłeś tutaj z dwiema latarkami?

— Nie używam dwóch latarek naraz.

— Więc może jest jakaś krytyczna ilość energii potrzebna do tego, by to uruchomić.

— I ta krytyczna ilość to światło dwóch zwykłych latarek?

— Może.

— Bobby Einstein. — Wcale nieuspokojony wygasaniem rozbuchanych świateł, spojrzałem w stronę wyjścia. — Widziałeś te drzwi?

— Jakie drzwi?

— Wielkie masywne wrota, jak kłapa w wyrzutni pocisków balistycznych.

— Nie zaszkodziło ci to piwo?

— Były tutaj, a potem znowu zniknęły.

— Drzwi?

— Tak.

— To nie jest nawiedzony dom, bracie.

— Może to jest nawiedzone laboratorium.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że słowo „nawiedzony” doskonale pasuje do tego miejsca i okoliczności. Nie staliśmy przecież we wnętrzu rozsypującego się domu o zasnutych pajęczyną oknach, skrzypiących podłogach i przeciągach niewiadomego pochodzenia. Mimo to wyczuwałem jakąś niewidzialną obecność, złe duchy napierające na cienką błonę oddzielającą mój świat od ich świata, atmosferę napięcia poprzedzającą materializację wrogiej i przerażającej istoty.

— Drzwi były tutaj, a potem zniknęły — obstawałem przy swoim.

— To brzmi jak paradoks zen. Jak brzmi klaskanie jednej dłoni? Dokąd prowadzą drzwi, jeśli są, a zarazem ich nie ma?

— Nie sądzę, żebyśmy mieli teraz czas na tego typu rozważania.

Rzeczywiście, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mamy już bardzo mało czasu, że kosmiczny zegar zatrzyma się lada moment. Uczucie to było tak silne, że omal nie rzuciłem się do wyjścia.

Powstrzymała mnie jedynie świadomość, że Bobby z pewnością nie pójdzie moim śladem. Nie interesowała go polityka czy wielkie kulturalne i społeczne problemy naszych czasów, nic nie mogło oderwać go od przyjemnego życia pełnego słońca i fal — nic prócz przyjaciela w potrzebie. Nie ufał tym, których nazywał „ludźmi z planem”, którzy wierzyli, że znają przepis na lepszy świat, którzy mówili innym, co mają robić i jak myśleć. Jednak wołanie o pomoc, krzyk przyjaciela natychmiast poderwałyby go do czynu, a kiedy już raz się w coś zaangażował — w tym przypadku w poszukiwanie Jimmy’ego i Orsona — nie cofał się ani nie poddawał.

Ja także nie potrafiłbym zostawić przyjaciela na pastwę losu. Nasze przekonania i nasi przyjaciele to wszystko, co pomaga nam przetrwać w tych ciężkich czasach. Przyjaciele to jedyny element tego niedoskonałego świata, który możemy ujrzyć powtórnie, w następnym życiu; przyjaciele i ukochani to światło, które rozprasza mroki śmierci.

— Idiota — powiedziałem.

— Dupek — odparował Bobby.

— Nie mówiłem do ciebie.

— Prócz nas dwóch nie ma tu nikogo.

— Nazwałem siebie idiotą. Za to, że jeszcze stąd nie wyszedłem.

— Aha. W takim razie cofam tego dupka.

Bobby włączył latarkę, a gasnące już fajerwerki natychmiast odżyły, przybrały na sile. Nie działało się to stopniowo jak poprzednio; światła stały się natychmiast tak intensywne jak w momencie największej aktywności.

— Włącz swoją latarkę — polecił Bobby.

— Naprawdę jesteśmy tacy głupi, żeby to robić?

— Znacznie głupsi.

— To miejsce nie ma nic wspólnego z Jimmym i Orsonem — oświadczyłem stanowczo.

— Skąd wiesz?

— Bo ich tu nie ma.

— Ale może coś pomoże nam ich odnaleźć.

— Nie znajdziemy ich, jeśli będziemy martwi.

— Bądź dobrym idiotą i zaświeć swoją latarkę.

— To szaleństwo.

— Niczego się nie obawiaj, bracie. *Carpe noctem.*

— Cholera — mruknąłem, schwytany we własne sidła.

Włączyłem latarkę.

13

Ściany wokół nas wybuchnęły prawdziwą kaskadą świateł. Teraz mogliśmy sobie bez trudu wyobrazić, że znajdujemy się w środku miasta ogarniętego jakąś walką. Dokoła wybuchają bomby i pociski artyleryjskie, żołnierze z miotaczami biegną przed siebie, ogarnięci płomieniami z własnej broni, cyklony żaru i niepowstrzymanego ognia suną wzdłuż ulic i alei, zamieniając ich powierzchnie w strumienie lawy, wysokie budynki płoną niepowstrzymanie, pomarańczowy blask bucha z okien, ogarnięte zarem kawałki parapetów i futryn lecą ku ziemi, ciągnąc za sobą pióropusze iskier.

A jednocześnie, zmieniając tylko w niewielkim stopniu punkt widzenia, można było postrzegać ten panoramiczny kataklizm nie jako serię oślepiających wybuchów, ale jako przedstawienie teatru cieni. Za każdym koktajlem Mołotowa, za masą płonącego napalmu, za jasnymi liniami, które przypominały smugi pocisków świetlnych, kryły się ruchome cienie, równie zagadkowe i inspirujące jak kształty i twarze ukryte w chmurach. Tu i tam pojawiały się ciemne kaptury, wiatr unosił mroczne peleryny, czarne węże skradały się w ciszy, cienie nadlatywały ze wszystkich stron jak rozgniewane kruki, stada

wielkich ptaków nurkowały i wzbijały się ku górze, armie osmolonych szkieletów maszerowały naprzód, stukając ostrymi, czarnymi kośćmi, nocne koty czaiły się i podrywały do skoku, złowieszcze bicze ciemności cięły kule ognia, migotały ostrza z czarnej stali.

Otoczony pandemonium światła i cieni, zamknięty w chaosie oślepiających świateł i ruchomych cieni, powoli traciłem orientację. Choć stałem nieruchomo, na lekko rozstawionych nogach, czułem się tak, jakbym był w ciągłym ruchu, jakbym wirował jak biedna Dorotka na pokładzie ekspresu z Kansas do Krainy Oz. Przód, tył, lewo, prawo, góra i dół — wszystkie te kierunki stały się nagle niezwykle trudne do określenia.

I znów kątem oka dojrzałem drzwi. Kiedy spojrzałem na nie bezpośrednio, wcale nie zniknęły, lecz tkwiły na swoim miejscu, wielkie i lśniące.

— Bobby.

— Widzę.

— Nie jest dobrze.

— To nie są prawdziwe drzwi — skonkludował Bobby.

— Powiedziałeś, że to miejsce nie jest nawiedzone.

— To tylko miraż.

Burza świateł i cieni nabierała prędkości, jakby zmierzała do jakiegoś wielkiego, podniosłego finału.

Bąłem się, że ten wściekły, niepohamowany ruch, oślepiające wzory na ścianach są zapowiedzią jakiegoś wydarzenia, katastrofy będącej produktem narastającej energii. Ta owalna sala była tak dziwna, że nie potrafiłem wyobrazić sobie natury nadciągającego zagrożenia, nie wiedziałem nawet, skąd

nadejście. Chyba po raz pierwszy w życiu zawiodła mnie moja hiperaktywna wyobraźnia.

Zawiasy stalowych drzwi znajdowały się po tej stronie, zatem otwierały się do wewnątrz. Nie widziałem żadnych uchwytów ani pokręteł, które odsuwałyby ciężkie bolce, tkwiące w otworach przy pokrywie. Oznaczało to, że drzwi można otworzyć tylko z krótkiego tunelu pomiędzy tym pokojem i służą, z drugiej strony. Byliśmy uwięzieni.

Nie. Nie uwięzieni.

Walcząc z narastającą klaustrofobią, zapewniałem się w duchu, że drzwi nie są realne. Bobby miał rację, to tylko halucynacja, iluzja, miraż.

Obraz.

Nie potrafiłem już wyzbyć się wrażenia, że jajowata sala to nawiedzone miejsce. Świetliste kształty sunące po ścianach nagle wydały mi się umęczonymi duchami zaklętymi w przerażającym tańcu bólu i cierpienia, jakby wszędzie dokoła otwierały się okna z widokiem na piekło.

Serce waliło mi jak szalone, pompując krew z taką siłą, że obawiałem się o całość tętnic. Pomyślałem, że widzę jajowatą salę nie taką, jaka jest w rzeczywistości, lecz jaka była przed zamknięciem Wyvern, nim jeszcze bezduszni robotnicy obdarli całe to miejsce z wszystkiego, co dało się wynieść. Wtedy tkwiły tu masywne metalowe drzwi, ale nie było ich tu teraz, choć je widziałem. Drzwi zostały zdjęte z zawiasów, rozmontowane, wyciągnięte, pocięte i stopione, zamieniły się w łyżki, chochle, pinezki i aparaty ortodontyczne. Teraz miałem przed sobą czyste złudzenie, mogłem przejść przez nie równie łatwo, jak

przeszedłem przez pajęczynę rozpiętą na werandzie bungalowu w Umartym Miasteczku.

Wcale nie zamierzałem opuścić sali, chciałem tylko przekonać się, że drzwi są iluzją. Ruszyłem w stronę wyjścia. Po dwóch krokach zakręciło mi się w głowie, omal nie runąłem na ziemię z siłą, która złamałaby mi nos i wybiła dość zębów, by wprawić mojego dentystę w euforię. Na szczęście w krytycznym momencie udało mi się odzyskać równowagę. Rozstawiłem szeroko nogi i wcisnąłem stopy w podłogę, jakbym chciał sprawdzić wytrzymałość gumowych podeszew.

Oczywiście pokój nawet nie drgnął, choć ja czułem się jak maleńki statek na rozszalałym morzu. Ruch był tylko moim subiektywnym odczuciem, świadectwem narastającej dezorientacji.

Wpatrując się w drzwi z takim napięciem, jakbym chciał usunąć je stamtąd jedynie za pomocą siły woli, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinienem opaść na kolana i posuwać się na czworakach, zauważyłem pewien dziwny detal. Drzwi umocowane były na jednym długim zawiasie, który musiał mieć od ośmiu do dziesięciu cali średnicy. Zawias osłonięty był warstwą grubej blachy, jakby dla ochrony przed kimś, kto zechciałby otworzyć drzwi z tej strony, podważając go czy niszcząc. Ta owalna sala i przylegająca do niej śluza zostały zaprojektowane tak, by mogły wytrzymać bardzo wysokie ciśnienie i zatrzymać w swym wnętrzu wszelkie szkodliwe substancje; wszystko jednak wskazywało na to, że miały także służyć — przynajmniej w pewnych okolicznościach — za więzienie.

Do tej pory fantastycznym pokazom barwnych świateł nie towarzyszył żaden dźwięk. Teraz, choć powietrze pozostało całkiem nieruchome, w sali podniosło się ponure, głuche wycie wiatru, podobne do tego, jakie słyszy się czasem na wielkich pustych równinach.

Spojrzałem na Bobby'ego. Pomimo tatuaży świateł i cieni, które przepływały nieustannie po jego twarzy, widziałem wyraźnie, że i on jest zaniepokojony.

— Słyszysz? — spytałem.

— Nie podoba mi się to.

— Mnie też — przytaknąłem, w pełni się z nim zgadzając.

Jeśli dźwięk ten był halucynacją, podobnie jak drzwi, to przynajmniej słyszeliśmy go obaj. Mogliśmy pocieszać się — choć kiepskie to było pocieszenie — że jeśli oszalejemy, to razem.

Niewyczuwalny wiatr stał się głośniejszy, teraz niósł w sobie jeszcze inne dźwięki. Nadal słyszałem posępne wycie, jednak dołączył do niego jeszcze szum silnej wichury targającej korony drzew, zwiastuna burzy, wściekłej i groźnej. Wycie, jęki, mamrotanie i szelesty. I samotne, jednostajne pogwizdywanie wiatru, który gra na pustych rynnach, jakby były to wielkie metalowe flety.

Kiedy w tym chórze wiatrów usłyszałem pierwsze słowa, pomyślałem, że to tylko złudzenie, jednak z każdą chwilą stawały się głośniejsze, wyraźniejsze. Głosy mężczyzn: pięć, sześć, może więcej. Metaliczne, przytłumione, jakby ktoś stał po drugiej stronie długiej, stalowej rury. Urywane, niekompletne zdania przerywane wyładowaniami elektrycznymi, dochodzącymi z krótkofalówek, a może z radia.

„...gdzieś tutaj, właśnie tutaj...”.

„...szybciej, na miłość boską!”.

„...daj nie...”.

„...osłaniaj mnie, Jackson, osłaniaj mnie...”. Przybierająca na sile kakofonia była równie dezorientująca jak światła stroboskopowe i cienie, które przemykały dokoła niczym cały legion oszalałych nietoperzy. Nie potrafiłem określić, skąd właściwie dochodzą niesamowite głosy, „...zebrać się tutaj... bronić się w grupie...”.

„...żeby tłumaczyć...”.

„...trzymajcie się razem, do diabła... ruszcie dupy”, „...teraz, teraz tłumacz!”.

„...przekręćcie to...”.

Duchy. Słuchałem duchów. Ci ludzie byli teraz martwi, nie żyli, odkąd to miejsce zostało opuszczone, a to były ich ostatnie słowa przed śmiercią.

Nie wiedziałem dokładnie, co stanie się z tymi mężczyznami, jednak słuchając ich głosów, byłem pewien, że czeka ich jakiś straszliwy los, a całe to wydarzenie odgrywane jest raz jeszcze na jakiejś duchowej płaszczyźnie.

Tajemnicze głosy wydawały się coraz bardziej zaniepokojone, mężczyźni mówili jeden przez drugiego: „...przekręćcie to!”.

„...słyszycie je? Słyszycie? Nadchodzą!”.

„...pospieszcie się... do diabła...”.

„...stało... Jezu... co się stało?”.

Teraz już krzyczeli, zachrypnięte rozhisteryzowane głosy pełne były nieopisanego przerażenia.

„Przekręćcie to! Otwórzcie!”.

„Zabierzcie nas stąd!”.

„O Boże, Boże, Boże!”.

„ZABIERZCIE NAS STĄD!”.

Słowa zastąpione zostały przez krzyki, jakich nie słyszałem nigdy dotąd i jakich, mam nadzieję, nie usłyszę nigdy więcej, krzyki umierających ludzi, ale nie umierających szybko i bezboleśnie; głosy wyrażające nie tylko strach i ból, ale i mrozącą krew w żyłach rozpacz, jakby cierpieniu fizycznemu towarzyszyło jeszcze większe duchowe cierpienie. Słuchając tych krzyków, miałem wrażenie, że ci ludzie nie zostali po prostu zabici, lecz zostali zarżnięci, rozerwani przez coś, co wiedziało, gdzie w ciele zamieszkuje dusza. Słyszałem — a może tylko wyobrażałem sobie, że słyszę — jak tajemniczy drapieżca wrywa duszę z ciała i pożera chciwie ten smakołyk, nim zabierze się do doczesnych szczątków.

Serce waliło mi tak mocno, że kiedy odwróciłem głowę ku drzwiom, na moment zrobiło mi się ciemno przed oczami. Opancerzony zawias był świadectwem jakiejś przerażającej prawdy, jednak oszołomiony kakofonią głosów i karuzelą światła nie mogłem zebrać myśli i dotrzeć do niej.

Nawet jeśli zawias pozostałby odsłonięty, człowiek potrzebowałby całego kompletu ciężkich narzędzi, wiertła o diamentowych ostrzach i mnóstwa czasu, by naruszyć twardą metalową konstrukcję...

W każdej części wielkiej owalnej sali toczyła się zacięta walka światła i ciemności, bataliony cieni ścierały się z armiami światła w bezlitosnym, oszalałym boju, któremu towarzyszyło nieustające wycie i szum wiatru, przetykany krzykami

umierających ludzi.

...a nawet gdyby udało się komuś zniszczyć zawias, drzwi zostałyby na miejscu, bo metalowe bolce zamków wnikały w beton...

Krzyki. Przejmujące, niemal namacalne, wlewały się do moich uszu niczym jakaś lepka ciecz, wypełniały mnie do reszty, czułem, że nie wytrzymam już więcej, otworzyłem usta, jakbym chciał pozbyć się mrocznej energii tych upiornych głosów.

Próbując zebrać myśli, wpatrując się uparcie w metalowe drzwi, zrozumiałem, że nawet cały zespół zawodowych kasiarzy nie poradziłby sobie z nimi bez porządnej porcji materiałów wybuchowych. Gdyby więc miały stanowić zaporę jedynie dla ludzi, tak potężne środki ostrożności byłyby wręcz absurdem.

Wreszcie dotarła do mnie przerażająca prawda. Opancerzone metalowe drzwi miały za zadanie powstrzymywać nie tylko wysokie ciśnienie i zakażonych ludzi. Chodziło tu o coś większego, silniejszego i sprytniejszego od zwykłego wirusa. O coś, czego nie mogłem objąć nawet moją hiperaktywną wyobraźnią.

Wyłączając latarkę i odwracając się od metalowych drzwi, zawołałem Bobby'ego.

Zahipnotyzowany pokazem sztucznych ogni i tańcem cieni, oszołomiony tajemniczymi odgłosami, nie usłyszał, choć stał zaledwie dziesięć stóp ode mnie.

— Bobby! — krzyknąłem ponownie.

Kiedy odwrócił się i spojrzał na mnie, do głośnego szumu dołączył nagle prawdziwy wiatr. Uderzył w nas jak morska fala, szarpał moją kurtkę i hawajską koszulę Bobby'ego. Był gorący,

wilgotny, niósł ze sobą zapach smoły i gnijącej roślinności.

Nie miałem pojęcia, co jest źródłem tego powiewu, gdyż w pokrytych szklistą substancją ścianach nie było żadnych kanałów wentylacyjnych ani szczelin. Jedyne wyjątek stanowił okrągły otwór wejściowy. Jeśli stalowe drzwi rzeczywiście były mirażem, wiatr mógł przedostawać się tutaj przez wąski tunel łączący salę ze śluzą; wydawało mi się jednak, że gorące powietrze napiera na nas z różnych kierunków, nie tylko od strony wejścia.

— Twoja latarka! — krzyknąłem. — Zgaś ją!

Nim Bobby zareagował na mój krzyk, do wiatru dołączył kolejny element. Jakaś ludzka postać wyszła ze ściany, jakby warstwa zbrojonego betonu grubości pięciu stóp nie różniła się niczym od bezcielesnej mglistej zasłony.

Bobby pochwycił karabin w obie ręce, upuszczając wciąż zapaloną latarkę.

Upiorny gość był niepokojąco blisko, zaledwie o dwadzieścia stóp od nas. Ze względu na nieustający karnawał światła i cieni, które działały jak najlepszy kamuflaż, nie mogłem przyjrzeć mu się dokładnie. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak człowiek, potem przypominał bardziej maszynę, wreszcie wydawał się niczym innym jak wielką, szmacianą lalką.

Bobby nie otwierał ognia być może dlatego, że nadal uważał wszystkie te zjawiska za bezcielesną iluzję lub halucynację, a może mieszankę obydwóch. Przypuszczam, że i ja desperacko starałem się w to uwierzyć, ponieważ nie uciekłem, kiedy tajemnicza postać zbliżyła się do nas.

Gdy zrobiła trzy niepewne kroki, widziałem już, że jest to

człowiek ubrany w biały winylowy kombinezon. Była to zapewne zmodyfikowana wersja skafandra kosmicznego NASA, mająca za zadanie chronić człowieka nie tylko przed lodowatą próżnią przestrzeni kosmicznej, lecz i przed śmiertelnie groźnymi bakteriami ze skażonego biologicznie środowiska.

Przednia część wielkiego hełmu wykonana była z pleksiglasu, nie mogłem jednak dojrzeć ukrytej za nim twarzy, bo w przezroczystej płytce odbijały się strumienie światła i cieni. Nad wizjerem wypisane było wyraźnie nazwisko HODGSON.

Oślepiony kolorowymi fajerwerkami, a może raczej nieopisanym strachem, Hodgson nie zareagował na naszą obecność. Szedł, krzycząc, a jego wrzask był zdecydowanie najgłośniejszy ze wszystkich, jakie niósł ze sobą wilgotny wiatr. Zrobiwszy kilka kroków, odwrócił się twarzą do ściany i wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał zasłonić się przed atakiem jakiegoś niewidzialnego napastnika.

Nagle drgnął kilkakrotnie niczym przeszyty pociskami z karabinu maszynowego.

Choć nie słyszałem żadnych strzałów, uchyliłem się odruchowo.

Hodgson upadł na plecy i zastygł w pozycji pólężącej, podpierany od tyłu przez pojemniki z tlenem. Jego ręce zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia.

Nie musiałem doń podchodzić, by wiedzieć, że nie żyje. Nie miałem pojęcia, co go zabiło, i nie byłem tego aż tak ciekaw, by ryzykować dokładne badanie.

Skoro był już duchem, to jak mógł umrzeć powtórnie?

Niektóre pytania lepiej zostawiać bez odpowiedzi. Ciekawość

to jedna z sił napędowych postępu, ale raczej nie wróży wielkiego rozwoju człowiekowi, który chciałby przekonać się, jak wygląda od środka paszcza tygrysa.

Przykucnąłem, podniosłem latarkę Bobby'ego i zgasilem.

Wiatr natychmiast się uspokoił, co potwierdzało teorię, że nawet minimalna ilość energii, dostarczana przez światło naszych latarek, wystarczała do uruchomienia tej piekielnej maszyny.

Smród smoły i gnijącej roślinności także stracił na intensywności.

Podnosząc się, spojrzałem w stronę drzwi. Wciąż tam były. Wielkie i lśniące. Zbyt realne.

Chciałem się wydostać z tego miejsca, ale nie ruszyłem do wyjścia. Bałem się, że kiedy tam dotrę, drzwi będą równie prawdziwe jak podłoga pod moimi stopami, a senny koszmar okaże się rzeczywistością.

Tymczasem burza światła na ścianach pomieszczenia szalała z taką samą siłą. Poprzednio ten proces także podtrzymywał się sam przez jakiś czas, mogłem więc przypuszczać, że tym razem potrwa jeszcze dłużej.

Przyglądałem się podejrzliwie ścianom, podłodze i sufitowi. Bałem się, że lada moment wychynie z nich kolejna postać, tym razem znacznie bardziej przerażająca niż człowiek w białym skafandrze.

Bobby szedł w stronę Hodgsona. Najwyraźniej świetlny show nie zakłócił jego zmysłu równowagi tak bardzo jak w moim przypadku.

— Bracie — ostrzegłem go.

— Spoko.

— Nie.

Trzymał w dłoni karabin. Wierzył, że to zapewnia mu ochronę.

Ja zaś przypuszczałem, że broń może być dla nas równie niebezpieczna jak latarki. Każda kula, która nie utkwi w celu, będzie odbijała się rykoszetem od ścian, podłogi i sufitu. I za każdym razem, kiedy ołowiany pocisk uderzy z ogromną prędkością w szklaną powierzchnię, ta pochłonie energię kinetyczną uderzenia, napędzając po raz kolejny ten szalony proces.

Wiatr zamienił się w lekką bryzę.

Sztuczne ognie i eksplozje nadal pokrywały ściany sali kolorową mozaiką, wulkaniczne erupcje zalewały wnętrze pomieszczenia upiornym światłem.

Metalowe drzwi wciąż tkwiły na swoim miejscu. Wydawały się równie solidne i rzeczywiste jak przed chwilą.

Żaden duch nie wyglądał nigdy tak realnie jak ciało w białym skafandrze.

Ani ojciec Hamleta, ani Biała Dama, ani Duch Bożego Narodzenia, a już z pewnością nie Casper.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mam już kłopotów z utrzymaniem równowagi. Może poprzednie zaburzenia nie były reakcją na opętańczy taniec światła i cieni, lecz jeszcze jednym efektem przejściowym — podobnym do zmiany ciśnienia — który zdusił nasze głosy i utrudniał oddychanie.

Gorąca bryza i niesiony nią smród całkiem zniknęły. Powietrze znów stało się chłodne i spokojne. Szum wiatru także zaczął cichnąć.

Miałem nadzieję, że w następnej kolejności martwy mężczyzna zamieni się w obłok białego dymu, który wzbije się ku górze i zniknie niczym upiór powracający w zaświaty. Wkrótce. Zanim będziemy musieli przyjrzeć mu się z bliska. Proszę.

Przekonany, że bez trudu namówię Bobby'ego do odwrotu, ruszyłem za nim w stronę zwłok Hodgsona. Mój przyjaciel znajdował się w tym dziwnym, szalonym stanie umysłu, który kazał mu rzucać się na największe nawet fale, olbrzymi wysokości dwudziestu stóp; zapominał się wtedy bez reszty, był jak kamikadze, nieobliczalny i niepowstrzymany. Kiedy stawał na desce, musiał przepłynąć do samego końca beczki — który kiedyś okaże się też kresem jego życia.

Ponieważ barwne wybuchy na ścianach zamknięte były w szklistej substancji i nie rzucały zbyt wiele światła, nie mogliśmy dobrze się przyjrzeć Hodgsonowi.

— Włącz latarkę — powiedział Bobby.

— To nie jest dobry pomysł.

— Trudno, taki już jestem.

Zmuszony do obejrzenia wspomnianej już wcześniej tygrysiej paszczy, podszedłem ostrożnie do ciała Hodgsona i stanąłem z jego prawej strony, podczas gdy Bobby bez zbędnych ceregieli stanął z lewej. Włączyłem latarkę i przesunąłem promień latarki po niepokojąco solidnym duchu. Przez moment światło kołysało się niepewnie w mojej dłoni, szybko jednak opanowałem drżenie.

Pleksiglasowa szybka była przyciemniana. W blasku tylko jednej latarki nie mogliśmy dojrzeć twarzy Hodgsona ani ocenić jego stanu. Mężczyzna leżał nieruchomo jak kamień. Jednego

mogłem być pewien — duch czy nie, z pewnością był martwy.

W górnej części skafandra, na wysokości piersi, umieszczono plakietkę z amerykańską flagą, a tuż pod nią następną, przedstawiającą rozpędzoną lokomotywę. Rysunek pochodził bez wątpienia z okresu art déco i służył zapewne za logo tego projektu badawczego. Choć dynamiczny i wyraźny obraz nie zawierał w sobie żadnego elementu tajemnicy, gotów byłem założyć się o każdą sumę, że chodzi tu o projekt zwany Magicznym Pociągiem, a Hodgson był jednym z członków zespołu realizującego ten program.

Na piersiach i brzuchu mężczyzny widniało też siedem czy osiem okrągłych otworów. Przypominając sobie, jak Hodgson odwrócił się do ściany, wyciągnął ręce w obronnym geście, a potem drgnął, jakby postrzelony z karabinu, założyłem najpierw, że są to ślady po kulach.

Kiedy jednak przyjrzałem im się z bliska, zrozumiałem, że są zbyt okrągłe jak na rany postrzałowe. Ołowiane pociski rozerwałyby tkaninę skafandra, pozostawiając nieregularne, gwiazdziste otwory. Tymczasem te były idealnie okrągłe, duże jak ćwierćdolarówka. Wyglądały tak, jakby wycięto je laserem. Poza tym, gdyby ktoś strzelał do Hodgsona pociskami tej wielkości, te z pewnością przeszłyby go na wylot, a potem trafiły mnie albo Bobby'ego, a może i nas obu. Zresztą nie słyszeliśmy huku wystrzałów.

Nie dostrzegłem też ani śladu krwi.

— Włącz drugą latarkę — polecił Bobby.

Cisza zastąpiła ostatnie pomruki wiatru.

Świetliste hieroglify wciąż tańczyły na ścianach jajowatej sali,

może minimalnie ciemniejsze niż kilka minut temu. Doświadczenie mówiło mi, że po chwili także i to zjawisko zniknie bez śladu, i nie chciałem wywoływać go na nowo.

— Tylko na moment, na chwileczkę — nalegał.

Na przekór wszelkim obiekcjom spełniłem jego prośbę i klęknąłem obok białej postaci, by zajrzeć jej w twarz.

Przyciemniana szyba przesłaniała częściowo to, co znajdowało się za nią, ale natychmiast zrozumiałem, dlaczego właściwie w świetle jednej latarki nie mogliśmy zobaczyć twarzy biednego Hodgsona. Nie miał już twarzy. We wnętrzu hełmu tkwiła wilgotna, tłusta masa, która pożerała chciwie to, co zostało jeszcze z martwego mężczyzny; ohydna biała płatanina rozedrganych, wijących się, rojących rzeczy, które przypominały nieco miękkie białe robaki, a jednak nie były robakami, wyglądały jak wielkie kłębisko małych chrząszczy, a jednak nie były chrząszczami, wstrętne biała kolonia czegoś nienazwanego, co zaatakowało tego człowieka, wypełniła jego skafander z taką szybkością, że umarł równie gwałtownie jak od strzału z pistoletu. A teraz te podrygujące świństwa zareagowały gwałtownie na światło latarki, przywarły do wewnętrznej strony szyby, pchane niepowstrzymaną ekscytacją.

Podrywając się na równe nogi i obracając w miejscu, dojrzałem kątem oka — a przynajmniej tak mi się wydawało — jakiś ruch w otworach na piersi i brzuchu Hodgsona, jakby stworzenia, które go pożarły, chciały tamtędy wydostać się na zewnątrz.

Bobby także rzucił się do ucieczki. Na szczęście nie pociągnął za spust, co łatwo mogło się zdarzyć w chwili zaskoczenia i przerażenia. Strzał z karabinu, dwa czy dziesięć, nie zabiłby

nawet połowy tego piekielnego roju w skafandrze Hodgsona, ale zapewne dodałby mu jeszcze energii.

Biegając, wyłączyłem latarkę, bo świetliste kształty na ścianach znów nabierały prędkości i intensywności.

Choć Bobby stał dalej od wyjścia niż ja, dobiegł tam pierwszy.

Metalowe drzwi były solidne, jak to cholerne metalowe drzwi.

Stojąc obok nich, mogłem potwierdzić to, co widziałem z daleka; z tej strony nie było żadnych pokręteł czy zamków, które pozwoliłyby odsunąć potężne stalowe bolce.

14

Na środku sali, jakieś czterdzieści stóp od wejścia, nadal spoczywał nieruchomo biały skafander. Ponieważ nie zapadł się jak przebity balon, zakładałem, że nadal wypełnia go koszmarna kolonia i resztki Hodgsona, którymi pożywiały się te wstrętne stworzenia.

Bobby uderzył kolbą karabinu w drzwi. Odgłos uderzenia był równie realny jak sama pokrywa.

— Miraż? — spytałem złośliwie, przypominając mu jego własne słowa sprzed kilku minut. Jednocześnie wepchnąłem jedną latarkę za pas, drugą zaś schowałem do kieszeni.

— To jest nieprawdziwe.

W odpowiedzi poklepałem drzwi otwartą dłonią.

— Mówię ci — obstawał przy swoim Bobby. — Spójrz na zegarek.

Znacznie bardziej od czasu interesowało mnie to, czy ze skafandra Hodgsona nie wydostają się obrzydliwe białe stworzenia.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że otrzepuję rękawy kurtki, wycieram kark i przesuwam dłonią po twarzy, starając się pozbyć tego, czego tam naprawdę nie było.

Popychany do działania wyraźnym wspomnieniem rozedrganych ciał we wnętrzu hełmu, wsunąłem palce za krawędź metalowego kręgu i pociągnąłem. Stękałem, przeklinałem i ciągnąłem z całych sił, jakbym rzeczywiście wierzył w to, że wykorzystując energię zawartą w ciastkach i czekoladzie, którą pochłonałem na śniadanie, przesunę kilka ton stali.

— Sprawdź godzinę — powtórzył Bobby.

Sam odsunął rękaw swetra, by spojrzeć na swój zegarek. Byłem zaskoczony. Nigdy dotąd nie nosił zegarka, a teraz miał taki sam jak mój.

Kiedy spojrzałem na tarczę mojego zegarka, lśniące literki wskazywały godzinę 4:08 po południu. W rzeczywistości dochodziła oczywiście czwarta rano.

— U mnie też — powiedział Bobby, pokazując mi swój zegarek.

— Oba się zepsuły?

— Nie. Właśnie taka jest godzina. Tutaj. Teraz. W tym miejscu.

— Niesamowite.

— Czyste Salem.

Dopiero wtedy spojrzałem na datę umieszczoną w oddzielnym okienku pod wyświetlaczem. Była noc dwunastego kwietnia, natomiast według mojego zegarka był dziewiętnasty lutego. Zegarek Bobby'ego wskazywał to samo.

Ciekaw byłem, jaki rok byśmy ujrzeli, gdyby w okienku przeznaczonym na datę mieściły się jeszcze cztery cyfry. Na pewno jakąś z przeszłości. Pamiętne fatalne popołudnie, kiedy to straszliwe przeznaczenie dosięgło naukowców z zespołu Magicznego Pociągu, dzień apokalipsy.

Kolorowe figury na ścianach coraz wyraźniej zwalniały tempo, świeciły też mniej intensywnie.

Spojrzałem na skafander ochronny, który w starciu z wrogimi organizmami okazał się równie skuteczny jak słomiany kapelusz i liść figowy, i zauważyłem, że zamieszkujące go stworzenia poruszają się, nieustannie przemieszczają. Ramiona podnosiły się i opadały bezwładnie, jedna noga ugięta była w kolanie, a całe ciało drżało, jakby przebiegał przez nie silny prąd elektryczny.

— Niedobrze — uznałem.

— To zniknie.

— Ach tak?

— Tak jak krzyki, głosy, wiatr.

Postukałem pięścią w metalowe drzwi.

— Zniknie — upierał się Bobby.

Choć świetlisty show tracił na sile, Hodgson — a raczej jego skafander — stawał się coraz bardziej aktywny. Uderzał piętami o podłogę. Machał bezładnie rękami.

— Próbuje wstać — powiedziałem.

— Nic nam nie może zrobić.

— Mówisz poważnie? — Moje rozumowanie wydawało się całkiem logiczne. — Skoro drzwi są dość rzeczywiste, żeby nas tu zatrzymać, to i ta rzecz jest dość rzeczywista, żeby narobić nam kłopotów.

— Zniknie.

Najwyraźniej nikt nie poinformował stworzeń zamkniętych w skafandrze Hodgsona, że wszystkie ich wysiłki i tak są daremne, gdyż biały uniform nadal wymachiwał rękami, kołysał i podrygiwał, aż udało mu się przetoczyć na bok. Znów patrzyłem

na ciemną tarczę pleksiglasu i czułem, że coś także wpatruje się we mnie, nie bezrozumna masa robaków czy chrząszczy, lecz inteligentna i niedziałająca chaotycznie istota, wroga świadomość, której ciekawość dorównywała memu przerażeniu.

Tym razem wcale nie był to wytwór mojej chorej wyobraźni.

Było to uczucie równie wyraźne i jednoznaczne jak zimno, które czułbym, gdyby ktoś przyłożył mi do karku kawałek lodu.

— To zniknie — powtórzył Bobby, a wyraźna nuta strachu w jego głosie powiedziała mi, że również czuje się obserwowany.

Wcale nie pocieszał mnie fakt, że skafander Hodgsona znajdował się czterdzieści stóp od nas. Nie czułbym się bezpieczny, gdybym stał czterdzieści mil dalej i obserwował to przerażające stworzenie przez teleskop.

Kolorowe światła straciły może jedną trzecią swej mocy.

Drzwi wciąż były twarde i zimne w dotyku.

W miarę jak świetlne widowisko dobiegało końca, w jajowatej sali robiło się coraz ciemniej, ale nawet w gęstniejącym mroku widziałem wyraźnie, jak skafander Hodgsona przetacza się na brzuch, a potem próbuje podnieść na kolana.

Jeśli prawidłowo zinterpretowałem odrażający widok, jaki ujrzeliśmy pod przyciemnianą szybą hełmu, skafander wypełniony był setkami, a może nawet tysiącami drobnych stworzeń, ogromną mięsożerną masą, tworzącą gniazdo czy rój. Kolonia termitów może działać w ramach wyrafinowanej struktury, w której zachodzi wyraźny podział pracy i obowiązków, może utrzymywać wysoki stopień porządku społecznego, pracować razem dla dobra ogółu. Nie wierzyłem jednak, by podobna kolonia była w stanie uformować się na

kształt ludzkiego ciała i funkcjonować z tak nieprawdopodobną koordynacją i siłą, by stawiać kroki, wchodzić na schody czy kierować maszynami — nawet jeśli w kombinezonie pozostał szkielet Hodgsona.

Tymczasem skafander się podniósł.

— Cholera — mruknął Bobby.

Przyłożyłem wilgotną od potu dłoń do drzwi. Nagle poczułem, jak przepływa przez nie jakaś dziwna, przelotna wibracja. Nie, to było dziwniejsze od wibracji. Wyraźniejsze. Delikatne, lecz wyraźne. Jak dreszcz. Drzwi nie drżały, lecz trzęsły się przez krótką chwilę, jak gdyby były wykonane nie ze stali, tylko z galarety. Po kilku sekundach znów stały się twarde, solidne — nie do przebycia.

Stworzenie zamknięte w skafandrze chwiało się jak małe dziecko, które nie potrafi jeszcze utrzymać równowagi. Przesunęło lewą stopę naprzód, zawahało się, potem przesunęło prawą. Wszystko odbywało się niemal w absolutnej ciszy, przerywanej ledwie słyszalnym szuraniem.

Lewa stopa, prawa stopa.

Szło w naszą stronę.

Może w środku zostało coś więcej niż szkielet Hodgsona. Może kolonia nie pożarła całkiem ukrytego we wnętrzu skafandra człowieka, może nawet nie zabiła go, lecz osiedliła się w jego ciele, wniknęła głęboko do jego wnętrza, do mięśni i kości, do serca, wątroby i mózgu, tworząc odrażający, symbiotyczny organizm, przejmując całkowicie kontrolę nad jego mózgiem i układem nerwowym.

Fajerwerki na ścianach przybierały coraz ciemniejsze odcienie,

żółte plamy przechodziły w pomarańczowe, potem w czerwone i szkarłatne. Skafander Hodgsona przesunął lewą stopę naprzód, znów się zawahał, przesunął prawą. Upiorny, jednostajny marsz wynaleziony przez Borisa Karloffa w 1932 roku.

Drzwi pod moimi palcami znów zadrżały i nagle stały się miękkie, przybrały konsystencję gęstej cieczy.

Omam nie krzyknąłem, kiedy bolesny chłód, ostrzejszy od setek igieł, przeszył moją prawą dłoń, jakbym włożył ją do czegoś znacznie zimniejszego niż lodowata woda. Zdawało się, że od nadgarstka po czubki palców moja dłoń stanowi jedno z drzwi. Mimo że w sali było już dość ciemno, widziałem, że metalowa pokrywa jest na pół przezroczysta i że niczym w jakimś powolnym wirze obracają się w niej koliste prądy. Od szarej substancji drzwi odcinały się wyraźnie jasne kształty moich palców.

Przestraszony odsunąłem raptownie dłoń — i niemal w tej samej chwili drzwi znów stały się twarde.

Przypomniałem sobie, jak po raz pierwszy dojrzałem je tylko kątem oka, a gdy patrzyłem prosto na nie — znikwały. Nabierały więc realności stopniowo, przez jakiś czas, i prawdopodobnie tak samo się dematerializowały.

Bobby także musiał coś zauważyć, cofnął się bowiem o dwa kroki, jakby w obawie, że stał przybierze nagle formę wielkiego wiru i wciągnie go w niebyt.

Czy gdybym nie cofnął ręki na czas, złamałaby się w nadgarstku, zostawiając mnie z precyzyjnie uciętym, lecz obficie krwawiącym kikutem? Nie chciałem znać odpowiedzi.

Chłód opuścił moją dłoń, gdy tylko odsunąłem ją od drzwi,

nadal jednak oddychałem ciężko, przerażony i zaskoczony. Słyszałem, jak między kolejnymi oddechami wypowiadałem wciąż to samo obsceniczne słowo, jakbym został nagle ofiarą syndromu Tourette'a i miał już do końca życia wykrzykiwać tylko to jedno przekleństwo.

Posuwając się powoli wśród krwawych świateł i legionów skocznych cieni niczym astronauta podczas misji na planecie Piekło, skafander Hodgsona pokonał już połowę dzielącej go od nas odległości. Zostało mu tylko dwadzieścia stóp, on zaś sunął naprzód, najwyraźniej niezrażony moimi obelgami, pchany głodem niemal równie wyczuwalnym jak smród smoły i gnijącej roślinności, który wypełniał przed chwilą powietrze w jajowatej sali.

Zdesperowany Bobby uderzył kolbą karabinu w drzwi. Stal zadźwięczała jak wielki dzwon.

Nie próbował nawet mierzyć do Hodgsona. Zapewne i on doszedł do wniosku, że energia kuli uderzającej o ściany pomieszczenia uruchomi na nowo niesamowity proces i uwięzi nas tutaj na dłuższy czas.

Świetlne widowisko dobiegło wreszcie końca. Dokoła zapadła absolutna ciemność.

Gdybym mógł uspokoić oszalałe ze strachu serce i wstrzymać oddech, być może słyszałbym delikatne szuranie gumowych podeszew o szklaną podłogę, jednak w tej chwili byłem jednoosobową sekcją perkusyjną. Zapewne nie słyszałbym zbliżającego się skafandra Hodgsona, nawet gdyby ten bez ustanku walił w bęben.

Kiedy zgasły światła w szklistych ścianach, fantasmagoryczna

maszyna na pewno przestała działać, na pewno wróciliśmy wreszcie do rzeczywistości, na pewno Hodgson czy to, co w nim zamieszkało, zniknęło równie raptownie, jak się pojawiło, na pewno...

Bobby znów uderzył kolbą w drzwi. Tym razem nie odpowiedziały metalicznym brzękiem. Wydały płaski, głuchy ton, jakby Bobby uderzył młotkiem w kłoc drewna.

Może drzwi zmieniały się w procesie dematerializacji, nadal jednak blokowały wyjście. Nie mogliśmy ryzykować i przechodzić przez nie bez pewności, że nie znikną nagle akurat w chwili, gdy któryś z nas stanie w przejściu. Nie wiedzieliśmy przecież, czy w takiej sytuacji nie zabrałyby ze sobą części naszych ciał.

Zastanawiałem się, co może się stać, jeśli skafander Hodgsona złapie mnie za rękę w chwili, gdy zacznę znikać. Jeśli choć przez moment moja dłoń stopiłaby się w jedną całość z metalową pokrywą, być może jakaś część mnie utworzyłaby jedno ze skafandrem i rozedrganą masą w jego wnętrzu; bliski, zbyt osobisty kontakt mógłby na zawsze pozbawić mnie zdrowych zmysłów, nawet gdybym jakimś cudem wyszedł z tego bez jakichkolwiek fizycznych urazów.

Ciemność oblepiała mi oczy, naciskała na nie, jakbym znajdował się gdzieś głęboko pod wodą. Choć starałem się dojrzeć choćby najmniejszy ślad nadchodzącej postaci, byłem równie bezradny jak w korytarzu przy sali ze szkieletami szczurów.

Skojarzenie to przywiodło mi na myśl porywacza i jego twarz o białych zębach, twarz, której dotknąłem w ciemności.

Tak jak wtedy wyczuwałem przed sobą czyjąś obecność, tym razem jednak miałem ku temu bardziej oczywiste powody.

Po wszystkim, co wydarzyło się na tym dworcu Magicznego Pociągu, tym przedsionku piekła, wcale nie uważałem już moich lęków za produkt hiperaktywnej wyobraźni. Tym razem nie wyciągnąłem ręki, by udowodnić sobie, że moje obawy są bezpodstawne, gdyż wiedziałem, że dotknę gładkiej powierzchni szyby z pleksiglasu.

— Chris!

Omam nie podskoczyłem ze strachu, nim zrozumiałem, że ten głos należy do Bobby'ego.

— Twój zegarek — powiedział.

Elektroniczne cyfry odcinały się wyraźnie od otaczających nas ciemności. Kiedy spojrzałem na nie, migotały w szalonym tempie, odliczając kolejne godziny w ułamku sekundy. Litery w okienku daty zlewały się w jedną całość, przemierzając dni i miesiące.

Przeszłość ustępowała terażniejszości.

Do diabła, tak naprawdę wcale nie wiedziałem, co się tu dzieje. Może wcale nie rozumiałem tej sytuacji, może zagięcie w tkaninie czasu nie miało nic wspólnego z tym, co tu widzieliśmy. Może wszystko to były tylko halucynacje, bo ktoś dosypał nam do piwa LSD. Może byłem w domu, leżałem w przytulnym łóżeczku i śniłem. Może góra była dołem, a dół górą, może czarne było białe. Wiedziałem tylko, że to, co działo się teraz, było dobre, znacznie lepsze od nagłego uścisku istoty ukrytej w skafandrze Hodgsona.

Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście cofnęliśmy się w czasie

o ponad dwa lata, jeśli teraz zmierzaliśmy znów ku kwietniowej nocy, w której zaczęła się ta szalona przygoda, powinienem chyba czuć w sobie jakąś zmianę — ból w mięśniach, gorączkę wywołaną szalonym upływem godzin, uczucie powrotu do mojego rzeczywistego wieku, cokolwiek. Ale zjazd powolną windą wywarłby na mnie chyba większe wrażenie niż ta ekspresowa przejażdżka po szynach czasu.

Litery na moim zegarku zatrzymały się raptownie, wskazując kwiecień. Po sekundzie znieruchomiały także cyfry określające dzień i miesiąc, a tuż po nich godzina. Była 3:58.

Wróciliśmy.

— Cudownie — powiedział Bobby.

— Bosko — zgodziłem się z nim.

Pozostawało tylko pytanie, czy wraz z nami przeszedł do terażniejszości trzeci podróżnik, nasz robaczywy towarzysz w białym skafandrze, niepodobny do niczego, co Ciocia Em i jej rodzina mogły kiedykolwiek zobaczyć w Kansas.

Logika podpowiadała, że Hodgson zniknął w przeszłości.

Być może jednak logika nie miała nic wspólnego z całą tą sytuacją.

Wyciągnąłem latarkę z za pasa.

Nie chciałem jej zapalać, ale zapaliłem.

Skafander Hodgsona nie stał o krok przede mną, jak się obawiałem. Szybko omiotłem salę promieniem latarki i przekonałem się, że jesteśmy sami — przynajmniej w tej części pomieszczenia, do której docierało światło.

Stalowe drzwi zniknęły. Nie widziałem ich, kiedy patrzyłem prosto na otwór wejściowy ani kiedy zerkałem nań kątem oka.

Najwyraźniej szklana substancja stała się tak wrażliwa na światło, że wystarczył promień jednej latarki, by obudzić świetliste demony drzemiące w ścianach, na podłodze i suficie.

Natychmiast zgasilem latarkę i włożyłem ją za pas.

— Ruszajmy — rzuciłem.

— Już idziemy.

Kiedy dokoła znów zapadła ciemność, słyszałem, jak Bobby przesuwa się po omacku ku wyjściu, a potem przeciska przez krótki betonowy tunel.

— Spoko — powiedział.

Przykucnąwszy, przeszedłem do pomieszczenia, które niegdyś było służą.

Nie włączyłem latarki, dopóki nie wyszliśmy na korytarz, z dala od jajowatej sali. Bałem się, że nawet jeden zabłąkany promyczek znów powoła do życia upiory.

— Mówiłem ci, że zniknie — mruknął Bobby.

— Dlaczego ja kiedykolwiek wątpię w twoje słowa?

Nie odzywaliśmy się w drodze powrotnej przez trzy kondygnacje i całą długość hangaru. Kiedy stanęliśmy przy jeepie, niebo w całości przesłaniała gruba warstwa chmur.

15

Jechaliśmy na południowy zachód, przez Umarłe Miasteczko, obok magazynu, w którym spotkałem porywacza. Kiedy dotarliśmy do wyschniętego koryta Santa Rosita, Bobby wyłączył światła. W drodze przez Fort Wyvern łamaliśmy wszelkie zakazy, nie przestrzegaliśmy żadnego ograniczenia prędkości, ignorowaliśmy ostrzeżenia Wojskowej Komisji Obrony. Między siedzeniami tkwił karabin maszynowy, ja kryłem pod pachą naładowany pistolet, na który nie miałem zezwolenia, między stopami trzymałem pojemnik z piwem, w głowie zaś uwoziłem cały bagaż niepoprawnych politycznie poglądów, z których część pozostawała w niezgodzie z prawem. Byliśmy jak dwaj Clyde'owie bez Bonnie.

Bobby tak bardzo poszerzył dziurę w płocie, że przejeżdżając przez nią, nie musieliśmy nawet zwalniać. Zatrzymał się tuż za ogrodzeniem, wysiedliśmy z samochodu i ściągnęliśmy na miejsce odwinęte fragmenty siatki.

Wyrwa widoczna była z bliska, jednak jeśli ktoś stał w odległości większej niż piętnaście stóp od płotu, nie mógł dostrzec nic niezwykłego.

Nie chcieliśmy zostawiać po sobie wyraźnych śladów. Wkrótce

wrócimy tu tą samą drogą, potrzebny więc będzie łatwy dostęp do bazy.

Zdradzały nas oczywiście ślady opon odcisnięte w szlamie na dnie rzeki, tych jednak nie mogliśmy skutecznie zatrzeć. Cała nadzieja w tym, że bryza zamieni się w wiatr i zasypie ślady naszej bytności.

W ciągu kilku godzin zobaczyliśmy więcej, niż potrafiliśmy zrozumieć i przeanalizować — rzeczy, których z pewnością żaden z nas nie chciał nigdy doświadczyć. Wolelibyśmy uniknąć kolejnej wycieczki do tego gniazda koszmarów, jednak do czasu odnalezienia Jimmy'ego Winga i Orsona nie można było pozwolić sobie na taki luksus.

Teraz opuszczaliśmy bazę, bo znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Aby kontynuować poszukiwania, powinniśmy ułożyć plan dalszych działań. Poza tym, by zbadać choć część zakamarków Fortu Wyvern, powinno nas być więcej niż dwóch.

W dodatku zbliżał się już świt, a ja nie nosiłem stroju Człowieka Słonia z kapturem i woalką.

Suburban, który porywacz zaparkował przed ogrodzeniem, zniknął. Nie byłem tym zaskoczony. Na szczęście zapamiętałem wcześniej jego numery rejestracyjne.

Bobby podjechał do kępy martwych krzaków i drzew, leżących jakieś sześćdziesiąt stóp od płotu. Wyjąłem rower z kryjówki i położyłem go na tył jeepa.

Przejeżdżając bez świateł przez ciemny tunel pod autostradą numer 1, Bobby nacisnął mocniej pedał gazu. Pomruk silnika, odbity od betonowych ścian tunelu, powrócił do nas niczym echo odległej strzelaniny.

Przypomniałem sobie tajemniczą postać, którą widziałem wcześniej na zbiegu przy autostradzie, i w miarę jak zbliżaliśmy się do końca tunelu, narastał we mnie coraz większy niepokój. Kiedy wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń, zastygłem w oczekiwaniu na atak, jednak nic takiego się nie stało.

Sto jardów na zachód od autostrady Bobby zatrzymał się i wyłączył silnik.

Odkąd opuściliśmy korytarz przy jajowatej sali, żaden z nas się nie odezwał.

— Magiczny Pociąg — powiedział Bobby.

— Wszyscy na pokładzie.

— To nazwa jakiegoś projektu, prawda?

— Tak wynika z napisu na karcie identyfikacyjnej Lelanda Delacroix. — Wyciągnąłem kartę z kieszeni kurtki i przez chwilę obracałem ją w palcach, myśląc o martwym człowieku, otoczonym fotografiami swojej rodziny.

— Więc to ten projekt dał nam stado reżusów, retrowirusa i wszystkie te genetyczne świństwa. Mała gromadka twojej mamy.

— Może.

— Nie sądzę.

— Więc co?

— Twoja mama zajmowała się genetyką teoretyczną, tak?

— Tak, to moja mama. Boży czeladnik.

— Projektant wirusów, kreator stworzeń.

— Cennych dla medycyny małych stworzeń, łagodnych wirusów — powiedziałem.

— Z jednym wyjątkiem.

— Twój rodzice też mają się czym pochwalić — przypomniałem mu.

Z nutą nieszczerzej dumy odparł:

— O tak, zniszczyliby ten świat na długo przed tym, nim zrobiła to twoja mama, gdyby tylko ktoś dał im szansę.

Rodzice Bobby'ego byli właścicielami lokalnego dziennika „Moonlight Bay Gazette”, a ich religią była polityka, bogiem — władza. Bobby nie podzielał ich utopijnych poglądów, więc już wiele lat temu spisali go na straty. Najwyraźniej wiara w utopię wymaga absolutnej jedności myśli i celów, podobnej do tej, jaką prezentują pszczoły w ulu.

— Chodzi o to — mówił dalej Bobby — że w tym popieprzonym pałacu, wforcie... Oni nie przeprowadzali tam badań biologicznych, bracie.

— Hodgson miał na sobie skafander, a nie spodenki do tenisa — przypomniałem mu. — To było typowe ubranie ochronne. Miało chronić go przed szkodliwymi wirusami.

— To oczywiste, jasne. Ale sam powiedziałaś, że tego miejsca nie przeznaczono do zabaw z bakteriami.

— Rzeczywiście, nie było tam komór sterylizacyjnych — zgodziłem się. — Może z wyjątkiem tej śluzy przy jajowatej sali. Poza tym cały układ poziomów był zbyt otwarty jak na zespół laboratoriów.

— Ten dom wariatów, ta walnięta wulkaniczna lampa — to nie laboratorium.

— Mówisz o jajowatej sali?

— Nazywaj ją, jak chcesz. Na pewno nie było to laboratorium z tymi wszystkimi probówkami, tackami i klatkami pełnymi

białych myszek. Wiesz, co to było, bracie. Obaj wiemy.

— Myślałem o tym.

— Stacja przesyłowa — oświadczył Bobby.

— Stacja przesyłowa.

— Pompowali do tego pokoju wielkie ilości energii, sam nie wiem jak wielkie, a kiedy była już naładowana, rozpalona, wysyłała gdzieś Hodgsona. Hodgsona i kilku innych. Słyszeliśmy, jak wołali o pomoc.

— Dokąd ich wysyłała?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, Bobby wygłosił tajemniczą sentencję:

— *Carpe cerevisi.*

— Czyli?

— Korzystaj z piwa.

Wyciągnąłem butelkę z pojemnika z lodem i podałem mu. Po krótkiej chwili wahania otworzyłem następną dla siebie.

— Nieładnie pić i prowadzić — pogroziłem mu palcem.

— To apokalipsa. Nie ma żadnych zasad.

Pociągnąwszy długi łyk, oświadczyłem:

— Założę się, że Bóg lubi piwo. Oczywiście... miałby szofera.

Po obu stronach samochodu wznosiły się wysokie na dwadzieścia stóp betonowe nabrzeża. Niskie, zachmurzone niebo wydawało się twarde jak stal, ciężkie jak ołowiana pokrywa.

— Wysyłała dokąd? — powtórzyłem pytanie.

— Pamiętasz, co pokazywał twój zegarek.

— Może powinienem oddać go do naprawy.

— Mój też oszalał — przypomniał mi Bobby.

— Ano właśnie, od kiedy to nosisz zegarek?

— Odkąd po raz pierwszy w życiu poczułem upływ czasu — odparł, nawiązując nie tylko do własnej śmiertelności, ale i do faktu, że upływał czas nas wszystkich, czas świata takiego, jaki znamy. — Te zegarki, bracie, nienawidzę ich, nienawidzę wszystkiego, co się z nimi wiąże. Diabelskie mechanizmy. Ale ostatnio coraz częściej zastanawiam się, która godzina, choć nigdy dotąd mnie to nie obchodziło, i kiedy nie mogę znaleźć zegarka, zaraz się wściekam. Więc teraz noszę zegarek i jestem jak cała reszta świata, i czy to nie jest prawdziwa katastrofa?

— Jest.

— Jak najgorsze tornado.

— W jajowatej sali czas się pokręcił — powróciłem do głównego tematu.

— Bo ta sala to wehikuł czasu.

— Nie możemy tego zakładać.

— Ja mogę — odparł. — Jestem głupkiem, któremu bez trudu przychodzi zakładanie różnych rzeczy.

— Podróże w czasie są niemożliwe.

— To średniowieczne podejście, bracie. „Niemożliwe” to słowo, którym określali kiedyś samoloty, podróże na Księżyc, bomby atomowe, telewizję i sztuczne jaja bez cholesterolu.

— Zgoda, dla dobra dyskusji załóżmy, że jest to możliwe.

— Bo jest.

— Skoro chodziło tylko o podróż w czasie, to dlaczego nosili skafandry? Podróżnicy w czasie powinni chyba być dyskretni, a w tych strojach wybitnie rzucali się w oczy. Chyba że przenieśli się na zlot miłośników *Star Treka*, do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

— Ochrona przed nieznanymi chorobami — wyjaśnił Bobby. — Może atmosfera zawierała mniej tlenu albo była zanieczyszczona.

— Na zjeździe miłośników *Star Treka* w osiemdziesiątym?

— Dobrze wiesz, że przenosili się w przyszłość.

— Nie, nie wiem, i ty też tego nie wiesz.

— W przyszłość — upierał się Bobby, wzmocniony porcją piwa, które dodało mu wiary we własne zdolności. — Uznali, że będą potrzebować skafandrów ochronnych, bo... przyszłość może być zupełnie inna. No i rzeczywiście taka jest.

Choć księżyc skrył się już za horyzontem, delikatna srebrna poświata oświetlała dno rzeki. Mimo to kwietniowa noc była naprawdę ciemna.

Dawno temu w siedemnastym wieku, Thomas Fuller powiedział, że zawsze najciemniej jest tuż przed świtem. Ponad trzysta lat później wciąż miał rację, choć sam nie mógł się już o tym przekonać.

— Jak daleko w przyszłość? — spytałem, przypominając sobie nagle ciepłe, wilgotne powietrze, które niósł ze sobą wiatr w jajowatej sali.

— Dziesięć lat, sto, tysiąc. Jakie to ma znaczenie? Nieistotne, jak daleko się posunęli, ważne, że coś ich zabiło.

Nagle powróciły do mnie upiorne, przekazywane przez radio głosy; strach, wołanie o pomoc, przedśmiertne krzyki.

Wzdrygnąłem się. Pociągnąwszy kolejny łyk piwa, powiedziałem:

— Ta rzecz... rzeczy w skafandrze Hodgsona.

— To część naszej przyszłości.

— Na tym świecie nie istnieje nic podobnego.

— Jeszcze nie.

— Ale te stworzenia były takie dziwne... Cały system ekologiczny musiałby ulec zmianie. Radykalnej zmianie.

— Jeśli uda ci się znaleźć jakiegoś dinozaura, spytaj go, czy to możliwe.

Straciłem ochotę na piwo. Wystawiłem butelkę na zewnątrz jeepa, odwróciłem ją i pozwoliłem, by resztką piwa wylała się na ziemię.

— Nawet jeśli rzeczywiście to był wehikuł czasu — kontynuowałem dyskusję — to został przecież rozebrany. Więc Hodgson, który pojawił się znikąd, te znikające drzwi... wszystko, co nam się przytrafiło... Jak to się mogło wydarzyć?

— Istnieje zjawisko zwane efektem szczątkowym.

— Efekt szczątkowy.

— Tak jest, nieprawdopodobny, a jednak możliwy efekt szczątkowy.

— Wyciągasz silnik z forda, rozrywasz głowicę, wyrzucasz akumulator — i żadna siła, żaden efekt szczątkowy nie sprawi, żeby auto samo z siebie ruszyło kiedykolwiek z miejsca.

Wpatrując się w wyschnięte, lśniące koryto rzeki, jakby była to droga prowadząca prosto do naszej przedziwnej przyszłości, Bobby powiedział:

— Wyrwali dziurę w rzeczywistości. Może taka dziura nie da się nigdy załatać.

— Co to znaczy?

— To co znaczy.

— Zagadka.

— Mistyka.

Być może chodziło mu o to, że choć jego wyjaśnienie jest niejasne, choć ociera się o mistykę, to przynajmniej stanowi jakiś punkt odniesienia, coś, czego możemy się ucześcić, by nie stracić zmysłów, by zachować choć trochę wiary w rzeczywistość.

A może tylko kpił z mojego podejścia do świata — podejścia, którego nauczyła mnie poezja, ukochane wiersze ojca — przekonania, że wszyscy mówią metaforami i że świat jest zawsze bardziej skomplikowany, niż się wydaje.

Nie dałem mu tej satysfakcji i zapytałem, co właściwie miał na myśli.

— Więc oni nie wiedzieli o tym efekcie szczątkowym?

— Mówisz o tych mózgowcach, czarownikach, którzy prowadzili ten projekt?

— Tak, o ludziach, którzy to zbudowali, a potem rozebrali. Gdyby rzeczywiście był jakiś efekt szczątkowy, wysadziliby urządzenie w powietrze albo zalali betonem. Nie odeszliby tak po prostu i nie zostawili tej piekielnej maszyny na pastwę takich głupków jak my.

Bobby wzruszył ramionami.

— Może ten efekt nie ujawniał się wcześniej, dopiero po ich odejściu.

— A może mieliśmy halucynacje — zasugerowałem.

— Obaj?

— To możliwe.

— Identyczne halucynacje?

Nie miałem na to żadnej odpowiedzi, mruknąłem więc:

— Mistyka.

— Ezoteryka.

Nie zamierzałem się nad tym zastanawiać.

— Skoro Magiczny Pociąg był projektem dotyczącym podróży w czasie, to nie miał nic wspólnego z pracą mojej mamy.

— Więc?

— Więc jeśli nie miał nic wspólnego z mamą, to dlaczego ktoś zostawił dla mnie tę czapkę w jajowatej sali? Dlaczego innym razem zostawił jej zdjęcie w śluzie? Dlaczego włożył za wycieraczkę kartę identyfikacyjną Lelanda Delacroix i wysłał nas tam tej nocy?

— Dużo masz jeszcze tych pytań?

Bobby dopił swojego heinekena, a ja wsadziłem puste butelki do pojemnika z lodem.

— Może nie mamy pojęcia o większości rzeczy, którymi się teraz martwimy — powiedział Bobby w zamyśleniu.

— To znaczy?

— Może całe zło, jakie wydarzyło się w Wyvern, zaczęło się w laboratoriach genetycznych, może to teorie twojej mamy doprowadziły do tego bałaganu, właśnie tak, jak myśleliśmy. A może nie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że moja mama nie zniszczyła świata?

— Cóż, możemy być pewni, że się do tego przyczyniła, bracie. Nie mówię, że twoja mama była byle kim.

— Gracias.

— Z drugiej strony, może stanowiła tylko część tego wszystkiego, i to mniej ważną.

Po śmierci mojego ojca, który zmarł na raka miesiąc wcześniej

— jestem pewien, że nowotwór został sztucznie wywołany — znalazłem sporządzony jego ręką opis wszystkich eksperymentów, jakich dokonywano w laboratoriach Wyvern, i ich fatalnego końca.

— Widziałeś, co napisał mój tato.

— Może nie znał jednak całej historii.

— On i mama nie mieli przed sobą sekretów.

— Tak, jasne, jedna dusza w dwóch ciałach.

— To prawda — odparłem, urażony jego sarkazmem.

Spojrzał na mnie, skrzywił się i ponownie wpatrzył się w koryto rzeki.

— Przepraszam, Chris. Oczywiście, masz rację. Twoi rodzice nie byli tacy jak moi. Byli... wyjątkowi. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, żałowałem, że jesteśmy tylko najlepszymi przyjaciółmi. Chciałem, żebyśmy byli braćmi, żebym mógł mieszkać z twoimi rodzicami.

— Jesteśmy braćmi, Bobby.

Skinął głową.

— Łączą nas rzeczy ważniejsze niż krew — dodałem.

— Nie rozpędzaj się za bardzo.

— Przepraszam. Ostatnio jem za dużo cukru.

Są prawdy, o których nigdy nie rozmawiamy z Bobbym, bo żadne słowa nie są w stanie dobrze ich opisać. Ubierając je w konkretne wyrazy, spłaszczylibyśmy je, odebrali im część ich mocy. Jedną z tych prawd jest głęboka i święta natura naszej przyjaźni.

— Chodzi mi o to, że być może twoja mama też nie wiedziała wszystkiego. — Bobby powrócił do poprzedniego tematu. — Nie

wiedziała o projekcie Magiczny Pociąg, który narobił może jeszcze większych szkód niż jej eksperymenty.

— To pocieszające. Ale jakich to szkód miałby narobić?

— Nie jestem Einsteinem, bracie. Moja mózgowica jest już całkiem pusta.

Uruchomił silnik i samochód ruszył w dół rzeki, wciąż ze zgaszonymi światłami.

— Chyba wiem, czym jest Wielki Łeb — powiedziałem.

— Oświeć mnie.

— To jeden z członków drugiego stada.

Pierwsze stado uciekło z laboratoriów Wyvern tamtej pamiętnej nocy przed dwoma laty i okazało się tak sprytne, że wszelkie próby odszukania upartych małąp spełzły na niczym. Naukowcy chcieli koniecznie schwytać zbiegłe zwierzęta, nim te rozmnożą się nadmiernie, wypuścili więc ich śladem drugie stado, wychodząc z założenia, że do odszukania małąp trzeba innej małąp.

Członkowie owej drugiej grupy mieli wszczepione pod skórę mininadajniki, dzięki którym można ich było w każdej chwili namierzyć i zniszczyć wraz z małąpami z pierwszego stada. Choć teoretycznie zwierzęta nie były świadome tego, że zostały poddane drobnej manipulacji, zaraz po wypuszczeniu z laboratoriów wygryzły sobie nawzajem nadajniki i uwolniły się spod kłopotliwej opieki.

— Myślisz, że Wielki Łeb był małąpą? — spytał z niedowierzaniem Bobby.

— Radykalnie odmienioną małąpą. Może nie do końca rezusem. Może częściowo jest pawianem zielonym.

— A częściowo krokodylem — parsknął Bobby. Potem zmarszczył brwi. — Myślałem, że drugie stado lepiej zmodyfikowano. Mały miały być łagodniejsze.

— I co z tego?

— Wielki Łeb nie przypomina miłego koteczka. To zwierzę stworzone do walki.

— Nie zaatakował nas.

— Bo był dość bystry i domyślił się, co może mu zrobić karabin maszynowy.

Przed nami pojawiła się pochylnia, po której kilka godzin wcześniej zjeżdżałem na rowerze z Orsonem u boku. Bobby skręcił w jej stronę.

Przypominając sobie zwierzę siedzące na dachu bungalowu i sposób, w jaki zasłaniało przed nami twarz, powiedziałem:

— Moim zdaniem to nie jest zabójca.

— Tak, a jego kły służą do otwierania konserw.

— Orson też ma wielkie kły, a nie jest zabójcą.

— O tak, przekonałeś mnie, bez dwóch zdań. Najlepiej zaprosimy Wielki Łeb na imprezę. Narobimy popcornu, zamówimy pizzę, zawiniemy włosy na wałki i pogadamy o chłopakach.

— Dupek.

— Przed minutą byliśmy braćmi.

— To było przed minutą.

Bobby wyjechał na pochylnię, minął znaki ostrzegające przed porywistym nurtem, przeciął pas pustej ziemi i wjechał na ulicę, gdzie wreszcie włączył światła. Jechał w stronę domu Lilly Wing.

— Myślę, że ja i Pia znów będziemy razem — powiedział,

mając na myśli Pię Klick, artystkę i największą miłość jego życia, dziewczynę, która wierzy, że jest wcieleniem Kaha Huny, bogini surferów.

— Ona mówi, że jej domem jest Waimea — przypomniałem mu.

— Ściągnę ją tutaj specjalnym zaklęciem.

Matka Ziemia obracała się niestrudzenie, przybliżając nas z każdą chwilą do świtu. Ulice Moonlight Bay były ciche i puste; bez trudu można by sobie wyobrazić, że podobnie jak Umarłe Miasteczko zamieszkują je tylko duchy i trupy.

— Zaklęcie? Znowu bawisz się w voodoo? — spytałem.

— To freudowskie zaklęcie.

— Pia jest za sprytna. Nie da się nabrać na coś podobnego — zawyrokowałem.

Choć od trzech lat, to jest, odkąd wyjechała na Hawaje w poszukiwaniu samej siebie, Pia zachowywała się jak opętana, nie była wcale głupia. Nim poznała Bobby'ego, skończyła z wyróżnieniem uniwersytet stanu Kalifornia. Jej dziwaczne, hiperrealistyczne obrazy sprzedawały się za grube pieniądze, a artykuły, które zamieszczała w różnych specjalistycznych pismach traktujących o sztuce, były wnikliwe i naprawdę świetnie napisane.

— Chcę powiedzieć jej o mojej nowej dwuosobowej desce — kontynuował Bobby.

— Aha. I dasz jej przez to do zrozumienia, że jest jakaś laska, z którą pływasz w tandemie.

— Naprawdę potrzebujesz transfuzji rzeczywistości, bracie. Pią nie można manipulować w ten sposób. Powiem jej, że mam

dwuosobową deskę i że czekam na nią.

Odkąd medytacje Pii doprowadziły ją do odkrycia, że jest reinkarnacją Kaha Huny, uznała, że kontakty cielesne ze zwykłymi śmiertelnikami byłyby świętokradztwem, to zaś oznaczało, że spędzi resztę życia w celibacie. Bobby był załamany.

Promyk nadziei pojawił się w chwili, gdy Pia uświadomiła sobie, że Bobby jest wcieleniem Kahuny, hawajskiego boga surferów. Legenda Kahuny, będąca tworem współczesnego pokolenia surferów, oparta jest na faktach z życia pewnego znachora, który z boskością miał tyle wspólnego co wasz miejscowy kręgarz. Niemniej Pia twierdzi, że Bobby, będąc jednocześnie Kahuną, jest jedynym mężczyzną na całym świecie, z którym ona, bogini, może się kochać. By jednak powrócić do przerwane go związku, Bobby musi uznać swoją prawdziwą, nieśmiertelną naturę i stawić czoło losowi.

Wtedy pojawił się nowy problem; z niewiadomych przyczyn — może egzystowanie pod postacią zwykłego śmiertelnika napełniało go nieuzasadnioną dumą, a może dała o sobie znać jego uparta natura — Bobby nie chciał przyznać, że jest jedynym i prawdziwym bogiem surferów.

W porównaniu z trudnościami, jakie stają na przeszkodzie współczesnym kochankom, problemy Romea i Julii są doprawdy śmieszne.

— Więc w końcu zgodzisz się, że jesteś Kahuną — powiedziałem, kiedy pięliśmy się krętymi uliczkami na wyżej położone partie miasta.

— Nie. Zrobię to inaczej. Nie powiem, że nie jestem Kahuną.

Stworzę atmosferę tajemnicy. Kiedy poruszy ten temat, będę się tylko znacząco uśmiechał. Sama musi dopowiedzieć sobie resztę.

— To nie wystarczy.

— Jest coś jeszcze. Opowiem jej jeszcze o śnie, w którym widziałem ją ubraną w przepiękne, złoto-niebieskie *holoku*, lewitującą nad wielkimi, smakowitymi falami. W tym śnie powiedziała do mnie *Papa he'e nalu*, co po hawajsku oznacza deskę surfingową.

Jechaliśmy przez dzielnicę mieszkaniową, dwie przecznice na południe od Ocean Avenue, głównej arterii przecinającej Moonlight Bay ze wschodu na zachód. Nagle zza rogu wyłonił się jakiś samochód, zmierzający w naszym kierunku. Był to najnowszy model chevroleta, beżowy albo biały, z kalifornijską rejestracją.

Zamknąłem oczy, by ochronić je przed światłem samochodowych reflektorów. Chciałem pochylić się albo ześlizgnąć z fotela, by osłonić także twarz, jednak taki gest z pewnością ściągnąłby na mnie uwagę kierowcy nadjeżdżającego auta.

Kiedy chevrolet mijał naszego jeepa, a jego światła nie stanowiły już dla mnie zagrożenia, otworzyłem oczy i zobaczyłem dwóch mężczyzn na przednich siedzeniach i jednego z tyłu. Wszyscy potężnie umięśnieni, w czarnych ubraniach. Twarze mieli całkowicie nieruchome, wiedziałem jednak, że są nami zainteresowani. Pozbawione wyrazu oczy były zimne i bezlitosne. Patrzyli na nas.

Nie wiadomo dlaczego pomyślałem nagle o ciemnej postaci, jaką widziałem w pobliżu autostrady, nad tunelem.

Kiedy chevrolet zniknął za nami, Bobby mruknął:

— Profesjonalne mięśniaki.

— Ktoś będzie miał kłopoty — zgodziłem się.

— Równie dobrze mogliby wypisać to sobie na czołach.

Obserwując w lusterku wstecznym oddalający się samochód, powiedziałem:

— Chyba nie chodzi im o nas. Ciekawe, czego szukają.

— Może Elvisa.

Kiedy chevy schował się wreszcie za zakrętem, podjąłem przerwany temat:

— Więc powiesz jej, że w tym twoim śnie lewitowała nad falami i mówiła *Papa he'e nalu*.

— Zgadza się. We śnie mówi mi też, że muszę zdobyć deskę, na której moglibyśmy razem pływać. Uznałem, że to proroczy sen, no i zdobyłem taką deskę, a teraz czekam na nią.

— Co za bzdura — parsknąłem, poddając opowieść Bobby'ego przyjacielskiej krytyce.

— To prawda. Ja naprawdę miałem taki sen.

— Akurat.

— A jednak. Właściwie ten sen powtarzał się przez trzy noce z rzędu, co dało mi trochę do myślenia. Powiem jej to wszystko, a ona zinterpretuje to, jak zechce.

— A ty będziesz się wtedy otaczał mgiełką tajemnicy, nie przyznając, że jesteś Kahuną, ale prezentując boską charyzmę.

Wyglądał na zmartwionego. Zatrzymał się przed znakiem stopu, choć dotąd ignorował wszystkie.

— Zgadza się — przyznał. — Myślisz, że mi się nie uda?

Jeśli chodzi o charyzmę, Bobby jest kimś naprawdę

wyjatkowym; posiada tak wielkie ilości tego cennego towaru, że mógłby obdzielić nim połowę mieszkańców naszego stanu.

— Bracie — uśmiechnąłem się — masz tyle charyzmy, że gdybyś chciał stworzyć kult samobójstwa, tysiące ludzi ze śpiewem na ustach maszerowałyby prosto w przepaść.

To mu wyraźnie pochlebiło.

— Tak? Nie nabijasz się ze mnie?

— Ani myślę — zapewniłem go.

— *Mahalo*.

— Proszę bardzo. Tylko jedno pytanie.

Kiedy oddaliśmy się od znaku, Bobby powiedział:

— Pytaj.

— Dlaczego nie powiesz po prostu, że zdecydowałeś się zostać Kahuną?

— Nie mogę okłamywać Pii. Kocham ją.

— To nieszkodliwe kłamstwo.

— Okłamujesz Sashę?

— Nie.

— A ona ciebie?

— Sasha nie okłamuje nikogo.

— Widzisz. Pomiedzy zakochanym mężczyzną i kobietą żadne kłamstwo nie jest nieszkodliwe.

— Znów mnie zaskakujesz.

— Mądrością?

— Nie, mięciutkim serduszkim pluszowego misia.

— Uściśnij mnie, a ja zaśpiewam ci *Feelings*.

— Trzymam cię za słowo.

Byliśmy już tylko o kilka przecznic od domu Lilly Wing.

— Zajedź od tyłu, przez aleję — poprosiłem.

Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby czekał tam na nas samochód policyjny albo kolejny chevrolet z wielkimi mężczyznami o zimnych oczach, ale alejka była pusta. Przed garażem Lilly stał ford explorer Sashy Goodall. Bobby zaparkował tuż za nim.

Za szpalerem wielkich eukaliptusów po wschodniej części ulicy ciągnął się dziki wąwóz, okryty teraz gęstą zasłoną mroku. Równie dobrze mogła kryć się tam ogromna przepaść, wielkie czarne morze, koniec ziemi czy bezdenna otchłań.

Kiedy wysiadłem z samochodu, przypomniałem sobie, jak dobry Orson biegał wśród chaszczy na skraju wąwozu, poszukując śladów Jimmy’ego, jak popiskiwał radośnie, gdy natrafił na trop. Jak bez wahania ruszył w pogoń za porywaczem.

Zaledwie kilka godzin temu, a jednak całe wieki.

Czas stracił swoją ciągłość nawet tutaj, daleko za ścianami jajowatej sali.

Na myśl o Orsonie moje serce zmroził straszliwy, bolesny chłód, przez moment nie mogłem oddychać.

Przed oczami znów stanął mi obraz sprzed ponad dwóch lat, nikły płomyk świecy w poczekalni Szpitala Miłosierdzia, gdzie wraz z ojcem czekałem na przyjazd karawanu, który miał zabrać ciało matki do Domu Pogrzebowego Kirka. Czułem się wtedy tak, jakby przez jej śmierć moje własne ciało zostało zniszczone, złamane. Bałem się ruszyć, otworzyć usta, nie wiedziałem, czy nie rozlecę się na kawałki, jak porcelanowa figurka pod uderzeniem młotka. Zobaczyłem też szpitalną salę, w której leżał mój ojciec. Zaledwie miesiąc temu. Tę straszliwą noc. Ostatnią.

Trzymałem go za rękę, pochylałem się nad łóżkiem, by usłyszeć ostatnie słowa ojca: „Nie bój się niczego, Chris, nie bój się”. Potem jego dłoń zwiotczała. Pocałowałem go w czoło, w zarośnięty policzek. Ponieważ sam jestem chodzącym cudem i pomimo XP już dwadzieścia osiem lat żyję na tym świecie cały i zdrowy, wierzę mocno w cuda, w ich realność, wierzę, że ich potrzebujemy i że czasami są nam zsyłane. Dlatego wciąż mocno ściskałem dłoń ojca, całowałem nieogoloną twarz ciepłą jeszcze od gorączki i czekałem na cud; żądałem go niemal. Dobry Boże, pragnąłem, by ojciec wstał z łóżka niczym Łazarz, bo jego śmierć napełniała mnie bólem nie do zniesienia, bo świat bez niego wydawał mi się niewyobrażalnie pusty i zimny, bo nie widziałem dla siebie miejsca w takim świecie. Wierzyłem, że Bóg musi okazać mi litość, więc choć doznałem już od niego wielu łask, prosiłem o następną, jeszcze jedną. Modliłem się, błagałem, układałem z Bogiem, ale w naturze panuje porządek, który ważniejszy jest od naszych pragnień i w końcu musiałem się z tym pogodzić, musiałem uznać tę gorzką prawdę i wypuścić dłoń ojca ze swojej dłoni.

Teraz stałem bez tchu w pustej alei, porażony strachem, że znów będę musiał zostawić za sobą ukochaną osobę, że przeżyję Orsona, mojego brata, tę wyjątkową i dobrą duszę, dla której świat był jeszcze bardziej obcy niż dla mnie. Gdyby miał umrzeć samotnie, bez krzepiącego uścisku przyjaciela, bez kojącego głosu, który mówiłby mu, że jest kochany i potrzebny, już do końca życia prześladowałaby mnie dręcząca myśl o jego cierpieniu i rozpacz, o ostatnich chwilach przeżytych w samotności.

— Bracie — powiedział Bobby, kładąc mi dłoń na ramieniu i ściskając łagodnie. — Wszystko będzie dobrze.

Nie wypowiedziałem ani słowa, ale Bobby świetnie wiedział, jakie obawy kazały mi przystanąć w ciemnej alei, jakie myśli kłębiły się w mojej głowie, kiedy wbijałem wzrok w mrok za szpalerem drzew eukaliptusowych.

Nagle odzyskałem zdolność oddychania, a wraz z nią powróciła do mnie dzika nadzieja; nadzieja, która łamie serce, gdy nie zostaje spełniona, nadzieja będąca szaloną i irracjonalną pewnością — choć tu, na końcu świata, nikt nie miał prawa do takiej pewności. Wierzyłem, że znajdziemy Jimmy'ego Winga i Orsona żywych i całych. Wierzyłem, że ci, którzy chcieli im zrobić krzywdę, skończą w piekle.

16

Minąłem drewnianą furtkę, przeszedłem wąską kamienną ścieżką i znalazłem się na podwórku, gdzie aromat jaśminu był gęsty niczym dym z kadzidła, cały czas zastanawiałem się, jak przekazać Lilly Wing choć część tej nowo nabytej wiary w cudowne odnalezienie jej syna, całego i zdrowego. Nie miałem właściwie żadnych argumentów, którymi mógłbym podeprzeć tak optymistyczną konkluzję. Gdybym opisał jej choć część tego, co wraz z Bobbym widzieliśmy w Wyvern, z pewnością całkiem straciłaby nadzieję.

Nad drzwiami frontowymi świeciły mocne lampy, jednak w położonej na tyłach budynku kuchni, tam gdzie oczekiwano na mój powrót, płonęła tylko jedna świeczka.

Sasha czekała na nas na werandzie, przy tylnym wejściu. Musiała siedzieć w kuchni, kiedy usłyszała nadjeżdżającego jeepa.

Obraz Sashy, który noszę w duszy, jest wyidealizowany, a jednak za każdym razem, kiedy widzę ją po dłuższym rozstaniu, wydaje mi się jeszcze piękniejsza. Wprawdzie moje oczy przywykły ponownie do mroku, jednak na werandzie było tak ciemno, że nie mogłem dojrzeć nawet jej świetlistych szarych

oczu, mahoniowej poświaty na włosach ani delikatnych piegów na skórze. Mimo to wydawało mi się, że świeci w ciemnościach.

Objęliśmy się czule, a Sasha wyszeptała:

— Cześć, Snowman.

— Cześć.

— Jimmy?

— Jeszcze nie — odparłem, także szeptem. — Zniknął też Orson.

Uścisnęła mnie mocniej.

— W Wyvern?

— Tak.

Pocałowała mnie w policzek.

— Orson to nie tylko wielkie serce i merdający ogon, to twardziel. Poradzi sobie.

— Wrócimy po nich.

— Jasne, że wrócicie. I ja z wami.

Sasha jest piękna, ale nie tylko — a może nawet nie przede wszystkim — pięknem fizycznym. W jej twarzy widzę także mądrość, współczucie, odwagę, wieczną chwałę. To inne, wewnętrzne piękno — które kryje najgłębszą prawdę o jej naturze — podtrzymuje mnie na duchu w chwilach zwątpienia i rozpacz, tak jak inne prawdy pomagają trwać w wierze kapłanom dręczonym przez tyranów. Nie wydaje mi się, by porównanie piękna Sashy do bożej łaski było świętokradztwem, gdyż jedno jest odbiciem drugiego. Bezinteresowna miłość, którą obdarzamy innych, miłość tak wielka, że gotowi jesteśmy oddać życie za naszych ukochanych — tak jak Sasha oddałaby życie za mnie, jak ja poświęciłbym się dla niej — jest wystarczającym

dowodem na to, że ludzie nie są po prostu zwierzętami o niezwykle rozrośniętym mózgu; nosimy w sobie iskrę boskości, i jeśli zechcemy to uznać, nasze życie nie będzie pozbawione znaczenia, godności, nadziei. W Sashy płonie właśnie taka iskra, ale jej jasne światło uleczają mnie, a nie rani.

Sasha uściskała serdecznie Bobby'ego, a potem spojrzała na karabin, który trzymał w dłoni.

— Lepiej zostaw to tutaj — wyszeptała. — Lilly jest trochę roztrzęsiona.

— Ja też — mruknął Bobby.

Położył karabin na huśtawce, zawieszanej pod werandą. Smith & Wesson nadal tkwił za jego pasem, zakryty hawajską koszulą.

Sasha miała na sobie niebieskie dżinsy, sweter i obszerną dżinsową kurtkę. Kiedy mnie obejmowała, wyczułem kaburę z pistoletem, ukrytą pod lewym ramieniem.

Ja miałem swojego Glocka.

Gdyby ołowiane pociski niszczyły retrowirusa wyhodowanego przez moją mamę, ten znalazłby w nas godnych przeciwników, koniec świata zostałby odwołany, a my wszyscy leżelibyśmy na plaży.

— Gliny? — spytałem Saszę.

— Byli tu. Już pojechali.

— Manuel? — Miałem na myśli Manuela Ramireza, miejscowego szeryfa. Manuel był kiedyś moim przyjacielem, nim dał się skusić zbrodniarzom z Wyvern.

— Tak. Kiedy mnie tutaj zobaczył, miał taką minę, jakby zjadł funt cytryn.

Sasha zaprowadziła nas do kuchni. Panowała tu cisza tak

głęboka, że odgłos naszych kroków wydawał się równie donośny jak stukot wielkich drewnianych chodaków o metalowy dach. Przygnębienie i niepokój Lilly udzielały się całemu otoczeniu, przykrywały ten skromny domek całunem smutku, jak gdyby śmierć Jimmy'ego była już przesądzona.

Ze względu na moją ułomność jedynym źródłem światła były lśniąca cyfry na zegarku elektronicznym, maleńki gazowy płomień pod czajnikiem z herbatą i płomyki dwóch grubych świec. Świece ustawione w białych spodkach na stoliku wydzielały przyjemny waniliowy zapach, niestosownie radosny w tym mrocznym miejscu i w tych ponurych okolicznościach.

Niewielki stolik stał przy oknie, dlatego pozostawało miejsce tylko dla trzech krzeseł. Ubrana w te same dżinsy i flanelową koszulę, które miała na sobie kilka godzin temu, Lilly siedziała przy stole, twarzą ku drzwiom.

Bobby stanął przy wejściu, obserwując podwórze, a Sasha podeszła do piecyka, by sprawdzić, czy woda w czajniku już się zagotowała.

Przyciągnąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciwko Lilly. Rozdzielały nas świeczki ustawione w spodkach, więc przesunąłem je na bok.

Lilly siedziała nieruchomo, opierając ręce o blat stołu.

— Borsuczku — powiedziałem cicho.

Ze ściągniętymi brwiami, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, patrzyła na swoje złączone dłonie z taką uwagą, jakby chciała odczytać przyszłość swego dziecka z układu zbiegających kostek, szczupłych palców czy nabrzmiąłych żył, jakby jej ręce były kartami tarota czy pałeczkami I Ching.

— Nigdy nie przestanę — obiecałem jej.

Nie musiała mnie o nic pytać, by wiedzieć, że nie znalazłem jeszcze jej syna. Zachowywała się tak, jakby mnie tu w ogóle nie było.

— Przegrupujemy się, sprowadzimy więcej ludzi, wrócimy tam i znajdziemy go — obiecywałem lekkomyślnie.

Wreszcie podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Ta noc bezlitośnie ją postarzyła. Nawet w litościwym świetle świec wyglądała na wymizerowaną i znużoną, jakby los gnębił ją przez długie lata, a nie przez jedną noc. W migotliwym blasku jej blond włosy wydawały się siwe. Błękitne oczy, kiedyś tak żywe i radosne, pociemniały ze smutku, strachu i bezsilnej złości.

— Mój telefon nie działa — powiedziała Lilly spokojnym, beznamiętnym głosem, który nie licował zupełnie z burzą uczuć kryjących się w jej oczach.

— Twój telefon? — Przez moment myślałem, że postradała zmysły z rozpaczy.

— Kiedy gliniarze sobie poszli, zadzwoniłam do mamy. Wyszła za męża. Trzy lata po śmierci taty. Mieszka w San Diego. Nie zdążyłam z nią porozmawiać. Włączyła się jakaś kobieta. Powiedziała, że rozmowy pozamiejscowe nie mogą być zrealizowane. Czasowo. Że jest jakaś awaria. Kłamała.

Byłem zdumiony, niemal zszokowany dziwacznym, zupełnie nietypowym dla niej sposobem mówienia; wyrzucała z siebie krótkie zdania, pojedyncze frazy. Wydawało się, że nie jest w stanie się skoncentrować, że potrafi połączyć ze sobą tylko kilka słów, wydzielając poszczególne informacje, jakby bała się, że wypowiadając dłuższe zdanie, straci kontrolę nad własnym

głosem, że podda się potężnej fali uczuć, wybuchnie płaczem i wpadnie w histerię.

— Skąd wiesz, że kłamała? — spytałem, kiedy Lilly umilkła.

— To nie był nikt z obsługi. Słyszałam to. Nie miała odpowiedniego głosu. Odpowiedniego tonu. Podejścia. One wszystkie mówią tak samo. Są wyszkolone. To był ktoś z zewnątrz.

Ruchy jej oczu odpowiadały rytmowi mowy. Spoglądała na mnie co chwila, jednak szybko odwracała wzrok; przepełniony poczuciem winy i bezradności, zakładałem, że nie może na mnie patrzeć, bo ją zawiodłem. Kiedy odrywała spojrzenie od swych zaciśniętych dłoni, nie potrafiła patrzeć na cokolwiek dłużej niż przez kilka sekund, być może dlatego, że każdy przedmiot w kuchni przywodził jej na myśl Jimmy'ego; wspomnienia, które mogły doprowadzić ją do szaleństwa.

— Więc chciałam zadzwonić tutaj. Do mamy Bena. Mojego męża. Babci Jimmy'ego. Mieszka po drugiej stronie miasta. Nie było sygnału. Teraz telefon w ogóle nie działa. W ogóle.

Z drugiego końca kuchni dobiegał szcęk łyżeczek i porcelanowych filiżanek. To Sasha przygotowywała herbatę.

— Ci gliniarze też nie byli prawdziwymi gliniarzami — mówiła dalej Lilly. — Wyglądali jak gliniarze. Mundury. Odznaki. Pistolety. Ludzie, których znam od lat. Manuel. On wygląda jak Manuel. Ale nie zachowuje się już jak Manuel.

— Co się zmieniło?

— Zadali kilka pytań. Zapisali coś w notesach. Zrobili odcisk podeszwy. Ze śladu pod oknem Jimmy'ego. Zebrali odciski palców, ale nie wszędzie, gdzie powinni. To nie było prawdziwe

ani dokładne. Nie znaleźli nawet kruka.

— Kruka?

— Oni... w ogóle ich to nie obchodziło — kontynuowała Lilly, jakby nie słyszała mojego pytania, jakby starała się zrozumieć ich obojętność. — Lou, mój teść, był kiedyś gliniarzem. Bardzo dokładnym. I zawsze go to obchodziło. Ale co on ma z tym wspólnego? On był dobrym gliniarzem. Dobrym człowiekiem. Zawsze się starał. Nie tak jak... oni.

Spojrzałem na Saszę, oczekując jakiegoś wyjaśnienia w sprawie kruka i Louisa Winga. Sasha skinęła lekko głową, co oznaczało, że wszystko rozumie i wyjaśni mi to potem, jeśli wcześniej nie zrobi tego sama Lilly.

Odgrywając adwokata diabła, zwróciłem się do Lilly:

— Policjanci muszą być obojętni, nie mogą angażować się emocjonalnie, jeśli mają dobrze wykonywać swoją pracę.

— Nie chodzi o to. Będą szukać Jimmy'ego, prowadzić śledztwo. Będą się starać. Myślę, że będą. Ale oni też... rozkazywali mi.

— Rozkazywali?

— Kazali nic nie mówić. Nikomu. Przez dwadzieścia cztery godziny. Mówili, że to dla dobra śledztwa. Że porwania dzieci przerażają ludzi. Ludzie wpadają w panikę. Na posterunkach urywają się telefony. Policjanci nie robią nic innego, tylko uspokajają rodziców. Nie mogą normalnie pracować. Nie mogliby szukać Jimmy'ego. Gówno prawda. Nie jestem głupia. Odchodzę tu od zmysłów, odchodzę od zmysłów... ale nie jestem głupia. — Omal nie straciła panowania nad sobą, wzięła głęboki oddech i dokończyła tym samym, beznamiętnym tonem: — Po

prostu chcą, żebym się zamknęła. Na dwadzieścia cztery godziny. A ja nie wiem dlaczego.

Ja rozumiałem, dlaczego Manuel chce zamknąć jej usta na kilka najbliższych godzin. Potrzebował czasu, by dowiedzieć się, czy to zwykłe przestępstwo, czy też powiązane jest jakoś z Wyvern, bo w tym drugim przypadku musiałby je ukryć. Na razie łudził się nadzieją, że porywacz to jakiś zwykły socjopata, pedofil albo satanista, a może ktoś, kto ma osobiste porachunki z Lilly. Jednak przestępca mógł też ulegać przemianie, być człowiekiem, którego DNA zostało zakłócone przez agresywnego retrowirusa, którego psychika także ulegała degradacji, a ludzkie uczucia ginęły przytłoczone masą zupełnie obcych potrzeb i pragnień, gorszych od instynktów najgroźniejszej bestii. A może ów ktoś powiązany był z Wyvern w jeszcze inny sposób — w te dni wiele tajemniczych i smutnych wydarzeń w Moonlight Bay miało swe źródło w tym nawiedzonym miejscu otoczonym siatką i drutem kolczastym.

Gdyby porywacz Jimmy'ego uległ przemianie, z pewnością nigdy nie stanąłby przed sądem. Gdyby policjantom udało się go pochwycić, zostałby odesłany do ukrytych głęboko pod ziemią laboratoriów w Wyvern — jeśli te, zgodnie z naszymi podejrzeniami, nadal działały — albo przetransportowany do podobnej, równie tajnej placówki w innej części kraju, tam zaś stałby się obiektem testów i badań prowadzonych przez naukowców, którzy desperacko szukali jakiegoś lekarstwa. W takim wypadku Lilly byłaby zmuszona uznać spreparowaną przez władzę historię uprowadzenia, i prawdopodobnie śmierci, jej syna. Gdyby zaś nie udało się jej przekonać ani zastraszyć,

zostałaby zabita albo osadzona na oddziale psychiatrycznym Szpitala Miłosierdzia, w imię bezpieczeństwa państwa i dobra ogółu — choć w rzeczywistości stałaby się tylko ofiarą przestraszonych oficjeli, którzy sprowadzili na nas to nieszczęście, a teraz drżą o własną skórę.

Sasha podeszła do stołu z filiżanką herbaty i postawiła ją przed Lilly. Podąła też spodek z plasterkiem cytryny, porcelanowy komplet z cukrem i mlekiem oraz małą łyżeczkę.

Zamiast ściągnąć nas na ziemię, poczynania Sashy i ułożone przed nami przedmioty nadały rzeczywistości wymiar snu, iluzji. Gdyby nagle przysiadła się do nas Alicja z Białym Królikiem, wcale nie byłbym zaskoczony.

Najwyraźniej Lilly poprosiła wcześniej o herbatę, jednak teraz chyba jej nawet nie zauważyła. Siła tłumionych przez nią emocji stawała się tak widoczna, że nie wierzyłem, by była w stanie utrzymać je w ryzach choćby chwilę dłużej. Jednak Lilly mówiła nadal beznamiętnym tonem:

— Telefon nie działa. Dobrze. A jeśli pojedę do mojej teściowej? Żeby powiedzieć jej o Jimmym. Ktoś mnie zatrzyma? Po drodze? Każe mi siedzieć cicho? Ze względu na Jimmy'ego? A jeśli się nie zatrzymam? Jeśli nie będę siedzieć cicho?

— Co powiedziała ci Sasha? — spytałem.

Lilly znów spojrzała mi w oczy, by po sekundzie odwrócić wzrok.

— Coś stało się w Wyvern. Coś dziwnego. Złego. W jakiś sposób dotyczy też nas. Wszystkich w Moonlight Bay. Oni chcą utrzymać to w tajemnicy. Może właśnie dlatego zniknął Jimmy. Może.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na Saszę, która wycofała się

w róg kuchni.

— To wszystko?

— A czy nie jest tak, że im więcej wie, tym większe grozi jej niebezpieczeństwo? — odpowiedziała pytaniem Sasha.

— Zdecydowanie — zgodził się Bobby ze swojej pozycji przy drzwiach.

Musiałem przyznać, że zważywszy na stan nerwów Lilly, rozsądniej było nie mówić jej o wszystkim, co wiedzieliśmy. Gdyby zrozumiała, co nam grozi, jaki straszliwy los może spotkać nas i całą Ziemię, straciłaby zapewne resztki złudzeń, że ujrzy jeszcze synka żywego. Ja na pewno nie chciałem być tym, który miał pozbawić ją ostatniego promyka nadziei.

Poza tym dostrzegłem za oknami pierwsze ziarna szarości, oznaki świtu tak jeszcze niewyraźne, że nikt, kto nie był tak wrażliwy na wszelkie odcienie mroku jak ja, z pewnością by ich nie zauważył. Brakowało nam czasu. Wiedziałem, że wkrótce będę musiał ukryć się przed słońcem, a wolałem robić to w dobrze przygotowanym sanktuarium własnego mieszkania.

— Mam prawo wiedzieć — oświadczyła Lilly. — Mam prawo wiedzieć o wszystkim.

— Tak — zgodziłem się z nią.

— O wszystkim.

— Ale teraz nie mamy na to czasu. Będziemy...

— Boję się — wyszeptała.

Odsunąłem na bok filiżankę z herbatą i wyciągnąłem do niej rękę.

— Nie jesteś sama.

Spojrzała na moje dłonie, ale nie dotknęła ich. Być może bała

się, że biorąc mnie za rękę, straci panowanie nad sobą.

— To, że będziesz wiedzieć więcej, w niczym ci nie pomoże — powiedziałem. — Później opowiem ci o wszystkim. O wszystkim. Ale teraz... Jeśli ten, kto zabrał Jimmy'ego, nie ma nic wspólnego z... tym bałaganem z Wyvern, Manuel będzie starał się go odnaleźć. Wiem, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Jeśli jednak to jakoś wiąże się z Wyvern, wtedy nie będziemy mogli zaufać żadnemu policjantowi, łącznie z Manuelem. Wszystko będzie zależeć od nas. I musimy zakładać, że właśnie tak się stanie.

— To wszystko jest takie dziwne.

— Tak.

— Szalone.

— Tak.

— Takie dziwne — powtórzyła, a jej głos był coraz słabszy. Utrzymanie emocji pod kontrolą kosztowało ją wiele wysiłku, twarz miała ściągniętą.

Nie mogłem znieść widoku jej cierpienia, lecz nie odwracałem wzroku. Chciałem, by Lilly spojrzała na mnie, by zobaczyła w moich oczach oddanie i nadzieję, by znalazła w nich choć odrobinę pocieszenia.

— Musisz zostać tutaj — powiedziałem. — Żebyśmy wiedzieli, gdzie cię szukać, jeśli... kiedy znajdziemy Jimmy'ego.

— Jakie mamy szanse? — spytała, a w jej głosie pojawiło się ledwie słyszalne drżenie. — Wy przeciwko... komu? Policji? Wojsku? Rządowi? Przeciwko wszystkim?

— Nie jesteśmy w beznadziejnej sytuacji. Na tym świecie w ogóle nie ma beznadziejnych sytuacji, chyba że sami chcemy je tak widzieć. Lilly, musisz zostać tutaj. Bo jeśli tu nie chodzi

o Wyvern, jeśli to nie ma nic wspólnego z bazą, policja może potrzebować twojej pomocy. Albo może przynieść ci dobre wieści. Nawet policja.

— Ale nie powinnaś być sama — przyłączyła się Sasha.

— Kiedy stąd wyjdziemy, przywiozę tu Jennę — powiedział Bobby. Jenna Wing była teściową Lilly. — Zgoda?

Lilly skinęła głową.

Nie chciała dotknąć mych rąk, więc splotłem je na stole, podobnie jak ona.

— Pytałaś, co mogliby ci zrobić, gdybyś nie chciała siedzieć cicho, gdybyś się im sprzeciwiła — powiedziałem. — Wszystko. Mogliby zrobić wszystko. — Po krótkim wahaniu dodałem: — Nie wiem, dokąd jechała moja matka tej nocy, kiedy zginęła. Wyjeżdżała z miasta. Może chciała powiedzieć światu prawdę. Bo ona wiedziała, Lilly. Wiedziała, co stało się w Wyvern. Nigdy nie dotarła do celu tej podróży. Ty też byś tam nie dotarła.

Lilly otworzyła szeroko oczy.

— Wypadek. Wypadek samochodowy.

— To nie był wypadek.

Po raz pierwszy, odkąd usiadłem przy stole, Lilly patrzyła mi w oczy dłużej niż przez kilka sekund.

— Twoja matka. Genetyka. Jej praca. Dlatego wiesz o tym tak dużo.

Nie skorzystałem z okazji i nie powiedziałem Lilly nic więcej. Mogłaby dojść do słusznej konkluzji, że moja matka była nie tylko pionkiem w tej grze, lecz że należała do ludzi odpowiedzialnych za to, co wydarzyło się w Wyvern. Następnym etapem tego rozumowania byłby wniosek, że skoro porwanie

Jimmy'ego miało coś wspólnego z katastrofą w forcie, to obecna sytuacja była bezpośrednim rezultatem pracy mojej matki. Choć w pewnym sensie to prawda, Lilly mogła zapomnieć w tym momencie o logice, nabrać irracjonalnych podejrzeń i uznać mnie za jednego z konspiratorów, za swego wroga, a wtedy z pewnością odwróciłyby się ode mnie. Bez względu na to, co zrobiła moja matka, byłem przyjacielem Lilly i największą nadzieją na odnalezienie jej syna.

— Posłuchaj, Lilly, jeśli mamy ci pomóc, jeśli mamy pomóc Jimmy'emu, musisz nam zaufać. Mnie, Bobby'emu, Sashy. Zaufaj nam, Lilly.

— Nic nie mogę zrobić. Nic — powiedziała gorzko.

Napięta twarz Lilly zmieniła się, ale wcale nie był to wyraz ulgi, przekonania, że może podzielić się ciężarem z najlepszymi przyjaciółmi. Okropny grymas bólu, który wykrzywił jej rysy, stał się jeszcze wyraźniejszy, ściągnięty w twardy węzeł gniewu, świadomości, że jest całkowicie bezradna.

Kiedy przed trzema laty umarł jej mąż, Ben, Lilly porzuciła pracę nauczycielki, bo ta pensja nie wystarczała jej na utrzymanie siebie i Jimmy'ego. Podjęła wtedy ryzyko i zainwestowała wszystkie pieniądze z ubezpieczenia na życie w mały sklepik z upominkami, położony przy zatoce odwiedzanej tłumnie przez turystów. Dzięki ciężkiej pracy udało jej się rozkręcić interes i sklep zaczął przynosić dochód. By zapomnieć o samotności i bólu po stracie ukochanego, wszystkie wolne chwile poświęcała Jimmy'emu i samokształceniu; nauczyła się murować, ułożyła chodnik wokół domku, zbudowała płot, zamontowała nowe, własnoręcznie wykonane

szafki w kuchni i została pierwszorzędnym ogrodnikiem, a otoczenie jej bungalowu nie miało sobie równych w całej okolicy. Przyzwyczała się już do tego, że musi sama troszczyć się o siebie i syna. Nawet w najtrudniejszych chwilach pozostawała optymistką; była człowiekiem czynu, wojownikiem, nigdy nie myślała o sobie w kategoriach ofiary.

Być może po raz pierwszy w całym swym życiu Lilly czuła się zupełnie bezradna, stała w obliczu sił, których nie rozumiała ani którym nie mogła się przeciwstawić. Tym razem wiara we własne możliwości nie wystarczała; gorzej, nie mogła zrobić absolutnie nic, by zmienić tę sytuację. Ponieważ uleganie niesprzyjającym okolicznościom nie leżało w jej naturze, nie potrafiła litować się nad sobą. Mogła tylko czekać. Czekać, aż odnajdziemy Jimmy'ego żywego. Czekać, aż odnajdziemy go martwego. Albo, co było najgorszą ze wszystkich możliwości, czekać przez całe życie i pozostawać w nieświadomości. Właśnie ze względu na tę okropną bezradność Lilly musiała jednocześnie radzić sobie ze złością, strachem i przejmującym smutkiem.

Wreszcie otworzyła dłonie.

Jej oczy napełniły się łzami, choć z całych sił próbowała je powstrzymać.

Wydawało mi się, że chce wyciągnąć do mnie ręce, więc sięgnąłem po jej dłoń.

Jednak ona zakryła twarz i szlochając, wykrztusiła:

— Och, Chris, tak mi wstyd.

Nie wiedziałem, czy mówi o swojej bezsilności, czy też wstydzi się łez.

Wstałem, obszedłem stół i spróbowałem wziąć ją w ramiona.

Lilly opierała się przez chwilę, potem jednak wstała i przytuliła się do mnie. Chowając twarz w moim ramieniu, przemówiła ochrypłym od płaczu głosem:

— Byłam taka... o Boże... byłam dla ciebie taka okrutna.

Zdumiony i skonfundowany uspokajałem ją, powtarzając cicho:

— Nie, nie. Nie ty, Borsuczku, ty nigdy, nie, nie.

— Nie miałam... odwagi. — Drżała jak w gorączce, wyrzucała pojedyncze słowa spomiędzy zaciśniętych zębów, przytulała się do mnie z desperacją zagubionego dziecka.

Objąłem ją mocniej. Nie mogłem mówić, bo jej ból rozdzierał mi serce. Wciąż nie wiedziałem, czego dotyczyły jej słowa. Jednak teraz uważam, że przeczuwałem to, co miała za chwilę powiedzieć.

— Całe to moje gadanie... — Jej głos był niewyraźny, przytłumiony, przerywany płaczem. — Tylko gadanie. Ale ja nie byłam... nie mogłam... kiedy trzeba było... nie potrafiłam. — Wzięła głęboki oddech i przytuliła się do mnie jeszcze mocniej. — Mówiłam ci, że różnica nie ma dla mnie znaczenia, ale w końcu okazało się, że kłamałam.

— Przestań — szepnąłem. — Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

— Twoja choroba — powiedziała, ale ja i tak wiedziałem już, o co jej chodzi. — W końcu miała jednak znaczenie. Odwróciłam się od ciebie. A ty jesteś tutaj. Jesteś przy mnie, kiedy cię potrzebuję.

Bobby przeszedł na werandę. Nie zrobił tego, by sprawdzić, co jest źródłem jakiegoś podejrzanego szmeru. Nie wyszedł też

dlatego, że chciał zostawić nas samych. Jego luzacka obojętność była tylko skorupą, pod którą krył się miękki, sentymentalny Bobby Halloway. Biedak był pewien, że nikt nie zna go od tej strony, nawet ja.

Sasha ruszyła jego śladem. Kiedy spojrzała na mnie, pokręciłem lekko głową, zachęcając ją do pozostania.

Wyraźnie zbита z tropu, zajęła się przygotowywaniem kolejnej filiżanki herbaty, zabierając jednocześnie tę, która stała nieruszona na stole.

— Nigdy się ode mnie nie odwróciłaś, nigdy, nigdy — mówiłem do Lilly, tuląc ją do siebie, gładząc jej włosy. Żałowałem, że życie postawiło nas w sytuacji, w której Lilly czuła się zobowiązana wypowiedzieć podobne słowa.

Przez cztery lata, odkąd skończyliśmy szesnaście lat, mieliśmy nadzieję, że razem zbudujemy naszą przyszłość. Jednak wyrośliśmy z tego. Przede wszystkim zdaliśmy sobie sprawę, że nasze dzieci narażone byłyby w wysokim stopniu na XP. Ja pogodziłem się już ze swoją ułomnością, nie mogłem jednak skazywać własnych dzieci na taki sam los. A gdyby nawet nasze potomstwo było zdrowe, zostałyby bardzo wczesnie pozbawione opieki ojca, nie wierzyłem bowiem, bym mógł przetrwać jeszcze dłużej niż kilka lat. Mimo to czułbym się szczęśliwy w małżeństwie z Lilly, ona jednak chciała mieć rodzinę, co było normalnym, całkowicie usprawiedliwionym pragnieniem. W dodatku musiałyby pogodzić się ze świadomością, że zostanie wdową w bardzo młodym wieku — i że będzie patrzyła na moją śmierć, powolne umieranie poprzedzone chorobami i dolegliwościami; utratą słuchu i wzroku, niekontrolowanym

drżeniem rąk i głowy, a może nawet zaburzeniami psychicznymi.

— Oboje wiedzieliśmy, że to się musi skończyć, oboje — mówiłem Lilly, zgodnie z prawdą, bo poniewczasie sam zrozumiałem, jak ogromny ciężar składałbym na jej barki w imię miłości.

Z drugiej strony muszę przyznać, że mogłem samolubnie przywieść ją do małżeństwa i pozwolić, by cierpiała ze mną podczas mej długiej wędrówki ku śmierci, bo jej opieka i towarzystwo czyniłyby choroby i ból mniej dokuczliwymi, mniej przerażającymi. Mogłem odsuwać od siebie świadomość, że rujnuję jej życie tylko po to, by ulżyć sobie. Nie jestem materiałem na świętego, czasami kieruje mną egoizm. Po pewnym czasie Lilly zaczęła nieśmiało wspominać swoje wątpliwości i obawy; słuchając jej przez kolejne tygodnie, zrozumiałem, że choć gotowa była dla mnie na wszelkie poświęcenia — a ja chciałem, by się poświęciła — cała miłość, jaka zostałaaby w niej jeszcze po mej śmierci, zginęłaby przytłoczona gorzkimi wspomnieniami i żalem. Ponieważ nie pożyję długo, chcę mocno i samolubnie, by ci, których kiedyś znałem i kochałem, zachowali mnie w swoich wspomnieniach. A moja próżność każe mi pragnąć, by były to wspomnienia miłe, pełne radości i śmiechu. Wreszcie zrozumiałem, że zarówno ze względu na Lilly, jak i na siebie musimy porzucić sny o wspólnej przyszłości albo pozwolić, by sny te zamieniły się w koszmar.

Teraz, trzymając Lilly w ramionach, uświadomiłem sobie, że ponieważ to ona pierwsza wyraziła głośno obawy o przyszłość naszego związku, czuła się w pełni odpowiedzialna za jego

rozpad. Kiedy przestaliśmy być kochankami i postanowiliśmy zostać przyjaciółmi, moja tęsknota i smutek wywołany końcem marzeń musiały wręcz rzucać się w oczy, ponieważ nie byłem dość wielkoduszny ani twardy, by jej tego oszczędzić. Nieświadomie i bezmyślnie wbijałem coraz głębiej w jej serce cierń poczucia winy, a teraz, osiem lat później, musiałem uleczyć rany, które sam zadałem.

Kiedy zacząłem mówić jej o tym wszystkim, Lilly próbowała protestować. Przywykła już do roli grzesznicy, przez lata nauczyła się czerpać masochistyczną przyjemność ze swej wyimaginowanej zbrodni, a teraz trudno jej było z tego zrezygnować. Wcześniej mylnie sądziłem, że nie chce mi spojrzeć w oczy, bo ją zawiodłem, bo nie znalazłem Jimmy'ego: podobnie jak ona, szybko znalazłem winę w samym sobie. Czy sobie to uświadomiamy, czy też nie, wszyscy, którzy żyjemy po tej stronie nieba, nosimy na duszy płamę grzechu i przy każdej okazji staramy się ją zetrzeć drucianą myjką poczucia winy.

Tuliłem mocno tę kochaną kobietę, przekonywałem ją, że nie jest niczemu winna, chciałem, by zobaczyła mnie takiego, jaki jestem w rzeczywistości, by zrozumiała, że osiem lat temu omal nie zmusiłem jej do poświęcenia, jakiego nie powinienem wymagać od nikogo na tym świecie. Stopniowo niszczyłem ten lśniący wizerunek własnej osoby, jaki nosiła w sercu. Była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakich musiałem dokonać w swym życiu... bo kiedy przytulałem ją do siebie i ocierałem jej łzy, rozumiałem, że wciąż bardzo mi na niej zależy, że ogromnie ją cenię i chcę, by myślała o mnie tylko dobrze, choć już nigdy nie mogliśmy zostać kochankami.

— Zrobiliśmy to, co należało. Oboje. Gdybyśmy nie podjęli tej decyzji wtedy, osiem lat temu — mówiłem — ty nigdy nie znalazłabyś Bena, a ja Sashy. To cenne momenty naszego życia, twoje spotkanie z Benem, moje spotkanie z Sashą. Święte momenty.

— Kocham cię, Chris.

— Ja też cię kocham.

— Nie tak jak kochałam cię kiedyś.

— Wiem.

— Bardziej niż wtedy.

— Wiem — powtórzyłem.

— Czyściej.

— Nie musisz tego mówić.

— Nie dlatego, że kochając cię, czuję się szlachetniejsza i lepsza. Nie dlatego, że jesteś inny. Kocham cię za to, kim jesteś.

— Borsuczku? — przerwałem jej.

— Tak?

Uśmiechnąłem się ciepło.

— Zamknij się.

Wydała z siebie dźwięk bardziej przypominający śmiech niż płacz, choć zapewne było to jedno i drugie. Pocałowała mnie w policzek i usiadła na krześle, osłabiona poczuciem ogromnej ulgi, ale i obawą o los zaginionego syna.

Sasha przyniosła do stołu filiżankę ze świeżo zaparzoną herbatą. Lilly wzięła ją za rękę i uścisnęła mocno.

— Znasz książkę *O czym szumią wierzby*?

— Nie znałam, dopóki nie spotkałam Chrisa — odparła Sasha. Nawet w słabym, migotliwym blasku świec widziałem ślady łez

na jej twarzy.

— Nazwał mnie Borsuczkiem, bo stawałam w jego obronie. Ale teraz on jest moim Borsukiem, twoim Borsukiem. A ty jesteś jego, prawda?

— Sasha ma świetne uderzenie — wtrąciłem.

— Znajdziemy Jimmy’ego — oświadczyła Sasha, zdejmując ze mnie okropny obowiązek powtarzania po raz kolejny tej samej obietnicy. — I przywieziemy go tutaj, do ciebie, do domu.

— A co z krukiem? — spytała Lilly.

Sasha wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru, potem rozłożyła ją starannie.

— Kiedy gliny już sobie pojechały, przeszukałam sypialnię Jimmy’ego. Oni nie byli zbyt dokładni. Pomyślałam, że może znajdę coś, co przeoczyli. To było schowane pod poduszką.

Kiedy przybliżyłem kartkę do świecy, ujrzałem rysunek wykonany atramentem, przedstawiający ptaka w locie, widzianego z boku, ze złożonymi skrzydłami. Pod rysunkiem widniała starannie wykaligrafowana wiadomość: „Louis Wing będzie moim sługą w piekle”.

— A co twój teść może mieć z tym wspólnego? — spytałem Lilly.

Jej twarz znów zasnuła się smutkiem.

— Nie wiem.

Bobby wrócił z werandy i wszedł do kuchni.

— Musimy spadać, bracie.

Teraz zbliżający się świt był już widoczny dla wszystkich. Słońce nie wyszło jeszcze zza wzgórz na wschodzie, ale ciemność powoli traciła swą moc, czerń przechodziła w szarość. Podwórce

za oknem nie wyglądało już jak mozaika ciemnych plam o różnym natężeniu czerni, lecz jak szkic ołówkiem.

Pokazałem Bobby'emu rysunek kruka.

— Może to jednak nie ma nic wspólnego z Wyvern. Może ktoś chce się zemścić na Louisie.

Bobby przyjrzał się uważnie rysunkowi, nie uważał jednak, by dowodził on, że porwanie było jedynie aktem zemsty.

— Wszystko wiąże się z Wyvern, w ten czy inny sposób.

— Kiedy Louis przestał pracować w policji? — spytałem.

— Przeszedł na emeryturę cztery lata temu, na rok przed śmiercią Bena — odparła Lilly.

— I przed całą tą historią w Wyvern — zauważyła Sasha. — Więc może jednak te dwie sprawy nie są ze sobą związane.

— Są — upierał się Bobby. Postukał palcem w rysunek kruka.

— To jest zbyt dziwne, żeby nie miało jakiegoś związku z bazą.

— Powinniśmy porozmawiać z twoim teściem — zwróciłem się do Lilly.

Pokręciła głową.

— To niemożliwe. Jest w Shorehaven.

— W domu opieki?

— W ciągu ostatnich czterech miesięcy miał trzy wylewy. Po ostatnim zapadł w śpiączkę. Prawdopodobnie nie pożyje już długo.

Kiedy znów spojrzałem na szkic, zrozumiałem, że słowa Bobby'ego odnosiły się nie tylko do dziwnego napisu, ale i do samego kruka. Otaczała go jakaś złowieszcza aura: pióra ptaka były nastroszone, dziób otwarty do krzyku, szpony zakrzywione i szeroko rozpostarte, a oko — choć przedstawione tylko jako

białe kółko — zdawało się wypełnione gniewem i okrucieństwem.

— Mogę to zatrzymać? — spytałem Lilly.

Skinęła głową.

— To jest złe. Nie chcę tego dotykać.

Zostawiliśmy Lilly z filiżanką herbaty i odrobiną nadziei, nie większą niż plasterek cytryny, który leżał obok niej na stole.

Schodząc z werandy, Sasha powiedziała:

— Bobby, przywieź tu Jennę Wing jak najszybciej, natychmiast. Dałem mu rysunek kruka.

— Pokaż jej to. Spytaj, czy pamięta jakąś sprawę, nad którą pracował Louis... coś, co mogłoby to wyjaśnić.

Kiedy przechodziliśmy przez podwórze, Sasha wzięła mnie za rękę.

— Kto dzisiaj puszcza muzykę zamiast ciebie? — spytał Bobby.

— Doogie Sassman.

— Pan Harley-Davidson, człowiek góra, maszyna miłości — mruknął Bobby, prowadząc nas wąskim chodnikiem wzdłuż garażu. — A co on lubi, heavy metal?

— Walce — odparła Sasha. — Fokstrota, tango, rumbę, cza-czę. Kazałam mu trzymać się listy, którą zostawiłam, bo inaczej grałby tylko muzykę taneczną. On uwielbia klasyczne tańce. Sam też nieźle tańczy.

Bobby, który otwierał właśnie furtkę, zatrzymał się w pół kroku, odwrócił i spojrzał na Sashę z niedowierzaniem. Po chwili zwrócił się do mnie:

— Wiedziałaś o tym?

— Nie.

— Tańce klasyczne?

— Zdobył nawet jakieś nagrody. — Sasha uśmiechnęła się.

— Doogie? Przecież on jest wielki jak volkswagen garbus.

— Stary czy ten nowy? — spytałem.

— Jak ten nowy.

— Owszem, Doogie jest dużym mężczyzną, ale ma też wiele wdzięku.

— Ma mały promień skrętu — wyjaśniłem Bobby'emu.

Znów wyczułem to coś, co zdarza się tak często między nami, co tak bardzo zbliża nas do siebie. Nastrój, rytm, klimat, który tak łatwo nas wciąga, tworzył się między nami po raz kolejny. Można poradzić sobie ze wszystkim, nawet z końcem znanego nam świata, jeśli ma się u boku przyjaciół o właściwym nastawieniu.

— Myślałem, że Doogie szlaja się po barach dla motocyklistów, a nie po salach tanecznych — powiedział Bobby.

— Zagląda tam czasami, kiedy chce się pobawić — odparła Sasha. — Ale nie powiedziałabym, że się szlaja.

— Kiedy chce się pobawić? — zdumiał się Bobby.

— Lubi skręcać karki — wyjaśniła Sasha.

— A kto nie lubi — mruknąłem.

Po chwili milczenia Bobby znów przemówił:

— Koleś jest wykwalifikowanym inżynierem dźwięku, jeździ na harleyu, jakby wyjechał na nim z łona matki, spotyka się z laskami, przy których Miss Universe wygląda jak babcia klozetowa, zabawia się, waląc po gębie pijanych psychopatów na motocyklach, zdobywa nagrody na konkursach tańca, hm... Zdaje się, że to jest ktoś, kogo powinniśmy zabrać ze sobą do Wyvern.

— Tak. — Pokiwałem głową. — Przez cały czas zastanawiałem

się, co zrobimy, jeśli tam będzie turniej tanga.

— Otóż to — zgodził się ze mną Bobby, a potem zwrócił się do Sashy. — Myślisz, że da sobie z tym radę?

Sasha skinęła głową.

— Myślę, że Doogie da sobie radę ze wszystkim.

Byłem prawie pewien, że kiedy wyjdziemy z za garażu, zobaczymy policyjny samochód albo nieoznakowanego chevroleta z trzema twardzielami w środku. Jednak ulica była pusta.

Wzgórza na wschodzie odcinały się już wyraźnie od szarego nieba. Oceaniczna bryza poruszała gałęziami eukaliptusów, wzbudzając wśród nich niepokojący szept, jakby chciała ostrzec mnie przed zbliżającym się świtem.

— No i Doogie ma wszystkie te tatuaże — powiedziałem.

— Tak — przytaknął Bobby. — Ma więcej tatuaży niż pijany marynarz z czterema matkami i dziesięcioma żonami.

— Jeśli znajdujesz się w jakiejś trudnej sytuacji i masz do czynienia z wielkim facetem pokrytym tatuażami, to wolisz raczej, żeby stał po twojej stronie — zwróciłem się do Sashy.

— Tak, to fundamentalna zasada przeżycia — zgodził się ze mną Bobby.

— Omawiana w każdym podręczniku biologii — dorzuciłem.

— W Biblii. — Bobby pokiwał głową.

— W Księdze Przysłów.

— I w Księdze Wyjścia — uzupełnił Bobby. — I w Kapłańskiej.

Nagle Bobby poderwał karabin do strzału, ja wyszarpnąłem glocka z kabury, Sasha wyciągnęła rewolwer z za pasa. Wszyscy obróciliśmy się w jedną stronę, tworząc żywy obraz

paranoicznych indywidualności.

Dwadzieścia stóp od nas, po wschodniej stronie alei, pomiędzy pniami wielkich eukaliptusów pojawiło się nagle stado kojotów. Poruszając się ciszej niż wiatr kołyszący gałęziami drzew, wyległy na brzeg wąwozu, przemknęły przez trawę, pomiędzy krzewami.

Te wilki prerii, nieco mniejsze od prawdziwych wilków, o węższych pyskach i jaśniejszej sierści, mają w sobie wiele z urody i czaru wszystkich psowatych. Jednak nawet w chwilach, gdy nie przejawiają agresji, gdy leżą najedzone po udanym polowaniu, bawią się lub wygrzewają w słońcu, nadal wyglądają groźnie i niepokojąco — z pewnością żaden wytwórca pluszowych zabawek nie wykorzystałby ich jako modelu dla swoich produktów. Jeśli zaś któryś z kolejnych rezydentów Białego Domu uzna kojota za idealnego przyjaciela rodziny, będziemy mieli pewność, że to sam diabeł trzyma palec na guziku atomowym.

Kojoty wybiegały bezszelestnie spomiędzy drzew na ulicę okrytą szarym całunem nadchodzącego świtu. Otaczała je aura niesamowitości, apokaliptycznej pustki, jakby wszyscy ludzie padli ofiarą jakiejś ogromnej katastrofy, a stada drapieżników przejęły kontrolę nad światem. Zwierzęta wysuwały głowy do przodu, ich żółte ślepia lśniły w półmroku, postawione uszy czujnie łowiły każdy dźwięk, a w otwartych pyskach błyszcząły białe kły. Wszystkie gromadziły się w jednym miejscu, zwrócone w naszym kierunku, całkowicie bezgłośnie, jakby cała ta scena należała do wizji odurzonego narkotykami Indianina.

Zazwyczaj kojoty poruszają się w małych grupach, te jednak

tworzyły wielkie stado, a kiedy już wyległy na ulicę, stały bok przy boku, stłoczone niczym kolonia szczurów. Ich oddechy, cieplejsze od naszych, zaznaczały się obłoczkami pary w chłodnym powietrzu poranka. Nie próbowałem ich liczyć, byłem jednak pewien, że w stadzie znajduje się co najmniej trzydzieści zwierząt. Były to tylko dorosłe, duże osobniki.

Mogliśmy rzucić się do explorera Sashy i zatrzasnąć za sobą drzwi, wyczuwaliśmy jednak, że każdy gwałtowny ruch czy oznaka strachu z naszej strony może spowodować gwałtowny atak kojotów. Ośmieliliśmy się jedynie cofnąć o dwa, trzy kroki, tak by od tyłu chroniły nas samochody.

Kojoty rzadko atakują dorosłych ludzi. Nawet jeśli polują w grupie, próbują osaczyć człowieka tylko wtedy, gdy są zdesperowane, gdy susza wytrzebi myszy, króliki i inne drobne zwierzęta, będące podstawą ich żywienia. Małe dzieci, pozostawione bez opieki w parku czy na podwórku przylegającym do otwartej przestrzeni, częściej padają ofiarą ich ataków, ale i takie incydenty należą do rzadkości, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak ogromne terytoria na zachodzie Ameryki Północnej zamieszkiwane są wspólnie przez kojoty i ludzi.

W tej chwili jednak największy niepokój wzbudzał we mnie nie ewentualny atak zwierząt, lecz przecucie, że nie są to zwyczajne kojoty. Nie należało oczekiwać od nich zachowań typowych dla gatunku; największe niebezpieczeństwo tkwiło w ich odmienności.

Mimo że wszystkie spoglądały w naszą stronę, wydawało mi się, że to nie my przyciągamy ich uwagę. Miałem wrażenie, że

patrzę za nas, gdzieś w dal, choć na przestrzeni ośmiu czy dziesięciu przecznic ulica była całkiem pusta.

Nagle stado ruszyło z miejsca.

Wprawdzie kojoty żyją w rodzinach, ale są wielkimi indywidualistami, a ich poczynania często wynikają z osobistych potrzeb czy nastrojów. Ta niezależność jest szczególnie widoczna, kiedy polują razem — jednak to stado działało jednomyślnie, ruchy zwierząt były skoordynowane niczym poczynania ławicy piranii, jakby miały jakiś wspólny, nadrzędny cel.

Trzymając uszy płasko przy łbie, otwierając szeroko pyski, z opuszczonymi głowami, nastroszoną sierścią i podwiniętymi ogonami, biegły w naszym kierunku, jednak nie prosto na nas. Trzymały się wschodniej strony alei, większość z nich biegła po asfalcie, tylko niektóre po zakurzonym poboczu. Patrzyły prosto przed siebie, za nas, jakby widziały tam jakąś zwierzyne niedostrzegalną dla ludzkich oczu.

Ani Bobby, ani ja nie próbowaliśmy nawet mierzyć do zwierząt, bo natychmiast przypomnieliśmy sobie zachowanie stada lelków w Wyvern. Wtedy także początkowo wydawało nam się, że ptaki mają złe zamiary, potem, że ich dziwny taniec jest wyrazem jakiegoś ptasiego rytuału, wreszcie jednak zrozumieliśmy, że kieruje nimi tylko chęć samozagłady. Te kojoty nie emanowały poczuciem rozpaczki i beznadziei, która otaczała stado lelków, nie szukały jakiegoś ostatecznego rozwiązania dla dręczącego ich niepokoju. Stanowiły zagrożenie dla kogoś lub dla czegoś, ale z pewnością nie dla nas.

Sasha trzymała oburącz gotowy do strzału rewolwer. Kiedy

jednak zrozumiała, że przebiegające obok kojoty wcale nie są nami zainteresowane, że żaden z nich nawet nie spojrzał w naszą stronę, nie warknął, powoli opuściła broń, kierując lufę ku ziemi.

Te drapieżniki, otoczone mgiełką własnych oddechów, wydawały się stworzone z tej samej materii co szary, nierealny świt. Gdyby nie delikatny odgłos łap uderzających o asfalt, gotów byłbym uwierzyć, że są to jedynie duchy kojotów podążające na ostatnie tej nocy polowanie, nim wrócą do swych pól i dolin, gdzie leżą ich kości.

Kiedy ostatnie zwierzęta minęły nasze samochody, odwróciliśmy się, by patrzeć jeszcze przez chwilę na tę niesamowitą procesję. Kojoty znikają w półmroku, ścigane przez szary blask od wschodu, jakby podążały za nocą ku zachodniemu horyzontowi.

Parafrazując Paula McCartneya — w końcu moja ukochana nie tylko puszcza muzykę w radiu, ale i sama pisze piosenki — Sasha powiedziała:

— Kochanie, jestem zdumiona.

— Mam ci wiele do opowiedzenia — odparłem. — Tej nocy widzieliśmy znacznie więcej znacznie dziwniejszych rzeczy.

— Katalog dziwactw i niesamowitości — zapewnił ją Bobby.

W oddali majaczyły jeszcze ostatnie sylwetki kojotów.

Przypuszczałem, że stado opuściło ulicę i ponownie skryło się w wąwozie, z którego przed chwilą wybiegło.

— Zdaje się, że widzieliśmy je nie po raz ostatni — mruknęła Sasha, a w jej głosie słyszałem nutę niepokojącej pewności.

— Może — odrzekłem.

— Na pewno — poprawiła z naciskiem. — A kiedy pojawią się znowu, będą w gorszym humorze.

Odsuwając zamek i wyrzucając nabój do otwartej dłoni, Bobby oświadczył:

— Oto wstaje słońce.

Nie należało brać tych słów dosłownie, gdyż dzień był pochmurny. Nieubłagany poranek powoli zdejmował czarny kaptur nocy i obracał ku nam swą szarą, trupią twarz.

Gruba zasłona chmur nie zapewnia mi skutecznej ochrony przed szkodliwymi promieniami, gdyż ultrafiolet przenika nawet czarne, burzowe chmury i choć nie działa wtedy tak gwałtownie jak w upalny słoneczny dzień, wyrządza oczom i skórze szkody nie do naprawienia, skracając moje życie o kolejnych kilka godzin czy dni. Olejki do opalania chronią skutecznie przed mniej poważnymi postaciami raka skóry, jednak w żadnym stopniu nie zapobiegają powstawaniu czerniaków. Dlatego też muszę przebywać w zamkniętym pomieszczeniu nawet w dzień, kiedy niebo jest czarne i szare jak węgiel i popiół w wygasłej fajce szatana, do której wrzucił przed chwilą kilka potępionych dusz.

— Musimy trochę odpocząć — zwróciłem się do Bobby'ego. — Prześpij się kilka godzin, a potem wpadnij do nas między dwunastą i pierwszą, ustalimy plan poszukiwań.

— Ty nie pojedziesz do Wyvern przed zmierzchem, jednakże kilkoro z nas powinno zacząć wcześniej.

— Zgoda, ale nie ma sensu przenosić się do bazy i przeszukiwać każdego skrawka ziemi. To zajęłoby zbyt wiele czasu. Nigdy byśmy ich nie odnaleźli — dodałem, nie

wypowiadając głośno tego, czego obawialiśmy się wszyscy: że już może być za późno. — Nie wrócimy tam, dopóki nie będziemy mieli ze sobą tropiciela.

— Tropiciela? — zdumiała się Sasha, chowając pistolet do kabury pod pachą.

— Mungojerriego — odparłem, czyniąc to samo.

Bobby zamrugał gwałtownie powiekami.

— Mówisz o tym kocie?

— To nie jest zwykły kot — przypomniałem mu.

— Tak, ale...

— I jest naszą jedyną nadzieją.

— Koty potrafią tropić?

— Jestem pewien, że ten potrafi.

Bobby pokręcił głową.

— Nigdy nie będę czuł się jak w domu w tym nowym świecie sprytnych zwierzaków. To tak jakbym żył w kreskówce Disneya, tyle że pomiędzy śmiesznymi gagami kolesie wyrywają sobie wnętrzności.

— Świat według Edgara Alana Disneya — zgodziłem się z nim.

— A wracając do tematu: Mungojerrie kręci się przy zatoce. Złóż wizytę Rooseveltowi Frostowi. On powinien wiedzieć, jak znaleźć naszego tropiciela.

Z morza ciemności, zakrywającego jeszcze wąwóz po wschodniej stronie drogi, podniósł się niesamowity skowyt kojotów, dźwięk niepodobny do niczego innego na ziemi, jak wycie dręczonych i głodnych upiorów — gdyby upiory istniały.

Sasha włożyła dłoń pod kurtkę, jakby chciała ponownie wyciągnąć rewolwer.

Taki szalony kojoci chór to dźwięk często słyszany w nocy, oznaczający zazwyczaj, że krwawe polowanie dobiegło końca, że jakieś wielkie zwierzę zostało osaczone i zabite przez stado albo że księżyc w pełni napędza kojoty swą nieziemską mocą. Rzadko jednak podobne wrzaski rozbrzmiewają po wschodzie słońca. Bardziej niż cokolwiek, co przeżyliśmy do tej pory, ta złowieszcza serenada, przybierająca z każdą sekundą na sile, napędziła mnie złymi przeczuciami.

— Jak rekiny — powiedział Bobby.

— Białe noże — odparłem, co w języku surferów oznacza żarłacze białe, najgroźniejsze ze wszystkich rekinów.

Otworzyłem drzwiczki fordą i zająłem miejsce na fotelu pasażera. Nim Sasha uruchomiła silnik, Bobby wyjeżdżał już na ulicę, zmierzając w stronę domu Jenny Wing.

Spodziewałem się ujrzeć go dopiero za siedem godzin, ale wtedy, o świcie dwunastego kwietnia, nie przypuszczaliśmy, że czeka nas dzień pełen przykrych niespodzianek i złych wieści. Kolejne niepowodzenia nacierały na nas jak wielkie fale gnane tajfunem przez cały Pacyfik.

17

Sasha zaparkowała explorera na podjeździe, bo w garażu wciąż stał samochód mojego ojca. Leżały tam też pudełka z jego ubraniami i rzeczami osobistymi. Wiedziałem, że kiedyś nadejdzie dzień, dość odległy od dnia jego śmierci, kiedy nie będę już czuł, że pozbywając się tych rzeczy, uchybię jego pamięci. Ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Wiem, że moje zachowanie w tej kwestii jest irracjonalne. Wspomnienia o moim tacie, wspomnienia, które każdego dnia dają mi siły do życia, nie są związane z jego ubraniami, z ulubionym swetrem czy okularami w srebrnej oprawce. To nie jego rzeczy zachowują go w mojej pamięci: pozostaje ze mną dzięki swej uprzejmości, dowcipowi, odwadze, miłości. Mimo to, odkąd spakowałem jego rzeczy, co dwa, trzy dni wyjmuję je ponownie tylko po to, by spojrzeć na te właśnie okulary, na ten sweter. W takich chwilach nie mogę uciec przed świadomością, że wcale nie radzę sobie tak dobrze, jak mi się wydaje. Wodospad smutku wyższy jest od Niagary, a ja nie dosięgnąłem jeszcze rzeki akceptacji.

Kiedy wysiadłem z explorera, nie wszedłem od razu do domu,

choć na dworze nastał już ranek. Dzień tylko w niewielkim stopniu przywrócił światu barwy, które skradła noc; światło, przefiltrowane przez grubą warstwę chmur, okrywało całunem szarości wszystkie żywe i martwe przedmioty. Uznałem, że warto ponieść szkody, jakie może wyrządzić mi ten słaby blask, by popatrzeć przez minutę na dwa majestatyczne dęby rosnące na podwórku.

Te piękne kalifornijskie dęby, otoczone wielką koroną mocnych konarów, górują nad moim domem i okrywają go cieniem przez cały rok, gdyż w odróżnieniu od swych wschodnich kuzynów nie zrzucają liści w zimie. Zawsze kochałem te drzewa, wiele razy wspinałem się na nie, by być bliżej gwiazd. Ostatnio jednak znaczą dla mnie więcej niż kiedykolwiek, bo przypominają mi rodziców, którzy bez żalu poświęcili część swego życia wychowaniu upośledzonego dziecka, którzy dali mi życiodajny cień.

Ciężar ołowianego poranka pozbawił dzień nawet najłżejszego powiewu wiatru. Dęby stały nieruchomo jak ogromne rzeźby, każdy liść wyrzeźbiony z oddzielnego kawałka brązu.

Po minucie, wyciszony, napełniony spokojem wielkich drzew, przeszedłem przez trawnik do domu.

Ściany mojego domu obłożone są kamieniem i wzmocnione cedrowymi belkami, schowanymi pod dachem krytym dachówką, o szerokich okapach i rozległej werandzie. Wszystko utrzymane jest w nowoczesnym, lecz bliskim naturze i ziemi stylu. Mieszkam w tym domu od urodzenia, a zważywszy na przeciętną długość życia ludzi z XP i mój talent do pakowania się w kłopoty, z pewnością w tym domu doczekam też śmierci.

Nim dotarłem do wejścia, Sasha otworzyła już drzwi, wszedłem więc za nią do holu.

W ciągu dnia wszystkie okna zakryte są żaluzjami. Większość lamp zaopatrzona jest w regulator jasności i gdy musimy już włączyć którąś z nich, nastawiamy ją na jak najmniejszą moc. Zwykle żyję jedynie przy blasku świecy, ukrytej za bursztynowym albo czerwonym szkłem, w niesamowitej poświacie, która z pewnością zachwyciłaby każde medium zdolne do kontaktów z duchami.

Sasha wprowadziła się tutaj zaledwie przed miesiącem, po śmierci taty, opuszczając dom, który przysługiwał jej jako głównemu dyrektorowi rozgłośni KBAY. Jednak zdążyła już przywyknąć do nowych warunków i w czasie dnia porusza się po domu, korzystając tylko z nikłego blasku słońca, przenikającego przez wąskie szpary żaluzji.

Uważa, że życie w zacienionym świecie działa kojąco na duszę, że rozproszone, czerwone światło tworzy niezwykłą, romantyczną atmosferę. Zasadniczo zgadzam się z nią, choć czasami miewam napady łagodnej klaustrofobii, gdyż te mroczne wnętrza przywodzą mi na myśl grobowiec.

Nie zapalając światła, weszliśmy na górę, do mojej łazienki, i wzięliśmy razem prysznic przy nikłym blasku ozdobnej lampki naftowej. Wspólna kąpiel nie sprawiała nam jednak tyle radości co zazwyczaj, ponieważ byliśmy zmęczeni fizycznie, wyczerpani emocjonalnie i martwiliśmy się o Jimmy'ego i Orsona. Umyliśmy się jedynie, a ja opowiedziałem Sashy w wielkim skrócie o pościgu za porywaczem, o Wielkim Łbie, Delacroix i wydarzeniach z jajowatej sali.

Potem zadzwoniłem do Roosevelta Frosta, który mieszka na pokładzie *Nostramo*, wielkiego jachtu zacumowanego przy moło w Moonlight Bay. Niestety, nie zastałem go, zostawiłem więc wiadomość na automatycznej sekretarce, z prośbą, by przyszedł do mnie po dwunastej najwcześniej, jak będzie mógł, i by wziął ze sobą Mungojerriego.

Zadzwoniłem także do Manuela Ramireza. Policjantka odbierająca zgłoszenia powiedziała mi, że Manuel jest w tej chwili poza posterunkiem, potem, na moją prośbę, przełączyła mnie na jego aparat zgłoszeniowy.

Podawszy numery rejestracyjne suburba, który stał przy ogrodzeniu Wyvern, powiedziałem:

— Właśnie tym jechał porywacz Jimmy’ego Winga. Jeśli cię to interesuje, zadzwoń do mnie później.

Właśnie ślaliśmy z Sashą łóżko, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Sasha włożyła szlafrok i zeszła zobaczyć, kto to.

Ja także szybko narzuciłem szlafrok i stanąłem na szczycie schodów, nasłuchując.

Zabrałem ze sobą glocka. Moonlight Bay nie gościł może tyle potworów co Park Jurajski, ale nie byłbym całkiem zaskoczony, gdyby za drzwiami czekał tyranozaur.

Był to jednak Bobby, o sześć godzin za wcześnie. Kiedy usłyszałem jego głos, zszedłem na parter.

Hol był słabo oświetlony, ale nad małym stolikiem jaśniała wyraźnie reprodukcja *Świtu* Maxfielda Parisha niczym okno na magiczny, lepszy świat.

Bobby miał nietęgą minę.

— Nie zabiorę wam dużo czasu. Ale musicie o tym wiedzieć.

Kiedy już odstawiłem Jennę Wing do Lilly, wpadłem do Charliego Dai.

Charlie Dai — którego prawdziwe, wietnamskie nazwisko brzmiało Dai Tran Gi — to naturalizowany Amerykanin, współwydawca, a jednocześnie reporter „Moonlight Bay Gazette”, dziennika należącego do rodziców Bobby’ego. Hallowayowie nie utrzymują kontaktów z Bobbym, ale Charlie pozostaje jego przyjacielem.

— Charlie nie może napisać o chłopcu Lilly — kontynuował Bobby — dopóki nie dostanie przyzwolenia, ale pomyślałem, że powinien o tym wiedzieć. Właściwie... miałem wrażenie, że on już wiedział.

Charlie to jeden z nielicznych mieszkańców Moonlight Bay — kilkuset spośród dwunastu tysięcy — którzy wiedzą o biologicznej katastrofie, jaka wydarzyła się w Wyvern. Jego żona, doktor Dora Dai — dawniej Dai Minh Thu-Ha — jest emerytowanym pułkownikiem; kiedy pracowała jeszcze w wojsku, przez sześć lat dowodziła całą służbą medyczną w Wyvern, co w bazie o ponadpięćdziesiątysięczonej populacji było bardzo odpowiedzialnym zadaniem. Jej zespół medyczny opatrywał rannych i konających tej nocy, gdy niektórzy naukowcy z laboratoriów genetycznych osiągnęli ostatni etap przemiany i zaatakowali kolegów. Nora Dai wiedziała za dużo; w ciągu zaledwie kilku godzin od tych dramatycznych wydarzeń zarówno ona, jak i Charlie zostali oskarżeni o to, że przed dwudziestu sześciu laty sfałszowali swoje dokumenty imigracyjne. Oczywiście było to kłamstwo, ale gdyby nie zgodzili się uczestniczyć w cichej konspiracji i przemilczeć prawdę

o Wyvern, zostaliby natychmiast wydalenii bez żadnych procedur prawnych do Wietnamu, skąd nie mogliby już nigdy powrócić. Grożono także śmiercią ich dzieciom i wnukom, gdyż ci, którzy stworzyli tę wielką machinę zakłamania, nie wierzą w półśrodki.

Bobby i ja nie wiedzieliśmy, dlaczego jego rodzice pozwolili włączyć do tego proceduru „Gazette”, publikując spreparowane i w dużej części nieprawdziwe wiadomości. Może wierzą, że tego właśnie wymaga dobro ogółu. Może nie zdają sobie sprawy ze straszliwych konsekwencji wydarzeń, do jakich doszło w Wyvern. Albo po prostu dali się zastraszyć.

— Charlie jest trochę stłamszony — mówił dalej Bobby — ale słyszy jeszcze o tym i owym, zbiera informacje, nawet jeśli nie może o nich pisać.

— Przywiązał się do gazety jak ty do deski — podsumowałem.

— To prawdziwe zwierzę dziennikarskie — zgodził się Bobby.

Stał obok jednego z dwóch okienek okalających drzwi wejściowe: prostokątnych witraży ułożonych z czerwonych, bursztynowych, zielonych i przezroczystych fragmentów szkła. Tych świetlików nie zakrywają żaluzje ani okiennice, gdyż daleko wysunięty dach werandy i korony wielkich dębów nie dopuszczają blasku słonecznego. Bobby wyjrzał przez jeden z przezroczystych kawałków, jakby spodziewał się ujrzeć pod drzwiami nieproszonego gościa.

— Więc pomyślałem, że skoro Charlie słyszał już o porwaniu Jimmy’ego — kontynuował swą relację Bobby — to może wiedzieć coś, czego my nie wiemy, może wyciągnął coś od Manuela czy jego kolesiów. Ale zupełnie nie byłem przygotowany na to, co usłyszałem. Jimmy był tylko jednym

z trojga tej nocy.

Lodowata pięść strachu ścisnęła mi żołądek.

— Troje dzieci zostało porwane? — upewniała się Sasha.

Bobby skinął głową.

— Bliźniaki Dela i Judy Stuartów.

Del Stuart ma biuro w Ashdon College, oficjalnie jest pracownikiem Departamentu Edukacji, jednak jak twierdzą wtajemniczeni, w rzeczywistości pracuje dla jakiejś nieznannej szerszemu ogółowi placówki Departamentu Obrony albo Agencji Ochrony Środowiska. Prawdopodobnie to on sam rozsiewa podobne plotki, by w ten sposób ukreślić łeb spekulacjom bliższym prawdy. Sam nazywa siebie „wielkim dobroczyńcą”, co jest równie ogólnikowym i oszukańczym terminem jak określenie „specjalista od likwidacji odpadów organicznych” użyte w stosunku do płatnego zabójcy. Oficjalnie zajmuje się prowadzeniem dokumentacji i rozdzielaniem funduszy przeznaczonych dla tych profesorów, którzy zaangażowani są w prace badawcze finansowane przez rząd federalny. Istnieją podstawy do przypuszczeń, że większość takich badań w Ashdon dotyczy rozwoju niekonwencjonalnych rodzajów broni, że college stał się letnią siedzibą Marsa, boga wojny, i że Del jest łącznikiem pomiędzy tajnymi źródłami funduszy przeznaczonych na wojskowe projekty badawcze a naukowcami, którzy z tych pieniędzy korzystają. Takimi jak moja mama.

Bez wątplenia Del i Judy Stuart byli zdruzgotani utratą dwójki dzieci, jednak w odróżnieniu od biednej Lilly, niewinnej i nieświadomej ponurych tajemnic Moonlight Bay, Stuartowie z własnej woli zamieszkali w kieszeni szatana i musieli rozumieć,

że podpisując cyrograf, zgodzili się także na potulne znoszenie największych cierpień. Dlatego byłem zaskoczony, że Charlie dowiedział się o porwaniu bliźniaków.

— Charlie i Nora Dai to ich sąsiedzi — wyjaśnił Bobby — choć chyba nie spotykają się razem na grillu. Bliźniaki mają po sześć lat. Wczoraj wieczorem, około dziewiętej, Judy kładła dzieciaki do łóżka, kiedy nagle usłyszała za plecami czyjeś kroki. Odwróciła się, a za nią stał jakiś obcy mężczyzna.

— Krępy, muskularny, krótko przystrzyżone włosy, żółte oczy, grube wargi, drobne zęby — wyrzuciłem jednym tchem, opisując porywacza, którego spotkałem w magazynie.

— Wysoki, muskularny, blondyn, zielone oczy, szeroka blizna na lewym policzku.

— Nowy facet — mruknęła Sasha.

— Całkiem nowy. W jednej dłoni trzymał gąbkę nasączoną chloroformem i nim Judy zrozumiała, co się dzieje, koleś był już na niej, jak tłuszcz na serze.

— Jak tłuszcz na serze? — Zmarszczyłem brwi.

— To określenie Charliego.

Charlie Dai, niech Bóg ma go w swojej opiece, pisze świetne artykuły, jednak choć od dwudziestu pięciu lat angielski jest jego pierwszym językiem, nie nauczył się języka kolokwialnego w takim stopniu, w jakim opanował język literacki. Idiomy i metafory nadal stanowią dla niego domenę pełną tajemnic i zasadzek. Kiedyś powiedział mi, że sierpniowy wieczór był „gorący jak trzy ropuchy w rosole”. Zastanawiałem się nad tym porównaniem przez trzy kolejne wieczory.

Bobby znów wyjrzał na zewnątrz przez fragment

przezroczyściej szybki, choć tym razem przyglądał się werandzie o wiele dłużej niż poprzednio. Wreszcie odwrócił się do nas, by kontynuować opowieść:

— Kiedy Judy odzyskała świadomość, Aarona i Ansona, tych bliźniaków, już nie było.

— Dwóch psychopatów porywa dzieci tej samej nocy? — spytałem, krzywiąc się sceptycznie.

— W Moonlight Bay nic nie dzieje się przypadkowo. — Sasha pokręciła głową.

— Źle dla nas, jeszcze gorzej dla Jimmy’ego — mruknąłem.

— Jeśli ci faceci nie są zwykłymi zboczeńcami, to może kierują nimi potrzeby, jakich nie opisuje żaden podręcznik dla psychiatrów, bo nikt jeszcze nie wymyślił czegoś podobnego. Być może ulegają przemianie, a to, czym się stają, popycha ich do tych świństw.

— Albo cała sprawa jest jeszcze dziwniejsza niż opowieść o dwóch facetach, którzy zamieniają się w potwory — wtrącił Bobby. — Ten psychol zostawił rysunek na łóżku bliźniaków.

— Kruka? — zgadywała Sasha.

— Tak nazwał go Charlie. Ptak siedzi na kamieniu, trzyma skrzydła rozpostarte jak do lotu. To inna pozycja niż na pierwszym rysunku. Ale wiadomość jest bardzo podobna: „Del Stuart będzie moim sługą w piekle”.

— Czy Del wie, co to może znaczyć?

— Charlie Dai twierdzi, że nie. Ale podejrzewa, że Del rozpoznał porywacza z opisu Judy. Może dlatego właśnie ten facet pokazał się Judy. Chciał, żeby Del wiedział.

— Ale jeśli Del go rozpoznał — rozmyślałem głośno — to powie

o tym glinom, a wtedy psychol jest skończony.

— Charlie mówi, że Del nawet o tym nie wspomniał przy gliniarzach.

Głos Sashy przepełniony był w równej mierze niedowierzaniem, jak oburzeniem:

— Jego dzieci zostały porwane, a on zataja ważne informacje przed policją?

— Del siedzi po uszy w tym gównie z Wyvern — odparłem.

— Może musi trzymać gębę na kłódkę, dopóki jego zwierzchnicy nie pozwolą mu powiedzieć o porywaczu glinom.

— Gdyby to były moje dzieci, zapomniałabym o wszystkich zasadach — oświadczyła Sasha.

Spytałem Bobby'ego, czy Jenna Wing skojarzyła z czymś rysunek kruka i wiadomość pozostawioną pod poduszką Jimmy'ego. Niestety, teściowa Lilly nie miała pojęcia, co by to mogło znaczyć.

— Ale dowiedziałem się czegoś jeszcze — dodał Bobby. — I to jeszcze bardziej komplikuje całą historię.

— To znaczy?

— Charlie mówi, że jakieś dwa tygodnie temu szkolne lekarki i władze okręgu zarządziły coroczne badania wszystkich dzieci ze szkół i przedszkoli w mieście. Zwykle badanie wzroku, słuchu, testy na gruźlicę. Ale tym razem pobrali też próbki krwi.

Sasha zmarszczyła brwi.

— Pobrali krew od wszystkich dzieci?

— Kilka lekarek uważało, że rodzice powinni najpierw wyrazić na to zgodę, ale jakiś ważniak z władz okręgu, nadzorujący ten program, spławił je gadką o paru przypadkach zapalenia

wątroby w okolicy. Mówił, że to grozi wybuchem epidemii i muszą podjąć działania zapobiegawcze.

Oboje z Sashą zrozumieliśmy natychmiast, jakie wnioski wyciągnął z tego opowiadania Bobby. Sasha objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

— Oni wcale nie sprawdzali, czy dzieci chorują na zapalenie wątroby. Sprawdzali, czy nie są nosicielami retrowirusa.

— Żeby przekonać się, jaka jest skala problemu — dodałem.

Okazało się jednak, że wnioski Bobby'ego szły o wiele dalej i były znacznie bardziej niepokojące.

— Wiemy, że mózgowcy na górze pracują dzień i noc, szukając jakiegoś lekarstwa, prawda?

— Aż im się z czachy dymi — mruknąłem.

— A gdyby tak odkryli, że drobny odsetek zarażonych ludzi jest naturalnie uodporniony na retrowirusa?

— Może w niektórych organizmach retrowirus nie może przekazać materiału genetycznego — snuła domysły Sasha.

Bobby wzruszył ramionami.

— Albo jeszcze coś innego. Na pewno chcieliby zbadać tych uodpornionych, prawda?

Na samą myśl o tym, do czego zmierza Bobby, zrobiło mi się niedobrze.

— Jimmy Wing, bliźniaki Stuartów... może w ich krwi odnaleziono te antyciała, enzymy, mechanizmy, cokolwiek to było.

Sasha nie chciała zaakceptować naszych podejrzeń.

— Do badań nie potrzebowaliby dzieci. Wystarczyłyby próbki tkanek i krwi pobierane co kilka tygodni.

Pamiętając, kto pracował z moją mamą, zmuszony byłem stanąć po stronie Bobby'ego:

— Ale jeśli ktoś nie ma żadnych oporów moralnych, jeśli pracował już kiedyś na żywych ludziach, przeprowadzał doświadczenia na więźniach, nie zawaha się przed porwaniem dzieci.

— Nie trzeba się przed nikim tłumaczyć — dodał Bobby. — Nie trzeba dogadywać się z rodzicami.

Sasha wyrzuciła z siebie słowo, którego nie słyszałem nigdy dotąd z jej ust.

— Bracie — mówił Bobby — wiesz, że projektanci silników samochodowych czy samolotowych przeprowadzają próby nazywane testami na zniszczenie.

— Wiem, do czego zmierzasz. Tak, jestem pewien, że w badaniach biologicznych istnieje coś podobnego. Sprawdzanie, ile danej substancji przyjmie żywy organizm, jakie uszkodzenia przetrzyma, nim sam się zniszczy.

Sasha użyła po raz drugi tego samego słowa i odwróciła się do nas plecami, jakby udział w rozmowie na ten temat był czymś brudnym, niemoralnym.

— Może, żeby najłatwiej i najszybciej dowiedzieć się, dlaczego dany organizm — jedno z tych dzieci — jest odporny na wirusa, trzeba podawać mu wciąż nowe, coraz większe dawki i badać jego reakcję? — zastanawiał się głośno Bobby.

— Aż w końcu wirus go zabije? Po prostu go zabije? — spytała Sasha gniewnie, odwracając się do nas. Jej twarz była tak blada, jakby nałożyła na nią grubą warstwę pudru, przygotowując się do pantomimy.

— Aż w końcu wirus go zabije — potwierdziłem.

— Nie wiemy, czy rzeczywiście właśnie o to im chodzi — pospieszył z zapewnieniem Bobby. — W ogóle niewiele wiemy. To tylko taka sobie teoria, jedna z wielu.

— Jedna z wielu, ale prawdopodobna — uzupełniłem ponuro. — Tylko co ma wspólnego z tym wszystkim ten cholerny kruk? Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Nikt z nas nie znał odpowiedzi.

Bobby po raz kolejny wyjrzał na zewnątrz.

— Bracie, co jest? — spytałem. — Zamówiłeś pizzę?

— Nie, ale w mieście roi się od anchois.

— Anchois?

— Takich niewyraźnych, rybich typków. Jak ci z klubu zombie, wiesz, ci, których widzieliśmy w nocy, wracając do domu Lilly. Faceci o zimnych oczach w beżowym sedanie. Widziałem więcej takich jak oni. Mam przeczucie, że zbiera się na jakąś większą burzę, coś, czego jeszcze nie widzieliśmy.

— Coś większego od końca świata? — spytałem.

Bobby spojrzał na mnie dziwnie, a potem się uśmiechnął.

— Masz rację. Gorzej być nie może. Jesteśmy na dnie, a więc pozostaje nam tylko wędrówka do góry, co?

— Możemy jeszcze przemieszczać się na boki — odparła Sasha posępnie. — Z jednego piekła do drugiego.

— Rozumiem, dlaczego ją kochasz — zwrócił się do mnie Bobby.

— Tak, moje małe prywatne słoneczko — odparłem.

— Cukier w butach — dorzucił Bobby.

— Sto dwadzieścia funtów chodzącego miodu. — Pokiwałem

głową.

— Sto dwanaście — poprawiła mnie Sasha. — I zapomnijcie o tym, że kiedyś porównałam was do Flipa i Flapa. To dla nich obraza.

— Więc co nam zostało? — spytał Bobby.

— Ona myśli, że jest Marleną Dietrich — wyjaśniłem.

— Myślę, że pójdę już spać — odparła Sasha. — Chyba że Bobby ma w zanadrzu jeszcze kilka złych wiadomości, które nie pozwolą mi zmrużyć oka.

Bobby pokręcił głową.

— To wszystko, na co mnie stać.

Kiedy Bobby opuścił już hol, zamknąłem drzwi i obserwowałem go przez mały witraż. Odszedłem dopiero wtedy, gdy wszedł do jeepa i odjechał.

Rozstanie z przyjacielem zawsze działa mi na nerwy.

Może jestem zbyt zachłanny, może jestem neurotykiem, paranoikiem. Gdybym jednak w tych okolicznościach nie był zachłanny i neurotyczny, z pewnością wkrótce bym oszalał.

Gdybyśmy zawsze byli świadomi tego, że nasi przyjaciele i najbliżsi są tak przerażająco śmiertelni, że w każdej chwili ich życie wisi nie na włosku nawet, lecz na smużce dymu, być może bylibyśmy dla nich miłsi, bardziej wdzięczni za ich miłość i oddanie.

Sasha czekała na mnie przy schodach. Razem wyszliśmy na górę i położyliśmy się do łóżka. Przez chwilę leżeliśmy w całkowitej ciszy, trzymając się za ręce.

Baliśmy się. Baliśmy się o Orsona, Jimmy'ego, Stuartów, o nas samych. Czuliśmy się mali, bezradni. Więc, oczywiście, przez

następnych kilka minut wyliczaliśmy nasze ulubione włoskie sosy. Pesto z orzeszkami ziemnymi było o krok od zwycięstwa, w końcu jednak zwyciężyła marsala.

I znów leżeliśmy w ciszy. Dokładnie w chwili, gdy pomyślałem, że moja ukochana musiała już zasnąć, przemówiła cicho:

— Ty prawie nic o mnie nie wiesz, Snowman.

— Znam twoje serce, wiem, co się w nim kryje. To mi wystarczy.

— Nigdy nie opowiadałam ci o mojej rodzinie, o mojej przeszłości, o tym, kim byłam i co robiłam, nim przyszedłam do KBAY.

— Chcesz powiedzieć mi o tym teraz?

— Nie.

— To dobrze. Nie mam już sił.

— Neandertalczyk.

Po chwili milczenia znowu się odezwała:

— Może nigdy nie będę z tobą rozmawiać o przeszłości.

— Jak to, nawet o tym, co robiłaś wczoraj?

— Naprawdę nie chcesz tego wiedzieć?

— Kocham cię taką, jaka jesteś — odparłem. — Jestem pewien, że kochałbym cię taką, jaka byłaś. Ale mam cię terazniejszą, a nie tę dawną.

— Nigdy nie osądzasz ludzi pochopnie.

— Jestem święty.

— Mówię poważnie.

— Ja też. Jestem święty.

— Dupek.

— Lepiej nie rozmawiaj w ten sposób ze świętymi.

— Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która osądza ludzi tylko na podstawie ich czynów. I przebacza im, kiedy coś sknocą.

— Cóż, jest nas dwóch, ja i Jezus.

— Neandertalczyk.

— Uważaj — ostrzegłem ją. — Lepiej nie narażać się na gniew niebios. Pioruny. Susza. Szarańcza. Deszcz żab. Hemoroidy.

— Wprawiam cię w zakłopotanie, prawda?

— Owszem.

— Chcę tylko powiedzieć, że to jest twoja odmienność, Chris. To jest coś, co czyni cię innym od ogółu. Nie XP.

Milczałem.

— A teraz starasz się jak najszybciej wymyślić jakąś ciętą ripostę, żebym znów nazwała cię dupkiem.

— Albo przynajmniej neandertalczykiem.

— To jest właśnie twoja odmienność. Śpij dobrze.

Wypuściła moją dłoń i przewróciła się na drugi bok.

— Kocham cię, Goodall.

— Kocham cię, Snowman.

Pomimo czarnych żaluzji i grubych zasłon, delikatne ślady światła rysowały przede mną prostokąty okien. Nawet zachmurzone, smutne niebo było piękne. Pragnąłem wyjść na zewnątrz, stanąć pod chmurami, szukać w nich znajomych kształtów, twarzy, zwierząt. Pragnąłem być wolny.

— Goodall? — szepnąłem.

— Hm?

— Chodzi mi o twoją przeszłość.

— Tak?

— Nie byłaś dziwką, prawda?

— Dupek.

Westchnąłem z ukontentowaniem i zamknąłem oczy.

Przejęty troską o losy Orsona i trójki zaginionych dzieci, nie oczekiwałem spokojnego wypoczynku, okazało się jednak, że spałem bezmyślnym, pozbawionym jakichkolwiek obrazów snem neandertalczyka.

Kiedy obudziłem się pięć godzin później, Sashy nie było już w łóżku. Ubrałem się i poszedłem jej szukać.

W kuchni znalazłem wiadomość przymocowaną magnesem do drzwi lodówki: „Wyszłam w interesach. Wrócę niedługo. Na miłość boską, nie jedz na śniadanie tych serowych enchilad. Weź sobie płatki. Marlena Dietrich”.

Kiedy enchilady przygrzewały się w piecyku, przeszedłem do jadalni, w której Sasha urządziła swój pokój muzyczny, jako że i tak posiłki jadamy w kuchni. Przenieśliśmy stół, krzesła i inne meble z jadalni do garażu, by zrobić tam miejsce dla elektronicznych organów, syntezatora, saksofonu ze stojakiem, klarnetu, fletu, dwóch gitar (jednej elektrycznej i jednej akustycznej), wiolonczeli i stojaka na wiolonczelę, pulpitu na nuty i stołu do komponowania.

Podobny los spotkał gabinet na parterze, który zamieniliśmy w siłownię. Rower do ćwiczeń, maszyna do wiosłowania i ławka wraz z kompletem hantli zajęły miejsce pod ścianą, a na środku pokoju znalazł się gruby materac. Sasha interesuje się homeopatią, dlatego też półki zastawione są buteleczkami z witaminami, minerałami i ziołami — jestem pewien, że z tyłu kryją się też pojemniki ze sproszkowanymi skrzydłami nietoperza, maścią z oczu ropuchy i marmoladą z jaszczurczej

wątroby.

Obszerna biblioteczka zajmowała całą ścianę salonu w jej byłym mieszkaniu. Tutaj musieliśmy ją rozmieścić w kilku pokojach.

Sasha jest kobietą o wielu zainteresowaniach, do których zalicza gotowanie, muzykę, ćwiczenia fizyczne, książki i mnie. Przynajmniej o tym wiem. Nigdy nie poprosiłbym jej, by uporządkowała te pasje według stopnia ważności. Nie dlatego, bym bał się, że zajmę piąte miejsce. Jestem szczęśliwy, że w ogóle znalazło się dla mnie miejsce w tym rankingu.

Obszedłem powoli jadalnię, dotykając gitary i wiolonczeli. Wreszcie podniosłem saksofon i odegrałem kilka pierwszych taktów starego przeboju Gary U.S. Bonds *Za kwadrans trzecia*. Sasha uczyła mnie gry na saksofonie. Nie twierdzę, że jestem wirtuozem, ale idzie mi nie najgorzej.

Właściwie podniosłem saksofon wcale nie po to, by ćwiczyć. Może wyda się wam to romantyczne albo obrzydliwe, zależnie od tego, jak traktujecie podobne gesty, ale wziąłem ten instrument tylko po to, by przyłożyć usta do tego miejsca, którego niedawno dotykały usta Sashy. Może jestem jak Romeo, a może jak Hannibal Lecter. Wasz wybór.

Na śniadanie zjadłem trzy grube serowe enchilady z wielką porcją salsy i popiłem to wszystko lodowato zimną pepsi. Jeśli będę żył na tyle długo, by kiedyś mój żołądek się zbuntował, pożałuję być może, że zawsze jadłem tylko dla przyjemności. Na razie jednak jestem w tym cudownym wieku, kiedy żadne szaleństwo kulinarne nie każe mi kupować spodni szerszych niż trzydzieści cali w pasie.

Wyszedłem na górę, do pokoju gościnnego, który spełniał rolę mojego gabinetu. Tam usiadłem przy biurku i przy blasku świecy przez kilka minut patrzyłem na zdjęcia rodziców. Twarz mamy wyrażała dobroć i inteligencję. Twarz taty pełna była dobroci i mądrości.

Rzadko oglądałem własną twarz w normalnym świetle. Kiedy tych kilka razy stałem przed lustrem w jakimś jasnym miejscu, nie dojrzałem w swym obliczu niczego, co mógłbym zrozumieć. To mnie niepokoi. Dlaczego twarze rodziców emanują dobrocią, a moja pozostaje nieodgadniona?

Czy ich lustra też ukazywały im tajemnice?

Nie sędzę.

Cóż, pocieszam się tym, że Sasha mnie kocha — może tak mocno, jak kocha gotowanie, może nawet tak, jak uwielbia dobrą sesję aerobiku. Nie zaryzykowałbym twierdzenia, że ceni mnie na równi z książkami i muzyką. Choć mam nadzieję.

W gabinecie, pomiędzy setkami tomów poezji, słowników i encyklopedii — była to połączona kolekcja moja i taty — znajduje się także gruby słownik łaciński. Odszukałem słowo „piwo”.

Bobby powiedział *carpe cerevisi*. Korzystaj z piwa. Nie mylił się.

Przyjaźniłem się z Bobbym już od wielu lat, wiedziałem więc na pewno, że nigdy nie uczył się łaciny. Dlatego teraz byłem wzruszony. Wysilek, jaki podjął, by sobie ze mnie zakpić, był świadectwem prawdziwej przyjaźni.

Zamknąłem słownik i odłożyłem na półkę, obok kopii książki będącej opowieścią o moim życiu, o życiu dziecka ciemności.

Napisałem ją kilka lat temu, a przed czterema laty stała się w Ameryce prawdziwym bestsellerem. Wtedy wydawało mi się, że poznałem już znaczenie i sens mojego życia; oczywiście było to jeszcze przed tym, nim dowiedziałem się, że moja matka, pchana matczyną miłością i pragnieniem uwolnienia mnie od dokuczliwej ułomności, sprowadziła zagładę na cały znany nam świat.

Nie otwierałem tej książki od dwóch lat. Powinna była stać na jednej z półek za moim biurkiem. Przypuszczałem, że Sasha przeglądała ją kiedyś, a potem zapomniała odłożyć na miejsce.

Na biurku stało także metalowe pudełko, ozdobione rysunkami psich pysków. Na środku pokrywki znajdował się cytat z wiersza Elizabeth Barrett Browning, wielbicielki psów:

*Przeto nie wzgardą – czułością
Względami i smaczną kością
Psa tego obdarzyłam.
Dłoń kładę na jego łbie,
Niechaj na zawsze już wie,
Że go błogosławiłam¹.*

To pudełko było prezentem od matki. Podarowała mi je tego samego dnia, kiedy przyniosła z laboratorium Orsona. Trzymam w nim specjalne herbatniki, ulubiony przysmak Orsona. Od czasu do czasu daję mu kilka tych ciasteczek, nie w nagrodę za dobrze wykonaną sztuczkę, bo nie uczę go żadnych sztuczek, i nie dla zachęty do dalszej tresury, bo Orson nie potrzebuje tresury, lecz po prostu dlatego, że uwielbia ich smak.

Kiedy mama przyniosła Orsona do domu, nie wiedziałem, że jest wyjątkowym, niezwykłym psem. Poznałem prawdę o Orsonie

całkiem niedawno, po śmierci ojca. Darując mi pudełko, mama powiedziała:

— Wiem, że będziesz go kochał, Chris. Ale kiedy będzie tego potrzebował — a jestem pewna, że będzie — staraj się go także pocieszyć. Jego życie nie jest łatwiejsze od twojego.

Wtedy zakładałem, że mama chce przypomnieć mi tylko, że zwierzęta są tak samo jak my narażone na strach i cierpienie. Teraz wiem już, że słowa te miały znacznie głębsze znaczenie.

Sięgnąłem do pudełka, chciałem podnieść je i sprawdzić, czy mam dość dużo ciasteczek na triumfalny powrót Orsona. Jednak ręce trzęsły mi się tak mocno, że musiałem pozostawić pudełko nietknięte.

Położyłem je na biurku i splotłem dłonie. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, wpatrując się w pobielale kostki. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że zachowuję się tak samo jak Lilly, kiedy czekała na nasz powrót z Wyvern.

Orson. Jimmy. Aaron. Anson. Te imiona oplatały mój umysł niczym drut kolczasty, każde z nich było kolejnym ostrzem. Zaginieni chłopcy.

Czułem, że muszę pomóc im wszystkim, że jest to moim obowiązkiem, choć właściwie nic mnie do tego nie zmuszało — może prócz faktu, że pomimo ogromnej miłości moich rodziców i pomimo szczerego oddania przyjaciół ja sam także jestem zagubionym chłopcem i że w pewnym stopniu pozostanę taki aż do dnia, kiedy opuszczę ten świat ciemności i ujrzę światło czekające po drugiej stronie.

Niecierpliwość szarpała mi nerwy. W przypadku normalnych akcji ratowniczych, poszukiwań zaginionych turystów czy

samolotu, który zniknął gdzieś w górzystym terenie, grupy ratowników pracują od świtu do zmierzchu. My zmuszeni byliśmy działać w nocy, nie tylko ze względu na moje XP, ale także dlatego, że wszystko musiało odbywać się w najgłębszej tajemnicy. Ciekaw byłem, czy członkowie normalnych ekip poszukiwawczych także spoglądają na zegarek co dwie minuty, zagryzają wargi i nie mogą usiedzieć na miejscu w oczekiwaniu na pierwsze oznaki świtu. Mój zegarek rozpadał się już pod ciężarem spojrzeń, wargi broczyły krwią, a zanim nadeszła 12:45, niemal utraciłem już resztkę zdrowych zmysłów.

Tuż przed pierwszą, kiedy balansowałem na krawędzi szaleństwa, ktoś zadzwonił do drzwi.

Z glockiem w dłoni zszedłem na parter. Przez białą szybkę w witrażu przy wejściu dojrzałem Bobby'ego. Stał zwrócony bokiem do drzwi i spoglądał na ulicę, jakby spodziewał się ujrzeć tam wóz policyjny albo całą ławicę anchois w białych i beżowych sedanach.

Kiedy wszedł do środka i zamknąłem za nim drzwi, powiedziałem:

— Niezła koszula.

Tym razem rysunek na jego hawajskiej koszuli przedstawiał czerwono-szare zbocze wulkanu upstrzone zielonymi paprociami. Pod spodem jak zwykle miał czarny sweter z długimi rękawami.

— Dzieło Iolaniego — ciągnąłem. — Guziki z orzecha kokosowego. Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty rok.

Zamiast odpowiedzieć mi złośliwym komentarzem albo chociaż przewrócić oczami, Bobby skierował swe kroki do

kuchni.

— Widziałem się znowu z Charliem Dai — powiedział.

Kuchnia oświetlona była tylko nikłym blaskiem dnia przenikającym przez żaluzje, elektronicznymi cyframi na zegarze kuchenki i płomykami dwóch świec.

— Zniknął następny dzieciak — dodał Bobby.

Ręce znów zaczęły mi drżeć, toteż odłożyłem pistolet na stół.

— Kto? Kiedy?

Wyjmując napój energetyzujący z lodówki, w której standardowe światło wymienione zostało na fioletową żarówkę o małej mocy, Bobby odrzekł krótko:

— Wendy Dulcinea.

— Och. — Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Matka Wendy, Mary, jest starsza ode mnie o sześć lat. Kiedy miałem trzynaście lat, rodzice postanowili nauczyć mnie gry na pianinie, a moją nauczycielką była właśnie Mary. Te lekcje musiały być dla niej niezapomnianym przeżyciem, bo nabrałem wtedy przekonania, że kiedyś zostanę wirtuozem pianina i gwiazdą rock and rolla, jak Jerry Lee Lewis, że klawiatura ożyje pod moimi palcami, a publiczność oszaleje z zachwytu. W końcu jednak moi rodzice i Mary uznali — a potem przekonali o tym mnie — że prędzej nauczę się lewitacji i sztuki uzdrawiania przez dotyk niż przyzwoitej gry na pianinie.

— Wendy ma siedem lat — mówił Bobby. — Mary odwoziła ją do szkoły. Wyjechała samochodem z garażu. Potem zorientowała się, że czegoś zapomniała i pobiegła do domu.

Kiedy wróciła po dwóch minutach, samochodu już nie było.

A wraz z nim Wendy.

— Nikt nie widział, co się stało?

Bobby pochłonął niemal jednym haustem całą zawartość puszek z napojem energetyzującym; dość cukru, by wprawić go w śpiączkę cukrzycową, dość kofeiny, by przez kilka godzin utrzymać w dobrej formie kierowcę ciężarówki. Bobby przygotowywał się już do nocnej wyprawy.

— Nikt nic nie widział, nikt nie słyszał niczego podejrzanego.

— Pokręcił głową ze smutkiem. — Kraina ślepych i głuchych. Czasami wydaje mi się, że świat opanowała jakaś zaraza gorsza od wirusa twojej matki. Mamy epidemię paskudnej choroby zwanej „nic-nie-słyszałem-nic-nie-widziałem-dajcie-mi-spokój”. Aha, jeszcze coś. Gliniarze znaleźli samochód Mary porzucony na parkingu za Centrum Dziewięciu Palm.

Dziewięć Palm to centrum handlowe, które po zamknięciu Fortu Wyvern straciło prawie wszystkich klientów i okrągły miliard dolarów rocznie, będący wkładem bazy w gospodarkę naszego okręgu. Teraz wystawy sklepów zabite są deskami, parking porasta trawą, a sześć spośród dziewięciu drzew, od których wzięła się nazwa centrum, zamieniło się w suche, martwe kikuty.

Izba handlowa okręgu nazywała Moonlight Bay klejnotem środkowego wybrzeża. Miasto nic nie straciło ze swego uroku, nadal przyciąga łagodnym klimatem i miłą dla oka architekturą, jednak blizny po ranach, jakie zadała naszej gospodarce likwidacja Fortu Wyvern, widoczne są niemal wszędzie. Klejnot nie błyszczy już tak jasno jak kiedyś.

— Przeszukali wszystkie puste sklepy w Dziewięciu Palmach —

kontynuował Bobby. — Bali się, że znajdą tam ciało Wendy. Ale nie znaleźli.

— Ona żyje. — Pokręciłem głową.

Bobby spojrział na mnie ze współczuciem.

— Oni wszyscy żyją — powtórzyłem. — Muszą żyć.

W tej chwili nie przemawiał przeze mnie zdrowy rozsądek, lecz niezachwiana wiara w cuda.

— Jest następny kruk — dorzucił Bobby. — Mary twierdzi, że to kos. Znaleźli go na przednim siedzeniu. Na tym rysunku kruk nurkuje, jakby na coś polował.

— Jakiś napis?

— „George Dulcinea będzie moim sługą w piekle”.

Mąż Mary miał na imię Frank.

— Kim, do diabła, jest ten George?

— To dziadek Franka. Nie żyje. Był sędzią okręgowym.

— Kiedy umarł?

— Piętnaście lat temu.

Byłem skołowany i sfrustrowany.

— Skoro ten psychol porywa dzieci dla zemsty, to dlaczego ma dręczyć Wendy, żeby wyrównać rachunki z facetem, który nie żyje od piętnastu lat? Dziadek Wendy umarł na długo, zanim ona się urodziła. Nie znał jej. Jak można mścić się na martwym człowieku?

— Może dla psychicznego kolesia to jest całkiem logiczne. — Bobby wzruszył ramionami. — Skoro jego mózg nie działa jak należy, to i logika jest trochę pokręcona.

— Pewnie masz rację.

— A może te rysunki to tylko przykrywka. Może chodzi o to,

żeby wszyscy posądzali o porwania jakiegoś zbrojnego, podczas gdy dzieci trafią do laboratorium gdzieś w głębi kraju.

— Może, może, za dużo tych cholernych może.

Bobby jeszcze raz wzruszył ramionami.

— Nie oczekuj ode mnie cudownych rozwiązań. Jestem tylko zwykłym surferem. Ten facet, o którym wspomniałeś, ten koleś z wiadomości. Czy on zostawia takie kruki?

— Nie słyszałem o tym.

— Zdaje się, że seryjni zabójcy zostawiają coś podobnego?

— Tak. Nazywa się to sygnaturą. Jak podpis pisarza czy dziennikarza. Przyznanie się do swojego dzieła.

Spojrzałem na zegarek. Do zmierzchu zostało jeszcze pięć godzin. Dopiero wtedy będziemy gotowi do wyprawy w mroczne objęcia Wyvern. A nawet jeśli nie będziemy gotowi i tak tam pojedziemy.

CZĘŚĆ DRUGA

Kraina Nigdy

18

Z drugą butelką napoju energetyzującego w dłoni Bobby usiadł na stołku wiolonczelisty, jednak nie wziął do ręki smyczka.

Oprócz wszystkich instrumentów i stołu do komponowania była jadalnia mieściła sprzęt audiofilski najwyższej jakości wraz ze starym magnetofonem kasetowym. Właściwie były to dwa magnetofony, co pozwalało Sashy kopiować taśmy z jej własnymi nagraniami. Włączyłem zasilanie magnetofonu i wzmacniacza, dodając w ten sposób nieco światła do szarego blasku, który sączył się przez szpary w żaluzjach.

Czasami po skomponowaniu jakiejś melodii Sasha jest przekonana, że nieświadomie popełniła plagiat. By udowodnić samej sobie, że dzieło jest jednak oryginalne, przesiaduje godzinami przy odtwarzaczu kompaktowym, słuchając piosenek, które jej zdaniem mogły stanowić źródło inspiracji. Dopiero gdy przesłucha wszystkie, czuje się usatysfakcjonowana i pewna, że nowa piosenka jest tylko i wyłącznie wytworem jej talentu.

Muzyka to jedyna dziedzina, w której Sasha przejawia zdecydowanie za dużo samokrytycyzmu. Gotowanie, gust literacki, seks i inne rzeczy, z których naprawdę może być dumna, jawią się jej takie, jakie są w rzeczywistości, i tylko od

czasu do czasu pozwala sobie na jakieś przelotne zwątpienie. Jednak w stosunku do muzyki zachowuje się czasem jak zagubione dziecko; kiedy popada w zwątpienie i czarną rozpacz, bardziej niż kiedykolwiek mam ochotę wziąć ją w ramiona, przytulić i pocieszyć — choć właśnie wtedy najczęściej odpycha mnie od siebie i wali po dłoniach fletem, smyczkiem czy jakąś inną poręczną bronią z arsenału muzyka.

Uważam, że każdy związek można wzbogacić drobną miarą neurotycznych zachowań. Ja sam bez wątpienia także nie skąpię tej przyprawy.

Włożyłem do kieszeni magnetofonu kasetę, którą znalazłem obok rozkładających się zwłok Lelanda Delacroix w kuchni bungalowu w Umarłym Miasteczku.

Odsunąłem krzesło od stołu do komponowania i za pomocą pilota uruchomiłem magnetofon.

Przez pół minuty słyszeliśmy tylko szum niezapisanej taśmy, przesuwanej się po głowicy odtwarzającej. Delikatny trzask i wyraźna zmiana natężenia dźwięku poinformowały nas, że zaczęło się właściwe nagranie. Przez dłuższą chwilę słyszeliśmy tylko, jak ktoś — przypuszczalnie Delacroix — oddycha głęboko, jakby brał udział w seansie aromaterapii.

— Miałem nadzieję, że to będzie jakaś rewelacja, a nie respiracja — mruknął Bobby.

Odgłos zapisany na taśmie był całkiem zwyczajny, niezniekształcony strachem, złością czy jakimikolwiek emocjami. Mimo to przejmował mnie zimnym dreszczem, podnosił włosy na karku, jakby ktoś stał tuż za moimi plecami i dmuchał prosto na mnie.

— On próbuje się uspokoić — powiedziałem. — Oddycha głęboko, żeby się opanować.

Po chwili moje przypuszczenia znalazły potwierdzenie; oddech stał się szybszy, nieregularny. Delacroix stracił kontrolę nad emocjami i zaczął płakać, próbował opanować łkanie, zakrztusił się jednak własnym cierpieniem. Wreszcie wybuchnął głośnym szlochem, przerywanym okrzykami rozpacz i bólu.

Choć nigdy nie znałem tego człowieka, nie mogłem spokojnie znieść tej rozpacz, przysłuchiwać się jego cierpieniom. Na szczęście nie trwało to długo, bo Delacroix wyłączył magnetofon.

Kolejny trzask obwieścił początek nowego nagrania. Tym razem Delacroix zdołał opanować się na tyle, by normalnie mówić. Jego przeładowany emocjami głos od czasu do czasu załamywał się raptownie. Kiedy Delacroix był już na krawędzi płaczu, przerywał, by wziąć kilka głębokich oddechów albo pociągnąć łyk jakiegoś napoju, zapewne whisky.

„To jest ostrzeżenie. Testament. Mój testament. Przestroga dla świata. Nie wiem, od czego zacząć. Zacznę od najgorszego. Oni nie żyją, ja ich zabiłem. Ale tylko tak mogłem ich uratować. Tylko tak mogłem ich uratować. Musicie zrozumieć... Zabiłem, bo ich kochałem. Boże, przebacz mi. Nie mogłem pozwolić im cierpieć, nie mogłem pozwolić, by byli wykorzystywani. Wykorzystywani. Boże, nie mogłem pozwolić, by byli wykorzystywani w ten sposób. Nie miałem innego wyjścia...”.

Przypomniałem sobie zdjęcia ułożone przy zwłokach Delacroix. Uśmiechnięta, szczerbata dziewczynka. Chłopiec w niebieskim garniturze i czerwonej muszce. Ładna blondynka z ujmującym uśmiechem. Podejrzywałem, że to właśnie oni

musieli zginąć, gdyż śmierć mogła ich uratować.

„Wszyscy mieliśmy te same objawy. Zaczęło się tamtego popołudnia, w niedzielę. Następnego dnia mieliśmy iść do lekarza, ale... Łagodna gorączka. Dreszcze. I od czasu do czasu to... trzepotanie... to dziwne trzepotanie w piersiach... czasami w żołądku, w brzuchu, potem znowu w szyi, wzdłuż kręgosłupa... trzepotanie, jakby jakiś drgający nerw albo palpacje serca, albo... nie, to coś innego. Boże, nie potrafię tego wyjaśnić... nie dokuczliwe... delikatne... delikatne trzepotanie, ale takie... niepokojące... mdłości... nie mogliśmy jeść...”.

Delacroix znów przerwał na moment. Uspokoił oddech. Pociągnął łyk napoju.

„Prawda. Muszę powiedzieć całą prawdę. Nie poszliśmy nazajutrz do lekarza. Musiałbym zadzwonić do Nadzoru Projektu. Powiedzieć im, że to się nie skończyło. Choć minęły już ponad dwa lata, to wcale się nie skończyło. Wiedziałem. Czuję, że to nie był koniec. Wszyscy czuliśmy się tak samo, i to uczucie nie było podobne do niczego, co przeżyliśmy dotąd. Jezu, wiedziałem. Byłem zbyt wystraszony, żeby stawić temu czoło, ale wiedziałem. Nie wiedziałem co, ale byłem pewien, że to Wyvern wraca do mnie w jakiś sposób, jakiś nieodgadniony sposób, Jezu, Wyvern wraca do mnie po tym wszystkim. Maureen kładła Lizzie do łóżka, okrywała ją kołdrą... i nagle Lizzy zaczęła... ona... ona zaczęła krzyczeć...”.

Delacroix pociągnął kolejny, tym razem dłuższy łyk. Potem odstawił z trzaskiem szklane naczynie.

„Siedziałem w kuchni i usłyszałem moją Lizzie... moją małą Lizzie, była taka wystraszona... tak przeraźliwie krzyczała.

Pobiegłem... pobiegłem do jej sypialni. A ona... ona... miała konwulsje... rzucała się po całym łóżku... kopała... wymachiwała małutkimi piąstkami. Maureen nie mogła jej utrzymać. Pomyślałem... konwulsje... bałem się, że odgryzie sobie język. Przytrzymałem ją... przycisnąłem do łóżka. Kiedy otworzyłem jej usta, Maureen zwinęła skarpetkę... chciała jej użyć... jak tamponu, włożyć do ust Lizzie, żeby nie ugryzła się w język. Ale tam coś było... coś w jej ustach... nie język, coś w gardle... ta rzecz wysuwała się z jej gardła, coś żywego w jej krtani. I... i potem... potem zamknęła oczy... zacisnęła mocno powieki... a kiedy... kiedy je otworzyła... jej lewe oko było jasnoczerwone... nabiegłe krwią... i w jej oku też było coś żywego, jakieś cholerne stworzenie... wiło się...”.

Tłumiąc spazmatyczny szloch, Delacroix wyłączył magnetofon. Jeden Bóg wie, ile czasu minęło, nim biedak zdołał się opanować. Oczywiście na taśmie nie było żadnej przerwy, tylko seria trzasków, kiedy magnetofon został wyłączony i ponownie uruchomiony.

„Pobiegłem do naszego pokoju... po rewolwer... wracając, zajrzałem do Freddiego... stał przy łóżku. Freddie... miał szeroko otwarte oczy... bał się. Powiedziałem mu, żeby... położył się do łóżka i czekał na mnie. W pokoju Lizzie... Maureen stała oparta plecami o ścianę, przyciskała dłonie do skroni. Lizzie... och, ona wciąż... wciąż się rzucała... jej twarz... jej twarz była cała opuchnięta... zniekształcona... nawet kości... to nie była już Lizzie... Straciłem nadzieję. To było to cholerne miejsce, druga strona, to coś przechodziło przez Lizzie jak przez drzwi. Przechodziło. O Boże, jak ja siebie nienawidzę. Nienawidzę sam

siebie. Byłem częścią tego wszystkiego. To ja otworzyłem drzwi, otworzyłem drzwi do tamtego miejsca, ściągnąłem je tutaj. Otworzyłem drzwi. A teraz moja biedna Lizzie... więc musiałem... więc... więc strzeliłem... strzeliłem do niej... strzeliłem dwa razy. Umarła, leżała spokojnie na łóżku, taka mała i taka spokojna... ale nie wiedziałem, czy to coś nadal w niej żyło, żyło w niej, choć ona już umarła. A Maureen... Maureen ścisnęła głowę obiema rękami... powiedziała: «Trzepotanie», a ja wiedziałem, że ona chce powiedzieć... że to jest teraz we wnętrzu jej głowy, bo ja też to czułem, trzepotanie wzdłuż kręgosłupa... trzepotanie złączone z tym... z tym, co było w Lizzie, co nadal było w Lizzie... A Maureen powiedziała... najbardziej zdumiewającą... powiedziała najbardziej zdumiewającą rzecz... powiedziała «Kocham cię», bo wiedziała już, co się dzieje. Mówiłem jej wcześniej o drugiej stronie, o misji, i wiedziała już, że zostałem w jakiś dziwny sposób zarażony, że to było uśpione przez te dwa lata, ale zostałem zarażony, a teraz zaraziłem też ich, zniszczyłem nas wszystkich, wszystkich, a ona o tym wie. Wie, co ja... co ja zrobiłem... i co... i co muszę zrobić teraz... więc mówi «Kocham cię», daje mi pozwolenie, a ja odpowiadam, że też ją kocham, tak bardzo, kocham ją tak bardzo, i jest mi tak strasznie przykro, ona płacze, a potem... strzeliłem do niej raz... raz, szybko, do mojej kochanej Maureen, nie pozwoliłem jej cierpieć. Potem... O Boże... potem poszedłem... z powrotem... do pokoju Freddiego. Leżał w łóżku, na plecach, spocony, pot zlepił mu włosy... trzymał się obiema rękami za brzuch. Wiedziałem, że czuje to trzepotanie... trzepotanie w brzuszku... bo ja czułem je już w piersiach i w lewym bicepsie, jak w żyłę, a potem

w jądrach, potem znowu wzdłuż kręgosłupa. Powiedziałem mu, że go kocham, poprosiłem, żeby zamknął oczy... żeby zamknął oczy... a ja mu wtedy pomogę... ulżę. Myślałem, że nie będę mógł tego zrobić... ale zrobiłem... Mój syn. Mój chłopak. Wspaniały chłopak. Obiecałem, że mu ulżę, i kiedy strzeliłem, trzepotanie w moim ciele ustało, całkowicie. Ale ja wiem, że to nie koniec. Nie jestem sam... nie jestem sam w swoim ciele... Czuję... pasażerów... coś... jakiś ciężar... obecność. Teraz jest spokojne. Spokojne, ale nie na długo. Nie na długo. Załadowałem rewolwer”.

Delacroix wyłączył magnetofon, przerwał nagranie, by odzyskać nad sobą panowanie.

Za pomocą pilota zatrzymałem taśmę. Świętej pamięci Leland Delacroix nie był jedynym, który musiał wziąć się w garść.

Bobby bez słowa wstał z miejsca i wyszedł do kuchni.

Po chwili zrobiłem to samo.

Wylewał resztkę płynu z butelki, splukując ją zimną wodą.

— Nie zakręcaj — poprosiłem.

Kiedy Bobby wyrzucił opróżnioną butelkę do kosza i otwierał lodówkę, ja podszedłem do zlewu. Co najmniej przez minutę polewałem sobie twarz zimną wodą.

Kiedy wytarłem się papierowymi ręcznikami, Bobby wręczył mi butelkę piwa. On także trzymał jedną w dłoni.

Chciałem wrócić do Wyvern w dobrej formie, z niezmańczonym umysłem. Jednak po tym, co usłyszałem, i zważywszy na to, czego jeszcze miałem się dowiedzieć, mógłbym zapewne wypić cały sześciopak i nie poczuć żadnych efektów.

— To cholerne miejsce ta druga strona — powiedział Bobby,

cytując Delacroix.

— To tam, gdzie był Hodgson.

— I skąd wrócił, kiedy go zobaczyliśmy.

— Może Delacroix oszalał, wymyślił sobie to wszystko, zabił rodzinę bez powodu?

— Nie.

— Myślisz, że to, co zobaczył w gardle swojej córki, w jej oku... że to istniało naprawdę?

— Jestem pewien.

— Ja też. Te stworzenia w skafandrze Hodgsona... myślisz, że to właśnie to trzepotanie?

— Może. Albo coś gorszego.

— Gorszego — powtórzyłem, nie będąc nawet w stanie wyobrazić sobie czegoś podobnego.

— Coś mi się wydaje, że to miejsce po drugiej stronie to niezły cyrk.

Wróciliśmy do jadalni. Bobby ponownie usiadł na stołku wiolonczelisty. Ja na krześle przy stole do komponowania. Po chwili wahania uruchomiłem magnetofon.

W drugiej części nagrania nastrój Delacroix uległ wyraźnej zmianie. Nie dawał się już tak łatwo ponosić emocjom. Od czasu do czasu robił krótkie przerwy, by zapanować nad drzeniem głosu, by uspokoić nerwy, mówił jednak składniej niż poprzednio.

„W garażu przechowuję narzędzia ogrodnicze, mam też zbiornik ze Spectracide, środkiem na owady. Przyniosłem go do domu i wylałem wszystko na trzy ciała. Nie wiem, czy to ma sens. Nic... nic się w nich nie poruszało. To znaczy, w tych ciałach.

Poza tym to nie są owady. Nie wiemy nawet, co to jest. Nikt nie wie. Mnóstwo wielkich teorii. Może one są czymś... metafizycznym. Jak sądzisz? Potem ściągnąłem trochę benzyny z samochodu. Mam też zapasowy kanister z paliwem. Użyję go do rozpalenia ognia, nim... nim skończę ze sobą. Nie oddam naszych ciał na pastwę tych przemądrzałych facetów z Nadzoru. Na pewno zrobiliby coś głupiego. Na przykład sekcję. Roznieśliby to paskudztwo. Zadzwonię do Nadzoru, kiedy wyślę do ciebie tę kasetę, kiedy podłożę ogień i... zabiję się. Teraz jestem już spokojny. Bardzo spokojny. Na razie. Jak długo? Chciałbym wierzyć, że...”.

Delacroix przerwał w pół zdania, wstrzymał oddech, jakby nasłuchiwał czegoś, a potem wyłączył magnetofon.

Zatrzymałem taśmę.

— Nie wysłał nikomu tej kasety.

— Rozmyślił się. Co on miał na myśli, kiedy mówił o metafizyce?

— To było moje następne pytanie — odparłem.

Kiedy Delacroix ponownie uruchomił nagrywanie, jego głos był cięższy, mówił wolniej, jakby pogodził się z losem, jakby spadł na samo dno rozpaczy, gdzie nic nie mogło go już bardziej przerazić ani zasmucić.

„Wydawało mi się, że usłyszałem coś w sypialni. Wyobraźnia. Ciała są... tam, gdzie je zostawiłem. Nieruchome. Całkiem nieruchome. To tylko wyobraźnia. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że ty nie wiesz nawet, o czym mówię. Zacząłem w złym miejscu. Mam ci tak wiele do powiedzenia, tak bardzo chciałbym, żebyś rozdmuchał to na cały kraj, ale mam zbyt mało czasu.

Dobrze. Zaczę od najważniejszego. W Forcie Wyvern prowadzono tajny projekt badawczy. Nazwano go Magiczny Pociąg. Bo myśleli, że to będzie taka magiczna, tajemnicza wycieczka. Idioci. Megalomani. Byłem jednym z nich. Koszmarny Pociąg to byłaby znacznie lepsza nazwa. Piekielny Pociąg — jeszcze bliższa prawdy. A ja cieszyłem się, że mogę wsiąść do niego razem z innymi. Nie zasłużyłem sobie na żadne pochwały, bracie. Nie ja. Podam ci nazwiska najważniejszych ludzi z tego zespołu. Nie wszystkich. Tylko tych, których znałem, a właściwie, których pamiętam do dzisiaj. Kilku zmarło. Większość żyje nadal. Może jeden z nich zdecyduje się mówić, jeden z tych wysoko postawionych dupków, który wiedział znacznie więcej ode mnie. Wszyscy są na pewno porządnie wystraszeni, a niektórych na pewno dręczą wyrzuty sumienia. Ty zawsze dobrze radziłeś sobie z wyszukiwaniem takich ludzi”.

Delacroix wymienił nazwiska ponad trzydziestu osób, podając stopnie, wyjaśniając jednocześnie, kto z nich był naukowcem, kto zaś oficerem amerykańskiej armii: doktor Randolph Josephson, doktor Sarabjit Sanathra, doktor Miles Bennell, generał Deke Kettleman...

Nie było wśród nich mojej matki.

Rozpoznałem tylko dwa nazwiska. Pierwsze należało do Williama Hodgsona — był to bez wątpienia ten sam biedak, którego mieliśmy okazję zobaczyć w jajowatej sali. Drugim był doktor Roger Stanwyk, który wraz ze swą żoną Mary mieszkał w domu przy mojej ulicy, zaledwie siedem numerów dalej. Doktor Stanwyk, biochemik, był jednym z kolegów mojej mamy, związanym z eksperymentami genetycznymi, które

przeprowadzano w laboratoriach Wyvern. Jeśli projektu Magiczny Pociąg nie prowadziła moja mama, to doktor Stanwyk pobierał podwójną gażę i przyczynił się do zniszczenia tego świata w znacznie większym stopniu niż większość pracowników naukowych fortu.

Delacroix mówił coraz ciszej i coraz mniej wyraźnie, wymieniając ostatnie pięć czy sześć nazwisk. Pod koniec z trudem już wydobywał z siebie głos, jakby język przywarł mu nagle do podniebienia. Nie byłem pewien, czy podał już wszystkie nazwiska, czy też po prostu nie mógł dalej mówić.

Milczał przez pół minuty. Potem, jakby naładowany nową porcją energii, wypowiedział szybko coś, co brzmiało jak kilka zdań w zupełnie obcym języku. Wreszcie wyłączył magnetofon.

Zatrzymałem taśmę i spojrzałem na Bobby'ego.

— Co to było?

— Nie mam pojęcia.

Cofnąłem taśmę i jeszcze raz wysłuchaliśmy uważnie ostatniego fragmentu.

Nie był to żaden ze znanych mi języków. Choć równie dobrze Delacroix mógł stracić kontrolę nad umysłem i wyrzucać z siebie jakieś bezsensowne zbitki głosek, byłem przekonany, że to, co mówi, nie jest pozbawione znaczenia, i choć samego języka nie zrozumiałem, jego rytm i melodia wydawały się znajome.

Głosem przygnębionym, ciężkim Delacroix wypowiadał długą listę nazwisk związanych z projektem Magiczny Pociąg. Teraz jednak mówił szybko i głośno, z pasją, co potwierdzałoby moje przypuszczenia, że nie jest to tylko paplanina idioty. Z drugiej jednak strony, ludzie przemawiający w religijnym uniesieniu

także okazują emocje, mówią płynnie i głośno, lecz ich język nie niesie żadnego przesłania.

Kiedy Delacroix znowu zaczął nagrywać, powrócił do płaskiego, ciężkiego od rozpaczony tonu. Jego głos, cichy, graniczący z szeptem, był esencją beznadziei.

„Nagrywanie tej kasy nie ma sensu. Nic nie zmieni tego, co się stało. Nie ma już powrotu. Świat został wytrącony z równowagi. Zasłony zdarte. Rzeczywistości się przenikają”.

Delacroix zamilkł. Ciszę przerywał jedynie delikatny szum taśmy.

Zasłony zdarte. Rzeczywistości się przenikają.

Spojrzałem na Bobby'ego. Wydawał się równie oszołomiony jak ja.

„Relokator czasowy. Tak to nazywali”.

Ponownie zerknąłem na Bobby'ego, a ten pokiwał głową z ponurą satysfakcją.

— Wehikuł czasu.

„Wysłaliśmy najpierw aparaty testowe, zespoły instrumentów. Niektóre wróciły, inne nie. Intrygujące, ale tajemnicze dane. Dane tak dziwne, że musiały pochodzić z odległej przyszłości, bardziej odległej, niż ktokolwiek przypuszczał. Nikt nie potrafił odgadnąć, jak daleko powędrowały te aparaty, nikt nie chciał nawet zgadywać. Do następnych zespołów dołączono kamery wideo, ale kiedy wróciły, liczniki wciąż tkwiły na zerze. Może jednak coś nagrały... a potem, wracając, cofnęły się do początku, wymazały wszystko. Ale w końcu otrzymaliśmy zdjęcia. Aparaty testowe miały się poruszać jak pojazdy wysłane na Marsa. Ten musiał na czymś zawisnąć. Sam pojazd stał nieruchomo, ale

kamera przesuwała się poziomo między dwoma punktami, w jedną i drugą stronę. Osiem godzin taśmy, z jednej strony na drugą, od gałęzi do gałęzi jakiegoś drzewa, a między nimi niebo. Osiem godzin nieba i ani jednej chmury. Niebo było czerwone. Nie czerwone jak nasze niebo o zachodzie słońca. Jeden stały odcień czerwieni, jak błękit na naszym niebie, tyle że przez osiem godzin nic się nie zmieniło, światło nie stało się intensywniejsze ani nie straciło na sile”.

Delacroix mówił coraz ciszej, wreszcie zamilkł, nie wyłączył jednak magnetofonu.

Po długiej pauzie usłyszeliśmy zgrzyt krzesła przesuwanego po płytkach, zapewne po podłodze kuchennej, potem zaś ciężkie kroki. Delacroix ciągnął stopy po ziemi, jakby fizycznie przygnięciony ciężarem rozpacz. Po chwili kroki ucichły w oddali.

— Czerwone niebo — powtórzył Bobby w zamyśleniu.

„Martwa i straszna czerwień”, pomyślałem, przypominając sobie fragment wiersza Coleridge’a *The Rime of the Ancient Mariner*. Był to mój ulubiony wiersz w czasie, gdy miałem dziewięć, dziesięć lat i fascynowało mnie to, co mroczne, groźne, tajemnicze. Teraz podobna literatura nie pociągała mnie specjalnie — z tych samych względów, dla których niegdyś ją uwielbiałem.

Przez chwilę słuchaliśmy tylko ciszy nagranej na taśmie, potem dobiegł nas głos Delacroix, przytłumiony, dochodzący zapewne z innego pokoju.

Zwiększyłem głośność, ale nadal nie mogłem zrozumieć, co mówi ten człowiek.

— Z kim on rozmawia? — zastanawiał się Bobby.

— Może ze sobą.

— Może ze swoją rodziną.

Ze swoją martwą rodziną.

Delacroix musiał przechadzać się po domu, bo jego głos to cichł, to znów przybierał na sile.

W pewnym momencie przeszedł przez kuchnię, ponieważ słyszeliśmy go na tyle wyraźnie, by zrozumieć, że znów mówi w tym dziwnym języku. Przemawiał z pasją i siłą, których brakowało mu, gdy siedział przed mikrofonem.

Wreszcie umilkł, a po chwili powrócił do magnetofonu. Wyłączył go i, jak przypuszczam, przewinął, by sprawdzić, na czym skończył swe opowiadanie. Znów powrócił do powolnego, ciężkiego tonu człowieka pozbawionego jakiegokolwiek nadziei.

„Analiza komputerowa potwierdziła, że niebo rzeczywiście było czerwone. Że nie był to błąd w systemie nagrywania. A drzewa, które widzieliśmy na taśmie... miały kolor szary i czarny. Nie zakrywał ich cień. To były ich prawdziwe barwy. Kory. Liści. Głównie czarny z jaśniejszymi, szarymi plamami. Nazwaliśmy je drzewami nie dlatego, że wyglądały jak znane nam drzewa, lecz dlatego, że było to pierwsze skojarzenie, jakie przyszło nam do głowy. Gładkie... mięsiste... właściwie bardziej przypominały ciało zwierzęcia niż roślinę. Może to był jakiś rodzaj grzyba. Nie wiem. Nikt nie wiedział. Osiem godzin nieruchomego, czerwonego nieba, osiem godzin nieruchomych drzew — a potem coś na niebie. Coś leciało po niebie. Ta rzecz. Leciła nisko, bardzo szybko. Widzieliśmy to tylko przez kilka sekund, niewyraźnie ze względu na prędkość. Powiększyliśmy

obraz. Poddaliśmy obróbce komputerowej. Wciąż nie było wyraźne. Dość wyraźne. Pojawiło się wiele opinii, wiele interpretacji. Spory. Debaty. Ja wiedziałem, co to jest. Myślę, że większość z nas wiedziała, przeczuwała to od chwili, gdy zobaczyliśmy tę rzecz w powiększeniu. Po prostu nie mogliśmy tego zaakceptować. Blokada psychologiczna. Zmagaliśmy się z prawdą, aż prawda została za nami i nie musieliśmy już na nią patrzeć. Oszukiwałem wtedy siebie samego jak wszyscy, ale teraz już się nie oszukuję”.

Znów umilkł. Cichy chlupot wskazywał na to, że nalewa sobie czegoś do szklanki. Pociągnął łyk.

Bobby i ja przytknęliśmy do ust butelki z piwem.

Ciekaw byłem, czy można dostać piwo w tym świecie czerwonego nieba i mięsistych czarnych drzew. Choć lubię czasami wypić butelkę czy dwie, potrafiłbym się obyć i bez piwa. Teraz jednak ta corona, którą trzymałem w dłoni, była dla mnie ucieleśnieniem niezliczonych przyjemności dnia codziennego, wszystkiego, co mogliśmy stracić przez zwykłą głupotę i arogancję. Trzymałem ją więc mocno, jakby była cenniejsza od diamentów — bo w pewnym sensie tak właśnie było.

Delacroix znów zaczął mówić niezrozumiałym językiem. Tym razem mamrotał pod nosem wciąż te same słowa, powtarzał je bez końca niczym jakąś modlitwę. Podobnie jak poprzednio, choć sam język pozostawał niezrozumiały, jego melodia i rytm przywoływały jakieś dziwne skojarzenia, które przejmowały mnie zimnym dreszczem.

— Upił się albo oszalał — orzekł Bobby. — Albo i jedno, i drugie.

Kiedy zacząłem się już martwić, że Delacroix nie dokończy swej opowieści, ten znów przeszedł na angielski.

„Nie powinniśmy wysłać tam ludzi. W ogóle nie było tego w planie. Przynajmniej w ciągu najbliższych lat, może nigdy. Ale w Wyvern stworzono jeszcze jeden projekt, właściwie jeden z wielu, gdzie coś poszło nie tak. Nie wiem co. Jakaś wielka katastrofa. Większość projektów, moim zdaniem... to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Ale w tym jednym coś poszło aż za dobrze. Ważniacy na górze robili w portki ze strachu. Wtedy zaczęli nas naciskać, kazali przyspieszyć Magiczny Pociąg. Chcieli przyjrzeć się z bliska przyszłości. Sprawdzić, czy w ogóle istnieje jakaś przyszłość. Oczywiście nie powiedzieli tego tak otwarcie, ale wszyscy ludzie z projektu byli pewni, że właśnie o to im chodzi. Chcieli przekonać się, czy tamten spieprzony projekt będzie miał jakieś poważne konsekwencje w przyszłości. Więc choć wszyscy, prawie wszyscy, byli temu przeciwni, wysłaliśmy pierwszą ekspedycję”.

Znów długa pauza.

I kolejna jednostajna modlitwa w nieznanym języku.

— To twoja mama, bracie — powiedział Bobby. — Ten drugi projekt, który tak wystraszył tych ważniaków z góry.

— Więc ona nie miała nic wspólnego z Magicznym Pociągiem.

— Pociąg to był tylko... rekonesans. Albo przynajmniej tym miał być na początku. Ale tam też coś się popieprzyło. Może nawet bardziej niż w projekcie twojej mamy.

— Jak myślisz, co było na tej taśmie? — spytałem. — Ta latająca rzecz.

— Mam nadzieję, że Delacroix nam powie.

Szeptana litania ciągnęła się jeszcze przez minutę czy dwie, a potem Delacroix niespodziewanie wyłączył magnetofon.

Kiedy ponownie rozpoczął nagrywanie, znajdował się już w innym miejscu. Jakość dźwięku nie była już tak dobra jak poprzednio, a w tle słychać było jednostajne buczenie.

— Silnik samochodu — orzekł Bobby.

Warkot silnika, delikatny szum wiatru i pomruk opon toczących się po asfalcie; Delacroix jechał samochodem.

Zgodnie z danymi wypisanymi na prawie jazdy Delacroix mieszkał w Monterey, kilka godzin w górę wybrzeża. Zapewne tam zostawił ciała najbliższych.

Znów usłyszeliśmy szept. Delacroix mówił do siebie tak cicho, że dopiero po chwili rozpoznaliśmy ów niezrozumiały, dziwny język. Stopniowo szept cichł, wreszcie zlał się w jedno z szumem motoru.

Po kilku sekundach, kiedy zaczął mówić głośniej i po angielsku, jego głos nie był tak wyraźny, jak byśmy sobie życzyli. Mikrofon znajdował się zbyt daleko od jego ust. Magnetofon leżał zapewne na sąsiednim fotelu albo, co bardziej prawdopodobne, nad deską rozdzielczą.

Rozpacz ponownie ustąpiła miejsca przerażeniu. Mówił szybciej, od czasu do czasu przerywał, by uspokoić nerwy.

„Jestem na autostradzie numer 1, jadę na południe. Pamiętam, jak wsiadałem do samochodu, ale... nie pamiętam, kiedy zajechałem tak daleko. Połałem ich benzyną. Podpaliłem. Pamiętam to jak przez mgłę. Nie wiem, dlaczego... dlaczego nie zabiłem się sam. Ściągnąłem pierścionek i obrączkę z jej palca. Zabrałem kilka zdjęć z albumu. To coś nie chciało, żebym to

robił. Ale ja... nie poddałem się. Wziąłem też magnetofon. Ono też tego nie chciało. Chyba wiem, dokąd jadę. Chyba już wiem”.

Delacroix zapłakał.

— Traci kontrolę — powiedział Bobby.

— Ale nie taką, o której myślisz.

— Jak to?

— On nie traci zmysłów. To... coś przejmuje kontrolę nad nim.

Kiedy słuchaliśmy płaczu Delacroix, Bobby spytał:

— Chcesz powiedzieć, że opanowało go...?

— Tak.

— To trzepotanie.

— Tak.

„Wszyscy zginęli. Wszyscy z pierwszej ekspedycji. Trzech mężczyzn, jedna kobieta. Blake, Jackson, Chang i Hodgson. Wrócił tylko jeden. Tylko Hodgson. Tyle że to nie Bill Hodgson siedział w skafandrze”.

Delacroix krzyknął nagle z bólu, jakby ktoś ugodził go nożem.

Przeraźliwy krzyk zamienił się raptownie w gwałtowną, zdumiewającą listę przekleństw; Delacroix wyrzucał z siebie wszystkie znane mi wulgaryzmy oraz drugie tyle wyrażen, których nie miałem dotąd okazji poznać, strumień najgorszych, najpodlejszych wyzwisk. Ta niepowstrzymana lawina brudów wylewała się z głośników z taką siłą, z taką wściekłością i nieopisanym gniewem, że czułem niemal, jak napiera na mnie, pozbawia tchu.

Najwyraźniej temu popisowi obsceniczej elokwencji towarzyszyły nieprzewidziane manewry na drodze, gdyż w tle słychać było głośne trąbienie mijanych samochodów.

Nagle w samochodzie znów zapadła cisza. Ustało trąbienie. Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do naszych uszu, był głośny, rwany oddech Delacroix. Potem znów usłyszeliśmy jego głos:

„Kevin, może pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, że sama nauka nie może nadać naszemu życiu głębszego znaczenia. Powiedziałeś, że życie stałoby się nie do zniesienia, gdyby nauka znalazła wyjaśnienie wszystkich zjawisk, gdyby odarła świat z tajemnicy. Powiedziałeś, że wszyscy bardzo potrzebujemy tej tajemnicy. Że w niej jest nadzieja. Takie jest twoje zdanie. Cóż, to, co widziałem po drugiej stronie... Kevin, to, co widziałem po drugiej stronie, to tajemnica, której nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć. Wszechświat jest dziwniejszy, niż kiedykolwiek przypuszczaliśmy... a jednocześnie jest dziwnie podobny do naszych najbardziej prymitywnych wyobrażeń”.

Delacroix jechał w ciszy przez minutę czy dwie, po czym znowu zaczął mówić do siebie coś w tym dziwnym języku.

— Kim jest Kevin? — zastanawiał się Bobby.

— Może to jego brat? Przedtem zwrócił się do niego w ten sposób. Może Kevin jest reporterem w jakiejś gazecie.

Nie przerywając swych dziwacznych modłów, Delacroix wyłączył magnetofon. Bałem się, że będzie to już koniec jego testamentu, jednak po chwili znów usłyszeliśmy głos:

„Wpompowaliśmy cyjanowodór do kapsuły relokacyjnej. Ale gaz nie zabił Hodgsona, a raczej tego, co żyło w jego skafandrze”.

— Kapsuła relokacyjna — powtórzył Bobby.

— Jajowata sala — domyśliłem się.

„Wypompowaliśmy stamtąd całe powietrze. W kapsule

panowała próżnia, a Hodgson wciąż żył. Bo to nie jest życie... nie to, co nazywamy życiem. To jest antyżycie. Włączyliśmy kapsułę, rozpoczęliśmy nowy cykl i wysłaliśmy to, co zamieszkało w Hodgsonie, tam skąd przyszło”.

Wyłączył magnetofon. Okazało się, że jego testament zawiera jeszcze cztery fragmenty, a każdy z nich wypowiedany był coraz bardziej przerażonym głosem. Domyśliłem się, że to zapis tych nielicznych chwil, kiedy Delacroix mógł jeszcze normalnie myśleć.

„W drugiej ekspedycji było nas ośmiu. Czterech wróciło. Jeden z nich to ja. Nie byliśmy zarażeni. Lekarze orzekli, że nie jesteśmy zarażeni. Ale teraz...”.

Krótką przerwa i następną część:

„...zarażony czy nawiedzony? Wirus? Pasożyt? A może coś poważniejszego, głębszego? Czy jestem nosicielem, czy też... przejściem? Czy coś jest we mnie... czy przeze mnie przechodzi? Czy jestem... otwierany... otwierany jak drzwi?”.

Kolejny fragment był jeszcze mniej spójny:

„...nigdy nie wędrowaliśmy do przodu... wędrowaliśmy w bok. Nie mieliśmy nawet pojęcia, że jest jeszcze droga w bok. Bo wszyscy już dawno temu... przestaliśmy o tym myśleć... przestaliśmy w to wierzyć...”.

Wreszcie:

„...będę musiał porzucić samochód... pójść... ale nie tam, gdzie to chce. Nie do kapsuły relokacyjnej. Nie zrobię tego, jeśli tylko będę mógł się oprzeć. Pójdę do domu. Do domu. Czy mówiłem ci już, że oni wszyscy zginęli? Pierwsza ekspedycja? Czy kiedy pociągnę za spust... czy zamknę drzwi... czy otworzę je na dobre?”

Mówiłem ci już, co widziałem? Mówiłem ci już, kogo widziałem? Opowiadałem ci o ich cierpieniu? Wiesz, co lata i pełza? Pod tym czerwonym niebem? Czy mówiłem ci już o tym? Skąd ja się tutaj wzięłem? Tutaj?”.

Ostatnie słowa nagrania wypowiedziane były w obcym języku.

Podniosłem butelkę z piwem do ust i dopiero wtedy odkryłem, że jest pusta.

— Więc to miejsce z czerwonym niebem, z czarnymi drzewami to przyszłość twojej mamy, bracie? — spytał Bobby.

— Delacroix mówił o podróży w bok.

— Ale co to znaczy?

— Nie wiem.

— A oni wiedzieli.

— Nie wydaje mi się — odparłem, włączając przewijanie taśmy do tyłu.

— Przyszło mi do głowy... ale to trochę dziwne...

— Kokony — odgadłem.

— To, co uplotło te kokony, myślisz, że wyszło z Delacroix?

— Albo przez niego, jak sam powiedział. Jakby był przejściem.

— Co by to miało oznaczać... Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? Z czy przez, rezultat jest ten sam.

— Myślę, że gdyby nie było tam jego ciała, nie byłoby też kokonów.

— Trzeba zebrać niezadowolonych wieśniaków i ruszyć z pochodniami na zamek — mruknął Bobby, ale jego ton był znacznie poważniejszy od słów, których użył.

Kiedy taśma przewinęła się do końca, powiedziałem:

— Jak myślisz, powinniśmy się tym zająć? Nie wiemy zbyt

wiele. Może powinniśmy kogoś zawiadomić o tych kokonach.

— Masz na myśli policję?

— Na przykład.

— Wiesz, co oni zrobią?

— Spieprzą sprawę — odparłem. — Ale przynajmniej nie będzie na nas.

— Oni nie spalą wszystkich kokonów. Założę się, że wezmą próbki do badania.

— Jestem pewien, że zachowają właściwe środki ostrożności.

Bobby roześmiał się cicho.

Ja także się uśmiechnąłem, choć był to gorzki uśmiech.

— Dobra, wpisz mnie na listę chętnych do spalenia zamku. Ale najpierw Orson i dzieciaki. Bo kiedy już podłożymy ogień, nie będziemy mogli swobodnie poruszać się po Wyvern.

Włożyłem czystą taśmę do kieszeni drugiego magnetofonu.

— Robisz kopię? — spytał Bobby.

— Nie zaszkodzi. — Kiedy uruchomiłem już oba magnetofony, odwróciłem się do niego. — Przypomniało mi się coś, co powiedziałeś dziś w nocy.

— Myślisz, że pamiętam wszystkie bzdury, jakie ci opowiadam?

— W kuchni bungalowu, obok ciała Delacroix.

— Och, już czuję ten zapach.

— Usłyszałeś coś. Popatrzyłeś na kokony.

— Mówiłem ci już. To musiało być w mojej głowie.

— Zgoda. Ale kiedy spytałem cię, co usłyszałeś, odpowiedziałeś „siebie”. Co miałeś wtedy na myśli?

Bobby miał jeszcze resztkę piwa. Nim odpowiedział, opróżnił

butelkę do końca.

— Wkładałeś kasetę do kieszeni. Mieliśmy już wychodzić. Zdawało mi się, że ktoś mówi „zostań”.

— Ktoś?

— Kilku ktosiów. Głosy. Wszystkie naraz mówiły „zostań, zostań, zostań”.

— Maurice Williams i The Zodiacs.

— Widzę, że chcesz zostać dyskdzokejem w KBAY. Tyle tylko, że... potem uświadomiłem sobie, że te wszystkie głosy były moim głosem.

— Twoim głosem?

— Ciężko to wytłumaczyć, bracie.

— Najwyraźniej.

— Słyszałem je przez osiem, dziesięć sekund. Ale nawet później... wydawało mi się, że ciągle mówią, tyle że ciszej.

— W podświadomości?

— Może. Dziwne, bardzo dziwne uczucie.

— Głosy w twojej głowie.

— Cóż, nie namawiały mnie, żebym złożył dziewicę w ofierze szatanowi czy zabił papieża.

— Tylko „zostań, zostań, zostań”. Jak natrętna myśl.

— Nie, to brzmiało raczej jak głosy z radia. Najpierw pomyślałem, że dochodzą gdzieś z budynku.

— Poświeciłeś latarką na sufit — przypomniałem mu. — Na kokony.

Małe światełka panelu magnetofonu odbijały się w jego oczach. Nie odwrócił spojrzenia, ale nie powiedział nic więcej.

Wzięłem głęboki oddech.

— Bo myślałem o tym dużo. Kiedy zadzwoniłem do ciebie z Umarłego Miasteczka, zacząłem czuć się niepewnie na otwartej przestrzeni. Więc zanim zadzwoniłem do Sashy, postanowiłem ukryć się w bungalowie, gdzie nie byłbym już tak widoczny.

— Dlaczego ze wszystkich domków wybrałeś właśnie ten? Z ciałem Delacroix w kuchni. Z kokonami.

— Właśnie nad tym się zastanawiałem.

— Ty też słyszałeś głosy? Mówiły: „Wejdz, Chris, wejdz, usiądź, wejdz, bądź naszym gościem, wkrótce się wyklujemy, chodź, będzie niezła zabawa”.

— Nie słyszałem głosów — pokręciłem głową. — Przynajmniej nic takiego nie pamiętam. Ale może nieprzypadkowo wybrałem właśnie ten dom. Może coś mnie tam przyciągnęło, zniechęciło do sąsiedniego budynku.

— Psychiczne voodoo?

— Jak pieśni, które śpiewają syreny, żeby ściągnąć żeglarzy na mieliznę.

— To nie są syreny, tylko robaki w kokonach.

— Nie wiemy, czy to robaki — odparłem.

— Na pewno nie pieski.

— Coś mi się zdaje, że wyszliśmy z tego bungalowu we właściwym momencie.

Po chwili ciszy Bobby powiedział:

— To właśnie takie rzeczy pozbawiają koniec świata całego uroku.

— Tak, zaczynam się czuć jak kawałek mięsa w basenie pełnym rekinów.

Przegrywanie dobiegło końca. Wyjąłem kasetę z kieszeni

magnetofonu i wziąłem do ręki pisak.

— Jak brzmiałby tytuł nowej piosenki Neo-Buffeta?

— Neo-Buffeta?

— Sasha pisze teraz pod takim pseudonimem. Jimmy Buffet. Tropikalne rytmy, piękne dziewczyny, zabawa w słońcu — ale z poważnymi podtekstami, odniesieniami do rzeczywistości.

— Nerki z tequili — zasugerował Bobby.

— Może być.

Wypisałem tytuł na kasecie i odłożyłem ją na półkę, gdzie Sasha trzyma swoje kompozycje. Stały tam dziesiątki opakowań podobnych do tego.

— Bracie — zaczął poważnie Bobby — gdyby przyszło co do czego, odstrzeliłbyś mi głowę, co?

— Nie ma sprawy.

— Poczekaj, aż poproszę.

— Jasne. A ty mnie?

— Powiedz tylko słówko, a już nie żyjesz.

— Na razie czuję tylko trzepotanie w żołądku.

— To chyba normalne o tej porze.

Usłyszałem serię trzasków i kliknięć, a potem skrzypienie drzwi zamykających tylne wejście w kuchni.

Bobby spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Sasha?

Wszedłem do mrocznej kuchni i zobaczyłem Manuela Ramireza w mundurze. Od razu domyśliłem się, że dźwięki, które słyszałem przed chwilą, były odgłosami odbezpieczenia broni. Ramirez stał przy stole i wpatrywał się w mojego glocka. Musiał zauważyć go natychmiast po wejściu, choć kuchnię

oświetlał tylko nikły blask świecy. Odłożyłem pistolet na stół, kiedy przyniesione przez Bobby'ego wieści o porwaniu Wendy Dulcinei wprawiły moje dłonie w drżenie.

— Drzwi były zamknięte — powiedziałem do Manuela, kiedy za moimi plecami pojawił się Bobby.

— Tak — odrzekł Manuel. Wskazał na glocka. — Kupiłeś to legalnie?

— Mój tato kupił.

— Twój tato uczył poezji.

— To niebezpieczny zawód.

— A gdzie go kupił? — spytał Manuel, podnosząc pistolet.

— W sklepie Thora.

— Masz paragon?

— Mogę poszukać.

— Nie rób sobie kłopotu.

W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące z kuchni do holu. Na progu pojawił się Frank Feeney, jeden z zastępców Manuela. Wydawało mi się, że przez moment dostrzegłem w jego oczach zasłonę jasnożółtej mgły niczym firanki na oknach, zniknęła jednak, nim mogłem się upewnić, że nie jest to tylko złudzenie.

— Znalazłem pistolet i karabin maszynowy w jeepie Hallowaya — oświadczył Feeney.

— Co jest, chłopaki, należycie do bojówek faszystowskich czy co? — błysnął dowcipem Manuel.

— Nie, chcieliśmy zapisać się na kurs poezji — odparł Bobby.
— Macie nakaz rewizji?

— Oderwij kawałek ręcznika z tej rolki — parsknął Ramirez. —

Zaraz ci wypiszę.

Za plecami Feeneya, po drugiej stronie holu stał jeszcze jeden policjant. Choć widziałem jego sylwetkę na tle kolorowych witraży, nie mogłem dojrzeć twarzy i przekonać się, kim jest ów człowiek.

— Jak się tu dostaliście? — spytałem.

Manuel patrzył na mnie dość długo, by przypomnieć mi, że nie jest już moim przyjacielem.

— Co się tu dzieje? — spytałem jeszcze raz.

— Naruszamy większość twoich praw obywatelskich — odpowiedział Ramirez, a jego uśmiech był równie ciepły jak ostrze sztyletu tkwiącego w brzuchu nieboszczyka.

19

Frank Feeney miał twarz węża, tyle że brakowało mu zębów jadowych. Nie potrzebował ich zresztą, bo jad sączył się z każdego poru jego ciała. Patrzył na innych ludzi z zimnym, okrutnym zainteresowaniem węża szukającego ofiary. Gdyby z wąskiej szpary, która zajmowała na jego obliczu miejsce ust, wysunął się nagle rozdwojony język, nikt nie byłby tym zdziwiony, nawet człowiek, który widzi go po raz pierwszy. Przed katastrofą w Wyvern Feeney był zatrutym jabłkiem w siłach policyjnych Moonlight Bay i nadal nosił w sobie dość trucizny, by jednym spojrzeniem zabić na miejscu niejedną Królową Śnieżkę.

— Chcesz, żebyśmy przeszukali mieszkanie i sprawdzili, czy nie mają jeszcze więcej broni? — spytał Manuela.

— Tak, ale nie rób dużego bałaganu. Pan Snow, ten tutaj, stracił przed miesiącem ojca. Teraz jest sierotą. Okażmy mu trochę współczucia.

Uśmiechając się z zadowoleniem, jakby zauważył właśnie smakowitą mysz albo ptasie jajo, które mogło uśmierzyć jego gadzi apetyt, Feeney odwrócił się do nas i poszedł po policjanta czekającego przy wejściu.

— Konfiskujemy broń — oznajmił Manuel.

— Wszystkie pistolety zostały legalnie zakupione. Nie używano ich podczas żadnego przestępstwa. Nie możecie ich zabierać — protestowałem. — Znam prawa, które daje mi Druga Poprawka.

— Ty też myślisz, że nie mogę tego zrobić? — spytał Bobby'ego Ramirez.

— Możesz robić, co zechcesz — odparł Bobby.

— Ten twój kolega z deski jest mądrzejszy, niż na to wygląda. — Szeryf pokiwał głową.

Testując samokontrolę Ramireza, próbując sprawdzić, czy istnieją jakieś granice bezprawia, którego dopuszczała się policja, Bobby powiedział:

— Brudny, walnięty dupek z odznaką zawsze może robić to, co zechce.

— Właśnie — zgodził się z nim Manuel.

Manuel Ramirez nie jest ani brudny, ani walnięty, ma o trzy cale mniej ode mnie, waży trzydzieści funtów więcej, jest starszy o trzy lata i ma zdecydowanie bardziej latynoskie rysy niż ja. Lubi muzykę country, podczas gdy ja urodziłem się dla rock'n'rolla. Mówi po hiszpańsku, włosku i angielsku, ja zaś znam tylko angielski i kilka łacińskich przysłów. Doskonale orientuje się w polityce, która mnie nudzi i denerwuje. Jest świetnym kucharzem, podczas gdy ja potrafię jedynie świetnie jeść. Pomimo tych i wielu innych różnic kiedyś łączyła nas szczerą przyjaźń, miłość do ludzi i świata.

Przez lata Manuel pracował tylko po zmroku, był szefem nocnej zmiany, jednak kiedy przed miesiącem umarł dotychczasowy szeryf, Lewis Stevenson, Manuel zajął jego

miejsce. W mrocznym świetle nocy, gdzie go kiedyś poznałem i gdzie się z nim zaprzyjaźniłem, Manuel Ramirez był prawdziwą iskierką światła, dobrym gliniarzem i dobrym człowiekiem. Jednak świat się zmienia, szczególnie tutaj, w nowym Moonlight Bay, i choć teraz Manuel pracuje w dzień, oddał swe serce ciemności i nie jest już tym człowiekiem, którego niegdyś znałem.

— Jest tu ktoś jeszcze? — spytał Manuel.

Słyszałem jak Feeney rozmawiał z drugim policjantem w holu, potem obaj weszli na schody.

— Odsłuchałem twoją wiadomość — zwrócił się do mnie Ramirez. — Numer rejestracyjny.

Skinąłem głową.

— Sasha Goodall była ostatniej nocy w domu Lilly Wing.

— Może urządziły przyjęcie z plastikowymi naczyniami z Tupperware.

Wyjmując magazynek z glocka, Manuel mówił:

— Wy dwaj pojawiliście się tam tuż przed świtem. Zaparkowaliście za garażem i weszliście od tyłu.

— Potrzebowaliśmy trochę plastikowych naczyń — wyjaśnił Bobby.

— Gdzie byliście przez całą noc?

— Przeglądaliśmy katalogi Tupperware — odparłem.

— Rozczarowujesz mnie, Chris.

— Myślałeś, że wolę naczynia z Rubbermaid?

— Nie wiedziałem, że taki z ciebie cwaniaczek.

— Jestem człowiekiem o wielu twarzach.

Gdybym pokornie odpowiadał na jego pytania, Manuel uznałby to za oznakę słabości i strachu, co sprowokowałoby go

do jeszcze gorszego zachowania. Obaj wiedzieliśmy, że stan wojenny, który obowiązywał faktycznie na terenie Moonlight Bay i w najbliższej okolicy, nigdy nie został oficjalnie ogłoszony. Choć najprawdopodobniej nikt nie pociągnąłby miejscowych policjantów do odpowiedzialności, gdyby ci dopuścili się jakichś rażących aktów przemocy i bezprawia, Manuel nie mógł mieć pewności, że nie poniesie żadnych konsekwencji. Poza tym kiedyś był prawnikiem, a pod grubą powłoką jego obojętności zapewne tkwiły jeszcze resztki sumienia. Cwaniackie zaczepki, którymi odpowiadaliśmy z Bobbym na jego pytania, miały mu przypominać, że jego władza nie jest całkiem legalna, że wiemy o tym równie dobrze jak on i że jeśli będzie naciskał nas zbyt mocno, może mieć kłopoty.

— A ja cię nie rozczarowuję? — spytał z żalem Bobby.

— Zawsze wiedziałem, kim jesteś — odparł Manuel, wsuwając do kieszeni magazynkę glocka.

— I vice versa. Powinieneś chyba zmienić kosmetyki, których używasz do makijażu. Prawda, że powinien je zmienić, Chris?

— Tak, na coś, co lepiej kryje — zgodziłem się z nim.

— Właśnie — zwrócił się Bobby do Manuela. — Ciągłe widzę trzy szóstki na twoim czole.

Nie odpowiadając, Manuel zatknął za pas swojego glocka.

— Sprawdziłeś numery rejestracyjne? — spytałem go.

— Fałszywy trop. Suburban został ukradziony tego samego wieczoru. Znaleźliśmy go dzisiaj, porzuconego w okolicy przystani.

— Jakież inne tropy?

— Nie wasz interes. Mam ci dwie rzeczy do powiedzenia, Chris.

Dwa powody, dla których jestem tutaj. Trzymaj się od tego z daleka.

— Czy to numer jeden?

— Co?

— Czy to pierwsza z tych dwóch rzeczy? Czy też dodatkowa rada?

— Dwie rzeczy zdołamy jakoś zapamiętać — powiedział Bobby.

— Ale jeśli masz jeszcze sporo tych dodatkowych rad, będziemy musieli robić notatki.

— Trzymaj się od tego z daleka — powtórzył Manuel, ignorując Bobby'ego. Nie widziałem w jego oczach żadnych nienaturalnych błysków, ale ton jego głosu był wystarczająco przejmujący, bym poczuł zimny dreszcz na plecach. — Nie mam już wobec ciebie żadnych zobowiązań. Następnym razem wylądujesz w pace. Ja nie żartuję, Chris.

Z góry doszedł nas głośny huk. Jakiś ciężki mebel wylądował na podłodze.

Ruszyłem w stronę holu.

Manuel zatrzymał mnie, uderzając gumową pałką o stół. Trzask był równie głośny jak wystrzał z pistoletu.

— Słyszałeś przecież, że kazałem Frankowi nie robić bałaganu. Uspokój się.

— Tu nie ma już żadnej broni — odparłem gniewnie.

— Tacy wielbiciele poezji jak wy mogą mieć cały arsenał. Dla dobra ogółu muszę sprawdzić.

Bobby opierał się plecami o kredens stojący obok kuchenki. Ręce trzymał skrzyżowane na piersiach. Wyglądał tak, jakby już całkowicie się poddał, patrzył przed siebie z rezygnacją, jego

oczy wydawały się puste i pozbawione jakichkolwiek niepokornych myśli. Taka poza bez wątpienia mogła oszukać Manuela, ale ja znałem Bobby'ego dość dobrze, by wiedzieć, że jest w tej chwili jak bomba zegarowa i że lada moment może eksplodować. Szuflada po jego prawej stronie zawierała noże, a ja byłem pewien, że nieprzypadkowo stanął właśnie obok niej.

Nie mogliśmy wygrać pojedynku w tych warunkach, poza tym musieliśmy pozostać przy życiu, by odnaleźć Orsona i zaginione dzieciaki.

Kiedy z góry dobiegł nas odgłos tłuczonego szkła, zignorowałem go, powściągnąłem gniew i zwróciłem się do Manuela:

— Lilly straciła męża. Teraz być może straci jedyne dziecko. Czy to cię w ogóle nie obchodzi? Właśnie ciebie?

— Współczuję jej.

— To wszystko?

— Gdybym mógł odnaleźć jej chłopca, zrobiłbym to.

Słyszając te słowa, wzdrygnąłem się, przeszyty zimnym dreszczem.

— Mówisz tak, jakby Jimmy już nie żył. Albo był gdzieś, skąd nie możesz go już wydostać.

Nie okazując ani odrobiny współczucia, które kiedyś stanowiło jedną z głównych cech jego charakteru, Manuel wzruszył tylko ramionami.

— Powiedziałem ci: trzymaj się od tego z daleka.

Szesnaście lat temu żona Manuela, Carmelita, umarła, rodząc drugie dziecko. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia cztery lata. Manuel nie ożenił się powtórnie, wychowywał dzieci, córkę

i syna, z miłością i dobrocią. Jego syn, Toby, ma zespół Downa. Manuel zna smak cierpienia lepiej niż większość ludzi, wie, co znaczy życie obarczone odpowiedzialnością i ograniczeniami. Mimo to, kiedy spojrzałem w jego oczy, nie potrafiłem już odnaleźć w nich współczucia, które niegdyś czyniło zeń wspaniałego ojca i policjanta.

— A co z bliźniakami Stuartów? — spytałem.

Jego okrągła twarz, przywykła raczej do śmiechu niż do gniewu, zwykle słoneczna i letnia, teraz była twarda i zimna jak lód.

— Co z Wendy Dulcineą? — pytałem dalej.

Był wyraźnie zaskoczony i rozzłoszczony. Nie przypuszczał, że wiem aż tyle.

Jego głos pozostał spokojny, jednak zwracając się do mnie, uderzał pałką w otwartą prawą dłoń.

— Posłuchaj, Chris. Ci, którzy wiedzą, co się tu stało, albo to przełykają, albo się tym krztuszą. Więc uspokój się i przełknij. Bo jeśli się zakrztusisz, nikt nie uderzy cię w plecy i nie pomoże ci wypluć tego świństwa. Wyrażam się jasno?

— Jasne. Jestem bystrym chłopakiem. Wszystko zrozumiałem. Grozisz mi śmiercią.

— Ładnie to ująłeś — zauważył Bobby. — Subtelnie, a jednocześnie dosadnie, bez zbędnych ozdobników. Chociaż ten gest, uderzanie pałką, to wyraźne naśladownictwo. Maniakalni sadyści, gestapowcy robią tak na setkach filmów. Bez tego byłbyś bardziej autentycznym faszystą.

— Pocałuj mnie w dupę.

— Wiem, że o tym marzysz. — Bobby się uśmiechnął.

Byłem pewien, że jeszcze chwila, a Manuel nie utrzyma nerwów na wodzy i uderzy Bobby'ego pałką.

Chcąc zapobiec ewentualnej konfrontacji, stanąłem pomiędzy Bobbym i Manuelem. Miałem nadzieję, że jakimś cudem uda mi się wskrzesić w moim byłym przyjacielu poczucie winy, pogrzebane na cmentarzu wielu innych uczuć.

— A jeśli próbowałbym rozdmuchać sprawę, pójść z tym do kogoś, do kogo nie powinienem iść, kto wpakuje mi kulkę w plecy, Manuel? Ty?

Na jego twarzy pojawił się wyraz szczerego bólu, gościł tam jednak tylko przez krótką chwilę.

— Nie mógłbym.

— Jak miło z twojej strony — parsknąłem. — Byłbym znacznie mniej martwy, gdyby to któryś z twoich zastępców pociągnął za spust zamiast ciebie.

— To nie jest łatwe ani dla ciebie, ani dla mnie.

— Wydaje mi się, że ty masz z tym mniejszy kłopot.

— Chroniono cię ze względu na to, kim była twoja matka, co osiągnęła. I dlatego, że kiedyś byłeś... byłeś moim przyjacielem. Ale nie przeciągaj struny, Chris.

— Czworo dzieciaków porwanych w ciągu dwunastu godzin, Manuel. Czy to aktualna cena? Czwórka dzieci za Toby'ego?

Byłem okrutny, oskarżając go o poświęcanie życia czworga dzieci w zamian za jego syna, jednak w oskarżeniu tym tkwiło ziarno prawdy.

Jego twarz pociemniała jak zgasłe węgle, a w oczach pojawił się żywy płomień nienawiści.

— Owszem. Mam syna, za którego jestem odpowiedzialny.

I córkę. I matkę. Mam rodzinę, za którą jestem odpowiedzialny. Nie jest mi tak łatwo jak tobie, samotny cwaniaczku.

Nie mogłem uwierzyć, że ludzie, którzy kiedyś byli przyjaciółmi, rozmawiają ze sobą w ten sposób.

Wszyscy policjanci w Moonlight Bay zostali jakiś czas temu skaptowani przez ludzi na wysokich stanowiskach, odpowiedzialnych za katastrofę w Wyvern. Powody, dla których Stróże prawa zdecydowali się z nimi współpracować, były różnorakie: większość czyniła to ze strachu, innymi kierował źle pojęty patriotyzm, jeszcze innymi grube pliki dolarów, które mogą pochodzić tylko z projektów finansowanych z tajnych funduszy. Co więcej, ponad dwa lata temu prawie wszyscy zmuszeni byli wziąć udział w pościgu za stadem reżusów i chorymi ludźmi zbiegłymi z laboratoriów Wyvern — podczas tej straszliwej nocy większość z nich została pokąsana, podrapana czy zarażona w inny sposób. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że wkrótce zaczną się przemieniać. Dlatego też postanowili brać udział w konspiracji, licząc na to, że kiedy uda się znaleźć lekarstwo na retrowirusa, oni dostaną je w pierwszej kolejności.

Manuela nie dało się kupić za żadne pieniądze. Fałszywe wywody i chytne argumenty nie mogły skrzywić jego patriotyzmu. Strach potrafi przywieść każdego człowieka do ostateczności, ale to nie strach zepsuł Manuela.

Badania w Wyvern doprowadziły do katastrofy, przyniosły jednak również pozytywne odkrycia. Niektóre eksperymenty pozwoliły dokonać sporego postępu w leczeniu wad genetycznych.

Manuel sprzedał duszę za nadzieję, że jedna z tych eksperymentalnych metod leczenia pomoże kiedyś Toby'emu. Marzy zapewne, że jego syn zmieni się nie tylko psychicznie, ale i fizycznie.

Być może rzeczywiście Toby rozwinie się intelektualnie. Wiemy, że niektóre z prac prowadzonych w Wyvern dotyczyły podnoszenia poziomu inteligencji i że zakończyły się sukcesem, czego żywym dowodem jest Orson.

— Co tam u Toby'ego? — spytałem.

Kiedy wymawiałem te słowa, usłyszałem za plecami cichy, lecz wiele mówiący dźwięk. Odgłos otwieranej szuflady. Szuflady z nożami.

Kiedy stanąłem pomiędzy Bobbym i Manuelem, chciałem tylko zapobiec bójce, nie zamierzałem wcale zapewniać Bobby'emu osłony. Teraz chciałem mu powiedzieć, żeby się uspokoił, jednak nie mogłem tego zrobić — Manuel z pewnością nabrałby jakichś podejrzeń.

Poza tym w niektórych sytuacjach instynkt Bobby'ego działa lepiej niż mój. Jeśli uważał, że sytuacja prowadzi nieuchronnie do użycia siły, to być może miał rację.

Najwyraźniej moje pytanie o Toby'ego zagłuszyło szmer otwieranej szuflady, ponieważ Manuel nie zareagował na to w żaden sposób.

Ogromna duma, przerażająca i wzruszająca jednocześnie, nie mogła wyprzeć z jego serca gniewu; te dwa uczucia uzupełniały się nawzajem.

— Czyta. Lepiej. Szybciej. Więcej rozumie. Lepiej radzi sobie z matematyką. I co w tym złego? Czy to przestępstwo?

Potrząsnąłem głową.

Choć niektórzy ludzie wyśmiewają się z Toby'ego albo unikają go, dla mnie jest on ucieleśnieniem łagodności. Dzięki swej zwalistej sylwetce, grubej szyi, okrągłym ramionom i krótkim nogom przypomina mi dobre gnomy z baśni, którymi zachwycałem się w dzieciństwie. Pochyłe, ciężkie czoło, nisko osadzone uszy, miękkie rysy twarzy i lekko skośne oczy nadają mu senny, leniwy wygląd, który pasuje doskonale do jego łagodnej, dobrodusznej osobowości.

Pomimo wszystkich tych ograniczeń i ułomności Toby zawsze był szczęśliwy. Obawiam się, że naukowcy z Wyvern podniosą poziom jego inteligencji na tyle, by poczuł się niezadowolony ze swego dotychczasowego życia, nie dość jednak, by zapewnić mu chociaż przeciętny współczynnik IQ. Jeśli skradną mu niewinność i obarczą kłutwą samoświadomości, która pozostawi go w bolesnym stanie ciągłego niespełnienia, Toby zostanie zniszczony, wdeptany w błoto.

Wiem dobrze, jak smakują niespełnione marzenia, pragnienia, które nigdy nie mogą się ziścić.

I choć trudno mi uwierzyć, by jakiegokolwiek metody leczenia mogły radykalnie odmienić wygląd Toby'ego, obawiam się, że ktoś jednak dokona takiej próby — a wtedy może zamienić go w coś, na co nikt nie będzie w stanie patrzeć bez odrazy. Ci, którzy nie dostrzegają piękna w twarzach ludzi z zespołem Downa, ślepi są na każdą formę piękna i tak bardzo boją się odmienności, że muszą natychmiast odwracać od niej wzrok. W każdym obliczu — nawet w tym najmniej atrakcyjnym, najbardziej pospolitym — kryje się jakiś cenny ułamek Bożej

doskonałości, której jesteśmy odbiciem, i jeśli ktoś potrafi patrzeć na nie z otwartym sercem, zobaczy zdumiewające go piękno, iskrę cudowności, która pozwala cieszyć się życiem i znajdować w nim radość. Ale czy ta iskra pozostanie w Tobym, kiedy zostanie odmieniony przez naukowców z Wyvern, kiedy ci spróbują stworzyć go na nowo na swoje podobieństwo?

— Teraz ma przed sobą przyszłość — powiedział Manuel.

— Nie odrzucaj swojego chłopca — prosiłem.

— Daję mu szansę, której dotąd nie miał.

— On już nie będzie twój.

— Wreszcie będzie tym, kim miał być.

— On już jest tym, kim miał być.

— Co ty możesz wiedzieć o cierpieniu — odparł gorzko Manuel. Mówił o własnym cierpieniu. Toby nie cierpiał, Toby jest pogodzony ze światem. A przynajmniej był.

— Zawsze kochałeś go za to, kim jest — powiedziałem.

W jego głosie pojawiło się lekkie drżenie:

— Pomimo tego kim jest.

— Nie jesteś uczciwy względem samego siebie. Wiem, co czułeś do niego przez te wszystkie lata. Kochałeś go. Szanowałeś.

— Gównu wiesz o tym, co wtedy czułem. Gównu — powtórzył, dźgając pałką powietrze, jakby chciał w ten sposób podkreślić celność swych słów.

Ze smutkiem, który ciążył mi na sercu niczym wielki kamień, powiedziałem:

— Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście nie rozumiałem tego, co czujesz do swojego syna, to znaczy, że w ogóle cię nie znałem.

— Może i tak było. — Manuel wzruszył ramionami. — A może

nie potrafisz pogodzić się z myślą, że Toby będzie miał życie bardziej normalne od twojego. Wszyscy lubimy mieć pod bokiem kogoś, kim możemy pogardzać, prawda, Chris?

Te słowa wbiły się w moje serce niczym cierń. Siła jego złości ujawniała tak głębokie pokłady strachu i bólu, że nie miałem nawet siły odpowiadać na te podłe zarzuty. Zbyt długo byliśmy przyjaciółmi, bym mógł go teraz znienawidzić. Odczuwałem tylko żal.

Manuel był pijany nadzieją. Przyjmowana w rozsądnych dawkach, nadzieja podtrzymuje nas przy życiu. Jednak jej nadmiar zaburza percepcję, stępia umysł i oszalała w nie mniejszym stopniu niż heroina.

Nie wierzę, bym przez te wszystkie lata źle osądzał Manuela. Teraz, zaślepiony nadzieją, zapomniał o tym, co kochał kiedyś, i większą miłością darzył ideał niż rzeczywistość. Właśnie to jest przyczyną ogółu nieszczęść, które ściąga na siebie ludzkość.

Na schodach znów rozległy się kroki policjantów. Spojrzałem w stronę holu akurat w momencie, gdy pojawił się tam Feeney ze swoim towarzyszem. Feeney poszedł do salonu, drugi policjant do gabinetu. Obaj zapalili światło i przekręcili regulatory natężenia do maksimum.

— Więc jak brzmi druga wiadomość, którą chciałeś mi przekazać? — zwróciłem się do Ramireza.

— Wkrótce nad tym zapanują.

— Nad czym?

— Nad tą zarazą.

— Jak? — parsknął Bobby. — Poleją wszystkich odkażaczem?

— Niektórzy ludzie są na to odporni.

— Nie wszyscy — mruknął Bobby, kiedy z salonu dobiegł brzęk tłuczonego szkła.

— Ale udało im się wyodrębnić substancję, która uodparnia na retrowirusa — wyjaśnił Manuel. — Wkrótce pojawi się szczepionka i lekarstwo dla tych, którzy są już zainfekowani.

Pomyślałem o porwanych dzieciakach, jednak nie wspomniałem o nich ani słowem.

— Niektórzy nadal się przemieniają — powiedziałem.

— Ale my wiemy już, że bardziej się nie zmieniają.

Starałem się zapanować nad falą ogromnej nadziei, od której zakręciło mi się w głowie.

— Bardziej? To znaczy jak?

— Jest pewien próg... Oni świadomi są zmian, jakie w nich zachodzą. Są przerażeni. Boją się samych siebie. Nienawidzą samych siebie. Ta nienawiść i strach prowadzi ich do szaleństwa, narasta, aż... implodują psychicznie.

— Psychiczna implozja? A co to ma, u diabła, znaczyć? — Nagle zrozumiałem. — Samobójstwo?

— Coś więcej niż samobójstwo. Gwałtowna... szalona samodestrukcja. Widzieliśmy... kilka przypadków. Rozumiesz, co to oznacza?

— Kiedy ulegną samozniszczeniu, nie będą już nosicielami retrowirusa — myślałem głośno. — Zaraza ogranicza się sama.

Sądząc po odgłosach dobiegających z sąsiednich pomieszczeń, Frank Feeney rozbijał właśnie krzesło albo stół o ścianę salonu, a drugi policjant zrzucał na ziemię buteleczki z witaminami i ziołami, które Sasha ustawiła na półkach w salonie. Obaj gorliwie wypełniali swoje obowiązki: dawali nam nauczki, uczyli

szacunku dla prawa.

— Większość z nas wyjdzie z tego bez szwanku — podsumował Manuel.

Ale kto z nas nie będzie miał tyle szczęścia? — zastanawiałem się.

— Zwierzęta też — powiedziałem głośno. — One także dążą do samodestrukcji.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Zauważyliśmy pewne oznaki. A co ty widziałeś?

Pomyślałem o ptakach. O szczurach *veve*, które nie żyły już od długiego czasu. O stadzie kojotów, które bez wątpienia zbliżały się już do owego progu nienaturalnych zmian.

— Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim? — odpowiedziałem pytaniem.

— Żebyś nie wchodził nam w drogę. Pozwól swobodnie działać ludziom, którzy wiedzą, co robić. Ludziom o odpowiednich kwalifikacjach.

— Tym, co zawsze, przemądrzałym waźniakom — dorzucił Bobby.

Manuel pomachał mi pałką przed nosem.

— Może wydaje wam się, że jesteście bohaterami, ale będziecie tylko przeszkadzać.

— Ja wcale nie jestem bohaterem — zapewniłem go.

— A ja jestem tylko zwykłym surferem. Lubię sobie poszaleć na falach, poleżeć na plaży i wypić parę piwek, to wszystko — dodał Bobby.

— Stawka jest zbyt duża, żebyśmy mogli pozwolić komukolwiek na zabawę w supermana — powiedział Manuel.

— A co ze stadem? — spytałem. — Małpy nadal żyją.

— One są inne. Powstały w laboratorium. Są tym, czym miały być, do czego się narodziły. Wciąż mogą się przemienić, jeśli będą miały styczność ze zmutowanym wirusem, ale podejrzewam, że są odporne. Kiedy to wszystko się skończy, kiedy ludzie zostaną zaszczepieni, a zaraza wygaśnie, wytropimy je i zniszczymy.

— Na razie nie idzie wam zbyt dobrze — przypomniałem mu.

— Mamy ważniejsze problemy na głowie.

— Tak — zgodził się Bobby. — Niszczenie świata to bardzo trudne zadanie.

Ignorując go, Manuel mówił do mnie:

— Kiedy uporamy się z tym wszystkim, przyjdzie pora na małpy. Ich dni są policzone.

W jadalni, która sąsiadowała z kuchnią, zapłonęły jasno światła; Feeney skończył już przeszukiwanie salonu i przeniósł się tutaj. Odszedłem na bok, z dala od blasku, który wpadał do kuchni przez otwarte drzwi.

Drugi policjant stanął w przejściu prowadzącym do holu. Nie widziałem go nigdy wcześniej. Myślałem, że znam wszystkich policjantów w mieście, ale być może ludzie finansujący czarowników z Wyvern postanowili wzmocnić miejscową jednostkę siłami z zewnątrz.

— Znalazłem pudełka z amunicją — oznajmił nowy. — Broni — nie.

Manuel zawołał Franka. Ten natychmiast pojawił się w drzwiach jadalni.

— Słucham, szefie?

— Kończymy — rzucił krótko Manuel.

Feeney wyglądał na rozczarowanego, ale drugi policjant bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Z zaskakującą prędkością Manuel rzucił się w stronę Bobby'ego, mierząc pałką w jego głowę. Bobby równie szybko zrobił unik. Pałka przecięła powietrze i uderzyła z hukiem w bok lodówki.

Bobby zanurkował pod ramieniem Manuela i wyprostował się raptownie, stając z nim twarzą w twarz. Przez moment myślałem, że go obejmuje, co wydawałoby się dosyć dziwne w tej sytuacji, potem dojrzałem jednak błysk ostrza noża przystawionego do gardła policjanta.

Nowy zastępca powrócił biegiem do kuchni, wyciągając po drodze rewolwer i mierząc do Bobby'ego. Frank Feeney także trzymał broń gotową do strzału.

— Cofnijcie się — rozkazał swym podwładnym Manuel.

On także zrobił dwa kroki do tyłu, odsuwając się od czubka rzeźnickiego noża.

Przez mgnienie oka wydawało mi się, że Bobby chce zatopić ostrze w jego piersi, choć znam go dość dobrze, by wiedzieć, że nie zrobiłby czegoś podobnego.

Zachowując wzmożoną czujność, obaj zastępcy cofnęli się o krok i opuścili powoli broń, choć żaden z nich nie schował pistoletu do kabury.

Światło padające z otwartych drzwi jadalni odsłoniło przede mną twarz Manuela, twarz, której wolałbym raczej nie widzieć. Oblicze, które porwane gniewem zszyte zostało na nowo przez gniew jeszcze większy; zbyt mocne szwy ściągnęły jego rysy

w dziwne kształty, oczy stały się wyłupiaste, choć lewe bardziej od prawego, nozdrza drgały gwałtownie, usta po prawej stronie zacisnęły się w wąską linię, a po lewej wykrzywiły w drwiącym uśmieszku; niczym na portrecie wykonanym przez rozzłoszczonego Picassa wszystko pocięte zostało na kanciaste fragmenty, ostre kształty, które nie pasowały do siebie nawzajem. Jego skóra nie miała już cieplej, śniadej barwy, lecz stała się podobna do szynki, którą zbyt długo przetrzymano w wędzarni, ciemnokrwistej, poznaczonej plamami dymu, poszatkowanej tłustymi żyłami.

Manuel dyszał nienawiścią tak wielką, że nie mogła być jedynie wynikiem cwaniackich odpowiedzi Bobby'ego. Ta nienawiść skierowana była także przeciwko mnie, Manuel jednak nie mógł mnie uderzyć, nie po tylu latach przyjaźni, chciał więc skrzywdzić Bobby'ego, bo wtedy skrzywdziłby również mnie. Być może był wściekły także na samego siebie, bo odrzucił swoje zasady. A może widzieliśmy wybuch tłumionego przez szesnaście lat gniewu na Boga, który zabrał mu Carmelitę, dając w zamian syna z zespołem Downa. Myślę też, właściwie wiem, że było to po części coś, do czego nie mógł, nie chciał, nie śmiał się przyznać: złość na Toby'ego, którego kochał całym sercem, ale który ograniczył w znacznym stopniu jego życie. W końcu nie bez powodu mówią, że miłość to obosieczny miecz; miłość jest ostra, miłość przebija serce, jest igłą, która zaszywa głębokie rany, która leczy nasze dusze. Ale potrafi równie skutecznie ciąć głęboko, kaleczyć i zabijać.

Ramirez starał się ze wszystkich sił zapanować nad emocjami, świadom, że wszyscy nań patrzymy, że robi z siebie widowisko,

lecz przegrywał tę walkę. Lodówka była wgięta w miejscu, gdzie Manuel uderzył w nią gumową pałką, jednak atak na urządzenie, nawet duże urządzenie, nie sprawiał mu satysfakcji, nie umniejszał ciśnienia, które rosło w nim z każdą chwilą. Kilka minut wcześniej przyrównałem w myślach Bobby'ego do bomby zegarowej bliskiej wybuchu, jednak w końcu to nie on eksplodował, lecz Manuel. Jego gwałtowny atak nie był tym razem skierowany na Bobby'ego ani na mnie, ale na przeszklone drzwiczki kredensu. Ramirez tłukł je wszystkie po kolei, potem otworzył jedno skrzydło, omal nie wyrywając go z zawiasów, i wygarniał pałką porcelanowe naczynia z Worcester, królewski komplet Evesham, który tak bardzo lubiła moja matka. Podstawki, filiżanki, tace na chleb, salaterki, sosjerki, maselniczka, cukierniczka — wszystko to spadało na niższą część kredensu, a potem na podłogę, porcelanowe odłamki uderzały w zmywarę do naczyń, odbijały się od krzeseł i stołu. Obok przeszklonej szafki stała kuchenka mikrofalowa. Manuel uderzył w nią pałką, raz, drugi, trzeci, czwarty, lecz drzwi kuchenki musiały być wykonane z pleksiglasu lub jakiegoś innego tworzywa sztucznego, bo nie rozpadły się pod gradem ciosów. Jeden z nich uruchomił przypadkowo timer — gdybyśmy przewidzieli wcześniej tę sytuację, włożylibyśmy do środka torbę popcornu i za kilka minut mielibyśmy już gotową przekąskę, oczywiście pod warunkiem, że do tego czasu atak szału Manuela dobiegłby końca. Tymczasem ten pochwycił stalowy czajnik i cisnął nim w drugi róg kuchni, potem złapał toster i rzucił nim o podłogę; czajnik wciąż odbijał się od płytek z głośnym stukotem, jakby napędzany jakąś wewnętrzną energią. Manuel

kopnął jeszcze toster, który potoczył się po podłodze, piszcząc jak przerażony psiak i ciągnąc za sobą ogon kabla.

To był ostatni akt przedstawienia. Manuel stał na środku kuchni, dysząc ciężko, przygarbiony, z głową wysuniętą do przodu, powiekami spuszczoneymi do połowy, jakby obudził się właśnie z głębokiego snu. Rozejrzał się, lekko zbity z tropu, niczym byk, który zastanawia się, gdzie, u diabła, uciekł ten facet z czerwoną płachtą.

Obserwując Manuela podczas tego napadu wściekłości, spodziewałem się ujrzeć w jego oczach żółty, zwierzęcy błysk, nie dostrzegłem jednak niczego podobnego. Teraz widziałem tam tylko gasnący gniew, ślad zakłopotania i ogromny smutek. Jeśli rzeczywiście stawał się czymś gorszym od człowieka, proces ten nie zaszedł jeszcze na tyle daleko, by jego oczy upodobniły się do zwierzęcych ślepi.

Bezimienny policjant przypatrywał się swemu dowódcy oczami ciemnymi jak okna opuszczonego domu, jednak oczy Franka Feeneya były jaśniejsze od trójkątnych ślepi dyni ze święta Halloween, rozpalone gniewem i okrucieństwem. Choć ten niepokojący błysk pojawiał się w nich tylko od czasu do czasu, świadczył dobitnie o dzikiej, nieobliczalnej naturze tego człowieka. Feeney stał przy drzwiach do jadalni, oświetlony od tyłu blaskiem bijącym z tamtego pomieszczenia. Jego twarz ginęła w cieniu, ale oczy świeciły co jakiś czas tak jasno, jakby światło żyrandola przenikało przez jego czaszkę i wypływało pustymi oczodołami.

Bąłem się, że szaleństwo Manuela wywoła podobną reakcję u jego zastępców, że wszyscy trzej mężczyźni ulegali przemianie

i że gwałtownie postępująca demencja właśnie w tej chwili ich dopadnie. Zostalibyśmy wtedy z Bobbym otoczeni przez stado współczesnych wilkołaków opanowanych żądzą krwi. Ponieważ przez karygodne zaniedbanie nie zaopatrzyliśmy się wcześniej w naszyjniki z czosnku i w srebrne kule, zmuszeni bylibyśmy bronić się tylko za pomocą srebrnych naczyń z kompletu mojej matki, zapakowanego do pudła w spiżarni. Obawiam się jednak, że aby zapewnić im odpowiednią moc rażenia, musielibyśmy najpierw oczyścić je z grubej warstwy śniedzi.

Teraz wydawało się, że jedynym źródłem zagrożenia jest Feeney, jednak wilkołak uzbrojony w rewolwer to drapieżnik zupełnie innego kalibru, bardziej niebezpieczny niż całe stado potworów z kłami i ostrymi pazurami. Feeney drżał na całym ciele, ociekał potem, wciągał powietrze z chrapliwym zgrzytem, wypuszczał je z cichym i piskliwym skamleniem głodnego zwierzęcia. W chwili największego podniecenia przegryzł sobie wargę, a wypływająca z niej krew pomazała mu brodę. Trzymał pistolet oburącz, skierowany ku ziemi, jednak jego szalone oczy szukały odpowiedniego celu. Przenosił spojrzenie z Manuela na mnie, na drugiego policjanta, na Bobby'ego, na mnie, znów na Manuela. Gdyby uznał, że wszyscy możemy być celem jego ataku, żaden z nas nie zdążyłby go powstrzymać.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że Manuel mówi do Feeneya i do swego drugiego zastępcy. Bicie mojego własnego serca ogłuszyło mnie na moment.

— ...skończyliśmy już z tym, to wszystko, skończyliśmy z tymi dupkami — powtarzał Manuel. — Chodź, Frank, Harry, chodźcie, to tyle, chodźmy już, szkoda nerwów na takie ścierwa, chodźmy,

wracajmy do roboty, wynośmy się stąd.

Głos Manuela wyraźnie uspokajał Feeneya, niczym mantra, litania, w której odpowiedzi podaje się w myślach, a nie na głos. Płomień szaleństwa nadal pokazywał się w jego oczach, choć coraz rzadziej, był też mniej intensywny niż poprzednio. Teraz Feeney trzymał rewolwer już tylko w jednej dłoni, wreszcie schował go do kabury. Mrugając gwałtownie powiekami, jakby przebudził się właśnie z głębokiego snu, przeciągnął wierzchem dłoni po ustach i spojrzał ze zdumieniem na czerwone smugi krwi.

Harry, drugi zastępca, któremu Manuel nadał wreszcie imię, był już przy wyjściu, kiedy Feeney przechodził przez kuchnię do holu. Manuel ruszył za nim, a za Manuelem ja, choć trzymałem się w bezpiecznej odległości.

Nie przypominali już faszystowskich oprawców. Znużeni i słabi, wyglądali raczej jak trójka chłopców, którzy bawili się z wielkim zapałem w policjantów, a teraz zmęczeni i znudzeni zabawą wracali do domów, by napić się gorącej czekolady i przespać się chwilę, by potem znów wybiec na podwórko, włożyć nowe kostiumy i udawać piratów. Wydawali się równie zagubieni jak porwane dzieci.

W holu, kiedy Feeney wyszedł już za Harrym X na werandę, zwróciłem się do Manuela:

— Widzisz to, prawda?

Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział. Wciąż był wściekły, lecz jednocześnie smutny. Gniew spłynął gdzieś głębiej, przykryła go gruba warstwa żalu i zniechęcenia.

Oblany światłem padającym z salonu i pracowni, czułem się tutaj bardziej zagrożony niż w obecności uzbrojonego w rewolwer Feeneya, musiałem jednak przekazać coś Manuelowi.

— Feeney — powiedziałem, choć to nie on stanowił temat naszej niedokończonej rozmowy. — Widzisz chyba, że on się przemienia? Nie zaprzeczysz temu, co?

— Mamy już lekarstwo. Wkrótce je dostaniemy.

— On jest na krawędzi. A jeśli dostaniecie lekarstwo za późno?

— Poradzimy sobie z nim. — Dopiero teraz zauważył, że nadal trzyma w dłoni pałkę. Wsunął ją do specjalnego uchwytu przy pasie. — Frank jest jednym z nas. Potraktujemy go w odpowiedni sposób.

— Mógł mnie zabić. Mnie, Bobby'ego, ciebie, nas wszystkich.

— Trzymaj się od tego z daleka, Snow. Nie będę tego więcej powtarzał.

Snow. Już nie Chris. Zniszczenie czyjegoś mieszkania to postawienie kreski w „t” i kropki nad „i” w *finito*.

— Może porywacz to ten facet z wiadomości — powiedziałem.

— Jaki facet?

— Porywa dzieci. Troje, czworo, pięcioro małych dzieci. Pali je wszystkie naraz.

— To na pewno nie on.

— Skąd ta pewność?

— To jest Moonlight Bay.

— Nie wszyscy źli ludzie są tylko dlatego źli, że się przemieniają.

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, biorąc tę uwagę do

siebie.

Wróciłem do porzuconego i niedokończonego tematu:

— Toby to wspaniały dzieciak. Uwielbiam go. Martwi mnie to, co się z nim dzieje. To takie straszliwe ryzyko. Ale mam nadzieję, Manuel, że wszystko skończy się dobrze, tak jak tego chcesz. Naprawdę. Bardzo mi na tym zależy.

Zawahał się, po czym powtórzył:

— Trzymaj się od tego z daleka. Ja nie żartuję, Snow.

Przez chwilę obserwowałem, jak odchodzi od mego zrujnowanego domu do świata zniszczonego bardziej niż porcelana mamy. Na ulicy czekały dwa wozy policyjne. Manuel wsiadł do jednego z nich.

— Wróć, kiedy tylko zechcesz — powiedziałem, jakby mógł mnie usłyszeć. — Mam jeszcze sporo rzeczy do rozbicia — szklanki, talerze. Napijemy się piwka, a potem rozwalisz sobie telewizor, możesz też porąbać meble albo nasikać na dywan. Zrobię fondue, zabawimy się porządnie.

Choć dzień był pochmurny i ciemny, światło i tak raziło mnie w oczy. Zamknąłem drzwi.

Kiedy umiera ktoś ukochany albo, jak w tym przypadku, odchodzi z innych powodów — staram się zawsze żartować z bólu. Nawet tej nocy, kiedy mój tato przegrał walkę z rakiem, układałem w myślach wiersze o śmierci, trumnach i chorobach. Jeśli zbyt mocno zachłysnę się smutkiem, jeśli zakrztuszę się rozpaczą, utonę w odmętach żalu nad samym sobą. Użalanie się nad sobą doprowadzi mnie do rozmyślań o najbliższych, którzy już odeszli, o tym, co straciłem, o moich ograniczeniach, o mojej dziwnej nocnej egzystencji... aż w końcu stanę się dziwakiem,

cudakiem, za którego uważali mnie prześladowcy z mojego dzieciństwa. Uważam, że zawsze należy cieszyć się życiem, jednak by cieszyć się nim w najtrudniejszych chwilach, muszę odnaleźć piękno ukryte w smutku, piękno, które jest tam zawsze i które ja potrafię odkryć dzięki humorowi. Możecie uważać mnie za gruboskórnego prostaka, wesołka, który śmieje się z tragedii i szuka zabawy w rozpacz, ale możemy przecież oddać zmarłym honor właśnie poprzez śmiech i miłość, którymi obdarzaliśmy ich za życia. Bóg na pewno chciał, byśmy śmiali się przez łzy, bo tworząc zaczyn tego świata, dodał doń ogromną dawkę absurdu. W wielu sytuacjach jestem całkowicie bezradny, ale dopóki mogę się śmiać, nie tracę nadziei.

Ogarnąłem jednym spojrzeniem pracownię, by zorientować się, co zniszczyli podwładni Manuela, potem zgasilem światło i przeszedłem do drzwi salonu, by powtórzyć tę samą procedurę. Feeney i Harry X dokonali mniejszych szkód niż Belzebub na dwudniowych wakacjach, większych jednak niż przeciętny diabeł z niższych kręgów piekielnych.

Bobby zgasił już światło w jadalni. Przy blasku świecy uprzątał kuchnię, zamiatając kawałki rozbitej porcelany na szufelkę, a następnie wyrzucając je do wielkiej torby na śmieci.

— Do twarzy ci z miotłą — zauważyłem, przyłączając się do pracy.

— Jestem pewien, że w jednym z poprzednich wcieleń byłem służącym królewskiej rodziny.

— Jakiej rodziny?

— Cara Mikołaja.

— To nie skończyło się dobrze.

— Potem odrodziłem się jako Betty Grable.

— Ta aktorka?

— Ta najlepsza i najładniejsza aktorka, kolego.

— Uwielbiałem cię w *Mother Wore Tights*.

— *Gracias*. Ale dobrze być znowu mężczyzną.

Zawiązałem napełniony worek, podczas gdy Bobby otwierał następny.

— Powinienem być wkurzony.

— Dlaczego? Bo ja miałem wszystkie te wspaniałe życia, a ty byłeś tylko sobą?

— Przychodzi tutaj, żeby skopać mi tyłek, choć tak naprawdę, to chce skopać swój.

— Musiałby chyba występować w cyrku jako człowiek guma.

— Przykro mi to mówić, ale jest moralnym człowiekiem gumą. Wie, że oddając Toby'ego ludziom z Wyvern, podejmuje ogromne ryzyko, i ta świadomość pali go do żywego, choć nigdy się do tego nie przyzna.

Bobby westchnął.

— Żal mi Manuela. Naprawdę. Ale ten gość przeraża mnie bardziej niż Feeney.

— Feeney się przemienia — powiedziałem.

— Bez dwóch zdań. Ale Manuel przeraża mnie dlatego, że stał się tym, kim jest, nie ulegając przemianie. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Myślisz, że to prawda? To co mówił o szczepionce? — spytał Bobby, odstawiając na miejsce zmaltretowany toster.

— Tak. Tylko czy to rzeczywiście zadziała?

— Jak dotąd nic innego nie zadziało.

— Wiemy, że ta druga część jest prawdą. Psychologiczna implozja.

— Ptaki.

— Może i kojoty.

— Ogromnie bym się z tego wszystkiego ucieszył — rzekł Bobby, wkładając do szuflady rzeźnicki nóż — gdybym nie wiedział, że wirus twojej mamy to tylko część problemu.

— Magiczny Pociąg — mruknąłem, przypominając sobie stworzenie czy stworzenia we wnętrzu skafandra Hodgsona, ciało Delacroix, testament nagrany na taśmie i kokony.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Bobby westchnął i odwrócił się do mnie.

— Powiedz im, że jeśli znowu chcą się tutaj zabawić, muszą przestrzegać pewnych reguł. Pobieramy studolarową kaucję i wpuszczamy tylko facetów w krawatach.

Przeszedłem do holu i wyjrzałem na zewnątrz przez białą szybkę w witrażu.

Człowiek stojący pod drzwiami był tak wielki, że można by pomyśleć, iż to jeden z wielkich dębów wyciągnął korzenie z ziemi i wspiał się na schody, by poprosić o sto funtów nawozu.

Otworzyłem drzwi i cofnąłem się o krok, by wpuścić naszego gościa.

Roosevelt Frost jest wysokim, muskularnym Murzynem. Ma w sobie tyle godności, że twarze wykute w górze Rushmore wyglądają przy nim jak gwiazdy tanich komedii. Na ugiętej ręce trzymał szarego kota, Mungojerriego, a kiedy już wszedł do środka, zatrzęsął drzwi barkiem.

— Dzień dobry, synu — przywitał mnie głębokim, łagodnym

i melodyjnym głosem.

— Dziękuję, że zechciał pan przyjść.

— Znów wpakowałeś się w kłopoty.

— W tej kwestii zawsze można na mnie liczyć.

— Przyszłość przyniesie ze sobą śmierć — oznajmił ponurym tonem.

— Słucham?

— Tak mówi kot.

Spojrzałem na Mungojerriego. Ułożony wygodnie na potężnym przedramieniu Roosevelta, wydawał się całkiem pozbawiony kości. Był tak giętki, że mógłby uchodzić za mufkę, w której jego pan ogrzewa dłonie, gdyby Roosevelt kiedykolwiek nosił takową. Tyle tylko, że jego zielone, cętkowane złote oczy były całkiem żywe, czujne i przepełnione tajemniczą, niepokojącą inteligencją.

— Śmierć — powtórzył Roosevelt.

— Czyją?

— Naszą.

Mungojerrie śmiało patrzył mi w oczy.

— Koty wiedzą więcej — powiedział Roosevelt.

— Nie wszystko.

— Koty wiedzą — obstawał przy swoim mój gość.

Oczy kota wydały mi się teraz pełne smutku.

20

Roosevelt posadził Mungojerriego na krześle, by kot nie poranił sobie łap na odłamkach porcelany, które wciąż wałały się na podłodze w kuchni. Choć Mungojerrie jest uciekinierem z Wyvern, poczętym w laboratoriach genetycznych, być może równie inteligentnym jak Orson, a z pewnością inteligentniejszym od przeciętnego uczestnika *Koła fortuny* i większości doradców politycznych z Białego Domu, przede wszystkim pozostaje kotem; natychmiast po tym, jak usiadł na krześle, zwinął się w kłębek i zasnął, nie zważając na fakt, że według jego przewidywań zbliża się koniec świata i że być może większość z nas nie doczeka świtu. Koty może wiedzą więcej, jak powiada Roosevelt, nie cierpią jednak z powodu hiperaktywnej wyobraźni i skłonności do stwarzania sobie sztucznych problemów.

Skoro zaś mowa o szerszej wiedzy, to sam Roosevelt wie sporo interesujących rzeczy. Doskonale zna się na futbolu, bo w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był gwiazdą amerykańskich stadionów, a koledzy z drużyny nadali mu przydomek Młot Pneumatyczny. Teraz, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, zajmował się biznesem i to z dużym powodzeniem. Był

właścicielem sklepu z ubraniami i małego centrum handlowego, miał też połowę udziałów w miejscowym klubie country. Wie też bardzo dużo o morzu i łodziach, a sam mieszka na wielkim jachcie *Nostramo* zacumowanym w przystani w Moonlight Bay. No i oczywiście potrafi rozmawiać ze zwierzętami lepiej niż sam doktor Dolittle, co tutaj, w Disneylandzie Edgara Allana, jest szczególnie przydatną umiejętnością.

Roosevelt koniecznie chciał nam pomóc zmiatać. Choć sprzątanie podłogi ramię w ramię z bohaterem narodowym i duchowym dziedzicem świętego Franciszka wydawało nam się nieco dziwne, daliśmy mu w końcu odkurzacz.

Mungojerrie obudził się na moment, kiedy Roosevelt uruchomił odkurzacz, dał wyraz swemu niezadowoleniu, obnażając na moment zęby, po czym znowu zasnął.

Moja kuchnia jest duża, wydaje się jednak znacznie mniejsza, kiedy wejdzie do niej Roosevelt Frost, który ma sześć stóp i cztery cale wzrostu, a niezwykle rozmiary jego karku, ramion, klatki piersiowej i rąk robią na postronnych obserwatorach niezwykle wrażenie. Aż trudno uwierzyć, że uformowany został w czymś tak delikatnym jak kobiece łono, wydaje się raczej, że wykuty został z granitu, odlany z metalu czy zmontowany w fabryce ciężarówek. Wygląda na młodszego, niż jest w rzeczywistości, jedynie trochę posiwiiał na skroniach. Został wielką gwiazdą futbolu nie tylko dzięki swym rozmiarom, lecz i dzięki intelektowi; w wieku sześćdziesięciu trzech lat jest równie silny jak wtedy, gdy biegał po boisku, i — jak sędzę — znacznie mądrzejszy, bo należy do ludzi, którzy zawsze się uczą.

Na dodatek świetnie odkurza. We trójkę szybko uporaliśmy się

z bałaganem w kuchni.

Puste półki w oszklonym kredensie przedstawiały smutny widok. Wiedziałem już, że nigdy nie będę czuł się tutaj równie dobrze jak dotychczas, że kiedy spojrzę na jedyną ocalałą część kompletu z Worcester, dopadnie mnie żal i rozgoryczenie. Moja mama uwielbiała te naczynia; delikatne barwy ręcznie malowanych jabłek i śliwek na filiżankach do kawy, gruszek i jeżyn na talerzach do sałatek... Ulubione rzeczy mojej mamy nie były moją mamą — były tylko jej rzeczami — a jednak, choć lubimy wierzyć, że wspomnienia są równie trwałe jak napisy wyryte w kamieniu, nawet te najcenniejsze obrazy, świadectwa miłości i czułości, zacierają się z czasem, ulatują jak dym, a najlepiej pamiętamy te z nich, które wiążą się z konkretnymi miejscami i przedmiotami. Wspomnienia stapiają się w jedno z rzeczywistymi obiektami, trwają w nich już na zawsze, żywe i namacalne.

Miałem jeszcze drugi komplet naczyń, których używam na co dzień, i kiedy Roosevelt rozkładał je na stole, zaparzyłem wszystkim kawy.

Tymczasem Bobby odkrył w lodówce wielkie pudło ciasteczek z cynamonem, które zawsze zajmują wysoką pozycję na liście moich ulubionych przysmaków.

— *Carpe crustulorum!* — zawołał.

— Co to było? — zdumiał się Roosevelt.

— Nie pytaj — poprosiłem.

— Korzystaj z ciasta — przetłumaczył Bobby.

Przyniosłem z sypialni kilka poduszek i położyłem je na krześle, co pozwoliło Mungojerriemu — który przebudził się już

na dobre — zająć miejsce przy stole i wziąć udział w naradzie.

Kiedy Roosevelt łamał ciasteczko cynamonowe na kawałki i namaczał je w mleku, które nalał wcześniej swemu niezwykłemu kotu, do domu wróciła wreszcie Sasha. Roosevelt zwraca się do niej per „córko”, tak jak do mnie i do Bobby’ego mówi „synu”. Taki ma zwyczaj, choć z drugiej strony, ceni Sashę tak bardzo, że na pewno z chęcią by ją zaadoptował. Stałem obok niego, kiedy poderwał ją z podłogi i uściskał serdecznie, jakby była małą dziewczynką. Sasha zniknęła zupełnie w jego niedźwiedzich objęciach, z których wystawała tylko jedna obuta w tenisówkę stopa, zwisająca kilka cali nad ziemią.

Kiedy stanęła wreszcie na własnych nogach, przyniosła sobie krzesło z jadalni i ustawiła je pomiędzy mną i Bobbym. Wzięła między dwa palce skrawek jego koszuli i cmoknęła z podziwem.

— Świetna koszula — pochwaliła.

— Dzięki.

— Widziałam się z Doogiem — przeszła do konkretów Sasha. — Przygotowuje już odpowiedni ekwipunek, uzbrojenie. Jest... trzecia po południu. Musimy być gotowi do wyjścia, gdy tylko zapadnie zmrok.

— Ekwipunek? — powtórzył Bobby.

— Doogie ma świetne wsparcie techniczne.

— Wsparcie techniczne?

— Musimy być przygotowani na sytuacje kryzysowe.

— Sytuacje kryzysowe? — Bobby odwrócił się do mnie z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. — Bracie, z kim ty sypiasz, z G.I. Jane?

— Z Emmą Peel — poprawiłem, po czym zwróciłem się do

Sashy-Emmy: — Będziemy potrzebować dodatkowego ekwipunku. Był tutaj Manuel z dwójką swoich ludzi. Skonfiskowali naszą broń.

— Rozbili trochę porcelany — dodał Bobby.

— Zniszczyli część mebli. — Pokiwałem głową ze smutkiem.

— Skopali toster — westchnął Bobby.

— Możemy liczyć na Doogiego — zapewniła mnie Sasha. — Ale dlaczego toster?

Bobby wzruszył ramionami.

— Był mały, bezbronny i sam.

Usiedliśmy przy stole we czwórkę — troje ludzi i jeden kot — by jeść, pić i planować przy blasku świecy.

— *Carpe crustulorum* — zaczął Bobby.

Sasha natychmiast przyłączyła się do niego, wymachując widelcem i oświadczając z powagą:

— *Carpe furcam.*

Podnosząc filiżankę do toastu, Bobby zawołał:

— *Carpe coffeum.*

— Spisek — mruknąłem.

Mungojerrie przyglądał nam się z żywym zainteresowaniem.

Roosevelt obserwował przez chwilę kota, kiedy ten przyglądał się nam, wreszcie powiedział:

— On uważa, że jesteście trochę dziwni, ale zabawni.

— Dziwni, co? — obruszył się Bobby. — Nie wydaje mi się, żeby to ludzie mieli w zwyczaju uganiać się za myszami i jeść je na surowo.

Roosevelt Frost rozmawiał ze zwierzętami na długo przed tym, nim laboratoria Wyvern dały nam czworonogi mądrzejsze pod

wieloma względami od ludzi, którzy je stworzyli. Nie znam Roosevelta równie dobrze jak Bobby'ego czy Sashy, ale jedyną ekscentryczną cechą charakteru, którą zauważyłem u niego do tej pory, jest przekonanie, że możemy rozmawiać ze zwyczajnymi zwierzętami, a nie tylko z tymi genetycznie udoskonalonymi. Nie twierdził nigdy, że został porwany przez istoty pozaziemskie i poddany badaniom proktologicznym, nie przemierza lasów w poszukiwaniu Wielkiej Stopy czy krasnoludków, nie pisze powieści, którą dyktuje mu z zaświatów Truman Capote, i nie nosi czapki z aluminiowej folii, która chroni jego mózg przed inwigilacją ze strony Amerykańskiego Stowarzyszenia Sklepiarzy.

Nauczył się zwierzęcej metody porozumiewania przed kilkunastu laty w Los Angeles od niejakiej Glorii Chan, która umożliwiła mu rozmowę z jego ukochanym kundelkiem Sloopym. Gloria opowiedziała Rooseveltowi o różnych drobiazgach związanych z jego codziennym życiem, o rzeczach, których sama z pewnością nie mogła wiedzieć, a które wyjawił jej Sloopy, doskonale znający zwyczaje swego pana.

Roosevelt mówi, że porozumiewanie się ze zwierzętami nie wymaga specjalnych talentów, że nie jest to jakaś nadzwyczajna umiejętność dostępna tylko wybranym. Twierdzi, że jest to wrażliwość na potrzeby innych gatunków, wrażliwość, którą posiadaliśmy kiedyś wszyscy, a która z biegiem lat została przytłumiona przez ciężar cywilizacyjnych nawyków. Największe przeszkody na drodze do zrozumienia mowy zwierząt to cynizm, brak wiary we własne umiejętności i liczne uprzedzenia.

Po kilku miesiącach intensywnych ćwiczeń, prowadzonych pod okiem Glorii Chan, Roosevelt rozumiał już myśli i problemy Sloopy'ego oraz innych zwierząt. Kiedyś powiedział, że chętnie zostanie moim nauczycielem, a ja zamierzam skorzystać z jego oferty. Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż możliwość porozmawiania z Orsonem; mój czworonożny przyjaciel nasłuchiwał się już dość mojej paplaniny przez ostatnie lata, podczas gdy ja nie słyszałem od niego jeszcze ani słowa. Lekcje z Rooseveltem odsłonią przede mną nowe horyzonty albo po raz kolejny dadzą mi odczuć, jak bardzo jestem ograniczony i naiwny. Ponieważ świadomość moich ograniczeń i słabości towarzyszy mi od dawna, nie mam nic do stracenia.

Bobby zwykł kiedyś podkpiwać z tych zwierzęcych pogaduszek — oczywiście nigdy nie czynił tego w obecności Roosevelta i twierdził, że jest to skutek potłuczeń i urazów głowy, jakie Roosevelt odniósł niegdyś na stadionach. Ostatnio jednak przepuścił chyba swój sceptycyzm przez umysłowy tartak. Wydarzenia z Wyvern nauczyły nas wielu rzeczy, a jedną z nich jest zrozumienie, że choć nauka może naprawić dużo błędów ludzkości, nie potrafi odpowiedzieć na wszystkie dręczące nas pytania; życie toczy się także w wymiarach, które pozostają poza zasięgiem biologów, fizyków czy matematyków.

Orson zaprowadził mnie do Roosevelta ponad rok temu. Psia intuicja podpowiadała mu, że jest to człowiek niezwykły. Niektóre koty i Bóg wie jakie jeszcze gatunki uciekinierów z Wyvern także przychodziły do niego i zanudzały go gadaniem. Orson jest wyjątkiem. Odwiedza Roosevelta, ale nie rozmawia z nim. Roosevelt nazywa go sfinksem, zaklętym kundlem

i lakonicznym labradorem.

Przypuszczam, że aby wynieść Orsona z Wyvern, moja mama musiała sfalszować kilka dokumentów i uśmiercić go na papierze. Może Orson boi się, że zostanie ponownie zabrany do laboratorium, gdy ktoś odkryje jego prawdziwą naturę. Być może kierują nim jeszcze jakieś inne powody, ale tak czy inaczej, jeśli w pobliżu znajduje się ktoś obcy, Orson udaje zwykłego, wesołego, lecz niezbyt rozgarniętego psiaka. Choć nie próbuje nabrać Roosevelta na tak prymitywne sztuczki, w jego obecności jest równie milczący jak tulipan, tyle że tulipan z ogonem.

Mungojerrie, który ułożył się wygodnie na górze poduszek i spożywał z godnością nasączone mlekiem cynamonowe ciasteczka, nie próbował nawet udawać zwykłego kota. Kiedy relacjonowaliśmy wydarzenia ostatnich dwunastu godzin, śledził naszą rozmowę z ogromnym zainteresowaniem. Usłyszawszy coś zaskakującego, otwierał szeroko oczy, a gdy zaskoczenie to graniczyło z szokiem, odchyłał głowę do tyłu, jakby chciał powiedzieć: „Człowieku, najadłeś się szaleju czy jesteś urodzonym łgarzem?”. Czasami odsłaniał kły w kocim uśmiechu, szczególnie w chwilach, kiedy opowiadaliśmy o jakimś głupim postępku, moim lub Bobby’ego; miałem wrażenie, że Mungojerrie uśmiecha się zdecydowanie za często. Opis stworzeń, które dostrzegliśmy w hełmie Hodgsona, odebrał mu na chwilę ochotę do jedzenia, nadal jednak przede wszystkim był kotem, z kocim apetytem i ciekawością, więc nim skończyliśmy opowiadanie, wyprosił od Roosevelta kolejny talerzyk mleka z pokruszonym *crustulorum*.

— Jesteśmy pewni, że Orson i porwane dzieciaki są gdzieś

w Wyvern — zwróciłem się do Roosevelta, gdyż nadal nie potrafiłem wyzbyć się uprzedzeń i przemawiać do kota, choć przecież już od lat mówię do Orsona. — Ale baza jest za duża, nie damy rady jej przeszukać. Potrzebujemy tropiciela.

— Ponieważ nie mamy jeszcze własnego satelity szpiegowskiego — podjął wątek Bobby — nie znamy żadnego indiańskiego zwiadowcy i nie trzymamy w szafie ogara przygotowanego na takie właśnie okazje...

Wszyscy troje spojrzeliśmy wyczekująco na Mungojerriego.

Kot popatrzył na mnie, potem przeniósł wzrok na Bobby'ego, wreszcie na Sashę. Przez chwilę siedział w bezruchu, z zamkniętymi oczami, jakby rozważał naszą prośbę, wreszcie odwrócił się do Roosevelta.

Czarny olbrzym odsunął swój talerzyk i filiżankę z kawą, pochylił się do przodu, oparł łokieć na stole, a brodę na zaciśniętej pięści i spojrzał w oczy naszego kociego gościa.

Po minucie ciszy, podczas której bezskutecznie usiłowałem przypomnieć sobie melodię z filmu *Ten przeklęty kot*, Roosevelt oznajmił:

— Mungojerrie zastanawia się, czy pamiętacie, co powiedział, kiedy tu weszliśmy.

— Śmierć — zacytowałem.

— Czyja? — spytała Sasha.

— Nasza.

— Kto to mówi?

Wskazałem na kota.

Mungojerrie nawet na nas nie spojrzał.

— Wiemy, że grożą nam różne niebezpieczeństwa —

powiedział Bobby.

— Tu nie chodzi tylko o to, że znajdziemy się w niebezpieczeństwie — wyjaśnił Roosevelt. — To rodzaj... przepowiedni.

Siedzieliśmy w milczeniu, wpatrując się w Mungojerriego, a ten raczył wreszcie obdarzyć nas spojrzeniem, które było równie nieprzeniknione jak spojrzenia kotów wyrzeźbionych w egipskich grobowcach. Wreszcie Sasha odważyła się zapytać:

— Chcesz powiedzieć, że Mungojerrie jest jasnowidzem?

— Nie — odparł Roosevelt.

— Więc o co w tym wszystkim chodzi?

Wciąż patrząc na kota, który teraz spoglądał z posępną miną w płomień świecy, jakby widział w nim naszą niewesołą przyszłość, Roosevelt odparł krótko:

— Koty wiedzą więcej.

Bobby, Sasha i ja spojrzeliśmy po sobie, ale żadne z nas nie potrafiło wyjaśnić pozostałym znaczenia tych słów.

— Co właściwie wiedzą koty? — spytała po raz kolejny Sasha.

— Różne rzeczy — wyjaśnił Roosevelt.

— A jak?

— Wiedząc je.

— Jak brzmi odgłos klaskania jedną ręką? — spytał retorycznie Bobby.

Kot zastrzygł uszami i spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć: „Teraz już rozumiesz”.

— Ten kot czyta za dużo Deepaka Chopry — orzekł Bobby.

— Roosevelt? — Głos Sashy i wyraz jej twarzy świadczyły o tym, że koniecznie potrzebuje słów otuchy i wyjaśnienia.

Kiedy Roosevelt wzruszył potężnymi ramionami, niemal poczułem, jak kubik powietrza przesuwają się raptownie nad stołem.

— Córko, zwierzęca komunikacja nie zawsze jest tak prosta jak rozmowa przez telefon. Czasami wszystko jest zrozumiałe i jasne. A czasami... pojawiają się pewne niejasności.

— Dobra — westchnął Bobby. — Czy ta żywa pułapka na myszy myśli, że mamy jakieś szanse na odnalezienie Orsona i dzieciaków, jakiegokolwiek szanse?

Lewą ręką Roosevelt delikatnie podrapał kota za uszami i pogłaskał go po głowie.

— Mówi, że zawsze są jakieś szanse. Nic nie jest beznadziejne.

— A jak wyglądają te szanse? — dopytywałem się. — Jak jeden do jednego?

Roosevelt roześmiał się cicho.

— Pan Mungojerrie mówi, że nie jest bukmacherem.

— Więc w najgorszym razie wszyscy wybierzemy się do Wyvern, zginiemy tam, zostaniemy poćwiartowani, zapuszkowani i sprzedani jako karma dla psów — podsumował Bobby. — Odnoszę wrażenie, że zawsze byliśmy na to narażeni, więc nic się nie zmieniło. Jestem za tym, żeby tam iść.

— Ja też — przyłączyła się Sasha.

Wciąż przemawiając w imieniu kota, który ułożył się wygodnie na jego ramieniu i zaczął głośno mrużyć, Roosevelt zapytał:

— A jeśli Orson i dzieci są w miejscu, do którego nie możemy się dostać? Jeśli są w Dziurze?

— Nie wiem, gdzie jest miejsce zwane Dziurą, ale skoro tak się nazywa, to na pewno nie chciałbym spędzić tam wakacji —

mruknął Bobby.

— Tak nazywają Centrum Badań Genetycznych.

— Kto nazywa? — spytałem.

— Ludzie, którzy tam pracują. Nazywają je Dziurą, bo... — Roosevelt przechylił głowę, jakby nasłuchując jakiegoś cichego głosu. — Cóż, z pewnością jednym z powodów jest fakt, że te laboratoria ukryte są głęboko pod ziemią.

Tym razem zwróciłem się bezpośrednio do kota:

— Więc w Wyvern nadal działają laboratoria, tak jak podejrzewaliśmy, wciąż pracują w nich naukowcy?

— Tak — potwierdził Roosevelt, drapiąc kota pod brodą.

— Co sześć miesięcy dostarczają im zaopatrzenie.

— Wiesz, gdzie to jest? — spytałem Mungojerriego.

— Tak. Wie. W końcu tam się urodził i stamtąd uciekł — odparł Roosevelt, prostując szerokie plecy. — Ale jeśli Orson i dzieciaki są w Dziurze, nigdy nie będziemy w stanie ich stamtąd wydostać.

W kuchni zapadło ponure milczenie.

Mungojerrie podniósł przednią łapę i zaczął ją lizać, czyszcząc sierść. Był inteligentny, wiedział więcej, potrafił tropić, stanowił naszą największą nadzieję, ale przy tym wszystkim był także kotem. Zdani byliśmy całkowicie na towarzysza, który w każdej chwili mógł wypluć na stół kulkę sierści. Nie roześmiałem się ani nie rozplakałem tylko dlatego, że nie potrafię robić tych dwóch rzeczy naraz, choć na obie miałem ochotę.

Wreszcie Sasha rozwiązała za nas ten problem:

— Jeśli nie możemy wydostać ich z Dziury, to pozostaje nam mieć nadzieję, że są jednak gdzie indziej.

— Nadal nie znamy odpowiedzi na najważniejsze pytanie —

przypomniawszy Roosevelta. — Czy Mungojerrie zechce nam pomóc?

Mungojerrie spotkał Orsona tylko raz, na pokładzie *Nostromo*, tej nocy, kiedy zmarł mój ojciec. Chyba się wtedy polubili. Poza tym pochodzili z tego samego miejsca, byli owocem badań prowadzonych w Wyvern, i jeśli moja matka była też w pewnym sensie matką Orsona, ten zaś dzieckiem jej serca i umysłu, to być może Mungojerrie także uważał ją za swą utraconą matkę, stworzycielkę, której zawdzięczał życie.

Siedziałem w bezruchu, zaciskając dłonie na pustej filiżance, modląc się, by Mungojerrie nas nie zawiódł, wyliczając w myślach powody, dla których musi przyłączyć się do naszych poszukiwań, przygotowując niewiarygodne i bezczelne argumenty na poparcie tezy, że kot jest moim duchowym bratem, Mungojerriem Snowem, że oto nadszedł kryzys rodzinny i że on ma obowiązek przyczynić się do jego rozwiązania. Jednocześnie przez cały czas cisnęły mi się na myśl słowa Bobby'ego, który porównywał ten nowy dziwny świat do kreskówki Disneya, szalonej i śmiesznej, a jednocześnie pełnej przerażających fizycznych, psychicznych i moralnych zmian.

Kiedy Roosevelt powiedział wreszcie „Tak”, byłem do tego stopnia zajęty obmyśleniem argumentów, które miałyby przekonać naszego czworonożnego przyjaciela do współpracy, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, jaka właściwie jest jego decyzja.

— Tak, pomożemy — wyjaśnił Roosevelt w odpowiedzi na moją głupawą minę.

Uśmiechnęliśmy się do siebie zadowoleni, jakbyśmy dostali właśnie po kawałku przepysznego *crustulorum*.

Sasha przechyliła głowę i spojrzała pytająco na Roosevelta:

— My?

— Będziecie potrzebowali tłumacza.

— Futrzasty koleś będzie prowadził, a my pójdziemy za nim, to wszystko — powiedział Bobby.

— To może okazać się znacznie trudniejsze — odparł Roosevelt.

— Nie możemy prosić cię o coś takiego. — Sasha pokręciła głową.

Roosevelt wziął ją za rękę, poklepał po dłoni i uśmiechnął się ciepło.

— Córkco, o nic mnie nie prosicie. To ja nalegam. Orson jest także moim przyjacielem. Wszystkie te dzieci są dziećmi moich sąsiadów.

— Śmierć — zacytowałem ponownie Mungojerriego.

Roosevelt odpowiedział mi innym cytatem:

— Nic nie jest beznadziejne.

— Koty wiedzą więcej — nie dawałem za wygraną.

— Nie wszystko. — Tym razem Roosevelt zacytował mnie.

Mungojerrie spojrzał na nas, jakby chciał powiedzieć:

„Koty wiedzą”.

Czułem, że ani kot, ani Roosevelt nie powinni zgadzać się na udział w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu, jeśli najpierw nie wysłuchają porwanego, niekompletnego, lecz jednak wielce sugestywnego testamentu Lelanda Delacroix. Wiedziałem, że bez względu na to, czy znajdziemy Orsona i dzieci, będziemy musieli wrócić nad ranem do bungalowu z kokonami i podłożyć pod wszystko ogień. Z drugiej jednak strony byłem przekonany, że

podczas poszukiwań natkniemy się na inne konsekwencje projektu Magiczny Pociąg i że niektóre z nich mogą się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Gdyby Roosevelt i Mungojerrie, po wysłuchaniu przerażającej opowieści Delacroix, postanowili jednak zrezygnować z wyprawy do Wyvern, zapewne nie mógłbym namówić ich do zmiany zdania, ale przynajmniej wiedziałbym, że byłem względem nich całkowicie uczciwy.

Przeszliśmy do jadalni, gdzie odtworzyłem nagranie z oryginalnej kasety.

Kiedy ucichły już ostatnie słowa, wypowiedziane w tym dziwnym i niezrozumiałym języku, Bobby mruknął:

— Melodia jest dobra, ale rytm nie nadaje się do tańca.

Roosevelt stanął przed magnetofonem i zmarszczył brwi.

— Kiedy wyruszamy?

— O zmierzchu — odparłem.

— Czyli wkrótce — powiedziała Sasha, spoglądając na okna. Blask sączący się przez szpary przy żaluzjach nie był już tak intensywny jak wtedy, gdy po raz pierwszy słuchaliśmy z Bobbym testamentu Delacroix.

— Jeśli te dzieci są w Wyvern — powiedział Roosevelt — to tak, jakby stały u bram piekieł. Bez względu na to, jak wielkie podejmujemy ryzyko, musimy tam iść.

Ubrany był w czarny obcisły sweter, czarne spodnie i czarne skórzane buty, jakby wcześniej już przygotował się do udziału w nocnej wyprawie. Pomimo ogromnych rozmiarów i ostrych rysów twarzy wyglądał jak kapłan, egzorcysta szykujący się do rozprawy z diabłem.

Odwracając się do Mungojerriego, który siedział na stoliku do

komponowania, spytałem:

— A co z tobą?

Roosevelt przykucnął obok stołu i spojrzał w oczy kota.

Moim zdaniem Mungojerrie wyglądał na okropnie znudzonego. Być może starał się tylko nie stracić reputacji, jaką cieszą się wszystkie koty, reputacji zwierząt tajemniczych, obojętnych, obdarzonych nieziemską mądrością.

Najwyraźniej jednak Roosevelt patrzył na niego zupełnie inaczej niż reszta ludzi albo słuchał go na częstotliwości znajdującej się poza moim zasięgiem, gdyż po chwili oznajmił:

— Mungojerrie chce powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, odnajdzie Orsona i dzieciaki, jeśli są one w Wyvern, bez względu na wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogą mu grozić.

Odetchnąłem z ulgą, wdzięczny kotu za jego odwagę.

— A ta druga rzecz? — spytałem.

— Musi wyjść na zewnątrz i wysikać się.

21

Kiedy na dworze zapadał już zmierzch, poszedłem do łazienki, przez chwilę zmagalem się z falą nudności, a powstrzymawszy je, umyłem dwukrotnie twarz, raz ciepłą, raz zimną wodą. Potem usiadłem na krawędzi wanny, zacisnąłem dłonie na kolanach i poddałem się nagłemu atakowi dreszczy, równie gwałtownych jak te, które towarzyszą malarii.

Nie przerażała mnie wcale myśl, że wyprawa do Wyvern oznaczać będzie dla nas wszystkich śmierć, jak to przewidział Mungojerrie, ani że tylko ja opuszczę ten świat za kilka godzin. Bałem się raczej, że doczekam następnego poranka, lecz wrócę do domu bez Orsona i dzieci, albo że nie tylko zawiodę oczekiwania Lilly, ale utracę również Sashę, Bobby'ego, Roosevelta i Mungojerriego.

Przyjaciele czynią ten świat całkiem znośnym, a nawet przyjemnym miejscem, jednak bez nich pozostaje tylko pustka i przejmujący chłód.

Umyłem twarz po raz trzeci, załatwiłem się, by okazać, że się solidaryzuję z Mungojerriem, umyłem ręce (bo moja mama, zagłada tego świata, nauczyła mnie higieny) i wróciłem do kuchni, gdzie czekali moi przyjaciele. Podejrzewam, że

z wyjątkiem kota wszyscy przeszli przez ten sam rytuał co ja, tyle że w innych łazienkach.

Ponieważ Sasha, podobnie jak Bobby, zauważyła wielu podejrzanych typków w całym mieście i przypuszczała, że zanoszą się na coś większego, była niemal pewna, że nasz dom jest obserwowany. Dlatego też umówiła nas na spotkanie z Doogiem poza miastem, z dala od wścibskich oczu.

Explorer Sashy, jeep Bobby'ego i mercedes Roosevelta stały zaparkowane przed domem. Gdybyśmy próbowali odjechać którymkolwiek z nich, z pewnością by nas śledzono. Musieliśmy wymknąć się niepostrzeżenie i opuścić miasto na piechotę.

Za domem, za tylnym podwórkiem, ciągnie się ubita ścieżka, oddzielająca naszą posiadłość oraz posiadłości sąsiadów od niewielkiego zagajnika drzew eukaliptusowych. Za drzewami znajduje się pole golfowe country klubu w Moonlight Bay, który w połowie należy do Roosevelta. Ścieżkę na pewno obserwowano, a nie przypuszczaliśmy, by nasi przeciwnicy dali przekupić się obietnicą darmowego lunchu w klubie.

Postanowiliśmy więc przemykać się przez kolejne podwórka, ryzykując najwyżej spotkanie z sąsiadami i ich psami, do chwili, gdy znajdziemy się poza zasięgiem nieprzychylnych nam obserwatorów.

W wyniku nieoczekiwanej wizyty Manuela i jego kolegów zostaliśmy pozbawieni broni. Jedynie Sasha miała pistolet, trzydziestośmiomilimetrowy chief special, i dwa zapasowe magazynki. Nie chciała oddać go Rooseveltowi ani Bobby'emu, ani mnie — a nawet Mungojerriemu. Tonem nieznoszącym sprzeciwu oświadczyła, że to ona zajmie niebezpieczną pozycję

z przodu grupy.

— Gdzie spotkamy się z Doogiem? — spytałem, kiedy Bobby chował do lodówki kilka ostatnich ciasteczek z cynamonem, a ja skończyłem układać brudne naczynia w zlewie.

— Przy Haddenbeck Road — odparła Sasha. — Za Wzgórzem Kruka.

— Wzgórze Kruka — powtórzył Bobby. — Nie podoba mi się ta nazwa.

Sasha nie zrozumiała od razu jego uwagi. Dopiero po chwili wzruszyła ramionami i odrzekła:

— To tylko zwykłe wzgórze. Cóż mogłoby mieć wspólnego z tymi rysunkami?

Mnie bardziej przerażyła odległość, którą musieliśmy pokonać przed wyruszeniem do Wyvern.

— Przecież to siedem, osiem mil.

— Prawie dziewięć — poprawiła mnie Sasha. — Ale kiedy po mieście kręci się tylu podejrzanych facetów, nie możemy spotkać się tutaj z Doogiem, bo na pewno ściągnęlibyśmy na siebie ich uwagę.

— Przejście takiej odległości zajmie nam sporo czasu, a wcale nie mamy go za dużo — zaprotestowałem.

— Och, przecież przejdziemy tylko kilka przecznic — westchnęła ze zniecierpliwieniem moja ukochana. — Potem ukradniemy jakiś samochód.

Bobby uśmiechnął się do mnie i mrugnął porozumiewawczo.

— Niezłą masz dziewczynę, bracie.

— Czyj samochód? — spytałem.

— Czyjkolwiek — odparła wesoło Sasha. — Nie interesuje mnie

marka, ważne, żeby jeździł.

— A jeśli nie znajdziemy samochodu z kluczykami w stacyjce?

— Poradzę sobie.

— Potrafisz uruchomić samochód bez kluczyków?

— Byłam kiedyś w harcerstwie.

— Córka uzyskała sprawność złodzieja samochodów — powiedział Roosevelt do Mungojerriego.

Wychodząc, starannie zamknęliśmy za sobą drzwi, a w kilku pomieszczeniach zostawiliśmy zapalone światło, ustawione na niski poziom natężenia.

Tym razem nie włożyłem czapki z Magicznym Pociągiem. Nie wierzyłem już, by była jakoś powiązana z moją matką i z pewnością nie nadawała się na talizman przynoszący szczęście.

Noc była ciepła i bezwietrzna, wypełniona delikatnym zapachem soli morskiej i wodorostów.

Ciężkie, ołowiane chmury zakryły niemal całe niebo. Tu i ówdzie odbijały się w nich światła miasta, przypominające żółty, zjełczały tłuszcz rozsmarowany na powierzchni Chleba, ogólnie jednak noc była ciemna, właśnie taka, jakiej potrzebowaliśmy.

Drewniany płot z drzewa cedrowego otaczający nasz dom jest wyższy ode mnie i solidny jak murowana ściana. W rogu podwórka znajduje się bramka prowadząca na ubitą ścieżkę.

Oczywiście nie skorzystaliśmy z tej drogi i przeszliśmy na drugą stronę podwórza, gdzie moja posiadłość graniczy z posiadłością rodziny Samardianów.

Grube, gęsto ustawione sztachety przytwierdzone są aż do trzech poziomych listew. To właśnie te listwy miały nam

posłużyć za drabinę.

Mungojerrie wskoczył na płot, jakby był lżejszy od powietrza. Opierając się tylnymi łapami o najwyższą z poziomych belek, przednimi zaś o szczyt płotu, patrzył na sąsiednie podwórze.

Kiedy wreszcie odwrócił głowę i spojrział na nas, Roosevelt wyszeptał:

— Zdaje się, że nikogo nie ma w domu.

Po kolei przechodziliśmy przez płot, starając się przy tym zbytnio nie hałasować. Szybko dotarliśmy na drugą stronę posiadłości Samardianów, gdzie znajdowało się następne ogrodzenie z cedrowych sztachet. Pokonaliśmy je równie szybko jak poprzednie i przemknęliśmy niezauważeni przez podwórko Landsbergów, choć w ich domu świeciło się światło. Niski płot wokół posiadłości Perezów nie stanowił dla nas żadnej przeszkody. W ten sposób posuwaliśmy się na wschód, pokonując kolejne ogrodzenia i podwórka bez większych problemów. Raz tylko musieliśmy nieco zwolnić, by poradzić sobie z Bobo, golden retrieverem Wlaskich, który co prawda nie szczeka, ale stara się ze wszystkich sił przewrócić człowieka wielkim ogonem, a potem zalizać go na śmierć.

W końcu jednak wspięliśmy się na wysoki płot z drewna sekwojowego okalający podwórko Stanwyka, zostawiając za sobą namolnego Bobo, choć ten tańczył na tylnych łapach z radości i koniecznie chciał nam towarzyszyć w dalszej wędrówce.

Zawsze uważałem Rogera Stanwyka za przyzwoitego człowieka, który użyzył swego talentu badaniom w Wyvern tylko dlatego, że chciał w ten sposób przyczynić się do rozwoju medycyny i ratowania wielu istot ludzkich, podobnie jak moja

mama. On także zgrzeszył tym samym co mama: pychą. Pokładając zbyt wielką wiarę w swej inteligencji i zbyt wielkie zaufanie w nauce, jako sile prowadzącej do rozwiązania wszelkich problemów naszej egzystencji, stał się mimowolnie jednym z architektów zagłady.

Tak myślałem do niedawna. Teraz nie byłem już tego pewien. Zgodnie z tym, co powiedział Leland Delacroix, Stanwyk był zaangażowany zarówno w badania mojej mamy, jak i w projekt Magiczny Pociąg. Prawdopodobnie wcale nie był taką świetlaną postacią, za jaką go uważałem.

Wszyscy dwunożni uczestnicy naszej eskapady przemykali od krzaka do krzaka, licząc na to, że nikt nie wyjrzy akurat przez okno. Dopiero gdy dotarliśmy do płotu, zauważyliśmy, że nie ma z nami Mungojerriego.

Przerażeni zawróciliśmy, poszukując kota wśród elegancko przystrzyżonych krzewów, szepcząc jego imię, które wcale nie należy do najłatwiejszych do wymówienia. Wreszcie znaleźliśmy go przy werandzie Stanwyka. Siedział spokojnie na trawniku, ledwie widoczny niczym szara plama na czarnym tle.

Przykucnęliśmy wokół naszego maleńkiego przewodnika, a Roosevelt przełączył swój mózg na Kanał Zwierzęcy, by zrozumieć, co Mungojerrie ma nam do powiedzenia.

— On chce wejść do środka — wyszeptał Roosevelt po chwili.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Tam stało się coś złego — mruknął Roosevelt.

— Co?

— Tu mieszka śmierć — odpowiedział kot ustami naszego przyjaciela.

— Ma ładnie utrzymane podwórko — zauważył Bobby.

— Doogie na nas czeka — przypomniała kotu Sasha.

— Mungojerrie mówi, że w domu są ludzie, którzy potrzebują pomocy — przetłumaczył Roosevelt.

— Skąd on może to wiedzieć? — spytałem i natychmiast sam znalazłem odpowiedź, którą wypowiedziałem szeptem wraz z Bobbym i Sashą: — Koty wiedzą więcej.

Miałem ochotę pochwycić kota, wsadzić go sobie pod pachę, jakby był piłką futbolową, i uciec. Wiedziałem jednak, że ma pazury i kły i że może stawić mi opór. Co ważniejsze, potrzebowaliśmy jego dobrowolnej współpracy. Nie wiem, czy nadal byłby skłonny nam pomagać, gdybym potraktował go jak przedmiot, który nadaje się tylko do rzucania i kopania.

Chcąc nie chcąc, byliśmy zmuszeni przyjrzeć się z bliska wiktoriańskiemu domostwu. Dopiero teraz zauważyłem, że wydaje się dziwnie cichy, otoczony aurą niesamowitości. Okna pokoiów na piętrze pulsowały błękitnym, migotliwym blaskiem bijącym od telewizorów. Dwa pomieszczenia na parterze, z tyłu domu — prawdopodobnie kuchnia i jadalnia — oświetlone były pomarańczowymi, chwiejnymi płomykami świec lub lampek oliwnych.

Nasz czworonożny przewodnik podniósł się z trawnika i pobiegł do domu. Po chwili znikł w cieniu tylnej werandy.

Może pan Mungojerrie, fenomenalny kot, ma wyostrzone poczucie obywatelskiego obowiązku. Może jego moralny kompas jest namagnetyzowany tak, że nie może odwrócić się od ludzi w potrzebie. Podejrzywałem jednak, że najsilniejszą motywacją była w tej sytuacji ogólnie znana kocia ciekawość, która

doprowadziła do smutnego końca już niejednego przedstawiciela tego gatunku.

Przez chwilę jeszcze siedzieliśmy w kucki, ustawieni w półokręgu, wreszcie Bobby spytał:

— Czy słusznie podejrzewam, że to śmierdząca sprawa?

Błyskawiczne badanie opinii publicznej wykazało, że jego punkt widzenia cieszy się stuprocentowym poparciem.

Z ociąganiem, ukradkiem, przeszliśmy wszyscy na werandę, gdzie Mungojerrie ze zniecierpliwieniem skrobał w drzwi.

Przez cztery szybki zamocowane w drzwiach mogliśmy obejrzeć dokładnie kuchnię utrzymaną w stylu wiktoriańskim. Wszystkie, najdrobniejsze nawet przedmioty dopasowane były do tej właśnie epoki. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się wcale, gdybym ujrzał tam Karola Dickensa, Williama Gladstone'a i Kubę Rozpruwacza gawędzących miło przy herbatce. Pomieszczenie oświetlała lampka olejowa ustawiona na owalnym stole, jakby ktoś przygotował się na moją wizytę i uwzględnił moją wrażliwość na światło.

Sasha przejęła inicjatywę i zapukała.

Nikt nie otwierał.

Mungojerrie nadal skrobał w drzwi.

— Spokojnie, wiemy już, co mamy robić — powiedział mu Bobby.

Sasha nacisnęła kłamkę.

Mieliśmy nadzieję, że potężne zamki uniemożliwią nam wejście do domu, lecz ze zdumieniem odkryliśmy, że drzwi są otwarte.

Mungojerrie szybko prześlizgnął się przez wąską szparę przy

progu i zniknął we wnętrzu domu, nim Sasha zdążyła zareagować.

— Śmierć, wszędzie śmierć — mruknął Roosevelt, najwyraźniej komunikując się z kotem.

Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby w przejściu stanął nagle doktor Stanwyk odziany w biały skafander biologiczny, z twarzą pokrytą odrażającymi robakami i z białym krukiem na ramieniu. Ten człowiek, który niegdyś wydawał mi się mądry i łagodny — jeśli nawet ekscentryczny — teraz czaił się w mrocznych zakamarkach mego umysłu niczym nieproszony gość na przyjęciu w *Masce Czerwonego Moru* Poego.

Rogera i Marie Stanwyków znałem już od wielu lat. Byli nieco dziwną, lecz szczęśliwą parą tuż po pięćdziesiątce. On nosił wielkie baki i gęste wąsy i zawsze był ubrany w elegancki garnitur oraz krawat; odnosiłem wrażenie, że najchętniej włożyłby szeroki biały kołnierz i nosiłby wielki zegarek w kopercie i na łańcuszku, a nie robił tak, bo uważał, że takie dziwactwa nie przystoją poważnemu naukowcowi na wysokim stanowisku. Niemniej od czasu do czasu wkładał staromodne kamizelki, a przerwy w pracy poświęcał na żmudne nabijanie wielkiej fajki, jakiej nie powstydziliby się Sherlock Holmes. Marie, pulchna matrona o różanej cerze, zbierała stare, zdobione pudełka na herbatę i dziewiętnastowieczne obrazy czarodziejek i wróżek. Jej garderoba była wyrazem niechętniej akceptacji mody dwudziestego pierwszego wieku, choć bez względu na to, co akurat miała na sobie, widać było, jak bardzo tęskni za zapinanymi na guziki butami, szerokimi spódnicami i parasolkami. Roger i Marie zdawali się przynależać do innego

miejsca i innej epoki, a mimo to jeździli czerwonym jaguarem, chodzili do kina na ogłupiające wysokobudżetowe filmy i doskonale radzili sobie jako obywatele nowego tysiąclecia.

Sasha zawołała ich przez otwarte drzwi kuchni.

Tymczasem Mungojerrie przeszedł bez wahania przez kuchnię i zniknął w następnym pomieszczeniu.

Kiedy po trzecim „Roger, Marie, dzień dobry” nadal nikt nam nie odpowiadał, Sasha wyciągnęła swoją trzydziestkęósemkę i weszła do środka.

Bobby, Roosevelt i ja ruszyliśmy jej śladem. Gdyby Sasha nosiła spódnicę, moglibyśmy ukryć się za jej fałdami, jednak ochrona zapewniana przez rewolwer Smith & Wesson zdawała nam się równie skuteczna.

Z zewnątrz dom wydawał się całkiem cichy, kiedy jednak dotarliśmy do kuchni, usłyszeliśmy głosy dobiegające z pokoju obok.

Zatrzymaliśmy się i nasłuchiwaliliśmy przez chwilę, nie byliśmy jednak w stanie rozróżnić poszczególnych słów. Gdy po jakimś czasie słowa zastąpiła głośna muzyka, zrozumieliśmy, że nie jest to rozmowa żywych ludzi, lecz odgłosy radia lub telewizora.

Sposób, w jaki Sasha weszła do jadalni, mocno mnie zaintrygował. Byłem przekonany, że można by to pokazywać na filmach instruktażowych dla przyszłych policjantów. Obie dłonie zaciśnięte na rewolwerze. Ręce wyprostowane, ściągnięte ramiona. Broń nieco poniżej linii wzroku. Szybko oceniła sytuację i wślizgnęła się do wnętrza pomieszczenia, nie odrywając pleców od ściany. Gdy zniknęła mi z oczu, wciąż widziałem jeszcze jej wyprostowane ręce. Obróciła je w lewo,

potem w prawo, potem jeszcze raz w lewo, omiatając pokój wzrokiem. Jej ruchy były pewne, wyćwiczone, niemal instynktowne, a jednocześnie miękkie jak jej głos.

Może naoglądała się za dużo filmów sensacyjnych. Na pewno.

— Chodźcie — przywołała nas szeptem.

Wysokie, zdobione szafki wisiały nad nami, groźnie pochylone, jakby lada moment miały oderwać się od ścian i nas przygnieść. Za grubymi, przeszklonymi drzwiami lśniły porcelanowe i srebrne naczynia. Żarówki zamocowane w wielkim kryształowym żyrandolu nie świeciły w tej chwili, ale w niezliczonych szklanych paciorkach odbijały się płomyki świec.

Pośrodku jadalni znajdował się wielki drewniany stół, a na nim stała wielka misa do ponczu wypełniona sokiem owocowym, kilka czystych szklanek i opróżnione buteleczki po lekarstwach.

Światło było zbyt słabe, nie mogliśmy więc odczytać napisów na fiolkach, a nikt z nas nie chciał ich dotykać. „Tu mieszka śmierć” — powiedział przedtem kot, i być może dlatego, odkąd tylko weszliśmy do domu, byliśmy przekonani, że oglądamy miejsce zbrodni. Ujrawszy puste fiolki na stole w jadalni, spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo, i choć nikt nie wypowiedział ani słowa, wszyscy domyślali się, co tutaj zaszło.

Mogłem skorzystać z latarki, bałem się jednak, że ściągnę uwagę jakichś niepożądanych gości. W tych okolicznościach byłoby to niewskazane. Poza tym nazwa medykamentu i tak nie miała większego znaczenia.

Sasha poprowadziła nas do wielkiego salonu, oświetlonego blaskiem telewizora, który wkomponowany został

w politurowany sekretarzyk. Nawet w tak słabym świetle widziałem, że pokój zagracony jest jak złomowisko, tyle że tu rolę samochodów pełniły wiktoriańskie meble i elementy wystroju: wielkie, bogato rzeźbione neorokokowe szafy, zdobione obicia na stylowych sofach i fotelach, tapety z pseudogotyckimi wzorami, ciężkie aksamitne zasłony z kaskadą lśniących frędzli, egipska kanapa z adamaszkowymi poduszczkami, lampy z wizerunkami cherubów w złotych turbanach, podtrzymujących wielkie abażury z kolorowymi paciorkami, wreszcie przeróżne drobiazgi z epoki stłoczone na wszystkich półkach i na stoliku.

Ułożone wśród tego przepychu zwłoki ludzkie wydawały się tylko kolejnym elementem wystroju.

Na egipskiej kanapie spoczywał mężczyzna ubrany w czarne spodnie i białą koszulę. Nim się położył, zdjął buty i ustawił je równo na podłodze, wkładając sznurówki do środka, jakby nie chciał zabrudzić eleganckiej tapicerki. Obok butów stała szklanka identyczna z tymi, jakie widzieliśmy na stole w jadalni — kryształ z Waterford, sądząc po wyglądzie. Na dnie pozostało jeszcze trochę soku. Lewa ręka martwego mężczyzny zsunęła się z kanapy, leżała odwrócona dłonią do góry na perskim dywanie. Druga spoczywała na jego piersiach. Głowa oparta była na dwóch brokatowych poduszkach, a twarz zasłonięta czarną jedwabną chustką.

Sasha sprawdzała tymczasem sąsiedni pokój, bardziej interesowało ją nasze bezpieczeństwo niż zwłoki.

Czarna chusta nie poruszała się miarowo, nie drgała nawet. Mężczyzna nie oddychał.

Wiedziałem, że nie żyje, wiedziałem, co go zabiło — nie

choroba zakaźna, nie zbyt wielka dawka heroiny czy innego narkotyku — bałem się jednak zsunąć z jego twarzy czarną zasłonę niczym dziecko, które boi się zajrzeć pod łóżko i przekonać, że nie ma tam żadnego potwora.

Wreszcie przemogłem się, pochwyciłem dwoma palcami róg chustki i ściągnąłem ją z twarzy mężczyzny.

Wciąż żył. To było moje pierwsze wrażenie. Jego oczy były otwarte i patrzyły na mnie.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, że oczy nieruchomo wpatrują się w jeden punkt. Migotanie telewizora odbijało się w martwych oczach mężczyzny, nadając im pozory ruchu.

W pokoju było wystarczająco jasno, bym mógł zidentyfikować zmarłego. Nazywał się Tom Sparkman. Był współpracownikiem Rogera Stanwyka, profesorem w Ashdon, także biochemikiem zaangażowanym w badania prowadzone w Wyvern.

Proces rozkładu nawet się nie rozpoczął. Śmierć musiała nastąpić niedawno.

Przyłożyłem lewą dłoń do czoła Sparkmana.

— Jeszcze ciepłe — wyszeptałem.

Podszedłem do Roosevelta, który zatrzymał się obok niewielkiej sofy, zdobionej guzikami i bogato rzeźbionymi poręczami po obu stronach. Spoczywał tu drugi mężczyzna, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Ten miał na nogach buty, a jego szklanka leżała przewrócona na dywanie, tam gdzie ją upuścił.

Roosevelt bez wahania ściągnął czarną chustkę zakrywającą twarz mężczyzny. Światło nie było tutaj tak dobre, zwłoki bardziej oddalone od telewizora, nie potrafiłem ich więc

zidentyfikować.

Postanowiłem zaryzykować i włączyłem latarkę na dwie, trzy sekundy. Zwłoki leżące na sofie należały do Lennarta Toregarda, szwedzkiego matematyka, który wykładał w Ashdon i którego ściągnięto tu na czteroletni kontrakt. Oczywiście była to tylko przykrywka dla jego pracy w Wyvern. Oczy Toregarda były zamknięte. Jego twarz spokojna. Delikatny uśmiech świadczył o tym, że kiedy rozstawał się z życiem, śnił o czymś przyjemnym.

Bobby wsunął dwa palce pod nadgarstek Toregarda i sprawdził puls. Pokręcił głową; nic.

Po ścianach i suficie przemknęły nagle skrzydlate cienie.

Sasha natychmiast odwróciła się w tę stronę.

Sięgnąłem pod kurtkę, ale nie znalazłem tam broni ani kabury.

Cienie były tylko cieniami, odbiciem gwałtownej akcji, jaka toczyła się na ekranie telewizora.

Trzeci trup siedział w fotelu, nogi opierał o niski stółek, ręce ułożył równo na oparciach. Bobby ściągnął jedwabną maskę, ja oświetliłem twarz latarką, a Roosevelt wyszeptał:

— Pułkownik Ellway.

Pułkownik Eaton Ellway był zastępcą komendanta Fortu Wyvern. Po zamknięciu bazy przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Moonlight Bay. Przeszedł na emeryturę — albo przywdziawszy cywilne ubranie, brał udział w tajnych badaniach.

Kiedy przekonałem się już, że w pokoju nie ma więcej trupów, spojrzałem wreszcie na telewizor. Aparat podłączony był do sieci kablowej, w której nadawano właśnie film Disneya *Król Lew*.

Przez chwilę staliśmy w bezruchu, nasłuchując.

Z pozostałych pomieszczeń dobiegały inne głosy i inna muzyka.

Żaden z głosów nie należał do żywego człowieka.

Tu mieszka śmierć.

Opuściliśmy salon, przeszliśmy przez hol i zatrzymaliśmy się przed wejściem do gabinetu. Sasha i Roosevelt stanęli przy drzwiach.

Ściana po lewej stronie zakryta była wielkim regałem, w którym oprócz książek znalazło się miejsce na telewizor i wieżę stereofoniczną. Na ekranie bohaterowie Disnejowskiej kreskówki śpiewali właśnie piosenkę *Hakuna Matata*.

W gabinecie znaleźliśmy z Bobbym dwóch kolejnych członków klubu samobójców z czarnymi chustami na twarzach. Mężczyzna siedział przy biurku, kobieta leżała w fotelu. Obok nich stały puste szklanki.

Nie miałem już ochoty ściągać czarnych zasłon z ich twarzy. Być może te chusty wiązały się z jakimś kultem, może miały symboliczne znaczenie, czytelne tylko dla tych, którzy brali udział w tym rytualnym akcie samodestrukcji. Pomyślałem też, że przynajmniej po części może to być wyraz wyrzutów sumienia, jakie dręczyły tych ludzi, współpracowników mojej mamy, współtwórców morderczego retrowirusa. Jeśli rzeczywiście poczuwali się do winy, postanowili odejść z godnością, a odsłonięcie twarzy odzierało ich z godności.

Z tego powodu nim jeszcze opuściliśmy salon, ponownie zakryłem oblicza Sparkmana, Toregarda i Ellwaya.

Bobby rozumiał chyba moje rozterki, dlatego sam uniósł rąbek chusty zakrywającej twarz mężczyzny, a ja oświetliłem ją na

moment, chcąc zidentyfikować zwłoki. Nie był to jednak nikt ze znanych nam osób; przystojny mężczyzna o małych, elegancko przystrzyżonych wąsikach. Bobby opuścił chustkę.

Kobieta w fotelu także była nam obca, kiedy jednak oświetliłem jej twarz, nie wyłączyłem od razu latarki.

Bobby gwizdnął cicho, wziął głęboki oddech, a potem wypuścił ze świstem powietrze.

— Boże — mruknął, uspokoiwszy oddech.

Z trudem powstrzymywałem drżenie rąk.

Wyczuwając coś niedobrego, Sasha i Roosevelt opuścili posterunek w holu i dołączyli do nas. Choć nie powiedzieli ani słowa, ich twarze wyrażały szok i obrzydzenie.

Oczy martwej kobiety były szeroko otwarte. To po lewej stronie twarzy było normalnym, brązowym okiem, to po prawej — zielone i nienormalne. Ogromna złota tęczówka i złotozielona soczewka nie pozostawiały już miejsca na białko.

Czarna źrenica nie była okrągła, lecz eliptyczna — jak źrenica w oku węża.

Oczodół wokół tego przerażającego ślepiec był paskudnie zmieniony. Właściwie cała prawa strona jej ładnej twarzy została zdeformowana — kość skroniowa, policzkowa, żuchwa.

Usta kobiety otwierały się w bezgłośnym krzyku. Wargi rozsunięte w przedśmiertnym grymasie odsłaniały białe zęby, w większości normalne, choć po prawej stronie dostrzegłem coś przypominającego zwierzęce kły.

Przesunąłem promień latarki niżej, na dłonie ułożone na brzuchu kobiety. Spodziewałem się ujrzeć tam kolejne efekty mutacji, jednak obie ręce nie były zniekształcone. Pomiedzy

zaciśniętymi palcami tkwił różaniec; czarne paciorki, srebrny łańcuszek, drobny, misternie rzeźbiony krucyfiks.

Te blade, kurczowo zaciśnięte dłonie wyrażały tak wielką rozpacz, tak przerażającą desperację, że ogarnięty współczuciem natychmiast wyłączyłem latarkę. Oglądanie smutnego świadectwa ostatnich cierpień biednej kobiety wydało mi się nagle nieprzyzwoite.

Gdy odnalazłem w salonie ciało pierwszej ofiary zbiorowego samobójstwa, wiedziałem, że do tego desperackiego czynu pchnęło ich nie tylko poczucie winy. Być może niektórzy z nich rzeczywiście nie mogli poradzić sobie z wyrzutami sumienia, w większości jednak postanowili z sobą skończyć dlatego, że zaczęli się przemieniać, a strach przed tym, w co mogą się przemienić, przewyższał lęk przed śmiercią.

Do tej pory retrowirus przenoszący DNA innych gatunków do ludzkich komórek wywoływał zmiany jedynie w psychice zarażonych. Tylko ktoś bardzo spostrzegawczy mógł dostrzec zwierzęcy błysk w oczach człowieka ulegającego przemianie.

Niektórzy z mózgowców twierdzą, że zmiany fizyczne są praktycznie niemożliwe. Uważają, że podczas ciągłego procesu zużywania i wymiany komórek w organizmie nowe komórki nie będą już zawierać sekwencji zwierzęcego DNA, który zainfekował poprzednie pokolenie — nawet jeśli komórki macierzyste, które kontrolują wzrost w całym ludzkim ciele, nadal są zarażone.

Ciało tej zdeformowanej kobiety dowodziło, jak bardzo się mylili. Zmianom zachodzącym w umysłach zarażonych mogły również towarzyszyć przerażające zmiany fizyczne.

Każdy zainfekowany przyjmuje ładunek obcego DNA różny od wszystkich pozostałych, co oznacza, że w każdym przypadku efekt może być inny. Niektórzy mogą nie doświadczyć żadnych zauważalnych zmian, ani fizycznych, ani umysłowych. Taka sytuacja ma miejsce wtedy, gdy fragmenty DNA, które dostały się do ich organizmu, pochodzą z wielu źródeł, nie ma więc jednego skumulowanego efektu, a dochodzi tylko do różnych zaburzeń w funkcjonowaniu poszczególnych organów, co z kolei prowadzi do powstawania nowotworów i innych schorzeń. Inni cierpieć będą na zaburzenia psychiki, staną się zwierzętami w ludzkiej skórze, opętani zostaną morderczym szaleńcami. Ci, którzy dodatkowo ulegną fizycznej metamorfozie, będą od siebie całkiem różni; koszmarnie ludzkie zoo.

Poczułem nagle, że zaschło mi w ustach, że gardło mam ściśnięte i wysuszone. Nawet moje serce wydawało się dziwnie zeschnięte, a jego bicie pozbawione siły, oziębiające, niepewne.

Nie udzielała mi się wesołość rozśpiewanych i rozradowanych bohaterów kreskówki.

Miałem nadzieję, że Manuel nie rzucił słów na wiatr, kiedy mówił o powszechnie dostępnej szczepionce i lekarstwach.

Bobby delikatnie nasunął chustkę na twarz kobiety, zakrywając przed nami jej umęczone oczy.

Kiedy Bobby pochylał się nad nią, odruchowo ścisnąłem latarkę i ustawiłem ją tak, jakby była pistoletem. Oczami wyobraźni widziałem już, jak kobieta nagle ożywa, wydaje z siebie przerażające warknięcie, zarzuca Bobby'emu różaniec na szyję i przyciąga do siebie, by zanurzyć wielkie kły w jego miękkim ciele.

Nie tylko ja mam wybujałą fantazję. Również w oczach Bobby'ego dostrzegłem błysk niepewności. Jego ręce drżały nerwowo, kiedy nasuwał chustę na miejsce.

Kiedy wyszliśmy już z gabinetu, Sasha zawahała się i wróciła tam na moment, by jeszcze raz ogarnąć spojrzeniem całe pomieszczenie. Choć nie ścisnęła już pistoletu w obu dłoniach, nadal trzymała go w pozycji gotowej do strzału, jakby spodziewała się, że nawet cała fiolka proszków nasennych nie jest w stanie uśmiercić stworzenia spoczywającego w fotelu.

Na parterze znajdowała się jeszcze szwalnia i pralnia, jednak oba pomieszczenia były puste.

Kiedy znów znaleźliśmy się w holu, Roosevelt wyszeptał imię Mungojerriego, który zniknął nam z oczu zaraz po wejściu do domu.

Ciche, trzykrotne „miau”, które z trudem przebijało się przez ścieżkę dźwiękową Disnejowskiej kreskówki, zaprowadziło nas na drugą stronę holu.

Mungojerrie siedział na poręczy na samym dole schodów. Jego zielone lśniące oczy patrzyły przez chwilę na Roosevelta, a potem obróciły się ku Sashy, kiedy ta nagłym tonem zasugerowała, byśmy się stąd wynosili.

Bez pomocy kota nie mieliśmy jednak większych szans na odnalezienie Orsona i dzieci. Byliśmy zakładnikami jego ciekawości — jeśli to ciekawość kazała mu odwrócić się od nas, wbiec na pierwsze piętro i zniknąć w ciemnościach.

— Co on robi? — spytałem Roosevelta.

— Sam chciałbym wiedzieć — mruknął. — Do rozmowy potrzebne są dwie strony.

22

Sasha znów zajęła miejsce z przodu grupy, ja zamykałem nasz skromny pochód. Drewniane schody, przykryte cienkim dywanem, skrzypiały nieco, gdy szliśmy, a pod stopami Roosevelta jeszcze bardziej. Jednak odgłosy filmu dochodzące z gabinetu i salonu na dole — i podobne dźwięki dochodzące z góry — skutecznie tłumiły ten hałas.

Gdy dotarliśmy na szczyt schodów, odwróciłem się i spojrzałem w dół. Nie zobaczyłem ani jednego trupa stojącego w holu, z twarzą ukrytą pod czarną chustą. Ani jednego, choć spodziewałem się pięciu.

W holu na piętrze znajdowało się sześć drzwi. Tylko jedne były zamknięte. W trzech pomieszczeniach pulsowało błękitne światło telewizorów. Pomieszane głosy świadczyły o tym, że nie tylko *Król Lew* zabawiał samobójców w ostatnich chwilach ich życia.

Nie chcąc narażać się na atak ukrytego za drzwiami napastnika, Sasha zatrzymała się najpierw przy zamkniętym pokoju. Przyłgnęła plecami do ściany i uniosła broń na wysokość twarzy. Ja zająłem miejsce po drugiej stronie drzwi, sięgnąłem ręką do klamki i nacisnąłem ją powoli. Gdy otworzyłem drzwi,

Sasha natychmiast wtargnęła do środka i trzymając pistolet w prawej dłoni, odszukała włącznik światła.

Łazienka. Pusta.

Wycofała się do holu, gasząc światło i pozostawiając drzwi otwarte.

Obok łazienki znajdował się niewielki schowek na pościel.

Zostały cztery pokoje. Otwarte drzwi. Muzyka i głosy w trzech z nich.

Nie jestem wielbicielem broni, o czym świadczy choćby fakt, że po raz pierwszy strzelałem z pistoletu zaledwie przed miesiącem. Nadal boję się, że przypadkiem przestrzelę sobie stopę i — prawdę mówiąc — wolałbym to, niż być zmuszonym do zabicia innego człowieka. Teraz jednak bardzo żałowałem, że jestem bezbronny, gdyż nie mogłem patrzeć, jak Sasha bierze na siebie całe ryzyko.

Bez chwili wahania weszła do następnego pokoju. Kiedy nikt nie odpowiedział ogniem na wtargnięcie, Bobby i ja ruszyliśmy jej śladem, a Roosevelt został przy drzwiach i obserwował hol.

Na stoliku przy łóżku stała niewielka lampka, rozsiewała wokół siebie łagodne, żółte światło. W telewizji pokazywano właśnie film przyrodniczy. Być może kojące sceny z życia zwierząt i roślin umilały ostatnie chwile samobójcom, kiedy ci pili zatruty napój, ale w tym momencie na ekranie lis pożerał wnętrzności swojej ofiary.

Znajdowaliśmy się w głównej sypialni, połączonej z łazienką. Choć pokój był naprawdę duży, utrzymany w weselszych barwach niż salon na dole, nadal czułem się przytłoczony natłokiem wiktoriańskich mebli i bibelotów. Ściany, zasłony,

nakrycie i baldachim nad szerokim łóżem wykonano z tego samego materiału; kremowe tło pokrywała ogromna ilość różyczek i wstążeczek — eksplozja różu, zieleni i żółci. Na dywanie królowały żółte chryzantemy, czerwone róże i niebieskie wstążeczki, mnóstwo niebieskich wstążeczek, tak dużo niebieskich wstążeczek, że od razu przywodziły na myśl żyły i pulsujące tętnice. Lakierowane i zdobione złoceniami meble były równie ciężkie, jak te na dole, a mieściły tyle kryształowych przycisków do papieru, porcelanowych i brązowych figurek, oprawionych w srebrne ramki fotografii i innych drobiazgów, że gdyby używano ich jako amunicji do kamienowania, mogłyby uśmiercić cały tłum malkontentów.

Na łóżku leżało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Elegancko ubrani, mieli na twarzach czarne jedwabne chusty. Teraz wcale nie wydawały mi się one wyrazem jakiegoś kultu czy symbolem skruchy, pasowały idealnie do wiktoriańskiego wystroju i mentalności, miały zaoszczędzić przykrych wrażeń tym, którzy pierwsi odkryją ciała. Byłem pewien, że ci dwoje — ułożeni na plecach, ramię przy ramieniu, trzymający się za ręce — to Roger i Marie Stanwykowie. Kiedy Sasha i Bobby ściągnęli z ich twarzy chusty, przekonałem się, że moje przypuszczenia były słuszne.

Kierowany jakimś irracjonalnym odruchem spojrzałem na sufit, jakbym spodziewał się zobaczyć tam wielkie białe kokony. Oczywiście nie znalazłem niczego podobnego. Pomyślałem, że zaczynam się już gubić w tej koszmarnej rzeczywistości.

Zmagając się z narastającym klaustrofobicznym strachem, opuściłem pokój przed Sashą i Bobbym. Dołączyłem do Roosevelta, czekającego na nas w holu, i ze zdumieniem

odkryłem, że nadal nie pojawiły się tu trupy z czarnymi chustami na twarzach.

Następna sypialnia utrzymana była w tym samym wiktoriańskim stylu co cały dom, ale dwa ciała — znaleźliśmy je na mahoniowym łóżu, nakrytym baldachimem z białego muślinu i koronki — leżały w pozie znacznie bardziej współczesnej niż Marie i Roger, zwrócone twarzami do siebie, obejmujące się wzajemnie. Przyjrzeliliśmy się dokładnie ich alabastrowym twarzom, jednak nikt z nas nie znał tych dwojga. Nie zwlekając ani chwili, ponownie nasunęliśmy jedwabne chusty na miejsce.

W tym pokoju także stał telewizor. Stanwykowie, mimo że lubili dawną i przyjemniejszą epokę, byli typowymi Amerykanami, którzy nie potrafią obyć się bez telewizji. Z pewnością umniejszało to nieco ich inteligencję, bo — jak powszechnie wiadomo — regularne oglądanie telewizji obniża poziom IQ widza. Para zamknięta w uścisku wybrała na ostatnie chwile życia jeden ze starych odcinków *Star Treka*. Kapitan Kirk wyjaśniał właśnie wszystkim zebranym, że współczucie i tolerancja są równie ważne dla rozwoju inteligentnych gatunków jak zmysł wzroku i przeciwstawny kciuk. Przez chwilę miałem ochotę przełączyć telewizor na film przyrodniczy, gdzie lis pożerał wnętrzności ptaka.

Nie chciałem osądzać tych biednych ludzi, bo nie znałem strachu i cierpienia fizycznego, które przywiodły ich do tego desperackiego kroku. Gdybym jednak sam był tak zdesperowany, że uznałbym samobójstwo za jedyne wyjście z sytuacji, nie chciałbym umierać, oglądając produkcję imperium Disneya ani poważnego filmu o pięknie natury, ani też przygód statku

kosmicznego *Enterprise*. Chciałbym odejść przy dźwiękach wiecznej muzyki Beethovena, Bacha, może Brahmsa czy Mozarta, albo przy rockowych balladach Chrisa Isaaka, które także doskonale nadawałyby się do tego celu.

Nim wyszedłem z sypialni i ponownie znalazłem się przy schodach w holu, naliczyłem już dziewięć martwych ciał, moja klaustrofobia osiągnęła apogeum, a wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach; tak bardzo pragnąłem mieć broń, że przypominało to seksualne pożądanie.

Wiedziałem, że ktoś w tym domu zginie.

Czasami Christopher Snow wie więcej.

Wiedziałem.

Wiedziałem.

Następny pokój tonął w ciemnościach. Kiedy omiotłem go szybko światłem latarki, zrozumiałem, że jest to magazyn, w którym Stanwykowie przechowywali wiktoriańskie meble i dzieła sztuki. W ciągu kilku sekund zobaczyłem obrazy, krzesła, jeszcze więcej krzesel, ozdobny stojak na butelki z winem, figurki z terakoty, urny, drewniane biurko, biblioteczkę — zupełnie jakby Stanwykowie chcieli zapchać swój dom przedmiotami do tego stopnia, by nie starczyło w nim miejsca dla ludzi, jakby mieli nadzieję, że takie nagromadzenie mebli i bibelotów z epoki zakrzywi czasoprzestrzeń w tym miejscu, że dojdzie do implozji, która przeniesie dom do spokojnych czasów sir Arthura Conan Doyle'a i lorda Chesterfielda.

Mungojerrie, najwyraźniej niewzruszony tą niesamowitą wystawą, stał spokojnie w holu, w migotliwym świetle wylewającym się z drzwi ostatniego pomieszczenia. Poruszając

leniwie ogonem, zaglądał do wnętrza tego pokoju. Nagle jego postawa uległa całkowitej zmianie; wygiął grzbiet w łuk i nastroszył sierść, jakby zobaczył diabła wynurzającego się z kotła, w którym jego znajoma wiedźma warzyła magiczny napar.

Choć nieuzbrojony, nie miałem zamiaru pozwolić Sashy wejść tam przede mną, przypuszczałem bowiem, że ten, kto przekroczy próg pierwszy, zostanie zastrzelony albo posiekany na kawałeczki jak marchewka do rosółu. Od momentu, gdy znaleźliśmy zdeformowane ciało kobiety w gabinecie na dole, nie natknęliśmy się na żadnego innego uciekiniera z wyspy doktora Moreau — chyba że deformacje ciał ułożonych w sypialniach na górze ukryte były pod ubraniami. Z każdą chwilą rosło prawdopodobieństwo odkrycia podobnego monstrum. Z trudem oparłem się pokusie, by pochwycić Mungojerriego i wrzucić go do pokoju, co odwróciłoby uwagę napastnika ode mnie i moich towarzyszy. W porę przypomniałem sobie jednak, że jeśli ktoś z nas przeżyje wizytę w tym domu, będzie potrzebował kota do poszukiwań w Wyvern, a nawet gdyby ten odwiecznym kocim zwyczajem spadł na cztery łapy i wyszedł z tej przygody bez szwanku, zapewne nie chciałby już z nami współpracować.

Minąłem więc kota i nie siląc się nawet na ostrożność, zanurzyłem się w ciemne odmęty kolejnego wiktoriańskiego wnętrza. Sasha szła tuż za mną i czyniła mi szeptem gorzkie wyrzuty, jakby rzeczywiście żałowała, że nie udało jej się zginąć w tym sentymentalnym otoczeniu pełnym słodkich figurek i naczyń.

Pośrodku wizualnej kakofonii kolorowych tkanin, w zamieci

różnorodnych drobiazgów jarzył się ekran telewizora, na którym wesołe zwierzaki przemierzały właśnie bezkresną sawannę. Spece od marketingu z wytwórni Disneya mogliby zrobić na tym złoty interes, wyprodukować specjalną edycję *Króla Lwa* dla ludzi pogrążonych w bezdennej rozpacz, dla odrzuconych kochanków, zdesperowanych nastolatków i zrujnowanych biznesmenów, którzy trzymaliby ją w sejfie, na wypadek kolejnego „czarnego poniedziałku”. Taśmy czy płyty DVD z owej specjalnej edycji doskonale sprzedawałyby się w czarnych jedwabnych opakowaniach z ołówkiem i notesem na list pożegnalny, przydałaby się też książeczka z tekstami, by umierający mogli śpiewać ulubione piosenki razem z bohaterami filmu.

Kolejne dwa ciała, dziesiąte i jedenaste, spoczywały na kolorowej pikowanej narzucie, jednak znacznie ciekawszą od nich wydała mi się postać Śmierci, stojąca obok łóżka. Bezlitosny Kosiarz, tym razem pozbawiony narzędzia pracy, pochylał się nad zmarłymi i zasłaniał ich twarze czarnymi chustami, delikatnie suwając je to w górę, to w dół, i wygładzając każdą zmarszczkę. Wydawał się dziwnie skrupulatny jak na ponurego tyrana piekieł, że pozwolę sobie zacytować słowa Alexandra Pope’a, choć ci, którzy osiągnęli najwyższe stanowiska, wiedzą, że kluczem do sukcesu jest dbałość o szczegóły.

Moim zdaniem odziany w czarny płaszcz osobnik był zdecydowanie za niski jak na Śmierć, miał tylko jakieś pięć stóp wzrostu. Do tego wydawał mi się grubszy niż na obrazach z różnych epok, które przedstawiały go jako bardzo wychudzonego jegomościa. Być może jednak była to tylko wina

krawca, który nie potrafił wywiązać się należycie z zamówienia.

Kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś wszedł do pokoju, odwrócił się powoli w naszą stronę. Wtedy dopiero okazało się, że nie jest to jednak Śmierć, lecz ojciec Tom Eliot, proboszcz katolickiego kościoła pod wezwaniem świętej Bernadetty, a jego czarna szata to zwykła sutanna.

Ponieważ mój umysł nafaszerowany jest poezją, przypomniałem sobie natychmiast, jak Robert Browning opisał Śmierć — „blady kapłan niemego ludu” — co doskonale pasowało do wyglądu ojca Toma. Jego twarz była biała jak opłatek, którym wierni dzielą się przy wigilijnym stole.

— Nie mogłem ich przekonać, by pozostawili swój los w rękach Boga — przemówił drżącym głosem. Jego oczy wypełniały łzy. Nie skomentował w żaden sposób naszego nagłego wtargnięcia, jakby wiedział od początku, że ktoś przyłapie go na tej zakazanej posłudze. — To straszliwy grzech, obraza Boga, odrzucenie życia. Zamiast pocierpieć jeszcze chwilę w tym świecie, woleli wybrać wieczne potępienie. Tak, obawiam się, że to właśnie uczynili, a ja mogłem im jedynie nieść pocieszenie w ostatnich chwilach. Odrzucili moje rady i prośby, choć bardzo się starałem. Bardzo. Pocieszenie. To wszystko, co mogłem zrobić. Nieść pocieszenie. Rozumiecie?

— Tak, rozumiemy — odparła Sasha ze współczuciem, ale i z czujnością.

W normalnych czasach, nim wkroczyliśmy w Dni Ostatnie, ojciec Tom był energicznym, radosnym człowiekiem, szczerze oddanym powołaniu, wyczulonym na głos potrzebujących. Ze swą wyrazistą twarzą, wesołymi oczami i radosnym uśmiechem

był urodzonym komediantem, jednak w trudnych chwilach potrafił też wesprzeć innych swą siłą. Nie należałem do jego kościoła, ale wiedziałem, że cieszy się sympatią i podziwem parafian.

Ostatnio życie nie układało mu się najlepiej, on sam także był w kiepskiej formie. Jego siostra, Laura, była przyjaciółką mojej matki. Tom bardzo ją kochał, lecz nie widział jej od ponad roku. Przypuszczam, nie ja jeden zresztą, że Laura ulega przemianie, że jej stan jest bardzo poważny, i że przetrzymywana jest w Wyvern jako przedmiot intensywnych badań.

— Czworko z nich to katolicy — kontynuował ojciec Tom. — Owieczki z mojego stada. Ich dusze były w moich rękach. Pozostali to luteranie, metodyści. Jeden był żydem. Dwaj inni ateistami aż... do niedawna. Mogłem uratować dusze ich wszystkich albo je stracić. — Mówił szybko, nerwowo, jakby wiedział, że lada moment rozstanie się z życiem, jakby przed śmiercią chciał jeszcze przekazać nam wszystko, co go dręczy. — Dwoje z nich, zagubieni młodzi ludzie, przejęło jakieś niespójne fragmenty wierzeń Indian, przeinaczyło je tak, że nie zrozumiałby tego żaden Indianin. Ci dwoje wierzyli w takie dziwne rzeczy, w taką przypadkową zbieraninę, czcili bizona, duchy rzeki, duchy ziemi, kukurydzę. Czy ja należę do epoki, w której ludzie czczą bizona i kukurydzę? Czuję się zagubiony. Rozumiecie to? Rozumiecie?

— Tak — powiedział Bobby, wchodząc za nami do pokoju. — Nie martw się, ojcze, rozumiemy.

Kapłan nosił na lewej dłoni czarną skórzaną rękawicę. Przemawiając do nas, nieustannie skubał jej brzeg, to znów

palce, jakby ta uwierała go czy drażniła.

— Nie udzieliłem im ostatniego sakramentu, nie namaściłem ich — mówił dalej, a jego głos nabierał histerycznych nut. — Bo oni są samobójcami. Ale może jednak powinienem był ich namaścić, udzielić ostatniego sakramentu. Postawić współczucie ponad doktryną, bo jedyne, co dla nich zrobiłem... jedyne, co mogłem zrobić dla tych biedaków, to nieść im pocieszenie dobrym słowem; nic, tylko puste słowa, nie wiem, czy ich dusze będą zgubione przeze mnie, czy nie miałem na to wpływu.

Miesiąc temu, tej nocy, kiedy umarł mój ojciec, także spotkałem się z ojcem Tomem Eliotem. Było to dziwne i niepokojące doświadczenie, które opisałem w poprzednim tomie tego dziennika. Wtedy panował nad swymi emocjami w jeszcze mniejszym stopniu niż teraz, w tym mauzoleum Stanwyków. Podejrzewałem, że się przemienia, choć pod koniec naszej rozmowy wydał mi się nagle całkiem normalnym człowiekiem, dręczonym niepokojem o własną siostrę i kryzysem wiary.

Teraz, podobnie jak wtedy, wypatrywałem w jego oczach nienaturalnych żółtych błysków, lecz nie dostrzegłem nic podobnego.

Jasne obrazy z ekranu telewizora pokrywały jego twarz mozaiką kolorowych plam niczym blask słońca przesączony przez barwne szkła witrażu, tyle że ten witraż podlegał nieustającym zmianom i przedstawiał raczej figury zwierząt niż świętych. To dziwne, niesamowite światło migotało w jego oczach, nie mogło jednak ukryć zwierzęcego lśnienia charakterystycznego dla ludzi ulegających przemianie.

Skubiąc nerwowo rękawiczkę i ocierając pot z czoła, głosem napiętym i równie nienaturalnym jak jęk drutu szarpanego wiatrem, ojciec Eliot mówił:

— To było jakieś wyjście, choć złe, choć to najgorszy grzech, ale ja nie mogę zrobić tego samego, za bardzo się boję, bo muszę myśleć o duszy, zawsze zostaje przecież nieśmiertelna dusza, wierzę mocniej w duszę niż w ucieczkę przed doczesnym cierpieniem... więc dla mnie nie ma wyjścia. Dręczą mnie okropne myśli. Straszliwe myśli. Sny. Sny pełne krwi. W snach pożeram bijące serca, rozrywam gardła kobiet i gwałcę... gwałcę małe dzieci, a potem budzę się złany potem, przerażony, ale... ale też podniecony i nie ma dla mnie wyjścia.

Nagle zerwał rękawiczkę. Jednak to, co ukazało się naszym oczom, nie było ludzką dłonią. Była to dłoń, która przemieniała się w coś innego, wciąż przypominała ludzką kończynę swym kształtem i kolorem skóry, lecz jej palce i paznokcie przybierały już kształt szponów, ale szponów nietypowych, bo każdy z nich rozdzielał się — lub dopiero zaczynał rozdzielać — na dwa wąskie pazury, przypominające szczypcę homara.

— Mogę tylko zawierzyć Jezusowi — powiedział ksiądz.

Po jego twarzy spłynęły łzy, musiały być równie gorzkie jak ocet, który podano konającemu Zbawicielowi.

— Wierzę. Wierzę w łaskę Chrystusową. Tak, wierzę w jego miłość, w litość naszego Pana.

W jego oczach zapłonął żółty blask.

Zapłonął.

Ojciec Tom zaatakował najpierw mnie, może dlatego, że stałem na drodze do drzwi, a może dlatego, że moją matką była Wisteria

Jane Snow. W końcu, choć obdarzyła nas tak cudownymi istotami, jak Orson czy Mungojerrie, owocem jej pracy była także odrażająca rzecz, która zastąpiła lewą dłoń księdza. Choć ludzka część jego umysłu bez wątpienia pokładała wiarę w nieśmiertelnej duszy i wszechogarniającej miłości Chrystusa, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ciemniejsza, zwierzęca strona jego natury wierzyła tylko w krwawą zemstę.

Bez względu na to, czym kierował się teraz ojciec Tom, nadal pozostawał księdzem, a moi rodzice wpoili mi głęboki szacunek dla osób duchownych i dla ludzi ogarniętych rozpaczą. Szacunek, litość i dwadzieścia osiem lat rodzicielskich wskazówek przytłumiły na moment naturalne instynkty — Darwin z pewnością czułby się rozczarowany — i zamiast odpowiedzieć na atak księdza celnym ciosem, zakryłem twarz dłońmi i próbowałem odwrócić się od niego.

Ojciec Tom nie umiał się bić. Niczym chłopiec z niższych klas podstawówki rzucił się na mnie całym ciałem, uderzając z siłą, jakiej nie spodziewałbym się po zwykłym księdzu, a nawet po jezuicie.

Zaskoczony, poleciałem do tyłu i uderzyłem plecami w wysoką szafę. Jakiś wystający przedmiot, prawdopodobnie uchwyt drzwiczek, wbił się w moje plecy, tuż pod lewą łopatką.

Ojciec Tom próbował mnie teraz uderzyć prawą pięścią, ja jednak znacznie bardziej obawiałem się jego lewej kończyny. Nie wiedziałem, jak ostre są te dziwne szpony czy też szczypce, nie chciałem jednak, by mnie dotykały, ponieważ wyglądały na nieczyste. Nie mówię tutaj o nieczystości w sensie fizycznym, ale o tym, co odczuwałbym, patrząc na kopyta czy chwost demona.

Wymachując bez ustanku pięścią, ojciec Tom wciąż powtarzał swe wyznanie wiary:

— Wierzę w Chrystusowe miłosierdzie, miłosierdzie Chrystusowe, miłosierdzie, wierzę w miłosierdzie Pana!

Jego ślina pryskała na moją twarz, a oddech przesycony był zaskakująco zwyczajnym i przyjemnym zapachem mięty.

Ta nieustająca modlitwa nie miała przekonać mnie czy kogokolwiek innego — nawet samego Boga — o niezachwianej wierze kapłana. To on sam chciał sobie o niej przypomnieć, chciał przekonać siebie, że nie jest pozbawiony nadziei, i w ten sposób odzyskać kontrolę nad odruchami. Pomimo złowieszczych błysków w jego oczach, pomimo żądy zabijania, która pulsowała w jego żyłach i dawała ciału niezwykłą siłę, wciąż widziałem w nim łagodnego, oddanego sługę Boga, który próbował okiełznać dziką złość i odnaleźć powrotną drogę ku łasce.

Krzycząc i klnąc głośno, Bobby z Rooseveltem chwycili księdza pod ręce, próbowali odciągnąć go ode mnie. Ten jednak nie poddawał się, kopał, uderzał łokciami w ich żołądki i żebra.

Kiedy przed kilkoma sekundami rozpoczął swój atak, nie potrafił walczyć, uczył się jednak nadzwyczaj szybko. A może przegrywał zmagania ze swoją nową naturą, z dzikusiem, który zamieszkał w jego ciele, dzikusiem, który wiedział wszystko o walce i zabijaniu.

Czułem, jak coś ciągnie mnie za sweter, i byłem pewien, że to ten przeklęty szpon. Ostre pazury wczepiły się w grubą tkaninę.

Tłumiąc obrzydzenie, pochwyciłem rękę księdza w nadgarstku, próbując odsunąć ją od siebie. Jego ciało było dziwnie gorące,

tłuste, równie nieprzyjemne w dotyku jak rozkładające się zwłoki. Miejscami wydawały się odrażająco miękkie, gdzie indziej znów twarde i gładkie jak pancerz.

Do tej pory nasza walka była desperacka, ale jednocześnie zabawna niczym bolesny upadek, który wcale cię nie bawi, gdy rozcierasz kość ogonową, ale który kilka godzin potem, po paru piwach, wydaje ci się najśmieszniejszym gagiem roku. Ta dziwna bójka z grubawym księdzem w pokoju pełnym wiktoriańskich bibelotów przypominała mi kreskówkę z królikiem Bugsem, tyle że powstałą przy współpracy z Chuckiem Jonesem i H.P. Lovecraftem. Teraz jednak wcale nie byłem pewien, że wszystko zakończy się szczęśliwie, a bójka nie wydawała mi się ani trochę zabawna.

Nadgarstek kapłana nie był już nadgarstkiem, który ogląda się na ilustracjach w podręczniku do biologii, przypominał raczej obraz z sennego koszmaru albo zwiidy, jakie dręczą kogoś w *delirium tremens*. Cała dłoń przekręciła się do tyłu, równoległe do przedramienia, jakby zamocowana była na przegubie kulkowym, a szpony uniosły się nad moimi palcami, gotowe do ataku. Szybko cofnąłem rękę, żeby mnie nie skaleczył.

Choć wówczas byłem przekonany, że walczę z kapłanem wystarczająco długo, by wytatuować sobie jego imię na bicepsie, nie minęło jeszcze pół minuty, aż wreszcie Roosevelt oderwał go ode mnie. Nasz przyjaciel, zazwyczaj tak łagodny i miły, nie próbował tym razem rozmawiać ze zwierzęcą częścią umysłu ojca Toma, lecz podniósł go z podłogi i odrzucił na bok, jakby ten ważył nie więcej niż prawdziwa Śmierć, będąca przecież tylko kupką kości okrytych płaszczem.

Ojciec Tom uderzył w nogi mahoniowego łoża. Para samobójców podskoczyła gwałtownie, jakby podrywając się do pośmiertnego tańca, co wywołało jęk sprężyn. Kapłan zerwał się na równe nogi.

Nie wykrzykiwał już swej krótkiej modlitwy, chrząkał i posapywał jak dzik, pluł i syczał, naładowany niehumanym gniewem, nienawiścią do wszystkiego, co żywe. Pochwyił krzesło z drewna orzechowego, pokryte kwiecistą, kolorową tapicerką, i zamachnął się nim z całych sił. Przez moment myślałem, że użyje go jako narzędzia zniszczenia i zacznie tłuc wszystko wokół siebie, ale kapłan cisnął ciężkim meblem w Roosevelta.

Ten w ostatniej chwili zrobił unik, dzięki czemu drewniany pocisk uderzył go nie w twarz, lecz w plecy.

Z telewizora dochodził słodki, sentymentalny głos Eltona Johna, który śpiewał przy akompaniamencie całej orkiestry i chóru swój stary przebój *Can You Feel the Love Tonight?*

Nim jeszcze krzesło odbiło się od pleców Roosevelta, ojciec Tom rzucał już ławą w Saszę.

Sasha nie zdążyła się uchylić. Ława uderzyła ją w ramię i przewróciła na otomanę.

W tym samym czasie opętany kapłan ciskał kolejnymi pociskami we mnie, w Bobby'ego i w Roosevelta. Choć z jego ust nadal wydobywały się zwierzęce posapywania i warknięcia, wymawiał także kilka zniekształconych, lecz zrozumiałych słów, wyrzucał je z siebie z dziką radością, jakby dodawały mu sił do walki: gdy w naszą stronę leciał srebrny grzebień i owalne lusterko z perłowym uchwytem, syczał „w imię Ojca”, przy

ciężkiej srebrnej szczotce do włosów — „i Syna”, po kilku ozdobnych pudełkach z emaliowanej blachy — „i Ducha Świętego”. Następny pocisk, porcelanowa waza na kwiaty, uderzył Roosevelta w twarz z taką siłą, że ten osunął się na kolana. Natychmiast poleciał za nią srebrny grzebień i flakon na perfumy, który minął moją głowę o cal i roztrzaskał się o ścianę, napełniając pokój zapachem róż.

W trakcie tego ostrzału, uchylając się i uskakując przed kolejnymi salwami, próbowaliśmy z Bobbym zbliżyć się do Toma Eliota. Właściwie nie wiem dlaczego. Może myśleliśmy, że wspólnymi siłami uda nam się przygnieść go do podłogi i przytrzymać w miejscu, aż minie atak szału, aż nieszczęśnik odzyska rozum. Jeśli miał jeszcze choćby resztki rozumu, co z każdą sekundą wydawało mi się coraz mniej prawdopodobne.

Kiedy kapłan wyczerpał już amunicję z półeczki za swymi plecami, Bobby ruszył na niego, a ja za nim, zaledwie o ułamek sekundy później.

Zamiast cofnąć się przed naszym atakiem, ojciec Eliot rzucił się do przodu, chwycił Bobby'ego wpół i podniósł. To nie był już ojciec Tom, lecz stworzenie o nadnaturalnych możliwościach i sile rozwścieczonego byka. Przebiegł przez pokój, przewracając po drodze krzesło i z rozpędu, z ogromną siłą uderzył ciałem Bobby'ego o ścianę. Bobby krzyknął z bólu, a ksiądz pochylił się nad nim, uderzając go w żebra, sięgając pazurami do brzucha.

Wtedy włączyłem się do akcji, wskoczyłem na plecy ojca Toma, owinałem prawą rękę wokół jego szyi, lewą zaś pochwyciłem za nadgarstek prawej dłoni i przyciągnąłem ją do siebie. Zacząłem go dusić. Próbowiałem złamać kark. Niemal zmiażdżyłem mu

krtań, usiłując odciągnąć go od Bobby'ego.

Owszem, kapłan zostawił Bobby'ego w spokoju, zamiast jednak opaść na kolana i poddać się, ruszył do dalszej walki, jakby wcale nie potrzebował powietrza, które zeń wyciskałem, ani krwi, której nie pozwalałem dopłynąć do mózgu. Pochylił się gwałtownie, próbując przerzucić mnie przez ramię, potem jeszcze gwałtowniej ponowił próbę.

Słyszałem krzyki Sashy, nie wiedziałem jednak, co krzyczy, dopóki przy czwartej próbie ksiądz omal nie zrzucił mnie na podłogę. Rozluźniłem mimowolnie uchwyt, a Tom Eliot warknął głośno, jakby przeczuwał już zwycięstwo. Dopiero wtedy dotarły do mnie słowa Sashy:

— Odsuń się, Chris! Chris! Odsuń się!

Wykonanie jej polecenia wymagało wiele zaufania, jednak w miłości albo przyjaźni zaufanie zawsze jest najważniejszym elementem, czy chodzi o walkę na śmierć i życie, czy też o zwykły pocałunek. W końcu puściłem szyję kapłana, a ten odrzucił mnie do tyłu, nim zdążyłem postawić stopy na ziemi.

Ojciec Tom wyprostował się gwałtownie. Teraz wydawał się wyższy niż przed chwilą, lecz było to tylko złudzenie. Jego demoniczna wściekłość była tak intensywna, tak potężna, że lada moment spodziewałem się ujrzeć elektryczny łuk, przeskakujący od niego na pobliskie przedmioty z metalu. Gniew czynił go większym. Zdawało się, że jego lśniące żółte oczy płoną jakimś nadnaturalnym blaskiem, jakby we wnętrzu czaszki rodziła się nie tylko nowa istota, ale pierwotny ogień, cały wszechświat.

Cofałem się, ciężko łapiąc powietrze, bezmyślnie szukając broni, którą odebrał mi Manuel.

Sasha trzymała w dłoni poduszkę, wyrwała ją zapewne spod głowy któregoś z samobójców. Wydawało się to równie szalone jak cała sytuacja, jakby zamierzała pokonać ojca Toma za pomocą garści gęsiego puchu. Lecz potem, kiedy kazała mu się cofnąć i usiąść, zrozumiałem, że poduszka otula jej pistolet, i że ma stłumić odgłos wystrzału, gdyby Sasha została zmuszona do użycia broni. Okna sypialni wychodziły na ulicę, więc głośny huk z pewnością wzbudziłby zainteresowanie sąsiadów i policji.

Kapłan nie zamierzał wykonać polecenia Sashy. Być może nie słyszał już nic prócz tego, co działo się w jego wnętrzu, zwierzęcego ryku rodzącej się w nim istoty.

Otworzył szeroko usta, ściągnął wargi, odsłaniając zęby. Potem wydał z siebie przeraźliwy krzyk, wrzask przenikający do szpiku kości, potem następny, po nim zaś całą serię jęków, skamleń i posapywań, które mogły wyrażać zarówno ból, jak i rozkosz, rozpacz i radość, ślepą wściekłość i ogromny żal, jakby w jego duszy ścierały się dwie wrogie siły.

Zamiast rozkazywać, Sasha próbowała teraz przemawiać do kapłana łagodnym tonem, prosić go. Może dlatego, że nie chciała używać broni. Może bała się, że jego dzikie wrzaski ściągną na nas uwagę policji. Mówiła drżącym głosem, miała łzy w oczach, wiedziałem jednak, że nie cofnie się przed ostatecznością i zrobi to, co należy.

Nie milknąc ani na moment, kapłan wznosił ręce ku niebu, jakby chciał ściągnąć na nas wszystkich gniew Boży. Zaczął drzeć na całym ciele, trząść się jak człowiek dotknięty tańcem świętego Wita.

Bobby stał pod ścianą, tam gdzie zostawił go ojciec Tom.

Obiema dłońmi trzymał się za lewy bok, jakby tamował krew płynącą z rany.

Roosevelt zajął miejsce przy drzwiach. On z kolei zakrywał dłonią twarz tam, gdzie uderzyła go waza.

Widziałem po ich minach, że nie ja jeden spodziewam się wybuchu wściekłości gorszej od wszystkiego, co przeżyliśmy do tej pory. Nie zakładałem oczywiście, że ksiądz przemieni się na naszych oczach w potwora niczym przybysz z obcej planety w filmach science fiction przybierze formę pół pająka i pół bazyliuszka o dziesiątkach macek, szponów i kleszczy, którymi potnie nas na kawałki, a potem pochłonie biednego Mungojerriego, jakby ten był smakowitym deserem. Z pewnością ciało i kości nie mogły zmieniać się tak szybko jak popcorn w kuchence mikrofalowej. Z drugiej jednak strony taka nieoczekiwana zmiana wcale by mnie nie zaskoczyła — zbyt wiele już widziałem w ciągu ostatnich godzin.

A jednak księdzu udało się mnie zaskoczyć, nas wszystkich, gdyż obrócił swą wściekłość przeciwko samemu sobie. Teraz zdaję sobie sprawę, że powinienem był się tego spodziewać, gdybym przypomniał sobie ptaki, szczury *veve* i słowa Manuela, który wspominał przecież o psychicznej implozji. Kapłan wydał z siebie przeciągły okrzyk, oscylujący pomiędzy wściekłością i rozpaczą, i choć nie był on tak głośny jak poprzednie wrzaski, wydawał się jeszcze bardziej przerażający, pozbawiony był bowiem nawet cienia nadziei. Zawodząc i krzycząc, zaczął bić się po twarzy prawą pięścią i tym, co pięść przypominało, ponieważ nie potrafił zgiąć do końca palców lewej dłoni. Uderzał z taką siłą, że złamał sobie nos i rozgniatał wargi o zęby.

Sasha wciąż przemawiała do niego kojącym głosem, choć musiała wiedzieć, że ojciec Tom jest poza jej zasięgiem, że nikt na tym świecie nie może mu pomóc.

Jakby po raz ostatni próbował wygnać z siebie diabła, ksiądz zaczął rozszarpywać sobie policzki, wbijał głęboko ostre szpony, wreszcie sięgnął do prawego oka.

Nagle w powietrzu zawirowały pióra, otoczyły Toma białym obłokiem. Przez moment nie wiedziałem, co się dzieje, szybko jednak zrozumiałem, że to Sasha wypaliła ze swojej trzydziestkiósemki. Poduszka nie mogła stłumić całkowicie huku wystrzału, ale ja nie słyszałem nic prócz przeraźliwego, świdrującego krzyku kapłana.

Ojciec Tom cofnął się o krok, ale nie upadł. Nie przestał krzyczeć ani rozdzierać sobie twarzy.

Usłyszałem drugi strzał. I trzeci.

Tom Eliot osunął się na podłogę, przez kilka sekund poruszał jeszcze nogami jak pies, który goni we śnie zająca, wreszcie zastygł w bezruchu, martwy.

Sasha oszczędziła mu cierpienie i uratowała przed samobójstwem, którego tak bardzo chciał uniknąć i które — jak wierzył — skazywało duszę na wieczne potępienie.

Tak wiele się wydarzyło od chwili, kiedy ksiądz cisnął krzesłem w Roosevelta i ławą w Saszę, że nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy usłyszałem Eltona Johna śpiewającego wciąż tę samą piosenkę *Can You Feel the Love Tonight?*

Sasha, nim opuściła poduszkę, odwróciła się i wystrzeliła po raz ostatni, uciszając telewizor raz na zawsze.

Choć ten irracjonalny gest sprawił nam wszystkim niekłamaną

radość, po rozbiciu telewizora znaleźliśmy się nagle w całkowitych ciemnościach, rozświetlanych jedynie ostatnimi iskrami dogorywającego urządzenia. Zakładaliśmy, że przemieniający się ksiądz musi być martwy, bo nikt z nas nie byłby w stanie utrzymać się przy życiu z trzema kulami w piersiach. Jak jednak zauważył poprzedniej nocy Bobby, w tym umierającym świecie nie obowiązywały już żadne zasady.

Kiedy sięgnąłem po latarkę, moja dłoń natrafiła na puste miejsce. Musiałem zgubić ją podczas szamotaniny.

Oczami wyobraźni widziałem, jak zmartwychwstały ksiądz podnosi się z podłogi i przemienia w potwora, którego nie pokona nawet cały batalion komandosów.

Bobby włączył jedną z nocnych lampek.

Martwy człowiek nadal był tylko człowiekiem, martwym, zniszczonym ciałem, któremu nikt nie chciał przyglądać się z bliska.

Włożywszy pistolet do kabury, Sasha odwróciła się plecami do zwłok i stała przez chwilę w bezruchu, ze spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami, zakrywając twarz dłonią i próbując opanować emocje.

Lampa wyposażona była w trzystopniową regulację natężenia światła, Bobby przełączył ją więc na najniższy poziom. Różowy abażur dodatkowo tłumił blask żarówki, było jednak wystarczająco jasno.

Zauważyłem swoją latarkę porzuconą na podłodze, podniosłem ją i zatknąłem za pas.

Starając się uspokoić oddech, podszedłem do bliższego z dwóch okien. Zaslony wykonano z materiału grubego jak skóra słonia.

Stłumiłyby odgłos wystrzału równie skutecznie jak poduszka, przez którą strzelała Sasha.

Odsunąłem na bok zasłonę i wyjrzałem ostrożnie na ulicę. Nikt nie biegł w stronę domu Stanwyków, nikt nie pokazywał go palcem, nikt nie zatrzymał się przed bramą. Właściwie ulica wyglądała na całkowicie opuszczoną.

O ile pamiętam, żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa, kiedy schodziliśmy na parter i udawaliśmy się do kuchni, gdzie czekał już na nas kot oświetlony blaskiem lampki olejowej. Może nie powiedzieliśmy po prostu nic ważnego, wydaje mi się jednak, że przez dłuższy czas zachowywaliśmy całkowite milczenie.

Bobby zdjął hawajską koszulę i czarny bawełniany sweter przesiąknięty krwią. Na prawym boku miał cztery długie rany zadane teratoidalną ręką kapłana.

Było to jedno z kilku przydatnych słów należących do świata genetycznych badań mojej mamy. Oznaczało coś potwornego, opisywało organizm lub część organizmu zdeformowaną w wyniku uszkodzenia materiału genetycznego. Jako dziecko zawsze interesowałem się badaniami mamy, bo — jak sam twierdziłem — szukała Boga w najdrobniejszych mechanizmach tego świata, co wydawało mi się najważniejszym i najciekawszym z wszystkich możliwych zajęć. Bóg woli jednak sprawdzać, co sami potrafimy z siebie uczynić, nie pozwala nam znaleźć siebie po tej stronie śmierci. Kiedy zaś wydaje nam się, że znaleźliśmy drzwi, za którymi czeka na nas niebo, nie znajdujemy tam Boga, lecz coś teratoidalnego.

W toalecie przylegającej do kuchni Sasha odkryła podręczną apteczkę i fiolkę z aspiryną.

Bobby stał przy zlewie i oczyszczał ranę wilgotną szmatką i mydłem w płynie, posykując przy tym przez zęby.

— Ranny? — spytałem.

— Nie.

— Gówno prawda.

— A ty?

— Tylko siniaki.

Rany w jego boku nie były głębokie, ale krwawiły obficie.

Roosevelt usiadł na krześle przy stole. Wyciągnął z zamrażarki kilka kostek lodu i zawinął je w ręcznik. Trzymał ten prowizoryczny kompres przy lewym oku, które zniknęło już niemal całkiem pod opuchlizną. Na szczęście waza nie rozbiła się przy uderzeniu, gdyż wtedy odłamki porcelany mogłyby wbić mu się w oko.

— Boli? — spytałem.

— Bywało gorzej.

— Futbol?

— Alex Karras.

— Świetny gracz.

— Duży.

— Przewrócił cię?

— Nieraz.

— Jak ciężarówka — domyśliłem się.

— Jak pociąg. A to była tylko cholerna waza.

Sasha nasączyła suchą szmatkę wodą utlenioną i przyciskała ją kilkakrotnie do ran Bobby'ego. Za każdym razem gdy odsuwała szmatkę, płytkie zadrapania pokrywały się krwawą pianą.

Zażyłem dwie aspiryny i popiłem je napojem

pomarańczowym, który znalazłem w lodówce Stanwyków. Dłonie trzęsły mi się tak bardzo, że więcej płynu trafiło na koszulę i spodnie niż do moich ust — rodzice nie powinni byli zdejmować mi śliniaczka, kiedy skończyłem pięć lat.

Przemywszy ranę wodą utlenioną, Sasha zaczęła czyścić ją ponownie, tym razem spirytusem. Bobby już nie syczał, lecz zgrzytał zębami, ścierając je na proch. Wreszcie tortury dobiegły końca, a Sasha posmarowała zadrapania neosporinem.

Wszystkie te czynności przeprowadzone zostały bez słowa komentarza. Wiedzieliśmy dobrze, dlaczego musimy zastosować wszystkie dostępne środki bakteriobójcze, a rozmowa na ten temat wystraszyłaby nas tylko jeszcze bardziej.

Byłem pewien, że w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy Bobby będzie spędzał przed lustrem znacznie więcej czasu niż zazwyczaj, będzie przyglądał się uważnie swoim oczom i dłoniom, będzie wypatrywał czegoś... teratoidalnego.

Lewe oko Roosevelta przypominało teraz szparkę. Mimo to czarny olbrzym nadal trzymał przy twarzy kompres z lodem.

Kiedy Sasha kończyła opatrywać Bobby'ego, odnalazłem przy drzwiach do garażu tablicę na wiadomości i skrzynkę z kluczami do samochodów. Sasha nie musiała już sobie przypominać, jak kradnie się auta z ulicy.

W garażu stał czerwony jaguar i biały ford expedition.

Przyświecając latarką złożyłem tylne siedzenie forda, zwiększając w ten sposób jego bagażnik. Dzięki temu Roosevelt i Bobby mogli położyć się na podłodze, poniżej linii okien. Samotny kierowca z pewnością wzbudza znacznie mniej podejrzeń niż cztery osoby.

Ponieważ tylko Sasha wiedziała, gdzie czeka na nas Doogie Sassman, to ona miała prowadzić samochód.

Kiedy Bobby wszedł do garażu, miał już na sobie hawajską koszulę i sweter. Poruszał się nieco sztywno, jakby uwięziony został w ciasnym gorsecie.

— Będzie ci tam dobrze? — spytałem, wskazując na tył samochodu.

— Zdrzemnę się chwilę.

Kiedy zająłem już miejsce na fotelu pasażera i zsunąłem się tak, by nie było mnie widać z zewnątrz, poczułem wreszcie wszystkie kontuzje, wszystkie siniaki i zadrapania. Ale żyłem. Wcześniej byłem pewien, że któreś z nas nie wyjdzie już z domu Stanwyków z bijącym sercem i sprawnym umysłem, ale myliłem się. Być może koty rzeczywiście potrafią przewidywać przeszłość, nie należy jednak ufać w tej materii Chrisowi Snow. Co w zasadzie jest bardzo pocieszające.

Kiedy Sasha uruchomiła silnik, Mungojerrie wspiął się na konsolę pomiędzy przednimi siedzeniami. Siedział wyprostowany, nadstawiając czujnie uszu i patrząc prosto przed siebie. Wyglądał jak wielka futrzana maskotka.

Kiedy Sasha zamknęła drzwi garażu za pomocą pilota, spytałem ją:

— W porządku?

— Nie.

— Dobrze.

Wiedziałem, że nie jest ranna, a jej odpowiedź odnosi się do stanu psychicznego. Zabijając Toma Eliota, zrobiła to, co musiała. Być może ocaliła w ten sposób życie jednemu z nas, a na pewno

oszczędziła księdzu jeszcze gorszych męczarni niż te, przez które już przeszedł. Mimo to czuła się podle, przygniatał ją ciężar moralnej odpowiedzialności. Nie winy. Była dość inteligentna, by wiedzieć, że nie można tu mówić o czyjejkolwiek winie. Wiedziała jednak również, że nawet moralnie usprawiedliwione czyny zostawiają czasem blizny na sumieniu i ranią serce. Gdyby odpowiedziała na moje pytanie uśmiechem i zapewnieniami, że czuje się świetnie, nie byłaby tą Sashą Goodall, którą kocham, a ja zacząłbym podejrzewać, że się przemienia.

Jechaliśmy przez Moonlight Bay w ciszy. Każdy z nas zajęty był własnymi myślami.

Kiedy oddaliliśmy się już kilka mil od domu Stanwyków, kot przestał się interesować widokami za oknem. Zaskoczył mnie zupełnie, gdy wdrapał mi się na piersi i spojrzał prosto w oczy.

Tkwiliśmy w takiej pozycji przez długi, niezwykle długi czas. Patrząc w jego nieprzeniknione zielone ślepia, zastanawiałem się, co takiego może sobie teraz myśleć.

Musi myśleć w sposób radykalnie odmienny od naszego, nawet jeśli poziom jego i naszej inteligencji jest porównywalny. Postrzega ten świat z punktu widzenia zupełnie dla nas niedostępnego, jakbyśmy pochodzili z dwóch różnych planet. Nie dźwiga przez całe życie ciężaru ludzkiej historii, filozofii, triumfów, tragedii, szlachetnych intencji, głupoty, chciwości, zazdrości i pychy; to musi być naprawdę wspaniałe uczucie. Jest jednocześnie dziki i ucywilizowany. Żyje bliżej natury niż my; dlatego też ma mniej złudzeń, wie, że życie musi być trudne, że natura jest piękna, lecz zimna. Choć Roosevelt twierdzi, że z Wyvern uciekły jeszcze inne koty podobne do Mungojerriego,

musi ich być naprawdę niewiele. Choć Mungojerrie nie jest, tak jak Orson, jedynym inteligentnym przedstawicielem swojego gatunku i choć koty z natury są bardziej przystosowane do życia w pojedynkę niż psy, to małe stworzenie musi czasami doświadczać straszliwej samotności.

Kiedy zacząłem go głaskać, Mungojerrie przerwał kontakt wzrokowy i zwinął się w kłębek na moich piersiach. Był małym, ciepłym ciężarem, czułem bicie jego serca.

Nie potrafię rozmawiać ze zwierzętami, ale chyba domyślam się, dlaczego Mungojerrie zaprowadził nas do domu Stanwyków. Nie po to, byśmy zobaczyli ciała samobójców. Przyszliśmy tam tylko po to, by spotkać ojca Toma.

Od niepamiętnych czasów ludzie podejrzewali, że zwierzęta mają co najmniej o jeden zmysł więcej niż my, są świadome rzeczy, których my nie dostrzegamy. Przeczucie.

Wystarczy dodać tę szczególną świadomość do inteligencji i założyć, że sprawniejszy intelekt oznacza także bardziej wyostrzone zmysły. Przechodząc obok domu Stanwyków, Mungojerrie mógł wyczuć duchowe cierpienia i emocjonalny ból ojca Toma. Być może czuł się w obowiązku przynieść ulgę temu cierpiącemu człowiekowi.

A może wymyślam coraz większe bzdury.

Całkiem możliwe, że wymyślam bzdury, ale jednocześnie mam rację.

Koty wiedzą więcej.

23

Haddenbeck Road to dwupasmowa asfaltowa droga, która przez kilka mil biegnie prosto na wschód, równoległe do wschodniej granicy Fortu Wyvern, potem jednak odbija na południowy wschód, mijając nieliczne rancho w najsłabiej zaludnionej części okręgu. Upalne lata, deszczowe zimy i najgorsza z klęsk nawiedzających regularnie Kalifornię, trzęsienia ziemi, poznały drogę siatką pęknięć i wybojów. Pasy dzikiej trawy przetykanej na wiosnę kępami kolorowych kwiatów oddzielają drogę od otaczających ją pól.

Kiedy przejechaliśmy już kilka mil, nie mijając po drodze żadnego innego samochodu, Sasha zahamowała nagle.

— Spójrzcie na to — powiedziała.

Usiadłem prosto i rozejrzałem się. Roosevelt i Bobby zrobili to samo, jednak żaden z nas nie zauważył nic niezwykłego. Tymczasem Sasha wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się o jakieś dwadzieścia stóp.

— Jeszcze chwila i wjechałabym na nie.

Spojrzeliśmy na drogę przed samochodem. W świetle reflektorów ujrzeliśmy tyle węży, że można by zapełnić nimi wszystkie terraria we wszystkich ogrodach zoologicznych

naszego kraju.

Pochylając się nad przednim siedzeniem, Bobby gwizdnął cicho.

— Gdzieś w pobliżu musieli otworzyć drzwi do piekła.

— Same grzechotniki? — spytał Roosevelt, odsuwając od oka kompres z lodem.

— Trudno powiedzieć — odparła Sasha — ale chyba tak.

Mungojerrie stał oparty tylnymi łapami o moje kolano, przednimi zaś o deskę rozdzielczą, z głową wysuniętą do przodu. Wydał z siebie jeden z tych charakterystycznych kocich dźwięków, nienawistny syk graniczący z warczeniem.

Nawet z tak niewielkiej odległości nie byliśmy w stanie policzyć węży kłębiących się na drodze, a ja nie miałem zamiaru wychodzić na zewnątrz i brodzić w tej oślizgłej masie, by przyjrzeć im się z bliska. Mogłem jedynie przypuszczać, że jest ich co najmniej siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt, a może i sto.

Wiedziałem z doświadczenia, że grzechotniki to samotni łowcy, i że z zasady nie poruszają się w grupach. W większej liczbie może zobaczyć je tylko ten, kto ma wyjątkowego pecha i wejdzie prosto w ich gniazdo — jednak żadne gniazdo nie zawiera aż tylu osobników.

Zachowanie tych węży było jeszcze dziwniejsze niż fakt, że gromadzą się na otwartej przestrzeni. Owijały się jeden wokół drugiego, splatały razem w wielkie ruchome warkocze, z których podnosiło się naraz osiem czy dziesięć gadzich łbów. Węże utrzymywały ciała nad ziemią, otwierały paszcze i odsłaniały zęby jadowe, sycząc ostrzegawczo, by potem znów opaść na ziemię i zniknąć w rozedrganej masie, podczas gdy w innym

miejscu podnosiła się już kolejna grupa grzechotników.

Wyglądało to tak, jakby Meduza ucięła sobie drzemkę na drodze, a jej niezwykła fryzura sama się w tym czasie pielęgnowała.

— Chcesz przez to przejechać? — spytałem Saszę.

— Raczej nie.

— Zamknij wywietrzniki i zabierz nas na przejażdżkę po węzowej drodze — zaproponował Bobby.

— Moja mama zawsze powtarza: „Cierpliwość popłaca” — powiedział Roosevelt.

— Te węże nie przypełzły tu z naszego powodu — włączyłem się do rozmowy. — Nic ich nie obchodzimy, nie zatrzymują nas celowo. Po prostu mieliśmy pecha i trafiliśmy tutaj w złym momencie. Prawdopodobnie wyniosą się stąd wcześniej czy później.

Bobby poklepał mnie po ramieniu.

— Mama Roosevelta jest zdecydowanie bardziej zwięzła od ciebie, bracie.

Każdy wąż, który podnosił się z powierzchni drogi, natychmiast skupiał na nas swoją uwagę. W zależności od tego, jak ustawiony był względem świateł samochodu, jego oczy błyszczały czerwienią lub srebrem, rzadziej zielenią, niczym małe okrągłe klejnoty.

Przypuszczałem, że światło wzbudza ich ciekawość. Pustynne grzechotniki, podobnie jak inne węże, są głuche jak pień. Mają jednak dobry wzrok, szczególnie dobrze radzą sobie w ciemnościach, kiedy ich wąskie źrenice rozszerzają się, odsłaniając większą powierzchnię wrażliwej na światło

siatkówki. Zmysł węchu nie jest u węży rozwinięty tak dobrze jak u psów, jako że nikt nie wykorzystuje ich do ścigania zbiegłych przestępców czy przeszukiwania podejrzanych bagaży, jednak oprócz dobrego nosa gady te wyposażone są w jeszcze jeden organ węchu — narząd Jacobsona, składający się z dwóch kieszonek wyłożonych specjalną tkanką, których przewody otwierają się na podniebienie w przedniej części jamy gębowej. Dlatego właśnie węże nieustannie wysuwają język; zbierają nim mikroskopijne cząsteczki zapachu wiszące w powietrzu i przenoszą je do torebek w pysku, gdzie cząsteczki zostają poddane analizie. Teraz wszystkie grzechotniki skrupulatnie zbierały z powietrza nasz zapach, by sprawdzić, czy za reflektorami nie kryje się jakaś smakowita zdobycz.

Dowiedziałem się wielu interesujących i pożytecznych rzeczy o pustynnych grzechotnikach, z którymi dziełem wcześniejszą — i cieplejszą — część nocy. Pomimo swego groźnego wyglądu potrafią być naprawdę piękne.

Dziwne stało się jeszcze dziwniejszym, kiedy jeden z wyprostowanych węży odwrócił się raptownie i uderzył w tego, który podniósł się za nim. Zaatakowany grzechotnik odpowiedział tym samym; dwaj przeciwnicy oplekli się wokół siebie i opadli na drogę. Giętka masa zamknęła się nad nimi, przykryta na moment, lecz wkrótce przez całą grupę przebiegło dziwne drżenie, jak prąd elektryczny. Teraz węże nie poruszały się już leniwie i powoli jak przedtem; podnosiły się i opadały gwałtownie, uderzały niczym bicze, zwijały się w kłębek, by potem znów błyskawicznie się wyprostować, opętane jakimś szałem, jakby złość walczącej pary przeniosła się na całe stado,

jakby wszystkie walczyły naraz ze wszystkimi.

Gdy po jakimś czasie oślizgła masa znów się uspokoiła, Sasha spytała niepewnie:

— Czy węże zazwyczaj atakują się nawzajem?

— Raczej nie — odparłem.

— Chyba nie szkodzi im ich własny jad — zauważył Roosevelt, ponownie przykładając lód do oka.

— Cóż, jeśli kiedykolwiek będziemy musieli jeszcze raz uczyć się w średniej szkole, możemy zrobić z tego przedmiot badań na biologii — westchnął Bobby.

I znów jeden z grzechotników zakołysał się nad pozostałymi, jakby wypatrując ofiary, po czym zaatakował innego. Do dwójki walczących dołączył trzeci wąż, całe trio opadło na stado, wzbudzając ponownie atak bratobójczego szału.

— To znowu te ptaki — powiedziałem. — Kojoty.

— Ludzie w domu Stanwyków — dodał Roosevelt.

— Psychologiczna implozja — dorzuciła Sasha.

— Nie sądzę, żeby wąż miał umysł, który można poddawać psychologicznej analizie — odparł sceptycznie Bobby. — Ale rzeczywiście, wygląda to jak część tego samego zjawiska.

— Ruszają — zauważył Roosevelt.

Rzeczywiście, węzowe legiony ruszyły do marszu, jeśli można to tak określić. Zaczęły przesuwać się przez asfalt i wąski pas żwirowego pobocza, by zniknąć w wysokiej trawie po prawej stronie drogi.

Cała procesja liczyła jednak więcej niż osiemdziesiąt czy sto zwierząt, które obserwowaliśmy przed chwilą. Kiedy kolejne dziesiątki gadów zniknęły w trawie po prawej stronie drogi, inne

wynurzały się z trawy po stronie lewej, jakby leżała tam ukryta jakaś ogromna maszyna produkująca bez ustanku całe pokolenia węży.

Ponad trzysta, a może nawet czterysta grzechotników, z każdą chwilą coraz bardziej nerwowych i agresywnych, przepęzło przez Haddenbeck Road, nim wreszcie ta niesamowita procesja dobiegła końca. Kiedy już zniknęły, kiedy na asfalcie nie został ani jeden podłużny kształt, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, mrugając gwałtownie powiekami, jakbyśmy przebudzili się właśnie z głębokiego snu.

„Mamo, kocham cię i zawsze będę cię kochał. Ale, co ty, u diabła, wymyśliłaś?”

Sasha wrzuciła bieg i ruszyła naprzód.

Mungojerrie znów wydał z siebie ten nienawistny syk. Zmienił nieco pozycję, opierając teraz przednie łapy o drzwi, i wyglądał przez okno, patrząc na ciemne pole, po którym sunęła horda grzechotników.

Milę dalej minęliśmy Wzgórze Kruka, za którym miał na nas czekać Doogie Sassman. Chyba że węże przecięły mu drogę wcześniej niż nam.

Nie wiem, dlaczego Wzgórze Kruka nosi taką, a nie inną nazwę. Jego kształt w niczym nie przypomina ptaka, nie jest to też miejsce zebrań szczególnie popularne wśród kruków. Nie mieszkał tutaj nikt o podobnym nazwisku, w Moonlight Bay nie ma zasłużonej dla miasta rodziny Kruków. Indianie z tego plemienia żyją w Montanie, a nie w Kalifornii. Żadna charakterystyczna i wyjątkowa cecha nie pozwala nazwać tego miejsca białym krukiem pośród innych wzgórz.

Na szczycie pagórka wznosi się ogromna skała, zupełnie różna od otaczających ją łagodnych wzniesień i dolin, samotny poszarpany kształt niczym wystająca kość olbrzyma pogrzebanego w tym miejscu. Na tej wielkiej kamiennej masie wykuty został wizerunek kruka, który jednak wcale nie jest źródłem nazwy wzgórza, jak niegdyś sądziłem. Prosty, lecz intrygujący rysunek doskonale oddaje pychę tego ptaka, a jednocześnie roztacza wokół siebie jakąś złowieszczą aurę, jakby był to totem zbrodniczego klanu, ostrzeżenie dla wędrowców, by szukali sobie innej drogi albo przygotowali się na najgorsze. Wizerunek ten został wykuty w pewną letnią noc przed czterdziestu czterema laty, przez nieznaną osobę — lub osoby. Nim ciekawość kazała mi zbadać pochodzenie owego rysunku, przypuszczałem, że powstał przed setkami lat, być może przed pojawieniem się tutaj Europejczyków. Jest w nim coś niepokojącego, jakaś mistyczna moc, która ściąga tu ludzi nawet z odległych zakątków kraju. Starsi obywatele miasta twierdzą, że miejsce to nazywano Wzgórzem Kruka jeszcze za życia ich pradziadków, co potwierdzają dokumenty z archiwum miejskiego. Tajemniczy obraz wydaje się ucieleśnieniem jakiejś prymitywnej wiedzy, którą cywilizowany człowiek utracił już przed wiekami, lecz nazwa wzgórza jest starsza od rysunku, przypuszczam więc, że anonimowy rzeźbiarz chciał tylko stworzyć malowniczy element krajobrazu.

Kruk ze skały nie przypominał tego, który narysowany został na kartce znalezionej w domu Lilly Wing. Oba jednak promieniowały złą energią. Jeśli wierzyć opisowi Charliego Dai, kruki pozostawione w domach innych porwanych dzieci także

nie pasowały do tego wizerunku. Charlie na pewno wspomniałby o podobieństwie, gdyby je zauważył.

Mimo to ta zbieżność wydawała się podejrzana.

Miałem wrażenie, że kiedy zbliżaliśmy się do wzgórza, kruk obserwował nas czujnie. Uniesione skrzydła ptaka wydawały się białe w świetle reflektorów, podczas gdy w głębokich brzdach wyrzeźbionych przez nieznanego artystę nadal zalegał cień. Była to skała metamorficzna, przetykana odłamkami jakiejś lśniącej substancji, prawdopodobnie miki. Rysunek został umiejscowiony tak, by największy z owych odłamków zastępował oko ptaka, przepełnione teraz osobliwym zwierzęcym blaskiem, który zdaniem mistyków odwiedzających to miejsce jest zakazaną wiedzą — choć nie rozumiem, jak kawałek skały może posiadać jakąkolwiek wiedzę.

Zauważyłem, że wszyscy pasażerowie forda, łącznie z kotem, przyglądają się rysunkowi z ogromną nieufnością.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok tajemniczego wizerunku, wyryte w kamieniu linie powinny były skurczyć się i odsunąć od nas w raptownie słabnącym świetle, zniknąć całkiem w ciemności. Jeśli jednak nie było to tylko złudzenie, kontury ptaka wydłużyły się na moment, gwałcąc prawa fizyki, jakby przyciągane światłem. Mógłbym też przysiąc, że kiedy kamień pogrążał się już w mroku, cień kruka oderwał się od niego i wzbił do lotu niczym prawdziwy ptak.

Kiedy zjeżdżaliśmy ze wschodniego zbocza wzgórza, miałem ochotę podzielić się ze wszystkimi swoim spostrzeżeniem, w końcu jednak zatrzymałem je tylko dla siebie.

— Nie podoba mi się to miejsce — stwierdził głośno Bobby.

— Mnie też — zgodził się z nim Roosevelt.

— I mnie — przyłączyłem się do chóru.

— Rodzaj ludzki nie powinien tak bardzo oddalać się od plaży — oświadczył znów Bobby.

— Właśnie — przytaknęła Sasha. — Myślę, że jesteśmy już niebezpiecznie blisko krawędzi świata.

— Otóż to — pokiwał głową Bobby.

— Widzieliście kiedyś mapy z czasów, kiedy ludzie wierzyli, że Ziemia jest płaska? — spytałem.

— Aha, widzę, że jesteś jednym z tych czubków, którzy twierdzą, że Ziemia jest kulista — powiedział z naganą w głosie Bobby.

— Ówczcześni kartografowie zaznaczali wyraźnie krawędź Ziemi, rysowali morze wpadające do otchłani, a czasami pisali na krawędzi ostrzeżenie: „Tutaj mieszkają potwory”.

Na moment w samochodzie zapadła cisza, wreszcie Bobby powiedział:

— Wybrałeś, bracie, nie najlepszy przykład, jak na tę okazję.

— Tak — zgodziła się z nim Sasha, która od pewnego czasu jechała powoli i obserwowała uważnie ciemne pola po północnej stronie Haddenbeck Road, wypatrując tam Doogiego Sassmana.

— Nie znasz jakichś zabawnych anegdot o rewolucji francuskiej i gilotynie?

— O właśnie, to byłoby dobre! — ożywił się wyraźnie Bobby.

Roosevelt zepsuł nieco wesoły nastrój, przekazując wiadomość, której nie musiał wcale przekazywać:

— Pan Mungojerrie mówi, że kruk odleciał ze skały.

— Z całym szacunkiem, ale pan Mungojerrie jest tylko

pieprzonym kotem — odparł grzecznie Bobby.

Roosevelt nasłuchiwał głosu niedostępnego naszym uszom. Potem oświadczył:

— Pan Mungojerrie mówi, że może jest tylko pieprzonym kotem, ale to stawia go na drabinie społecznej o dwa szczeble wyżej od przeciętnego surfera.

Bobby roześmiał się głośno.

— Nie powiedział tego.

— Nie ma tu innego kota.

— Ty to powiedziałaś — oskarżył Roosevelta Bobby.

— Nie. — Czarny olbrzym pokręcił głową. — Nie używam takiego języka.

— Kot? — powtórzył sceptycznie Bobby.

— Kot — obstawał przy swoim Roosevelt.

— Bobby dopiero niedawno uwierzył w świat inteligentnych zwierząt — wyjaśniłem Rooseveltowi.

— Hej, kocie — powiedział Bobby.

Mungojerrie, który wciąż siedział na moich kolanach, odwrócił się i spojrzał na niego.

— Jesteś w porządku, koleś — oświadczył Bobby.

Mungojerrie podniósł przednią łapę.

Bobby zrozumiał to dopiero po kilku sekundach. Uśmiechnął się od ucha do ucha, zdumiony i uradowany, po czym wyciągnął rękę nad oparciem mojego fotela, a potem przybił z kotem piątkę.

Dobra robota, mamó, pomyślałem. Bardzo dobra. Miejmy nadzieję, że kiedy wszystko już zostanie powiedziane i zrobione, będziemy żyć raczej obok inteligentnych kociaków niż szalonych gadów.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczyła Sasha, gdy dotarliśmy do podnóża wzgórza.

Włączyła napęd na obie osie i zjechała z drogi. Musiała posuwać się teraz znacznie wolniej, ponieważ wyłączyła światła drogowe i korzystała jedynie ze słabych świateł postojowych.

Przejechaliśmy przez rozległą łąkę, ominęliśmy kilka wielkich dębów i zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu Fortu Wyvern, obok największego jeepa, jakiego widziałem w życiu. Ten czarny hummer, cywilna wersja wojskowego humvee, po opuszczeniu salonu samochodowego został jeszcze poddany tuningowi. Miał ogromne, ponadwymiarowe opony, zawieszenie wyższe od standardowego modelu i przestrzeń bagażową większą o kilka stóp kwadratowych.

Sasha wyłączyła światła i silnik, po czym wszyscy wysiedliśmy z forda.

Mungojerrie uczeplił się mnie pazurami, jakby przestraszony, że postawię go na ziemi. Rozumiałem jego obawy. Trawa sięgała nam do kolan. Nawet przy dziennym świetle nie moglibyśmy zauważyć w porę atakującego węża, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, jak szybko potrafi uderzać wygłodniały grzechotnik. Kiedy Roosevelt wyciągnął ręce, oddałem mu kota.

Tymczasem w hummerze otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy, a z kabiny wysiadł Doogie Sassman, wielki i brodaty niczym nafaszerowany sterydami Święty Mikołaj podróżujący saniami projektu specjalistów z Pentagonu. Zatrzasnął drzwi, by zgasić światło we wnętrzu samochodu.

Choć Doogie Sassman ma pięć stóp i jedenaście cali, czyli o pięć cali mniej niż Roosevelt Frost, jest jedynym znanym mi

człowiekiem, przy którym Roosevelt wygląda na drobnego i wychudzonego. Doogie jest cięższy od Roosevelta o jakieś sto funtów, nigdy jednak nie widziałem stu funtów wykorzystanych w bardziej efektywny i efektowny sposób. Doogie wydaje się co najmniej dwa razy większy od Roosevelta i znacznie od niego wyższy, co nie jest zgodne z prawdą. To prawdziwy lewiatan chodzący po ziemi, człowiek, który mógłby porozmawiać z Godzillą o najlepszych sposobach niszczenia miast.

Doogie obnosi swoje wielkie ciało z nieziemskim wdziękiem i wcale nie wydaje się gruby. Oczywiście jest wielki, *très mondo, mondo maximo*, ale nie jest grubasem. Jego ciało przypomina raczej ruchomy beton, odporny na arteriosklerozę, pociski karabinowe i upływ czasu. Jest w nim coś równie mistycznego, jak w kamiennym obrazie na szczycie Wzgórza Kruka.

Może to jego włosy i broda sprawiają, że wydaje się kolejnym wcieleniem Thora, boga błyskawic i deszczu, którego czczono niegdyś w Skandynawii — choć teraz czci się tam tylko plastikowe gwiazdki pop, podobnie jak na całym świecie. Wielka blond grzywa, tak gęsta, że obraża uczucia wyznawców Hare Kriszny, sięga mu do połowy pleców, a jeszcze gęstszej falowanej brody nie dałoby się zgolić niczym mniejszym od kosiarki do trawy. Wspaniała fryzura może dodać każdemu mężczyźnie wiele uroku — czego świadectwem są niektórzy nasi prezydenci, wybrani na to stanowisko jedynie ze względu na piękne włosy. Jestem pewien, że blond grzywa i broda Doogiego przyczyniają się w znacznej mierze do ogromnego wrażenia, jakie wywiera nie tylko na kobietach, choć oczywiście za jego niesamowitą aurę nie odpowiadają jedynie włosy, rozmiary, piękne tatuaże czy

lśniące niebieskie oczy.

Tej nocy miał na sobie czarny zapinany dres wpuszczony w czarne sportowe buty. Właściwie powinien wyglądać w tym stroju jak wielkie dziecko przystrojone w czarną piżamę. Tymczasem przypominał raczej faceta, którego szatan wezwał do piekła, by przetkał mu komin zatkany pogiętymi i nadpalonymi duszami dziesięciu seryjnych zabójców.

— Cześć, Doogie — przywitał go Bobby.

— Cześć, Bobster — odparł Doogie.

— Niezły wózek — zauważyłem z podziwem.

— Dobrze kręci — zgodził się ze mną olbrzym w dresie.

— Myślałem, że jeździsz tylko na harleyach — powiedział Roosevelt.

— Doogie lubi różne środki transportu — wyjaśniła poważnym tonem Sasha.

— Jestem motoryzacyjnym maniakiem — przyznał Doogie. — Co z twoim okiem, Rosie?

— Biłem się z księdzem.

Oko wyglądało już lepiej, nadal było zapuchnięte, lecz nie przypominało już wlotu na monety. Łód jednak podział.

— Musimy ruszać — powiedziała Sasha. — Dzieją się tutaj dziwne rzeczy, Doogie.

— Takiego wycia kojotów jeszcze w życiu nie słyszałem — odparł Sassman.

Bobby, Sasha i ja spojrzeliśmy po sobie. Powróciły do mnie słowa Sashy, która przewidziała, że ujrzymy jeszcze stado kojotów wędrujące po ulicy przy domu Lilly Wing.

Nad pustymi polami i wzgórzami zalegała całkowita cisza.

Ciężkie chmury wisiały nieruchomo, a wiejąca od zachodu bryza była słaba jak oddech umierającej zakonnicy. Liście dębów poruszały się leniwie i bezgłośnie, wysoka trawa falowała delikatnie, ledwie dostrzegalnie.

Doogie zaprowadził nas na drugą stronę hummera i otworzył tylne drzwi. Światło we wnętrzu samochodu nie było tak silne jak zazwyczaj, bo lampka została w połowie zaklejona czarną taśmą monterską, ale w tym mrocznym, bezksiężycowym świetle nawet przytłumiony blask wydawał się niezwykle jasny.

Na podłodze leżały dwa karabiny maszynowe, lekkie i poręczne remingtony, lepsze nawet od klasycznego mossberga, który skonfiskował Bobby'emu Manuel Ramirez.

— Nie przypuszczam, żeby któryś z was, surferzy, potrafił przestrzelić ćwierćdolarówkę z rewolweru, więc te karabinki będą dla was jak znalazł — oświadczył Doogie. — Wiem, że potraficie się tym posługiwać. Ale będziecie używać mocniejszych ładunków, więc musicie być przygotowani na porządnego kopa. Przy tych pociskach nie musicie nawet celować w przeciwnika i tak rozwalicie wszystko, co wam stanie na drodze.

Wręczył jeden karabin Bobby'emu, a drugi mnie. Potem dorzucił jeszcze po pudełku amunicji.

— Załadujcie, a resztę powkładajcie do kieszeni — powiedział. — Nie zostawiajcie nic w pudełku. Może to właśnie ostatni pocisk uratuje wam tyłki. — Spojrzał na Sashę, uśmiechnął się i powiedział: — Jak w Kolumbii.

— W Kolumbii? — zdziwiłem się.

— Mieliśmy tam kiedyś interes do załatwienia — odparła

Sasha.

Doogie mieszkał w Moonlight Bay od sześciu lat, Sasha od dwóch. Zastanawiałem się, czy załatwiali ten interes niedawno, czy też nim jeszcze przyjechali do Klejnotu Centralnego Wybrzeża. Dotąd byłem przekonany, że poznali się w KBAY.

— Mówisz o tym państwie? — spytał Bobby.

— Na pewno nie o wytwórni płytowej — zapewnił go Doogie.

— Chyba nie chodziło wam o narkotyki? — drążył dalej Bobby.

Sassman potrząsnął głową.

— To była akcja ratownicza.

Sasha uśmiechała się tajemniczo.

— Czyżby jednak interesowała cię przeszłość, Snowman? — spytała.

— W tej chwili interesuje mnie wyłącznie przyszłość.

Doogie odwrócił się do Roosevelta.

— Nie wiedziałem, że ty też przyjedziesz, dlatego nie mam broni dla ciebie.

— Mam kota — odparł Roosevelt.

— Prawdziwy zabójca.

Mungojerrie syknął ostrzegawczo.

Ten dźwięk przypomniał mi o węzach, które widzieliśmy na drodze. Rozejrzałem się nerwowo, ciekaw, czy któryś z gadów będzie na tyle uprzejmy, by przed atakiem zagrzechotać ostrzegawczo.

Zamykając drzwi bagażnika, Doogie powiedział:

— Ruszajmy.

Oprócz sporej przestrzeni bagażowej, w której Doogie przechowywał dwa kanistry z paliwem, dwa papierowe pudełka

i wielki, wypchany plecak, przerobiony hummer mieścił osiem osób. Za parą typowych przednich foteli znajdowały się jeszcze dwie ławki, każda z nich przeznaczona dla trzech dorosłych osób — choć nie o takich rozmiarach jak Doogie.

Współczesny potomek Thora prowadził, a miejsce obok niego zajął Roosevelt, który trzymał na kolanach naszego kociego tropiciela. Pozostała trójka, to jest Sasha, Bobby i ja, usadowiła się tuż za nimi, na pierwszej ławce.

— Dlaczego nie jedziemy do Wyvern korytem rzeki? — zastanawiał się głośno Bobby.

— Bo na dno Santa Rosity możemy zjechać tylko po jednej z pochylni w mieście, a dzisiaj kręci się tam podejrzany element — wyjaśnił Doogie.

— Anchois — przetłumaczył Bobby.

Oświetlając sobie drogę tylko światłami postojowymi, hummer przejechał przez wielką dziurę w płocie. Wystające fragmenty drutu były poskręcane jak włóczka, którą ktoś zostawił do zabawy małemu kotu.

— Sam wycinałeś tę dziurę? — spytałem.

— Raczej wyrwałem.

— Ładunki wybuchowe?

— Tylko odrobina plastiku.

— Nie ściągnąłeś tu nikogo?

— Wystarczy ułożyć ładunek w cienkiej linii, tam gdzie chcesz przerwać siatkę, a huk nie jest głośniejszy niż uderzenie w bęben.

— A nawet gdyby ktoś był w pobliżu, po jednym wybuchu nie potrafiłby określić kierunku, z którego dochodziła eksplozja —

dodała Sasha.

— Prowadzenie audycji radiowych wymaga znacznie większych umiejętności, niż przypuszczałem — doszedł do wniosku Bobby.

Doogie spytał, dokąd jedziemy, a ja opisałem magazyny w południowo-zachodniej części bazy, gdzie po raz ostatni widziałem Orsona. Najwyraźniej Doogie dobrze znał topografię fortu, bo nie potrzebował już dodatkowych wskazówek.

Zaparkowaliśmy obok wielkich, zwijanych drzwi. Mniejsze drzwi, umiejscowione po prawej stronie głównego wejścia, były otwarte, tak je zostawiłem poprzedniej nocy.

Wysiadłem z hummera, zabierając ze sobą karabin. Po chwili dołączył do mnie Roosevelt i Mungojerrie, podczas gdy pozostali czekali w samochodzie, nie chcąc rozpraszać kota w trakcie tropienia.

Te mroczne przejścia i ścieżki nigdy nie wyglądały zbyt gościnnie i z pewnością nie nadawały się na niedzielne spacer, jednak tej nocy wydawały się szczególnie posępne i nieprzyjemne, ponieważ były otulone mrokiem, przesiąknięte zapachem oleju i smarów, porośnięte trawą, która przebijała się przez szpary w powierzchni asfaltu, zaśmiecone pustymi puszkami, papierami i liśćmi naniesionymi przez wiatr i otoczone wielkimi bryłami rdzewiejących magazynów.

Zapewne to właśnie tutaj zatrzymał się muskularny, krótko ostrzyżony psychol, którego śledziliśmy z Orsonem poprzedniej nocy, i korzystając z telefonu komórkowego, wezwał kogoś na pomoc. Być może zadzwonił do wysokiego, atletycznego blondyna z blizną na lewym policzku, tego samego, który

zaledwie kilka godzin temu porwał bliźniaki Stuartów. Tak czy inaczej, oddał tu komuś Jimmy'ego, a sam zaprowadził mnie i Orsona do magazynu, gdzie o mały włos nie zginąłem.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnąłem pomiętą bluzkę od piżamy Jimmy'ego Winga, za pomocą której porywacz zmylił Orsona. Właściwie powinienem powiedzieć, że zmylił nie Orsona, lecz mnie, bo to ja przejąłem inicjatywę i prowadzony dziwnymi odgłosami wszedłem do magazynu.

Ubranie wydawało się niewiarygodnie małe, prawie jak dla lalki.

— Nie wiem, czy to w czymś pomoże — powiedziałem. — W końcu koty to nie ogary.

— Zobaczymy — odparł Roosevelt.

Mungojerrie delikatnie, lecz z zaciekawieniem powąchał piżamę. Potem zaczął chodzić w kółko, obwąchując chodnik, pustą puszkę po oleju — co skwitował głośnym kichnięciem — a następnie małe, żółte kwiatki przy ścieżce, po których kichał jeszcze głośniej. Powrócił, by przypomnieć sobie zapach dziecka, jeszcze raz przeszedł po chodniku, poruszając się jak poprzednio po spirali, podniósł kilka razy głowę, łapiąc w nozdrza zapachy niesione wiatrem, potem znów przystawił nos do ścieżki, zachowując przy wszystkich tych czynnościach zagadkową i nieprzeniknioną postawę. Potruchtał do magazynu, gdzie obsikał betonowe fundamenty, obwąchał swoje dzieło, powrócił po raz kolejny do piżamy, spędził pół minuty na oględzinach starego zardzewiałego klucza do śrub, przystanął na chwilę, by podrapać się tylną łapą za uchem, znów podszedł do żółtych kwiatków i znów kichnął potężnie. W chwili gdy już był bliski

zajęcia pierwszego miejsca na mojej Liście Zwierząt i Ludzi, Których Udusiłbym Gołymi Rękami, znieruchomiał raptownie, odwrócił głowę w stronę Roosevelta i syknął cicho.

— Znalazł — wyszeptał nasz zwierzęcy tłumacz.

Mungojerrie truchtał coraz szybciej po ścieżce, a Roosevelt i ja szliśmy za nim. Po chwili dołączył do nas Bobby, podczas gdy Doogie i Sasha jechali hummerem.

Kot prowadził nas inną drogą niż ta, którą wybrałem poprzedniej nocy. Szliśmy najpierw po asfaltowej ścieżce, potem przecięliśmy zarośnięte boisko i pusty zakurzony plac do musztry, następnie znów weszliśmy między jakieś puste, zniszczone baraki, minęliśmy tę część Umarłego Miasteczka, której nie zdążyłem jeszcze dokładnie spenetrować, po czym znów wkroczyliśmy na tereny użytkowe. Po półgodzinnym marszu dotarliśmy wreszcie do ostatniego miejsca, jakie chciałbym odwiedzić w tej sytuacji; wielkiego, wysokiego na sześć pięter hangaru o półokrągłym dachu, wielkiej świątyni obcego boga, pod którą kryła się jajowata sala.

Kiedy zrozumiałem już, dokąd zdążamy, uznałem, że nie powinniśmy raczej podjeżdżać pod samo wejście samochodem, jako że silnik hummera pracował jednak nieco głośniej niż mechanizm szwajcarskiego zegarka. Gestem nakazałem Doogiemu wjechać pomiędzy dwa mniejsze baraki, ustawione o jakieś sto jardów od gigantycznego hangaru.

Kiedy Doogie wyłączył silnik i światła, Hummer niemal zupełnie zniknął w tym mrocznym zakamarku.

Gdy zebraliśmy się wszyscy z tyłu samochodu, by obejrzeć z daleka ogromną halę, noc zaczęła nagle oddychać. Odległy

o kilka mil Pacyfik przysłał wreszcie mocniejszą, zimną bryzę, która poruszyła luźne arkusze blachy na pobliskich barakach.

Przypomniałem sobie słowa Mungojerriego, które ten wypowiedział ustami Roosevelta przed domem Stanwyków; „Tu mieszka śmierć”. Wydawało mi się, że hangar wysyła identyczne, lecz jeszcze mocniejsze wibracje. Jeśli śmierć rzeczywiście mieszkała w domu Stanwyków, to był to tylko jej letni pałacyk. Główna siedziba znajdowała się tutaj.

— To niemożliwe — powiedziałem z nikłą nadzieją.

— Są właśnie tutaj — upierał się Roosevelt.

— Ale byliśmy tutaj zeszłej nocy — zaprotestował Bobby.

— Nikogo nie znaleźliśmy.

Roosevelt wziął kota na rękę, pogłaskał go po małej głowie, podrapał pod bródką, mruknął coś pod nosem, wreszcie powiedział głośno:

— Kot mówi, że byli tu wtedy i są teraz.

Bobby skrzywił się niechętnie.

— Coś tu śmierdzi.

— Jak rynsztok w Kalkucie — zgodziłem się z nim.

— O nie — zaprotestował Doogie. — Rynsztok w Kalkucie jest klasą sam dla siebie, uwierzcie mi.

Uznałem, że nie powinienem zadawać mu oczywistego pytania.

Zamiast tego powiedziałem:

— Jeśli dzieci porwano tylko po to, by je zbadać, jeśli zostały wybrane dlatego, że są odporne na retrowirusa, to na pewno trafiły do laboratoriów. Nie wiem, gdzie są te laboratoria, ale z pewnością nie tutaj.

— Mungojerrie mówi, że laboratorium położone jest daleko na wschód, w miejscu, gdzie nie ma żadnych budynków, ukryte głęboko pod ziemią, pod terenem dawnego poligonu — przetłumaczył Roosevelt. — Ale Jimmy na pewno jest tutaj. I Orson.

— Żywi? — odważyłem się zapytać po chwili wahania.

— Mungojerrie nie wie — odparł Roosevelt.

— Przecież koty wiedzą więcej — przypomniała mu Sasha.

— Ale tego akurat nie wiedzą.

Jestem pewien, że kiedy patrzyliśmy w milczeniu na budynek hangaru, każdy z nas przypominał sobie opis z testamentu Delacroix. Czerwone niebo. Czarne drzewa. Dziwne trzepotanie...

Doogie wyciągnął z bagażnika plecak, zarzucił go sobie na ramiona i zamknął bagażnik:

— No to chodźmy — rzucił.

Przez krótką chwilę widziałem w świetle lampki broń, którą Doogie trzymał w dłoni. Robiła wrażenie.

Świadom mego zainteresowania, wyjaśnił:

— Automat uzi. Powiększony magazynek.

— To legalna broń?

— Byłaby, gdybym jej nie przerobił i nie przestawił na ciągły ogień.

Doogie ruszył w stronę hangaru. Z rozwianą grzywą i wielką brodą wyglądał jak zwycięski wiking opuszczający podbitą wioskę, objuczony workiem z łupami, które za chwilę wrzuci do drakkara. Do pełnego obrazu brakowało mu tylko hełmu z rogami.

Oczami wyobraźni ujrzałem Doogiego odzianego w taki

właśnie hełm i elegancki frak, prowadzącego piękną damę do tanga podczas turnieju tanecznego.

Moja bogata wyobraźnia ma różne oblicza.

Małe drzwi osadzone w wielkich, wysokich na czterdzieści stóp wrotach hangaru, były zamknięte. Nie pamiętałem, czy któryś z nas, Bobby lub ja, zamykał je poprzedniej nocy. Chyba nie. Nie byliśmy wtedy w najlepszych nastrojach i raczej nie zwracaliśmy uwagi na podobne drobiazgi.

Doogie zatrzymał się przy drzwiach, wyjął z kieszeni dresu dwie latarki i wręczył po jednej Sashy i Rooseveltowi. Ja i Bobby musieliśmy mieć obie ręce wolne, by swobodnie posługiwać się karabinami.

Doogie nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się do środka.

Wchodząc do wnętrza hangaru, Sasha zachowywała się jeszcze ostrożniej niż w domu Stanwyków. Przemknęła błyskawicznie przez drzwi, stanęła bokiem do wejście i dopiero wtedy włączyła latarkę. Snop żółtego światła ginął w oddali, zbyt słaby, by ogarnąć gigantyczną przestrzeń zamkniętą pod dachem hangaru. Nikt nie strzelał do Sashy, co oznaczało, że nikt też jeszcze nie zauważył naszej obecności.

Bobby kroczył tuż za nią, z karabinem gotowym do strzału. Po nim do hali wszedł Roosevelt z kotem na rękach. Później ja i Doogie, który cicho zamknął drzwi.

Spojrzałem wyczekująco na Roosevelta.

Ten pogłaskał kota i wyszeptał:

— Musimy iść w dół.

Ponieważ znałem dobrze drogę, prowadziłem całą grupę. Druga gwiazda na prawo i prosto aż do świtu. Uważać na

piratów i krokodyla z tykającym zegarem w brzuchu.

Przeszliśmy przez wielką halę, pod szynami, na których wisiał niegdyś ruchomy żuraw, obok masywnych stalowych słupów podtrzymujących te szyny, pomiędzy głębokimi studniami w podłodze, gdzie mieściły się dawniej podnośniki hydrauliczne.

W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, od metalowych szyn i podpór odrywały się miecze cieni i szable światła, które ścierały się ze sobą na ścianach i okrągłym dachu. Większość wąskich okien pod dachem była zniszczona, tu i ówdzie jednak pozostały szyby, w których odbijało się światło naszych latarek, odległe i migotliwe niczym iskry krzesane przez uderzające ostrza.

Nagle zatrzymałem się, przejęty niesamowitym uczuciem, którego nie potrafię nawet opisać, jakąś dziwną zmianą w powietrzu, delikatnym naprężeniem skóry, drzeniem włosków w małżowinach usznych, jakby docierał do mnie jakiś wibrujący dźwięk, zbyt wysoki, bym mógł go usłyszeć.

Sasha i Roosevelt musieli poczuć to samo, bo obracali się dokoła, oświetlając podłogę i ściany, szukając źródła dziwnych wibracji.

Doogie trzymał swój pistolet oburącz.

Bobby stał obok jednego z cylindrycznych metalowych słupów, które podpierały szyny żurawia. Wyciągnął rękę, dotknął go i wyszeptał:

— Bracie...

Kiedy podszedłem do niego, usłyszałem dzwonienie tak delikatne, że musiałem mocno wyteżać uwagę, by go nie zgubić. Gdy dotknąłem czubkami palców metalowego słupa, wyczułem lekkie wibracje.

Nagle zmieniła się temperatura powietrza wokół nas. Przed momentem hangar był nieprzyjemnie chłodny, prawie zimny; w ciągu kilku sekund temperatura podniosła się o dziesięć stopni. Byłoby to niemożliwe, nawet gdyby w budynku wciąż działało ogrzewanie — a nie działało od wielu miesięcy.

Sasha, Doogie i Roosevelt dołączyli do mnie i Bobby'ego, instynktownie ustawiając się w kręgu, gotowi na spotkanie z nieprzyjacielem.

Wibracje przybierały na sile.

Spojrzałem na wschodni kraniec hangaru. Drzwi, przez które weszliśmy do jego wnętrza, były oddalone o jakieś dwadzieścia jardów. Światło latarki docierało tam jeszcze, choć nie mogło już przegonić wszystkich cieni. Z tego miejsca widziałem bliższy kraniec szyn dźwigu, zawieszonych nad naszymi głowami. Wszystko wyglądało tak, jak w chwili, gdy weszliśmy do budynku.

Nie mogłem oświetlić zachodniej strony hangaru, odległej o osiemdziesiąt, może sto jardów; nasze latarki były na to za słabe. Tam gdzie docierał promień światła, wszystko wyglądało całkiem normalnie.

Jednak tym, co mnie niepokoiło, była ciemność pozostająca poza zasięgiem światła. Ciemność składająca się z różnych odcieni czerni i szarości, mozaika mrocznych plam.

Wydawało mi się, że właśnie tam ukryty jest jakiś wielki przedmiot. Ogromny, skomplikowany kształt. Czarno-szary obiekt tak sprytnie ukryty w mroku, że nie potrafiłem dojrzeć nawet jego zarysów.

— Sasha, poświeć tutaj — wyszeptał Bobby.

Sasha oświetliła wskazane przez niego miejsce.

Światło odbiło się od jednej z tych grubych stalowych płyt, osadzonych w betonie, na których stały kiedyś ciężkie maszyny. Podobne prostokąty rozsiane były po całej hali.

Nie rozumiałem, dlaczego Bobby zwrócił naszą uwagę na ten przedmiot.

— Czysta — wyjaśnił krótko.

Wtedy zrozumiałem. Kiedy byliśmy tutaj ostatniej nocy — właściwie zawsze, gdy przechodziłem przez to miejsce — prostokątne płyty i mocujące je śruby oblepione były brudem. Ta była czysta i lśniąca, jakby ktoś przed chwilą dokładnie ją wypolerował.

Trzymając kota na ręce, Roosevelt wodził promieniem latarki po podłodze, stalowym słupie, po szynach nad naszymi głowami.

— Wszystko jest czystsze — mruknął Doogie i wcale nie miał na myśli poprzedniej nocy, lecz teraźniejszość.

Choć nie dotykałem już metalowego cylindra, wiedziałem, że wibracje są coraz silniejsze. Świadczyło o tym owo niepokojące dzwonienie, wytwarzane przez podwójną stalową kolumnadę i oparte o nią szyny.

Spojrzałem na odległy, ciemny kraniec hangaru. Mógłbym przysiąc, że w mroku porusza się jakiś wielki obiekt.

— Bracie! — zawołał Bobby.

Spojrzałem na niego.

Wpatrywał się jak zaczarowany w tarczę zegarka.

Ja także spojrzałem na swój i zobaczyłem, jak lśniąca cyfry zmieniają się gwałtownie, przenoszą nas w przeszłość.

Ogarnął mnie zimny strach.

W hangarze pojawił się nagle dziwny, czerwony blask o jednolitym natężeniu, blask, który nie miał żadnego określonego źródła — wyglądało to tak, jakby nagle zaczęły świecić cząsteczki samego powietrza. Być może światło to było niebezpieczne dla człowieka z XP, ale w tej chwili nie zaprzętałem sobie tym głowy. Czerwona poświata przegnała z budynku ciemności, ale widoczność poprawiła się tylko trochę. To dziwne światło otulało wszystkie przedmioty niemal równie skutecznie jak mrok, a ja czułem się tak, jakbym nagle znalazł się pod powierzchnią wody... wody zmieszanej z krwią.

W zetknięciu z tym różanym blaskiem, światło latarek okazywało się bezskuteczne. Zatrzymywało się na powierzchni szklanej soczewki, rozlewało się na niej niczym kałuża, nie mogło jednak przebić szkła i rozproszyć czerwonego półmroku.

Tu i tam, w miejscach, gdzie przed momentem nie było jeszcze nic prócz powietrza, zaczęły pojawiać się drżące, ciemne kształty. Jakieś maszyny. Wyglądały realnie, a jednocześnie nierealnie niczym elementy mirażu. W tej chwili były tylko duchami maszyn... ale z każdą chwilą stawały się coraz bardziej rzeczywiste.

Wibracje dźwięczały coraz głośniejsze w naszych uszach, zmieniały się ich ton, były coraz głębsze, bardziej złowieszcze.

W zachodniej części pomieszczenia, gdzie przed chwilą zalegały ciemności, na szynach stał teraz ruchomy dźwig, podtrzymujący masywne... coś. Może silnik.

Choć w czerwonym świetle widziałem kształt dźwigu i zawieszony pod nim obiekt, widziałem także przez nie, jakby wykonane były ze szkła.

W ponurym dudnieniu, które zastąpiło ledwie słyszalny, wysoki dźwięk wibrującej stali, rozpoznałem stukot kół pociągu, odgłos stalowych kręgów toczących się po szynach.

Żuraw musiał mieć stalowe koła, które przenosiłyby go wzdłuż szyn ciągnących się nad naszymi głowami.

— ...stamtąd zejść! — wołał Bobby, a kiedy spojrzałem na niego, poruszał się jak w zwolnionym tempie, uciekał spod szyn, oparty plecami o cylindryczny słup.

Roosevelt, który podobnie jak ja patrzył na wszystko szeroko rozwartymi oczami, także rzucił się do ucieczki.

Dźwig wyglądał solidniej niż kilka sekund temu, stał się mniej przezroczysty. Wielki silnik — jeśli rzeczywiście był to silnik — wisiał tuż pod nim i sięgał niemal samej podłogi. Był nieco większy od samochodu osobowego i sunął prosto na nas.

Zbliżał się z niewiarygodną prędkością, wydawałoby się nieosiągalną dla obiektu o takim ciężarze. Zrozumiałem, że przemieszcza się nie w przestrzeni, lecz w czasie — to czas zbliżał nas do siebie, do momentu gdy ów przedmiot i my znajdziemy się w tym samym miejscu. Dla nas jednak pytanie, czy dźwig porusza się w czasie, czy przestrzeni nie miało w tej chwili większego znaczenia, bo tak czy inaczej efekt był ten sam: dwa ciała nie mogą zajmować tego samego miejsca w tym samym czasie. Jeśli spróbują to uczynić, to albo dojdzie do wyzwolenia ogromnej energii i wybuchu, który słychać będzie zapewne aż w Cleveland, albo jedno z tych dwóch ciał — ja lub obiekt wielkości samochodu zawieszony pod dźwigiem — przestanie istnieć.

Choć rzuciłem się do ucieczki, chwytając Saszę za rękę

i ciągnąc ją za sobą, wiedziałem, że zdążymy odsunąć się z tego miejsca na czas.

Czas.

Gdy zbliżaliśmy się do momentu w przeszłości, kiedy hangar wypełniały maszyny, kiedy nadjeżdżający dźwig miał już przybrać całkiem rzeczywistą postać... temperatura nagle spadła do poprzedniego poziomu. Czerwone światło przygasło. Dudnienie stalowych kół znów zamieniło się w piskliwą wibrację.

Przypuszczałem, że dźwig zacznie toczyć się do tyłu, wycofa się do zachodniej części budynku i tam zniknie. Kiedy jednak podniosłem głowę, dźwig właśnie do nas dojeżdżał, a niesiony przezeń przedmiot, który znów stał się przezroczysty, uderzył w Saszę, a potem we mnie.

„Uderzył” nie jest tu właściwym słowem. Nie potrafię opisać, co się wtedy stało. Upiorny dźwig przejechał mi tuż nad głową, a upiorny ciężar owinął się wokół mnie, przesunął się przeze mnie i zniknął za moimi plecami. Przez moment poczułem zimny wiatr, który mi jednak nie poruszył nawet najmniejszego włosa na głowie. Ten wiatr był zamknięty w moim wnętrzu, przenikał wszystkie komórki ciała, grał na kościach jak na fletach. Przez moment myślałem, że rozniesie cząsteczki, z których jestem zbudowany, rozproszy mnie jak garść pyłu.

Czerwony blask zniknął wreszcie całkowicie, a uwolnione promienie latarek wyskoczyły zza szklanych soczewek.

Wciąż żyłem, pozostawałem jedną całością, psychiczną i fizyczną.

— Cholera! — wyrzuciła z siebie Sasha.

— Zgadza się — przyznałem.

Wstrząśnięta, oparła się o jeden z cylindrycznych słupów.

Doogie stał nie dalej niż sześć stóp ode mnie. Obserwował bezcielesny ciężar, który przeszedł przez nasze ciała i zniknął po drugiej stronie budynku.

— Czas wracać do domu? — spytał tonem tylko na pół żartobliwym.

— Musisz wypić szklanekę ciepłego mleka?

— I łyknąć sześć prozaców.

— Witajcie w nawiedzonym laboratorium — westchnąłem.

Dołączając do nas, Bobby powiedział:

— To, co działo się poprzedniej nocy w jajowatej sali, obejmuje teraz cały budynek.

— Myślisz, że to przez nas? — zastanawiałem się.

— Nie my zbudowaliśmy to miejsce, bracie.

— Ale uruchomiliśmy je wczoraj w nocy?

— Nie sądzę, żeby nasze dwie latarki mogły narobić tyle szkody.

— Musimy szybko działać — wtrącił się do rozmowy Roosevelt.

— Całe to miejsce wkrótce... się rozpadnie.

— Czy tak przypuszcza pan Mungojerrie? — spytałem.

W zwykłych okolicznościach Roosevelt Frost potrafi jednym spojrzeniem przygwoździć człowieka do ziemi. Choć w jego oczach wciąż kryło się ogromne zdumienie, a w dodatku jedno z nich było opuchnięte i przekrwione, teraz także popatrzył na mnie tak, że najchętniej schowałbym się do jednej z wielkich dziur w podłodze hangaru.

— Nie, pan Mungojerrie nie przypuszcza, on to wie. Wszystko

w tym miejscu rozpadnie się, rozleci. Już wkrótce.

— Więc chodźmy po dzieciaki i Orsona.

Roosevelt skinął poważnie głową.

— Chodźmy.

24

Pusty szyb windy w południowo-zachodnim rogu hangaru wyglądał tak samo jak poprzedniej nocy. Ale futryna i próg z nierdzewnej stali okalające wejście na klatkę schodową wolne były od smaru i brudu — nigdy nie widziałem ich w takim stanie, odkąd ponad rok temu po raz pierwszy wszedłem do budynku. W świetle latarki Sashy dostrzegłem także, że stopnie nie pokrywa gruba warstwa kurzu ani martwe ciała owadów.

Albo był tu przed nami jakiś uczynny krasnoludek, który starał się uprzątnąć nieco to zaniedbane miejsce, albo zjawisko, które obserwowaliśmy z Bobbym w jajowatej sali, sięgało daleko poza ściany tego tajemniczego pomieszczenia. Stawiałem raczej na to drugie.

Mungojerrie zatrzymał się na drugim stopniu, zaglądał ostrożnie w dół klatki schodowej, wciągał powietrze w nozdrza, nadstawiał uszu. Wreszcie ruszył naprzód.

Sasha podążała za kotem.

Schody były dość szerokie, by pomieścić dwoje ludzi, szedłem więc u boku Sashy, zadowolony, że tym razem mogę dzielić z nią tę niebezpieczną pozycję. Za nami posuwał się Roosevelt, a potem Doogie. Bobby zajmował miejsce na końcu pochodu,

szedł bokiem, oparty plecami o ścianę, upewniając się, że nikt nas nie śledzi.

Poza tym, że były podejrzanie czyste, schody wyglądały tak samo jak podczas moich poprzednich wizyt. Goły beton po obu stronach. Otwory w suficie, rozmieszczone w regularnych odstępach, pozostałości po kinkietach oświetlających schody. Pomalowana na czarno, żelazna rurka przytwierdzona do ściany. Powietrze było zimne, gęste, przesycone zapachem wapna parującego ze ścian.

Kiedy dotarliśmy na półpiętro i zakręciliśmy, by pokonać następną partię schodów, położyłem dłoń na ramieniu Sashy, zatrzymując ją w miejscu, a do naszego przewodnika szepnąłem:

— Kocie, zaczekaj.

Mungojerrie zatrzymał się dwa stopnie niżej, odwrócił głowę i spojrzał na mnie pytająco.

Na suficie przed nami widniały białe, okrągłe kinkiety. W tej chwili oczywiście nie świeciły, nie stanowiły więc dla mnie żadnego zagrożenia.

Ale nie było ich tutaj przedtem. Zostały wyrwane i wywiezione z Wyvern po zamknięciu bazy. Właściwie ta część budynku mogła zostać oczyszczona z całego sprzętu na długo przed likwidacją bazy, kiedy Magiczny Pociąg wyleciał z szyn, a jego twórcy zrozumieli, że doprowadzili do najgorszej katastrofy w historii kolejnictwa.

Czas przeszły i terażniejszy istniały tutaj obok siebie. Była tu także nasza przyszłość, choć nie mogliśmy jej zobaczyć. Cały czas to wieczna terażniejszość, mówił poeta T.S. Eliot, prowadząca do nieuchronnego końca — i choć wydaje nam się, że ów koniec jest

wypadkową i rezultatem naszych czynów, w rzeczywistości nie mamy nad nim żadnej kontroli.

W tej chwili jednak ten cytat wydał mi się zbyt ponury. Przyglądając się kinkietom, próbując wyobrazić sobie, co jeszcze może spotkać nas tej nocy, wyrecytowałem w myślach fragment wierszyka o Kubusiu Puchatku, lecz A. A. Milne nie zdołał wypędzić z mego umysłu T.S. Eliota.

Nie mogliśmy cofnąć się przed niebezpieczeństwami czekającymi nas na dole, przed tą dziwną mieszanką przeszłości i terażniejszości, a ja nie mogłem powrócić do czasów dzieciństwa. Jak miło byłoby jednak skryć się teraz pod kołdrą, przytulić do siebie Puchatka i Tygryśka, wyobrażać sobie, że zawsze będziemy przyjaciółmi, nawet wtedy, gdy ja doczekam setki, a Puchatek dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

— W porządku — powiedziałem do Mungojerriego i wszyscy podjęliśmy przerwany marsz.

Kiedy zeszliśmy na pierwszy z podziemnych poziomów, Bobby wyszeptał:

— Bracie.

Obejrzałem się za siebie. Białe kinkiety nad schodami zniknęły. W suficie znów widniały jedynie puste otwory, z których usunięto nawet kable.

Czas terażniejszy znów był bardziej terażniejszy niż przeszły, przynajmniej przez chwilę.

Krzywiąc się z niesmakiem, Doogie mruknął:

— Pojadę do Kolumbii jak w dym.

— Albo do Kalkuty — dodała Sasha.

Przemawiając w imieniu Mungojerriego, Roosevelt powiedział:

— Musimy się pospieszyć. Poleje się krew, jeśli przyjdziemy za późno.

Prowadzeni przez nieustraszonego kota, pokonaliśmy jeszcze cztery odcinki schodów, docierając do trzeciego, najniższego poziomu podziemi.

Nie znaleźliśmy żadnego śladu działalności krasnoludków czy też złośliwych gnomów, dopóki nie stanęliśmy przed wyjściem z klatki schodowej. Kiedy Mungojerrie chciał wprowadzić nas do korytarza otaczającego ten owalny poziom budynku, za drzwiami rozbłysło czerwone światło, które widzieliśmy już na parterze. Czerwony blask pojawił się na ułamek sekundy, a potem w korytarzu znów zapadła ciemność.

Nasza skromna grupa poszukiwawcza była nie tylko zaskoczona, ale i zdenerwowana tym niepokojącym zjawiskiem, czemu dała wyraz za pomocą niewyszukanych przekleństw. Uciszyło nas dopiero syknięcie kota.

Gdzieś z oddali dochodziły inne głosy, głębokie i zniekształcone. Przypominały głosy nagrane na taśmie i odtworzone ze zbyt małą prędkością.

Sasha i Roosevelt wyłączyli latarki, pogrążając nas w mroku.

Za drzwiami znów rozbłysło czerwone światło, potem jeszcze raz, wreszcie zaczęło pulsować niczym policyjny sygnał. Za każdym razem utrzymywało się coraz dłużej, wreszcie ciemność całkowicie ustąpiła z korytarza, zastąpiona różowym blaskiem.

Głosy przybierały na sile. Wciąż były zniekształcone, ale prawie zrozumiałe.

Co ciekawe, nawet najmniejszy promyk czerwonego blasku nie przenikał na klatkę schodową, gdzie się zatrzymaliśmy.

Pozbawiona drzwi futryna stanowiła więc granicę pomiędzy dwoma rzeczywistościami: po jednej stronie zalegała całkowita ciemność, po drugiej zaś rozciągało się królestwo czerwonego światła. Linia oddzielająca te dwa światy była równie wyraźna i ostra jak ostrze noża.

Podobnie jak w hangarze, czerwony blask wypełniał przestrzeń, nie ujawniał jednak zamkniętych w niej przedmiotów; prawdziwy oksymoron, mroczne światło, ożywiane upiornymi kształtami i ruchami, które dostrzec można było jedynie kątem oka.

Przez korytarz przeszły trzy wysokie postacie, ciemniejsze plamy na tle czerwieni, być może ludzie, a być może coś znacznie gorszego. Kiedy pojawiły się w zasięgu naszego wzroku, ich głosy nabrały mocy, stały się wyraźniejsze. Potem znów przycichły, kiedy tajemnicze postacie zniknęły za załomem korytarza.

Mungojerrie przeszedł na drugą stronę drzwi.

Bąłem się, że zniknie w krótkiej, bezgłośnej eksplozji, zostawiając za sobą smród spalonej sierści. Jednak on stał się tylko kolejnym rozmytym kształtem, wydłużonym, zniekształconym, niepodobnym do kota, choć widać było, że ma cztery łapy, ogon i właściwy stosunek do rzeczywistości.

Blask w korytarzu znów zaczął pulsować, ciemniejszy od krwi, to znów jasnoróżowy, lecz z każdym cyklem coraz jaśniejszy. Przez korytarz i klatkę schodową niosło się niskie, złowieszcze buczenie. Kiedy dotknąłem betonowej ściany, ta wibrowała delikatnie, podobnie jak metalowe podpory w hangarze.

Nagle światło w korytarzu stało się całkiem białe. Pulsowanie ustało. Patrzyliśmy teraz na oślepiająco biały korytarz,

rozświetlony blaskiem wielkich paneli zamocowanych w suficie.

W chwili gdy światło przeskoczyło od czerwieni do bieli, poczułem nagły ucisk w uszach, jak przy zmianie ciśnienia, a klatkę schodową wypełniło ciepłe powietrze przesycone zapachem ozonu, przywodzącym na myśl letni burzowy wieczór.

Pan Mungojerrie stał w korytarzu, wpatrując się w coś po swojej prawej stronie. Teraz nie był już zdeformowanym cieniem, lecz normalnym kotem. Betonową podłogę pokrywały białe płytki, których nie było tam jeszcze przed chwilą.

Obejrzałem się za siebie, na ciemną klatkę schodową, która najwyraźniej wciąż zakotwiczona była w naszym czasie. Budynek nie wędrował więc w całości pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, tam i z powrotem, tworzył raczej mozaikę różnych rzeczywistości i czasów.

Miałem ochotę odwrócić się na pięcie, popędzić w górę schodów, wybiec z hangaru i jak najszybciej zostawić za sobą to upiorne miejsce. Jednak teraz było już za późno na odwrót. Nie było odwrotu od chwili, gdy porwano Jimmy'ego Winga i gdy zniknął Orson. Przyjaźń wymagała od nas podjęcia wyprawy poza granice znanego świata, na obszary, o których nie mieli pojęcia kartografowie minionych epok, kiedy wypisywali na mapach ostrzeżenie „Tu mieszkają potwory”.

Mrużąc oczy, wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki ciemne okulary i włożyłem. Nie miałem wyboru, musiałem zaryzykować kąpiel w zimnym, mocnym blasku jarzeniówek, nie mogłem jednak pozwolić, by porażone światłem oczy zaczęły obficie łzawić.

Kiedy weszliśmy do korytarza, wiedziałem już ponad wszelką

wątpliwość, że znaleźliśmy się w przeszłości, w czasie, gdy ta instytucja nie została jeszcze zamknięta i ograbiona ze wszystkiego, co dało się wynieść. Na ścianie wisiała tablica z rozkładem dyżurów i gablota z ogłoszeniami. Kilka jardów ode mnie stały dwa wózki na kółkach, załadowane jakimiś dziwnymi instrumentami.

Pulsujące buczenie nie ustało wraz ze zniknięciem czerwonego światła. Przypuszczałem, że jest to odgłos pracy jajowatej sali. Rozedrgany dźwięk przeszywał moje uszy, przebijał się przez czaszkę, docierał do środka mózgu.

Przed nami pojawił się rząd metalowych drzwi, zamykających dostęp do pomieszczeń po wewnętrznej stronie owalnego korytarza. Najbliższe z nich były otwarte. W małym pokoju stały dwa puste krzesła obrotowe, przed nimi zaś rozciągała się szeroka tablica kontrolna, pełna różnych przełączników i kontroltek, podobna do stołu mikserkiego, jakiego używa się w stacjach radiowych. Z jednej strony pustej tablicy stała puszcza pepsi i torba chipsów, co dowodziło, że nawet architekci zagłady naszego świata lubią od czasu do czasu coś przekąsić.

Po prawej stronie schodów, jakieś sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp w głąb korytarza, trzech mężczyźni oddalali się od nas niespiesznym krokiem, nieświadomi naszej obecności. Jeden z nich ubrany był w dżinsy i białą koszulę o podwiniętych do łokci rękawach. Drugi miał na sobie czarny garnitur, trzeci zaś spodnie w kolorze khaki i biały fartuch laboratoryjny. Szli blisko siebie, z pochylonymi głowami, jakby się nad czymś naradzali, jednak ich głosy tonęły w pulsującym buczeniu.

Z pewnością były to owe trzy niewyraźne kształty, które

przeszły przez zalany czerwonym blaskiem korytarz, tak zniekształcone i rozmazane, że nie potrafiłem wtedy określić, czy w ogóle są ludźmi.

Spojrzałem na lewo, zaniepokojony, że może stamtąd nadejść ktoś inny, zauważyć nas i podnieść alarm. Na razie jednak korytarz był pusty.

Mungojerrie wciąż patrzył na oddalającą się trójkę. Najwyraźniej nie zamierzał prowadzić nas dalej, dopóki ci ludzie nie znikną za załomem korytarza lub nie wejdą do któregoś z pomieszczeń. Owalny korytarz miał pięćset stóp długości, a nieznanymi mężczyźni musieli przejść jeszcze sto pięćdziesiąt stóp, by zniknąć nam z oczu.

Tymczasem staliśmy na środku podziemnego przejścia, doskonale widoczni ze wszystkich stron. Musieliśmy wycofać się gdzieś i pozwolić pracownikom Magicznego Pociągu spokojnie odejść. Poza tym zacząłem się martwić o stan mojej skóry, bombardowanej intensywnym blaskiem jarzeniówek.

Odwróciłem się do Sashy i gestem nakazałem jej, by wróciła do klatki schodowej.

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

Kiedy spojrzałem tam, gdzie ona, zobaczyłem drzwi blokujące wyjście z korytarza. Z wnętrza klatki schodowej nie widzieliśmy żadnych drzwi, lecz jedynie korytarz zalany czerwonym, a następnie białym światłem. Przeszliśmy tutaj bez problemu, niezatrzymywani żadną barierą. Z tej strony jednak drzwi były całkiem realne.

Podszedłem, otworzyłem je i omal nie przekroczyłem progu. Na szczęście zawahałem się, kiedy wyczułem, że z ciemnością po

drugiej stronie drzwi dzieje się coś złego.

Zsunąłem okulary z nosa i wyrząłem zza futryny, spodziewając się ujrzeć betonowe ściany i puste schody. Tymczasem przede mną rozciągało się czyste nocne niebo, ozdobione naszyjnikami gwiazd i wisiosem księżyca. Rozgwieżdzone niebo było jedyną rzeczą widoczną w miejscu klatki schodowej, jakby drzwi korytarza znajdowały się wysoko ponad atmosferą, w przestrzeni międzyplanetarnej. A może widziałem czas, w którym ziemia już nie istniała. Za progiem nie było żadnej podłogi, nic tylko pusta przestrzeń przetykana gwiazdami, przerażająca zimna otchłań.

Jak rekiny.

Zamknąłem drzwi. Zacisnąłem dłonie na zimnej kolbie karabinu, nie dlatego że chciałem go użyć, ale dlatego, że był realny, solidny i namacalny niczym kotwica w morzu zmienności.

Sasha stała tuż za mną.

Kiedy odwróciłem się i spojrzałem w jej twarz, zrozumiałem, że widziała tę samą gwiazdną panoramę. Jej szare piękne oczy były teraz ciemniejsze niż zazwyczaj.

Doogie nie zauważył niczego, bo trzymał uzi gotowe do strzału i patrzył na oddalających się mężczyzn.

Marszcząc brwi, opierając wielkie pięści na biodrach, Roosevelt przyglądał się kotu.

Bobby także nie mógł zobaczyć zdumiewającego widoku za drzwiami, wiedział jednak, że dzieje się coś niedobrego. Jego twarz była poważna jak pyszczek królika czytającego przepis na zupę z kapusty.

Jedynie Mungojerrie był zupełnie spokojny i opanowany, jakby wybrał się na wieczorną przechadzkę po ogródku, a nie na śmiertelnie niebezpieczną wyprawę.

Staralem się nie myśleć o tym, co widziałem za drzwiami, zastanawiałem się raczej, jak kot odnajdzie Orsona i dzieci, jeśli te są w terażniejszości, my zaś tkwimy w przeszłości. Zaraz jednak zrozumiałem, że skoro my możemy przenosić się od jednej rzeczywistości do drugiej, brać udział w zachodzących dokoła nas zmianach, to równie dobrze mógł robić to mój czworonożny przyjaciel i dzieci.

Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że właściwie nie cofnęliśmy się w czasie. Przeszłość i terażniejszość — a być może i przyszłość — były tu obecne jednocześnie, ściśnięte jakąś gigantyczną siłą czy polem siłowym wytwarzanym przez silniki jajowatej sali. Być może nie była to jedyna noc z przeszłości, która sączyła się do naszego czasu; może obserwowaliśmy zdarzenia z różnych dni i nocy, podczas których pracowała jajowata sala.

Wciąż widzieliśmy trzech mężczyzn, którzy oddalali się od nas niespiesznym krokiem. Przechadzali się. Spacerowali.

Rytmiczne pulsowanie elektronicznego dźwięku oddziaływało w dziwny sposób na moją psychikę. Doznałem lekkich zawrotów głowy, a korytarz — cały ten podziemny poziom — kręcił się wokół mnie jak karuzela.

Zbyt mocno ścisnąłem broń. Nieświadomie mogłem nacisnąć spust. Przesunąłem dłoń nieco wyżej.

Bolała mnie głowa. Nie była to spóźniona reakcja na uderzenia, których nie szczędził mi ojciec Tom w domu Stanwyków. To

raczej mój mózg został boleśnie poobijany ciągłymi paradoksami, skokami w czasie, bezradnymi próbami ogarnięcia tej chaotycznej rzeczywistości. Wymagało to wiedzy matematycznej i znajomości fizyki; choć jednak potrafię wyliczyć swój podatek, nie odziedziczyłem po mamie zamiłowania do nauk ścisłych. W ogólnym zarysie rozumiem zasadę dźwigni, zastosowanej w otwieraczu do butelek, wiem, co to grawitacja i dlaczego nie powinienem skakać z wysokich budynków, rozumiem też, dlaczego, waląc głową w ścianę, raczej obiję sobie czaszkę, niż uszkodzę cegły. Poza tym jednak wierzę, że świat będzie działał sam z siebie, nawet jeśli ja nie zrozumie wszystkich rządzących nim zasad. Podobne podejście prezentuję także w stosunku do elektrycznych golarek, zegarków, kuchenek mikrofalowych i wszelkich innych urządzeń mechanicznych.

Pozostawało mi więc jedynie potraktować te wydarzenia jako wynik działania nadnaturalnych sił, zaakceptować je tak jak akceptuje się zjawiska paranormalne — kwitujące krzesła, łyżeczki uderzające w ściany, drzwi zamykane przez niewidzialnych przechodniów — czy relacje o spotkaniach z duchami. Wiedziałem, że jeśli zbyt długo będę myślał o siłach zniekształcających materię czasu, o paradoksach i zmiennych rzeczywistościach, jeśli będę próbował ułożyć to w logiczną całość, z pewnością oszaleję. Tymczasem ja musiałem być spokojny. Opanowany. Dlatego cały ten budynek traktowałem po prostu jak nawiedzony dom. Jeśli mieliśmy odnaleźć przyjaciół w labiryncie tych pomieszczeń i korytarzy, a potem wrócić bezpiecznie do naszej rzeczywistości, musieliśmy pamiętać, że duchy nie mogą zrobić nam krzywdy, że są nieszkodliwe, dopóki

sami nie obdarzymy ich mocą, nie nakarmimy własnym strachem. To klasyczna teoria, znana wszystkim mediom i łowcom duchów na całym świecie. Zdaje się, że przeczytałem ją w jakimś komiksie.

Trzy duchy były już tylko o pięćdziesiąt stóp od miejsca, w którym ściana korytarza przesłoniłaby je wreszcie i pozwoliła nam ruszyć do akcji.

Zatrzymały się. Stały z pochyłymi głowami, rozmawiając o czymś, przekrzykując huk silnika.

Duch w dzinsach i białej koszuli odwrócił się do najbliższych drzwi i otworzył je.

Dwa pozostałe upiory — jeden w garniturze, drugi w fartuchu — kontynuowały spacer w głąb korytarza.

Otwierając drzwi, fantom w koszuli musiał dostrzec nas kątem oka. Odwrócił się gwałtownie w naszą stronę, jakby to on zobaczył duchy.

Zrobił kilka kroków w naszym kierunku, potem zatrzymał się jednak, dojrawszy zapewne broń w naszych rękach.

Zaczął krzyczeć. Nie rozumieliśmy poszczególnych słów, z pewnością jednak nie zapraszał nas na kawę i ciastko do podziemnej knajpki.

Nie krzyczał zresztą do nas, tylko do dwóch pozostałych duchów, z którymi rozstał się przed momentem. Te odwróciły się i wpatrywały w nas z otwartymi ustami niczym przerażeni żeglarze patrzący na upiorny okręt *Marie Celeste*, żeglujący bezgłośnie przez mgłę.

Przestraszyliśmy je bardziej niż one nas.

Upiór w garniturze najwyraźniej nie był tylko eleganckim

naukowcem czy spokojnym biurokratą, z pewnością nie był także świadkiem Jehowy roznoszącym *Strażnicę* w tym trudnym rejonie, ponieważ wyjął pistolet z kabury ukrytej pod pachą.

Przypomniałem sobie, że duchy nie mogą zrobić nam krzywdy, jeśli sami nie damy im takiej mocy — i zastanowiłem się, czy zasada ta obowiązuje także duchy z pistoletami w dłoni. Żałowałem, że nie pamiętam, w jakim to komiksie znalazłem tę złotą myśl. Jeśli podobna informacja zawarta była w *Opowieściach z krypty*, mogła okazać się prawdziwa, jeśli jednak natknąłem się na nią w kolejnym odcinku przygód Kaczora Donalda, byłem zgubiony.

Zamiast otworzyć do nas ogień, uzbrojony duch przebiegł obok swych towarzyszy i zniknął za drzwiami, które otworzył przedtem upiór w dżinsach.

Zapewne biegł do telefonu, chcąc zadzwonić po ochronę. Być może wkrótce mieliśmy paść ofiarą fantomów w mundurach ochrony, zginąć od ich widmowych kul i skończyć w nierzeczywistej kostnicy.

Korytarz wokół nas zmarszczył się, rzeczywistość ulegała kolejnej przemianie.

Białe płytki na podłodze zniknęły bez śladu, znów staliśmy na gołym betonie, choć nie wyczułem pod stopami żadnej zmiany. Po kilku sekundach dostrzegłem białe plamy rozsiane wzdłuż całej długości korytarza, wysepki płytek o niewyraźnych krawędziach, wsiąkających w beton, jakby były to kałuże przeszłości, które nie zdążyły jeszcze wyparować po nadejściu czasu teraźniejszego.

Pomieszczenia ciągnące się wzdłuż wewnętrznej ściany nie

miały już drzwi.

Nasze cienie chwiały się niepewnie, kiedy z sufitu zaczęły znikać błyszczące panele. Tu i ówdzie pozostały jednak na miejscu, oświetlając odległe fragmenty korytarza.

Zdjąłem okulary i schowałem je do kieszeni, patrząc jednocześnie na znikającą tablicę z rozkładem dyżurów. Gablota z ogłoszeniami nadal wisiała na swoim miejscu.

Jeden z wózków także zniknął bez śladu. Drugi ciągle stał pod ścianą, choć ułożone na nim przyrządy stały się przezroczyste.

Dwaj mężczyźni wyglądali teraz rzeczywiście jak duchy, tajemnicze postacie utkane ze zwiewnej mgiełki. Ruszyli niepewnie w naszym kierunku, potem zaczęli biec, być może dlatego, że my znikaliśmy im z oczu równie szybko jak oni nam. Przebyli zaledwie kilka jardów, nim całkiem rozplynęli się w powietrzu.

Duch w garniturze powrócił na korytarz, zawiadomiwszy ochronę o inwazji wikingów w czarnych dresach i drapieźnych kotów. Teraz jednak był już tylko ledwie dostrzegalną widmową postacią, lśniącym obłokiem w kształcie człowieka. Zniknął nam z oczu dokładnie w chwili, gdy podniósł broń do strzału.

Pulsujące buczenie było o połowę słabsze niż przed chwilą, podobnie jednak jak niektóre ze świateł i fragmenty białej podłogi nie zniknęło całkiem.

Nikt z nas nie cieszył się specjalnie z tej raptownej zmiany sytuacji. Wręcz przeciwnie, w miarę jak przeszłość ustępowała miejsca teraźniejszości, wszyscy odczuwali coraz większy niepokój.

Pan Mungojerrie miał rację; to miejsce zaczynało się rozpadać.

Efekt szczątkowy Magicznego Pociągu nabierał mocy, napędzał sam siebie, sięgał poza jajowatą salę, ogarniał cały budynek. Nie wiedzieliśmy, jaki będzie ostateczny rezultat tego procesu, ale przypuszczaliśmy, że doprowadzi do nieuchronnej katastrofy.

Słyszałem tykanie zegara. Nie był to jednak zegar ukryty w brzuchu nienasyconego krokodyla kapitana Hooka, lecz wewnętrzny zegar mojego instynktu, który podpowiadał, że do ostatecznej destrukcji jest coraz bliżej.

Kiedy duchy zniknęły w otchłani czasu, kot ruszył truchtem w stronę szybu windy.

— Na dół — przetłumaczył Roosevelt. — Mungojerrie mówi, że musimy zejść jeszcze niżej.

— Tam już nic nie ma — zaprotestowałem, kiedy zatrzymaliśmy się przy windzie. — To najniższy poziom.

Kot spojrzał na mnie swymi zielonymi oczami, a Roosevelt powiedział:

— Nie, są jeszcze trzy poziomy. Musiały być jeszcze lepiej strzeżone niż te, więc zostały ukryte.

Podczas swoich nocnych wypraw w to miejsce nigdy nie zaglądałem do szybu windy, by sprawdzić, czy pod spodem znajdują się jeszcze inne poziomy. Zakładałem, że skoro schody kończą się na tej głębokości, niżej nic już nie ma.

— Na te niższe poziomy można też dostać się... z innych budynków na terenie bazy, podziemnym tunelem — mówił dalej Roosevelt. — Albo windą.

Tu pojawił się pewien problem, gdyż szyb windy nie był pusty. Nie mogliśmy po prostu zejść po żelaznych szczeblach umocowanych w ścianie szybu. Podobnie jak fragmenty białej

podłogi, jak niektóre z paneli pod sufitem czy cichszy, lecz wciąż wyraźny pomruk przenikający ściany budynku, winda wciąż pozostawała pod kontrolą przeszłości. Para lśniących stalowych drzwi zamykała dostęp do szybu, a za nimi najprawdopodobniej kryła się kabina.

— Zabiją nas, jeśli będziemy tu za długo marudzić — powiedział Bobby, sięgając do przycisku.

— Czekaj! — zawołałem, chwytając go za rękę.

— Bobster ma rację, Chris — zwrócił się do mnie Doogie. — Czasami szczęście sprzyja wariatom.

Pokręciłem głową.

— A jeśli wsiądziemy do windy i ta cholerna kabina po prostu zniknie, jak płytki na podłodze?

— To spadniemy na dno szybu — odgadła Sasha, jednak wcale nie wydawała się przerażona tą perspektywą.

— Połamamy nogi — przewidywał Doogie. — Niekoniecznie wszyscy. To pewnie jakieś czterdzieści stóp. Wysoko, ale można przeżyć.

Bobby, wielbiciel kreskówek ze Strusiem Pędziwiatrem, zaproponował:

— Bracie, moglibyśmy zrobić to samo co kojot, wtedy gdy...

— Musimy się spieszyć — przerwał nam Roosevelt, a Mungojerrie drapał niecierpliwie w stalowe drzwi, które wciąż pozostawały twarde i całkiem realne.

Bobby nacisnął guzik.

Kabina ruszyła z jękiem w naszym kierunku. Ogłuszony nieustającym buczeniem, nie mogłem określić, czy winda zjeżdża, czy też wyjeżdża.

Korytarz znów się zmarszczył.

Pod naszymi stopami ponownie pojawiły się płytki.

Drzwi windy otwierały się powoli, bardzo powoli.

Na suficie znów zapłonęły ostre jarzeniówki. Musiałem mrużyć oczy, chroniąc je przed ostrym blaskiem.

Kabinę wypełniał czerwony blask, co oznaczało prawdopodobnie, że jej wnętrze znajduje się w innym punkcie czasoprzestrzeni niż my. W środku stali pasażerowie, wielu pasażerów.

Odsunęliśmy się szybko na bok, przekonani, że wystraszeni ludzie z kabiny rzucą się do ucieczki lub nas zaatakują.

Wibrujący pomruk znów przybrał na sile.

Widziałem zniekształcone, rozmyte postacie we wnętrzu kabiny, ale nie potrafiłem określić, kim lub czym są.

Usłyszałem wystrzał, potem następny.

Strzelano do nas nie z windy, lecz z korytarza, gdzie przed chwilą mierzył do nas sukinsyn w garniturze.

Bobby został trafiony. Coś opryskało mi twarz. Bobby zachwiał się, broń wypadła mu z ręki. Osuwał się powoli po ścianie, a ja zrozumiałem, że gorące krople na mojej twarzy to krew. Krew Bobby'ego. Jezu! Błyskawicznie obróciłem się na pięcie i wystrzeliłem z karabinu, a następnie od razu załadowałem kolejny pocisk.

Zamiast faceta w garniturze ujrzałem jednak dwóch strażników. Mieli na sobie mundury, ale nie wojskowe ani policyjne. To musiała być wewnętrzna ochrona projektu. Policjanci Magicznego Pociągu. Stali zbyt daleko, bym mógł ich skutecznie razić.

Obok nas zmaterializował się kolejny fragment przeszłości. W tym samym momencie Bobby osunął się na podłogę, a Doogie nacisnął spust uzi. Ogień pistoletu maszynowego zakończył sprawę definitywnie.

Wstrząśnięty odwróciłem wzrok od zmasakrowanych ciał strażników.

Drzwi kabiny zamknęły się ponownie, nim ktokolwiek wysiadł z jej wnętrza.

Odgłos wystrzałów na pewno zaalarmował już kolejnych strażników.

Bobby leżał na plecach. Jego krew była na ścianie i na białych ceramicznych płytkach. Za dużo krwi.

Sasha pochyliła się nad nim z lewej strony. Ja klęknąłem przy prawym boku.

— Jedna kula — powiedziała Sasha.

— Walnęło mnie — szepnął Bobby, jakby mówił o fali, która uderzyła weń z boku.

— Trzymaj się — prosiłem.

— Całkiem mnie zakłajstrowało — powiedział i zakasłał.

— Nie całkiem. — Kręciłem głową przerażony bardziej niż kiedykolwiek. Nie mogłem jednak okazywać strachu przy Bobbym, musiałem podtrzymywać go na duchu.

Sasha rozpięła jego hawajską koszulę i rozdarła podziurawiony sweter, by odsłonić ranę w lewym ramieniu. Otwór po kuli był zbyt nisko, zbyt na prawo od ramienia, właściwie należało powiedzieć uczciwie, że rana znajdowała się w piersiach, a nie w ramieniu, ale do tego nie chciałem się przyznać nawet przed samym sobą.

— Dostałeś w ramię — powiedziałem Bobby’emu.

Elektroniczny pomruk przycichł nieco, białe płytki pod ciałem Bobby’ego zniknęły, zabierając ze sobą plamy krwi, niektóre z paneli nad naszymi głowami zgasły i rozplynęły się w powietrzu. Czas przeszedł znów ustępował teraźniejszości, wchodziliśmy w następny cykl, do następnego spotkania z uzbrojonymi strażnikami została nam minuta lub dwie.

Z rany sączyła się gęsta ciemnoczerwona krew. Nie mogliśmy zatamować krwawienia tego typu. Nie pomógłby tu ani zwykły opatrunek czy kompres, nie pomogłaby woda utleniona, alkohol, neosporin czy gaza — nawet gdybyśmy mieli ze sobą jakikolwiek z tych środków.

— Kiepsko — mruknął Bobby.

Ból zmył opaleniznę z jego twarzy, skóra stała się nie blada, lecz chorobliwie żółta. Wyglądał źle.

Na suficie pozostało mniej paneli niż podczas poprzedniego cyklu, wibrujący pomruk także był cichszy.

Bałem się, że przeszłość ustąpi całkowicie teraźniejszości, zostawiając nam pusty szyb windy. Nie byłem pewien, czy zdołamy wynieść Bobby’ego po schodach, nie czyniąc mu przy tym jeszcze większej krzywdy.

Podnosząc się z klęczek, spojrzałem na Doogiego. Zacisnąłem pięści ze złości, widząc jego ponurą twarz — Bobby jeszcze nie umierał, do diabła!

Mungojerrie znów drapał w drzwi windy.

Roosevelt albo wykonywał polecenia kota, albo sam doszedł do tych samych wniosków co ja, bo raz za razem naciskał guzik przyzywający windę.

Na tablicy umieszczonej nad wejściem do windy zaznaczono tylko cztery poziomy — G, P-1, P-2 i P-3 — choć jak już wiedzieliśmy, było ich siedem. Kabina znajdowała się teraz na poziomie G, co oznaczało prawdopodobnie „Grunt”, czyli hangar stojący nad tym podziemnym labiryntem.

— Szybciej, szybciej — mruczał Roosevelt.

Bobby próbował podnieść głowę, jednak Sasha delikatnie przytrzymała go w miejscu, kładąc mu dłoń na czole.

Mógł doznać szoku. Właściwie jego głowa powinna znajdować się niżej niż reszta ciała, jednak w tej chwili nie mieliśmy żadnych środków, by ułożyć go we właściwej pozycji. Szok zabija równie skutecznie jak pociski. Wargi Bobby’ego były lekko sine. Czyż nie jest to pierwsza oznaka szoku?

Kabina przejechała na P-1, pierwszy poziom pod ziemią. My byliśmy na P-3.

Mungojerrie patrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ostrzegalem cię”.

— Koty gównem wiedzą — parsknąłem ze złością.

Ku memu zaskoczeniu Bobby się roześmiał. Cicho i słabo, ale śmiał się. Czy ktoś, kto ma jeszcze siłę śmiać się, może umrzeć lub doznać szoku? Na pewno wszystko dobrze się skończy.

Kabina osiągnęła P-2, poziom nad nami.

Przygotowałem broń do strzału, na wypadek gdyby w kabinie stali pasażerowie, jak poprzednim razem.

Pulsujący warkot silnika z jajowatej sali — jeśli rzeczywiście to ona była źródłem owego dźwięku — znów przybierał na sile.

— Lepiej się pospieszmy — powiedział Doogie, bo gdybyśmy trafili na nieodpowiedni moment w przeszłości, czekałaby tam

na nas cała armia uzbrojonych strażników.

Kabina zatrzymała się z jękiem na P-3, na naszym poziomie.

Korytarz znów stawał się coraz jaśniejszy.

Gdy drzwi kabiny zaczęły się powoli rozsuwać, byłem pewien, że zobaczę za nimi mętne czerwone światło. Nagle przestraszyłem się, że zamiast tego stanę przed rozgwieżdżonym niebem, które widziałem już raz za drzwiami korytarza.

Kabina była tylko zwykłą kabiną. Pustą.

— Szybko! — poganiał nas Doogie.

Roosevelt i Sasha dźwignęli już Bobby'ego z podłogi, nieśli go między sobą, starając się nie urazić lewego ramienia.

Przytrzymałem drzwi windy. Twarz Bobby'ego wykrzywiało cierpienie. Jeśli miał ochotę krzyczeć z bólu, zdusił to w sobie i powiedział tylko:

— *Carpe cerevisi.*

— Piwo później — obiecałem.

— Wolałbym teraz — wychrypiał.

Zsuwając z ramion wielki plecak, Doogie wszedł do windy, która mogła pomieścić swobodnie co najmniej dwanaście osób. Kabina zatrzęsła się pod jego ciężarem. Wszyscy patrzyliśmy pod nogi, starając się nie nastąpić na kota.

— Do góry — powiedziałem.

— Na dół — sprzeciwił się Bobby.

Jednak na tablicy w kabinie widniały tylko cztery przyciski, oznaczające poziomy nad nami. Wąska szczelina na kartę magnetyczną świadczyła o tym, że osoba mająca odpowiednie uprawnienia może przeprogramować istniejące już kontrolki i zjechać niżej. My nie dysponowaliśmy taką czarodziejską kartą.

— Nie możemy zjechać jeszcze niżej — powiedziałem.

— Zawsze jest jakiś sposób — mruknął Doogie, grzebiąc w plecaku.

Korytarz był zalany światłem. Huk maszyny osiągnął już poziom z poprzedniego cyklu.

Drzwi kabiny zamknęły się wreszcie, jednak my nie ruszyliśmy z miejsca. Kiedy sięgnąłem do guzika oznaczonego literą G, Doogie uderzył mnie po dłoni, jakbym był dzieckiem, które próbuje ukraść ciastko ze stołu.

— To szaleństwo — powiedziałem.

— Oczywiście — zgodził się ze mną Bobby.

Stał oparty plecami o ścianę kabiny, podtrzymywany przez Sashę i Roosevelta. Jego twarz była teraz szara.

— Bracie, nie musisz być bohaterem — powiedziałem.

— Owszem, muszę.

— Nie, nie musisz!

— Kahuna.

— Co?

— Skoro jestem Kahuną, to nie mogę być mięczakiem.

— Nie jesteś Kahuną.

— Królem surferów — powiedział. Znów zakasłał, ale tym razem na jego ustach pojawiła się krwawa piana.

— Jedziemy na górę i zabieramy go stąd, natychmiast — zwróciłem się do Sashy zrozpaczony.

Za moimi plecami rozległ się głośny trzask. Doogie zerwał tablicę kontrolną i odrzucił ją na bok, odsłaniając płataninę kabli.

— Które piętro? — zapytał.

— Mungojerrie mówi, żeby jechać na sam dół — odparł

Roosevelt.

— Nie wiemy nawet, czy Orson i dzieci żyją! — zaprotestowałem.

— Żyją — zapewnił mnie Roosevelt.

— Nie wiemy tego.

— Wiemy.

Znów odwróciłem się do Sashy, szukając u niej poparcia.

— Czy ty jesteś równie szalona jak oni?

Sasha milczała, ale smutek i współczucie w jej oczach były tak przejmujące, że musiałem odwrócić wzrok. Wiedziała, że Bobby to dla mnie ktoś więcej niż przyjaciel, że choć nie łączą nas więzy krwi, jesteśmy braćmi. Wiedziała, że wraz ze śmiercią Bobby'ego umrze także część mojej duszy, powstanie pustka, której nikt i nic nie będzie w stanie zapełnić. Wiedziała, jak bardzo cierpię. Zrobiłaby wszystko dla ratowania Bobby'ego, ale nie mogła zrobić nic. Jej bezradność była odbiciem mojej bezradności. Nie mogłem na to patrzeć.

Pochyliłem głowę, a moje spojrzenie trafiło na kota. Przez moment miałem ochotę nastąpić na niego, rozgnieść na miazgę, jakby to on był odpowiedzialny za to, co się tu stało. Przed chwilą spytałem Sashę, czy jest równie szalona jak pozostali; w rzeczywistości, to ja traciłem zmysły, nie mogąc nawet w myślach pogodzić się ze śmiercią Bobby'ego.

Kabina drgnęła, zakołysała się i ruszyła w dół.

Bobby jęknął.

— Bobby, proszę — szepnąłem.

— Kahuna — przypomniał mi.

— Nie jesteś Kahuną, jesteś kak.

— Pia myśli, że jestem — odparł słabym, drżącym głosem.

— Pia ma sieczkę w głowie.

— Nie obrażaj mojej kobiety, bracie.

Zatrzymaliśmy się na siódmym, ostatnim poziomie.

Drzwi kabiny rozsunęły się, odsłaniając całkowitą ciemność. Nie był to jednak widok na nocne niebo, lecz na pozbawione światła wnętrze.

Prowadzony światłem latarki Roosevelta, wyszedłem wraz z pozostałymi do zimnego, wilgotnego korytarza.

Tu na dole przenikliwy warkot silnika był o wiele słabszy, prawie niesłyszalny.

Położyliśmy Bobby'ego na plecach, przy ścianie. Wcześniej rozesłaliśmy na podłodze kurtkę Sashy i moją, by choć trochę odizolować Bobby'ego od zimnego betonu.

Sasha wróciła do windy i przez chwilę grzebała w kablach programatora, unieruchamiając windę, by ta czekała na nasz powrót — oczywiście przy założeniu, że kabina nie powróci w całości do przeszłości. Wtedy musielibyśmy wspinać się po szczeblach umocowanych w ścianie pustego szybu.

Bobby nie mógł się wspinać. A my nie mogliśmy go wynieść na plecach, nie w takim stanie.

Nie myśl o tym. Duchy nie mogą zrobić ci krzywdy, jeśli się ich nie boisz. Nie przydarzy ci się nic złego, jeśli nie będziesz o tym myślał.

Znów szukałem w dzieciństwie schronienia przed złem i cierpieniem.

Doogie wysypał na podłogę zawartość plecaka. Z pomocą Roosevelta złożył go w kostkę i wsunął pod biodra Bobby'ego,

unosząc odrobinę jego ciało.

Kiedy położyłem obok niego latarkę, Bobby powiedział:

— Będę bezpieczniejszy w ciemności, bracie. Światło może tu kogoś ściągnąć.

— Wyłącz ją, jeśli usłyszysz coś podejrzanego.

— Ty ją wyłącz — odparł. — Ja nie mogę.

Kiedy wziąłem go za rękę, byłem przerażony. Nie miał nawet siły oddać mojego uścisku, nie był w stanie utrzymać latarki w dłoni.

Chwyciłem jego karabin. I tak nie mógłby z niego skorzystać.

Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w sytuacji, kiedy naprawdę nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. Czułem się tak, jakbym miał usta zapchane ziemią, jakbym leżał we własnym grobie.

— Proszę — powiedział Doogie, wręczając mi parę wielkich gogli i dziwną latarkę. — Noktowizor na podczerwień. Nadwyżka z izraelskich zapasów wojskowych. I latarka na podczerwień.

— Po co nam to?

— Lepiej, żeby nie dowiedzieli się za wcześnie, że tu jesteśmy.

— Kto?

— Ci, co porwali dzieci i Orsona.

Wpatrywałem się w Doogiego z otwartymi ustami.

Szczękając zębami, Bobby wyszeptał:

— Ten gość wygrywa też turnieje tańca.

Głuchy pomruk przybrał nagle na sile, jakby nad naszymi głowami przejechał pociąg towarowy. Podłoga zatrzęsała się pod nami. Stopniowo huk cichł, drżenie słabło, wreszcie całkiem ustało.

— Lepiej już chodźmy — powiedziała Sasha.

Sasha, Doogie i Sassman założyli gogle, choć na razie trzymali je na czole.

Bobby zamknął oczy.

— Hej! — krzyknąłem przerażony.

— Hej — odparł słabo, unosząc powieki i spoglądając na mnie.

— Słuchaj, jeśli mi tu teraz umrzesz, to zostaniesz na wieki królem dupków.

Uśmiechnął się.

— Nie musisz się martwić, bracie. Nie chciałbym odbierać ci tego tytułu.

— Niedługo wrócimy.

— Będę tu na was czekał — zapewnił mnie szeptem. — Obiecałeś mi piwo.

Jego oczy były takie łagodne.

Tak wiele zostało do powiedzenia. A jednak nie mogłem wykrztusić ani słowa. Nawet gdybyśmy mieli mnóstwo czasu, nie potrafiłbym chyba opisać tego, co działo się w moim sercu.

Wyłączyłem latarkę, ale zostawiłem ją u boku Bobby'ego.

Ciemność jest zwykle moim przyjacielem, ale w tej chwili nienawidziłem tego głodnego, zimnego i chciwego mroku.

Ogromne gogle zaopatrzone były w szeroki gumowy pasek. Dłonie drżały mi tak mocno, że upłynęło kilkanaście sekund, nim wreszcie zdołałem włożyć gogle i zsunąć je na oczy.

Doogie, Roosevelt i Sasha włączyli już latarki na podczerwień. Bez gogli nie widziałem tego niesamowitego światła, jednak teraz korytarz jawił mi się jako układanka płaszczyzn o różnych odcieniach zieleni.

Włączyłem swoją latarkę i skierowałem promień na Bobby'ego Hallowaya.

Ułożony na podłodze, nieruchomy, oblany zieloną poświatą już mógł uchodzić za ducha.

— W tym świetle twoja koszula to prawdziwe dzieło sztuki — powiedziałem.

— Naprawdę?

— Bez dwóch zdań.

Nad naszymi głowami znów rozległ się rytmiczny huk, głośniejszy niż poprzednio. Betonowa struktura budynku zadrżała niebezpiecznie.

Kot, który nie potrzebował żadnych gogli, poprowadził nas w głąb korytarza. Szedłem za Sashą, Doogiem i Rooseveltem, którzy przypominali teraz trójkę duchów przemierzających opuszczone katakumby.

Najtrudniejszą rzeczą, jakiej musiałem dokonać w swym życiu — trudniejszą od udziału w pogrzebie matki, trudniejszą od czuwania przy umierającym ojcu — było pozostawienie Bobby'ego w samotności, w pustym, zimnym korytarzu.

25

Korytarz prowadzący do windy zamieniał się w okrągły tunel średnicy dziesięciu stóp. Przez jakieś pięćdziesiąt stóp opadał łagodnie, by potem znów wrócić do poziomu. Teraz jednak nie był już prosty, lecz wił się jak serpentyna, zmieniał niemal za każdym zakrętem, zaskakiwał nas coraz to dziwniejszymi urządzeniami i wystrojem.

Ściany pierwszego odcinka tunelu wykonano ze zwykłego, nieosłoniętego betonu, później jednak pojawiło się na nich metalowe poszycie. Nawet w niezwykłym świetle podczerwonym dostrzegalem dość różnic w strukturze poszczególnych płaszczyzn, by domyślić się, że od czasu do czasu zmienia się typ metalu użytego do pokrycia ścian. Gdybym ściągnął gogle i zapalił normalną latarkę, ujrzałbym zapewne nie tylko stal, ale również miedź, mosiądz i całą mozaikę przeróżnych stopów, których nie potrafiłbym nazwać bez krótkiego kursu materiałoznawstwa.

Najszerze fragmenty tunelu miały osiem stóp średnicy, inne jednak były nawet o połowę mniejsze — w tych miejscach musieliśmy się czołgać lub iść na czworakach. W ścianach tych cylindrycznych korytarzy znajdowały się niezliczone, okrągłe

otwory o różnej średnicy; od dwóch cali do dwóch stóp. Próbowałem zaglądać do ich wnętrza, przyświecając sobie latarką na podczerwień, nie zobaczyłem jednak nic ponad to, co ujrzałbym w środku rury czy lufy karabinu. Być może wędrowaliśmy właśnie po ogromnym i nadzwyczaj skomplikowanym agregacie chłodniczym, a może trafiliśmy do systemu kanalizacji, połączonego z pałacami wszystkich bogów starożytnego świata.

Bez wątpienia ten gigantyczny labirynt był jakąś instalacją, przez którą płynął niegdyś gaz lub ciecz. Mijaliśmy liczne dopływy, w których osadzono turbiny o szerokich łopatach, poruszanych zapewne przepływającą tędy substancją. Przy rozgałęzieniach napotykaliliśmy wielkie, elektrycznie sterowane zawory, ich zadaniem było zamykanie poszczególnych dopływów, ograniczanie ilości przemieszczanego gazu czy cieczy, czy też kierowanie ich w inne miejsca. Wszystkie zawory były teraz otwarte, obawiałem się jednak, że lada moment któryś z nich zamknie się z trzaskiem i uwięzi nas w podziemnym labiryncie.

Ogromna instalacja nie została ograbiona z metalowych elementów jak inne poziomy budynku. Ponieważ nie dostrzegłem tu żadnych źródeł światła, zakładałem, że pracownicy obsługujący system nosili lampy ze sobą.

Od czasu do czasu owiewał nas delikatny przeciąg, jednak w większości pustych tuneli powietrze stało nieruchomo. Dwukrotnie poczułem dym z palonego drewna, który przytłumił na moment dominujący tu zapach jodyny, a właściwie przypominający tylko jodynę. Ten dziwny aromat pozostawiał na

języku gorzki posmak, a po jakimś czasie delikatnie szczypał w nozdrza.

Stukot kół pociągu to przybierał na sile, to cichł, jednak z każdym nawrotem trwał coraz dłużej. Przy każdym kolejnym cyklu wzbudzał drgania tak potężne, że obawiałem się o całość betonowych stropów i ścian, które mogły pogrzebać nas tutaj niczym górników w zniszczonej kopalni. Od czasu do czasu po tunelach niósł się inny, wyższy i bardziej przerażający dźwięk, przeszywający pisk, którego źródłem mogła być tylko maszyna dążąca ku samodestrukcji albo jakieś nieznanne podziemne stworzenie, jakiego nie oglądał jeszcze żaden żywy człowiek — miałem nadzieję, że ja nie będę pierwszy.

Walczyłem z kolejnymi nawrotami klaustrofobii, zastanawiając się, czy jestem jeszcze w szóstym kręgu piekieł czy już w siódmym. Ale czy siódmy krąg to nie Jezioro Wrzącej Krwi? Czy też jezioro było dopiero po Ognistej Pustyni? Ani jezioro krwi, ani płonące piaski nie mogły być zielone, a wszędzie dokoła widziałem tylko różne odcienie zieleni. Tak czy inaczej, ostatni poziom piekła nie mógł być już daleko, wystarczyło tylko minąć małą restaurację, w której podaje się wyłącznie pająki i skorpiony, i zakręcić za sklepem z męską odzieżą, gdzie można dostać spodnie z drutu kolczastego i buty wykładane ostrymi żyletkami. A może to wcale nie było piekło, tylko brzuch wieloryba?

Pomyślałem, że chyba zaczynam tracić rozum, lecz zdążyłem ocknąć się na dobre, nim osiągnęliśmy cel wędrówki.

Straciłem poczucie czasu i byłem pewien, że wędrujemy po podziemiach przez całą wieczność, żyjemy według zegara

z czyścica, na którym wskazówki nigdy nie posuwają się do przodu. Kilka dni później Sasha twierdziła, że spędziliśmy w tunelu nie więcej niż piętnaście minut. Sasha nigdy nie kłamie. Jednak gdyby powiedziała mi to samo wtedy, uznałbym, że znajdujemy się w dzielnicy piekła przeznaczonej dla patologicznych kłamców.

Ostatni fragment tunelu — który miał zaprowadzić nas do porywaczy i ich ofiar — był dość obszerny. Kiedy weszliśmy do niego, odkryliśmy ze zdumieniem, że jeden z poszukiwanych przez nas psycholi urządził sobie tu galerię, wystawę swych zboczonych dokonań. Do metalowej ściany przyklejono taśmą bezbarwną wycinki z gazet; w podczerwieni nie mogliśmy odczytać drobnego druku, jednak tytuły, podtytuły i niektóre ze zdjęć były dość wyraźne.

Przeglądaliśmy pobieżnie kolejne artykuły, starając się szybko ogarnąć ich treść, zrozumieć, dlaczego znalazły się w tym miejscu.

Pierwszy wycinek pochodził z „Moonlight Bay Gazette”, wydanej osiemnastego lipca czterdzieści cztery lata temu. Wtedy dziennik nie należał jeszcze do rodziców Bobby’ego, lecz do jego dziadka. Nagłówek oznajmiał: „CHŁOPIEC PRYZNAJE SIĘ DO ZAMORDOWANIA RODZICÓW”, w podtytule zaś donoszono, że „Dwunastolatek nie może być sądzony za zabójstwo”.

Artykuły wycięte z innych wydań gazety, pochodzących jednakże z tego samego roku, opisywały następstwa podwójnego zabójstwa, którego sprawcą był chłopiec — John Joseph Randolph. Ostatecznie został osadzony w zakładzie poprawczym, w północnej części stanu, gdzie miał przebywać aż do osiągnięcia

pełnoletności. Wtedy biegli mieli go powtórnie zbadać i orzec, czy jest zdrowy na ciele i umyśle. Gdyby uznali go za psychopatę, zostałby przeniesiony do szpitala dla psychicznie chorych.

Trzy zdjęcia młodego Johna ukazywały wysokiego jak na swój wiek blondyna o bladych oczach, szczupłego, lecz atletycznie zbudowanego. Na wszystkich trzech portretach, które wykonane zostały z pewnością przed tragicznymi wydarzeniami, chłopiec uśmiechał się czarująco.

Tamtej lipcowej nocy John strzelił swemu ojcu w głowę. Pięć razy. Potem zabił matkę siekierą.

Jego imiona i nazwisko, John Joseph Randolph, wydawały mi się niepokojąco znajome, nie mogłem jednak przypomnieć sobie dlaczego.

W podtytule jednego z artykułów podane zostało nazwisko policjanta, który dokonał aresztowania zabójcy: Louis Wing. Teść Lilly. Dziadek Jimmy'ego. Obecnie pogrążony w śpiączce po trzecim wylewie.

„Louis Wing będzie moim sługą w piekle”.

Z pewnością Jimmy nie został porwany dlatego, że w jego krwi odnaleziono czynnik chroniący go przed działaniem retrowirusa. Motywem była zwykła zemsta.

— Spójrzcie tutaj — szepnęła Sasha, wskazując na inny wycinek. W tytule wymieniano nazwisko przewodniczącego składu sędziowskiego: George Dulcinea. Pradziadek Wendy. Od piętnastu lat w grobie.

„George Dulcinea będzie moim sługą w piekle”.

Bez wątpienia Del Stuart lub ktoś z jego rodziny wszedł kiedyś w drogę Johnowi Josephowi Randolphowi. Gdybym wiedział,

w jakich okolicznościach doszło do tego spotkania, wiedziałbym też, dlaczego porwano bliźniaki Stuartów.

John Joseph Randolph. Dziwnie znajome nazwisko wciąż nie dawało mi spokoju. Nie przestając myśleć o tym, skąd mogę je pamiętać, szedłem za Sashą i pozostałymi wzdłuż upiornej galerii.

Następny artykuł opublikowany został osiem lat później i dotyczył okrutnego morderstwa, jakiego dokonano na szesnastoletniej dziewczynie na przedmieściach San Francisco. Jak napisano w podtytule, policja nie wiedziała, gdzie szukać zabójcy.

Pod artykułem zamieszczono zdjęcie zamordowanej dziewczynki. Ktoś napisał na jej twarzy wielkimi literami MOJA.

Pomyślałem, że jeśli biegli uznali osiemnastoletniego Johna Josepha Randolpha za zdrowego, to ten wyszedł wtedy na wolność, pożegnany serdecznym uściskiem dłoni, z kieszenią pełną pieniędzy.

Kolejnych trzydzieści pięć lat udokumentowanych zostało przez trzydzieści pięć artykułów. Wszystkie opisywały okrutne morderstwa, dokonane przez nieznaną sprawcę lub sprawcę. Trzydzieści dwa miały miejsce w Kalifornii — od San Diego i La Jolla do Sacramento i Yucaipa; pozostałe popełnione zostały w Arizonie, Nevadzie i Kolorado.

Ofiary — na wszystkich zdjęciach widniał ten sam napis „Mój” lub „Moja” — nie tworzyły jakiejś określonej grupy, nie łączyły ich żadne wspólne cechy. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, ludzie młodzi i starzy, czarni, biali, żółci i Latynosi, wysocy i niscy. Jeśli wszystkie zginęły z rąk tego samego człowieka i jeśli

człowiekiem tym był John Joseph Randolph, to nasz Johnny najwyraźniej nie popierał żadnego rodzaju dyskryminacji.

Z pobieżnej lektury tytułów wywnioskowałem, że wszystkie morderstwa łączyły ze sobą tylko dwie cechy. Po pierwsze, nieopisane okrucieństwo zabójcy, który choć posługiwał się różnymi narzędziami zbrodni, zawsze był równie bezwzględny — w nagłówkach używano słów „brutalny”, „szokujący”, „bestialski”, „sadyistyczny”. Po drugie, żadna z ofiar przed śmiercią nie była molestowana seksualnie; Johnny lubił tylko zabijać i dręczyć.

Na każdy rok kalendarzowy przypadało jedno zabójstwo. Kiedy John Joseph zabierał się do corocznego morderstwa, nie próbował się ograniczać, spalał cały zapas energii, wyrzucał z siebie nagromadzone gorycz i złość. Niemniej jednak, jak na seryjnego zabójcę o takim dorobku, te trzysta sześćdziesiąt cztery dni ścisłego postu przypadające na jeden wieczór morderczego szaleństwa były wielkim bezprecedensowym osiągnięciem, nieodnotowanym dotąd w annałach socjopatycznych zbrodni. Co robił pomiędzy poszczególnymi zbrodniami? Gdzie wyładowywał swoją nieokiełznaną energię?

W ciągu dwóch minut, które poświęciłem lekturze zapisków z pamiętnika Johna, pozbyłem się całkowicie klaustrofobicznego strachu, jego miejsce zaś zajęła głęboka, nieopisana groza. Przytłumiony, lecz nadal całkiem wyraźny pomruk maszyny w połączeniu z przeraźliwym piskiem, który przenikał od czasu do czasu przez ściany tunelu, skutecznie tłumił odgłos naszych kroków — jednak równie dobrze mógł maskować kroki skradającego się mordercy.

To właśnie ja szedłem na końcu naszej procesji i za każdym razem, gdy oglądałem się przez ramię — średnio co jakieś dziesięć sekund — byłem pewien, że zobaczę Johna Josepha Randolpha, który zamierza się do ciosu, pełznąc po podłodze niczym wąż albo sunąc po suficie na swych pajęczych łapach.

Przez całe życie był brutalnym zabójcą. Czy teraz się przemieniał? Czy właśnie dlatego porywał dzieci i sprowadzał je w to dziwne miejsce? Czy też jedynym motywem była zemsta na rodzinach tych, którzy udowodnili mu kiedyś morderstwo i postawili go przed sądem? Jeśli tak łagodny i dobry człowiek jak ojciec Tom upadł tak nisko, dał ponieść się szaleństwu i dzikim instyktom, to do czego mógł posunąć się John Joseph Randolph? W co jeszcze mógł się przemienić, skoro już był bestią w ludzkiej skórze?

Teraz rozumiem, że prowokowałem wówczas swoją wyobraźnię, by poniosła mnie dalej niż zazwyczaj, bo dopóki mój umysł wypełniony był przerażającymi obrazami potwornego Johna Josepha, dopóty nie dręczył mnie wspomnieniem Bobby'ego Hollowaya, który leżał samotny i bezradny w pustym korytarzu, wykrwawiając się na śmierć.

Idąc śladem Sashy, Doogiego i Roosevelta, oświetlałem niezwykłą latarką ostatnią porcję wycinków i odczytywałem kolejne tytuły.

Dwa lata temu częstotliwość zabójstw wzrosła. Sądząc po relacjach prezentowanych na tej ścianie, dochodziło do nich regularnie co trzy miesiące. Teraz jednak nie ginęły już pojedyncze ofiary — nagłówki krzyczały o sensacyjnych masowych morderstwach; od trzech do sześciu osób naraz.

Może właśnie wtedy Johnny postanowił znaleźć sobie partnera i zaprzyjaźnił się z owym czarującym, młodym człowiekiem, który chciał mi zgnieść czaszkę w podziemiach magazynu. Gdzie spotykają się obaj zabójcy? Raczej nie w kościele. Jak dzielą między siebie zadania? A może pracują na zmianę?

Zapewne korzystając z pomocy partnera, Johnny znacznie poszerzył obszar swojej działalności; artykuły opisywały morderstwa popełniane aż w Connecticut i w słonecznej Georgii, na Florydzie i w Luizjanie, w obu Dakotach. Prawdziwy obieżyświat.

Johnny zmienił też broń. Nie używał już młotków, żelaznych rurek, noży, sztuców do mięsa, kilofów, pił łańcuchowych czy wiertarek. Teraz preferował ogień.

Zdecydował się także na jedną ściśle określoną grupę, spośród której wybierał swoje ofiary. Od dwóch lat mordował tylko dzieci.

Czy wszystkie były potomkami ludzi, którzy kiedyś ośmielili się mu sprzeciwić? A może do tej pory robił to tylko dla czystej perwersyjnej przyjemności?

Teraz bardziej niż dotychczas bałem się o czwórkę dzieci, które wpadły w łapy Johna Josepha Randolpha. Pocieszałem się jedynie myślą, że zgodnie z tym, co opisywały artykuły z demonicznej podziemnej galerii, Johnny palił wszystkie dzieci naraz, jakby składał w ten sposób ofiarę jakiemuś krwiożerczemu bogu. Dlatego też, jeśli choć jedno z porwanej czwórki dzieci wciąż żyło, prawdopodobnie żyły także i pozostałe.

Do tej pory zakładaliśmy, że porwanie Jimmy'ego Winga i jego rówieśników powiązane było z działaniem retrowirusa

i wydarzeniami z Wyvern. Jednak nie całe zło tego świata jest wynikiem prac mojej mamy. John Joseph Randolph już od wielu lat pracował na swój apartament w piekle i być może to, co powiedziałem Bobby'emu ostatniej nocy, było prawdą: Randolph mógł uwięzić tu dzieci tylko dlatego, że spodobała mu się złowieszcza aura tego miejsca, demoniczna architektura zagłady.

Dwa ostatnie eksponaty podziemnej galerii podważyły jednak moją teorię.

Pierwszym z nich była kartka papieru z wizerunkiem kruka. Tego kruka. Kruka ze skały na szczycie wzgórza. Rysunek wykonany został bardzo prostą techniką; ktoś przyłożył kartkę do skały i pocierał ją ołówkiem tak długo, aż ukazał się na niej obrys ptaka.

Obok rysunku widniał symbol Magicznego Pociągu, jaki widzieliśmy już na mundurze Hodgsona.

Więc jednak Randolph powiązany był jakoś z tajnym projektem realizowanym w Forcie Wyvern, choć być może wcale nie chodziło tutaj o retrowirusa mojej mamy.

Z morza chaosu wynurzyła się wreszcie skała zrozumienia. Próbowałem uchwycić się jej ostrych krawędzi, byłem jednak wyczerpany i słaby, a skała — śliska.

John Joseph Randolph nie tylko się przemieniał. Może zresztą wcale nie zaraził się wirusem. Jego powiązania z Wyvern były bardziej skomplikowane.

Pamiętałem słabo historię o jakimś nienormalnym dziecku, które przed wielu laty zabiło swoich rodziców w domu na skraju miasta, gdzieś przy Haddenbeck Road, nigdy jednak nie znałem jego nazwiska, zresztą i tak dawno bym je zapomniał.

Mieszkańcy Moonlight Bay tworzyli konserwatywną społeczność, grzeczną i uładzoną, nastawioną na goszczenie turystów. Wszyscy woleli raczej rozmawiać o pięknych krajobrazach i pogodzie niż o smutnych wydarzeniach z przeszłości. Johnny Randolph, który sam uczynił się sierotą, z pewnością nie znajdzie miejsca w kronice naszego miasta ani w przewodnikach po środkowym wybrzeżu.

Gdyby powrócił do Moonlight Bay jako dorosły mężczyzna, na długo przed ostatnimi porwaniami dzieci, by podjąć tutaj pracę i znaleźć mieszkanie, wtedy uznano by to za sensację, a ja usłyszałbym wszystkie plotki na ten temat.

Mógł oczywiście powrócić pod innym nazwiskiem, zmieniając je za przyzwoleniem terapeuty z zakładu poprawczego. Z pewnością wytłumaczyłby mu, że nie może rozpoczynać nowego życia obciążony tragiczną przeszłością, że to pozwoli mu na nowo uwierzyć w siebie i zaleczyć stare rany, że ple, ple, ple... Jako dorosły człowiek, którego nikt nie kojarzyłby z chorym dwunastolatkiem, zabójcą swoich rodziców, mógł spokojnie spacerować ulicami rodzinnego miasta. Mógł pracować w Forcie Wyvern, w placówce związanej z projektem Magiczny Pociąg.

John Joseph Randolph.

To nazwisko wciąż pukało do drzwi mojej pamięci.

Gdy Mungojerrie prowadził nas przez ostatni odcinek tunelu, spojrzałem raz jeszcze na upiorną galerię — i chyba zrozumiałem, dlaczego się tu znalazła.

Początkowo wydawało mi się, że to wystawa dokonań, ekwiwalent półki ozdobionej pucharami i medalami wybitnego atlety, galeria próżności, z której John Joseph czerpał inspirację

do kolejnych zadań, którą oglądał co jakiś czas z dumą i poczuciem dobrze wykonanej pracy. Seryjni zabójcy lubią powracać do minionych wyczynów, rzadko jednak mają okazję chwalić się nimi przed rodziną i sąsiadami; muszą zadowolić się własnymi pochwałami.

Potem pomyślałem, że jest to swego rodzaju pornografia, że patrzenie na te artykuły i zdjęcia sprawia Johnny'emu perwersyjną przyjemność. Być może tytuły wyrażające szok i obrzydzenie były dlań odpowiednikiem obscenicznych dialogów, a zdjęcia ofiar podniecały go bardziej niż najbardziej wyuzdany film erotyczny.

Teraz jednak zrozumiałem, że ta wystawa jest ofiarą. Że całe jego życie jest ofiarą. Morderstwo popełnione na jego rodzicach, każde kolejne zabójstwo, trzysta sześćdziesiąt cztery dni postu i ostatnie całopalenia dzieci. Ofiary. Nie wiedziałem tylko, komu składano te straszliwe podarunki, w jakim celu; choć z drugiej strony być może znałem już odpowiedź na te pytania.

Tunel kończył się zamkniętym, wysokim na osiem stóp zaworem zasuwowym, napędzanym niegdyś przez silnik elektryczny.

Doogie odłożył na bok pistolet, wsunął palce za krawędź okrągłej metalowej płyty i bez większego trudu wsunął ją w ścianę, otwierając przed nami dalszą drogę. Mimo że nieużywany od ponad dwóch lat, zawór poruszał się niemal bezgłośnie, a delikatny zgrzyt został zagłuszony przez złowieszczy pomruk i piskliwe wibracje wypełniające osuszone wnętrze relokatora czasowego.

Choć nie była to najlepsza pora na podobne refleksje,

pomyślałem o przerażonych rozbitkach, którzy zostali uratowani przez kapitana Nemo, bohatera *Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, a potem oprowadzeni po labiryncie mechanicznych wnętrzności *Nautilusa*. Być może po jakimś czasie tak bardzo zadomowiliby się na pokładzie podwodnego olbrzyma, że bez większego żalu porzuciliby życie na lądzie. Jednak nawet najweselsi, najbardziej tolerancyjni podróżnicy pozostawieni w metalowym brzuchu jajowatej sali zawsze czuliby się tutaj wyalienowani, samotni i porzuceni.

Doogie otworzył zawór tylko na szerokość trzech stóp, ale światło ukrytej za nim lampy uderzyło w nasze okulary z taką siłą, że natychmiast musiałem je zsunąć na czoło.

Wyłączyłem latarkę i wsunąłem ją za pas. Dopiero teraz zauważyłem, że światło lampki wcale nie było tak mocne, jak mi się wydawało; soczewki gogli zwiększyły jego moc, nie były bowiem przystosowane do funkcjonowania w promieniach ultrafioletowych. Pozostali także zsunęli je z oczu.

Za zaworem ciągnął się kolejny fragment tunelu długości czternastu, piętnastu stóp. Jego ściany pokrywały idealnie dopasowane arkusze stali nierdzewnej. Korytarz kończył się kolejnym zaworem, podobnym do tego, który otworzył przed momentem Doogie. Ten był już na pół otwarty, a dzięki światłu ustawionej za nim lampy mogliśmy zobaczyć, że prowadzi do jakiegoś pomieszczenia.

Sasha i Roosevelt pozostali przy pierwszym zaworze. Uzbrojona w trzydziestkęósemkę Sasha miała dopilnować, by nikt nie zaskoczył nas od tyłu i nie odciął drogi powrotu. Roosevelt, który znów miał kłopoty z podbitym okiem, został

z nią, ponieważ i tak był nieuzbrojony, a poza tym tylko on mógł zapewnić nam łączność z kotem.

Mungojerrie także został z tyłu, trzymając się z dala od niebezpiecznej akcji. Nie ciągnęliśmy za sobą nitki ani nie rzucaliśmy okruszków chleba, dlatego w drodze powrotnej musieliśmy zaufać kociemu przewodnikowi.

Doogie podszedł ostrożnie do zaworu.

Zajrzawszy do wnętrza ukrytego za nim pokoju, pokazał mi dwa palce, co oznaczało, że w środku jest tylko dwóch ludzi, którzy mogą sprawić nam kłopoty. Pokazał też, że wejście pierwszy i zajmie miejsce po prawej stronie wejścia, ja zaś powinienem stanąć po stronie lewej.

Gdy tylko zniknął za krawędzią tunelu, wślizgnąłem się do wnętrza pomieszczenia, trzymając broń gotową do strzału.

Niesamowity warkot, huk, pisk i skrzypienie, które trzęsło całym budynkiem, ledwie docierało do tego miejsca. Jedynym źródłem światła była sztormowa lampka na baterie, ustawiona na stoliku do gry w karty.

Sam pokój podobny był do jajowatej sali, tyle że o wiele mniejszy. Miał jakieś trzydzieści stóp długości i dziesięć stóp szerokości w najszerszym miejscu. Ściany i sufit pomieszczenia pokryte były nie dziwną szklistą substancją, lecz zwykłą miedzią.

Serce zamarło mi na moment, kiedy ujrzałem czwórkę porwanych dzieci siedzących pod ścianą po drugiej stronie pokoju. Były wyczerpane i przerażone. Porywacze związali im ręce i nogi, a usta zakleili szeroką taśmą. Jednak żadne z nich nie było chyba ranne, a kiedy zobaczyły mnie i Doogiego, otworzyły szeroko oczy ze zdumienia.

Potem zobaczyłem Orsona, leżącego obok dzieci, skrupowanego, z obwiązanyms pyskiem. Jego oczy były otwarte, oddychał. Żył. Nie chciałem, by ły radości zwały mi wzrok, odwróciłem więc głowę.

Pośrodku sali, po przeciwnych stronach stolika do gry w karty siedzieli dwaj mężczyźni. Doogie trzymał ich na muszce, mogłem więc spokojnie przyjrzeć się ich twarzom i sylwetkom. Przypominali mi bohaterów jednej z tych ogłupiających współczesnych sztuk teatralnych, które opowiadają o nudzie, poczuciu wyizolowania, emocjonalnej pustce, spłyceniu uczuć i filozoficznych implikacjach cheeseburgera.

Po prawej stronie stolika siedział facet, który próbował rozbić mi czaszkę drewnianą belką. Miał na sobie to same ubranie co wtedy, wciąż też szczyrzył małe lśniące zębki, choć jego uśmiech nie był już tak radosny jak poprzedniej nocy. Patrzył na mnie jak na robaka, którego odkrył właśnie w swoim pudełku z popcornem.

Miałem ochotę strzelić mu prosto w gębę, bo wyczuwałem w nim nie tylko złość i cwany spryt, ale także próżność. Gdyby pocisk trafił weń z tak bliska, jedyne słowo zdolne opisać jego twarz zatrzymałoby w biegu cały zaprzęg husky.

Mężczyzna po lewej był wysokim blondynem o bladozielonych oczach i bliźnie na lewym policzku. Miał około pięćdziesiątki. To właśnie on porwał bliźniaki Stuartów — a jego uśmiech był równie czarujący jak wtedy, gdy miał dwanaście lat i krew rodziców na rękach.

John Joseph Randolph był irytująco opanowany, jakby nasze wtargnięcie nie zaskoczyło go ani nie przestraszyło.

— Jak się masz, Chris? — przywitał mnie uprzejmie.

Byłem zaskoczony. Nigdy wcześniej go nie widziałem i nie miałem pojęcia, skąd zna moje imię.

Echo jego słów snuło się pod ścianami, sunęło po metalowych płytach niczym prąd elektryczny.

— Twoja matka, Wisteria, była naprawdę wspaniałą kobietą.

Nie mogłem zrozumieć, skąd taki człowiek znał moją matkę. Instynkt podpowiadał mi, bym nawet nie próbował zgadywać. Jeden strzał uciszyłby go na zawsze i starł z jego twarzy ten uśmiech — którym hipnotyzował swe niewinne i niczego nieświadome ofiary — zamieniając go w przedśmiertny grymas.

— Była groźniejsza od samej matki natury — dodał.

Ludzie renesansu rozmyślają, zastanawiają się i analizują moralne konsekwencje swoich czynów, przedkładają perswazję i negocjacje nad przemoc. Najwyraźniej zapomniałem odnowić swoją kartę członkostwa w Klubie Ludzi Renesansu, bo w tej chwili marzyłem tylko o tym, by rozwalić tego zarozumiałego psychola.

A może po prostu się przemieniam.

Dożyliśmy okropnych czasów.

Przepełniony złością i goryczą patrzyłem na dwóch zbrodniarzy. Być może w końcu pociągnąłbym za spust, gdyby nie dzieci, które musiałyby oglądać tę rzeź. Poza tym obawiałem się, że rykoszetujący pocisk mógłby zabić któregoś z nas. Moja dusza pozostała wolna od grzechu zabójstwa nie ze względu na wyznawane przeze mnie zasady, lecz ze względu na okoliczności — co wyznaję ze skruchą i wstydem.

Trzymając przed sobą uzi gotowe do strzału, Doogie wskazał

na karty w dłoniach mężczyzn.

— W co gracie?

Jego głęboki głos odbił się echem od ścian sali.

Nie podobało mi się to, że porywacze wciąż są tacy spokojni. Chciałem zobaczyć w ich oczach przerażenie, ból.

Randolph odłożył karty na stół i odpowiedział na pytanie Doogiego z cierpkim rozbawieniem:

— W pokera.

Doogie nie spieszył się z krępowaniem obu mężczyzn, najpierw musiał bowiem sprawdzić, czy nie są uzbrojeni. Obaj mieli na sobie kurtki, niewykluczone więc, że ukrywali pod nimi pistolety. Nie mając nic do stracenia, mogli zrobić coś szalonego — na przykład otworzyć ogień do dzieci, licząc na to, że zabiorą ze sobą do grobu choć jedno z nich.

W tej sytuacji nie mogliśmy pozwolić sobie nawet na najmniejszą pomyłkę.

— Gdyby nie Wisteria — zwrócił się do mnie Randolph — Del Stuart już dawno przestałby finansować mój projekt.

— Twój projekt?

— Ale kiedy ona spieprzyła sprawę, potrzebowali mnie. Albo przynajmniej tak im się wydawało. Chcieli zobaczyć, jak wygląda przyszłość.

Przeczuwając, że wkrótce Randolph odsłoni przede mną paskudną prawdę, warknąłem:

— Zamknij się.

Zabrzmiało to jednak bardzo słabo, ponieważ w gruncie rzeczy wiedziałem, że muszę usłyszeć to, co ten człowiek ma mi do powiedzenia, nawet jeśli tego nie chciałem.

Tymczasem Randolph zwrócił się do Doogiego:

— Spytaj mnie, jaka jest stawka.

Słowo „stawka” sunęło wzdłuż ścian, wciąż pobrzmiwało cichym szeptem, kiedy Doogie posłusznie zapytał:

— Jaka jest stawka?

— Gramy o to, kto pierwszy będzie mógł połączyć te baczory benzyną.

Poprzedniej nocy mężczyzna zwany Conradem na pewno nie miał ze sobą broni — gdyby ją miał, zastrzeliłby mnie w chwili, gdy dotknąłem jego twarzy.

Poruszając pustymi rękami, jakby tasował karty, Randolph dodał:

— Potem o to, kto przystawi zapalniczkę.

Doogie wyglądał tak, jakby zamierzał najpierw wystrzelić, a dopiero potem martwić się o rykoszety. Powstrzymał jednak gniew i spytał:

— Dlaczego jeszcze ich nie zabiliście?

— Nasza numerologia mówi nam, że ta ofiara powinna składać się z pięciu inteligentnych istot. Do niedawna myśleliśmy, że mamy tylko czwórkę. Ale teraz myślimy... — Uśmiechnął się do mnie. — Teraz myślimy, że to nie jest zwyczajny pies. Może być piąty. Kiedy nam przerwaliście, graliśmy o to, kto podpali kundla.

Przypuszczałem, że Randolph też nie ma broni. O ile nie pominąłem czegoś w galerii jego upiornych osiągnięć, jedyną ofiarą, którą zabił z broni palnej, był jego ojciec. To zdarzyło się czterdzieści cztery lata temu. Od tej pory preferował raczej bliższe kontakty — do niedawna jego ulubione narzędzia

stanowiły młotki i noże.

— Twoja matka — znów odwrócił się do mnie — była hazardzistką. Zagrała o przyszłość całej ludzkości i przegrała. Ale ja nadal lubię hazard.

Udając, że znów tasuje karty, Randolph zbliżył dłoń do lampki.

— Nie rób tego — ostrzegł go Doogie.

Ale Randolph nie posłuchał. Przesunął wyłącznik i nagle wokół nas zapadła ciemność.

Nim jeszcze zgasło światło, Randolph i Conrad już podrywali się na równe nogi. Zrobili to tak gwałtownie, że przewrócili oba krzesła, a trzask upadających mebli niósł się jeszcze przez dłuższą chwilę po pokoju, powtarzając ten sam rytmiczny wzór.

Ja także natychmiast ruszyłem do akcji. Szedłem wzdłuż ściany, w stronę dzieci i Orsona, trzymając się z dala od Conrada — to on siedział bliżej mnie i zapewne teraz rzucił się w miejsce, gdzie stałem przed chwilą. Ani on, ani Randolph nie należeli do ludzi, którzy w podobnej sytuacji biegną do wyjścia.

Nie odrywając lewej dłoni od ściany, prawą nasunąłem na oczy gogle. Wyciągnąłem z za pasa latarkę na podczerwień, włączyłem ją i oświetliłem pokój w miejscu, w którym spodziewałem się ujrzeć Conrada.

Był bliżej, niż przypuszczałem. Domyślił się zapewne, że przede wszystkim spróbuję chronić dzieci. Trzymał w dłoni nóż i wymachiwał nim na oślep, licząc na to, że któryś z ciosów trafi właśnie we mnie.

Jak dziwnie czuje się w królestwie ślepców człowiek obdarzony wzrokiem. Obserwując Conrada, który szarpał się jak ryba w sieci, kręcił w kółko, wymachiwał rękami w bezsilnej złości,

sfrustrowany i zdesperowany, poznałem w jednym procencie to, co musi czuć Bóg, patrząc na nasze życie.

Kiedy Conrad wciąż ponawiał ambitne, lecz nieskuteczne próby wyprucia ze mnie wnętrzości, zaszedłem go od tyłu. Stosując technikę, która z pewnością wywołałaby słuszne oburzenie członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Dentystów, wziąłem latarkę w zęby, zacisnąłem dłonie na karabinie i kolbą uderzyłem Conrada w tył głowy.

Osunął się na podłogę i tam już pozostał.

Najwyraźniej ani Conrad, ani John Joseph Randolph nie zdawali sobie sprawy, że nasze gogle pozwalają nam widzieć w ciemnościach, gdyż Doogie dosłownie tańczył wokół najskuteczniejszego seryjnego zabójcy naszych czasów — nie biorę pod uwagę polityków, którzy mordują rękami swych podwładnych — i okładał go z entuzjazmem i wprawą stałego bywalca klubów dla motocyklistów.

Być może dlatego, że bardziej dbał o swoje zęby, a być może dlatego, że po prostu nie lubił smaku latarki, Doogie odłożył ją na stół i zapędził Randolpha w miejsce, gdzie padał nań promień światła podczerwonego. Bez ustanku zadawał mu kolejne ciosy, bił go pięściami i kolbą uzi.

Randolph upadł dwa razy i podniósł się dwa razy, jakby naprawdę wierzył, że ma jakieś szanse. Wreszcie padł jak zamrożony dinozaur, by doczekać na podłodze chwili, gdy zamieni się w skamielinę. Doogie kopnął go w żebra. Kiedy Randolph się nie poruszył, Doogie udzielił mu pierwszej pomocy stosowanej tradycyjnie w środowisku Aniołów Piekieł, kopiąc go raz jeszcze.

Bez wątpienia Doogie Sassman był wielbicielem harleyów, człowiekiem o licznych talentach i osiągnięciach, pod wieloma względami uczciwym i odpowiedzialnym, źródłem cennych, choć czasem specyficznych informacji — niemniej jednak, gdyby założył jakąś sektę, nie byłby chyba w stanie przyciągnąć zbyt wielu zwolenników.

— Snowman? — odezwał się Doogie.

— Jestem.

— Mogę włączyć prawdziwe światło?

Zsuwając gogle, powiedziałem:

— Już.

Doogie włączył sztormową lampkę, a wyłożona miedzią sala wypełniła się znów łagodnym, brązowym światłem.

Apokaliptyczne pomruki, trzaski i piski, które trzęsły całym ogromnym budynkiem, wciąż docierały tu jako odległe i przytłumione dźwięki. Nie musieliśmy jednak czytać broszury z przepisami bhp, by wiedzieć, że powinniśmy jak najszybciej opuścić to miejsce.

Szybko odkryliśmy, że dzieciaki powiązano nie sznurkiem czy powrozem, lecz drutem. Cienki stalowy drut wbił się głęboko w ich delikatne nadgarstki i kostki, znacząc je siniakami i plamami zakrzepłej krwi.

Podszedłem do Orsona. Oddychał płytko, słabo. Miał związane przednie i tylne łapy, a drut ciasno owinięty wokół pyska pozwalał mu tylko na ciche skomlenie.

— Już dobrze, bracie — szepnąłem drżącym głosem, głaszcząc go po grzbiecie.

Doogie podszedł do zaworu i krzyknął w stronę Roosevelta

i Sashy:

— Są tutaj wszyscy! Żywi!

Nasi przyjaciele wznieśli okrzyk radości, ale zaraz potem Sasha kazała nam się pospieszyć.

— Robimy, co możemy — zapewnił ją Doogie. — Nie schodźcie z posterunku.

W labiryncie mogły kryć się przecież potwory gorsze nawet od Randolpha i Conrada.

Obok stolika z kartami stały dwie torby, plecaki i styropianowy pojemnik z lodem. Zakładając, że wszystkie te rzeczy należą do porywaczy, Doogie przeglądał ich zawartość, szukając szczypiec do cięcia drutu czy jakiegoś innego narzędzia, które pozwoliłoby nam szybko uwolnić dzieci — żelazne więzy były splątane i zaciśnięte z taką siłą, że nie mogliśmy ich rozsypać.

Delikatnie ściągnąłem taśmę z ust Jimmy'ego Winga. Ten powiedział mi, że chce mu się siusiu, na co ja odparłem, że mnie także, ale że będziemy musieli jeszcze chwilę wytrzymać, co nie powinno być trudne, ponieważ jesteśmy twardymi facetami. Jimmy zgodził się ze mną i obiecał, że poczeka jeszcze chwilę.

Sześćoletnie bliźniaki Stuartów — Aaron i Anson — podziękowały mi uprzejmie, kiedy zerwałem taśmę z ich ust. Anson poinformował mnie, że dwaj nieprzytomni faceci na podłodze to bardzo źli ludzie. Aaron był bardziej bezpośredni niż jego brat i nazwał porywaczy dupkami, lecz Anson ostrzegł go, że jeśli użyje tego brzydkiego słowa w obecności mamy, dostanie lanie.

Spodziewałem się łez, jednak te maluchy wypłakały już wszystko, co miały wypłakać, przynajmniej na razie. Większość

dzieci potrafi naprawdę wiele przetrzymać, choć my, dorośli, często tego nie dostrzegamy, patrząc na dzieciństwo przez pryzmat nostalgii i sentymentalizmu.

Siedmioletnia Wendy Dulcinea była wspaniałym odbiciem swej mamy, Mary, od której nie udało mi się co prawda nauczyć gry na pianinie, ale którą kochałem kiedyś pierwszą szczenięcą miłością. Chciała mnie koniecznie pocałować, a ja z przyjemnością pozwoliłem jej spełnić to życzenie. Potem powiedziała:

— Pieskowi bardzo chce się pić, powinien pan dać mu wody. Nam dawali pić, ale jemu nie.

W kącikach oczu Orsona zebrała się biała wydzielina. Wyglądał na chorego i słabego, gdyż nie mógł otworzyć pyska i odpowiednio się ochłodzić. Psy nie chłodzą się przez skórę, lecz w głównej mierze przez języki.

— Wszystko będzie dobrze, bracie — obiecałem mu. — Zaraz się stąd wyniesiemy. Jeszcze trochę. Wracamy do domu. Do domu. Ty i ja. Zaraz nas tu nie będzie.

Zakończywszy pobieżną rewizję toreb i plecaków, Doogie podszedł do Orsona, pochylił się nad nim i za pomocą ostrych, monterskich szczypiec przeciął więzy krępujące łapy mojego brata, ściągnął je i odrzucił na bok. Przecięcie drutu oplatającego pysk Orsona wymagało większej ostrożności i trwało nieco dłużej. Podczas gdy Doogie zmagał się z prowizorycznym kagańcem, ja powtarzałem, że wszystko będzie dobrze, świetnie, wspaniale. Po niecałej minucie drut opadł wreszcie z pyska mojego brata.

Doogie przeszedł do dzieci. Orson nie próbował jeszcze

wstawać, ale polizał mnie po dłoni. Jego język był szorstki i suchy.

Puste słowa, zapewnienia bez pokrycia przychodziły mi łatwo. Teraz milczałem jak zakłęty, bo wszystko, co miałem do powiedzenia, było dla mnie tak ważne i tak głębokie, że nie potrafiłbym zapanować nad własnym głosem, nad targającymi mną emocjami. Wiedziałem, że czeka nas jeszcze długa i trudna droga powrotna, że nie mogę pozwolić sobie teraz na łyzy, może przyjdzie na nie czas później, a może nie przyjdzie nigdy.

Zamiast mówić cokolwiek, przyłożyłem dłoń do boku Orsona, wyczuwając szybkie, lecz regularne bicie jego wielkiego, dobrego serca, a potem pocałowałem go między oczami.

Wendy powiedziała przed chwilą, że pieskowi chce się pić. Język Orsona był suchy i spuchnięty. Teraz zauważyłem, że jego wargi, wciąż poznaczone podłużnymi odciskami drutu, były suche i popękane. Cienka błona pokrywała wielkie oczy, w których dojrzałem znużenie bliskie rezygnacji.

Choć niechętnie, zostawiłem go na chwilę samego i podszedłem do pojemnika ze styropianu, ustawionego obok stolika do gry. Pojemnik wypełniony był do połowy zimną wodą, w której pływały kawałki lodu. Porywacze musieli bardzo dbać o swoje zdrowie, gdyż przynieśli ze sobą tylko sok warzywny i wodę mineralną.

Wyjąłem z pudełka jedną butelkę wody mineralnej i wróciłem do Orsona. Podczas mojej krótkiej nieobecności pies zdołał przewrócić się na brzuch, choć chyba brakowało mu już sił, by unieść głowę.

Ułożyłem dłoń w kształt naczynia i nalałem na nią trochę

wody. Orson uniósł głowę tylko na tyle, by mógł chłeptać z mojej dłoni. Po chwili jednak nabrał sił i zaczął pić z większym entuzjazmem.

Dolewając kolejne porcje wody i podstawiając dłoń pod pysk Orsona, przyglądałem się jednocześnie jego ciału, a gniew, który narastał we mnie z każdą chwilą, pomógł mi powstrzymać łzy wzruszenia. Chrzątka w jego lewym uchu została zgnieciona, a sierść z tej strony głowy pokryta była zakrzepłą krwią, jakby ktoś uderzył go w tym miejscu pałką czy metalową rurką. Tępe narzędzia były niegdyś ulubionym rekwizytem pana Johna Josepha Randolpha. Na pysku, zaledwie pół cala od nosa, widniała podłużna rana. Prawie wszystkie pazury w prawej łapie złamane były przy samej nasadzie i oblepione krwią. Musiał się długo bronić. Pęciny na wszystkich czterech łapach nosiły ślady drutów, dwie lekko krwawiły.

Doogie skończył przecinać więzy krępujące nogi i ręce dzieciaków, po czym przeszedł do Conrada, który wciąż leżał nieprzytomny na podłodze. Korzystając z wielkiej rolki drutu, którą znalazł w rzeczach porywaczy, związał nogi mężczyzny, potem przewrócił go na brzuch, by spętać mu ręce za plecami.

Nie mieliśmy czasu ani dość ludzi, by zabierać ze sobą więźniów. Tam gdzie tunele były tak wąskie, że musieliśmy się czołgać, nie moglibyśmy nawet skrupować im rąk, a wtedy staliby się śmiertelnie niebezpieczni. Dlatego zostawialiśmy ich tutaj, by potem przysłać po nich policję — zakładając oczywiście, że do tego czasu budynek nie rozpadnie się, targany ciągłymi skokami w czasie.

Choć później zapewne zmieniałbym zdanie, w tej chwili miałem

ochotę skrępować obu mężczyzn, zakleić im usta taśmą, postawić w widocznym miejscu butelkę z wodą i pozwolić, by powoli umierali z pragnienia.

Orson wypił całą butelkę wody mineralnej. Podniósł się powoli, chwiejnie i niepewnie niczym dziecko. Przez chwilę stał w miejscu, dysząc ciężko, mrugając gwałtownie i rozglądając się z zaciekawieniem.

— *Poki akua* — szepnąłem mu do ucha, co po hawajsku oznacza „pies królów”.

Szczeknął słabo, zadowolony z komplementu.

Nad naszymi głowami rozległ się nagle głośny brzęk, a potem zgrzyt i pisk, jakby ścierały się ze sobą dwie wielkie płyty metalu. Ściany miedzianego pokoju zadrżały lekko. Orson i ja rozglądaliśmy się nerwowo dokoła, lecz ściany i sufit wyglądały na nienaruszone.

Tik-tak, tik-tak.

Przyciągnąłem ciężki pojemnik z wodą do Orsona i odrzuciłem wieko. Pies zajrzał do wnętrza, włożył pysk pomiędzy butelki z sokiem warzywnym i wodą mineralną, po czym z entuzjazmem zaczął chleptać zimną cieczą.

Leżący nieopodal, zwinięty w kłębek Randolph jęczał cicho, nie odzyskał jednak jeszcze przytomności.

Doogie odciął jeszcze jeden fragment drutu, potrzebny mu do skrępowania Conrada, a potem podał mi rolkę.

Przewróciłem Randolpha na brzuch i szybko związałem mu ręce w nadgarstkach. Miałem ochotę zacisnąć więzy tak mocno, jak zacisnięte były na nogach Orsona i dzieci, opanowałem się jednak i ściągnąłem je tylko na tyle, na ile było to konieczne.

Gdy skrępowalem już nogi porywacza w kostkach, przewróciłem go na bok i połączyłem ze sobą więzy w nadgarstkach i na nogach, jeszcze bardziej ograniczając mu swobodę ruchu.

Randolph musiał się ocknąć, kiedy zaciskałem ostatni splot, bo gdy skończyłem, przemówiłem czystym i wyraźnym głosem:

— Wygrałem.

Wstałem z podłogi i pochyliłem się nad nim, by spojrzeć mu w twarz. Opierał głowę na lewym policzku. Jego wargi były spękane i okrwawione, prawe oko jasne i błyszczące, nie dojrzałem w nim jednak zwierzęcego lśnienia.

Co ciekawe, wcale nie wydawał się przerażony czy zaniepokojony. Leżał spokojnie, jakby tylko odpoczywał, a nie został pobity i skrępowany.

Kiedy mówił, jego głos był opanowany, nawet lekko rozradowany niczym głos kogoś, kto budzi się z narkotycznego snu. Czułbym się lepiej, gdyby krzyczał, przeklinał, pluł. Ta zrelaksowana postawa dowodziła tylko, że pomimo niesprzyjających okoliczności nadal uważał się za zwycięzcę.

— Nim skończy się noc, będę już po drugiej stronie. Zabrali silnik. Ale to nie była śmiertelna rana. To jest rodzaj... organicznej maszyny. Po jakimś czasie sama się wyleczyła. Teraz sama się napędza. Czujesz to, te drgania w podłodze.

Dźwięk przypominający stukot kół pociągu stawał się coraz głośniejszy, nawet tutaj. Także wibracje przenikające przez betonowe ściany budynku były bardziej wyczuwalne niż poprzednio.

— Napędza się sama nawet przy najmniejszej pomocy —

mówił Randolph. — Wystarczyło zostawić tam na moment tę lampkę. To nie jest zwyczajna maszyna.

— Pracowałeś przy tym projekcie.

— To jest mój projekt.

— Doktor Randolph Josephson — powiedziałem, przypomniawszy sobie nagle nazwisko dyrektora projektu, które wymieniał Delacroix w swoim testamencie. John Joseph Randolph, nastoletni zabójca, stał się Randolphem Josephsonem.

— Co to robi, gdzie to się... przenosi?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, Randolph uśmiechnął się.

— Czy ukazał ci się kiedyś kruk? Conrad go nie widział. Mówi, że widział, ale kłamie. Kruk ukazał się mnie. Siedziałem przy skale, a kruk z niej wyleciał. — Westchnął. — Na moich oczach powstał z kamienia tamtej nocy.

Orson był przy dzieciach, pozwalał im się głaskać. Machał ogonem. Wierzyłem, że wszystko będzie dobrze. Świat się nie skończy, a przynajmniej nie tutaj, nie tej nocy. Wydostaniemy się stąd, przeżyjemy, będziemy się bawić, ujeżdżać fale — wiedziałem to na pewno, miałem gwarancję, bo zobaczyłem dobry znak, zwiastujący powrót dobrych czasów. Orson machał ogonem.

— Kiedy ujrzałem kruka, zrozumiałem, że jestem kimś wyjątkowym — mówił dalej Randolph. — Miałem cel, zadanie do spełnienia. Teraz moja misja się kończy.

Po raz drugi nad naszymi głowami rozległ się przeraźliwy zgrzyt żelaza.

— Czterdzieści cztery lata temu — powiedziałem. — To ty

wyrzeźbiłeś kruka w skale.

— Wróciłem tamtej nocy do domu, po raz pierwszy naprawdę żywy, i zrobiłem to, co zawsze chciałem zrobić. Rozwaliłem łeb mojemu ojcu. — Powiedział to takim tonem, jakby ten wyczyn wciąż napełniał go dumą. — Posiekałem matkę na kawałki. Wtedy zaczęło się moje prawdziwe życie.

Doogie wysyłał dzieci na korytarz, jedno po drugim, przekazywał je Sashy i Rooseveltowi.

— Tyle lat, tyle ciężkiej pracy — westchnął Randolph z zadowoleniem niczym emeryt rozkoszujący się dobrze zasłużonym odpoczynkiem. — Tyle nauki, badań, walki, myślenia. Tak wiele wyrzeczeń przez wszystkie te lata.

Jedno morderstwo na rok.

— A kiedy już to zbudowałem, kiedy sukces był w zasięgu ręki, tchórze w Waszyngtonie przestraszyli się tego, co zobaczyli na taśmie z bezzałogowej sondy.

— Co tam zobaczyli?

Jednak Randolph nie odpowiedział na moje pytanie i dalej snuł swoją opowieść:

— Chcieli zamknąć projekt. Del Stuart gotów był natychmiast odciąć finansowanie.

Zrozumiałem już, dlaczego Aaron i Anson Stuartowie znaleźli się w tym pokoju. Zastanawiałem się, czy inne dzieci, porwane i zabite w różnych częściach kraju, także spokrewnione były z ludźmi, którzy rozczarowali Johna Josepha i utrudniali mu realizację jego projektu.

— A potem pojawił się wirus twojej matki. Faceci z góry chcieli zobaczyć przyszłość, chcieli dowiedzieć się, czy w ogóle jest jakaś

przyszłość.

— Czerwone niebo? — spytałem. — Dziwne drzewa?

— To nie była przyszłość. To było... z boku.

Kątem oka dostrzegłem, jak metalowa ściana wybrzusza się raptownie.

Przerażony, odwróciłem się w tamtą stronę, nie zauważyłem jednak żadnego zniekształcenia.

— Teraz brama jest otwarta — mówił Randolph z satysfakcją.

— I nikt nie może jej zamknąć. Granica została przekroczona. Droga wolna.

— Droga dokąd?

— Przekonasz się. Wszyscy się wkrótce przekonamy — odparł z niepokojącą pewnością w głosie. — Pociąg wyjeżdża już ze stacji.

Wendy jako ostatnia z czwórki dzieci opuściła miedzianą salę. Orson szedł za nią, wciąż lekko się zataczając.

Randolph spojrział na mnie i wykrzywił swe pokrwawione wargi w uśmiechu.

— Czas przeszły, czas teraźniejszy, czas przyszły, ale najważniejszy... czas boczny. To jedyne miejsce, gdzie naprawdę chciałem się znaleźć, a twoja matka dała mi tę szansę.

— Ale gdzie jest to miejsce? — spytałem zdezorientowany, kiedy budynek znów zaczął się trząść.

— To moje przeznaczenie — odparł enigmatycznie Randolph.

Sasha krzyknęła tak przeraźliwie, że serce nagle podskoczyło mi do gardła.

Doogie spojrział na tunel i na sekundę stracił oddech z wrażenia. Potem krzyknął:

— Chris! Bierz krzesło!

Kiedy jedną ręką pochwyciłem składane krzesło, drugą zaś mój karabin, John Joseph Randolph powiedział:

— Pociąg już stoi na szynach, tam, z boku czasu, zawsze o tym wiedzieliśmy, zawsze wiedzieliśmy, ale nie chcieliśmy uwierzyć.

Wiedziałem, że w tych tajemniczych stwierdzeniach kryje się jakaś prawda, chciałem ją poznać i zrozumieć, jednak pozostając dłużej w tym miejscu, skazywałbym się na śmierć.

Gdy dołączyłem do Doogiego, otwarty do połowy zawór, stanowiący jednocześnie drzwi sali, zaczął się zamykać.

Klnąc na czym świat stoi, Doogie napał na metalową płytę, pchał ją z całych sił, powoli wsuwał z powrotem w ścianę.

— Idź! — rzucił do mnie przez ramię.

Ponieważ nie należę do ludzi, którzy odrzucają dobre rady, precisnąłem się szybko obok króla mambo i w mgnieniu oka przebiegłem krótki odcinek tunelu dzielący mnie od kolejnego zaworu.

Ponad głębokim pomrukiem i przeraźliwym wyciem, godnym dnia Sądu Ostatecznego, wznosił się głos Johna Josepha Randolpha, który krzyczał nie ze strachu, lecz z radości, ogarnięty przedziwną pasją:

— Wierzę! Wierzę!

Sasha, dzieciaki, Mungojerrie i Orson byli już po drugiej stronie wielkiego zaworu. Roosevelt stał wciśnięty między ścianę i metalowy krąg, nie pozwalając mu się zatrzasnąć i uwięzić mnie i Doogiego pod ziemią. Słyszałem warkot silnika, który próbował przesunąć stalowy dysk i zamknąć przejście.

Wcisnąłem w szczelinę nad głową Roosevelta metalowe

krzesło, zatrzymując zawór w półotwartej pozycji.

— Dzięki, synu — wysapał Roosevelt.

Przeszedłem za nim na drugą stronę bramy.

Pozostali już tam na nas czekali. Teraz oświetlali drogę zwyczajnymi latarkami. Sasha wyglądała znacznie piękniej, kiedy nie była zielona.

Szczelina przy drugim zaworze była nieco za wąska dla Doogiego, ale i on jakoś się precisnął, a potem wyszarpnął zaklinowane krzesło. Mogło nam się jeszcze przydać.

Przeszliśmy obok znaczka Magicznego Pociągu i rysunku kruka. Powietrze stało tutaj nieruchomo, żaden przeciąg nie podnosił wycinków z gazet przyklejonych do ściany. A jednak wielka kartka papieru z wizerunkiem kruka trzepotała gwałtownie, jakby poruszał ją silny wiatr. Luźne rogi papierowego prostokąta uderzały o ścianę. Zdawało się, że kruk ciągnie ze złością za kawałki taśmy, które więziły go w miejscu, gotów wyrwać się z papieru, tak jak kiedyś, zdaniem Randolpha, wyrwał się ze skały.

Może były to tylko moje przywidzenia, jasne, i może jestem też urodzonym zaklinaczem węży, nie zamierzałem jednak czekać tu, by przekonać się, czy z papieru powstanie w końcu prawdziwy ptak, tak jak nie zamierzałem kłaść się w gnieździe grzechotników i nucić im słodkie melodie.

Pomyślałem jednak, że być może będę potrzebował dowodów na wszystko, co tutaj zobaczyłem, oderwałem więc kilka artykułów i włożyłem do kieszeni.

Zostawiając za sobą trzepoczącego ptaka, kontynuowaliśmy marsz w głąb tunelu. Trzymaliśmy się w grupie i robiliśmy to, co

robiłby każdy rozsądny człowiek, widząc, że świat wokół niego rozpada się w nicość, że z każdej strony czyha na niego zagłada: szliśmy za kotem.

Staralem się nie myśleć o Bobbym. Najpierw musieliśmy do niego dotrzeć. Miałem nadzieję, że jeśli nam się to uda, reszta pójdzie już po naszej myśli. Będzie czekał na nas — zziębnięty, obolały i słaby, ale będzie czekał — a kiedy nas zobaczy, przypomni mi o mojej obietnicy, mówiąc „*Carpe cerevisi, bracie*”.

Delikatny zapach jodyny, który towarzyszył nam podczas wędrówki przez podziemny labirynt, stał się teraz ostrzejszy. Obok niego pojawiły się jednak jeszcze inne zapachy — dymu, siarki, gnijącej roślinności — nieopisany gorzki aromat, jakiego nigdy dotąd nie czułem.

Jeśli zjawisko nieustannych zmian czasu sięgało już tutaj, do najgłębszych poziomów budynku, to groziło nam niebezpieczeństwo znacznie większe niż wtedy, gdy wchodziliśmy do podziemi. Nie obawiałem się tego, że któryś z zaworów opóźni nasz pochód czy nawet odetnie nam drogę. Znacznie gorsza wydawała mi się możliwość, że cofniemy się o kilka lat wstecz, do czasów, gdy te wielkie rury wypełniała jakaś ciecz albo toksyczny gaz. Wtedy nie byłoby dla nas ratunku.

26

Jeden kot, czwórka dzieciaków, jeden pies, jedna piosenkarka i prezenterka radiowa, jeden tłumacz języka zwierząt, jeden wiking i jedno dziecko ciemności, czyli ja — wszyscy biegli, czołgali się, przeciskali, znów biegli, padali, wstawali i biegli dalej przez wyschnięte koryta stalowych rzek, miedzianych strumieni, mosiężnych kanałów, prowadzeni białym promieniem latarki, który odbijał się od stalowych powierzchni, sunął po nich do przodu, otaczany ze wszystkich stron armią cieni. Ogłuszający huk i świdrujące wycie, podobne do gwizdka nadjeżdżającej lokomotywy, przenikało betonowe i stalowe trzewia gigantycznego budynku, zapach jodyny to zatykał nozdrza, to stawał się ledwie wyczuwalny, przeszłość powracała falami, ogarniała nas jak mgła, by znów ustąpić miejsca teraźniejszości. Przerażeni odgłosem przypominającym szum nacierającej masy wody — wody albo czegoś gorszego — dotarliśmy wreszcie do pochyłego korytarza, a potem do sali przy windzie, gdzie na podłodze leżał wciąż żywy Bobby.

Kiedy Doogie łączył ponownie kable w panelu kontrolnym, a Roosevelt zapędzał do kabiny dzieci i kota, Sasha, Orson i ja pochylaliśmy się nad Bobbym.

Wyglądał jak śmierć złożona chorobą.

— Nieźle się prezentujesz — powiedziałem.

Bobby przemówił do Orsona głosem tak słabym, że ledwie słyszalnym ponad hukami ścierających się czasów i światów — bo chyba to właśnie słyszeliśmy.

— Cześć, futrzaku.

Orson polizał Bobby'ego po policzku, powąchał jego ranę, a potem spojrzał na mnie z troską.

— Udało ci się, spryciarzu — powiedział do mnie Bobby.

— To było raczej dzieło Wspaniałej Piątki niż jednego Supermana — odparłem.

— Zdażysz jeszcze na swój nocny dyżur — zwrócił się Bobby do Sashy. Odeгнаłem od siebie myśl, że w ten sposób żegna się z nami wszystkimi.

— Radio to moje życie — odpowiedziała Sasha.

Budynek znów zadrżał, zastukotały koła pociągu, z sufitu posypał się kurz.

— Musimy wnieść cię do windy — oświadczyła Sasha.

Lecz Bobby spojrzał na mnie i poprosił:

— Potrzymaj mnie za rękę, bracie.

Wziąłem jego dłoń. Była zimna jak lód.

Grymas bólu wykrzywił jego twarz.

— Spieprzyłem sprawę — wyszeptał.

— Co ty mówisz.

— Zmoczyłem się — wyznał drżącym głosem.

Miałem wrażenie, że chłód ogarnia także moją rękę, dociera do serca.

— To nic złego, bracie. *Urinophoria*. Robiłeś to już nieraz.

— Teraz nie mam na sobie neoprenu.

— Więc to kwestia stylu, tak?

Roześmiał się, jednak śmiech przemienił się wkrótce w kasłanie.

— Winda gotowa — oświadczył Doogie.

— Zabieramy cię — powiedziała Sasha stanowczym tonem, kiedy z sufitu zaczęły odpadać drobiny betonu.

— Nigdy nie myślałem, że umrę tak nieelegancko — szeptał Bobby, ściskając mocniej moją dłoń.

— Nie umierasz — zapewniłem go.

— Kocham cię... bracie.

— Kocham cię — powiedziałem, a te słowa były jak klucz, który zamknął moje gardło niczym drzwi sejfu.

— Totalny klajster — powiedział jeszcze słabnącym głosem.

Jego oczy patrzyły gdzieś w dal, poza nas, a dłoń nagle stała się bezwładna.

Czułem, jak wielki fragment mojego serca osuwa się niczym fragment urwiska w bezdenną otchłań.

Sasha przyłożyła palce do szyi Bobby'ego, szukając pulsu.

— O Boże...

— Musimy się stąd wynosić, natychmiast — ponaglał nas Doogie.

Głosem zmienionym tak, jakby należał do jakiegoś innego, obcego mi człowieka, powiedziałem do Sashy:

— Musimy wciągnąć go do windy.

— On nie żyje.

— Pomóż mi go wnieść do windy.

— Chris, kochanie, on nie żyje.

- Zabieramy go ze sobą.
- Snowman...
- Zabieramy go stąd!
- Pomyśl o dzieciach, one...

Byłem zdesperowany i szalony, szalony i zdesperowany, czarny wir rozpaczki ogarniał mój umysł, zabierając ze sobą wszelką radość i rozsądek, ale nie zamierzałem zostawić tu Bobby'ego. Wolałbym umrzeć razem z nim, obok niego, niż zostawić go w tym miejscu.

Chwyciłem go pod ramiona i zacząłem ciągnąć do windy, świadom, że przestraszę dzieci, które i tak musiały już okropnie się bać, bez względu na to, jak bardzo były współczesne, twarde i opanowane. Nie sądziłem, by perspektywa przejażdżki w towarzystwie okrwawionego trupa napawała je szczególną radością, i rozumiałem ich obawy, ale tak już musiało być.

Kiedy Sasha i Doogie zrozumieli, że naprawdę nie wyniosę się z tego miejsca bez Bobby'ego Hallowaya, pomogli mi wciągnąć ciało do windy.

Huk, upiorne wycie i trzaski, które zwiastowały rychłą zagładę całego budynku, ucichły raptownie, a z sufitu przestały lecieć drobiny betonu, wiedziałem jednak, że cisza ta nie potrwa długo. Znajdowaliśmy się w oku cyklonu i musieliśmy być przygotowani na najgorsze.

W chwili gdy wciągnęliśmy Bobby'ego do środka, drzwi kabiny zaczęły się zamykać. Orson dołączył do nas w ostatnim momencie, omal nie zostawiając za drzwiami ogona.

— Co się dzieje, u diabła? — mruknął Doogie. — Nie nacisnąłem przecież guzika.

— Ktoś inny wezwał kabinę, ktoś na wyższym poziomie — domyśliła się Sasha.

Silnik dźwigu zajęczał i kabina ruszyła do góry.

Zdesperowany i szalony wpadłem w szaleństwo jeszcze większe, kiedy zobaczyłem, że moje ręce uwalane są krwią Bobby'ego, i w jeszcze większą desperację, gdy zrozumiałem, że mogę zrobić coś, co zmieni tę sytuację. Przeszłość i terażniejszość obecne są w przyszłości, a przyszłość zawarta jest w przeszłości, jak powiedział T.S. Eliot; dlatego rzeczywistości nie da się zmienić i co ma być, to będzie. Czysta iluzja, gdyż mogło się wydarzyć tylko to, co się wydarzyło, i nie możemy tego w żaden sposób zmienić, skazani jesteśmy na taki, a nie inny bieg wydarzeń przez przeznaczenie, przez pieprzony los; oczywiście pan Eliot ujął to w nieco innych słowach. Z drugiej jednak strony, Kubuś Puchatek, który nie rozmyślał o życiu aż tak często jak T.S. Eliot, wierzył w realność wszystkich rzeczy i wydarzeń być może dlatego, że był tylko misiem o bardzo małym rozumku. Być może jednak pan Puchatek był w rzeczywistości mistrzem zen i wiedział o sensie życia więcej niż szanowny pan Eliot. Winda jechała do góry — byliśmy na poziomie P-5 — Bobby leżał martwy na podłodze, moje ręce lepiły się od jego krwi, a mimo to w moim sercu rodziła się nadzieja. Przez chwilę nie mogłem tego zrozumieć, gdy jednak spróbowałem dociec, co było źródłem tej nadziei, znalazłem odpowiedź w syntezie poglądów T.S. Eliota i Kubusia Puchatka. Gdy wyjechaliśmy na P-4, spojrzałem na Orsona — jeszcze kilka godzin temu bałem się, że nie żyje, a jednak leżał teraz przy mnie cały i zdrowy, wskrzeszony niczym Dzwoneczek po wypiciu trucizny przeznaczonej dla

Piotrusia Pana. Teraz nie byłem już szalony, byłem opętany, chory z przerażenia, rozpacz i nadziei, nie mogłem przestać myśleć o Dzwoneczku, którego uratowała wiara i marzenia wszystkich dzieci świata, także wierzących w cuda i wróżki. Podświadomie musiałem wiedzieć, do czego zmierzam, ale kiedy wyrwałem uzi z rąk Doogiego, nie zdawałem sobie sprawy, co właściwie chcę z nim zrobić. Sądząc po minie bywalca zabaw tanecznych, musiałem wyglądać jeszcze dziwniej, niż się czułem.

P-3.

Drzwi windy otworzyły się na poziomie P-3, odsłaniając korytarz napełniony mętym czerwonym światłem.

W tej tajemniczej poświacie stała piątka wysokich, rozmytych, zniekształconych postaci. Mogli to być ludzie, ale mogło to też być coś znacznie gorszego.

Mieli ze sobą jeszcze jedno stworzenie, także niewyraźne i rozmyte, z czterema łapami i ogonem, stworzenie, które mogło być kotem.

Pomimo wszystkich co-mogłoby-być, nie zawahałem się ani na moment, miałem bowiem tylko kilka sekund. Wszedłem z windy prosto w czerwone światło, kiedy jednak stanąłem na korytarzu, ten rozbłysnął białym blaskiem i przybrał realne kształty.

Roosevelt, Doogie, Sasha, Bobby, Mungojerrie i ja — ja sam, Christopher Snow — stali w korytarzu, patrząc na drzwi windy z takim wyrazem twarzy, jakby spodziewali się kłopotów.

Przed momentem, kiedy na poziomie P-6 wciągaliśmy do windy ciało Bobby'ego, ktoś na górze nacisnął guzik przyzywający kabinę. Tym kimś był Bobby, żywy Bobby sprzed

kilkudziesięciu minut.

W tym dziwnym budynku czas przeszły, teraźniejszy i przyszły płynęły obok siebie, zachodziły jednocześnie.

Nie mówiąc nic do mych przyjaciół — i samego siebie — którzy wpatrywali się we mnie z rozdziawionymi ustami, jakbym był najprawdziwszym upiorem, odwróciłem się w prawo, w stronę nadchodzących korytarzem strażników. Jeden z nich oddał przedtem strzał, który zabił Bobby'ego.

Wymierzyłem do nich z uzi i nacisnąłem spust. Obaj mężczyźni runęli na podłogę, nim jeszcze zdążyli skierować broń w moją stronę.

Świadomość tego, co zrobiłem, napełniała mnie obrzydzeniem, starałem się jednak wytłumaczyć sobie, że ci dwaj ludzie i tak zginęliby z ręki Doogiego. Ja przyspieszyłem tylko ich śmierć o kilka sekund, odmieniając tym samym całkowicie los Bobby'ego, ratując mu życie. Ale być może takie właśnie wymówki i argumenty stanowią doskonały budulec na drogę do piekła.

Tymczasem Sasha, Doogie i Roosevelt także wybiegli za mną z windy na korytarz.

Obie grupy stały przed sobą skamieniałe ze zdumienia, zamienione w słupy soli niczym żona Lota.

Nie rozumiałem, jak to mogło się dzieć, bo przecież nie wydarzyło się wcześniej. Nie spotkaliśmy samych siebie, czekając w tym korytarzu na kabinę. A jeśli spotykamy siebie teraz, to dlaczego ja tego nie pamiętam?

Paradoks. Paradoks czasowy. Wiecie, jak znam się na matematyce i na fizyce. Bliżej mi raczej do Kubusia niż do Eliota.

Bolała mnie głowa. Zmieniłem los Bobby'ego Hallowaya, co dla mnie było cudem, a nie matematyką.

Winda wypełniona była mętnym czerwonym światłem i niewyraźnymi postaciami dzieci. Drzwi zaczęły się powoli zamykać.

— Trzymajcie to! — krzyknąłem.

Teraźniejszy Doogie zablokował drzwi, do połowy zanurzony w czerwonej windzie, a do połowy w jasnym korytarzu.

Wibrujący elektroniczny pomruk znów przybrał na sile. Był przerażający.

Przypomniałem sobie radosne okrzyki Johna Josepha Randolpha, jego niezachwiane przekonanie, że wszyscy znajdziemy się wkrótce po drugiej stronie, w miejscu, którego nie nazwał. Mówił, że pociąg wyjeżdża już ze stacji. Zastanawiałem się, czy miał na myśli cały budynek i wszystkich zamkniętych w nim ludzi, czy tylko jajowatą salę.

Nagle znów zaczęło mi się bardzo spieszyć. Odwróciłem się do Doogiego i spytałem, czy w windzie jest Bobby.

— Jestem tutaj — powiedział Bobby z holu.

— W windzie jesteś tylko kupą martwego mięsa — powiedziałem mu.

— Niemożliwe.

— A jednak.

— Au.

— Maksymalnie.

Nie wiedziałem właściwie dlaczego, ale pomyślałem, że dobrze byłoby powrócić na górę, poza strefę tego węzła czasowego, z dwoma Bobbymi, żywym i martwym.

Wciąż przytrzymując drzwi w miejscu, terazniejszy Doogie wsunął głowę do windy, by po chwili znów odwrócić się do mnie.

— Tam nie ma Bobby’ego!

— Więc gdzie się podział? — spytała terazniejsza Sasha.

— Dzieci mówią, że po prostu... zniknął. Są tym okropnie podniecone.

— Ciało zniknęło, bo w końcu nie został postrzelony — wyjaśniłem, co w gruncie rzeczy było równie ogólne jak opis reakcji termonuklearnej zamykający się w słowach „no i gruchnęło”.

— Powiedziałeś, że jestem kupą martwego mięsa — powiedział Bobby z przeszłości.

— Co tu się dzieje? — spytał Doogie z jego grupy.

— Paradoks — odparłem.

— Co to znaczy?

— Czytam dużo poezji — odparłem zdesperowany.

— Dobra robota, synu — powiedzieli jednocześnie obaj Roosevelci, a potem spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Wsiadaj do windy — rozkazałem Bobby’emu.

— A gdzie jedziemy? — spytał ten.

— Wynosimy się stąd.

— Co z dziećmiakami?

— Mamy je.

— Orson?

— Czeka w windzie.

— Super.

— Ruszysz wreszcie tylek? — spytałem z narastającym zniecierpliwieniem.

— Wysiadają nam nerwy, co? — Bobby uśmiechnął się, wchodząc do windy i klepiąc mnie po ramieniu.

— Nie wiesz, przez co przeszliśmy.

— A czy to nie ja umarłem? — odparł mój przyjaciel, po czym zniknął w upiornym czerwonym blasku kabiny, stając się jeszcze jednym niewyraźnym kształtem.

Sasha, Doogie, Roosevelt i Chris Snow z przeszłości mieli nietęgie miny. Chris z przeszłości spytał mnie niepewnie:

— Co mamy teraz robić?

Zwracając się do samego siebie, odparłem:

— Rozczarowujesz mnie. Myślałem, że chociaż ty to zrozumiesz. Eliot i Puchatek, na miłość boską!

Kiedy pomruk maszynerii z jajowatej sali znów stał się głośniejszy, a podłoga zadrżała pod ciężarem kół niewidzialnego pociągu, powiedziałem:

— Musicie zjechać na sam dół i uratować dzieci, uratować Orsona.

— Wy już ich uratowaliście.

Kręciło mi się w głowie.

— Ale może wy mimo to musicie tam zjechać i uratować ich albo okaże się, że my tego nie zrobiliśmy.

Roosevelt z przeszłości podniósł swego przeszłego Mungojerriego i powiedział:

— Kot rozumie.

— Więc idźcie za cholernym kotem!

Wszyscy członkowie naszej grupy z terażniejszości, którzy stali jeszcze na korytarzu — Roosevelt, Sasha, ja i Doogie — weszli ponownie w czerwoną poświatę; kiedy jednak znaleźliśmy się we

wnętrzu kabiny, obok dzieci, czerwony blask zniknął, zostało tylko białe światło zwykłej żarówki.

Jednocześnie korytarz znów zanurzył się w czerwieni, a postacie nas samych z przeszłości przybrały niewyraźne, widmowe kształty.

Doogie nacisnął guzik z literą G, a drzwi windy zamknęły się wreszcie.

Orson wcisnął się pomiędzy mnie i Saszę, by stanąć przy moim boku.

— Cześć, bracie — powiedziałem cicho.

Orson polizał mnie po dłoni.

Byliśmy szczęśliwi.

Kiedy winda ruszyła do góry w przerażająco wolnym tempie, spojrzałem na zegarek. Lśniące cyfry nie sunęły do przodu ani nie cofały się jak w jajowatej sali. Na tarczy zegarka migotały jakieś dziwne figury, nieokreślone kształty, tylko czasami przypominające zniekształcone cyfry. Tłumiąc rosnący we mnie strach, zastanawiałem się, czy takie dziwne zachowanie zegarka oznacza, że przesuwamy się w bok, zmierzamy ku tej drugiej stronie, za którą tak mocno tęsknił John Joseph Randolph.

— Pan umarł — powiedział do Bobby'ego Aaron Stuart.

— Słyszałem.

— Nie pamiętasz, jak byłeś martwy? — spytał go Doogie.

— Nie bardzo.

— Nie pamięta tego, bo nigdy nie umarł — powiedziałem nieco za ostro.

Wciąż zmagalem się z rozpaczą, a jednocześnie wypełniała mnie ogromna radość, co tworzyło tak przedziwną mieszankę

emocji, że nie mogłem objąć jej myślami. Do tego wszystkiego ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Nie wydostaliśmy się jeszcze z tego przeklętego miejsca, a teraz mieliśmy znacznie więcej do stracenia niż na początku podróży. Gdyby ktoś z nas zginął w tej chwili, nie mógłbym już wyciągnąć kolejnego królika z kapelusza — nawet nie miałem kapelusza.

Kiedy sunęliśmy powoli do góry, wciąż zawieszeni między poziomem P-3 i P-2, wokół kabiny rozległa się seria głuchych huków, jakbyśmy tkwili we wnętrzu okrętu podwodnego obrzucanego bombami głębinowymi. Mechanizm windy zaczął niebezpiecznie skrzypieć.

— Gdybym to ja umarła, na pewno wszystko bym zapamiętała — oświadczyła Wendy.

— On nie umarł — powiedziałem, tym razem znacznie spokojniej.

— Umarł, przecież widziałem — upierał się Aaron Stuart.

— Ja też — przyłączył się do niego Anson.

— Pan się posikał — poinformował Bobby'ego Jimmy Wing.

— Nigdy — zapierał się Bobby.

— Tak pan powiedział — nie dawał za wygraną Jimmy.

Bobby spojrzał z powątpiewaniem na Saszę, ta zaś wzruszyła ramionami i odparła:

— Umierałeś, to było usprawiedliwione.

Cyfry na tarczy mego zegarka wykrzywiały się i zmieniały jeszcze szybciej niż poprzednio. Może Magiczny Pociąg wyjeżdżał już ze stacji, nabierał prędkości.

Kiedy osiągnęliśmy poziom P-2, budynek zatrzęsł się tak mocno, że kabina uderzała o ściany szybu, a my musieliśmy

uchwycić się poręczą przy ścianach, by utrzymać równowagę.

— Moje spodnie są suche — zauważył Bobby.

— Bo nie umarłeś — wycedziłem przez zęby. — A to oznacza, że nigdy się też nie posikałeś.

— Posikał się, widziałem — obstawał przy swoim Jimmy Wing.

Przeczuwając, co dzieje się teraz w moim umyśle, Roosevelt powiedział:

— Spokojnie, synu, spokojnie.

Orson postawił jedną łapę na mojej stopie, jakby chciał powiedzieć, że powinienem słuchać Roosevelta.

— Skoro nigdy nie umarł, to dlaczego pamiętamy, jak umierał? — drążył bezlitośnie Doogie.

— Nie wiem — odparłem słabo.

Winda zatrzymała się raptownie na poziomie P-2, choć Doogie naciskał tylko G. Drzwi rozsunęły się powoli.

Dzieci ustawione pod tylną ścianą nie mogły zobaczyć tego, co rozciągało się za drzwiami kabiny, jednak my widzieliśmy to doskonale, a widok ten zmroził nam krew w żyłach. Za progiem powinien czekać na nas korytarz, odarty do gołego betonu albo czysty i oświetlony jak przed kilku laty, jednak zamiast niego ujrzeliśmy ogromną panoramę, upiorny krajobraz. Czerwone niebo. Czarne jak smoła drzewa o poskręcanych gałęziach i wielkich pniach pokrytych dziwnymi naroślami, z których sączyła się odrażająca gęsta maź. Z niektórych gałęzi zwisały białe kokony, podobne do tych, jakie widzieliśmy w Umarłym Miasteczku, grube i lśniące, wypełnione złym życiem.

Staliśmy jak zaczarowani, wpatrując się w nieziemski krajobraz. Przez chwilę nie docierały do nas żadne zapachy ani

dźwięki, miałem więc nadzieję, że jest to raczej trójwymiarowa projekcja, a nie rzeczywistość. Wtedy jednak dojrzałem jakiś ruch przy progu kabiny — czerwono-czarne, cętkowane kłacza, piękne, a jednocześnie przerażające niczym jadowite węże, wsuwały się do kabiny, rozrastały szybciej niż rośliny na przyspieszonym filmie przyrodniczym.

— Zamknij drzwi! — krzyknąłem.

Doogie nacisnął guzik zamykający wejście do kabiny, a potem jeszcze raz guzik oznaczony literką G.

Drzwi nadal były otwarte.

Kiedy Doogie naciskał obie kontrolki na przemian, obok kabiny pojawiła się jakaś istota, przeszła zaledwie o dwie, trzy stopy od nas.

Unieśliśmy broń.

Był to mężczyzna w białym skafandrze. Na jego hełmie widniał napis HODGSON, jednak pod szybą kryła się twarz normalnego człowieka, a nie gniazdo robaków.

Byliśmy w przeszłości i po drugiej stronie. Chaos.

Rozedrgane, czarno-białe kłacza dotarły do dywanika we wnętrzu kabiny.

Orson powąchał je ostrożnie. Macki rośliny uniosły się nad podłogę niczym atakująca kobra, a Orson szybko się od nich odsunął.

Klnąc siarczyście, Doogie walił pięścią w jeden guzik, potem znów w drugi.

Hodgson zobaczył nas wreszcie i otworzył szeroko oczy.

Nienaturalna cisza i spokój ustąpił nagle miejsca podmuchowi gorącego powietrza, które wtargnęło do kabiny. Niosło ze sobą

zapach smoły i gnijącej roślinności. Okrążyło nas a potem uderzyło powtórnie, jakby było żywym stworzeniem.

Starając się nie nastąpić na czerwone pnącze, w obawie, że przebije podeszwę mojego buta, a potem i stopę, pochwyciłem oba skrzydła drzwi i próbowałem przyciągnąć je do siebie. Bezskutecznie.

Wraz ze smrodem dotarł do nas odległy, lecz przerażający dźwięk niczym krzyk tysięcy torturowanych ludzi. Towarzyszył mu jeszcze inny odgłos; nieludzki, niezrozumiały skowyt.

Hodgson odwrócił się w naszą stronę, wskazując nas jednocześnie innemu człowiekowi w skafandrze, który wychynął zza jego pleców.

Drzwi zaczęły się wreszcie zamykać. Cętkowane kłacza utknęły pomiędzy podłogą a stalowymi panelami. Przez moment wydawało się, że oba skrzydła staną w miejscu, a potem ponownie schowają się w ścianie, jednak po krótkich zmaganiach przecięły nieziemskie winorośla i zamknęły się z trzaskiem. Kabina ruszyła do góry.

Odcięte pnącza wiły się przez chwilę w miejscu, rozsiewając dokoła krople jakiejś żółtej mazi i zapach siarki — po czym zamieniły się w gęstą, lepłą papkę.

Budynek cały się trząsł, jakby więził w sobie wszystkie pioruny świata, jakby Thor tu właśnie wykuwał swoje błyskawice.

Wibracje musiały wpływać na pracę silnika, gdyż jechaliśmy jeszcze wolniej niż poprzednio.

— Spodnie pana Hallowaya są suche — podjął przerwana rozmowę Aaron Stuart. — Ale ja czułem siki.

— Ja też — przytaknęli chórem Anson, Wendy i Jimmy.

Orson parsknął cicho, jakby i on chciał się do nich przyłączyć.

— To paradoks — oświadczył poważnym tonem Roosevelt, jakby chciał oszczędzić mi cierpień i zbędnych wyjaśnień.

— Znowu to dziwne słowo — mruknął Doogie. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w tablicę kontrolną nad drzwiami, czekając, aż zapłonie symbol P-1.

— Paradoks czasowy — dodałem.

— Ale na czym on polega? — drążyła Sasha.

— A na czym polega działanie toster? — odpowiedziałem pytaniem, które miało oznaczać tyle co „Któż to wie?”.

Doogie trzymał palec na guziku z literką G. Nie chcieliśmy, by drzwi otworzyły się na poziomie P-1. P jak problem. P jak piekło. P jak paskudna śmierć.

— Panie Snow? — odezwał się znowu Aaron Stuart.

Wziąłem głęboki oddech.

— Tak?

— Skoro pan Halloway nie umarł, to czyją krew ma pan na rękach?

Spojrzałem na moje dłonie. Były lepkie od krwi Bobby'ego, a pobrudziły się nią wtedy, gdy przenosiłem jego martwe ciało do windy.

— Dziwne — przyznałem.

— Dlaczego zniknął tamten pan Halloway, a krew na pana rękach nie? — spytała Wendy Dulcinea.

Moja usta były zbyt wyschnięte, język zbyt twardy, a gardło zbyt ściśnięte, bym mógł odpowiedzieć na to pytanie.

Dygocząca kabina otarła się ze zgrzytem o jakiś przedmiot w szybie, jęknęła głośno i zatrzymała się na poziomie P-1.

Doogie nie odrywał palców od przycisku G i przycisku zamykającego drzwi.

Wciąż staliśmy w miejscu.

Nieposłuszne drzwi znów się otworzyły. Natychmiast owiało nas gorące powietrze i znajomy smród zgnilizny. Spodziewałem się, że lada moment do kabiny wtargnie drapieżne kłacze i pochłonie nas wszystkich w ciągu kilku sekund.

Choć w naszym czasie przemieściliśmy się o jeden poziom do góry, William Hodgson wciąż przebywał w Krainie Nigdy, tam gdzie go zostawiliśmy. I pokazywał nas palcem.

Mężczyzna za jego plecami — LUMLEY, jak głosił napis na hełmie — także odwrócił się w naszą stronę.

Spomiędzy czarnych, poskręcanych drzew wyleciało nagle jakieś zwierzę; stworzenie o gładkich nietoperzych skrzydłach, długim ogonie przypominającym skórzany bicz i potężnych, muskularnych kończynach wielkiego gada, ogromny gargulec, który opuścił dach gotyckiej katedry i poderwał się do lotu. Kiedy zwierzę nurkowało w stronę Lumleya, wypluło przed siebie strumień drobnych przedmiotów, zbliżonych kształtem do pestek brzoskwini. Byłem pewien, że te niewielkie kulki kryją w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo, że wypełnia je złe, przerażające życie. Lumley zatrzęsł się nagle, jakby postrzelony serią pocisków z karabinu maszynowego. W jego skafandrze pojawiły się idealnie okrągłe otwory, podobne do tych, jakie poprzedniego wieczoru widzieliśmy na ciele biednego Hodgsona.

Lumley krzyknął przeraźliwie, jakby coś pożerało go żywcem, a Hodgson cofnął się o krok, z twarzą wykrzywioną strachem.

Drzwi windy zaczęły się zamykać, ale ogromny gargulec

zmienił nagle kierunek lotu i ruszył prosto na nas.

W chwili gdy drzwi zareagowały wreszcie na sygnał z pulpitu kontrolnego i zamknęły wejście do kabiny, uderzyła w nie seria twardych przedmiotów, a na stalowej powierzchni ukazało się kilkanaście wybrzuszeń, jakby demoniczne pociski omal nie przebiły grubej warstwy metalu.

Sasha pobladła, ja także. Wydawało się, że nawet Orson przybrał jaśniejszy odcień czerni.

Wznosiliśmy się na najwyższy poziom wśród ogłuszającego huku piorunów, zgrzytu stalowych kół toczących się po szynach, gwizdów, pisków i nieustającego elektronicznego buczenia, jednak ponad wszystkie te hałasy wybijał się inny dźwięk, dźwięk tajemniczy i przerażający. Coś było na dachu kabiny, ślizgało się po niej.

Być może jakiś luźny kabel, co przynajmniej tłumaczyłoby, dlaczego posuwamy się do góry w tak nierównomiernym tempie. Ale to nie był luźny kabel. Dobrze o tym wiedziałem. To coś było żywe. Żywe i groźne.

Nie mogłem zrozumieć, jak coś dostało się za nami do szybu windy, kiedy drzwi kabiny były już zamknięte — chyba że różne rzeczywistości połączyły się już ze sobą niemal całkowicie, na stałe. Czy w takim razie owo stworzenie nie dołączy do nas za moment, przenikając przez ściany niczym duch?

Doogie wciąż wpatrywał się w tablicę nad drzwiami kabiny, jednak wszyscy pozostali — zwierzęta, dzieci, dorośli — podnieśli głowy w stronę przerażających odgłosów.

Na środku dachu znajdowała się otwierana kłapa, wyjście ratunkowe. Droga na zewnątrz. Droga do wewnątrz.

Znów pożyczyłem uzi od Doogiego i wymierzyłem w sufit. Sasha także trzymała broń zwróconą ku górze.

Nie przypuszczałem jednak, by nawet zmasowany ogień powstrzymał tajemniczą bestię. Jeśli czegoś nie pomyliłem, to Delacroix mówił w swoim testamencie, że niektórzy członkowie ekspedycji byli doskonale uzbrojeni, kiedy przenieśli się na drugą stronę. Karabiny nie uratowały ich przed śmiercią.

Winda sunęła w górę, jęcząc, piszcząc i zgrzytając.

Pokrywa w suficie windy nie była umocowana na zawiasach, nie miała też żadnych uchwytów, zasuwek czy zamków. By wyjść z wnętrza kabiny, wystarczyło pchnąć ją mocno do góry i przesunąć w bok. Od zewnątrz musiała być jednak zaopatrzona w jakiś uchwyt czy wgłębienie na palce, by umożliwić ratownikom wejście do uwięzionych w windzie ludzi.

Latający gargulec miał łapy i grube, zakrzywione jak szpony palce. Może były zbyt grube, by zmieścić się w uchwycie.

Głośne, uparte drapanie. Coś zgrzytało o dach kabiny, jakby próbowało przetrzeć grubą warstwę metalu. Skrzypnięcie, uderzenie, zgrzyt. Cisza.

Dzieci zbiły się w ciasną gromadkę.

Orson warknął niepewnie.

Ja odchrząknąłem.

Miałem wrażenie, że ściany windy zbliżają się do siebie, zacieśniają wokół nas, tworząc wielką zbiorową trumnę. Powietrze niezwykle zgęstniało, trzeba było łykać je jak płyn. Lampa pod sufitem zaczęła migotać.

Metalowa pokrywa jęknęła ciężko, jakby ktoś postawił na niej ogromny ciężar, i wygięła się do środka.

Po chwili napór na dach zelżał, ale pokrywa nie wróciła do poprzedniego kształtu. Była zdeformowana. Gruba stalowa blacha wygięta niczym plastik. Wolałem nawet nie myśleć o tym, jakiej siły wymagało podobne zadanie.

Pot zalewał mi oczy. Otarłem czoło wierzchem dłoni.

— Jest! — krzyknął Doogie, kiedy na tablicy zaświeciła się litera G.

Na razie jednak w niczym nie zmieniło to naszej sytuacji. Drzwi nadal pozostawały zamknięte.

Kabina zaczęła się kołysać gwałtownie, podnosić i opadać, zgrzytając i skrzypiąc przy tym przeraźliwie, jakby lada moment miała rozsypać się na drobne kawałki i pogrzebać nas wszystkich na dnie szybu.

Gargulec — albo coś innego — siedzący na dachu szarpał za uchwyt pokrywy. Jego poprzednie uderzenie wbiło ją w otwór i zaklinowało na dobre.

Drzwi kabiny także się zaklinowały, a Doogie tym razem walił ze złością w guzik, który powinien je otworzyć.

Brzeg powyginanej klapy załomotał o ramę, w której był osadzony, gdy bestia nad naszymi głowami szarpnęła ją po raz kolejny z nie ludzką siłą.

Wreszcie otworzyły się drzwi windy. Doskoczyłem do wyjścia, pewien, że ujrzę za progiem piekielną krainę i że do potwora na dachu kabiny dołączy całe stado jego pobratymców.

Byliśmy na parterze. W hangarze panował niesamowity hałas, porównywalny tylko z hałasem, jaki ogarnia wielkie miasta w noc sylwestrową, ale z pewnością był to tylko hangar; bez czerwonego nieba, bez czarnych drzew i cętkowanych pnączy.

Pokrywa nad naszymi głowami skrzypiała, zgrzytała, trzęsła się gwałtownie. Rama podtrzymująca ją w miejscu zaczęła pękać.

Gwałtowne szarpnięcia chwiały całą kabiną. Jej podłoga podnosiła się i opadała względem podłogi hangaru niczym pokład statku zacumowanego w doku na czas sztormu.

Oddałem Doogiemu uzi, pochwyciłem swój karabin i przeskoczyłem nad ruchomym progiem, opuszczając wreszcie kabinę windy. Orson i Bobby deptali mi po piętach.

Sasha i Roosevelt pomogli dzieciom przedostać się na stały ląd, po czym sami wyskoczyli do hangaru. Ostatni opuścił windę Mungojerrie, który na odchodnym spojrział jeszcze z ciekawością na sufit.

Kiedy Sasha odwróciła się od kabiny, potężny trzask oznajmił wszystkim, że pokrywa nie wytrzymała w końcu wściekłych ataków potwora. Niemal w tej samej chwili gargulec wskoczył do wnętrza windy. Gdy stanął już na podłodze, rozłożył błoniaste czarne skrzydła. Szykując się do skoku, naprężył potężne mięśnie na szponiastych łapach. Ogon uderzał niczym bicz o ściany kabiny. Srebrne oczy błyszczały złowrogo. Wielki pysk wyglądał jak fałdy czerwonego aksamitu, lecz długi, rozdwojony język był czarny.

Przypomniałem sobie okrągłe, podobne do pestek pociski, którymi potwór raził Lumleya i Hodgsona. Krzyknąłem ostrzegawczo do Sashy, a kiedy ta odwróciła się w stronę kabiny, potwór wydał z siebie przeraźliwy skowyt. Nim jednak otworzył szerzej pysk, by wypluć z nich ładunek białych pasożytów, kabina rozpadła się pod jego ciężarem i runęła w dół szybu, ciągnąc za sobą kable i liny.

Gargulec miał skrzydła, przypuszczałem więc, że za chwilę wygrzebie się ze szczątków widny i wyleci z szybu, zrozumiałem jednak, że szyb już nie istnieje. W jego miejscu ziała rozgwieżdżona otchłań, którą widziałem już raz tej nocy za drzwiami klatki schodowej.

Pomyślałem o magicznej szafie będącej bramą do zaczarowanej krainy Narnia, o lustrach, króliczych dziurach i królowych z kart. Znow wracałem do dzieciństwa.

Szybko jednak przeniosłem się myślami do innej lektury i zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby Kubuś Puchatek — zaakceptowałem wszystko, co widziałem wcześniej i na co patrzyłem teraz.

Prowadziłem nasz nieustraszony oddział przez hangar, w którym działy się rzeczy niemożliwe do opisania i opowiedzenia, przez tę magiczną krainę czasu przeszłego, teraźniejszego, przyszłego i bocznego, kłaniałem się grzecznie zdumionym robotnikom w kaskach, podnosiłem karabin, widząc uzbrojonych ludzi w mundurach, omijałem miejsca, w których materializowały się obiekty z przeszłości. Jeśli myślicie, że było to łatwe, to jesteście kaki.

Czasami szliśmy przez pusty i ciemny hangar, kiedy indziej ogarniał nas mętny czerwony blask, potem znow wracaliśmy do oświetlonego pomieszczenia, pełnego ludzi pracujących przy maszynach. W pewnej chwili znaleźliśmy się nawet poza hangarem, w świecie, gdzie na czerwonym niebie wisały dwa małe słońca, dokoła zaś rozciągał się las wielkich, poskręcanych drzew. Jednak po kilku sekundach znow byliśmy wśród robotników i wielkich maszyn, potem weszliśmy w ciemność

i wreszcie dotarliśmy do wyjścia.

Nikt nie rzucił się za nami w pościg, jednak biegliśmy co sił aż do miejsca, gdzie Doogie zostawił samochód. Tam przystanęliśmy, by zaczerpnąć tchu i obserwować hangar ogarnięty burzą czasową. Betonowe fundamenty budynku, karbowane stalowe ściany i półokrągły dach pulsowały czerwonym blaskiem. Z wąskich okien pod dachem wzbiły się ku niebu potężne snopy białego światła. Wsłuchując się w dźwięki dobiegające z wnętrza hangaru, można by pomyśleć, że tysiąc słoni przedziera się tam przez tysiące składów porcelany, że ścierają się ze sobą całe dywizje czołgów, że rozjuszone tłumy domagają się krwi tyranów. Grunt pod naszymi nogami drżał prawie tak mocno jak podczas trzęsienia ziemi, a ja zastanawiałem się, czy stojąc w tak niewielkiej odległości od hangaru, jesteśmy bezpieczni.

Przypuszczałem, że cała budowla eksploduje lub zniknie w morzu płomieni, lecz stało się coś zupełnie innego. Zniknął czerwony blask, zgasły potężne reflektory, a budynek zaczął migotać w niesamowitym tempie, jakby dwa tysiące dni i nocy przemijały w ciągu dwóch minut, księżyc zamieniał się ze słońcem, ciemność z jasnością. Potem budynek zaczął się sam demontować, robotnicy biegali wokół niego, poruszając się wyłącznie do tyłu, nadjechały maszyny budowlane, zniknął najpierw dach, potem ściany, wielkie ciężarówki wyssały beton z fundamentów, dźwigi wyciągały z ziemi stalowe szkielety, demontując sześć podziemnych poziomów, potem zastąpiły je koparki, które w błyskawicznym tempie zasypały ogromny dół, wreszcie po finałowym trzasku i oślepiającym, czerwonym

błysku dokoła zapadła cisza.

Hangar i ukryty pod nim labirynt przestały istnieć.

Dzieci były zachwycone tym spektaklem, cieszyły się tak jakby w ciągu jednego wieczoru spotkały E.T., przejechały się na grzbiecie brontozaura i odbyły krótką wycieczkę na Księżyc.

— I to już koniec? — dziwił się Doogie.

— Jakby nigdy tu tego nie było — zasugerowałem.

— Ale to było — odparła Sasha.

— Efekt szczątkowy na dużą skalę. Cały budynek implodował... w przeszłość, jak sądzę.

— Ale skoro nigdy nie istniał, dlaczego pamiętam, że tu był? — spytał Bobby.

— Nie zaczynaj — ostrzegłem go.

Zapakowaliśmy się do hummera — pięcioro dorosłych, cztero podekscytowanych dzieciaków, jeden pies i jeden kot — a Doogie zawiózł nas do bungalowu, w którym znaleźliśmy rozkładające się zwłoki Delacroix i tajemnicze kokony. Praca egzorcysty to naprawdę ciężki kawałek chleba.

Po drodze Aaron Stuart uznał, że wie już, dlaczego mam krew na rękach, i podzielił się z nami owocem swych rozmyślań:

— Pan Halloway na pewno nie żyje — oświadczył poważnie.

— Już o tym rozmawialiśmy — westchnąłem. — Był martwy, ale już nie jest.

— Nie żyje — zgodził się ze swoim bratem Anson.

— Może i nie żyję, ale mam suche spodnie — wtrącił Bobby.

— Może on rzeczywiście nie żyje — zastanawiała się głośno Wendy.

— O co wam chodzi, do diabła? — Odwróciłem się do dzieci, by

zgromić je spojrzeniem. — On żyje, to jest paradoks, nie umarł! Wy musicie tylko uwierzyć we wróżki, klasnąć w ręce i zawołać: „Dzwoneczek będzie żył!”. Czy to tak trudno zrozumieć?

— Wyluzuj się, Snowman — poradziła mi Sasha.

— Jestem wyluzowany.

Przez chwilę jeszcze patrzyłem groźnie na dzieci, które zajmowały trzeci, ostatni rząd siedzeń. Orson siedział w bagażniku za ich plecami. Przechylił głowę i spojrzał na mnie ponad głowami dzieci, jakby chciał powiedzieć „Wyluzuj się, bracie”.

— Jestem spokojny — zapewniłem go.

Parsknął z niedowierzaniem.

Bobby rzeczywiście przez jakiś czas nie żył. Umarł. Był całkowicie martwy, nie do odratowania. No i dobrze. Czas się z tym pogodzić. Tutaj, w Wyvern, życie toczy się dalej, czasami nawet dla zmarłych. Poza tym byliśmy o milę od plaży, więc nic, co się tu wydarzyło, nie mogło być ważne.

— Synu, ta historia z Dzwoneczkiem naprawdę wszystko tłumaczy — powiedział Roosevelt. Albo chciał mnie uspokoić, albo całkiem oszalał.

— Tak — zgodził się z nim Jimmy Wing. — Dzwoneczek.

— Dzwoneczek — powtórzyły bliźniaki, kiwając zgodnie głowami.

— Właśnie — dołączyła do nich Wendy. — Dlaczego sama na to nie wpadłam?

Mungojerrie miauknął. Nie wiedziałem, co to miało oznaczać.

Doogie wjechał na krawężnik, przejechał przez chodnik i zatrzymał się na trawniku przed domem.

Dzieci zostały w samochodzie z Orsonem i Mungojerriem.

Sasha, Roosevelt i Doogie zajęli pozycje wokół hummera, stając na straży.

Na prośbę Sashy Doogie włączył do ekwipunku dwa kanistry benzyny. Bobby i ja wnieśliśmy je teraz do wnętrza bungalowu, by po raz kolejny uszczuplić majątek narodowy.

Powrót do tego upiornego miejsca był jeszcze mniej atrakcyjny niż odkładana przez długi czas wizyta u dentysty, ale przecież obaj jesteśmy twardzielami, więc bez wahania wkroczyliśmy na werandę, a potem do wnętrza domu.

W salonie postawiliśmy kanistry na podłodze, zachowując przy tym taką ciszę, jakbyśmy bali się obudzić jakiegoś kłótliwego śpiocha. Włączyłem latarkę.

Kokony zawieszono pod sufitem zniknęły.

Najpierw pomyślałem, że stworzenia mieszkające w tych jedwabnych tubkach wyrwały się na wolność i krążyły teraz po okolicy, siejąc panikę wśród statecznych obywateli Moonlight Bay. Potem zauważyłem jednak, że ani na suficie, ani na podłodze nie pozostał najmniejszy ślad kokonów, ani jedna nitka.

Pojedyncza czerwona skarpetka, która niegdyś należała zapewne do synka lub córeczki Delacroix, nadal spoczywała na podłodze, pokryta grubą warstwą kurzu. Ogólnie bungalow wyglądał tak, jak go zapamiętałem.

W jadalni także nie znaleźliśmy kokonów. Ani w kuchni.

Z podłogi zniknęły zwłoki Lelanda Delacroix, podobnie jak fotografie jego rodziny, szklane naczynie na świecę, obręczka i pistolet, z którego się zastrzelił. Stare linoleum nadal skrzypiało pod naszym ciężarem, lecz nie zauważyłem na jego powierzchni

żadnych plam świadczących o tym, że leżało tu rozkładające się ciało.

— Magiczny Pociąg nigdy nie powstał — powiedziałem — więc Delacroix nigdy nie przeniósł się... na drugą stronę. Nigdy nie otworzył drzwi.

— Nigdy nie został zarażony albo nawiedzony — dodał Bobby. — I nigdy nie zaraził swojej rodziny. Więc wszyscy żyją?

— Mam nadzieję. Ale jak mogło go tutaj nie być, skoro był, i ja to pamiętam?

— Paradoks — odparł krótko Bobby, jakby i on zrozumiał, że i tak nikt z nas nie będzie w stanie tego wyjaśnić. — Więc co robimy?

— Palimy — postanowiłem.

— Na wszelki wypadek?

— Nie, po prostu lubię patrzeć na ogień.

— Nie znałem cię od tej strony, bracie.

— Dobra, spalmy te śmieci.

Kiedy polewaliśmy benzyną kuchnię, jadalnię i salon, od czasu do czasu zamierałem w bezruchu, zdawało mi się bowiem, że słyszę jakieś szmery w ścianach budynku. Gdy jednak zaczynałem nasłuchiwać, tajemnicze odgłosy cichły.

— Szczury — powiedział Bobby.

Poczułem się naprawdę zaniepokojony, bo skoro Bobby także coś słyszał, to owe dźwięki nie były tylko wytworem mojej wyobraźni. Co więcej, z pewnością nie było to popiskiwanie i chrobot typowy dla szczurów. Brzmiało to raczej jak szelest traw rozsuwanych przez pełznącego węża.

— Bardzo wyrośnięte szczury — powiedział Bobby z większym

naciskiem, ale mniejszym przekonaniem.

By opanować rozedrgane nerwy, tłumaczyłem sobie w duchu, że obaj z Bobbym zatruliśmy się oparami benzyny i nie możemy ufać swoim zmysłom. Mimo to przez cały czas bałem się, że usłyszę w głowie głosy powtarzające „zostań, zostań, zostań...”.

Uciekliśmy z bungalowu żywi i cali.

Wykorzystując resztki benzyny, wylałem cienką stróżkę na werandę, przez schody i wzdłuż chodnika.

Doogie odjechał w głąb ulicy, na bezpieczną odległość.

Blask księżyca otulał Umarłe Miasteczko srebrnym płaszczem. Wydawało mi się, że z pustych okien okolicznych domów patrzą na nas upiorne, wrogie postacie.

Odstawiłem pusty kanister na werandę, wróciłem do hummera i poprosiłem Doogiego, by cofnął o kilka jardów, tak żeby tylne koło znalazło się na pokrywie kanału. Małpiego kanału.

Gdy wróciłem przed dom, Bobby podłożył ogień.

Kiedy błękitno-pomarańczowy płomień wspinał się pospiesznie na schody werandy, Bobby powiedział:

— Kiedy umierałem...

— Tak?

— Czy krzychałem jak zarzynana świnia, śliniłem się ze strachu, zapomniałem o godności?

— Byłeś całkowicie opanowany. Z wyjątkiem tych mokrych spodni.

— Teraz nie są mokre.

Płomień dotarł do salonu i ogarnął gwałtownie cały dom.

Odsuwając się od oślepiającego ognia, powiedziałem:

— Kiedy umierałeś...

— Tak?

— Powiedziałeś; „Kocham cię, bracie”.

Bobby skrzywił się lekko.

— Fatalnie.

— A ja odpowiedziałem ci tym samym.

— Musiałeś to zrobić?

— Umierałeś.

— Ale teraz żyję.

— To dziwne — przyznałem po raz kolejny tej nocy.

— Musimy ocenzurować ten cholerny paradoks.

— Jak to?

— Będziemy pamiętać wszystko, oprócz moich ostatnich słów.

— Za późno. Załatwiłem już wszystko w kościele i w urzędzie stanu cywilnego. Zamówiłem też kwiaty.

— Ubiorę się na białą.

— Nie zrobisz mi tego.

Odwróciliśmy się od płonącego bungalowu i wyszliśmy na ulicę. Cienie drzew, oświetlanych migotliwym blaskiem ognia, tańczyły pod naszymi nogami.

Kiedy zbliżaliśmy się do hummera, ciszę nocy rozdarł znajomy, przeraźliwy wrzask. Odpowiedziało mu kilka innych, równie przeraźliwych krzyków. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem stado małych biegnących w naszą stronę.

Magiczny Pociąg i jego twórcy zniknęli z Wyvern bez śladu, jakby nigdy ich tutaj nie było, lecz praca Wisterii Jane Snow i jej ponure konsekwencje nie przepadły w otchłani czasu.

Wskoczyliśmy do hummera, a Doogie uruchomił centralny zamek, blokując wszystkie drzwi. W tej samej chwili rezusy

opadły samochód jak rój rozwścieczonych pszczoł.

— Jedź, ruszaj, hau, miau, wynośmy się stąd! — krzyczeli wszyscy naraz, choć Doogie wcale nie potrzebował dodatkowej zachęty.

Nacisnął pedał gazu, ruszając z piskiem opon i zostawiając za sobą kilka rozczarowanych małąp, którym zderzak wyślizgnął się nagle z pazurów.

Nie był to jednak koniec naszych kłopotów. Kilka innych rezusów trzymało się listew bagażnika na dachu.

Jedna wyjątkowo paskudna mała pa wisiała za drzwiami bagażnika, uczepiona listwy tylnymi łapami. Pomimo nietypowej, odwróconej pozycji z wściekłością waliła pazurami w szyby i wykrzykiwała jakieś małpie obelgi pod naszym adresem. Orson stanął naprzeciwko niej i obnażył kły w groźnym grymasie, starając się jednocześnie utrzymać na nogach, gdy Doogie wykonywał karkołomne ewolucje, by zrzucić z samochodu uparte zwierzęta.

Kolejny rezus ześlizgnął się z dachu, prosto na przednią szybę, zasłaniając Doogiemu widok. Jedną łapą przytrzymał się wycieraczki, w drugiej zaś dzierżył niewielki kamień. Uderzył nim w szybę, a gdy nie przyniosło to żadnego skutku, ponowił próbę — tym razem na szklanej powierzchni pojawiło się drobne, gwiazdziste pęknięcie.

— Do diabła — mruknął Doogie, uruchamiając wycieraczki.

Zaskoczona mała pa pisnęła ze strachu, puściła wycieraczkę, przetoczyła się po masce samochodu i spadła na ziemię.

Bliźniaki Stuartów wzniosły triumfalny okrzyk.

Na przednim siedzeniu obok kierowcy jechał Roosevelt, co

prawda bez broni, ale z kotem na kolanach. Coś uderzyło w szybę przy jego głowie, a Mungojerrie miauknął przestraszony.

Za oknem wisiała mała, także odwrócona łbem do dołu. Trzymała w łapie klucz do śrub i waliła nim w okno jak młotkiem. Nie było to odpowiednie narzędzie do tego rodzaju pracy, okazało się jednak znacznie skuteczniejsze od kamienia, ponieważ przy kolejnym uderzeniu cała szyba pokryła się misterną siatką pęknięć.

Mungojerrie nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń, lecz wskoczył na oparcie fotela Roosevelta, potem wylądował między mną i Bobbym, by wreszcie znaleźć schronienie na ostatnim rzędzie siedzeń, wśród dzieci.

Nim jeszcze kot wcisnął się pomiędzy zaskoczone dzieciaki, płat rozbitej szyby wylądował na kolanach Roosevelta. Doogie prowadził samochód i potrzebował do tego obu rąk, a gdyby ktokolwiek z nas próbował zastrzelić napastnika, musiałby tym samym pozbawić Roosevelta głowy, co nie wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Rezus skoczył na naszego tłumacza i próbował go ugryźć, kiedy ten chciał mu odebrać klucz. Mała poruszała się z niesamowitą szybkością i w mgnieniu oka przeskoczyła nad przednim fotelem.

Co dziwne, rzuciła się najpierw na Bobby'ego — być może pomyliła go ze mną, synem Wisterii Jane Snow. To mama powołała do życia te stworzenia, dlatego też ja uchodziłem w małych środowiskach za syna doktor Frankenstein. Słyszałem, jak klucz odbija się od głowy Bobby'ego, choć na pewno nie tak mocno, jak życzyłaby sobie tego mała, która nie miała tu dość miejsca na odpowiedni zamach.

Potem Bobby zdołał jakoś złapać ją obiema dłońmi za gardło, a zwierzę wypuściło klucz, by uwolnić się z morderczego uścisku. Tylko bardzo lekkomyślny wróg mała próbowałby w tych okolicznościach użyć broni, więc kiedy Doogie wciąż jechał szalonym slalomem, Sasha odsunęła szybę po swojej stronie, a Bobby podał mi kłopotliwy ciężar. Chwyciłem małą za szyję i zacisnąłem wokół niej palce, a Bobby cofnął rękę. Choć wszystko to odbywało się bardzo szybko, zbyt szybko, byśmy mogli się zastanawiać nad naszymi poczynaniami, rozwścieczony rezus zdążył dać się nam we znaki; kopał i wymachiwał łapami z zaskakującą siłą, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że nie mógł zaczerpnąć oddechu. Dwadzieścia pięć funtów oszalałego ze strachu i nienawiści zwierzęcia próbowało chwycić nas za włosy, wydrapać oczy i oderwać uszy. Sasha odwróciła głowę na bok, a ja pochyliłem się nad jej kolanami, próbując wyrzucić rezusa z samochodu. Wystawiłem go za okno i zwolniłem uścisk. Widząc, że mała zniknęła wreszcie w ciemności, Sasha zasunęła szybę tak raptownie, że ledwo zdążyłem cofnąć rękę.

— Nie róbmy tego więcej — powiedział Bobby.

— Zgoda.

Kolejny rozwrzeszczany napastnik próbował wskoczyć do hummera przez wybite okno, jednak Roosevelt przywitał go celnym ciosem. Zwierzak wyleciał do góry jak wystrzelony z katapulty i zniknął nam z oczu.

Doogie wciąż jeździł od krawężnika do krawężnika, a mała zawieszona na tylnych drzwiach kołysała się niczym wahadło jakiegoś dziwaczego zegara. Orson stracił na moment

równowagę, natychmiast jednak poderwał się na równe nogi, warcząc i kłapiąc zębami, by uświadomić upartemu reżusowi, co go spotka, jeśli spróbuje dostać się do środka.

Tymczasem pozostali członkowie stada nadal ścigali nasz samochód. Choć szalone manewry Doogiego uwolniły nas w dużej mierze od niepożądanego towarzystwa, spowolniły także tempo jazdy i mały znów zaczęły nas doganiać.

Wreszcie Doogie przestał jechać slalomem, nacisnął pedał gazu i wyjechał z zakrętu z taką prędkością, że gdy nagle gwałtownie zahamował, samochód omal nie stanął dęba. Tylko refleks naszego kierowcy ocalił od gwałtownej śmierci pierwsze kojoty ze stada, które biegło ulicą Umarłego Miasteczka.

Mała uwieszona u tylnych drzwi wrzasnęła przerażona widokiem lub zapachem stada i rzuciła się do ucieczki.

Kojoty, sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt osobników, rozstały się niczym wody strumienia i otoczyły nasz samochód.

Bałem się, że któryś z nich spróbuje rzucić się na nas przez wybite okno. Z pewnością nie poradziłibyśmy sobie z nim tak łatwo jak z małą. Jednak kojoty nie przejawiały żadnego zainteresowania zapuszkowanym ludzkim mięsem i mijały samochód obojętnie, zmierzając w sobie tylko znanym kierunku.

Stado małych ścigających nasz wóz wybiegło właśnie zza rogu. Były tak zaskoczone czekając tu na nie niespodzianką, że wystrzeliły do góry, jakby korzystały z trampoliny. Jako zwierzęta inteligentne i przewidujące nie czekały na dalszy rozwój wypadków, lecz natychmiast rzuciły się do ucieczki. Kojoty ruszyły ich śladem.

Dzieciaki odwróciły się w fotelach, wznosząc okrzyki na cześć

kojotów.

— Czuję się jak w świecie *Jaskiniowców* — mruknęła Sasha.
Doogie wywiózł nas z Wyvern.

Kiedy byliśmy pod ziemią, wiatr przegnał chmury, a teraz na niebie wisiał wielki srebrny księżyc, okrągły jak czas.

27

Nie minęła jeszcze północ, kiedy rozwieźliśmy wszystkie dzieciaki do domów. Było to bardzo miłe przeżycie. Łzy nie zawsze są gorzkie. Łzy w oczach rodziców, którym oddawaliśmy ich zguby, były słodkie jak miłość. Gdy Lilly Wing spojrzała na mnie, tuląc do siebie Jimmy'ego, zobaczyłem w jej oczach coś, co pragnąłem zobaczyć tam przed laty. W czasie teraźniejszym nie było to jednak dla mnie już tak ważne, jak w przeszłości.

Kiedy wróciliśmy do mojego domu, Sasha, Bobby i ja chcieliśmy uczcić udaną wyprawę jakimś miłym przyjęciem, ale Roosevelt wolał wrócić na swój jacht i obłożyć stłuczone oko filetem z ryby.

— Dzieci, jestem już stary. Wy się bawcie, ale ja pójdę spać.

Doogie, który miał tej nocy wolne, już wcześniej umówił się na randkę o północy, jakby nigdy nie wątpił, że wróci z Wyvern cały i zdrowy.

— Dobrze, że zdążę jeszcze wziąć prysznic — powiedział. — Muszę śmierdzieć jak mała.

Kiedy Bobby i Sasha ładowali nasze deski do samochodu, ja umyłem okrwawione ręce. Potem przeszedłem z Mungojerriem i Orsonem do jadalni, przerobionej teraz na pokój muzyczny

Sashy, by posłuchać taśmy, którą przesłuchałem już wcześniej dwukrotnie. Testamentu Lelanda Delacroix.

Kieszon, w której zostawiłem kasetę po ostatnim odtworzeniu, była pusta. Zniknęła podobnie jak budynek, w którym pracowano nad projektem Magiczny Pociąg. Skoro Delacroix nigdy się nie zastrzelił, skoro nigdy nie przeniósł się na drugą stronę, to nie mógł też dokonać tego nagrania.

Podszedłem do półki, na której Sasha przechowuje kasety z nagraniami swoich kompozycji. Kopia testamentu Delacroix, zatytułowana *Nerki z tequili*, stała tam, gdzie ją zostawiłem.

— Będzie czysta — powiedziałem.

Orson obdarzył mnie zagadkowym spojrzeniem. Biedak musiał jeszcze zostać wykąpany i opatrzony. Sasha pomyślała zapewne o tym samym, bo pakowała już do samochodu zestaw pierwszej pomocy.

Mungojerrie czekał przy magnetofonie, kiedy powróciłem z kasetą.

Wsunąłem ją do kieszeni i uruchomiłem odtwarzanie.

Szum taśmy rozbiegowej. Delikatny trzask. Ciężki, rytmiczny oddech. Potem płacz, głośny szloch. Wreszcie głos Delacroix: „To jest ostrzeżenie. Testament”.

Nacisnąłem klawisz „Stop”. Nie rozumiałem, jak mogło dojść do tego, że oryginał zniknął, a kopia pozostała nienaruszona. Jak Delacroix mógł nagrać swój testament, skoro nigdy nawet nie słyszał o Magicznym Pociągu?

— Paradoks — westchnąłem.

Orson pokiwał głową.

Mungojerrie spojrział na mnie i ziewnął, jakby chciał

powiedzieć mi, że jestem starym nudziarzem.

Przewinąłem taśmę do przodu i zatrzymałem ją dopiero w miejscu, gdzie Delacroix wymieniał nazwiska znanych mu pracowników projektu. Pierwsze nazwisko brzmiało: doktor Randolph Josephson. Cywilny naukowiec i dyrektor całego przedsięwzięcia.

Doktor Randolph Josephson.

John Joseph Randolph.

Opuszczając w wieku osiemnastu lat zakład poprawczy, Johnny Randolph z pewnością stał się Randolphem Josephsonem. Już pod nowym nazwiskiem zdobył wykształcenie, i to najwyraźniej bardzo dobre wykształcenie, przekonany, że w ten sposób spełni się jego przeznaczenie. Przeznaczenie, które sam sobie wymyślił, ujrawszy kruka odlatującego ze skały.

Jeśli chcecie, możecie wierzyć, że to sam diabeł złożył wizytę dwunastoletniemu Johnny'emu Randolphowi, przybierając w tym celu postać kruka, i że to on namówił go do zabicia rodziców, a potem do zbudowania maszyny — Magicznego Pociągu — która otworzyłaby przejście między tym światem i piekłem, wypuściła na wolność legiony demonów skazanych na życie pod ziemią.

Możecie też wierzyć, że dwunastoletni chłopiec z zaburzeniami osobowości przeczytał podobną historię w jakimś komiksie, przeniósł ją do własnego życia, stworzył z niej iluzję, która pchnęła go do zbudowania tej piekielnej maszyny. Większość z was powie zapewne, że to mało prawdopodobne, by socjopata, który z zimną krwią zabija swoich rodziców, mógł potem zostać naukowcem o podobnej pozycji i renomie, dyrektorem projektu

zakrojonego na niewyobrażalną skalę. Należy jednak pamiętać, że był on niezwykle zdyscyplinowanym socjopata, że ograniczał się do jednego zabójstwa na rok, a pozostałą energię wykorzystywał do robienia kariery. A większość spośród ludzi, którzy decydują o tym, jakie projekty zostaną sfinansowane z utajnionej części budżetu państwa, nie jest tak zrównoważona jak ja czy wy. No dobrze, nie jest tak zrównoważona jak wy, bo z pewnością każdy, kto przeczyta ten dziennik, będzie mógł śmiało uznać mnie za człowieka o zachwianej równowadze emocjonalnej. Strażnicy naszych pieniędzy często szafują nimi bez umiaru, finansując ambitne, lecz szalone projekty. Byłbym ogromnie zaskoczony, gdyby okazało się, że John Joseph Randolph — alias doktor Randolph Josephson — jest jedynym wariatem, którego państwo obdarza pieniędzmi z naszych podatków.

Zastanawiałem się, czy Randolph leży w Forcie Wyvern, pogrzebany pod tysiącami ton ziemi, które wróciły na swoje miejsce po szalonym, nierzeczywistym demontażu ogromnej budowli. A może nigdy nie był w tym miejscu, nigdy nie kierował projektem Magiczny Pociąg? Czy żył teraz gdzieś indziej, pracując nad innym, podobnym projektem?

Moja wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach i najwyraźniej przekroczyła już wszelkie rozsądne granice, gdyż nagle nabrałem przekonania, że John Joseph Randolph stoi za oknem jadalni i przygląda mi się z pobłażliwym uśmieszkiem na ustach. Odwróciłem się na pięcie. Szyba przesłonięta była żaluzją. Podszedłem szybko do okna i pociągnąłem za sznur, unosząc na chwilę żaluzję. Nie było tam nikogo.

Przesłuchałem kolejny fragment taśmy. Osiemnaste nazwisko na liście Delacroix brzmiało Conrad Gensel. Bez wątpienia był to ten krępy dupek z żółtymi oczami i zębami lalki. Być może i on brał udział w wyprawie na drugą stronę i jako jeden z nielicznych powrócił stamtąd żywy. Może on także ujrzał w tamtym okropnym świecie swoje przeznaczenie lub ów koszmarny widok przyprawił go o szaleństwo i chciał powrócić tam po swoją śmierć. Z pewnością jednak Randolph nie poznał go na imprezie charytatywnej czy festiwalu truskawki.

Przeciągnąłem dłonią po twarzy. Choć budynek Magicznego Pociągu został rozebrany, obrócił się w nicość, czułem, że ta sprawa nie została jeszcze ostatecznie zamknięta.

John Joseph Randolph nie stał za oknem. Teraz jednak byłem pewien, że to Conrad Gensel przyciska nos do szyby. Musiałem jeszcze raz podejść do okna. Zawahałem się. Podniosłem żaluzję. Pusto.

Pies i kot przyglądały mi się z zainteresowaniem, jakbym specjalnie dla nich odgrywał jakąś komedię.

— Najważniejsze pytanie — mówiłem do Mungojerriego i Orsona, prowadząc ich do kuchni — brzmi następująco: czy to miejsce, do którego chciał dostać się Johnny, to rzeczywiście piekło, czy coś zupełnie innego.

Z pewnością nie napisał w podaniu o sfinansowanie projektu, że chce zbudować most do krainy Belzebuba. Był bardziej dyskretny. Ludzie, którzy przyznali mu odpowiednie fundusze, byli zapewne przekonani, że prace Randolpha dotyczą podróży w czasie. A ponieważ sami są szaleńcami, to wydawało im się realne.

Wyciągając z zamrażarki paczkę frankfurterek, mówiłem:

— Z tego, co opowiadał w tamtym miedzianym pokoju, wynikało, że jednak była to do pewnego stopnia podróż w czasie. W przeszłość, w przyszłość, ale przede wszystkim w bok.

Stanąłem na środku kuchni, zastanawiając się nad tym problemem i trzymając w dłoni zamrożone hot dogi.

Orson krążył wokół mnie, niespokojnie.

— Załóżmy, że w strumieniu czasu rzeczywiście są światy, które płyną obok nas, światy równoległe. Zgodnie z fizyką kwantową, jednocześnie z naszym wszechświatem istnieje nieskończona ilość wszechświatów równoległych, równie rzeczywistych jak nasz. My nie możemy ich zobaczyć. Oni nie mogą zobaczyć nas. Rzeczywistości nigdy się nie stykają. Z wyjątkiem Wyvern. Magiczny Pociąg zmieszał na jakiś czas dwie rzeczywistości niczym gigantyczny mikser.

Mungojerrie przyłączył się do Orsona i biegał wokół mnie truchtem.

— Być może jeden z tych światów równoległych jest tak straszny, że mógłby uchodzić za piekło. W takim razie może istnieje też świat, który uznalibyśmy za niebo.

Truchtające wokół moich nóg zwierzaki były tak bardzo skupione na hot dogach, że gdyby Orson zatrzymał się raptownie, Mungojerrie wszedłby prosto w jego zad.

Otworzyłem paczkę, rozłożyłem kiełbaski na talerzu i ruszyłem w stronę kuchenki mikrofalowej. Jednak w połowie drogi znów się zatrzymałem, wracając myślami do tego samego problemu.

— Czy nie jest możliwe, by niektórzy ludzie, prawdziwi

mistycy, media, potrafili od czasu do czasu zaglądać za tę wielką barierę oddzielającą nasze światy? By oglądali te równoległe rzeczywistości? Może stąd właśnie wzięły się wyobrażenia o życiu pozagrobowym.

W chwili gdy wygłaszałem ostatnią część monologu, do kuchni wszedł Bobby. Słuchał mnie przez chwilę, a potem przyłączył się do Orsona i Mungojerriego.

— A jeśli rzeczywiście przenosimy się po śmierci do któregoś z równoległych światów? Czy mówimy w tej sytuacji o religii, czy o nauce?

— My o niczym nie mówimy — zauważył Bobby. — To ty gadasz jak najęty o religii, nauce i pseudonauce, ale my myślimy tylko o hot dogach.

Zrozumiawszy niewyszukaną aluzję, włożyłem talerz do kuchenki mikrofalowej. Kiedy kielbaski były już gorące, dałem dwie Mungojerriemu. Sześć przeznaczyłem dla Orsona, bo kiedy poprzedniej nocy wchodziliśmy razem do Wyvern, obiecałem mu frankfurterki, a zawsze staram się dotrzymywać obietnic dawanych przyjaciółom, gdyż oni spełniają swoje.

Bobby'ego nie poczęstowałem ani jedną, bo zrobił się za cwany.

— Popatrz, co znalazłem — powiedział, kiedy zmywałem z dłoni tłuszcz.

Moje palce ociekały jeszcze wodą, kiedy podał mi czapkę z napisem „Magiczny Pociąg”.

— To nie może istnieć — oświadczyłem.

Skoro cały budynek, w którym realizowano ten projekt, zniknął z powierzchni ziemi, to dlaczego ktoś miałby robić takie

czapki?

— To nie istnieje — odparł. — Ale istnieje coś innego.

Skonfundowany, obróciłem czapkę w palcach, by lepiej przyjrzeć się napisowi. Czerwone nitki nie układały się już w słowa „Magiczny Pociąg”. Zamiast tego nad daszkiem widniało hasło „Aleja Wiatrów”.

— Co to jest „Aleja Wiatrów”? — spytałem.

— Nie wydaje ci się to...

— Mało przyjemne?

— Tak.

— Absolutnie paskudne.

Może Randolph i Conrad znajdowali się teraz w Wyvern albo w jakiejś innej części kraju, pracując nad tym samym projektem, który teraz miał inną nazwę. Sprawa nie była jeszcze zamknięta.

— Będziesz to nosił? — spytał Bobby.

— Nie.

— No i dobrze. Aha, jeszcze jedno. Co stało się ze mną, to znaczy z martwym mną?

— Znowu zaczynasz. On przestał istnieć, to wszystko.

— Bo ja nie umarłem.

— Nie jestem Einsteinem, bracie.

Bobby zmarszczył brwi.

— A jeśli któregoś ranka po przebudzeniu zobaczę obok siebie własne zwłoki, gnijące i oślizgłe?

— Będziesz musiał kupić nową pościel.

Kiedy spakowaliśmy już wszystkie potrzebne rzeczy, pojechaliśmy do południowej części zatoki, gdzie znajduje się rezydencja Bobby’ego — piękny budynek z drewna tekowego

i szkła — jedyny dom mieszkalny w tej okolicy.

Po drodze Sasha zatrzymała się przy budce telefonicznej i naśladując głos Myszki Miki — ciekawe, dlaczego akurat Myszki Miki, skoro w tej sytuacji o wiele bardziej odpowiedni byłby głos któregoś z bohaterów *Króla Lwa* — poinformowała policję o zbiorowym samobójstwie w domu Stanwyków.

— Bracie? — odezwał się Bobby, kiedy znów ruszyliśmy w drogę.

— Tak?

— Kto właściwie zostawił ci tę czapkę z Magicznym Pociągiem? I kto tamtej nocy wsunął za wycieraczkę kartę identyfikacyjną Delacroix?

— Nie mam żadnego dowodu...

— Ale podejrzewasz...

— Wielki Łeb.

— Mówisz poważnie?

— Myślę, że jest o wiele sprytniejszy, niż na to wygląda.

— To jakiś zmutowany cudak. — Bobby nie był przekonany do mojej teorii.

— Jak ja.

— Słuszna uwaga.

W domu Bobby'ego przebraliśmy się w stroje kąpielowe, a potem zapakowaliśmy do samochodu karton z piwem i różne smakołyki.

Uważałem jednak, że nim oddamy się przyjemnościom, musimy załatwić jeszcze jedną sprawę — by nie wyglądać już więcej nerwowo za okno, wypatrując tam szalonych konduktorów Magicznego Pociągu.

Ogromne monitory komputerów w pracowni Bobby'ego ukazywały kolorowe mapy, wykresy zmian ciśnienia, zdjęcia wykonane przed kilkoma minutami z orbity okołoziemskiej, tabele z informacjami zebranymi w różnych punktach świata. To właśnie tutaj, korzystając z pomocy pracowników swego biura w Moonlight Bay, Bobby przygotowywał informację o pogodzie dla tysięcy surferów z ponad dwudziestu krajów.

Ponieważ nie znam się na komputerach, stałem cichutko za plecami Bobby'ego, kiedy ten wyszukiwał w internecie listy najślynniejszych amerykańskich uczonych naszych czasów. Logika podpowiadała nam, że szalony geniusz, opętany wizją podróży w czasie, zdecydowany udowodnić wszystkim, że obok naszego świata istnieją inne, równoległe rzeczywistości i że można do nich dotrzeć, poruszając się przez czas, musi być fizykiem i to cholernie dobrym fizykiem.

Bobby odnalazł doktora Randolpha Josephsona w ciągu trzech minut. Pan Josephson pracował na uniwersytecie w Nevadzie i mieszkał w Reno.

Mungojerrie wskoczył na biurko, by przyjrzeć się bliżej danym wyświetlonym na ekranie. Nie zabrakło tam nawet zdjęcia. To był nasz szalony naukowiec, bez dwóch zdań.

Pomimo likwidacji wielu baz wojskowych, które po zakończeniu zimnej wojny stały się tylko zbędnym balastem, w Nevadzie wciąż działało kilka prężnych ośrodków. Mogliśmy więc przypuszczać, że przynajmniej w jednym z nich prowadzone są tajne badania podobne do tych, jakie miały kiedyś miejsce w Wyvern.

— Może przeprowadził się do Reno po zamknięciu Wyvern —

powiedziała Sasha. — Co nie znaczy wcale, że jeszcze żyje. Mógł wrócić tutaj, żeby porwać dzieci, i zginął, kiedy ten budynek... się rozpadł.

— A może nigdy nie pracował w Wyvern. Skoro Magiczny Pociąg w ogóle nie istniał, to Randolph siedzi pewnie w Reno od dłuższego czasu i przygotowuje Aleję Wiatrów czy coś innego.

Bobby zadzwonił do informacji w Reno i uzyskał numer telefonu do doktora Randolpha Josephsona. Zapisał go ołówkiem na kartce wyrwanej z notesu.

Choć wiedziałem, że jest to tylko wina mojej nieznośnej wyobraźni, dojrzałem w tych dziesięciu cyfrach jakiś zły omen, niedobrą aurę, jakby był to numer telefonu łączącego skorumpowanych polityków z samym szatanem, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, w święta religijne i państwowe.

— Spośród nas trojga tylko ty słyszałeś jego głos — powiedział Bobby. Odjechał swym krzesłem od biurka, bym mógł sięgnąć po słuchawkę telefonu. — Mam blokadę sygnału powrotnego, więc gdyby zrobił się zbyt ciekawy, to i tak nie będzie mógł nas odszukać.

Kiedy podniosłem słuchawkę, Orson stanął przednimi łapami na biurku i delikatnie zacisnął zęby na moim nadgarstku, jakby chciał powiedzieć mi, że nie powinienem nigdzie dzwonić.

— Muszę to zrobić, bracie.

Zaskomlał cicho.

— Obowiązek — wyjaśniłem.

Zrozumiał i wypuścił moją dłoń.

Choć czułem, jak podnoszą mi się włosy na karku, wybrałem

właściwy numer. Słuchając sygnału, wmawiałem sobie, że John Joseph Randolph nie żyje, leży pogrzebany tam, gdzie kiedyś znajdowała się miedziana sala.

Odebrał po trzecim dzwonku. Rozpoznałem jego głos natychmiast, po krótkim „Słucham”.

— Doktor Randolph Josephson? — spytałem.

— Tak?

Nagle całkiem zaschło mi ustach, język kleił się do podniebienia.

— Halo? Jest tam ktoś?

— Czy to Randolph Josephson znany dawniej jako John Joseph Randolph?

Nie odpowiedział. Słyszałem jego oddech.

— Myślałeś, że świat zapomniał o tym, co zrobiłeś w młodości? Naprawdę myślałeś, że możesz zabić swoich rodziców i zapomnieć o tym na zawsze?

Odłożyłem szybko słuchawkę, jakby nagle zaczęła parzyć mnie w dłoń.

— I co teraz? — spytała Sasha.

Wstając od biurka, Bobby powiedział:

— Może w tej wersji życia ten świr nie dostał pieniędzy na swój projekt tak szybko jak w Wyvern lub nie dostał ich dość dużo. Może nie zaczął jeszcze budować innego modelu Magicznego Pociągu.

— A jeśli tak nie jest, to jak go powstrzymamy? — spytała Sasha. — Pojedziemy do Reno i wpakujemy mu kulkę w łeb?

— Pewnie uda nam się tego uniknąć — powiedziałem. — Zabrałem ze sobą kilka wycinków z tej jego morderczej galerii

w tunelu pod jajowatą salą. Kiedy wróciłem do domu, ciągle były w kieszeni. Nie zniknęły jak... ciało Bobby'ego. A to oznacza, że Randolph rzeczywiście popełnił te morderstwa. Coroczne święta. Chyba jutro zadzwonię na policję i złożę anonimowy donos, oskarżę go o wszystkie te zabójstwa. Jeśli się tym zainteresują, prawdopodobnie znajdą w jego domu jakieś dowody.

— Ale nawet jeśli go wsadzą, ktoś inny może pokierować projektem — zauważyła Sasha. — Nowa wersja Magicznego Pociągu zostanie jednak zbudowana, drzwi między rzeczywistościami znowu się otworzą.

Spojrzałem na Mungojerriego. Mungojerrie spojrzał na Orsona. Orson na Saszę, Sasha na Bobby'ego. Bobby spojrzał na mnie i powiedział:

— A wtedy jesteśmy skończeni.

— Jutro zadzwonię na policję — powiedziałem. — To najlepsze, co możemy teraz zrobić. A jeśli gliniarze nie będą mogli go wsadzić...

— To któregoś dnia pojedę z Doogiem do Reno i rozwalę śmiecia — dokończyła Sasha.

— Co za kobieta... — Bobby pokręcił głową.

Czas na zabawę.

Sasha przejechała przez wydmy, przez wysoką trawę posrebrzaną blaskiem księżyca, potem posuwała się wzdłuż brzegu, by wreszcie zaparkować na plaży wysuniętej najbardziej na południe, tuż nad linią przyływu. Właściwie wjeżdżanie na plażę samochodem jest zabronione, ale uznaliśmy, że skoro udało nam się wrócić z wycieczki do piekła, to zniesiemy też karę, jaka może nas spotkać za to wykroczenie.

Rozłożyliśmy koce na piasku i zapaliliśmy jedną latarenkę.

Przy wejściu do zatoki, na północny zachód od naszej plaży, stał jakiś wielki okręt. Choć otulały go ciemności, a światła na dziobie i rufie nie pozwalały określić typu i przeznaczenia, byłem pewien, że nigdy nie widziałem podobnego statku w tej okolicy. Poczułem się trochę niepewnie, nie na tyle jednak, by uciec z plaży i schować się w domu pod kocem.

Fale były wspaniałe, miały od sześciu do ośmiu stóp wysokości, od podstawy do grzywy. Wiatr od nabrzeża formował je w całkiem przyzwoite beczki, a piana lśniła w blasku księżyca jak perły z naszyjnika syreny.

Sasha i Bobby wrzucili deski do wody i popłynęli się bawić, a ja w towarzystwie Orsona i Mungojerriego objąłem straż na plaży. Choć nie istniał już Magiczny Pociąg, retrowirus mojej mamy nadal pozostawał groźny. Być może obiecana szczepionka i lekarstwo miały już wkrótce dotrzeć do potrzebujących, ale ludzie w Moonlight Bay nadal się przemieniali. Kojoty nie zgładziły zapewne całego stada małą z Wyvern, co najmniej kilka z nich wciąż pozostawało na wolności, a żadna nie darzyła nas sympatią.

Używając środków z zestawu pierwszej pomocy, który zabrała ze sobą Sasha, delikatnie przemyłem rany Orsona, a potem nałożyłem na nie maść. Rana na pysku, obok nosa, nie była tak groźna, jak mi się wydawało, ale ucho wyglądało naprawdę fatalnie. Musiałem sprowadzić do domu jakiegoś weterynarza i dowiedzieć się, czy można nastawić zmiażdżone chrząstki.

Choć środek dezynfekujący musiał go piec naprawdę mocno, Orson nawet nie pisnął. To dobry pies i jeszcze lepszy przyjaciel.

— Kocham cię, bracie — powiedziałem mu.

Polizał mnie po twarzy.

Wkrótce zdałem sobie sprawę, że od czasu do czasu rozglądam się nerwowo po plaży. Wypatrywałem małą, ale bałem się również, że ujrzę Johnny'ego Randolpha albo Hodgsona w białym skafandrze, z gniazdem robaków zamiast twarzy. Być może po tym, jak rzeczywistość poszatkowana została na drobne kawałki, nie mogła już zostać ułożona w poprzedni, bezpieczny wzór. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że teraz może wydarzyć się wszystko, nawet to, co do niedawna uznałbym za absolutnie niemożliwe.

Otworzyłem jedno piwo dla siebie i jedno dla Orsona. Wylałem jego porcję na miskę i zaproponowałem, by podzielił się z Mungojerriem. Kot jednak spróbował piwa tylko raz i splunął z obrzydzeniem.

Noc była ciepła, niebo usiane gwiazdami, rytmiczny huk fal przypominał bicie wielkiego serca.

Stworzenie o błoniastych skrzydłach i biczowatym ogonie miało także dwa rogi, kopyta i odrażającą, lecz ludzką twarz. Jestem pewien, że wizerunki podobnych istot można odnaleźć w księgach tak starych jak sam wynalazek druku, a pod większością z nich, jeśli nie pod wszystkimi, widnieje ten sam napis: demon.

Postanowiłem nie myśleć o tym już więcej.

Po chwili z morza wyszła Sasha, szczęśliwa i zdyszana. Orson także odpowiedział jej głośnym dyszeniem, jakby uznał to za formę konwersacji.

Usiadła na kocu obok mnie, a ja otworzyłem dla niej piwo.

Bobby wciąż ujeżdżał nocne fale.

— Widzisz tamten statek? — spytała.

— Duży.

— Popłynęliśmy trochę dalej niż zwykle. Chciałam zobaczyć go z bliska. To jednostka wojskowa.

— Nigdy dotąd nie widziałem tu żadnego okrętu wojennego.

— Coś się dzieje.

— Zawsze coś się dzieje.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Przeczynałem jakieś ważne wydarzenia. Może płynęły już do nas szczepionki i lekarstwa dla zarażonych renowirusem. A może ważne figury z Waszyngtonu uznały, że jedyny sposób na to, by ukryć przed światem katastrofę z Wyvern, to zniszczyć całą bazę i Moonlight Bay. Zetrzeć je eksplozją termonuklearną, której nie przetrwa nawet wirus. Czy opinia publiczna, odpowiednio wcześniej urobiona, uwierzy, że wybuch bomby atomowej w Moonlight Bay był dziełem terrorystów?

Postanowiłem nie myśleć o tym już więcej.

— Chcemy ustalić z Bobbym datę — powiedziałem. — Zamierzamy się pobrać, chyba o tym wiesz.

— Nie macie wyjścia, skoro powiedział, że cię kocha...

— Tak właśnie myślimy.

— Kto będzie świadkiem panny młodej?

— Orson.

— Poważne pomieszanie płci.

— Chcesz zostać świadkiem pana młodego?

— Jasne, chyba że wcześniej wpakuję się w jakąś paskudną awanturę z małpami czy w coś jeszcze gorszego. Biegaj do morza.

Wstałem z koca, podniosłem swoją deskę i powiedziałem:

— Bez wahania zostawiłbym Bobby’ego przed ołtarzem, gdybym wiedział, że mogę zamiast z nim ożenić się z tobą — powiedziałem i ruszyłem w stronę oceanu.

Pozwoliła odejść mi na jakieś sześć kroków, nim zawołała:

— Czy to były oświadczenia?

— Tak! — odkrzyknąłem.

— Dupek!

— Czy to oznacza, że zostałem przyjęty?! — wołałem do niej, zanurzając stopy w wodzie.

— Nie pójdzie ci tak łatwo. Jesteś mi winien mnóstwo zalotów.

— Więc jednak zostałem przyjęty?

— Tak!

Zanurzony w wodzie po kolana, odwróciłem się, by popatrzeć na nią. Jeśli Kaha Huna, bogini surferów, rzeczywiście stąpała po tej ziemi, to była tej nocy tutaj, nie w Waimea Bay, nie pod postacią Pii Klick.

Orson stał obok Sashy, wymachując wesoło ogonem, najwyraźniej uradowany perspektywą występu w roli świadka. Lecz nagle przestał merdać i podbiegł do wody, uniósł głowę, wciągnął w nozdrza morską bryzę i spojrzał na okręt wojenny zakotwiczony przy wejściu do zatoki. Ja nie dostrzegłem w nim żadnej zmiany, lecz coś najwyraźniej przyciągnęło uwagę Orsona — i wzbudziło jego niepokój.

Fale były jednak zbyt kuszące, bym mógł się im oprzeć. *Carpe diem. Carpe noctem. Carpe aestus* — korzystaj z surfu.

Wielkie grzywiaste fale sunęły tu z odległej Tortugi, z Tahiti, z Bora-Bora, z tysięcy zalanych słońcem miejsc, na których nigdy

nie postawię stopy, gdzie tropikalne niebo lśni błękitem, którego nigdy nie zobaczę. Lecz całe światło potrzebne mi do życia było tutaj razem z tymi, których kocham, którzy emanują miłością i dobrocią.

¹ przeł. Robert Ginalski